

**100**  
**LAT**

**NIEPODLEGŁOŚCI**

# Jędrzej Moraczewski

Wspomnienia  
Ludzie, czasy i zdarzenia

**Część pierwsza**

Młodość i praca inżynierska

**Tom 1**

Lata nauki 1870–1896

Opracowanie, wstęp i komentarz

**Ilona Florczak**

 WYDAWNICTWO  
UNIwersytetu  
ŁÓDZKIEGO

# **Jędrzej Moraczewski**

Wspomnienia

Ludzie, czasy i zdarzenia



WYDAWNICTWO  
UNIWERSYTETU  
ŁÓDZKIEGO

**100**  
**LAT**

**NIEPODLEGŁOŚCI**

# **Jędrzej Moraczewski**

Wspomnienia  
Ludzie, czasy i zdarzenia

**Część pierwsza**

Młodość i praca inżynierska

**Tom 1**

Lata nauki 1870–1896

Opracowanie, wstęp i komentarz

**Ilona Florczak**



WYDAWNICTWO  
UNIWERSYTETU  
ŁÓDZKIEGO

Łódź 2018

Ilona Florczak – Uniwersytet Łódzki, Wydział Filozoficzno-Historyczny  
Katedra Historii Historiografii i Nauk Pomocniczych Historii  
90-219 Łódź, ul. A. Kamińskiego 27a

RADA REDAKCYJNA  
SERII 100 LAT NIEPODLEGŁOŚCI  
*Przemysław Waingertner* – przewodniczący; członkowie: *Agnieszka Jędrzejewska*  
*Krzysztof Lesiakowski, Sebastian Pilarski, Lilianna Świątek, Piotr Zawilski*  
członkowie honorowi: *Kazimierz Badziak, Hubert Bekrycht*

RECENZENT  
*Janusz Gołota*

REDAKTOR INICJUJĄCY  
*Iwona Gos*

REDAKTOR WYDAWNICTWA UŁ  
*Dorota Stępień*

SKŁAD I ŁAMANIE  
*Tomasz Pietras*

PROJEKT OKŁADKI  
*Katarzyna Turkowska*

Portret Jędrzeja Moraczewskiego zamieszczony na okładce pochodzi z:  
<https://polona.pl/item/portret-jedrzej-moraczewskiego,NtC2NTY4NQ/0/#info>  
(1916, sygn. F.48123)

© Copyright by Ilona Florczak, Łódź 2018  
© Copyright for this edition by Uniwersytet Łódzki, Łódź 2018

Publikacja jest udostępniona na licencji Creative Commons  
Uznanie autorstwa-Użycie niekomercyjne-Bez utworów zależnych 4.0 (CC BY-NC-ND)

Wydane przez Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego  
Wydanie I. W.08686.18.0.M

Ark. wyd. 16,1; ark. druk. 15,875

<https://doi.org/10.18778/8142-153-9>

ISBN 978-83-8142-153-9  
e-ISBN 978-83-8142-154-6

Wydawnictwo Uniwersytetu Łódzkiego  
90-131 Łódź, ul. Lindleya 8  
[www.wydawnictwo.uni.lodz.pl](http://www.wydawnictwo.uni.lodz.pl)  
e-mail: [ksiegarnia@uni.lodz.pl](mailto:ksiegarnia@uni.lodz.pl)  
tel. (42) 665 58 63

# SPIS TREŚCI

OD REDAKCJI .....	7
PRZEDMOWA .....	33
WSTĘP .....	35
<b>ROZDZIAŁ I</b>	
CZASY SZKOLNE .....	41
<b>ROZDZIAŁ II</b>	
POLITECHNIKA LWOWSKA .....	85
<b>ROZDZIAŁ III</b>	
TAJNY ZWIĄZEK .....	119
<b>ROZDZIAŁ IV</b>	
POLITECHNIKA LWOWSKA II .....	153
<b>ROZDZIAŁ V</b>	
PEREPELNIKI .....	197
<b>ROZDZIAŁ VI</b>	
SŁUŻBA W WOJSKU AUSTRIACKIM .....	235



# OD REDAKCJI

## RODZINA, DZIECIŃSTWO, MŁODOŚĆ

Jędrzej Moraczewski urodził się w Trzemesznie 13 stycznia 1870 r. jako trzecie dziecko Macieja Moraczewskiego (1840–1928)<sup>1</sup> i Anieli z Pomorskich. Pochodził z rodziny ziemiańskiej, legitymującej się herbem Cholewa i od wielu pokoleń związanej z Wielkopolską. Przedstawiciele rodziny uczestniczyli w kolejnych powstaniach narodowych. Bracia dziadka Romana, Benedykt (1803–1867) i Jędrzej, brali udział w powstaniu listopadowym. Wspomniany stryjeczny dziadek przyszłego polityka, Jędrzej Moraczewski (1802–1855), był historykiem i działaczem społeczno-politycznym związanym z Towarzystwem Demokratycznym Polskim. Być może po nim przyszły premier odziedziczył nie tylko imię, ale też zainteresowania dziejami państwa polskiego. Jako gorący patriota brał udział, jak wspomniano wyżej, w zrywie powstańczym w 1831 r., ale też w powstaniu wielkopolskim w 1848 r. Jędrzej Moraczewski wraz z siostrą Bibianną (1811–1887) prowadził w Poznaniu salon literacki będący centrum ówczesnego życia intelektualnego w Wielkopolsce. Z kolei ojciec Autora *Wspomnień*, kontynuując rodzinną tradycję, walczył w powstaniu styczniowym. Po klęsce powstania i udanej ucieczce z niewoli rosyjskiej wrócił do Wielkopolski, gdzie podjął pracę jako inżynier budowlany. W 1867 r. poślubił Anielę z Pomorskich. Niestety, matka Jędrzeja Moraczewskiego zmarła 16 lutego 1870 r., wkrótce po jego narodzinach. Dwa lata później ojciec ożenił się powtórnie, z siostrą zmarłej – Anną, która zajęła się wychowaniem dzieci. Maciej Moraczewski, z wykształcenia inżynier, absolwent Politechniki Berlińskiej, pracował w pruskiej służbie budowlanej, m.in. w Pleszewie i Bydgoszczy. W połowie lat 70. XIX w. Moraczewski wygrał konkurs na stanowisko dyrektora urzędu

---

<sup>1</sup> Biogramy osób występujących na kartach *Wspomnień* umieszczono w zasadniczej części tekstu.



budowlanego Magistratu w Krakowie i wraz z rodziną przeniósł się do Galicji, która była w owym czasie, czyli po 1867 r., pod wieloma względami atrakcyjnym miejscem zamieszkania dla Polaków z pozostałych zaborów. Mowa tu o względnych swobodach narodowych i możliwościach rozwoju kariery zawodowej. Praca, którą wykonywał, nie tylko umożliwiała zapewnienie bytu materialnego licznej rodzinie, lecz także pozwalała na „rozwiniecie skrzydeł” i wykorzystanie nabytych dotąd umiejętności w pracy dla dobra narodu. Warto bowiem zauważyć, że pokolenie powstańców styczniowych, do którego należał Maciej Moraczewski, po okresie zrywu niepodległościowego i późniejszych represjach, podjęło pracę na rzecz rozwoju ziem polskich w myśl ideałów pozytywistycznych. Jednocześnie kultywowano pamięć o powstaniu styczniowym i jego uczestnikach, tworząc powstańczy mit przekazywany kolejnemu pokoleniu. Z pewnością przeszłość powstańcza przodków wywarła duży wpływ na ideologię przyjętą przez przedstawicieli „pokolenia niepokornych”, którego udziałem stała się walka o niepodległość ojczyzny.

W Krakowie, w 1876 r. młody Jędrzej Moraczewski rozpoczął edukację w szkole ludowej. Po jej ukończeniu w 1880 r. został uczniem ośmioklasowego Cesarsko-Królewskiego Gimnazjum św. Jacka, mieszczącego się przy ul. Siennej 13, w budynku należącym do konwentu oo. dominikanów<sup>2</sup>. Była to szkoła o profilu humanistycznym z obowiązkową nauką łaciny i greki. Wkrótce ojciec przyszłego polityka został mianowany radcą budowlanym w Namiestnictwie we Lwowie i wraz z rodziną przeniósł się do centrum administracyjnego Galicji. We Lwowie Jędrzej Moraczewski początkowo podjął naukę w II Gimnazjum z wykładowym językiem niemieckim, jednak w 1884 r. został przeniesiony do III Gimnazjum im. Franciszka Józefa, które ukończył, zdawszy maturę w 1888 r. Czas nauki w gimnazjum był okresem nie tylko zdobywania rzetelnej wiedzy ogólnej czy nauki języków, w tym języków klasycznych, lecz także okresem nawiązywania pierwszych przyjaźni, kształtowania zainteresowań i postaw obywatelskich oraz pogłębiania świadomości narodowej.

W 1888 r. Moraczewski rozpoczął studia w Szkole Politechnicznej we Lwowie. Podczas studiów zdobywał wiedzę konieczną do wykonywania przyszłego zawodu inżyniera oraz poznawał nowe prądy polityczne, co ugruntowało jego demokratyczny i niepodległościowy światopogląd. Działalność w organizacjach studenckich, dysputy polityczne, konflikty z kolegium profesorskim (o których mowa we *Wspomnieniach*) były dla przyszłego polityka, podobnie zresztą jak w przypadku innych uczestników życia studenckiego, przygotowaniem do aktywnego uczestnictwa w życiu obywatelskim

<sup>2</sup> Z  *dziejów II Państwowego Gimnazjum i Liceum im. św. Jacka w Krakowie 1857–1950*, Kraków 1967, s. 8.

i publicznym. Jak wiadomo, na przełomie lat 80. i 90. XIX w. w Galicji nastąpiła szczególnie intensywna dywersyfikacja życia politycznego. Na scenie pojawiały się nowe ruchy polityczne przybierające wyraźne rysy strukturalne – mowa tu przede wszystkim o ruchu socjalistycznym i Polskiej Partii Socjaldemokratycznej Galicji i Śląska (PPSD), ruchu ludowym czy Narodowej Demokracji – trzech najważniejszych (obok istniejącego już silnego ugrupowania konserwatywnego) stronnictwach politycznych, których szeregi tworzyli i zasilali ludzie z pokolenia Jędrzeja Moraczewskiego. Etap studencki niejednokrotnie decydował o wyborze dalszej ścieżki życiowej – zarówno w przypadku kariery zawodowej, jak i światopoglądu czy ideologii.

Jeszcze w okresie gimnazjalnym Moraczewski zaangażował się w działalność tajnego kółka samokształceniowego, kontynuując ją także w czasie studiów technicznych. Początkowo ruch samokształceniowy zaczął rozwijać się w zaborze rosyjskim, jednak z czasem objął także ziemie pozostałych zaborów. Najważniejszym celem było samokształcenie, poznawanie historii i geografii Polski, czytanie dzieł literatury polskiej i przygotowywanie się do walki o zjednoczenie ziem polskich. Można przypuszczać, że tajna lwowska organizacja, do której przynależał Moraczewski, skupiająca młodzież tamtejszych szkół, gimnazjalnych i wyższych (czyli Szkoły Politechnicznej, Uniwersytetu Lwowskiego i Akademii Rolniczej w Dublanach), znajdowała się w kręgu wpływów Związku Młodzieży Polskiej „Zet”, tajnej organizacji utworzonej na Uniwersytecie Warszawskim w 1886 r. Świadczyła o tym przede wszystkim zakonspirowana forma działalności, hierarchiczna struktura, a przede wszystkim program, którego najważniejszym punktem była walka o niepodległość ojczyzny<sup>3</sup>. Praca w tajnej organizacji nie pozostawała bez wpływu na krystalizowanie się poglądów i ideologii młodych ludzi, choć nie przesądzała o wyborze dalszej drogi politycznej. Warto dodać że choć ideologia „Zetu” ewoluowała, a organizacja znalazła się ostatecznie w orbicie oddziaływań Narodowej Demokracji, to jej członkowie zasilili również szeregi innych, rodzących się na ziemiach polskich partii politycznych, na co zwrócił uwagę Moraczewski w swoich wspomnieniach.

Wraz z rozpoczęciem nauki w szkole wyższej Moraczewski zaangażował się w działalność Stowarzyszenia Bratniej Pomocy Słuchaczy Politechniki Lwowskiej (tzw. Bratniaka)<sup>4</sup>. Była to organizacja utworzona w 1861 r., a jej celem stało się, generalizując, niesienie pomocy materialnej potrzebującym członkom organizacji, głównie poprzez udzielanie stypendiów,

---

<sup>3</sup> Por. P. Waingertner, *Ekspozytury i wpływy Związku Młodzieży Polskiej „Zet” w okresie zaborów (1886–1914)*, „Przegląd Nauk Historycznych” 2017, R. XVI, nr 1, s. 137, 138, 149.

<sup>4</sup> Szerzej na temat samej organizacji zob. K. Rędziński, *Stowarzyszenie Bratnia Pomoc Studentów Politechniki Lwowskiej (1861–1918)*, „Prace Naukowe Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie” 2014, t. XVI, s. 423–443.

pożyczek i zapomóg czy pomoc materialną w postaci zakupu odzieży. W ramach działalności pomocowej prowadzono też tanią kuchnię. Towarzystwo zorganizowało własne wydawnictwo oraz prężnie działającą bibliotekę. W jego ramach istniały koła zainteresowań, m.in. kółko szermierskie czy językowe. Szczególną rolę w kształtowaniu poglądów politycznych i przygotowaniu do życia obywatelskiego odgrywały, działające w ramach Bratniej Pomocy, koła samokształceniowe – prosocjalistyczne koło Zachęty Naukowej (1885–1897) oraz istniejące od 1889 r. Ognisko. To ostatnie powstało dzięki staraniom Jędrzeja Moraczewskiego jako przeciwwaga dla Zachęty i, jak można przypuszczać, było emanacją tajnego koła studenckiego. Ognisko pod przewodnictwem Moraczewskiego (do 1893 r.) głosiło, obok haseł postępowych, potrzebę walki o niepodległość Polski. Liczne dyskusje pomiędzy członkami obu kół, organizowane odczyty, a także działalność wydawnicza prowadziły do ożywienia aktywności Bratniej Pomocy i „zbliżenia się poszczególnych grup koleżeńskich”. Warto dodać, że działalność Towarzystwa była oparta na zasadach demokratycznych – co roku wybierano nowy Zarząd i prezesa, czyli organy kierujące jego pracami. W roku akademickim 1891/1892 prezesem wybrano Jędrzeja Moraczewskiego, który niemal przez cały okres studiów był zaangażowany w funkcjonowanie władz Bratniej Pomocy, pełniąc różne obowiązki w jej strukturach.

W ramach działalności organizacji studenckich Moraczewski był wśród współorganizatorów akcji patriotycznych, takich jak sprowadzenie zwłok Adama Mickiewicza na Wawel czy żałoba narodowa w 1893 r. (w setną rocznicę drugiego rozbioru Polski i trzydziestą wybuchu powstania styczniowego). Jako prezes Bratniej Pomocy zaangażował się, w lutym 1892 r., w sprawę relegowania ze studiów za działalność socjalistyczną Kazimierza Mokłowskiego i zorganizowanie strajku studenckiego, za co otrzymał nagany rektorską<sup>5</sup>. Moraczewski, wspominając ten okres swojego życia, podsumował go następującymi słowami: „Ja przynajmniej, z czynnego udziału w pracach i działaniu Bratniej Pomocy, wyniosłem na całe życie nie tylko naukę wszelkich form życia publicznego, w najszerszym tego słowa znaczeniu, ale skończywszy pracę w Bratniej Pomocy ustaliłem swoje przekonania, których zasady nie uległy zmianie do dzisiaj, po blisko 50 latach. Wiem, że nie ja jeden. Mógłbym wymienić sporo nazwisk kolegów, którzy to samo wynieśli z Politechniki co ja. Profesorowie robili z nas inżynierów, Bratnia Pomoc obywateli”<sup>6</sup>.

<sup>5</sup> I. Florczak, *Jędrzej Moraczewski. Socjalista, poseł, legionista. Z autonomicznej Galicji do niepodległej Polski*, Łódź 2009, s. 32.

<sup>6</sup> J. Moraczewski, *Wspomnienia. Czasy, ludzie i zdarzenia*, cz. I, t. I, wstęp i oprac. I. Florczak, Łódź 2018, s. 88.

W 1893 r., jeszcze podczas studiów, Jędrzej Moraczewski podjął pracę w Biurze Drogowym Wydziału Krajowego, organu wykonawczego galicyjskiego Sejmu Krajowego. W okresie pracy w administracji krajowej odbył też obowiązkową służbę wojskową w 11. pułku artylerii korpusnej we Lwowie jako tzw. jednoroczny ochotnik<sup>7</sup>. W 1896 r. (dwa lata po absolutorium) po zdaniu egzaminu państwowego, który uprawniał do pracy w administracji państwowej, kolejnictwie lub do podjęcia praktyki prywatnej, Moraczewski zdecydował się na porzucenie mało intratnej i niedającej szans rozwoju zawodowego pracy w Wydziale Krajowym i został inżynierem w państwowej służbie budowy kolei. Rok 1896 okazał się przełomowy również ze względów prywatnych – 17 października ożenił się z Zofią Gostkowską<sup>8</sup>, córką profesora Politechniki Lwowskiej, Romana Gostkowskiego i Wandy z Dylewskich (1840–1912), wnuczką lekarza wojskowego Juliana Dylewskiego i Aleksandry z domu Graff.

## PIERWSZE LATA MAŁŻEŃSTWA. KARIERA ZAWODOWA

Po ślubie Moraczewscy opuścili Lwów i zamieszkali na prowincji galicyjskiej, w miejscach, gdzie przebiegała budowa wschodniogalicyjskich kolei lokalnych, przy budowie których zatrudniono młodego inżyniera. Pierwszym miejscem zamieszkania młodej pary był Czortków,

---

<sup>7</sup> Służba w wojsku monarchii habsburskiej była obowiązkowa. Z przywileju jednorocznej służby wojskowej mogli korzystać absolwenci szkół gimnazjalnych i równorzędnych. Tak zwany „jednoroczny ochotnik” powinien zgłosić się do służby przed ukończeniem 24 roku życia. Miał również możliwość wyboru rodzaju broni i miejsca odbywania służby. Jeżeli służył na własny koszt, mógł mieszkać poza koszarami. M. Baczkowski, *Pod czarno-żółtymi sztandarami. Galicja i jej mieszkańcy wobec austro-węgierskich struktur militarnych 1868–1914*, Kraków 2003, s. 23.

<sup>8</sup> Szerzej o Zofii z Gostkowskich Moraczewskiej zob.: I. Florczak, *Zofia Moraczewska (1873–1958). Kobieta-polityk II Rzeczypospolitej*, „Acta Universitatis Lodziensis. Folia Historica” 2003, t. 77, s. 125–145; K. Cybulska, *Codziennosc w służbie idei. Zofia Moraczewska i jej droga do ław parlamentarnych II Rzeczypospolitej*, [w:] *Znani i mniej znani XIX i XX wieku*, red. P. Bies, K. Cedro-Adamczyk, W. Cedro, A. Kania, Katowice 2016, s. 107–117. O roli Zofii Moraczewskiej jako żony, matki i działaczki zob.: I. Florczak, *Socjalistka na prowincji – społeczna i polityczna działalność Zofii Moraczewskiej w Galicji (do 1914 r.)*, [w:] J. Kamińska-Kwak, S. Kozak, D. Opaliński, *Galicja i jej dziedzictwo*, t. 24: *Nowoczesność i tradycja*, Rzeszów 2016, s. 296–310. Działalność w okresie I wojny światowej zilustrowała m.in. J. Dufurat, *Kobiety w teatrze wojny. Społeczna i polityczna aktywność kobiet na ziemiach polskich w latach 1914–1918*, [w:] *O wojnę powszechną za wolność ludów... I wojna światowa na ziemiach polskich – aspekty społeczne, polityczne, militarne. Studia i materiały*, red. R. Kotowski, L. Michalska-Bracha, M. Przeniosło, Kielce 2014, s. 117–122. O działalności Zofii Moraczewskiej w II Rzeczypospolitej zob. też, *W służbie obozu marszałka Józefa Piłsudskiego. Związek Pracy Obywatelskiej Kobiet*, Kraków 2013.

niewielkie miasto powiatowe we wschodniej Galicji. Następnie zamieszkali w Skale. Po zakończeniu prac w tamtym rejonie inżynier został przeniesiony do Lwowa na tzw. obrachunek, czyli rozliczenie kosztów przedsięwzięcia. Jeszcze w 1899 r. Moraczewski został skierowany do Dalmacji, do kierownictwa budowy kolei Split–Sinj–Arzane. Rok później, w lipcu 1900 r., małżonkowie powrócili do Galicji i zamieszkali w Samborze. Po dwóch latach Moraczewski znów został przeniesiony, tym razem do Spasu, by w 1904 r. powrócić z powrotem do Sambora. W 1905 r. Moraczewscy rozpoczęli budowę domu w Winnikach blisko Lwowa, z zamiarem stałego osiedlenia się<sup>9</sup>.

Pierwsze lata służby państwowej były dla inżyniera czasem nie tylko wyteżonej pracy zawodowej, ciągłego zmagania się z trudnościami związanymi z budową linii kolejowych, lecz także okresem spokojnego życia rodzinnego. Na świecie pojawiły się dzieci – Tadeusz (1901–1902), Kazimierz (1903–1920), Wanda (1905–1942) i Adam (1907–1941)<sup>10</sup>. Były też okresem ostatecznego sprecyzowania się poglądów politycznych przyszłego czołowego członka partii socjalistycznej. Nie bez znaczenia w procesie dojrzewania do zajęcia się działalnością publiczną i walką o równouprawnienie robotników było zgłębianie ich problemów w czasie codziennej pracy przy budowie kolei. Podczas pobytu na prowincji galicyjskiej Moraczewski poznał też panujące tam mechanizmy sprawowania władzy, a więc wszechobecną korupcję, oszustwa wyborcze czy bezkarność urzędników państwowych. Obserwował stosunki narodowościowe, rodzące się ruchy polityczne wśród ludności ukraińskiej czy położenie Żydów galicyjskich, a także przybierające na sile antagonizmy pomiędzy mieszkańcami Galicji Wschodniej.

Wraz z żoną i przedstawicielami miejscowej inteligencji angażował się natomiast w działalność kulturalno-społeczną. W Samborze był współzałożycielem oddziału Uniwersytetu Ludowego im. Adama Mickiewicza, w ramach którego organizował odczyty i pogadanki o różnorodnej tematyce, na które zapraszano prelegentów, m.in. profesora Romana Gostkowskiego ze Lwowa. Warto dodać, że działalność kulturalno-oświatową kontynuował również w późniejszych latach, po rozpoczęciu kariery poselskiej w parlamencie austriackim<sup>11</sup>.

<sup>9</sup> I. Florczak, *Jędrzej Moraczewski...*, s. 49–77.

<sup>10</sup> O Adamie Moraczewskim zob.: I. Florczak, *Adam Moraczewski – historyk i archiwista Warszawy (1907–1941)*, [w:] *Wkład archiwistów warszawskich w rozwój archiwistyki polskiej. Zbiór studiów poświęconych warszawskiemu środowisku archiwalnemu*, red. A. Kulecka, Warszawa 2012, s. 366–382.

<sup>11</sup> W 1911 r., tuż przed wyborami parlamentarnymi, pisano w miesięczniku „Krytyka”: „Nie należał Moraczewski nigdy do polityków, którzy obojętnie lub – zdarza się – wrogo trak-

Jeszcze w 1900 r., podczas zwiedzania parlamentu w Wiedniu, Moraczewscy spotkali Ignacego Daszyńskiego. Przywódca galicyjskiej PPSD w niezobowiązującej rozmowie wspominał o planach przekształcenia organu prasowego partii, „Naprzodu”, z tygodnika w dziennik i potrzebnych na ten cel funduszach. Inżynier wsparł akcję pokaźną na owe czasy sumą 1750 koron<sup>12</sup>. Jednak do 1905 r., śledząc stosunki polityczne w Galicji, nie angażował się otwarcie w działalność publiczną. Podczas coraz częstszych pobytów we Lwowie brał udział w zebraniach i akcjach lokalnych struktur PPSD, zaczął też zabierać publicznie głos w sprawach politycznych, m.in. w dysputach na temat zmiany ordynacji wyborczej do Sejmu czy parlamentu wiedeńskiego. W 1906 r. partia powierzyła mu zadanie przekształcenia tygodnika „Głos Robotniczy” w gazetę codzienną. Od 1 stycznia 1907 r., dzięki zebraniom przez Jędrzeja Moraczewskiego funduszom, na rynku wydawniczym Lwowa pojawił się dziennik „Głos”<sup>13</sup>.

## POSEŁ W PARLAMENCIE AUSTRIACKIM

**W** 1907 r., po intensywnej i bardzo dobrze przygotowanej kampanii wyborczej Jędrzej Moraczewski został posłem do parlamentu austriackiego z ramienia galicyjskiej PPSD z okręgu wyborczego Stryj-Kałuż. Było to możliwe dzięki wprowadzeniu w monarchii austriackiej nowej, czteroprzymiotnikowej ordynacji wyborczej, w myśl której prawo do głosowania otrzymali wszyscy mężczyźni po ukończeniu 21 roku życia, zamieszkujący w okręgu wyborczym co najmniej sześć miesięcy. Z nowym prawem wyborczym bardzo duże nadzieje wiązały partie, które do tej pory, ze względu na system wyborczy, nie mogły liczyć na mandaty – mowa tu przede wszystkim o PPSD czy partiach ludowych. Zdawano sobie sprawę z faktu, że tym razem szanse na wprowadzenie przedstawicieli do Izby Poselskiej były zdecydowanie większe. Władze naczelne PPSD, szukając kandydatów na przyszłych posłów, zwróciły się do inżyniera Moraczewskiego z propozycją kandydowania do parlamentu monarchii. Warto w tym miejscu dodać, że to właściwie przywódca galicyjskiej PPSD, Ignacy Daszyński zaproponował Moraczewskiemu start w wyborach 1907 r. Jak pisał sam Moraczewski, decyzja, którą wówczas podjął, należała do najtrudniejszych

---

tują działalność czysto kulturalną; kto wie, czy chętniej niż na trybunie, nie stał za stołem prezydenckim”, „Krytyka” 1911, R. 13, t. XXIX, s. 315.

<sup>12</sup> I. Daszyński, *Pamiętniki*, cz. I, wstęp i oprac. K. Piskała, Warszawa 2017, s. 310.

<sup>13</sup> I. Florczak, *Jędrzej Moraczewski...*, s. 77.

w jego życiu, tym bardziej, że zmiana posady wysokiego urzędnika państwowego na niepewny byt poselski, mogła mieć wpływ na egzystencję rodziny, za którą czuł się odpowiedzialny. Przeważył jednak czynnik ideowy i pragnienie pracy na rzecz społeczeństwa i kraju. W ten sposób rozpoczęła się kariera polityczna późniejszego premiera niepodległej Polski. Po raz drugi został wybrany posłem w wyniku wyborów w 1911 r. W parlamencie austriackim, wraz z innymi posłami socjalistycznymi, koncentrował się na walce o równouprawnienie robotników. Jako doświadczony inżynier skupiał się na prawie kolejowym i pragmatyce służbowej urzędników, zabiegał o skrócenie dnia pracy oraz o objęcie robotników obowiązkowym ubezpieczeniem społecznym. W ramach działalności parlamentarnej podjął temat walki z drożyzną i zacofaniem ekonomicznym Galicji.

Jako poseł, Moraczewski automatycznie wszedł w skład naczelnych władz partyjnych. W przerwie między posiedzeniami parlamentu pracował intensywnie w okręgu wyborczym i na Podkarpaciu, gdzie wraz ze współpracownikami starał się wzmocnić wpływy PPSD. Temu celowi miało służyć powołanie Komitetu Obwodowego PPSD dla Podkarpacia. Warto dodać, że na tym terenie pracował przy wsparciu i wydatnej pomocy żony, która włączyła się w wir działalności społecznej, politycznej, oświatowej i partyjnej w środowisku robotniczym (szczególnie wśród kobiet). Małżonkowie byli też inicjatorami założenia w Stryju organizacji spółdzielczych, m.in. piekarni czy szwalni, oraz oświatowych, np. „Grupy Kolejarzy” czy „Związku Kobiet”<sup>14</sup>.

Dzięki dużej aktywności Moraczewski stał się postacią rozpoznawalną na galicyjskiej scenie politycznej, co z pewnością nie pozostało bez znaczenia dla jego dalszej kariery politycznej. Członkiem Rady Państwa (tak nazywano austriacki parlament) pozostał nieprzerwanie do 1918 r., czyli do końca istnienia tej instytucji. Był to niezwykle ważny okres dla polityka, przyszłego premiera czy parlamentarzysty w II Rzeczypospolitej. W tym czasie bowiem zdobył doświadczenie jako poseł, poznał mechanizmy rządzące procesem ustawodawczym, nauczył się prowadzić negocjacje i zakulisowe rozmowy z przeciwnikami politycznymi oraz zawierać sojusze „dla dobra sprawy”. Tę niewątpliwie cenną praktykę wykorzystywali posłowie z b. zaboru austriackiego, w tym również Moraczewski, podczas pracy w parlamencie polskim.

---

<sup>14</sup> Tamże, s. 111 i n.; I. Florczak, *Socjalistka na prowincji...*, s. 302–304.

## ŻOŁNIERZ I POLITYK. I WOJNA ŚWIATOWA

Galicja była miejscem, gdzie po 1908 r. rozwijał się ruch paramilitarny. Tutaj przebywał i działał owiany legendą spiskowca Józef Piłsudski. W 1908 r. założono tajną organizację pod nazwą Związek Walki Czynnej (ZWC), a jej celem było przygotowanie społeczeństwa polskiego na wypadek walki zbrojnej o odzyskanie niepodległości Polski. Już dwa lata później, z inicjatywy jego aktywistów, utworzono we Lwowie „Związek Strzelecki” i „Strzelca” w Krakowie, legalne organizacje paramilitarne, które stały się zalążkiem przyszłych kadr Legionów Polskich. W 1913 r. utworzono Komisję Tymczasową Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych (KTSSN), której zadaniem była koordynacja działań ugrupowań politycznych zorientowanych na niepodległość. PPSD była jedną z partii tworzących KTSSN, a jej przedstawicielem w Komisji został Ignacy Daszyński.

Jędrzej Moraczewski z żoną popierał rozwijający się z Galicji ruch paramilitarny, szukając dlań zwolenników również na prowincji galicyjskiej. Z ich inicjatywy zbierano składki „od różnych sympatyków idei niepodległości” i tłumaczono broszury mające służyć jako podręcznik ćwiczeniowy dla członków Związku Strzeleckiego<sup>15</sup>. Dodatkowo szwalnia robotnicza w Stryju szyła mundury dla członków Związku Strzeleckiego, a przedstawiciele lokalnej społeczności uczestniczyli w ćwiczeniach organizowanych przez Związek<sup>16</sup>. Jak pisał Tomasz Nałęcz, Moraczewski, jako poseł do parlamentu wiedeńskiego, coraz bardziej rozpoznawalny w owym czasie polityk, był bezcennym sojusznikiem dla Józefa Piłsudskiego<sup>17</sup>, przede wszystkim ze względu na możliwość nawiązania kontaktów z wpływowymi przedstawicielami stronnictw galicyjskich, co w okresie oczekiwania na zbliżający się konflikt między mocarstwami<sup>18</sup> zyskiwało na znaczeniu. Chętniej rozmawiano bowiem z Moraczewskim, powiązany poprzez koligacje rodzinne z wieloma szanowanymi w Galicji rodzinami niż otoczonym aurą

<sup>15</sup> Biblioteka Narodowa w Warszawie (dalej BN), Archiwum Zofii i Jędrzeja Moraczewskich, Mor. 052, t. 1, *List Zofii Moraczewskiej do Heleny Kozickiej*, Stryj 22 V 1914 r., k. 177.

<sup>16</sup> Tamże, Stryj 31 V 1914 r., k. 179.

<sup>17</sup> T. Nałęcz, *Zapis dokonania i emocji pierwszych miesięcy odrodzonej Polski*, [w:] J. Moraczewski, *Przewrót w Polsce*, wstęp i oprac. T. Nałęcz, Warszawa 2015, s. 13.

<sup>18</sup> To narastające oczekiwanie na wybuch wojny przewijało się w korespondencji sióstr Zofii Moraczewskiej i Heleny Kozickiej już od 1912 r. Działaczka ze Stryja często pisała do siostry o swych obawach i przygotowaniach na wypadek wybuchu konfliktu zbrojnego (BN, Archiwum Zofii i Jędrzeja Moraczewskich, *List Zofii Moraczewskiej do Heleny Kozickiej*, Mor. 052, t. 1, Stryj 29 XI 1912 r., k. 139).



tajemniczości socjalistą i spiskowcem z Królestwa Polskiego. Tę wyjątkowo trudną, ale istotną rolę negocjatora i łącznika pomiędzy reprezentantami różnych środowisk politycznych i zwolennikami Piłsudskiego będzie odgrywał Moraczewski przez cały okres I wojny światowej, stojąc zawsze, co należy wyraźnie podkreślić, na stanowisku reprezentowanym przez Komendanta. Warto w tym miejscu przypomnieć, że Jędrzej Moraczewski był synem radcy w Namiestnictwie Macieja, cenionego architekta, członka Towarzystwa Politechnicznego, uczestnika powstania styczniowego, znanego przedstawiciela inteligencji lwowskiej. Dodatkowo jednym z jego szwagrów był profesor Uniwersytetu Lwowskiego, filolog klasyczny, Bronisław Kruczkiewicz<sup>19</sup>. Jego ciotka Helena z Moraczewskich była żoną szefa Miejskiego Urzędu Budowlanego we Lwowie, Juliusza Hochbergera<sup>20</sup>, z kolei Edward Brudzewski<sup>21</sup> ożenił się z Zofią z Moraczewskich (siostrą Macieja). Ich syn Karol<sup>22</sup> był znanym okulistą i rzeźbiarzem amatorem, przyjacielem Stanisława Wyspiańskiego. Teść Jędrzeja Moraczewskiego, wspomniany już Roman Gostkowski, był rektorem Politechniki Lwowskiej, wieloletnim prezesem Towarzystwa Politechnicznego, szanowanym obywatelem Lwowa. Z kolei rodzina teściowej Wandy z Dylewskich była spowinowacana z Florianem Ziemiałkowskim<sup>23</sup>, politykiem, pierwszym prezydentem Lwowa po uzyskaniu przez Galicję autonomii. Wuj Zofii Moraczewskiej – Antoni Dylewski<sup>24</sup> służył w stopniu generała w armii austro-węgierskiej. Środowisko, w którym dorastał, uczył się i bywał też nie pozostało bez znaczenia – wśród znajomych, współpracowników i sąsiadów Moraczewskiego znaleźli się późniejsi generałowie, posłowie i politycy, należący do

<sup>19</sup> Franciszka Kruczkiewicz (1867–1945) była żoną Bronisława (1849–1918), profesora filologii klasycznej Uniwersytetu Lwowskiego, posła na Sejm Krajowy Galicyjski (J. Skowrońska, *Kruczkiewicz Bronisław*, [w:] *Polski Słownik Biograficzny* (dalej PSB), t. XV, Wrocław i in. 1970, s. 382–383).

<sup>20</sup> O. Zagórowski, *Hochberger Juliusz*, [w:] PSB, t. IX, Wrocław i in. 1960–1961, s. 554–555.

<sup>21</sup> Edward Brudzewski (1838–1908) – ziemianin, uczestnik powstania styczniowego, właściciel majątku Korabniki (S. Wasylewski, *Brudzewski Edward*, [w:] PSB, t. III, Kraków 1937, s. 5).

<sup>22</sup> Zob. E. Artwiński, *Ś. p. Karol Nałęcz-Brudzewski (1868–1935)*, „Polska Gazeta Lekarska” 1937, R. XVI, nr 10, s. 1–9.

<sup>23</sup> Florian Ziemiałkowski (1817–1900) – prawnik i polityk, poseł do Sejmu Krajowego i austriackiej Rady Państwa, działacz niepodległościowy w okresie Wiosny Ludów, przywódca lwowskich demokratów, pierwszy prezydent Lwowa w dobie autonomicznej w latach 1871–1873, minister do spraw Galicji w rządzie austro-węgierskim (1873–1888). Szerzej: Z. Fras, *Florian Ziemiałkowski 1817–1900. Biografia polityczna*, Wrocław 1991.

<sup>24</sup> Antoni Dylewski (1837–1901) – generał major, od 1897 r. na emeryturze, tytularny feldmarszałek porucznik. J. Rydel, *W służbie cesarza i króla. Generałowie i admirałowie narodowości polskiej w siłach zbrojnych Austro-Węgier w latach 1868–1918*, Kraków 2001, s. 193–194.

elity działaczy na scenie politycznej Polski międzywojennej. Właśnie takiego człowieka, znanego na arenie politycznej pośła, z szerokimi kontaktami i ugruntowaną pozycją w galicyjskim życiu publicznym potrzebował w owym czasie Józef Piłsudski.

Już w pierwszych dniach sierpnia 1914 r. Moraczewski przybył do Krakowa, dołączając do oddziałów strzeleckich. Początkowo miał pozostać w Krakowie, jako zastępca Józefa Piłsudskiego w KSSN, jednak już 7 sierpnia wyruszył do Królestwa Polskiego wraz z oddziałem Mieczysława Trojanowskiego. Razem z Zygmuntem Klemensiewiczem, posłem socjalistycznym i legionistą, został skierowany do zorganizowania taborów i kolumny amunicyjnej. W Legionach Polskich pozostawał do stycznia 1915 r., pełniąc służbę w intendenturze. Następnie został delegowany do prac w strukturach Departamentu Organizacyjnego Naczelnego Komitetu Narodowego (NKN). Jak wiadomo, była to organizacja stanowiąca reprezentację polskich stronnictw politycznych, powołana w momencie, gdy nie sprawdziły się plany Piłsudskiego związane z wywołaniem powstania na ziemiach Królestwa Polskiego, a istnienie odrębnej polskiej formacji zbrojnej na terenie objętym działaniami armii austro-węgierskiej było zagrożone<sup>25</sup>. NKN stał się nadbudową polityczną utworzonych 16 sierpnia 1914 r. Legionów Polskich. Komitet szybko rozbudowywał swe struktury, zajmując się m.in. organizacją werbunku do Legionów i pomocą dla pełniących służbę wojskową, działalnością polityczną na rzecz wsparcia rozwiązania austro-polskiego czy działalnością wydawniczą.

Moraczewski został członkiem Delegacji NKN do Królestwa Polskiego (utworzonej pod egidą Departamentu Organizacyjnego NKN), z inspiracji i przy poparciu Józefa Piłsudskiego. Jej celem, uogólniając, miała być konsolidacja społeczeństwa w Królestwie Polskim i stworzenie jednolitego frontu politycznego popierającego rozwiązanie austro-polskie. Działalność delegatów nie przynosiła jednak wymiernych efektów, w związku z tym, na wniosek Moraczewskiego, została rozwiązana w październiku 1915 r.

Podczas pobytu w Królestwie Moraczewski nawiązywał rozmowy z przedstawicielami różnych środowisk politycznych, także z tymi, które były nastawione antyniemiecko, np. z członkami prorosyjskiej Narodowej Demokracji. Organizował odczyty i zebrania polityczne, podejmował próby konsolidacji środowisk niepodległościowych. Jednocześnie działał w środowisku socjalistów polskich, m.in. w Zagłębiu Dąbrowskim i w Łodzi. W tym

---

<sup>25</sup> O przyczynach powołania NKN i celach jego działalności zob. M. Drozdowski, *Naczelnny Komitet Narodowy (1914–1918). Polityczne i organizacyjne zaplecze Legionów Polskich*, Kraków 2017, s. 85–138.

okresie stanął na stanowisku reprezentowanym przez Józefa Piłsudskiego, zakładającym prawo Polaków z Królestwa do samodzielności i niezależności politycznej oraz ograniczenia działalności agend NKN do ziem zaboru austriackiego. Z tego powodu nie mógł skutecznie realizować celów programowych galicyjskiego komitetu, tym bardziej, że od maja 1915 r. opowiadał się przeciw akcji werbunkowej na terenie Królestwa Polskiego<sup>26</sup>.

Po likwidacji Delegacji Moraczewski powrócił do I Brygady Legionów. Został delegowany do służby w sztabie, przebywającym na początku 1916 r. w Karasinie, gdzie objął stanowisko oficera broni i amunicji oraz funkcję referenta technicznego. W styczniu 1916 r. na rozkaz Włodzimierza Zagórskiego, wówczas dowódcy Legionów, Jędrzej Moraczewski został wydalony z Legionów Polskich. Zarzucano mu, że podczas pełnienia obowiązków delegata NKN do Królestwa prowadził agitację antywerbunkową i działalność na szkodę Komendy Legionów. Na rozkaz Piłsudskiego porucznik Moraczewski pozostał jednak w I Brygadzie. Postępowanie wyjaśniające w jego sprawie trwało do sierpnia 1916 r. Wówczas został oczyszczony z zarzutów i przywrócony do służby czynnej. W tym czasie jednak konflikt Komendy Legionów z Piłsudskim doprowadził do złożenia przez niego dymisji. W ślad za nim o zwolnienie ze służby lub przeniesienie do c. k. armii wystąpiło wielu oficerów, także Jędrzej Moraczewski. Była to oczywista manifestacja poparcia dla Komendanta. Dowództwo Legionów nie wyraziło zgody na przeniesienie, a porucznik Moraczewski został, w listopadzie 1916 r., oddelegowany do służby w kompanii saperów w Modlinie.

Jednocześnie Moraczewski kontynuował działalność jako poseł i polityk PPSD. Na tej płaszczyźnie również realizował założenia polityki Józefa Piłsudskiego, a przede wszystkim informował go o rozgrywkach politycznych w parlamencie wiedeńskim. W ramach klubu poselskiego polskich socjalistów, wraz z innymi posłami-legionistami ostro wystąpił przeciw decyzji o wstąpieniu do Koła Polskiego (dotąd zwalczanego przez PPSD) reprezentacji polskich posłów w Radzie Państwa monarchii, tłumacząc swój krok względami ideowymi.

25 maja 1917 r. Moraczewski został zwolniony ze służby wojskowej. Zarzucano mu działalność skierowaną przeciwko państwu centralnym i prowadzenie działalności politycznej w Królestwie. Bezpośrednim powodem zwolnienia była organizacja tajnego zjazdu oficerów legionowych w Ostrołęce w maju 1917 r., którego celem miało być wystosowanie rezolucji

---

<sup>26</sup> I. Florczak, *Jędrzej Moraczewski...*, s. 202–203. O polityce Józefa Piłsudskiego por. M. Drodowski, *Naczelny Komitet Narodowy...*, s. 235.

do Rady Stanu protestującej przeciw wprowadzaniu do Polskiego Korpusu Posiłkowego<sup>27</sup> niemieckich oficerów<sup>28</sup>.

Po aresztowaniu Piłsudskiego Moraczewski znalazł się w kierownictwie obozu niepodległościowego. Stał na czele Konwentu Organizacji „A” – zakonspirowanego ośrodka decyzyjnego niepodległościowców, a także kierował pionem politycznym Polskiej Organizacji Wojskowej (POW). W zastępstwie Komendanta konferował z przedstawicielami stronnictw politycznych, starając się stworzyć jak najszerszy front poparcia dla idei niepodległości. Z przekonania socjalista nie wahał się nawiązać zakulisowych rozmów z członkami Narodowej Demokracji w celu urzeczywistnienia planów uwiezionego w Magdeburgu Piłsudskiego. Działalność ta doprowadziła do nieporozumień wewnątrz kierownictwa PPSD, nie do końca popierającego aktywność Moraczewskiego na tym polu. Polityk podejmował bowiem próby porozumienia się nie tylko z działaczami endecji, lecz także utworzonym przez nich Komitetem Narodowym Polskim w Paryżu, a nawet bezpośrednio z państwami ententy<sup>29</sup>. Starania Moraczewskiego nie przyniosły co prawda wymiernych efektów, ale ukazały polityka socjalistycznego jako człowieka gotowego do rozmów i skłonnego do kompromisów, co okazało się niezwykle istotne w negocjacjach zmierzających do utworzenia pierwszego rządu polskiego w odrodzonej ojczyźnie.

## NA CZELE RZĄDU

**N**a przełomie października i listopada 1918 r. władza zaborców na ziemiach polskich przestawała istnieć. Wobec widocznego rozpadu Austro-Węgier politycy polscy podjęli kroki zmierzające do przejścia władzy administracyjnej w Galicji. W tym celu już 28 października powstała w Krakowie, pod przewodnictwem Wincentego Witosa, Polska Komisja Likwidacyjna (PKL). W jej skład weszli przedstawiciele polskich ugrupowań politycznych zaboru austriackiego, również socjaliści.

<sup>27</sup> Taką nazwę otrzymały Legiony Polskie na mocy dekretu cesarza austriackiego we wrześniu 1916 r. Warto dodać, że 10 kwietnia 1917 r. polskie oddziały zostały przekazane pod komendę warszawskiego generał-gubernatora H. H. Beselera, a nie – jak oczekiwano – Tymczasowej Rady Stanu. Wywołało to niezadowolenie wśród Polaków i zniweczyło nadzieje Piłsudskiego na utworzenie samodzielnej polskiej siły zbrojnej.

<sup>28</sup> Szerzej: J. Gołota, *Tajny zjazd oficerów legionowych w Ostrołęce w 1917 r.*, „Zeszyty Naukowe Ostrołęckiego Towarzystwa Naukowego” 1989, z. 3, s. 26–32.

<sup>29</sup> Mowa tu o misji Tadeusza Hołównki do Rosji, wiosną 1918 r., której celem miało być nawiązanie współpracy z państwami Ententy.

Delegatem PPSD do Wydziału Apropowizacji PKL został Moraczewski, który wraz z innymi działaczami Komisji zorganizował akcję zapobieżenia wywozowi żywności z Galicji.

Z 6 na 7 listopada 1918 r. powstał w Lublinie z inicjatywy partii lewicowych Tymczasowy Rząd Ludowy Republiki Polskiej na czele z Ignacym Daszyńskim, w którym Moraczewski miał objąć tekę ministra komunikacji. Jednak polityk PPSD nie przybył do Lublina i nie objął resortu, tłumacząc się chorobą<sup>30</sup>. Rząd lubelski proklamował co prawda powstanie Republiki Polskiej oraz zapowiedział wprowadzenie reform społecznych i zwołanie Konstytuanty, ale faktycznie nie zdążył podjąć szerszej działalności, gdyż już 10 listopada do Warszawy przybył Józef Piłsudski. Powrót Komendanta radykalnie zmieniał sytuację na polskiej scenie politycznej. Wokół niego zaczęła tworzyć się centralny ośrodek władzy na ziemiach polskich. Otrzymawszy pełnię władzy wojskowej i politycznej od ustępującej Rady Regencyjnej, Piłsudski przystąpił do tworzenia rządu ogólnopolskiego. Negocjacje okazały się trudne, a prawica odmówiła poparcia desygnowanemu na premiera Ignacemu Daszyńskiemu, który wobec braku porozumienia zrezygnował z misji tworzenia rządu koalicyjnego<sup>31</sup>.

Premierem pierwszego rządu odradzającego się państwa został Jędrzej Moraczewski, którego kandydaturę, w miejsce Daszyńskiego, według relacji Piłsudskiego, miał wysunąć przedstawiciel endecji, Zbigniew Paderewski<sup>32</sup>. Za współpracownikiem partyjnym opowiedział się również sam przywódca PPSD. Oficjalny akt nominacji podpisano 18 listopada.

Obejmując urząd prezydenta Rady Ministrów, Moraczewski zdawał sobie sprawę z tymczasowości utworzonego pod jego przewodnictwem gabinetu, tym bardziej, że przedstawiciele prawicy, mimo wcześniejszych deklaracji, nie weszli w jego skład. Rząd nie okazał się, wbrew oczekiwaniom i wysiłkom Piłsudskiego, rządem konsolidacji narodowej. Znaleźli się w nim przedstawiciele socjalistów i ludowców, głównie z Polskiego Stronnictwa Ludowego „Wyzwolenie”<sup>33</sup>. Większość członków gabinetu była związana w czasie

<sup>30</sup> W historiografii istnieją różne hipotezy dotyczące nieobecności Moraczewskiego w Lublinie. Z jednej strony podnoszono, że polityk rzeczywiście był chory, z drugiej zaś – doszukiwano się braku poparcia dla podjętej przez działaczy lewicowych inicjatywy. Można również przypuszczać, że w Krakowie zatrzymały Moraczewskiego inne, równie ważne obowiązki. Zob. I. Florczak, *Jędrzej Moraczewski...*, s. 281–282.

<sup>31</sup> W. Najdus, *Ignacy Daszyński 1866–1936*, Warszawa 1988, s. 392.

<sup>32</sup> I. Florczak, *Jędrzej Moraczewski...*, s. 289.

<sup>33</sup> Oprócz wyżej wymienionych w rządzie znaleźli się przedstawiciele Polskiej Partii Socjalistycznej, PSL-Lewicy, Stronnictwa Niezawisłości Narodowej, Zjednoczenia Ludowego, Zjednoczenia Demokratycznego i 5 działaczy bezpartyjnych. W skład rządu weszli również członkowie PSL „Piasta”, Wincenty Witos i Andrzej Kędzior, jednak po fiasku negocjacji w sprawie rekonstrukcji gabinetu wystąpili z rządu 29 grudnia 1918 r.

wojny z Konwentem Organizacji „A”. Byli to więc ludzie oddani w pełni Piłsudskiemu, który mógł liczyć na ich dyspozycyjność i lojalność, co w chaotycznym okresie tworzenia się władz państwowych wydawało się mieć duże znaczenie.

Gabinet Moraczewskiego rozpoczął funkcjonowanie w bardzo trudnych warunkach. Kraj był osłabiony i zniszczony wojną, na ziemiach polskich nadal stacjonowały niemieckie oddziały wojskowe. Ich wycofanie było dla rządu jednym z priorytetowych misji. Podjęto też działania zmierzające do przywrócenia produkcji przez zakłady przemysłowe. Do najważniejszych zadań gabinetu należało jednak, jak wiadomo, tworzenie struktur państwowych, zorganizowanie wyborów do parlamentu oraz zaprowadzenie względnego porządku na kontrolowanym przez państwo polskie terytorium. Już 22 listopada 1918 r. rząd ogłosił dekret o najwyższej władzy reprezentacyjnej Republiki Polskiej, regulujący organizację i kompetencje tymczasowych organów władzy państwowej do momentu zwołania reprezentacji narodowej w postaci Sejmu Ustawodawczego. Ustanowiono wówczas urząd Tymczasowego Naczelnika Państwa, który objął Józef Piłsudski. Z kolei 28 listopada, dekretem Tymczasowego Naczelnika Państwa, wprowadzono ordynację wyborczą, przyznającą prawo do głosowania wszystkim obywatelom po ukończeniu 21 roku życia, w tym także kobietom, wyznaczając jednocześnie termin wyborów do Sejmu na dzień 26 stycznia 1919 r. Nie czekając na decyzję Konstytuanty, wprowadzono cząstkowe reformy społeczne mające na celu poprawę położenia robotników, a także uspokojenie radykalizowanych nastrojów wśród społeczeństwa polskiego w trudnym dla odradzającego się państwa momencie. Wydano wówczas dekrety ustalające ośmiogodzinny dzień pracy i czterdziestoseściogodzinny tydzień pracy oraz określające poziom płac minimalnych (dekret z 23 listopada 1918 r.), obowiązkowe ubezpieczenia na wypadek choroby lub bezrobocia. Uchwalono przepisy o ochronie prawnej lokatorów i powstaniu państwowych biur pośrednictwa pracy<sup>34</sup>. Wyżej wymienione dekrety stanowiły jedne z najważniejszych osiągnięć pierwszego gabinetu niepodległej Polski.

---

<sup>34</sup> J. Goclon, *Rząd Jędrzeja Moraczewskiego 17 XI 1918–16 I 1919 r. (struktura, funkcjonowanie, dekrety)*, „Przegląd Nauk Historycznych”, 2009, R. VIII, nr 2, s. 108–109. Temat pierwszego po odzyskaniu niepodległości rządu polskiego cieszył się sporym zainteresowaniem historyków. Działalność gabinetu, szczególnie w ostatnich latach, jest z reguły oceniana pozytywnie. Por.: A. Ajnenkiel, *Od rządów ludowych do przewrotu majowego*, Warszawa 1968; W. Suleja, *Jędrzej Edward Moraczewski, premier Republiki Polskiej 18 XI 1918–16 I 1919*, [w:] *Prezydenci i premierzy Drugiej Rzeczypospolitej*, red. A. Chojnowski, P. Wróbel, Wrocław 1992, s. 88–99; J. Goclon, *Rząd Jędrzeja Moraczewskiego...*, s. 99–138; A. A. Urbanowicz, *Gabinet Jędrzeja Moraczewskiego, 17 XI 1918–16 I 1919*, [w:] *Od Moraczewskiego do Składkowskiego. Gabinety Odrodzonej 1918–1939*, red. J. Faryś, A. Wątor, H. Walczak, Szczecin 2011, s. 13–27.

Dnia 16 stycznia 1919 r., po dziesięciu tygodniach intensywnej pracy, rząd Moraczewskiego podał się do dymisji. Bezpośrednim powodem rezygnacji był zorganizowany przez zwolenników prawicy zamach na członków lewicowego gabinetu w nocy z 4 na 5 stycznia 1919 r., zakończony fiaskiem, mimo aresztowania premiera i dwóch ministrów. Wydarzenia te jednak dały Piłsudskiemu pretekst do odwołania, nieakceptowanego na arenie międzynarodowej i niepopularnego w kraju, jednostronnego, lewicowego gabinetu i powołania rządu na czele z Ignacym Paderewskim. Warto wspomnieć, że dwa dni po desygnowaniu znanego artysty na premiera rządu, rozpoczęła się w Paryżu konferencja pokojowa, mająca m.in. decydować o przyszłych losach i granicach odrodzonego państwa polskiego.

## NA SCENIE POLITYCZNEJ W II RZECZYPOSPOLITEJ

**W**niepodległej Polsce były premier należał do czołowych przedstawicieli elity politycznej. Reprezentował on środowisko polityków galicyjskich, byłych posłów parlamentu wiedeńskiego. Niewątpliwie doświadczenie polityczne i parlamentarne zdobyte w ramach systemu przedstawicielskiego monarchii habsburskiej okazało się niezwykle cenne w realiach odradzającego się parlamentaryzmu polskiego. W Sejmie Ustawodawczym znalazł się z tytułu sprawowanego w parlamencie wiedeńskim mandatu poselskiego. Został wiceprzewodniczącym klubu poselskiego Związku Parlamentarnego Polskich Socjalistów (ZPPS), a także wicemarszałkiem Sejmu. Należał też do naczelnych organów zjednoczonej Polskiej Partii Socjalistycznej, m.in. do Rady Naczelnej i Centralnego Komitetu Wykonawczego<sup>35</sup>. W Sejmie pracował w Komisji Wojskowej i Skarbowo-Budżetowej. Zaangażował się w działalność spółdzielczą i związkową. Był honorowym prezesem Związku Zawodowego Kolejarzy.

W 1920 r. Moraczewscy wraz z dziećmi przeprowadzili się do Sulejówka, gdzie kupili, za pieniądze ze spadku po rodzicach Zofii, dom „Siedzibę”. Przeprowadzka z Krakowa, gdzie rodzina mieszkała od czasów I wojny światowej była konieczna – zarówno Moraczewski, jak i jego żona sprawowali mandat poselski i byli zaangażowani w życie parlamentarne i polityczne w stolicy. Sulejówek, wówczas niewielka miejscowość wypoczynkowa, był dobrze skomunikowany z Warszawą, poza tym nieruchomości pod miastem

<sup>35</sup> W dniach 27–28 kwietnia 1919 r. w sali Rady Miejskiej w Krakowie odbył się Kongres Zjednoczeniowy PPS zaboru rosyjskiego i PPSD. W Radzie Naczelnej Moraczewski zasiadał do 1926 r., zaś w Centralnym Komitecie Wykonawczym od 1919 do 1923 r. J. Gołota, *Jędrzej Moraczewski. Pierwszy premier II Rzeczypospolitej*, Ostrołęka 2002, s. 178.

była tańsza, co nie było dla małżonków bez znaczenia. Warto dodać, że niedługo później w bezpośrednim sąsiedztwie zamieszkał Józef Piłsudski z żoną i córkami, co dodatkowo wzmocniło więzi między rodzinami. Moraczewski pozostawał bliskim współpracownikiem Komendanta także w czasie, gdy Piłsudski wycofał się z czynnego udziału w życiu politycznym, informując go o najważniejszych rozgrywkach i rozsadach w parlamencie polskim. Był nadal jedną z głównych postaci w obozie zwolenników byłego Naczelnika Państwa, często przedkładając interesy piłsudczyków ponad potrzeby własnego klubu partyjnego.

Latem 1920 r., podczas wojny polsko-bolszewickiej, Moraczewski wstąpił do wojska jako ochotnik. Został skierowany do jednostki saperów do Modlina. Służył na froncie w randze kapitana saperów. Brał udział w obronie przepraw przez Wisłę na północ od Warszawy, za co został odznaczony Krzyżem Walecznych i orderem *Virtuti Militari* V klasy<sup>36</sup>.

W 1922 r. został wybrany posłem do parlamentu I kadencji z okręgu wyborczego Stryj-Kałuż-Drohobycz. Ponownie pełnił funkcję wiceprzewodniczącego klubu poselskiego i wicemarszałka Sejmu. Kontynuował rozpoczęte w czasie obrad Konstytuanty prace w Komisji Skarbowo-Budżetowej, był członkiem Komisji Komunikacyjnej, a od 1925 r. także przewodniczącym Komisji Reform Rolnych.

Trudna sytuacja polityczna doprowadziła w listopadzie 1925 r. do dymisji rządu Władysława Grabskiego. W wyniku porozumienia klubów parlamentarnych powołano nowy rząd pod przewodnictwem Aleksandra Skrzyńskiego, w którym Moraczewski otrzymał tekę ministra robót publicznych, będąc wraz z Norbertem Barlickim reprezentantem klubu socjalistycznego, jednak już w lutym 1926 r. podał się do dymisji. Przyczyną odejścia z rządu był brak porozumienia w sprawie powrotu na scenę polityczną Józefa Piłsudskiego, do którego próbował doprowadzić polityk socjalistyczny i zrealizować tym samym żądania piłsudczyków. Decyzję swą podjął wbrew stanowisku władz partyjnych, które, wchodząc w skład koalicji tworzącej rząd, zobowiązały się do niepodejmowania tematu powrotu Piłsudskiego do władzy<sup>37</sup>.

Moraczewski brał czynny udział w przygotowaniu przewrotu majowego. W dniach 12–13 maja zorganizował strajk kolejarzy, który uniemożliwił wojskom rządowym dotarcie do Warszawy. Od tego momentu kariera polityczna Moraczewskiego była ściśle związana z osobą Piłsudskiego. Poparcie polityki Komendanta było sprzeczne ze stanowiskiem PPS, pozostającą

---

<sup>36</sup> Tamże, s. 199–201. Warto dodać, że w wojnie polsko-bolszewickiej zginął syn Moraczewskich – Kazimierz.

<sup>37</sup> Tamże, s. 253–258.



w opozycji do rządów pomajowych. Na początku października 1926 r., ponownie wbrew stanowisku socjalistycznego klubu poselskiego, Moraczewski przyjął tekę ministra robót publicznych w rządzie Józefa Piłsudskiego. Konsekwencją tej decyzji było żądanie władz klubu PPS, zmierzające do złożenia mandatu przez Moraczewskiego i zawieszenie go w prawach członka partii<sup>38</sup>. W styczniu 1927 r. polityk złożył mandat poselski<sup>39</sup>. Jesienią tego roku ostatecznie, decyzją Centralnego Sądu Partyjnego PPS, został usunięty z partii. Pozostał jednak socjalistą, mimo że poparł autorytarne rządy pomajowe, widząc w nich sposób na wyprowadzenie państwa z kryzysu. Wraz z innymi piłsudczykami, którzy opuścili szeregi PPS, założył, w październiku 1928 r., Polską Partię Socjalistyczną dawną Frakcję Rewolucyjną, stojącą na stanowisku prostanacyjnym. Jej wpływy były jednak ograniczone i w wyborach w 1930 r. partia poniosła klęskę, nie wprowadzając do Sejmu żadnego posła.

Funkcję ministra robót publicznych sprawował Moraczewski w dwóch kolejnych rządach sanacyjnych – w czwartym rządzie Kazimierza Bartla (od 28 czerwca 1928 do 13 kwietnia 1929 r.) i w gabinecie Kazimierza Świątalskiego (od 14 kwietnia do września 1929 r.)<sup>40</sup>.

Moraczewski nie kandydował w wyborach w 1928 r. Wraz z żoną, która po przewrocie majowym powróciła do czynnego życia politycznego, popierała Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem (BBWR), organizację utworzoną przed wyborami parlamentarnymi i zrzeszającą stowarzyszenia i związki wspierające rządy sanacyjne. Warto dodać, że Zofia Moraczewska stała na czele prorządowego Związku Pracy Obywatelskiej Kobiet (ZPOK), który również znalazł się w strukturach BBWR<sup>41</sup>. W kampanii wyborczej małżonkowie poparli kandydatów Bloku, nawołując do wspólnej pracy dla dobra państwa, choć nie byli przekonani o trwałości BBWR<sup>42</sup>. Moraczewski nie zgłosił swej kandydatury również w wyborach 1930 r. Jego żona została natomiast posłanką do Sejmu z listy BBWR, jednak coraz częściej nie zgadzała się z linią polityczną obozu rządzącego, dzielając tym samym krytyczne stanowisko męża. Konflikt posłanki z Walerym

<sup>38</sup> Bezpośrednią przyczyną podjęcia przez partię takiej decyzji było podpisanie przez Moraczewskiego, jako ministra, dekretu prasowego ograniczającego wolność prasy. Zob. A. Tymieniecka, *Jędrzej Edward Moraczewski (szkic biografii politycznej)*, „Z Pola Walki” 1968, nr 3, s. 152–153.

<sup>39</sup> Tamże, s. 155. Z partii wystąpiła, na znak solidarności z mężem, Zofia Moraczewska.

<sup>40</sup> J. Gołota, *Jędrzej Moraczewski...*, s. 273–283.

<sup>41</sup> I. Florczak, *Zofia Moraczewska...*, s. 137. O ZPOK zob. J. Dufurat, *W służbie obozu marszałka...*

<sup>42</sup> J. Dufurat, P. Cichoracki, *Wstęp*, [w:] J. Moraczewski, *Dziennik wydarzeń 1939–1944*, oprac. J. Dufurat, P. Cichoracki, Łomianki 2016, s. 15.

Sławkiem doprowadził w konsekwencji do rozbitcia ZPOK i usunięcia Moraczewskiej z funkcji prezeski Związku<sup>43</sup>.

W okresie po wycofaniu się z życia politycznego były premier poświęcił się działalności związkowej i publicystycznej. Z inspiracji Walerego Sławka, który chciał pozyskać poparcie robotników dla obozu rządzącego, w 1930 r. polityk stanął na czele Centralnego Zrzeszenia Klasowych Związków Zawodowych (CZKZZ). Już w maju następnego roku doprowadził do powstania Związku Związków Zawodowych (ZZZ), stowarzyszenia skupiającego pro-sanacyjne organizacje związkowe i zawodowe, w tym również kierowany przez niego CZKZZ. Został wybrany prezesem nowej organizacji. Na czele Centralnego Wydziału Zawodowego ZZZ pozostał do 1939 r.<sup>44</sup> Na politycznej „emeryturze” zajął się, na szerszą niż dotąd skalę, publicystyką. Jego teksty pojawiały się najczęściej we „Froncie Robotniczym”, organie prasowym ZZZ, reaktywowanym w 1928 r. „Przedświcie” oraz „Młocie i Pługu”, gazecie wydawanej przez CZKZZ. Coraz częściej jednak nie zgadzał się z polityką rządzących elit politycznych, m.in. w sprawie tzw. ustaw antyrobotniczych dotyczących zmiany prawa dotyczącego czasu pracy i urlopów robotniczych, a także ubezpieczeń społecznych<sup>45</sup>. Od 1935 r. pozostawał na uboczu sceny politycznej. Krytycznie wypowiadał się na temat obozu sanacyjnego po śmierci Józefa Piłsudskiego. Jego negatywny stosunek do rządów „pułkowników” wpłynął m.in. na fakt, że po utworzeniu w 1937 r. Obozu Zjednoczenia Narodowego (OZN), kierowany przez Moraczewskiego ZZZ nie znalazł się w jego strukturach<sup>46</sup>.

## W CZASIE OKUPACJI

W chwili wybuchu II wojny światowej Moraczewscy przebywali w Sulejówku. Mimo podeszłego wieku i złego stanu zdrowia nadal angażowali się w działalność lokalnej społeczności, m.in. prowadząc Komitet Obywatelski Ofiar Wojny czy zakładając w czerwcu 1940 r. Spółdzielnię Spożywców „Praca”. Borykali się również z problemami życia codziennego, obawą o losy dwojga dzieci i pozostałej rodziny oraz kłopotami ze zdobyciem żywności. W listopadzie 1941 r., bojąc się aresztowania, Moraczewscy ukrywali się w Warszawie u Antoniego Kruczkiewicza (1897–1944), syna siostry polityka, Franciszki, następnie u Wandy

<sup>43</sup> I. Florczak, *Zofia Moraczewska...*, s. 139.

<sup>44</sup> L. Malinowski, *Druga Rzeczpospolita: ludzie władzy i polityki*, Warszawa 1995, s. 157.

<sup>45</sup> I. Florczak, *Zofia Moraczewska...*, s. 138.

<sup>46</sup> J. Gołota, *Jędrzej Moraczewski...*, s. 412.

Drzewieckiej, przyjaciółki Zofii<sup>47</sup>. Po powrocie do Sulejówka, ze względu na zajęcie „Siedziby” przez okupantów, zamieszkali w drewnianej oficynie dawnego dworku Józefa Piłsudskiego, gdzie pozostali do momentu wycofania się Niemców z Sulejówka. W okresie okupacji Moraczewski nie prowadził działalności politycznej, choć, jak można wywnioskować z lektury wojennego diariusza, utrzymywał kontakty z polskim podziemiem. Miał jednak świadomość, że jako znany polityk z okresu II Rzeczypospolitej był bacznie obserwowany przez Niemców. W obawie o bezpieczeństwo rodziny i własne, a także ze względu na zły stan zdrowia nie angażował się czynnie w walkę z okupantem.

Chwilowe zapomnienie o troskach o los członków najbliższej rodziny – syna Adama<sup>48</sup>, córki Wandy<sup>49</sup> oraz wnuczek Hanny i Krystyny – przynosiło Jędrzejowi Moraczewskiemu pisanie wspomnień i porządkowanie rodzinnych zbiorów archiwalnych i bibliotecznych. Dodatkowo od 5 grudnia 1939 r. do 1 sierpnia 1944 r. prowadził wspomniany wyżej diariusz<sup>50</sup>.

Jędrzej Moraczewski zginął 5 sierpnia 1944 r. podczas walk niemiecko-radzieckich. Został trafiony przypadkowym odłamkiem pocisku artyleryjskiego, który wpadł przez okno pokoju. Został pochowany w prowizorycznym grobie w ogrodzie, naprzeciwko domu Józefa Piłsudskiego. Staraniem Zofii Moraczewskiej, 21 listopada 1948 r., zwłoki jej męża przeniesiono na Cmentarz Wojskowy (obecnie Komunalny) w Warszawie na Powązkach.

---

<sup>47</sup> J. Dufurat, P. Cichoracki, *Wstęp...*, s. 17.

<sup>48</sup> Podczas mobilizacji pod koniec sierpnia 1939 r. Adam Moraczewski został przydzielony do 1. pułku piechoty Legionów, który był częścią 1. Dywizji Piechoty Legionów, która z kolei weszła w skład Grupy Operacyjnej „Wyszków” utworzonej 1 września. Wraz ze swym oddziałem wziął udział w kampanii wrześniowej. Na początku października powrócił do Warszawy. Zaangażował się wówczas w działalność w tajnej Służbie Zwycięstwu Polski, a po jej rozwiązaniu w Związku Walki Zbrojnej (ZWZ). Werbował członków do organizacji, ratował archiwalia polskie przed zniszczeniem lub przejęciem ich przez władze okupacyjne. Z ramienia ZWZ utrzymywał kontakt z placówkami polskimi na Węgrzech. Podczas jednej z wypraw do Budapesztu, w kwietniu 1949 r., został aresztowany przez policję słowacką i przekazany Niemcom. Początkowo przebywał w więzieniu w Tarnowie, jednak w czerwcu został przewieziony do obozu w Auschwitz, gdzie zmarł z wycieńczenia prawdopodobnie 19 listopada 1941 r. Warto dodać, że był więziony pod pseudonimem Adama Skorupskiego. I. Florczak, *Adam Moraczewski...*, s. 379–381.

<sup>49</sup> Wanda Moraczewska (1905–1942) przed wojną była nauczycielką w gimnazjum i liceum warszawskim. Podobnie jak starszy brat należała do ZWZ, pracując w sieci łączności. Brała udział w tajnym nauczaniu. W kwietniu 1942 r. została aresztowana i trafiła na Pawiak, skąd została przewieziona do Auschwitz. Zmarła na tyfus 1 grudnia 1942 r. *Słownik uczestników walki o niepodległość Polski 1939–1945. Poległe i zmarłe w okresie okupacji niemieckiej*, red. H. Michalska, M. Stopień, B. Tazbir-Tomaszewska i in., Warszawa 1988, s. 278–279.

<sup>50</sup> W 2016 r. dziennik, liczący ponad 1000 stron, został opracowany i wydany drukiem przez historyków wrocławskich Joannę Dufurat i Piotra Cichorackiego.

Spoczął on w grobie rodzinnym, gdzie symbolicznie zostały pochowane dzieci Moraczewskich, zmarłe w Auschwitz w okresie II wojny światowej.

Zofia Moraczewska ostatnie lata życia spędziła w Sulejówku, mieszkając w części dawnego domu<sup>51</sup> wraz z siostrą Heleną Kozicką, która zmarła w kwietniu 1950 r. W tym samym roku przechowywane w Sulejówku rodzinne zbiory archiwalne znalazły się w Archiwum Wydziału Historii Partii przy KC PZPR, a następnie, na początku lat 90. XX w., zostały przekazane do Archiwum Akt Nowych w Warszawie. Część rękopisów trafiła również do Biblioteki Narodowej i jest przechowywana w Dziale Zbiorów Specjalnych. Zofia Moraczewska zmarła 16 listopada 1958 r. Spoczęła obok męża na warszawskich Powązkach.

\* \* \*

**„Marzeniem ściętej głowy jest przypuszczenie, że ktoś, kiedyś potrafi obiektywnie napisać wspomnienia ze swego życia”<sup>52</sup>**

**W**spomnienia odtwarzane z pamięci, uzupełniane dostępnymi źródłami i informacjami od innych osób, mają zazwyczaj osobliwy, beletrystyczno-publicystyczny charakter. Stanowią swego rodzaju opowiadanie, z wartką narracją i fabularyzowanymi dialogami, rozbudowaną, barwną warstwą opisową i bogatym tłem historycznym. Są subiektywnym obrazem przeszłości nakreślonym przez Autora, od którego zdolności literackich zależy atrakcyjność przekazywanych treści. Przy pisaniu wspomnień pamiętnikarzowi towarzyszyła świadomość zawodności i ulotności własnej pamięci. Relację z lat młodości rozpoczął po wybuchu II wojny światowej, a ukończył we wrześniu 1942 r. Opisując zdarzenia z perspektywy wielu lat, Moraczewski nie uniknął pomyłek związanych z faktografią czy z osobami, o których pisał, ich nazwiskami czy imionami. Trudno też uwierzyć, że po upływie ponad 50 lat był w stanie zapamiętać dokładnie wszystkie opisywanie zdarzenia czy przebieg rozmów, które często przytaczał w tekście. Właśnie te elementy, stanowiące istotną część *Wspomnień*, nadają im fabularyzowany charakter. Niewątpliwie, jak już wspomniano wyżej, pamiętnikarz wykorzystywał własne materiały i notatki, dostępne mu źródła archiwalne (przede wszystkim gromadzone przez wiele lat archiwum rodzinne, uporządkowane w części przez syna, archiwistę), a także

<sup>51</sup> Większa część domu została przejęta przez władze państwowe na rzecz kwaterunku.

<sup>52</sup> Archiwum Akt Nowych (dalej AAN), Akta Zofii i Jędrzeja Moraczewskich (dalej AZiJM), J. Moraczewski, *Wspomnienia. Ludzie, czasy i zdarzenia*, cz. III, t. 1, k. 5.

wydawnictwa o charakterze wspomnieniowym i rocznicowym<sup>53</sup>. Uwzględnił też zapewne artykuły w dostępnych mu periodykach. Podobnie jak w przypadku relacji innych osób, opisujących swe losy „z pamięci”, narracja Moraczewskiego przypomina opowieść o życiu człowieka na tle mniej lub bardziej istotnych wydarzeń historycznych, których był świadkiem i uczestnikiem. Należy zaznaczyć, że wspomnienia były pisane z myślą o ich wydaniu zaraz po wojnie. Niewątpliwie miało to wpływ na ich kształt i zawartość.

Wspomnienia Jędrzeja Moraczewskiego z lat 1870–1907 jak dotąd nie zostały wydane w całości, choć były często wykorzystywane przez historyków<sup>54</sup>. Fragmenty pamiętników dotyczących lat 1900–1904 opublikował Władysław Mroczkowski w „Miesięczniku Literackim”<sup>55</sup>, jednak nie zostały one opatrzone komentarzem ani aparatem naukowym. Warto dodać, że spuścizna pamiętnikarska Moraczewskich, znajdująca się obecnie w Archiwum Akt Nowych i w Dziale Rękopisów Biblioteki Narodowej, jest spora. Członkowie rodziny, jak wspomniano wyżej, żyli w czasach przełomowych dla narodu polskiego. Byli nie tylko świadkami, lecz także uczestnikami ważnych dla Polaków momentów. Być może stąd wynikała potrzeba utrwalenia swych wspomnień i ukazania wydarzeń z własnej perspektywy. Nie można wykluczyć, że do zapisania wspomnień zachęcał rodziców syn Adam, który kontynuując rodzinne tradycje, był historykiem i archiwistą, a więc szczególnie doceniał potrzebę utrwalenia i zachowania świadectw z przeszłości. Kilka wersji wspomnień pozostawił sam Moraczewski<sup>56</sup>, jego

<sup>53</sup> Dla przykładu: *Pamiętnik tajnych organizacji na terenie byłej Galicji w latach od r. 1880–1897*, zebrał i ułożył W.M. Borzemski, Lwów 1930; W. M. Borzemski, *Ruch patriotyczny wśród młodzieży polskiej w Galicji (1886–1894)*, „Niepodległość” 1930, t. II; *Księga pamiątkowa Towarzystwa „Bratniej Pomocy” słuchaczy Politechniki we Lwowie*, Lwów 1930; *Album inżynierów i techników w Polsce*, t. I, cz. I–IV, Lwów 1932. Moraczewski pozostawił również wspomnienia z okresu działalności tajnych związków młodzieży w Galicji – AAN, AZiJM, J. Moraczewski, *Związki tajne w Galicji sprzed 40 lat*, sygn. 71/II–111). Na marginesie warto dodać, że biblioteka Moraczewskich w okresie międzywojennym liczyła ponad 8000 egzemplarzy. W dawnym domu Moraczewskich w Sulejówku zachowała się jedynie kartoteka z fiszkami obrazująca zasób księgozbioru rodzinnego.

<sup>54</sup> Stały się np. ważnym źródłem dla biografów J. Moraczewskiego. Warto dodać, że jak dotąd powstała jedna pełna biografia socjalistycznego polityka autorstwa Janusza Gołoty, wielokrotnie cytowana w tekście.

<sup>55</sup> J. Moraczewski, *Wspomnienia*, oprac. W. Mroczkowski, „Miesięcznik Literacki” 1983, nr 9–12.

<sup>56</sup> Część wspomnień Jędrzeja Moraczewskiego została opublikowana jeszcze w okresie międzywojennym. Wśród nich znalazły się relacje zarówno z okresu młodości (*Wspomnienia. Żałoba narodowa w roku 1893*, [w:] *Pamiętnik tajnych organizacji...*, s. 153–158), jak i z okresu tworzenia się struktur niepodległego państwa. Dla przykładu – *Przewrót w Polsce. I. Rządy Ludowe. Szkic wypadków z czasów wyzwolenia Polski do 16 stycznia*, napisał poseł E. K., Kraków 1919 (przedruk ze wstępem Tomasa Nałęcza, Warszawa 2015); *Relacja Jędrzeja Moraczew-*

żona Zofia<sup>57</sup>, syn Adam<sup>58</sup>, a także mieszkająca od 1933 r. wraz z Moraczewskimi, siostra Zofii, Helena Kozicka<sup>59</sup>. Warto dodać, że jednocześnie z pisanem wspomnień z młodości, Moraczewski na bieżąco prowadził dziennik, w którym szczegółowo opisywał wydarzenia dnia codziennego z okresu okupacji. Diariusz stanowi wartościowe i interesujące źródło obrazujące trudną, wojenną codzienność<sup>60</sup>.

Publikowane *Wspomnienia* Moraczewskiego zostały przez niego podzielone na dwie części, a te z kolei na tomy. Przy opracowywaniu tekstu podjęto decyzję o zachowaniu pierwotnego układu treści. Pierwsza część, obejmująca lata 1870–1907, dotyczy młodości i pracy inżynierskiej. Data końcowa, czyli rok 1907, wyznaczała nowy etap w życiu Autora – w tym roku został bowiem wybrany, jak wspomniano wyżej, na posła do parlamentu monarchii austro-węgierskiej z ramienia PPSD, a więc rozpoczął jawną działalność polityczną na terytorium Galicji. Wspomnienia z młodości podzielił na trzy tomy (pozostałe dwa w przygotowaniu). Prezentowany tom obejmuje lata 1870–1896, a urywa się w chwili, gdy Jędrzej Moraczewski zakończył rok jednorocznej służby wojskowej<sup>61</sup>. Trzecia część *Wspomnień*, licząca aż pięć tomów, dotyczy wydarzeń po 1930, a więc, jak wyraził się sam Autor, okresu starości i pracy pisarskiej. Zamiarem Moraczewskiego było również napisanie drugiej części, obejmującej lata 1907–1930 – niestety, jak tłumaczył we wstępie do części trzeciej, ze względu na ograniczony z powodu wojny dostęp do źródeł, podjęcie trudu opisanie wydarzeń z tego okresu okazało się niemożliwe. O swej pracy pisarskiej donosił w grudniu 1943 r. mieszkającej

---

skiego, „Niepodległość” 1937, t. XV, s. 412–413; *Wspomnienia współpracy z Leonem Wasilewskim*, „Niepodległość” 1937, t. XVI, s. 210–220). Urywek wspomnień z okresu I wojny światowej ogłosili J. Dufurat, P. Cichoracki – *Jędrzej Moraczewski o bitwie pod Kostuchniówką*, „Przegląd Historyczno-Wojskowy” 2015, nr 3, s. 121–139.

<sup>57</sup> Warto wymienić kilka z nich – przechowywane w AAN, sygn. 71/III-9 – Moje wspomnienia osobiste o Wielkim Marszałku; Wspomnienia o moich pracach społecznych, *Mój testament*, Wrocław 1946. Przechowywane w BN – Wspomnienia z lat dziecińczych i młodzieńczych, akc. 7655; *Nasz życiorys* – wspomnienia pracy z Jędrzejem Moraczewskim, akc. 8528. Fragmenty tych ostatnich zostały opublikowane przez Jerzego Kochańskiego w 1988 r. – Z. Moraczewska, *Nasz życiorys*, oprac. J. Kochański, „Tygodnik Polski” 1988, nr 19–22.

<sup>58</sup> BN, rkps, Wspomnienia Adama Moraczewskiego z 1939 r., akc. 8531, k. 1–13.

<sup>59</sup> H. Kozicka, *Rosjanie w Tarnopolu. Dziennik 1914–1916*, wstęp i oprac. I. Florczak, J. Gołota, Ostrołęka 2015; też, *Wspomnienia z lat 1867–1914*, oprac. K. Cybulska, Kielce 2015.

<sup>60</sup> Warto dodać, że wojna paradoksalnie sprzyjała powstawaniu źródeł narracyjnych. Twórcy dzienników, mimo zagrożenia i obaw, podejmowali trud spisywania codziennych wydarzeń, zdając sobie sprawę z faktu, że stykali się z przełomowymi wydarzeniami. P. Rodak, *Wojna i zapis (o dziennikach wojennych)*, „Teksty Drugie” 2005, nr 6, s. 35–37.

<sup>61</sup> W drugim tomie pierwszej części Autor powrócił do 1893 r., czyli do momentu rozpoczęcia pracy zawodowej w Biurze Drogowym Wydziału Krajowego. W 1894 r. otrzymał jednoroczny urlop, aby móc odbyć obowiązkową służbę wojskową w wojsku austriackim.

we Lwowie najstarszej siostrze Franciszce Kruczkiewicz: „[...] mam w planie przyjazd do Lwowa na kilka dni, w czasie w którym komunikacja będzie zupełnie możliwą, zwłaszcza powietrzem, wreszcie koleją. Muszę [poszukać] w bibliotekach, w archiwum z papierami z czasów austriackich dla uzupełnienia nazwiskami moich wspomnień, z lat 1888–1898. Prócz tego chciałbym się zorientować co do możliwości wydania we Lwowie trzech tomów, obejmujących lata 1870–1907 mego życia. Oczywiście zależy to od tego, w której części świata znajdzie się Lwów. Robię te plany, mając nadzieję, że przecie[ż] zostanie w Europie, a nie w «Euroazji». Po skończeniu części I ujmującej opis czasów, ludzi i zdarzeń, które interesowały mnie w latach mej młodości, musiałem porzucić myśl o pisaniu Części drugiej, związanej z okresem mego wieku dojrzałego. Przypuszczam, że materiały do tej części znalazłyby się we Lwowie. Ich chcę szukać w Bibl.[iotece] Uniwersyteckiej i innych. Zabrałem się do Części III wspomnień z okresu starości, dotychczas napisałem 3 tomy z okresu 1930–1931 lat [s]. Jest tego 30 arkuszy druku i wątpię, czy w następnych dwóch arkuszach wykończę rok 1931. Tych 6 tomów wspomnień przepisałem na maszynie, są gotowe do druku. Pracuję dzień w dzień po 8–9 godzin i to mnie trzyma, pozwala zapomnieć o bólach i troskach o los naszych dzieci”<sup>62</sup>.

*Wspomnienia* w malowniczy sposób oddają klimat i atmosferę panującą w Galicji na przełomie XIX i XX w. Obrazowo przybliżają środowisko intelektualne ówczesnego Lwowa, przedstawiciele elity towarzyskiej i politycznej, ale też charakterystyczny dla ówczesnej stolicy Galicji lwowski folklor. Ukazują ponadto, na tle życiorysu Moraczewskiego, istotne zmiany w życiu społecznym i politycznym Galicji – mowa tu przede wszystkim o dojrzeniu do aktywności publicznej przedstawiciele młodzieży polskiej czy kształtowaniu się ruchów politycznych. Dużo miejsca Autor poświęcił nauczycielom z okresu nauki w szkole ludowej i gimnazjum oraz działalności w tajnym związku, mającej na celu walkę o odzyskanie przez Polskę niepodległości. Nie zabrakło również informacji dotyczących kolegów i przyjaciół z lat szkolnych, opisu systemu i metod nauczania, charakterystycznych dla szkół galicyjskich, a także rozrywek, zainteresowań i sposobów spędzania czasu wolnego. Do ulubionych aktywności Autora należały piesze wędrówki po okolicach Lwowa i po górach (jakże typowy dla Galicjan z pokolenia Moraczewskiego zachwył Tatrami), a przede wszystkim polowanie. To typowo męskie hobby uprawiał przyszły polityk przez całe dorosłe życie. Z wielkim entuzjazmem i dokładnością opisywał więc pobyt w Perepelnikach, majątku należącym do rodziny swego najlepszego przyjaciela Stanisława

<sup>62</sup> List Jędrzeja Moraczewskiego do Franciszki Kruczkiewicz, Sulejówek, 1 XII 1943 r. (Zbiory Izby Pamięci Zofii i Jędrzeja Moraczewskich w Sulejówku).

Nowackiego, państwa Padlewskich, gdzie można było bez przeszkód oddawać się tej pasji. W otwartym dla gości typowo polskim dworcu bywali więc (choć nie w tym samym czasie, co Autor *Wspomnień*) Kornel Ujejski, Leopold Staff, Władysław Bełza, Maryla z Młodnickich i jej mąż Wacław Wolski<sup>63</sup> (kolega Moraczewskiego ze studiów) czy bracia Pawlikowscy – Jan Henryk Gwalbert, późniejszy mąż poetki Marii z Kossaków Pawlikowskiej, i Michał, ożeniony z siostrą poetki Beaty z Wolskich Obertyńskiej, Anielą<sup>64</sup>.

Szczególnie istotne wydają się też opisy sylwetek profesorów Szkoły Politechnicznej i jednocześnie w znacznej mierze znajomych ojca, który, jak wspomniano wyżej, należał do grupy wyższych urzędników państwowych i cenionych w Galicji architektów. Dzięki jego kontaktom – zarówno towarzyskim, jak i zawodowym – Jędrzej Moraczewski stykał się z przedstawicielami ówczesnej elity, ludźmi, którzy nadawali ton życiu politycznemu, towarzyskiemu i kulturalnemu w Galicji. We wspomnieniach nie zabrakło miejsca na opisanie grupy byłych powstańców styczniowych, osiadłych we Lwowie, ale też na przedstawienie ewolucji ich poglądów na walkę o niepodległość. Na kartach umieścił Moraczewski, być może mimowolnie, proces kształtowania się mitu powstania styczniowego, a przede wszystkim wpływu, jaki wywarli powstańcy styczniowi na przyszłe pokolenie walczących o niepodległość Ojczyzny w okresie I wojny światowej. Częste opisy postaci, występujące na kartach *Wspomnień*, choć mają zdecydowanie subiektywny charakter, to ukazują wizerunki ludzi, którzy byli częścią nieistniejącego już polskiego centrum kulturalnego, jakim był Lwów w drugiej połowie XIX w. i w początkach XX stulecia, a niejednokrotnie mieli decydujący wpływ na szeroko rozumiany rozwój kraju. Pierwszy tom wspomnień z młodości Autor zakończył barwnym opisem wspomnień z okresu jednorocznej służby w wojsku austriackim.

Inicjatywa wydania wspomnień Jędrzeja Moraczewskiego wyszła od wieloletniego prezesa Towarzystwa Przyjaciół Sulejówka, spowinowaczonego z rodziną Moraczewskich, Mirosława Krzysztofa Smosarskiego. Dzięki jego wysiłkom, przy wsparciu członków Towarzystwa i pracowników Muzeum Józefa Piłsudskiego udało się nie tylko stworzyć Izbę Pamięci im. Zofii i Jędrzeja Moraczewskich w dawnym domu rodziny Moraczewskich „Siedzibie”, lecz także podjąć szereg projektów i inicjatyw, w tym edukacyjnych, dzięki którym pamięć o sławnych mieszkańcach Sulejówka, a więc Moraczewskich, Piłsudskich czy Śliwińskich, nie zaginęła.

---

<sup>63</sup> Na ślubie Maryli z Młodnickich i Wacława Wolskich Jędrzej Moraczewskich wystąpił w roli świadka pana młodego. Ceremonia odbyła się we Lwowie, 25 kwietnia 1894 r. S. Sierotwiński, *Maryla Wolska. Środowisko, życie, twórczość*, Wrocław i in. 1963, s. 18.

<sup>64</sup> B. Obertyńska, *Peripelniki*, Goszyce 2010, s. 6.



## NOTA EDYTORSKA

Podstawę prezentowanej edycji stanowi maszynopis pierwszego tomu, pierwszej części wspomnień Jędrzeja Moraczewskiego, liczący 125 kart i przechowywany w Archiwum Zofii i Jędrzeja Moraczewskich w AAN w Warszawie pod sygnaturą 71/III-1a. Wspomnienia te zostały przepisane z rękopisu w trzech kopiach na maszynie przez Autora, który jak podano wyżej, przygotowywał je do wydania. Z maszynopisu natomiast zostały przepisane przez Mirosława Krzysztofa Smosarskiego.

Publikowane wspomnienia opracowano, opierając się na projekcie instrukcji wydawniczej dla źródeł dwudziestowiecznych. Uspółcześiono ortografię i interpunkcję, poprawiono literówki, ujednolicono zapis dat, zachowano oryginalny zapis liczebników. Bez oznaczenia w tekście poprawiono błędny zapis nazwisk (np. Słonińska zamiast Słonimska, Podowski zamiast Podoski itp.). Zgodnie z obowiązującymi obecnie zasadami oddano pisownię dużych liter (np. Żydówka zamiast żydówka). Dla oddania stylu pozostawiono oryginalną formę gramatyczną czasowników. Wszelkie tytuły (książek, wierszy itp.) zapisano kursywą. Wtrącenia pochodzące od Autora umieszczono bezpośrednio w tekście w nawiasie prostym. Uzupełnienia redaktorskie natomiast umieszczono w nawiasie kwadratowym, podobnie jak oznaczenia błędnych form gramatycznych, używając znaku [s] (sic!) w nawiasie kwadratowym. Zdecydowano się na zachowanie autorskiego schematu, czyli podziału treści na sześć rozdziałów, zmieniając jedynie ich numerację (zrezygnowano z oznaczenia literowego A, B itd. na rzecz cyfrowego – cyfr rzymskich dla rozdziałów i arabskich dla podrozdziałów). Pomięto natomiast, wprowadzone przez Moraczewskiego, spisy treści przed każdym kolejnym rozdziałem.

W przypisach dolnych, pochodzących od wydawcy, wyjaśniono cytaty i zwroty obcojęzyczne, archaizmy oraz dziś już rzadko używane przysłowia i powiedzenia. Starano się, o ile było to możliwe, podać krótkie encyklopedyczne informacje o osobach pojawiających się na kartach wspomnień i wydarzeniach, o których pisał Autor. Nie w każdym jednak przypadku udało się odnaleźć jakieś wzmianki dotyczące opisywanej postaci lub ustalić daty urodzin i śmierci. W odwołaniach zamieszczono również informacje niezbędne do zrozumienia kontekstu opisywanych wydarzeń oraz sprostowania.

## PRZEDMOWA

**P**rzerzucenie się w 70 roku życia do nowego zawodu zakrawa na wyraźną zuchwałość. Dotychczas próbowałem pióra jako publicysta, ale nie używałem go w dziedzinie beletrystyczno-historycznej. Aż teraz, będąc już starym, gdy Vis Major uniemożliwiła mi udział w pracy społecznej, zabrałem się do pisania wspomnień z mego życia. Starłem się nadać im formę beletrystyczną i wlać w nie treść historyczną. Nie moją rzeczą sądzić, czy udało mi się ubrać je w taką zewnętrzną szatę, która ułatwia, a nie utrudnia czytanie, czy wyprułem z nich ton patetyczny. Natomiast ręczę, że jeżeli treść nie jest historyczną, w całym tego słowa znaczeniu, za to jest subiektywnie prawdziwą, za to zawiera fakty, charakterystyki osób i czasów w takim oświetleniu, w jakim patrzyłem na nie w tej epoce, którą opisuję. Na obiektywizm historyka siliłem się głównie wtedy, gdy przyszło mi pisać o sobie. Chociaż spisałem wspomnienia z mego życia, chociaż czasy, ludzi i zdarzenia przyczepiałem do nici moich przeżyć, mimo tego starałem się bardzo usilnie pisać o sobie jakby o innym, wprawdzie sympatycznym i nie-obcym, ale zawsze innym człowieku. Daty drobnych wydarzeń znalazłem w prywatnym archiwum Moraczewskich, w lwiej części w listach mej żony Zofii pisanych do jej matki<sup>65</sup> i siostr<sup>66</sup>, częściowo we własnych notatkach, zapiskach i papierach, jako też w moich artykułach współcześnie pisanych.

Śmiały czytelnik tego rozwlekłego wylewu wspomnień, znajdzie w nich dużo drobnych epizodów i epizodzików, wiele błahostek życia codziennego obok ważnych, najważniejszych wypadków w mieście, kraju, świecie.

---

<sup>65</sup> Wanda z Dylewskich Gostkowska (1840–1913) – żona Romana, profesora Politechniki Lwowskiej, matka Zofii, przyszłej żony Jędrzeja Moraczewskiego.

<sup>66</sup> Helena z Gostkowskich Kozicka (1867–1950) – żona prawnika i sędziego Włodzimierza Kozickiego. Wanda z Gostkowskich Brudzewska (1877–1912) – żona Kazimierza Brudzewskiego (1870 lub 1874–1912), inżyniera, absolwenta Politechniki Lwowskiej. Warto dodać, że Kazimierz Brudzewski był kuzynem Autora *Wspomnień*.

A przecież nie objąłem mymi gawędami wszystkich wspomnień z dawnych lat, odtworzonych w mej pamięci. Opuściłem te, które miałyby w sobie wyłącznie osobisty posmak, które odnosząc się do mej osoby i mojej najbliższej rodziny, mogłyby wprawdzie służyć do odbrązowywania nas, ale były pozbawione cech charakteryzujących ludzi i czasy i nie wyjaśniały w niczym pobudek mego działania. Inne drobne wypadeczki zanotowałem, o ile wydało mi się, że są przyczynkiem małym, ale ważnym do naświetlenia czasów i ludzi.

Pisanie wspomnień sprzed przeszło pół wieku, jest samo w sobie bardzo śmiałym przedsięwzięciem. Dziennik zdarzeń, pisany dzień po dniu, jest niewątpliwie dokumentem historycznym, co prawda na wskroś subiektywnym. Ale nie żądamy za wiele. Przecież rzekomy obiektywizm historyków graniczy raczej z mitem niż z rzeczywistością. W każdy razie dziennik oddaje, najczęściej wiernie, pogląd pamiętnikarza na życie otaczające. Natomiast pisane w kilkadziesiąt lat po wypadkach wspomnienia zasuwiają wydarzenia po nich zaszłe, a późniejsze doświadczenie życiowe, a ewolucja umysłowa, którą każdy żywy mózg musi przebywać, kuszą do przedstawienia zdarzeń i ludzi pod kątem dzisiejszej ich oceny. Strach przed posądzeniem o naiwność, gdyby się odtwarzało własne poglądy sprzed pół wieku wykręca pióro wspominkarza czy pamiętnikarza w stronę „*esprit d'escalade*”<sup>67</sup>. Ponadto wspomnienia, narastające wokoło osoby piszącego, budzą podejrzenia, czy nie napotyka się w nich egotyzmu, czy autor nie uległ węgierskiej modzie robienia z siebie ośrodka globusa miejscowości, w której żył, kraju, w którym działał?

Czytając pamiętniki, redagowane po upływie sporego czasu między wypadkami a ich opisem, spotkałem się w wielu z nich z tymi dwoma grzechami głównymi pamiętnikarzy i nie chciałem w nie popaść. Miałem ambicję, aby moje wspomnienia stały się też dokumentem historycznym. Mam wrażenie, że szczęśliwie uniknąłem egotyzmu, przepelniającego pamiętniki galicyjskie z opisywanej przeze mnie epoki. Dążeniem moim było jak najwierniejsze odmalowanie moich ówczesnych poglądów na ludzi, czasy i zdarzenia. Druga i trzecia część mych wspomnień (jeżeli zdobędę się jeszcze na ich napisanie) powinny odtworzyć przebieg ewolucji, przez którą z biegiem czasu przechodziły moje poglądy. Chociaż wielu, co prawda bardzo wielu, moich przekonań i czas nie zmienił. Na to nie ma już rady, bo nie myślę dla niczyjej przyjemności ani nawet dla ambicji wyłazić z własnej skóry. W najgorszym razie pył kosmiczny pokryje moją pracę w którymś z archiwów, a jakiś Kolumb<sup>68</sup> literatury odkopie ją w kilkadziesiąt lat po mojej śmierci!

AUTOR

<sup>67</sup> „*Esprit d'escalade*” (franc.) – duch eskalacji.

<sup>68</sup> Krzysztof Kolumb (1451–1506) – włoski żeglarz, nawigator i podróżnik, uważany za odkrywcę Ameryki.

## WSTĘP

**N**a początek parę słów o sobie i o mej rodzinie. Urodziłem się 13 stycznia 1870 r. w Trzemesznie, w ówczesnym W. X. Poznańskim. Moim ojcem chrzestnym był ks. Kegel<sup>69</sup> z Krotoszyna. Moja matka umarła wkrótce po moim urodzeniu, w następstwie gorączki połogowej. Ojciec Maciej pochodził ze znanej poznańskiej rodziny. Wyczytałem w pracy pana Leona Białkowskiego<sup>70</sup>, że w poznańskich aktach grodzkich są wzmianki o dwóch braciach Moraczewskich<sup>71</sup> jako o partyzantach, walczących ze Szwedami w Wielkopolsce za Jana Kazimierza<sup>72</sup>. Mój ojciec, rozporządzający wolnym czasem, po przejściu na emeryturę, spisał źródłowo dokładnie rodowód mej rodziny, począwszy od swych dziadków, a na wnukach skończywszy, powielił go i rozesłał wszystkim żyjącym członkom rodziny. Oczywiście i ja go otrzymałem. Niejaki Stanisław Moraczewski<sup>73</sup> – nie krewny i nie poznańczyk – przysłał mi pług swjej pracy pt. *Moraczewscy*, w której szukał dla siebie chwały z grzebania w trumnach nieboszczyków Moraczewskich. Widocznie sam był niczym. Bo że był bogatym nacierzem czy spekulantem można było poznać z drugiego jego utworu *Moraczewski przeciwko Moraczewskiemu*<sup>74</sup>, w którym, z wysokości swego worka

---

<sup>69</sup> Edward Kegel (1821–1900) – doktor teologii, kanonik kapituły katedralnej w Poznaniu, w latach 1862–1869 dziekan i proboszcz parafii w Trzemesznie, a następnie do 1900 r. w Krotoszynie.

<sup>70</sup> Leon Białkowski (1885–1958) – historyk, archiwista i genealog, pracownik Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu i Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

<sup>71</sup> Bracia Moraczewscy walczący ze Szwedami – mowa o Stefanie i Franciszku Moraczewskich (L. Białkowski, *Szkice z życia Wielkopolski w siedemnastym wieku*, Poznań 1925, s. 91).

<sup>72</sup> Jan II Kazimierz Waza (1609–1672) – król Polski i wielki książę litewski w latach 1648–1668, do 1660 r. tytularny król Szwedów.

<sup>73</sup> Stanisław Moraczewski (1858–1933) – autor pracy *Moraczewscy: zarys genealogiczny z dokumentów urzędowych i papierów znajdujących się w papierach rodzinnych*, Lwów 1907, s. 13.

<sup>74</sup> [S. Moraczewski], *Moraczewski przeciw Moraczewskiemu i towarzyszom*, Warszawa 1919, s. 23.

pieniężnego, potępia mnie za socjalizm. Rumieniłbym się, gdyby mnie chwalił. Każdy człowiek na świecie ma swoich przodków. I ja nie wypadłem sroce spod ogona, jak mawiał pan Zagłoba<sup>75</sup>. Wspominam o nich, bo mnie obchodzi ich stosunek do sprawy publicznej, a zwłaszcza polskiej.

Moi pradziadowie walczyli o Polskę pod Dąbrowskim<sup>76</sup> w czasach napoleońskich. Maszerowali z ziemi włoskiej do polskiej. Moi stryjeczni dziadkowie: Jędrzej<sup>77</sup> i Benedykt<sup>78</sup>, walczyli o Polskę w r. 1831 w strzelcach Kuszella<sup>79</sup>. Wynieśli z bojów „Virtuti Militari”<sup>80</sup>. Jędrzej ranny dostał się do niewoli rosyjskiej, skąd udało mu się szczęśliwie i dość prędko zwać. Znany w swoim czasie w Wielkopolsce działacz społeczny, pisarz, radykalny demokrat i republikanin. W Poznaniu kupił księgarnię z drukarnią (później Żupańskiego)<sup>81</sup>. Przyjaciel Libelta<sup>82</sup>, wielbiciel Lelewela<sup>83</sup>, z zawodu prawnik, wykładał dzieje Polski na „kursach uniwersyteckich”<sup>84</sup>, jakbyśmy dziś powiedzieli. Wydawał bardzo postępowy miesięcznik „Rok”<sup>85</sup>, redagował encyklopedię *Starożytności Polskich*<sup>86</sup>, pisał broszury polityczne, artykuły do „Przyjaciela Ludu”<sup>87</sup> popularny skrót historii polskiej. Początkowo zamierzał drukować

<sup>75</sup> Jan Zagłoba – postać z *Trylogii* Henryka Sienkiewicza.

<sup>76</sup> Jan Henryk Dąbrowski (1755–1818) – generał wojsk polskich, twórca Legionów Polskich, uczestnik powstania wielkopolskiego w 1806 r. i naczelny wódz wojsk polskich w 1813 r.

<sup>77</sup> Jędrzej Moraczewski (1802–1855) – historyk, działacz społeczny i niepodległościowy.

<sup>78</sup> Benedykt Moraczewski (1803–1867) – dziedzic Lednogóry i Naramowic, brat Romana, dziadka Autora *Wspomnień*.

<sup>79</sup> W tekście pomyłka. Autor pisał o strzelcach Michała Kuszella, tymczasem mowa o majorze Grothusie Eustachym (1792 lub 1793–1858), twórcy Batalionu Sandomierskich Strzelców Celnych. Warto dodać, że oddział dowodzony przez Michała Kuszella (ok. 1791–1856) dołączył do walk prowadzonych przez formację Grothusa.

<sup>80</sup> Virtuti Militari – najwyższe odznaczenie państwowe przyznawane za wybitne zasługi na polu walki. Nie potwierdzono informacji o otrzymaniu odznaczeń przez wyżej wymienionych braci Moraczewskich.

<sup>81</sup> Jan Konstanty Żupański (1804–1883) – poznański księgarz i wydawca.

<sup>82</sup> Karol Libelt (1807–1875) – filozof, publicysta, działacz społeczny i polityczny, związany z obozem polskim demokratycznym.

<sup>83</sup> Joachim Lelewel (1786–1861) – historyk, numizmatyk, podjął próbę zdefiniowania podstawowych pojęć nauki historycznej na gruncie polskim; działacz społeczny i demokratyczny, uczestnik powstania listopadowego i aktywny działacz emigracji polskiej.

<sup>84</sup> Mowa o cyklu wykładów zorganizowanych w Poznaniu w latach 1841–1843 przez Tytusa Działyńskiego, podczas których ludzie nauki wygłaszali swe odczyty.

<sup>85</sup> „Rok [...] pod względem oświaty przemysłu i wypadków czasowych” – początkowo dwumiesięcznik, następnie miesięcznik ukazujący się w Poznaniu w latach 1843–1846. Pismo było organem obozu demokratycznego, upadło po fali aresztowań po powstaniu wielkopolskim w 1846 r.

<sup>86</sup> *Starożytności Polskie ku wygodzie czytelnika porządkiem abecadłowemu zebrane*, t. 1–2, Poznań 1842–1852. W założeniu jej autora publikacja ta miała stanowić pierwszą polską encyklopedię historyczną.

<sup>87</sup> „Przyjaciel Ludu, czyli tygodnik potrzebnych i pożytecznych wiadomości” – czasopismo ukazujące się w Lesznie w latach 1834–1849.

skrótów swoich wykładów historii polskiej, jednak urosło z tego duże dziewięciotomowe dzieło pt. *Dzieje Rzeczypospolitej Polskiej*, doprowadzone do abdykacji Jana Kazimierza. Piszę o tej książce, bo zacząłem ją czytać, mając 12 lat. Przeczytałem ją od deski do deski trzy razy w moim życiu. Język w pierwszym tomie ciężki, niedbały, pełen skrótów. Widocznie są to drukowane notatki z wykładów. W następnych styl niełatwy, ale zupełnie poprawny, bez skrótów, utrudniających czytanie pierwszego tomu. Szczery republikanin i demokrat, obchodzi się w swym dziele bez ceremonii z królami i magnatami. Z tego powodu szkoła historyków krakowskich spychała to, bardzo sumienne i wartościowe dzieło, w dół zapomnienia. Jędrzej brał czynny udział w powstaniu poznańskim 1848 r., które potem opisał. Na tle jego książki skrytykował Mierosławski<sup>88</sup> poznańczyków. Odpowiadał mu ostro Władysław Kosiński<sup>89</sup>. Jędrzej znalazł się na zjeździe słowiańskim w Pradze w 1848 r.<sup>90</sup> i wziął w nim kierujący udział. Zmarł przedwcześnie w r. 1854.

Trzeci brat, ojciec mego ojca, Roman<sup>91</sup>, jako żonaty i dzieciaty, został w 1831 r. w domu. Wszyscy ci trzej dziadkowie poumierali przed moim urodzeniem. Żyły tylko ich siostry. Ani Bibianny<sup>92</sup>, wybitnej działaczki społecznej i narodowej, przyjaciółki Narcyzy Żmichowskiej<sup>93</sup>, ani Stablewskiej<sup>94</sup>, ani Koczorowskiej<sup>95</sup> nie pamiętam.

---

<sup>88</sup> Ludwik Mierosławski (1814–1878) – generał i działacz niepodległościowy, działacz Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, uczestnik powstań wielkopolskich w 1846 i 1848 r., pierwszy dyktator powstania styczniowego.

<sup>89</sup> Władysław Euzebiusz Kosiński (1814–1887) – działacz polityczny i społeczny, publicysta, oficer w wojsku pruskim, organizator i uczestnik wydarzeń poznańskich z 1846 r. i powstania wielkopolskiego w 1848 r. W tekście mowa o jego dziele *Odpowiedź na Ludwika Mierosławskiego Powstanie poznańskie w r. 1848*, Targowa Górka 1861.

<sup>90</sup> Zjazd przedstawicieli narodów słowiańskich w dniach 2–12 czerwca 1848 r., a tematem obrad były obrona przed germanizacją i madziaryzacją narodów słowiańskich oraz metody walki z wynaradawiającą polityką zaborców.

<sup>91</sup> Roman Moraczewski (1806–1857) – dziadek Autora *Wspomnień*, uczestnik powstania listopadowego.

<sup>92</sup> Bibiana Moraczewska (1811–1887) – publicystka i literatka, działaczka społeczna i niepodległościowa, zaliczana do grona pierwszych na ziemiach polskich entuzjastek; mieszkała w Poznaniu razem z bratem Jędrzejem, którego wspierała na polu działalności społecznej i politycznej.

<sup>93</sup> Narcyza Żmichowska (1819–1876) – powieściopisarka i publicystka, uważana za prekursorkę ruchu feministycznego na ziemiach polskich.

<sup>94</sup> Ludwika Stablewska z Moraczewskich (1804–1876) – żona Antoniego Stablewskiego (1801–1870).

<sup>95</sup> Anastazja Koczorowska z Moraczewskich (1809–1854?) – żona Walentego Koczorowskiego.

Z tego pokolenia doskonale pamiętam matkę ojca, Franciszkę z Zakrzewskich<sup>96</sup>. Mocna kobieta, gorąca patriotka. Miała dziewięcioro dzieci, 3 synów i 6 córek, wszystko żonate i dzieciate. Była babką 47 wnucząt. Ja należałem do jej najukochańszych wnuków. Mając 10 lat, spędziłem jedne wakacje w jej domu w Śremie. Ostatni raz widziałem ją w 1892 r. we Lwowie. Na wieczorku kopernikowskim miałem, jako prezes Bratniej Pomocy Sł.[uchaczy] Politechniki<sup>97</sup>, wygłosić przemówienie wstępne. Babka przysłała, chcąc posłuchać jak mówi jej ukochany wnuk. Wyszedłem na trybunę i oświadczyłem, że z powodu zakazu władz rządowych przemówienie wstępne musi odpaść. Babka była zadowolona, że widocznie Austriacy boją się jej wnuka.

Mój ojciec Maciej urodził się w 1840 r. Skończył gimnazjum Marii Magdaleny w Poznaniu. Kilka jego nagród pilności (*Praemium diligentiae et morum* jest jeszcze dzisiaj, 21 września 1940 r., w moim posiadaniu). Politechnikę (Akademię Budownictwa) Berlińską ukończył w 1862. Po odbyciu kilku lat praktyki zdał egzamin na budowniczego w 1868 r. Z budowy w Szczecinie wybrał się w 1863 r. do powstania. Jako pionier (saper) w oddziale Langiewicza<sup>98</sup> walczył we wszystkich bitwach stoczonych przez dyktatora. Wraz z całym oddziałem złożył broń w Galicji. Jak mi opowiadał, znalazł się w tłumie jeńców w płaszczu cywilnym i bez czapki. Zwrócił się do pierwszej lepszej figury urzędowej z prośbą o jakiegokolwiek nakrycie głowy. Poczciwy urzędnik dał mu swoją urzędową czapkę, która stała się dla ojca rodzajem przepustki. Wykorzystując swój półurzędowy teraz wygląd, wyszedł z szeregów, przeszedł niezatrzymany przez kordon żołnierzy, otaczający powstańców, doszedł do najbliższego osiedla, skąd dostał się szczęśliwie do Krakowa.

Z Krakowa wrócił do Szczecina, gdzie życzliwy mu szef A. Wernekinek w poświadczenie czasu jego praktyki budowlanej wciągnął także cały okres jego udziału w powstaniu. W r. 1864 odbył w wojsku pruskim jednoroczną służbę wojskową. Wyszedł z niej ze stopniem podoficera pionierów gwardii. Wojnę w 1866 r. przebył w armii pruskiego następcy tronu Fryderyka<sup>99</sup>. Po ogromnie nużącym marszu nadciągnęła ta armia pod Königsgrätz<sup>100</sup> już pod koniec bitwy, tak że ojciec wtedy w ogniu nie był.

<sup>96</sup> Franciszka Moraczewska z Zakrzewskich (1821–1898) – babka Jędrzeja Moraczewskiego.

<sup>97</sup> Bratnia Pomoc Słuchaczy Politechniki – organizacja założona w 1862 r. przez studentów lwowskiej uczelni, miała na celu niesienie pomocy materialnej najbardziej potrzebującym studentom.

<sup>98</sup> Marian Langiewicz (1827–1887) – generał wojsk i dyktator podczas powstania styczniowego.

<sup>99</sup> Fryderyk III Hohenzollern (1831–1888) – dowódca armii pruskiej w momencie bitwy pod Sadową, cesarz niemiecki i król Prus od 9 marca do 15 czerwca 1888 r.

<sup>100</sup> Königsgrätz (ob. Hradec Králové) – forteca, blisko której doszło do bitwy 3 lipca 1866 r. w wojnie prusko-austriackiej. W historiografii polskiej wydarzenie to określa się mianem bitwy pod Sadową.

Wojna z Francją wybuchła w 1870 r., gdy ojciec dopiero co owdowiał i pozostał sam z trojgiem małych dzieci. Miałem wówczas pół roku, a najstarsza siostra Frania 3 lata. Przyjaciele lekarze wykręcili go od wojny, stwierdzivszy u niego, jak mi ojciec opowiadał, wypadek cholery. Na wojnę poszedł jego młodszy brat Kazimierz<sup>101</sup>, po skończeniu szkoły wojskowej w Wiener-Neustadt pod Wiedniem. Dziwnym zbiegiem okoliczności stryj uniknął udziału w wojnie 1866 r. po stronie Austrii. Bracia przypadkowi zawdzięczają, że wówczas nie stanęli przeciw sobie z bronią w ręku w dwóch nieprzyjacielskich armiach zaborców.

Ojciec ożenił się drugi raz w 1872 r. z Anną Pomorską, rodzoną siostrą mej matki, a więc moją ciotką, bardzo zacną osobą. Z nią miał czworo dzieci, z których troje żyje (wrzesień 1939). Druga matka uczyła mnie w domu czytać, pisać, rachować.

W byłym zaborze pruskim ojciec pracował głównie przy budowie kolei. Pamiętam nasze mieszkanie w Pleszewie, po czym 3-letni pobyt w Bydgoszczy. Dzieci rosły, zagadnienie szkolne wymagało rozstrzygnięcia. Obie moje starsze siostry chodziły już do niemieckiej szkoły. Ojciec rozwiązał ten problem przez przeniesienie do Galicji. Stanął do konkursu na stanowisko dyrektora urzędu budownictwa miejskiego w Krakowie. Górując nad wszystkimi współubiegającymi się studiami, rozległą 14-letnią pracą zawodową, znakomitymi świadectwami i świetną opinią, został dyrektorem w połowie 1876 r. Przenieśliśmy się do Krakowa. Ze zmianą obywatelstwa rodziców i my dzieci porzuciliśmy monarchię pruską i zostaliśmy poddany c. k. monarchii habsburskiej.

---

<sup>101</sup> Kazimierz Moraczewski (1848–1893) – stryj Autora *Wspomnień*.





## Rozdział I

# CZASY SZKOLNE

### 1.

**Szkoła ludowa w Krakowie. Nauczca A. Pająk. Dyrektor J. Maciołowski. Gimnazjum św. Jacka. Prof. Dutkiewicz – uczy łaciny od tyłu. Prof. Lisak – matematyki uczy przez ręce. Ojciec opuszcza Kraków i przenosimy się do Lwowa.**

**W** Krakowie chodziłem do szkoły ludowej<sup>1</sup> w biskupim pałacu (biskupstwa wówczas nie było w Krakowie). Zacząłem od drugiej klasy, po egzaminie wstępnym. Byłbym wszedł do trzeciej, ale niefortunna moja odpowiedź z nauk przyrodniczych zdecydowała inaczej. „Widziałeś konia?” pyta egzaminator. „Tak”. Opisz go. „Koił ma cztery nogi, głowę, ogon. Z wierzchu skóra, we środku kości”. „Więcej nic?” „Nic!” „Mięsa nie ma?” „Mięso ma wół, a nie koił” – odpowiedziałem z całą pewnością siedmioletniego brzdąca.

Szkoła mieściła się na parterze w skrzydle pałacu na rogu ul. Franciszkańskiej i Plant. Moim nauczycielem był pan Aleksander Pająk, doskonały nowoczesny pedagog i bardzo dobry człowiek. Nie baliśmy się go, ale cała klasa go słuchała. Jego nauka kartografii została mi w pamięci na całe życie. Nie wiem, czy dzisiaj stosuje się w szkołach tą metodę, ale Pająk wedle niej uczył

---

<sup>1</sup> Czteroklasowa szkoła męska powołana w 1872 r. reskryptem galicyjskiej Rady Szkolnej Krajowej, mieszcząca się w części Pałacu Biskupiego przy ul. Wiślniej i Franciszkańskiej (do 1879 r.). Od 1881 r. szkoła mieści się w budynku przy ul. Smoleńsk 7, zaprojektowanym przez Macieja Moraczewskiego.

przed przeszło 60 laty. Zaczął od rysowania na tablicy rzutu poziomego naszej klasy, jej ścian i sprzętów. Wytłumaczył konieczność zmniejszania rozmiarów rysunku, dał nam przeto pojęcie skali mapy. To było najtrudniejsze do zrozumienia. Potem już o wiele łatwiej poszedł rysunek rzutu poziomego budynku szkolnego, ulicy, planu Krakowa. Skończył na karcie dawnej Rzeczypospolitej Krakowskiej. Rok tej nauki oddawał mi usługi przez całe życie.

Faktem jest, że po skończeniu czwartej klasy szkoły powszechnej doskonale czytałem po polsku i niemiecku, pisałem ortograficznie po polsku, rachowałem ułamkami dziesiętnymi i zwykłymi, znałem dobrze historię Polski i Austrii, umiałem czytać mapy.

Dyrektorem szkoły był pan Julian Maciołowski<sup>2</sup>, również świetny pedagog. Pająk miał w ostatecznym razie jedną groźbę w zanadru: „pójdiesz do pana dyrektora”. Więc ten straszak dyrektorem urastał w naszym pojęciu do rozmiarów wielkiej potęgi, rozporządzającej uzbrojonym w kij ramieniem tercjana<sup>3</sup>. Truchlałem, gdy po zbrojeniu czegoś, miałem znaleźć się przed obliczem dyrektora. W mig wsunąłem w spodnie książkę, celem asekurowania dolnej części ciała z tyłu. Wyszedłem od dyrektora skruszony, zawstydzony i poruszony do głębi... jego słowami. Kij był tylko straszakiem, przez nas samych wyimaginowanym, nierealnym. Ta doskonale obsadzona szkoła nie była wyjątkiem. Szkoła przy seminarium nauczycielskim, do której chodził mój brat, też była dobra, tak samo jak szkoły, do których chodziły moje siostry. Z kolegów pamiętam nazwiska Maternowski Marceli, bracia de Laveaux<sup>4</sup>, bracia Kostki, Zębaty, Chrząszcz, Skołyszewscy Wiktor<sup>5</sup> i Franciszek.

Za to w gimnazjum św. Jacka, do którego zacząłem chodzić od r. 1880 (mieszkaliśmy na Wielopolu, a gimnazjum było tuż przy małym Rynku, obok Klasztoru Dominikanów), bili nas niektórzy profesorowie. W pierwszej klasie nie, może dlatego że mieliśmy samych młodych profesorów. Ale w drugiej klasie bił nas stary „Dudas”, Dutkiewicz<sup>6</sup>, prof. łaciny. Głowę brał między nogi i łożył trzcina odwrotną stroną medalu, wpajając w nasze mózgi,

<sup>2</sup> Julian Maciołowski (1841–1921) – nauczyciel, dyrektor szkoły ludowej do 1920 r.

<sup>3</sup> Tercjan (przest.) – szkolny woźny.

<sup>4</sup> Ludwik de Laveaux (1868–1894) – malarz, pierwowzór postaci Widma w *Weselu* Stanisława Wyspiańskiego; Stefan de Laveaux (1870–1931). Bracia de Laveaux zostali oddani na stancję w Krakowie po śmierci matki, w 1878 r. Po ukończeniu szkoły ludowej podjęli naukę w gimnazjum św. Jacka.

<sup>5</sup> Wiktor Feliks Skołyszewski (1868–1835) – inżynier leśnictwa, rolnictwa i melioracji, poseł na Sejm Krajowy, działacz społeczny i polityczny związany z ruchem chrześcijańsko-ludowym i PSL.

<sup>6</sup> Jan Dutkiewicz – profesor łaciny.

tą nieco dziwną drogą, indykatiwy, koniunktywy i wszelkie inne akusatywy cum infinitivo, a zwłaszcza wyjątki. Co prawda głównie prał swego syna, który raz, uciekając przed ojcem, dał nura pod ławki. Łagodniej traktował tych, co nauczyli się tylko po łebkach, bo bił ich trzcina po rękach. To był mój stały chleb codzienny na lekcjach łaciny.

Mistrzem od bicia po rękach był profesor matematyki Lizak<sup>7</sup>. Raz, w trzeciej klasie, zadał nam, z lekcji na lekcję, wielką tabliczkę mnożenia to jest do 10 razy do 20. Rzucił pytanemu  $7 \times 17?$  lub  $5 \times 15?$  Kto nie odpowiedział od razu dobrze, bez wielkiego namysłu, albo chcąc zyskać na czasie, powtarzał powoli: „siedem razy siedemnaście... jest... zaraz... zaraz...” „Nie umiesz! Na środek!”. Gdy już połowa klasy stała na środku, zaczynał wyplątać: „Czegoś nie wiedział?” „Proszę pana profesora! Ja umiem, ja się nauczyłem”, broni się zapytany. „Kłamiesz! Za to dostaniesz pięć!” grzmiał Lizak. I walił solidnie linią po rękę. Bolało porządnie. Ja na pytanie odpowiedziałem, że nie zdążyłem się nauczyć. „Kłamiesz!” odpowiedział zresztą trafnie profesor, „ty się nawet nie zacząłeś uczyć. Dostaniesz pięć!”. A który prawdę powiedział, że nie wiedział, ile jest  $9 \times 13$ , usłyszał – „nie tylko nie umiesz, ale się jeszcze tym chwalisz! Dostaniesz pięć!” Wszystko jedno jak brzmiała wymówka. Wszyscy dostali po pięć. Sprawiedliwie, równo. Ta metoda o tyle pomogła, że znaczna większość klasy na drugą lekcję już umiała tę tabliczkę. Nie na długo. W parę lat potem całkiem zapomniałem tego, co systemem piątkowym wpoił nam w rękę profesor, a czego musiałem się pośpiesznie mechanicznie nauczyć. Jego syn kolegował się wówczas ze mną i też brał wały od ojca. Ale inni profesorowie umieli w nas obudzić zamiłowanie do wykładanych przedmiotów. Moimi ukochanymi profesorami byli botanik Zaręczny<sup>8</sup> i Waśkowski<sup>9</sup> (uczył historii i polskiego). Pilnością nie grzeszyłem. Przedmiotów, które mi łatwiej przychodziły, uczyłem się w czasie wykładów profesora. (Po skończeniu 2 klasy takie w świadectwie otrzymałem stopnie: religia chwalebny, łacina dostatecznie, mniej w pisemn., polski celujący, niemiecki dostateczny, historia i geografia celujący, matematyka dostateczny, nauki przyrodnicze celujący, kaligrafia zadawalający, rysunki znakomity, śpiew chwalebny, staranność koło pisemnych robót dostateczna. Lokacja 7 na 43. Z kolegów pamiętam nazwiska: A. Nowaka, K. Tobiczka, trzech synów góralskich spod Rabki – Wyrwy, Tyrały, Kęsa i trzech synów obszarników

<sup>7</sup> Julian Lizak – profesor matematyki.

<sup>8</sup> Stanisław Zaręczny (1848–1909) – doktor geologii, botanik, od 1875 r. nauczyciel gimnazjalny.

<sup>9</sup> Wawrzyniec Waśkowski – ur. w 1849 r. w Nowym Sączu, ukończył w Krakowie studia historyczne pod kierunkiem A. Wachholza, był nauczycielem w szkołach realnych i gimnazjach. W latach 1879–1890 pracował jako nauczyciel historii i języka polskiego w gimnazjum św. Jacka w Krakowie.

– Padlewskiego, Wiesiołowskiego, Śmiałowskiego, ponadto Deichesa (dzisiaj Łuniński Ernest)<sup>10</sup>, Vorzimmera, J. Przeworskiego i S. Lesera.

Pierwszy raz zainteresowałem się sprawą publiczną w czasie wojny rosyjsko-tureckiej w 1877 r.<sup>11</sup>, gdy Osman Pasza bronił Plewny<sup>12</sup>. Posyłany wieczorem po gazetę, nim ją do domu przyniosłem, po drodze przeczytałem depesze wojenne. Pamiętam dobrze uroczysty wjazd do Krakowa cesarza Franciszka Józefa<sup>13</sup>, (przy Tobie najjaśniejszy...) pamiętam Rok Jubileuszowy<sup>14</sup>, zarządzony przez Piusa IX<sup>15</sup>. Utkwił mi w pamięci jubileusz Kraszewskiego<sup>16</sup>, w czasie którego zamieszkał u nas kolega ojca, poznańczyk: pan Kaz.[imierz] Katak<sup>17</sup> (bez nosa). Widziałem, rzecz oczywista, jubilata J. I. Kraszewskiego.

W domu Librowskich na Wielopolu, w którym mieszkaliśmy, był wielki ogród, ale dla nas dzieci niedostępny. Jedynie w zimie wolno mi było do niego chodzić, ślizgać się na stawku pod wałem kolejowym. Zaprzyjaźniłem się z początku z Wojtkiem i Maćkiem Szukiewiczami (mieszkali na parterze, a my na piętrze). Ale gdy raz udało mi się szczęśliwie zbić szybę w ich pokoju, ojciec za karę zakazał mi bawić się z nimi i przyjaźń zawisła na kołku. Trzeba było znaleźć innych przyjaciół. Zbliżyliśmy się do Miarczyńskich. Miejscem naszych zabaw było wielkie podwórze. Nasza piątka, troje Miarczyńskich (Zygmunt, Karol i Witold) i Witold Witowski rozbijaliśmy się na nich do syta.

Pewnego razu Miarczyńscy przynieśli na podwórze radosną nowinę, że ich tatuś kupuje sanki, którymi będą jeździć na spacer. Koń z dzwonkami, kozuch na nogi, czasem dzieci będą powozić, słowem rozkosz! Na sanie będą nas zabierać dwójkami, kolejno, każda dwójka co drugi wyjazd. Zaczęliśmy rozliczać, kto, kiedy, w jakiej kolejności pojedzie. Z tego wypadło,

<sup>10</sup> Ernest Arnold Deiches (zmienił nazwisko na Łuniński, 1868–1931) – historyk i publicysta żydowskiego pochodzenia.

<sup>11</sup> W oryginale 1879 r.

<sup>12</sup> Bitwa pod Plewną – jedna z bitew podczas wojny rosyjsko-tureckiej stoczona pod twierdzą Plewna między wojskami tureckimi i armią rosyjsko-rumuńską w dniach od 20 lipca do 10 grudnia 1877 r.

<sup>13</sup> Franciszek Józef I (1830–1916) – przedstawiciel dynastii habsburskiej, od 1848 r. cesarz Austrii i król Węgier. Wizyta cesarza w Krakowie miała miejsce 1 września 1880 r.

<sup>14</sup> Rok Jubileuszowy – w tradycji chrześcijańskiej rok szczególnej łaski. Mowa tu o roku 1875, ogłoszonym przez Piusa IX.

<sup>15</sup> Pius IX (właśc. Giovanni Maria Mastai Ferretti 1792–1878) – duchowny rzymskokatolicki, papież w latach 1846–1878.

<sup>16</sup> Józef Ignacy Kraszewski (1812–1887) – pisarz, publicysta, wydawca i redaktor; działacz społeczny, krytyk literacki, kolekcjoner; autor największej liczby książek w historii literatury polskiej, od 1863 r. na emigracji, głównie w Dreźnie. Jubileusz miał miejsce w 1879 r. i został zorganizowany z okazji 50-lecia pracy twórczej pisarza.

<sup>17</sup> Kazimierz Katak (1824–1886) – działacz polityczny z Wielkopolski, od 1862 r. poseł do sejmu pruskiego, obrońca praw polskich na niwie parlamentarnej.

że najmłodsza moja siostra 5-letnia Marynia nie będzie mogła jeździć. A ona w płacz! Też chce używać sanny, też chce słyszeć dzwonki, też chce nogi kozuchem owijać. Płakała dwie godziny, ale niczego nie wypłakała. Byliśmy twardzi, niczym skały panieńskie. Marynia przez trzy dni chodziła niepoczieszona, pochlipywała po kątach co chwila. A my nic. A Miarczyński też nic. Sani nie kupił, nikt się nie sankował. Z tego nauka, że dobrze jest martwić się naprzód, na zapas. Co kto zawczasu wypłacze, to jego, tego mu nikt nie odbierze, gdy Miarczyński sanek nie kupi.

Współcześnie za mało mogłem ocenić krakowską pracę ojca. Popierał go bardzo ówczesny prezydent miasta Mikołaj Zybliekiewicz<sup>18</sup>. Ojciec przyjaźnił się ze słynnym architektem Łuszczkiewiczem<sup>19</sup>, a ja z jego synem Markiem<sup>20</sup>. Co prawda w lecie odwiedzałem ich dom przy ul. Kopernika, nie tyle dla Marka, ile dla świetnych malin, które tam obficie rosły. Raz po powrocie z posiedzenia rady miejskiej opowiadał ojciec, że jeden z radnych (Żyd) zaatakował go bardzo ostro. Łuszczkiewicz, też radny, podsunął ojcu karteczkę „daj mi zaraz 5 reńskich”. Ojciec dał. Łuszczkiewicz zawiązał pieniądze w papier i przesunął go mówiącemu, ten pomacał pakuneczek, schował do kieszeni i od razu zmienił ton przemówienia. Ojciec był tym bardzo wzburzony i poirytowany. Zdaje mi się, że to go zniechęciło do Krakowa, w którym był bardzo ceniony i w którym zostawił po sobie doskonałą pamięć.

Skoro tedy Zybliekiewicz został marszałkiem krajowym, bez trudu namówił ojca do porzucenia Krakowa i rozpoczęcia prac nad regulacją rzek galicyjskich. W r. 1881 pożegnał się ojciec z samorządową pracą w Krakowie i został radcą budownictwa w c. k. Namiestnictwie we Lwowie. Stał na czele Wydziału Wodnego. Ojciec był znakomitym inżynierem, świetnym, pełnym inicjatywy organizatorem i wymarżonym przełożonym, który wprowadził dużo



Fot. 1. Maciej Moraczewski  
Źródło: polona.pl

<sup>18</sup> Mikołaj Zybliekiewicz (1823–1887) – prawnik, prezydent Krakowa w latach 1874–1881, następnie marszałek krajowy w latach 1881–1886.

<sup>19</sup> Antoni Łuszczkiewicz (1838–1886) – architekt i budowniczy związany z Krakowem.

<sup>20</sup> Marek Łuszczkiewicz (1873–1932) – działacz polityczny, poseł do sejmiku austriackiego z ramienia galicyjskiego ruchu ludowego.

wymagał, ale umiał ocenić i pracę, i człowieka. Nasłuchiwałem się jego pochwał od jego podwładnych, z którymi pracowałem później w Ministerstwie Robót Publicznych w Niepodległej. Wierzyłem zwłaszcza tym ich opowieściom, które słyszałem od nich w kilka lat po moim ustąpieniu z ministerstwa, które zatem, z wszelką pewnością, nie nosiły na sobie cech pochlebstwa. Ojciec mój, zupełnie mimo woli, stał się jedną z przyczyn utrudnienia mojego położenia jako ministra, bo ostrzy krytycy, jakimi są zawsze podwładni, przykładali do mnie miarę mego ojca. Największy komplement, który przecie usłyszałem od jednego doskonałego inżyniera, brzmiał: „Pan zupełnie jak ojciec pański!” Ojciec został w niedługim czasie szefem całego departamentu budowlanego w Namiestnictwie. W r. 1905, tj. w 43 lata po skończeniu akademii technicznej, a w 65 roku swego życia przeszedł na emeryturę.

## 2.

**Niemieckie gimnazjum. – Trudności językowe. Prof. Gerstman. Stach Nowacki. Żakowskie kawały. Smutny koniec przyjemnej wyprawy na Wysoki Zamek. Poprawka z łaciny u prof. Majchrowicza.**

Przenieśliśmy się do Lwowa w 1881 r. Z trzeciej gimnazjalnej od Jacka, w którym najślabszą moją stroną był język niemiecki, przeszedłem w listopadzie 1881 do II gimnazjum<sup>21</sup> przy Wałach Gubernatorskich, naprzeciwko kościoła karmelitów, jedyne lwowskiego, w którym językiem wykładowym pozostała niemczyzna. Kolegami moimi byli w jednej trzeciej Polacy, w jednej trzeciej Żydzi, a reszta Rusini, przeważnie moskalofile. Znalazłem tam od razu serdecznego druha i przyjaciela w osobie Staszka Nowackiego<sup>22</sup>. Z nazwisk kolegów pamiętam Leisnera Jana, Lewandowskiego Mikołaja, Leżańskiego Ryszarda, Michalewskiego Romualda, Moszczeńskiego Jana, Piątkowskiego, Skarbka Aleksandra, Strojnowskiego Alfreda, Womełę Stanisława – Polaków, Magida, Popiela, Schleyena Adolfa<sup>23</sup> – Żydów, Kossara<sup>24</sup>, Markowa Dymitra<sup>25</sup> – Rusinów. Miejsce dostałem, jedyne, które

<sup>21</sup> C. K. II Wyższe Gimnazjum z niemieckim językiem wykładowym we Lwowie – istniejące od 1818 r. jako gimnazjum dominikańskie, od 1850 r. zostało rozporządzeniem ministerialnym zmienione na ośmioklasowe wyższe gimnazjum męskie.

<sup>22</sup> Stanisław Nowacki – bliski przyjaciel Jędrzeja Moraczewskiego.

<sup>23</sup> Adolf Schleyen (1868–1926) – elektrotechnik, działacz socjalistyczny, członek PPSD, jeden z założycieli lwowskiego dwutygodnika „Robotnik”. W Polsce niepodległej pracował w przemyśle elektrycznym.

<sup>24</sup> Gregor Kosar (1867–1918) – kapłan greckokatolicki.

<sup>25</sup> Dmytro Markow (1868–1938) – ukraiński działacz społeczny, publicysta i polityk, zwolennik ruchu moskalofilskiego, kapłan greckokatolicki (zwolniony ze ślubów), adwokat.

w przepelnionej sali jeszcze pozostało, na bocznej „ośle” ławie, między Nowackim i Leisnerem, krótkowidzami. Magid, wiekiem najstarszy, wzrostem najwyższy, w rękach najsilniejszy w klasie, wziął mnie w obronę przed biciem przez kolegów. „VorcuGIem”<sup>26</sup> był Leżański. Nie mogłem sobie dać rady z niemieckim. Z łaciny, przez Neposa<sup>27</sup> jakoś się prześliznąłem. Greci uczyli nas ks. dr Ogórek<sup>28</sup> (gr. kat.) bardzo dobry i łagodny człowiek, więc i przez nią przebrnąłem z trudem, nie tyle moim, co profesora. Ale klasę ukończyłem z poprawką z języka niemieckiego. Ojciec nastawał, bym koniecznie opłonił ten język, więc nie pozwolił mi zdawać poprawki, rozumując całkiem logicznie, że przecież w czasie półtora miesiąca wakacji nie mogę nauczyć się wiele po niemiecku, przeto lepiej, żebym klasę powtarzał. Jako repetentowi poszło mi nie najgorzej. Ten drugi rok w trzeciej klasie skończyłem z lokacją 12. W czwartej ugrzęzłem na Cezarze<sup>29</sup>. Dobry pedagog, profesor Majchrowicz<sup>30</sup>, poznał, że łaciny nic nie umiałem. Bo i słusznie. Miałem tłumaczyć z łaciny, której nie rozumiałem, na język niemiecki, którego nie umiałem, a w którym uczono mnie przecież gramatyki łacińskiej. To samo było z matematyką, przyrodą, historią, greką. Najlepiej szły mi, wykładane po polsku, religia i historia polska (historia kraju rodzinnego). Gdy w dodatku ciężki tyfus brzuszny powalił mnie w listopadzie i grudniu do łóżka, odechciało mi się uczyć. Nie dziwota, że z tego gimnazjum nie wyniosłem przyjemnych wspomnień. Bić nas nie bito. Jeden tylko raz uderzył, w trzeciej klasie, jednego z kolegów prof. historii powszechnej i polskiej, Teofil Gerstman<sup>31</sup>, którego byłem zresztą najlepszym uczniem. Rozczytywałem się właśnie w *Dziejach Rzeczypospolitej* mego dziadka, więc umiałem wiele więcej od tego, co nam profesor wykladał. Otrzymałem od niego z przedmiotu stopień „znakomity” (stopnie z przedmiotów były następujące: 1) znakomity, 2) celujący, 3) chwalebny, 4) zadawalający, 5) dostateczny, 6) niedostateczny, 7) wcale niedostateczny. Dostawał „pierwszą” (świadectwo pierwszej klasy) kto z żadnego przedmiotu nie miał 6 ani 7 stopnia, otrzymał „dwóję”, kto miał z jednego, dwóch lub trzech przedmiotów szósty stopień. Więcej szóstek lub jedna siódemka z przedmiotu oznaczała „tróję” <świadectwo trzeciej klasy>].

<sup>26</sup> Właśc. *Vorzug* (niem.) – tu w znaczeniu pierwszy w klasie, najlepszy uczeń.

<sup>27</sup> Cornelius Nepos (ok. 100–24 r. p.n.e.) – rzymski historyk i biograf.

<sup>28</sup> Józef Ogórek (zm. 1917) – nauczyciel łaciny i greki.

<sup>29</sup> Juliusz Cezar (100–44 r. p.n.e.) – rzymski polityk, wódz i dyktator.

<sup>30</sup> Franciszek Majchrowicz (1858–1928) – pedagog i historyk wychowania, nauczyciel w gimnazjach lwowskim i stanisławowskim, dyrektor gimnazjum w Drohobyczu.

<sup>31</sup> Teofil Gertsman (1843–1907) – doktor filozofii, nauczyciel historii i języka niemieckiego głównie w szkołach lwowskich, publicysta, działacz społeczny, wieloletni radny miejski. W latach 1889–1906 dyrektor I Szkoły Realnej we Lwowie.



Kolega Lewandowski, pytany o czasy Bolesława Śmiałego<sup>32</sup>, nie umiał lekcji. Gerstman, nie ruszając się z miejsca, spokojnym głosem wywołał go z ławki, przyzwał do siebie do katedry i na zimno, z rozmachem, uderzył go w twarz. Nic w życiu późniejszym tak mną nie wstrząsnęło jak ten czyn profesora, najżyczliwszego dla mnie z całego grona nauczycielskiego i któremu odpłacałem, aż do tego jego brutalstwa, sympatią za sympatię. W szkołach nie byłem więcej świadkiem bicia uczniów przez profesora.

W 1882 r. sprzedał ojciec pani Szczanieckiej swoją wieś pod Poznaniem, Naramowice, i kupił we Lwowie dom poklasztorny z trzymorgowym ogrodem w górze ul. Garncarskiej (później Mochnackiego), tuż za pałacem Sanguszki. W oficynie tego pałacyku mieszkali kol[edzy]: Strojnowski i o trzy lata od nas młodszy Chołoniewski<sup>33</sup> (tytułujący się potem Myszką). Razem ze Stachem Nowackim utworzyliśmy trochę baciarski zespół. Staszek mieszkał z rodzicami przy ul. Krzywej. Jego ojciec Leon<sup>34</sup> dr med., powstaniec, emigrant z Królestwa, lekarz kolejowy (w dyrekcji lwowskiej) był synem dr. Michała Nowackiego, naczelnego lekarza szpitala, założonego we Włocławku przez niego i Izabelę Zbiegniewską<sup>35</sup>. Leon [?], przed powstaniem, założył w tymże mieście ochotniczą straż ogniową i kuchnię dla najuboższych. Był tam pod wpływem Zbiegniewskiej, wybitnej patriotki, nauczycielki i działaczki.

Wracam do naszej czwórki. Idąc ze szkoły do domów, bardzo sumiennie dzwoniliśmy do bram domów w ciasniejszych ulicach na stróżów. A już na ulicy Krzywej niepokoiłszy dzwonieniem wszystkie domy, z wyjątkiem stróża kamienicy, w której mieszkali państwo Nowaccy. Okna parterowe żydowskiego warsztatu krawieckiego, z wejściem od ul. Batorego, wychodziły na ul. Krzywą. Codziennie zamykaliśmy szczelnie okiennice i szczepiali zewnętrzne ich haczyki ze sobą, pozbawiając krawców jedyne światła. Pracujący przy tych oknach, nie mogąc okiennic z wewnątrz otworzyć, musieli biec z Batorego na Krzywą, a my tymczasem bujaliśmy i dzwonili po całej Chorążczyźnie<sup>36</sup> lub Zimorowicza<sup>37</sup>. Trwała ta sielankowa zabawa bodaj

<sup>32</sup> Bolesław Śmiały (ok. 1042–1081 lub 1082) – książę polski w latach 1058–1076, król Polski w latach 1076–1079. Po zatargu z biskupem krakowskim Stanisławem i wybuchu buntu możnych król musiał uchodzić z kraju. Zmarł na Węgrzech.

<sup>33</sup> Tomasz Chołoniewski – ur. w 1870 r. w Kawsku, uczeń III gimnazjum w latach 1882–1886.

<sup>34</sup> Leon Nowacki (1846–1905) – lekarz, uczestnik powstania styczniowego. Studia ukończył w Uniwersytecie Jagiellońskim, praktykę odbywał we Lwowie.

<sup>35</sup> Izabela Zbiegniewska (1831–1914) – nauczycielka, działaczka społeczna i publicystka. Z jej inicjatywy powstał we Włocławku szpital miejski i biblioteka. W czasie powstania styczniowego zorganizowała Komitet Opieki nad Więźniami we Włocławku.

<sup>36</sup> Chorążczyzna – nazwa ulicy we Lwowie, obecnie ul. Czajkowskiego.

<sup>37</sup> Zimorowicza – nazwa ulicy we Lwowie, obecnie ul. Dudajewa.

cały rok. Jak w szkole byliśmy niepilni i niesystematyczni, tak w tej robocie przeciwnie: sumiennie pracujący pedanci. Nareszcie i cierpliwość krawców okazała się ograniczoną. Raz, właśnie odhaczamy od ścian okiennice, by je zamknąć, aż tu naraz hurma krawców ruszyła na nas z wielkimi kijami w rękę i z wielkim hałasem, takim, od którego ongiś runęły mury potężnej fortyfikacji. My za katapulki<sup>38</sup> i też w krzyk... ze strachu! Na nasze szczęście nadeszło kilku murarzy, którzy, wołając: „Żydy biją dzieci katolickie”, runęli na krawców. Wystrzeliliwszy na Żydów po kilka lotek, daliśmy nura z tego placu boju i pogromu żydowskiego i z czystym sumieniem dzwoniłiśmy do dalszych domów. Nie dowiedziałem się, jak się ten bój w obronie „uciśnionej katolickiej niewinności” skończył, ale zamknąwszy potem jeszcze raz czy dwa okiennice, musieliśmy raz na zawsze unikać ulicy Krzywej. Mściwi, widocznie wówczas pobici krawcy podmówili i zorganizowali stróżów. Naszą słabą stroną było, że zawsze o tej samej porze, po nauce, między 11h a 12h dzwoniłiśmy do bram i zamykali światło krawcom. Tedy zorganizowani nareszcie stróżowie bardzo cierpliwie zasiedli o tej porze na nas z drągami w rękę na całej ulicy Krzywej. A gdy my, nie przeczuwając niebezpieczeństwa, zabraliśmy się jednego dnia do wykonania naszej zwykłej roboty, znaleźliśmy się w nie lada opresji. Rozpuściwszy nogi i oberwawszy, niewiele, ale dotkliwie, z ledwością uszliśmy zupełnej klęski, wpadłszy we czwórkę do kamienicy, z mieszkaniem Staszka. Udało się nam zatarasować bramę. Stróż tego domu trzymał z nami, tedy pomógł nam uciec do mieszkania Nowackich, sam jeden wytrzymując napór siedmiu czy więcej stróżów na bramę. Posiedziawszy dłuższy czas w mieszkaniu doktora, udało nam się w pojedynkę przemknąć do domów. Od Staszka wiedzieliśmy, że stróże wciąż na nas czatują, tedy wrodzona ostrożność kazała nam zakończyć heroiczne wyczyny na ulicy Krzywej we Lwowie.

Raz jeden odsiadywałem w gimnazjum kozę. Wsadził mnie katecheta ks. Lubomęski<sup>39</sup>. Zamiast uczestniczyć w przygotowaniu do spowiedzi, namówił Lewandowskiego, by chyłkiem wykraść się na Wysoki Zamek. Tam zawieźliśmy parę taczek na kopiec i podziwiali wiosenny ciąg gęsi i żurawi. Kilka sznurów gęsi z głośnym gęganiem ciągnęło prawie tuż nad naszymi głowami, klucze żurawi wyżej. Myśmy podziwiali wiosenne ciągi ptaków, a nasz katecheta, przez nas niedostrzeżony, podziwiał nasz wiosenny ciąg na Zamek. Koniec był żałosny. Mimo że już żadnej ślizgawki nie było, a lód był jak kasza, musiałem w domu udawać, że idę na ślizgawkę, wziąłem

<sup>38</sup> Katapulka – proca.

<sup>39</sup> W oryginale Lubowiedzki. Zenon Lubomęski (1838–1914) – ksiądz rzymskokatolicki, kapłan diecezjalny we Lwowie, proboszcz parafii przy Bazylice Metropolitarnej we Lwowie.

łyżwy i poszedłem na cztery godziny do karceru. Majchrowicz gospodarz klasy, zadał nam „ekstemporale”<sup>40</sup> tj. tłumaczenie z niemieckiego na łacinę. Cośmy za łacińskie brednie powypisywali łatwo pojąć, skoro się zważy, że nie było od kogo odpisać. Profesor postawił nam trójkę, która zaważyła, że skończyłem czwartą klasę z poprawką z łaciny.

Aby mnie zachęcić do nauki w czasie wakacji, przyrzekł mi ojciec przeniesienie, po zdaniu poprawki, do polskiego gimnazjum. W Galicji było wtedy 31 państwowych gimnazjów i szkół realnych. W tym 2 niemieckie (Lwów i Brody), jedno ruskie (Lwów), 28 polskich. Prywatnych nie było. Łatwo to było powiedzieć: zabrać się do nauki, ale trudniej wykonać. Miałem dwa wyjścia: albo nauczyć się łaciny tak, aby móc tłumaczyć Cezara, albo wykuć w niemieckim języku całą opowieść wielkiego wodza rzymskiego o wojnie z Gallami na pamięć tak, aby wiedzieć, w którym miejscu tekstu łacińskiego, co deklamować po niemiecku. Ani jednego, ani drugiego nie dało się w ciągu półtora miesiąca wykonać. Nie potrzebuję wspominać, że rozkosze wakacyjne odpychały od książki. Przy zdawaniu poprawki Majchrowicz zawyrokował, przyznam, że trafnie: „Osioł jesteś! Nic nie umiesz łaciny! Powtarzaj czwartą klasę”. Perspektywa dalszej męki w niemieckim gimnazjum skłoniła mnie do szczerości. Profesor zmiękł, a może ucieszyła go nadzieja pozbycia się słabego ucznia, dość że kazał mi przyjść za trzy dni na poprawkę poprawki.

Musiałem dobrze głową nakręcić, żeby się w domu wykłamać i wmówić w ojca, że jeszcze nie ma wyniku z egzaminu. Trzeciego dnia, usłyszawszy jeszcze raz sakramentalne zapewnienie, że jestem osioł, otrzymałem świadectwo odejścia ze stwierdzeniem, że przy egzaminie poprawczym wykazałem dostateczny postęp w łacinie. Jak burza wpadłem do trzeciego lwowskiego gimnazjum Franciszka Józefa<sup>41</sup> i z dumą wróciłem do domu jako uczeń 5 klasy polskiego gimnazjum. Działo się to 3 lub 4 września [1884 r.]. Najbardziej zdumiony był ojciec: „A ja byłem pewien, żeś poprawki nie zdał, tylko nam głowę kręcisz!”.

---

<sup>40</sup> *Ekstemporale* (łac.) – ćwiczenie polegające na tłumaczeniu tekstu z jednego języka na drugi, zazwyczaj bez przygotowania.

<sup>41</sup> C. K. Gimnazjum im. Franciszka Józefa – założone w 1858 r. jako czteroklasowe, początkowo jako filia II gimnazjum, od 1867 r. ostatecznie zatwierdzone jako ośmioklasowe wyższe gimnazjum męskie.

### 3.

**Gimnazjum Franciszka Józefa, Oddział A. Profesorowie Próchnicki, Kubala, Kwiatkowski, Algierski, Petelenz. Awantura z gliną. Ks. kan. Willomitzer, Ks. Jougan, Majerski, Kilarski, Filipowicz, Fiderer.**

Z tego III gimnazjum wyniosłem dużo dobrej nauki, miłe wspomnienia i charakter. Nie rozumiem pisarzy szkalujących galicyjskie gimnazja ówczesne i późniejsze. Chyba że sami byli i są marnymi ludźmi. Z tego, co sam przeżyłem i co słyszałem od kolegów w czasie studiów akademickich, wypływa tylko jeden wniosek – polskie szkolnictwo średnie w Galicji stało na odpowiednio wysokim poziomie. Nie zauważyłem, by w późniejszych czasach szkoła, tj. plan nauk i zespół pedagogów, uległ zepsuciu. Raczej przeciwnie.

Nauki w tym gimnazjum poszły mi nie najgorzej. Nie miałem zdolności do języków, więc nie lubiłem filologii. O mych zdolnościach do języków świadczy fakt, że po trzyletniej nauce w niemieckim gimnazjum, w polskim gimnazjum w pierwszym półroczu dał mi profesor Zaremba<sup>42</sup> z niemieckiego dostatecznie mniej w części pisemnej! Rok służby wojskowej z niemieckim wykładem, z niemiecką komendą, 12 lat czynnej pracy przy budowie kolei, w której wszystkie pisma, druki, raporty, sprawozdania trzeba było pisać po niemiecku, nie nauczyły mnie niemieckiej... Gdym po r. 1907 wygłaszał w parlamencie mowy po niemiecku, zauważył po kilku latach Daszyński<sup>43</sup>: „Zawsze Was podziwiam jak żonglujecie tymi derdiedasami!<sup>44</sup> Wedle jakich zasad? Byłoby jeszcze pół biedy gdybyście stosowali rodzaje rzeczowników w języku niemieckim do języka polskiego. Ale nic podobnego! Poza tym bardzo konsekwentnie używacie na wywrót odmian słabych i mocnych przy czasownikach. Bajecznie! Bajecznie!” Śmiałem się serdecznie z tych, zresztą trafnych, uwag. Mimo istotnych chęci, usiłowań i dużej sposobności nie nauczyłem się po rusku ani po kroacku, ani po czesku. Łaciny, zwłaszcza greki (bardziej przypadła mi do gustu niż łacina) przymuszony rygiem szkolnym i obawą wstydu, gdybym nie dostał promocji, poduczałem się trochę, a zresztą pomagałem sobie notatkami, które otrzymywałem od kolegów z wyższych klas, a zwłaszcza od mojego ciotecznego brata Karola

<sup>42</sup> Stanisław Zaremba – nauczyciel jęz. niemieckiego i łaciny.

<sup>43</sup> Ignacy Daszyński (1866–1936) – polityk socjalistyczny, poseł do austriackiej Rady Państwa, przywódca galicyjskiej PPSD, po odzyskaniu niepodległości marszałek Sejmu w latach 1928–1930 i wielokrotny poseł.

<sup>44</sup> *Der, die, das* – rodzajniki w jęz. niemieckim.

Brudzewskiego<sup>45</sup>. Były w nich przygotowania (preparacje), słówka i tłumaczenia. Innych przedmiotów uczyłem się chętnie, więc szły mi lżej, czasem ciężiej, zależnie od profesora.

Przeważali pierwszorzędni profesorowie. Chodziłem do oddziału A, a Stach Nowacki, który rok później też przeszedł do tego gimnazjum, dostał się do oddziału B. W naszym oddziale było nas od 37 do 40. Do matury siedzieli 40. W oddziałach A skupieni byli, obok Polaków, wszyscy Rusini, a w B – Żydzi. Ten podział narodowy miał swoje uzasadnienie. Skutkiem niego w każdej klasie przeważali Polacy. Mimowolna asymilacja... ile nie asymilacja, w każdym razie świadomość przewagi Polaków była tego następstwem. W naszej klasie było 6 do 8 Rusinów, a w B, 13 do 15 Żydów. Koledzy Żydzi wyszli ze szkoły Polakami, a Rusini nie stali się naszymi wrogami. Ale też i my nie robiliśmy między sobą różnic z powodów narodowych czy rasowych. Lokację pierwszą miał u nas Wajgart<sup>46</sup>, Polak, drugą Połotnicki<sup>47</sup>, Rusin, trzecią Podkowicz<sup>48</sup>, Rusin, czwartą Fabiański<sup>49</sup>, Polak i w tym porządku siedzieli w pierwszej ławce. Nie wyszliśmy z ław szkolnych wrogami ani Rusinów, ani Żydów. Wprost przeciwnie. Z gimnazjum nie wyniosłem ani szczypty antysemityzmu, zaś do Rusinów, późniejszych Ukraińców, więcej niż sympatię. Moskalofilów w naszej klasie nie było, za to trzech greckokatolickich uważało się za Polaków i takimi pozostali. Autorem tej sielanki narodowej było po części pożycie koleżeńskie, a po części nasz gospodarz<sup>50</sup> klasy Franciszek Próchnicki<sup>51</sup>. Nie pamiętam, aby kogokolwiek ukarał inaczej niż słowami. A przecież klasę trzymał mocno w ryzach. Znał studentów, których prowadził od pierwszej do ósmej klasy, na wylot. Znał każdego zdolności, pilność, charakter. Wiedział, jak z każdym z nas postępować. Nic dziwnego. Osiem lat, po 10 godzin tygodniowo (uczył łaciny i polskiego) siedział na katedrze lub chodził po klasie i uczył tych samych chłopców. Jak mi

---

<sup>45</sup> Karol Brudzewski (1868–1935) – lekarz okulista, rzeźbiarz amator, syn siostry Macieja Moraczewskiego, Zofii i Edwarda Brudzewskiego.

<sup>46</sup> Jan Waygart (1870–1924) – ur. w Macoszynie, uczeń gimnazjum w latach 1881–1888, doktor prawa, c. k. urzędnik m.in. w Prokuraturii Skarbu we Lwowie i Ministerstwie Robót Publicznych Galicji. W czasie I wojny światowej oficer w armii austriackiej. W II Rzeczypospolitej oficer w wojsku polskim, urzędnik w Ministerstwie Spraw Wojskowych.

<sup>47</sup> Włodzimierz Połotnicki – ur. w 1866 r. we Lwowie, uczęszczał do szkoły w latach 1884–1888.

<sup>48</sup> Stanisław Podkowicz – ur. w 1869 r. w Pienianach, uczeń gimnazjum w latach 1881–1888.

<sup>49</sup> Jan Fabiański – ur. w 1867 r. w Berlinie Brodzkim, uczęszczał do klasy w latach 1881–1888.

<sup>50</sup> Tu w znaczeniu wychowawca.

<sup>51</sup> Franciszek Próchnicki (1847–1911) – polonista i filolog klasyczny, nauczyciel gimnazjalny, zatrudniony w Gimnazjum im. Franciszka Józefa od 1874 r., od 1892 r. dyrektor V Gimnazjum we Lwowie.

raz powiedział: „Moraczewski! I ty tak postępujesz? Tego się po tobie nie spodziewałem!”. Myślałem, że ryknę bekim, tak mnie do żywego poruszył. A trzeba dodać, że nie lubiłem ani łaciny, ani wspólnego czytania polskich klasyków małymi dawkami, jak plan nauk przewidywał. Po prostu kochałiśmy wszyscy naszego gospodarza klasy, uznawali w nim kogoś wyższego, kogoś, kto z natury miał prawo nami kierować. Nie miał żadnego przewiśka. Bardzo miłe były majówki pod jego kierunkiem. Rozmawiał z nami, baraszkował, a czasem brał udział w naszych zabawach jak starszy kolega, czy to w lasach lesienickich, czy na czortkowskiej skale, czy na Pohulan- ce, czy w Kajzerwaldzie<sup>52</sup>. Na majówkach starał się skontrolować stopień naszego napięcia patriotycznego. Tępił w nas przede wszystkim kłamstwo, obłudę, oszustwo. On to obudził we mnie obrzydzenie do wszelkiej nieuczci- wości w życiu prywatnym i publicznym.

Drugim profesorem, który wywarł na mnie wielki wpływ był Ludwik Ku- bala<sup>53</sup>. Uczył w siódmej historii. Zachwycał jego wykład, zwłaszcza gdy mógł powiązać wykłady z historii powszechnej z dziejami Polski. Na godzinach hi- storii polskiej bywał niezrównany. Oczywiście nie trzymał się podręcznika pana Anatola Lewickiego<sup>54</sup>. Chociaż i w czasie wykładów historii powszechn- ej słuchała go klasa z zapartym tchem. Raz na wykładzie dziejów angielskich doszedł do momentu ujęcia władzy przez parlament. Od razu podjął temat porównania dziejów powstania i rozwoju trzech parlamentów: an- gielskiego, polskiego i węgierskiego. Dzwonek wydzwonił koniec nauki. Pro- fesor tego nie zauważył. Drżeliśmy, żeby któryś nie wyrwał się i nie zwrócił mu uwagi, że czas do domu. Ale nikt nie przerwał ciszy w jakiej słuchaliśmy prawdziwie uniwersyteckiego wykładu, przeszło trzy kwadransy po dwu- nastej. Kubalę zmęczyć musiał wykład, więc patrzy na zegarek i pyta: „Czy już dzwoniło?”. Ktoś wybąkał „tak”. Profesor zdziwiony i nieco wzruszony bardzo miękko nas spytał: „Czemuście mi nie zwrócili uwagi?”.

Odpowiadałem przed nim raz tylko. Pytał mnie z dziejów Jakuba II Stu- arta<sup>55</sup>, a że właśnie czytałem wtedy, ba! połykałem, trzeci czy czwarty tom klasycznego dzieła Macaulaya<sup>56</sup> *Dzieje Anglii*, więc odpowiedziałem nie

<sup>52</sup> Pohulanka, Kajzerwald – dzielnice Lwowa.

<sup>53</sup> Ludwik Kubala (1838–1918) – historyk, nauczyciel gimnazjalny, członek Towarzystwa Historycznego we Lwowie.

<sup>54</sup> Anatol Lewicki (1841–1899) – historyk mediewista, profesor Uniwersytetu Jagielloń- skiego, autor podręcznika *Zarys historii Polski i krajów ruskich z nią połączonych* (1884).

<sup>55</sup> Jakub II Stuart (1633–1701) – król Anglii i król Szkocji jako Jakub VII. Panował w latach 1685–1688.

<sup>56</sup> Thomas Babington Macaulay (1800–1859) – brytyjski pisarz i historyk, poseł do par- lamentu z ramienia wigów. Dzieło, o którym mowa, pt. *Dzieje Anglii od wstąpienia na tron Jakuba II*, zostało wydane na ziemiach polskich po raz pierwszy w 1874 r.

z podręcznika, nie z wykładu, tylko z Macaulaya. „Co ty czytasz?” – zapytał. Gdy mu powiedział i gdy się na zapytanie dowiedział, że jestem wnukiem Jędrzeja Moraczewskiego i że już dwa razy przeczytałem jego główne dzieło, nie pytał mnie więcej z historii. Było mi to nawet nieprzyjemnie, bo na każdą godzinę historii byłem zawsze dobrze przygotowany.

Inny profesor historii Saturnin Kwiatkowski<sup>57</sup> nauczył mnie pracować. Ostry jako nauczyciel. Na pierwszej lekcji historii w ósmej klasie zapowiedział, że od poniedziałku będzie pytał całej starożytnej. Zawaleni innymi przedmiotami nie zaglądaliśmy do starożytnej. A on naprawdę zaczął pytać o którąś tam wojnę punicką<sup>58</sup> czy o peloponeską<sup>59</sup>, a może o reformy Grakchów<sup>60</sup>. Dziesięć dwój wlepił jednego dnia i zapowiedział, że nie dopuści nikogo do matury, kto nie będzie śpiewał historii jak kanarek. Rzuciłem wszystkie przedmioty i niedziela, nie niedziela zatopiłem się w historii starożytnej. Po tygodniu powtórzyłem całą. Przez miesiąc pytał nas starożytnej, po czym, z lekcji na lekcję, zadał średniowieczną, po miesiącu nowożytną, potem polską. A równocześnie, zgodnie z planem nauk, braliśmy historię i statystykę Austrii, przeto przez kilka miesięcy przed maturą zmusił nas wszystkich do wyuczenia się *expedite*<sup>61</sup> historii. Ale trzeba było po nocach się uczyć i do dnia wstawać.

Mieliśmy także gorszych historyków. W 5 i 6 klasie uczył nas historii Kasper Algierski<sup>62</sup>. Uczył, ale niczego nie nauczył. Miał przydomek „But”. Koledzy twierdzili, że przed zmianą nazwiska nazywał się naprawdę But. Faktem jest, że do pasji można go było doprowadzić przez narysowanie na tablicy buta. Czasem przychodził na lekcję podgazowany. Dobre człeczysko, ale nie na profesora. Był istotnie wyjątkiem. Natomiast taki Samolewicz<sup>63</sup>,

---

<sup>57</sup> Saturnin Kwiatkowski (1856–1902) – historyk, nauczyciel gimnazjalny, następnie pracownik ministerstwa oświaty i wyznań w Wiedniu. Członek Towarzystwa Historycznego we Lwowie.

<sup>58</sup> Wojny punickie – konflikty zbrojne między Rzymem a Kartaginą trwające z przerwami od 264 do 146 r. p.n.e.

<sup>59</sup> Wojna peloponeska – konflikty zbrojne pomiędzy Atenami i Spartą. I wojna peloponeska toczyła się w latach 460–446/445 r. p.n.e., II. zaś w 431–404 r. p.n.e.

<sup>60</sup> Reformy Grakchów – reformy przeprowadzone w starożytnym Rzymie przez Tyberiusza i Gajusza Grakchów w drugiej połowie II w. p.n.e.

<sup>61</sup> *Expedite* (łac.) – doskonale, bardzo dobrze.

<sup>62</sup> Kasper Algierski – ur. w 1847 r. w Wojsławiu, ukończył studia na Uniwersytecie Lwowskim, pod kierunkiem Ksawerego Liskego, pracował jako zastępca nauczyciela i nauczyciel w szkołach realnych i gimnazjach we Wschodniej Galicji. W III gimnazjum pracował w latach 1881–1887.

<sup>63</sup> Zygmunt Samolewicz (1842–1898) – filolog klasyczny, nauczyciel szkół średnich w Galicji, zatrudniony w Gimnazjum im. Franciszka Józefa od 1863 r. Dyrektorem wyżej wspomnianej placówki został w 1875 r., a w 1889 r. mianowany inspektorem szkół średnich na Wydziale Oświaty we Lwowie.

dyrektor gimnazjum, który uczył nas greki w siódmej albo Terlikowski, też grek, byli wybitnymi pedagogami i jako doskonali profesorowie, przez nas szanowani. Samolewicz nazywaliśmy z powodu brody „Szmulem”. Także Petelenz Ignacy<sup>64</sup>, profesor przyrody był wybitnym uczonym i doskonałym wykładowcą. Poza tym był pedagogiem swoistego rodzaju. Ale za dobre i dowcipne wykłady lubiliśmy go. Z jego okazji utkwiała mi w pamięci taka awanturka klasowa.

W naszym ogrodzie na Garncarskiej odkryłem gniazdo czystego, raczej szarego niż białego, plastycznego łu. Stach Nowacki, wyrocznia dla mnie w sprawach przyrodniczych, wmówił w nas, że to na pewno glinka dobra dla celów ceramicznych. I choć robione przez nas próby lepienia i wypalania garnków nie powiodły się, mimo że nie byliśmy świętymi, nie zachwiało to we mnie wiary w nieomyślność Stacha. Na razie plastyczność łu użytkowaliśmy na lepienie z niego kulek, których używaliśmy jako amunicji w walkach toczonych latem w ogrodzie. Wpadłem na „genialny” pomysł urządzenia takiej batalii w klasie. Przyniosłem dużą cegłę łu do szkoły na lekcje popołudniowe. Akurat wypadła lekcja botaniki, a po niej religia. Obdzieliłem kolegów surowcem, pokazałem, jak najpraktyczniej robić kulki i na wykładzie Petelenza zawrzała ostra walka. Profesor chodzi i wyklada, udaje, że nic nie widzi, choć kulki latają wkoło, a my walimy się na potęgę. Po jakimś czasie jednemu z kolegów sprzykrzyło się to bombardowanie, a może chciał posłuchać wykładu, więc obrócił się do tylnych ławek, mówiąc przyciszonym głosem i gestami: „Dosyć już!”. Oczywiście tym bardziej stał się celem pocisków wszystkich za nim siedzących. Zirytowany, nie obracając się, wyciągnął w tył rękę, zamachnął się, żeby pogrozić i mimo woli uderzył w twarz siedzącego tuż za nim. To wyprowadziło z równowagi Petelenza. Słyszał klask policzka, dojrzał bijącego i wpisał do dziennika, że A uderzył w twarz B. Od razu walka ustała. Zapanowała cisza grobowa. Wstyd przed Próchnickim i strach przed katabasem. Następną lekcją była religia. Uczył jej katecheta, stary, najstarszy z profesorów ks. kanonik Willomitzer<sup>65</sup>, mający obok ogólnie we lwowskich szkołach przyjętego dla katechetów przezwiska „katabas”, jeszcze i swoje własne „Wiloputzer”. Postrach całej szkoły. Przede wszystkim naukę religii uważał za przedmiot, którego trzeba się uczyć tak samo jak łaciny lub fizyki. Żądał, aby piątacy kuli dogmatykę ogólną, a szóstacy dogmatykę szczegółową. Szpikował te dogmatyki cytatami z pism

---

<sup>64</sup> W tekście Karol. Mowa jednak o Ignacym Petelenzu (1850–1911) – nauczycielu gimnazjalnym, przyrodniku i pośle do austriackiej Rady Państwa. Brat Ignacego Karol Petelenz (1847–1930) był również nauczycielem, filologiem, ale do 1889 r. pracował w gimnazjum św. Jacka w Krakowie.

<sup>65</sup> Edward Willomitzer – profesor religii.



Ojców Kościoła<sup>66</sup>, oczywiście dyktowanymi nam w łacinie kościelnej. Kto by się chciał ich uczyć i zachować przez cały rok w pamięci, jak tego katabas wymagał, musiałyby odłożyć wszystkie inne książki na bok i uczyć się tylko dogmatyki, a właściwie tych cytatów, będących wyłącznie balastem, obciążającym młode mózgi. Rezultat – nikt z nas nie uczył się dogmatyki, a że ksiądz był ostry, więc walił bez ceremonii dwóje nie tylko w swoim katalogu, ale i w świadectwach półrocznych i rocznych. Niejeden przez niego musiał klasę repetować, przeto radziliśmy sobie, jak się dało. Wypisywaliśmy te cytaty na manszetach<sup>67</sup>, na podszewkach surdutow (mundurków w gimnazjach jeszcze nie zaprowadzono), na katedrze, na ścianie koło katedry, czasem na tablicy. Niewiele pomagało. Choć ksiądz był starcem, niełatwo go było podejść. Znał na wylot wszystkie nasze sposoby i sposobiki. Słuch i wzrok miał znakomity. Podpowiadanie usłyszał pierwiej niż ten, któremu podpowiadano. „Ty musisz dobrze umieć, skoro podpowiadasz. Chodźcie obaj na środek. Tu teraz odpowiadaj to samo, co podpowiadałeś. Więc mów, jak to pisał św. Augustyn<sup>68</sup> o naturze ludzkiej Chrystusa!” Zdechł pies! Brali dwóje obaj. Biada temu, na kogo miał oko. Miał wiele słabych i śmiesznych stron, które oczywiście studenci wyłapali. Dumny był bardzo ze swego kanonikowstwa, wrogiem był każdego, kto go tytułował „katechetą”, a nie „kanonikiem”. Tedy wesoły kpiarz Tadeusz Sochanik<sup>69</sup> (chodził dwie klasy wyżej ode mnie) spryciarz we wszystkim (prócz nauki), całując go raz ostentacyjnie w rękę, nazwał go księdzem biskupem. Żachnął się Willomitzer: „Co ty bajasz? Nie jestem biskupem tylko kanonikiem!”. „Tak!, ale my wszyscy życzymy naszemu kochanemu ks. kanonikowi fioletów biskupich”. Sochanika do końca roku z religii nie pytał i dał mu dobry stopień. Sochanik przyniósł raz na lekcję religii skrzypce i dobrze zorganizował pocztę pod ławkami. Katecheta męczy kogoś w jednym końcu klasy cytatami, gdy w drugim końcu załkał cieniutki głos skrzypiec. Nim katecheta dobiegł w stronę Sochanika, już skrzypce dźwięczą w drugim końcu obszernej sali. Willomitzer biegnie w tamtą stronę, aż tu z pierwszych ławek płaczą struny baranie. Zmęczył się, a skrzypiec nie złapał, dzwonek zadzwonił i dręczony cytatami ocalał. Często w mowie mylił się i przekręcał wyrazy. Pamiętam jak na przygotowaniu

<sup>66</sup> Ojcowie Kościoła – najważniejsze postacie pierwszych wieków chrześcijaństwa.

<sup>67</sup> Manszet – dawniej mankiet.

<sup>68</sup> Św. Augustyn z Hippony (354–430) – filozof, teolog i pisarz, jeden z ojców i doktorów Kościoła, święty w kościele katolickim.

<sup>69</sup> Tadeusz Sochanik (1866–1927) – uczęszczał do gimnazjum w latach 1877–1879 i 1886–1887, był bratem Marii Kozickiej, pierwszej żony Włodzimierza Kozickiego, który po jej śmierci ożenił się z Heleną Gostkowską, siostrą przyszej żony Autora *Wspomnień* Zofii, dzierżawca Borek Wielkich w powiecie tarnopolskim.

wyższego gimnazjum do spowiedzi, pouczając z zapałem, jakie są obowiązki chrześcijanina, jak powinien prawdziwy katolik swoje życie dostosować do tych obowiązków, palnął: „Kto tak nie żyje, kto tak nie postępuje, ten jest złym kanonikiem”. Miało być oczywiście „katolikiem”. Ale nawet Szmul zakrył sobie twarz, abyśmy nie dostrzegli, że zanosì się od śmiechu. Batorego<sup>70</sup> nazwał Batorym, Vergilego<sup>71</sup> Vergilem, Hozjusza<sup>72</sup> Hosiaczem. Zamiast „im gorzej tym lepiej”, powiedział raz „cimci gorzej cimci lepiej”. Nic dziwnego, że w szkole krążył o nim, przekazywany z pokolenia na pokolenie, wierszyk:

Znałem kapłana przed laty, który uczył młodzież szkolną.  
Był stary, łysy, nosaty. Swoją pracą nieudolną  
Zyskał nazwę ten mąż Boży: cimci lepiej cimci gorzej!  
W egzorcie<sup>73</sup>, którą wygłasza co niedzielę swoim stylem,  
Mieszka ze Skargą<sup>74</sup> Hosiasza, a Homera<sup>75</sup> z Vergililem.  
I wciąż plecie sługa Boży: Cimci lepiej cimci gorzej!

Reszty nie pamiętam.

Obaj zapisani do dziennika wpadli, na następnej po Petelenzu godzinie religii, w ręce naszego kanonika katechety. Ten przeczytał świeże pismo profesora i wywołał obu na środek. Jednego zapytał o tertuliański<sup>76</sup> dowód jakiegoś dogmatu, a drugiego o zdanie św. Augustyna o predestynacji! Łatwo sobie wyobrazić popłoch w klasie. Były to cytaty dyktowane w przeszłym półroczu, przed kilku miesiącami. Nikt w całej klasie, nawet Wajgart, na to pytanie by nie odpowiedział. Grobowa cisza... Zanim ksiądz wypowiedział sakramentalne: „Bić się umiesz, ale religii nie chce ci się uczyć! Masz tróję i marsz na miejsce”, wstałem i przyznałem się do autorstwa bójki, biorąc na siebie moralną pobudkę czynów zapisanych w dzienniku. Katecheta pokazał nam się w nieznanym dotąd świetle. Nie tylko puścił na miejsce obu wywołanych, bez wpisania im złego stopnia, ale przemówił po raz pierwszy ciepło i serdecznie do całej klasy. Do końca roku nie byłem z religii pytany.

---

<sup>70</sup> Stefan Batory (1533–1586) – książę siedmiogrodzki, od 1576 r. mąż Anny Jagiellonki i król Polski.

<sup>71</sup> Vergil – Wergiliusz (70–19 r. p.n.e.) – rzymski poeta, autor *Eneidy*.

<sup>72</sup> Być może mowa o Stanisławie Hozjuszu (1504–1579), biskupie i dyplomacie, sekretarzu królewskim Zygmunta I Starego, jednym z przywódców polskiej kontrreformacji.

<sup>73</sup> Egzorta – kazanie wygłaszane na pogrzebie lub w rocznicę śmierci.

<sup>74</sup> Piotr Skarga (1536–1612) – jezuita i kaznodzieja, czołowy przedstawiciel kontrreformacji w Polsce, autor *Żywotów świętych* i *Kazań sejmowych*. Nadworny kaznodzieja Zygmunta III Wazy.

<sup>75</sup> Homer (VIII w. p.n.e.) – uważany za ojca poezji epickiej. Autor *Iliady* i *Odysei*.

<sup>76</sup> Tertulian, czyli Quintus Septimius Florens Tertullianus (ok. 160–240) – rzymski myśliciel, filozof i pisarz, apologeta.

To szczęśliwe zakończenie zachęciło mnie tym bardziej do takiego samego wystąpienia przed gospodarzem klasy. Po moim przyznaniu, Próchnicki przede wszystkim zapytał, czy uderzony czuje się obrażonym czy nie, tj. czy uważa, że policzek był nieумыślny? Bijący stwierdził słowem honoru brak zamiaru uderzenia. Skrupiło się tedy wszystko na mnie: „Zamiast korzystać z wykładów tak wybitnego polskiego uczonego jakim jest prof. Petelenz, ty myślisz tylko o psych figlach i robieniu hecy na jego lekcji! Jaką Polska będzie miała z ciebie pociechę, jeżeli w tym wieku, w jakim jesteś, jeszcze nie przywykłeś do pracy i wolisz figle od nauki. Na najbliższej lekcji przeprosisz prof. Petelena”. W tym był cały Próchnicki!

Rusinów uczył religii ks. Łepki<sup>77</sup>, o którym oni dobrze mówili. Willomitzer, ostatni typ profesora z epoki niemieckiego w Galicji szkolnictwa, po tym roku szkolnym przeszedł na emeryturę i jakoś niedługo potem umarł. W siódmej uczył nas religii ks. Alojzy Jougan<sup>78</sup>, najwyższy wzrostem w całym gronie profesorskim, stąd słusznie „kilometrem” przezwany. Nauka religii przybrała całkiem inną postać. Przez etykę w siódmej przebrnęliśmy jakoż lekko i łatwo. Za to historia kościoła zaczęła być dla nas groźną, bo wносиła nieporządek w metodę przygotowania maturalnego, wprowadzoną przez Kwiatkowskiego. Żeby tedy uniknąć konieczności uczenia się jeszcze jednej historii, a raczej jeszcze jednego horyzontu patrzenia na dzieje (powszechne, Austrii, Polski, Kościoła), wprowadzili koledzy zwyczaj podnoszenia na lekcji religii kwestii bądź dogmatycznych, bądź etycznych, bądź liturgicznych, bądź obyczajowych, a nawet wiary i herezji. Utkwiła mi klasyczna dysputa z księdzem, która zajęła dwa tygodnie, bo pięć godzin religii, na temat: „Jak czesać włosy: na jeża, z przedziałkiem czy na maciusia?” Trzej zwolennicy każdego z tych sposobów czesania, opierając się na Piśmie Św. i dogmatyce, bronili swego czesania jako najestetyczniejszego. Ksiądz zwracał im uwagę na różne przemówienia Chrystusa. Nasi dysputowcy [s] odpowiadali na to na następnej godzinie. Tym sposobem nie mieliśmy przez cztery miesiące ani jednego wykładu religii i nikt nie był pytany. Swoją drogą klasa śledziła z zainteresowaniem te średniowieczem zalatujące dysputy.

Myśleliśmy, że nabieramy katechetę. Ale być może, że on to robił celowo i miał w tym system, podpatrzony u prof. Majerskiego Stanisława<sup>79</sup>, który, rok przedtem, na nauce polskiego w 6 klasie wprowadził, na szeroką skalę

<sup>77</sup> Onufry Łepki – ksiądz grekokatolicki, katecheta III Gimnazjum im. Franciszka Józefa we Lwowie, członek Akademii Umiejętności.

<sup>78</sup> Alojzy Jougan, właśc. Władysław Alojzy (1855–1942) – teolog, historyk kościoła, nauczyciel religii w Gimnazjum im. Franciszka Józefa we Lwowie.

<sup>79</sup> Stanisław Majerski – nauczyciel języka polskiego, geografii i historii.

system dysput (ja byłem wówczas w siódmej) w planie nauk były *Bajki* i *Satyry* Krasickiego<sup>80</sup>. Majerski klasę podzielił na pary. Jeden referował pisemnie, zadana tej parze bajkę, a drugi, koreferent, zapoznawszy się z referatem, krytykował go ustnie publicznie, po odczytaniu na lekcji referatu. Następową była replika i duplika. Ostatnie słowo miał profesor. Czasy referatów i przemówień były tak oznaczone, żeby na każdej godzinie można było załatwić trzy bajki. W drugiej kolejce role się zmieniały, koreferent stawał się referentem. Obaj mieli prawo udać się do profesora po wskazówki. Klasa nauczyła się krytycznie czytać, pisać, mówić, obradować, polemizować, szukać po książkach argumentów i wyjaśnień. Trzeba dodać, że na lekcji przewodniczył któryś ze studentów, zawsze inny. Całe wyższe gimnazjum zazdrościło szóstej klasie. A szóścacy chodzili dumni jak pawie, chwalili się nad miarę swoimi sukcesami w referatach i koreferatach. W dyskusjach wygrywali dowcipnisie. Niewątpliwie najulubieńszym przedmiotem, w tej klasie w tym roku, był język polski.

Niemieckiego uczył nas w szóstej klasie prof. Czernecki<sup>81</sup>, który miał dużą brodę i ubierał się stale w czamare<sup>82</sup>. Ceniony jako pedagog i jako człowiek, w siódmej i ósmej Kilarzki<sup>83</sup> (przezwisek nie wymyślone ani dowcipne – „Kilara”). Niezły chłop, acz zanudzał nas *Mesjadą* Klopstocka<sup>84</sup> i „*Sturm und Drang Periode*”<sup>85</sup>. Uczył nas też poetyki. Objaśniał np., że „oda jest to poemat liryczny, w podniosłym stylu, na wzniosły temat, na cześć uczucia lub czynu. Nie można napisać ody np. „do mojego futra”, tłumaczył popularnie swoją definicję. Stach Kaczurba<sup>86</sup>, który z nas wszystkich miał bodaj najwięcej weny poetyckiej, przyniósł Kilarze na drugą godzinę niemieckiego *Ode do futra pana prof. Kilarzkiego*. Wprawił profesora w kłopot, bo oda była bardzo zgrabnie pomyślana i doskonale napisana. Poświęcił ją autor pamięci tych zwierząt, z których futro było lub mogło być zrobione.

---

<sup>80</sup> Ignacy Krasicki (1835–1801) – biskup warmiński od 1767 r., arcybiskup gnieźnieński od 1795 r., poeta i prozaik.

<sup>81</sup> Józef Czernecki – nauczyciel jęz. niemieckiego.

<sup>82</sup> Czamara – strój męski na wzór węgierski, długie okrycie wierzchnie podbite futrem. W XIX w. uważany za strój narodowy i patriotyczny.

<sup>83</sup> Tadeusz Kilarzki – nauczyciel jęz. niemieckiego i łaciny.

<sup>84</sup> Friedrich Gottlieb Klopstock (1724–1803) – poeta niemiecki, autor *Mesjady* (wyd. 1748) poematu o śmierci i zmartwychwstaniu Chrystusa napisanego heksametrem.

<sup>85</sup> *Sturm und Drang Period* (niem.) – okres burzy i naporu – okres w literaturze niemieckiej w latach 1765–1785, jego najbardziej znanymi przedstawicielami byli Johann Wolfgang von Goethe (1749–1832) i Fryderyk Schiller (1759–1805).

<sup>86</sup> Stanisław Kaczurba – ur. w 1868 r. w Jaworowie, uczęszczał do gimnazjum w latach 1882–1888.

Prof. A. Filipowski<sup>87</sup>, który w siódmej i ósmej „pipczył” nas matematyką i fizyką, był bardzo wymagający i ostry, a równocześnie konsekwentny, sprawiedliwy, bez uprzedzeń i dla mniej zdolnych bardzo wyrozumiały. Klasa bała się go jak Kwiatkowskiego, ale i szanowała. Faktem jest, że przy maturze nikt z nas nie padł ani przez historię, ani przez matematykę i fizykę. Od nazwiska „Fipcia” urobiliśmy czasownik „pipczyć”, który wszedł w skład lwowskiego żargonu studenckiego. Jemu zawdzięczam to, co umiem z matematyki i fizyki. Strach przed nim zmusił mnie moralnie do uważania na lekcjach i powtarzania ich w domu. Po miesiącu jego nauczania przestałem się bać jego godzin.

Trzeba dodać, że jego poprzednik Służewski nie nauczył nas wiele matematyki. Zamiast niej uczył nas form towarzyskich, higieny, chodzenia i wielu innych rzeczy niedających się matematycznie obliczyć. Ta nauka nie była bynajmniej systematyczną, ot przygodnie słyszeliśmy od niego: „Chłopcze! Nie zapinaj surduta, miałem brata, który zapinał surduta, zahamował przez to rozwój płuc, dostał suchot i umarł. Chłopcze! Nie pochylaj się, miałem brata, który itd.... umarł”. „Chłopcze! Nie stój pod piecem, miałem brata, który... Chłopcze! Nie biegaj z otwartymi ustami, miałem brata, który... Chłopcze! Nie śliń ołówka, miałem brata...”. I tak bez końca, kilkadziesiąt recept higienicznych i kilkadziesiąt. Kikcio (Kikinger Edward<sup>88</sup>, później bardzo wzięty lekarz we Lwowie) naliczył coś 34 braci nieboszczyków!

Na profesora greki E. Fidererze<sup>89</sup> („Fedku”) chyba skończy obmawianie moich nauczycieli. Ten znał sztuczki studenckie jak żaden inny. A mimo tego łatwo było sobie z nim poradzić. Miał swoją piętę Achillesa, ową słynną cedułkę<sup>90</sup>, do której w początku roku kolejno wpisywał nazwiska, wytypowanych na wrywki, uczniów. Nie zaczynał drugiej kolejki dopóki cała klasa bez wyjątku nie odpowiadała. Porządek, a może system pierwszej kolejki był nam nieznany, przeto trzeba się było uczyć każdej lekcji, aby się nie dać złapać. Inaczej było potem, gdy w ściśle tej samej kolejności pytał drugi, trzeci i następne razy. Kaczurba, który z żelazną konsekwencją prowadził swój katalog, w którym każdemu z nas stawiał, wedle swej oceny, stopnie za nasze odpowiedzi, zorientował się w fedkowej cedułce i w przeddzień godziny greki wypisywał na tablicy nazwiska pięciu (tytu najwyżej było w ciągu godziny pytanych), którzy nazajutrz będą z greki pytani. Nie zdarzyła się myłka. Fedko nigdy nie sprzeniewierzył się swojej cedułce. Dzięki

<sup>87</sup> Antoni Filipowski – nauczyciel matematyki.

<sup>88</sup> Edward Kikinger – ur. w 1868 r. w Kuźminczyku, do gimnazjum uczęszczał w latach 1881–1888.

<sup>89</sup> Edward Fiderer (1846–1921) – nauczyciel łaciny i greki, pedagog lwowski.

<sup>90</sup> Cedułka – spis.

temu należałem do lepszych uczniów greki, mimo że uczyłem jej się stale tylko z początkiem roku szkolnego. Dopóki nie byłem pierwszy raz pytany. Potem trzeba się było przygotować na trzy lekcje w ciągu dwóch miesięcy do zadanej lekcji tłumaczenia Homera, Demostenesa<sup>91</sup>, Platona<sup>92</sup> czy Ajschylosa<sup>93</sup>. Fedko ze słabszymi uczniami lubił żartować, co wyrabiało mu opinię fałszywego. Najniesłuszniejsza [s] opinia, bo Kaczurby klasyfikacja w końcu roku zawsze zgadzała się ze stopniem z greki, wpisanym przez profesora do świadectwa. Żarty były zresztą niewybredne. Wszyscy wiemy, że zgodnie z cedułą będzie pytany Szablewski. Profesor chodzi po klasie, patrzy w katalog, niby to namyśla się: „Może teraz... może teraz... Miecznikiewicz! Co? Nie ma? Naprawdę nie ma takiego? Aha! Myłka! Więc Pałaszewski! Też nie ma? Znowu się pomyliłem. No to Szablewski! I biegnie z drugiego końca sali do niego: „Zgotowany? Tak! To dobrze. *Habet vestra dominatio preapARATIONEM? Habet!*”<sup>94</sup> Bardzo dobrze!”. Bierze zeszyt, ślini palec i próbuje, czy atrament się od razu zmaże w zeszycie: „W klasie odpisana z pierwszych ławek? Potem potarta o ścianę lub podłogę, aby Fedko nie poznał? Tak! Tak! Odpisana! Proszę czytać od słów: „*Oinobares kinos oma echon...*”. Jeżeli Szablewski coś kręcił, źle czytał, źle tłumaczył, form nie znał: „Dziękuję, niezgotowany, choć mówił inaczej. Może kiedy indziej. Dziękuję”. O tym, żeby kartkę z tłumaczeniem do książki włożyć albo zapiski w książce porobić zarówno dla ułatwienia właściwego skandowania utworów poetyckich, jak i dla tłumaczenia, mowy nie było. Pytanemu, którego o to podejrzewał, odbierał książkę i dawał do ręki swoją, mówiąc: „Wypisane tłumaczenie na książce! Przepraszam, że popsulem, ale może z głowy się uda”. Minami i gestami ilustrował czytanych autorów. Gdyśmy czytali o przejściu wojska przez rzekę, wielkim krokiem markował przekroczenie jakiegoś Rubikonu<sup>95</sup>. Czasem mieszał francuszczyznę. Chodząc po sali, podniósł kapelusz z ziemi i zapytał tego, koło którego kapelusz na podłodze leżał: „*Vorte [Votre] chapeau monsieur?*”<sup>96</sup>. Wymawiając wyraz „strzała”, zawsze przekręcał trz na zcz. A gdy kilku poczuwało się do obowiązku zarechotania przy tej okazji,

<sup>91</sup> Demostenes (384–322 r. p.n.e.) – mówca i polityk ateński, twórca „filipik”, mów wymierzonych przeciw Filipowi Macedońskiemu.

<sup>92</sup> Platon (427–347 r. p.n.e.) – filozof grecki, uczeń Sokratesa.

<sup>93</sup> Ajschylos (525–456 r. p.n.e.) – twórca tragedii greckiej.

<sup>94</sup> *Habet vestra dominatio preapARATIONEM? Habet!* (łac.) – Ma swoje panowanie przygotowane? Ma!

<sup>95</sup> Rubikon – rzeka, stanowiąca w starożytności granicę pomiędzy republiką rzymską a Galią Przedalpejską, którą w 49 r. p.n.e. przekroczył Juliusz Cezar, rozpoczynając tym samym wojnę domową z senatem rzymskim i Pompejuszem Wielkim.

<sup>96</sup> *Votre chapeau monsieur?* (franc.) – Twój kapelusz, dżentelmenie?

obracał się do nich: „*Cochons!*”<sup>97</sup>. Mimo swoich śmiesznośtek był to nieprzeciętny filolog, niezły profesor i dobry człowiek, wbrew opinii części kolegów, którzy go nie lubili.

#### 4.

**Wojna z cesarzem. Komitet obchodu mickiewiczowskiego. Demokraci i arystokraci. Sporty. Hallerowie. Kwesta dobrze zaczęta, źle skończona.**

Koledzy pochwycili imię mojego ojca i przewali mnie „Maćkiem”. W 40 lat po maturze przypomnieli mi tego Maćka. W klasie panował duch koleżeński. Byli zdolniejsi i mniej zdolni, pilni i leniwi, spryciarze i mniej zaradni. Ale jedni drugim pomagali w miarę możliwości. Zwartą grupę tworzyli mieszkający w małej bursie przy seminarium duchownym. Był to zarybek późniejszych kleryków, a potem księży. Z nich jednak tylko jeden i to najweselszy z całej klasy Józek Lehman<sup>98</sup> został księdzem. Erazm (Raziu) Ostrowski<sup>99</sup> zdolny i zapalony muzyk, niewidzący świata poza fortepianem lub organami, bardzo wcześnie umarł. Co się z Pełką<sup>100</sup> stało, nie wiem. O Fedorowskim<sup>101</sup> wiem, że pracował w dyrekcji skarbowej i pisywał książki dla młodzieży. Księżmi greckokatolickimi zostali Andruchów<sup>102</sup> i Czechowicz<sup>103</sup>. Najwięcej kolegów poszło na prawo i na medycynę. Ja i Bartmański<sup>104</sup> z oddziału A, Korasadowicz<sup>105</sup> i St. Nowacki z oddziału B poszliśmy na technikę. Fabiański został profesorem filologii klasycznej, Malinowski<sup>106</sup>, jedyny z nas, wstąpił do akademii wojskowej.

<sup>97</sup> *Cochons!* (franc.) – świnie.

<sup>98</sup> Józef Lehman – ur. w Brzeżanach w 1870 r., uczęszczał do gimnazjum w latach 1881–1888.

<sup>99</sup> Erazm Ostrowski – ur. w Husiatynie w 1867 r., uczeń gimnazjum w latach 1881–1887.

<sup>100</sup> Władysław Pełka – ur. w Poraju w 1868 r., uczeń gimnazjum w latach 1883–1888.

<sup>101</sup> Zygmunt Fedorowski – ur. w 1869 r. we Lwowie, uczęszczał do gimnazjum w latach 1882–1888.

<sup>102</sup> Włodzimierz Andruchow – ur. w 1866 r. we Lwowie. Do gimnazjum uczęszczał tylko przez rok, a mianowicie w latach 1887–1888.

<sup>103</sup> Włodzimierz Czechowicz – ur. w 1870 r. w Boratyniu, uczęszczał do gimnazjum w latach 1881–1888.

<sup>104</sup> Kazimierz Bartmański – ur. w 1870 r. w Tadaniu, uczeń gimnazjum w latach 1880–1881, 1884–1888. Podjął studia na Wydziale Inżynierii Szkoły Politechnicznej (1888–1893). Po ich ukończeniu pracował jako inżynier kolei państwowych.

<sup>105</sup> Tadeusz Korasadowicz – ur. we Lwowie w 1869 r., uczeń gimnazjum w latach 1881–1888, następnie studiował na Wydziale Inżynierii Szkoły Politechnicznej. Pracował jako inżynier w Biurze Melioracyjnym Wydziału Krajowego.

<sup>106</sup> Stefan Malinowski – ur. w 1869 r. w Osoczowie, uczeń gimnazjum w latach 1881–1888.

Nie wiem, czy w innych gimnazjach też, czy specjalnie w naszym, jako że nosiło nazwę c[es]arską, w modlitwie po nauce dodano na końcu wzmiankę o cesarzu. Tę wzmiankę nasza klasa skróciła tak, że odnośny dodatek brzmiał: „nade wszystko błagamy majestatu Twego za cesarza naszego Franciszka Józefa, któremu z Tobą i Duchem Świętym niechaj będzie cześć i wiekuista sława! Amen!”. Ja nigdy nie słyszałem tego, najwidoczniej opuszczonego, ustępu o Chrystusie i do dziś nie wiem, jak zakończenie pacierza brzmiało naprawdę. W niemieckim gimnazjum odmawiało się przed i po nauce *Ojcze nasz*, jak kto chciał, po polsku, rusku, niemiecku, łacinie. A gdym przeszedł do polskiego wszyscy odmawiali tę modlitwę już tylko w tej skróconej redakcji. Dopiero w ósmej klasie spostrzegł Jougan, co za bluźnierstwo tkwi w tym uproszczeniu.

Z przerażeniem stwierdził, że nikt w klasie nie umiał właściwej modlitwy. Stąd wielka afera, zakończona wprowadzeniem *Ojcze nasz* zamiast tych modłów za cesarza. Był to nasz drugi triumf nad Franciszkiem Józefem. Pierwszy odnieśliśmy w czasie śpiewania hymnu cesarskiego na dwóch w roku galówkach. Stale przekręcaliśmy słowa hymnu w sposób nieświadczący o czułości młodzieży do Habsburgów. Zawsze zamiast „cesarzowa” śpiewaliśmy „Franciszkowa”, zamiast „Boże chroń nam cesarza”, śpiewaliśmy „Boże nie chroń nam cesarza” itp. Raz był jakiś wizytator z Rady Szkolnej Krajowej<sup>107</sup> w naszej gimnazjalnej auli na galówce i słyszał, wyraźnie przez chór podkreślane, przekręcane słowa. Zrobiła się z tego śpiewu chryja. Nasz chór (śpiewałem w nim jako drugi bas) zastrajkował i potem w czasie galówki, już nie chór, ale wszyscy unisono śpiewali ten hymn. Każdy z nas tym bardziej wyśpiewywał, co chciał.

Ósma i siódma wybierały co roku w listopadzie komitet, który urządzał wieczorek mickiewiczowski w dniu 29 listopada. Nasza siódma, mając prawo uczestniczenia w tym komitecie, przystąpiła do wyboru jego członków. Po raz pierwszy wzięłem tedy udział w akcji wyborczej w listopadzie 1886 roku, przed 55 laty. Klasa podzieliła się na dwa obozy wyborcze, „arystokratów i demokratów”. Programem arystokratów był obchód wyłącznie ku czci Mickiewicza, bez obchodu listopadowej rocznicy, i czesanie się z przedziałkiem, zaś demokraci zamierzali połączyć obchód mickiewiczowski z listopadowym, a włosy czesali na jeża. Głową arystokratów był Waygart, który od 1 klasy do ósmej był zawsze prymusem tj. miał lokację 1. W świadectwach, aż do roku 1886/7, wystawiano jeszcze lokacje (moja balansowała w środku między 15 a 17). Wodzem demokratów był Fabiański, stale czwarta lokacja.

---

<sup>107</sup> Rada Szkolna Krajowa – organ powołany w 1867 r., nadzorujący działalność szkół powszechnych i średnich w Galicji.



W Kole Waygarta grupowali się Bartmański, Czemeryński<sup>108</sup>, Jaroszyński<sup>109</sup>, Zaduwowicz, Prokopowicz<sup>110</sup>, Rottar<sup>111</sup>, Sawczyński<sup>112</sup>, Sroczyński<sup>113</sup>, a za Fabiańskim szli Fedorowski, Kikinger, Kupski<sup>114</sup>, Lehman, Moraczewski, Ostrowski, Stasina<sup>115</sup>, Wajdowski<sup>116</sup>. Demokraci wybory przerznęli. W komitecie rej wodzili ósmacy, którzy zdecydowali dopuścić wprawdzie do deklamacji utwory mickiewiczowskie, wiążące się z rocznicą listopadową, ale za to w przemówieniu wstępnym nie wspominać o powstaniu.

W następnym roku walki wyborczej nie było, bo Próchnicki wpłynął na kompromisowy skład komitetu i na wprowadzenie do programu obchodu wyraźnej nuty powstańczej. Odtąd już stale, w dniu 29 listopada gimnazjum obchodziło łącznie pamięć Adama Mickiewicza i Belwederczyków<sup>117</sup>. Zresztą żywo interesowały nas każde wybory deparlamentu, Sejmu, Rady Miejskiej. Raz nawet zrobiliśmy (jeszcze w niemieckim gimnazjum) w klasie głosowanie między Tadeuszem Romanowiczem<sup>118</sup> a jakimś przez rząd popieranym kandydatem. U nas w tajnym głosowaniu przeszedł nieznaczną większością głosów Romanowicz. Kto w rzeczywistości wygrał, nie pamiętam.

Sportów w sensie dzisiejszym nie uprawialiśmy, choć fizycznie ćwiczyliśmy się nie mniej niż dzisiaj. Kilku z nas ślizgało się z zapałem. U nas przed domem w ogrodzie zalewało się wodą wyrównany plac, odgarnywało [s] śnieg padający na lód. Powstawał jakby stawek otoczony naokoło wałem śniegowym. Ćwiczyliśmy, podpatrzone na publicznych ślizgawkach, figury. Nieraz odchodziła wesoła zabawa, gdy nas było dużo na łyżwach, a ktoś grał nam na fortepianie w pokoju przy otwartym oknie. W lecie graliśmy na tym miejscu w palanta<sup>119</sup>, piłkami witymi z gumelastyki<sup>120</sup>, na cukrze i potem

<sup>108</sup> Ignacy Czemeryński – ur. we Lwowie w 1870 r., uczeń gimnazjum w latach 1881–1888.

<sup>109</sup> Stanisław Jaroszyński – ur. w 1870 r. w Kijowie, do gimnazjum uczęszczał w latach 1881, 1883–1888.

<sup>110</sup> Józef Prokopowicz – ur. w 1870 r. w Zaleszczykach, do gimnazjum uczęszczał w latach 1884–1888.

<sup>111</sup> Michał Rottar – ur. w 1868 r. we Lwowie, uczeń gimnazjum w latach 1880–1888.

<sup>112</sup> Roman Sawczyński – ur. w 1869 r. we Lwowie, uczeń gimnazjum w latach 1880–1888.

<sup>113</sup> Julian Sroczyński – ur. w 1867 r. w Peszcie, uczeń gimnazjum w latach 1879, 1881–1888.

<sup>114</sup> Mikołaj Kupski – ur. w 1866 r. we Lwowie, Rusin, do gimnazjum uczęszczał w latach 1879–1887.

<sup>115</sup> Józef Stasina – ur. w 1868 r. w miejscowości Rozdół, uczeń gimnazjum w latach 1881–1888.

<sup>116</sup> Bronisław Wajdowski [Waydowski] – ur. w 1869 r. we Lwowie, uczeń gimnazjum w latach 1881–1888.

<sup>117</sup> Belwederczycy – grupa spiskowców, która w nocy z 29/30 listopada 1830 r. zaatakowała Belweder i tym samym rozpoczęła powstanie listopadowe.

<sup>118</sup> Tadeusz Romanowicz (1843–1904) – literat, działacz konspiracyjny, powstaniec styczniowy, poseł do galicyjskiego Sejmu Krajowego.

<sup>119</sup> Palant – gra w piłkę, której uczestnicy podzieleni na dwie drużyny odbijają kijem małą, gumową piłkę.

<sup>120</sup> Gumelastyka (przest.) – elastyczna substancja podobna do gumy, guma.

gotowanymi w wodzie, dopóki się cukier nie rozpuścił i nie skleił pasków gumy. Najcenniejszą była piłka własnego wyrobu, zresztą w handlu ich nie było. Ulubioną lwowską grą uliczną były „kiczki”. Sprzęt do tej gry był bardzo prymitywny, kołek z twardego drzewa i pałka drewniana domowego wyrobu (palestra) z miękkiego drzewa, mały roweczek w ziemi. To wszystko. Ja uczyłem się pływać w stawie na Żelaznej wodzie, egzamin zdawałem z opłynięcia pełczyńskiego stawu. W ósmej klasie uczyłem się u Budkowskiego tańców. Modną była gra w krokiet, kółka, volanta<sup>121</sup>. Nade wszystko grywaliśmy pasjami w kręgle, ile [tylko?], że szkoła zabraniała chodzenia do ogródków publicznych, a tylko tam były dostępne dla nas kręgielnie. Jeszcze surowiej była zabroniona gra w bilard w publicznych lokalach. Brat mój Roman<sup>122</sup> dostał z całą paczką kolegów 16 godzin (po 8 godzin przez dwie niedziele) karceru za grę w bilard w szynku pod Capkiem. Nie wiem, czy li to za bilard, czy li też za szynk? Do celu strzelaliśmy z wiatrówek, flobertów<sup>123</sup>, a nade wszystko z katapultek własnego wyrobu. Wybierało się widełka z drzewa takie, aby z rączki, długości około 15 cm wychodziło rozgałęzienie, mniej więcej tak samo długie. Im węższe rozwidlenie tym cenniejsze widełki i tym łatwiejsze z nich celowanie. Do końca widełek sznurkiem przywiązane, splecione w warkocz paski gumy. Im paski grubsze, tym lepsze. Warkocz gumowy łączyło się ze sobą skórką. W skórkę wkładało się okrągły kamyczek, gruby śrut lub najlepiej lotkę, naciągało gumę i wypuszczało pocisk. Lotka z dobrej mocnej katapunki biła na pięćdziesiąt kroków. Na trzydzieści kroków trafiłem o zakład do celu. W bójkach z młodzieżą przedmiejską, o ile byliśmy zmuszeni do cofania się przed kamieniami (w tej broni oni byli niezrównani) lub przeważającymi siłami, katapunki zawsze bardzo skutecznie zasłaniały odwrót. Świst pocisków ostudzał w zapędzie najdzielniejszych batiarów łyczakowskich. Do celu strzelaliśmy z łuków własnego wyrobu z trzciny, a jeszcze lepiej z gałęzi jesionowych. Używaliśmy też łuków z przekładem kolbowym, broni piechoty średniowiecznej. Dobrze zrobione, daleko biły i celnie. Jakiś czas modne były dmuchawki (laski, drewniane rury) z bolcami. Nieostatnim sportem była walka na śnieżki. W naszym ogrodzie budowaliśmy śniegową wartownię w około kamiennego postumentu jakiegoś byłego pomniczka czy ś. p. figury, stojącego na kopczyku, kończącym dużą aleję lipową. Robiliśmy ze śniegu w taczkach cegły, a z nich budował się

<sup>121</sup> Volant – dawna gra sportowa polegająca na odbijaniu raketką ponad siatką korkowej piłki z wetkniętymi w nią piórkami.

<sup>122</sup> Roman Moraczewski (1872–1956) – przyrodni brat Jędrzeja. Pracował w wiedeńskim ministerstwie sprawiedliwości, był członkiem austriackiego Trybunału Administracyjnego. W okresie II Rzeczypospolitej był sędzią Sądu Najwyższego w Warszawie, członkiem powołanego w 1922 r. Najwyższego Trybunału Administracyjnego, a od 1924 r. prezesem.

<sup>123</sup> Flobert – małokalibrowy odtłocowy karabinek sportowy.

mur wysokości 1,20 do 1,40 m. W mroźne wieczory polewało się go wodą. Mur stał zazwyczaj całą zimą. Wewnątrz fortecy gromadziło się śnieg. Gdy zeszła się banda kolegów, połowa broniła jej, a połowa zdobywała. W lecie śnieżki zastępowaliśmy kulkami glinianymi lub z owego یتu. Fortecę tworzył wtedy płot grodzony z gałęzi. Do tych walk było nas w domu 8 chłopców: ja z bratem, mój rówieśnik Liskowacki Tadeusz<sup>124</sup>, Antek Liske<sup>125</sup> i 4 braci Hallerów<sup>126</sup> (piąty Lolo był za mały). Najstarszym z Hallerów był August<sup>127</sup>, bardzo zdolny i pracowity. Skończył prawo, akademię handlową, wstąpił do dyplomacji i jako vicekonsul w Atenach padł ofiarą zamachu jakiegoś Greka, który zdzielił go pałką po głowie. Z tego została mu do końca życia melancholia. Do Franciszka Józefa chodził o klasę niżej ode mnie. Był jednym z najlepszych uczniów w klasie (lokacja 2). Natomiast Edmund, Józef i Cezar, byli słabych zdolności, nauka w niemieckim gimnazjum nie szła im do głowy.

<sup>124</sup> Tadeusz Liskowacki – ur. w 1869 r. w Duninowie, uczęszczał do III Gimnazjum im. Franciszka Józefa.

<sup>125</sup> Antoni Liske (ur. 1870) – syn Ksawerego, znanego lwowskiego historyka, uczeń III Gimnazjum w latach 1882–1888. Zdecydował się na karierę wojskową. W latach 1919–1927, jako major rezerwy, był dyrektorem Wielkopolskiego Muzeum Wojska w Poznaniu, następnie mieszkał w Winnikach.

<sup>126</sup> August, Edmund, Józef, Cezary, Karol. Edmund Haller (1872–1916) – studiował na Wydziale Inżynierii Akademii Wojskowej w Hranicach, służył w jednostkach saperskich ziemi krakowskiej. Po 1906 r. przeniesiony do garnizonu w Siedmiogrodzie. Zmarł w szpitalu w Wiedniu w 1916 r. Józef Haller (1873–1960) – studiował w Akademii Wojskowo-Technicznej w Wiedniu. Służył w wojsku austriackim. Przed I wojną światową brał udział w tworzeniu Drużyn Sokolich. Od 1916 r. brygadier i komendant II Brygady Legionów Polskich. Od października 1918 r. Wódz Naczelny Armii Polskiej we Francji. W czerwcu 1919 r. mianowany generałem brygady. Związany z Narodową Demokracją, przeciwnik Piłsudskiego. Po 1926 r. przeniesiony w stan spoczynku. Jeden ze współtwórców Frontu Morges. W okresie II wojny światowej na emigracji we Francji, w latach 1940–1943 minister bez teki w rządzie emigracyjnym. Po wojnie mieszkał w Londynie. Cezary Haller (1875–1919) – oficer i działacz polityczny. Ukończył Wojskową Akademię Techniczną w Wiedniu, odbył służbę wojskową w armii austriackiej, następnie zamieszkał w rodzinnym majątku Jurczyce koło Skawiny. W 1911 r. został wybrany posłem do austriackiej Rady Państwa z ramienia konserwatystów. W listopadzie 1918 r. wstąpił do wojska polskiego w randze kapitana, walczył na Śląsku Cieszyńskim, gdzie zginął. Karol Haller studiował w Akademii Rolniczej we Freising. W 1914 r. zgłosił się do wojska, został przydzielony do oddziału samochodowego w twierdzy Kraków. Po 1919 r. pracował m.in. w Polskim Czerwonym Krzyżu i Głównym Urzędzie Żywnościowym. W 1935 r. wrócił do majątku rodzinnego w Jurczycach. Hallerowie mieli dwie siostry Annę (1876–1969) i Ewę (1881–1830).

<sup>127</sup> August Haller (1871–1955) – najstarszy syn Henryka (1830–1898) i Olgi z Tretterów. Uczęszczał do II gimnazjum we Lwowie, następnie studiował w Wiedniu i na Wydziale Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego. Po odbyciu jednorocznej służby wojskowej poświęcił się służbie dyplomatycznej. Pracował m.in. w Ministerstwie Spraw Zagranicznych Austro-Węgier, podczas I wojny światowej przebywał na placówkach w Danii i Szwajcarii. Karierę dyplomatyczną kontynuował w II Rzeczypospolitej. Po 1924 r. zwolniony z Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Pamiętam jak w domu naszym przez ścianę słyszałem Józka kującego religię: „Jezus Chrystus miał dwie na..., Jezus Chrystus miał dwie na..., Jezus Chrystus miał dwie na..., Jezus Chrystus miał dwie na... tury: ludzką i boską, tury: ludzką i boską, tury: ludzką i boską”.

Muszę przyznać, że w walkach na śnieżki, kule gliniane, trzcinki Józek był z nich najdzielniejszy. Nigdy nie chciał się poddać. W wojsku polskim był generałem. Niefortunnie dowodził pod Kaniowem<sup>128</sup>, zaręczył się z morzem<sup>129</sup> i tworzył w r. 1920 nieszczęsną armię ochotniczą<sup>130</sup>.

Poza domowymi schodzili się koledzy, nieraz dość licznie, na te zapasy. Największa liczba walczących dochodziła do 40. W gimnazjum obowiązkową była nauka gimnastyki szwedzkiej<sup>131</sup> i na przyrządach. Prócz tego były zniżki na ślizgawkę na Szymanówce i na stawie Sobka. Innymi sportami dyrekcje sobie głowy nie zawracały. Dopiero później, wraz ze skautingiem, wyłoniły się inne sporty.

Te zabawy w niczym nie przeszkadzały sportowi kawalerskiemu. Zdarzało się nieraz, że pomysł przychodził od starszych, ale wesołych osób. Tak np. raz pani Liskowacka, matka Tadeusza, przebrała mnie za zakonnice, przygotowała porządnie książeczkę kwestarską i wyprawiła z nią i z różańcem w rękę po kweście. Najpierw do rodziców. Właśnie moja rodzina spożywała obiad na wielkiej wysokiej werandzie, chronionej z czwartej, niezabudowanej strony, przed upałami, przez niewiarygodnie wielkie i gęste zasłony z dzikiego wina. „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!” mówi „zakonnica”, z trudem powstrzymując się od śmiechu, a więc mimo woli zmienionym głosem. Ojciec odpowiedział, wstał, podał krzesło, na którym ja miałem siedzieć przy stole, i prosił „siostrę”, by usiadła i spoczęła chwilę. Wziął ode mnie książeczkę i dał matce, żeby wpisała ofiarę. Dłużej już nie wytrzymałem. Parsknąłem śmiechem. Nie da się opisać przestrawu, który ogarnął wszystkich wskutek tego napadu śmiechu – na pewno histerycznego – „zakonnicy”. Sam się też przeraziłem, więc co prędzej się zdemaskowałem, wołając: „przecież to żart! To ja, Jędrzej!” Wszystko się wyjaśniło. Podziw

---

<sup>128</sup> Bitwa pod Kaniowem – bitwa stoczona między II Korpusem Polskim w Rosji a wojskami niemieckimi 11 maja 1918 r. Siłami polskimi dowodził gen. Józef Haller.

<sup>129</sup> Mowa o symbolicznych uroczystościach „zaślubin” Polski z Bałtykiem, mających miejsce w Pucku, 10 lutego 1920 r. po przejęciu, na mocy traktatu wersalskiego, Pomorza przez państwo polskie, w których udział brał gen. Józef Haller jako dowódca Frontu Pomorskiego.

<sup>130</sup> Armia Ochotnicza – armia tworzona w czasie wojny polsko-bolszewickiej na mocy decyzji Rady Obrony Państwa.

<sup>131</sup> System gimnastyki szwedzkiej – system gimnastyczny opracowany na początku XIX w. przez Piotra Henryka Linga i Hjalmarę Linga, polegający na wszechstronnych, stopniowanych ćwiczeniach wykonywanych bez przyrządów zmierzających do ogólnego rozwoju fizycznego organizmu. Obecnie na systemie gimnastyki szwedzkiej opiera się ćwiczenia korekcyjne.

nad świetnym przebraniem był uznaniem dla zdolności pani Liskowackiej. Na nalegania wszystkich, by iść dalej i brać innych na kawał, ruszyłem do Hallerów. Tu inne przyjęcie. W domu na wskroś klerykalnym, zakonnica święta osoba! Tedy wszystkie ablegry<sup>132</sup>, cała siódemka po starszeństwie obcałowywała moją rękę. Taki byłem z tego dumny, że wytrzymałem bez śmiechu, nawet gdy Haller ojciec wręczył mi pieniąż. Majestatycznym gestem odsunąłem obola, a widząc zawstydzone raczej niż zdziwione miny gospodarzy, przyznałem się do żartu. To wywołało oburzenie rodziców i złość młodzieży za to całowanie ręki. Co prędzej dałem znać nogom i niesłuchanie szybko zbiegłem z piętra na dół, prosto do stróża domu. Był nim Ilko Jarema, woźny namiestnictwa. Tu wszystko odbyło się wesoło. Mnie oczywiście nie poznano. Żart to żart, umiła zabawą prozę życia.

Na wychodzącego od Jaremów czyhała banda Hallerowiczów. Z dała nadbiegało moje rodzeństwo, we drzwiach stali Liskowaccy. „Zakonnica” dostała się w nie lada obroty. Ja się śmiałem, więc byłem słaby, oni byli źli, przeto mocni. Wspólnymi siłami udało się Hallerom wypchnąć mnie na ulicę i zamknąwszy furtkę na zasuwkę, uniemożliwić mi szybki powrót na podwórze. Niewiele myśląc, wypróbowaną i wieczorami wyćwiczoną drogą, wylażłem na wierzch, blisko 2,5 m wysokiej furtki, a nie widząc już nikogo na podwórzu, przeszedłem do wnętrza i przepoczwarzywszy się z powrotem z zakonnicą na Jędrzeja przysiadłem się i ja do misy.

Na tym się nie skończyło. Na ulicy widziano, że dzieci od Moraczewskich „wypchnęły zakonnicę na ulicę tak, że ta była zmuszoną górą przez bramę do domu wchodzić”. Opinia ulicy była przeciw nam i policjant przyszedł badać, co to było? Kumoszki bardzo długo potem wypominały nam te bezbożne zbytki. Nie ośmieliliśmy się wyjaśnić, że zakonnicą było jedno z Moraczewskich, bo oburzenie byłoby jeszcze większe.

## 5.

### Tajny związek. Mój pierwszy odczyt. „Wolne Polskie Słowo”<sup>133</sup>.

**N**a wiosnę 1885 r., po kilkumiesięcznej znajomości, namówił mnie Fabiański do wstąpienia do tajnego kółka patriotycznego, studiującego dzieje i literaturę Polski, podtrzymującego ducha polskiego, a zbierającego się u niego w domu przy ul. Łyczakowskiej 15 (a może 17?) co niedzieli, po nabożeństwie szkolnym na dwie godziny. Odtąd spędzałem

<sup>132</sup> Ablegra (ablegier) – sadzonka powstała przez ukorzenie boczne pędu, pot. odnóżka; tu w znaczeniu potomstwo.

<sup>133</sup> W oryginale „Wolne Słowo Polskie”.

niedzielne przedpołudnie w dużym parterowym pokoju w końcu oficyny tej kamienicy lub na dużym podwórzu, w którym często uprawialiśmy szermierkę szablami. Było nas coś ośmiu. Fabiański podawał nam zawsze jakiś temat pogadanki, wykładu lub odczytu, czasem z dziejów, czasem o położeniu naszego narodu, a także o nadziejach na przyszłość. Tematem mego pierwszego w życiu odczytu była bitwa pod Kircholmem<sup>134</sup>. Znalazłem w „Ateneum”<sup>135</sup> artykuł Kudelki<sup>136</sup> tej bitwie poświęcony i krytycznie omawiający inne opisy bitwy, miałem w domu *Dzieje Polski* Moraczewskiego i podręcznik szkolny A. Lewickiego. Z tych trzech prac napisałem mój odczyt. Z uczestników kółka pamiętam Fedorowskiego Zygmunta, Wajdowskiego Bronisława, a z oddziału B – Dąbrowskiego Wojciecha<sup>137</sup>. Po lepszym poznaniu się Fabiański wzywał wybranych do wstąpienia do tajnego związku, którego celem było przygotowanie zbrojnej walki o niepodległość Polski. Mnie zaprzysiągł w początku szóstej klasy, we wrześniu 1885 r. Odtąd praca nieco się rozszerzyła. Otrzymywaliśmy wydawane przez Jeża<sup>138</sup> w Paryżu u A. Reiffa<sup>139</sup> „Wolne Polskie Słowo”<sup>140</sup>, czyściliśmy język z germanizmów (1 cent na Skarb Narodowy<sup>141</sup> za każdy wyraz niemieckiego pochodzenia), brali udział w organizowaniu obchodów i nabożeństw patriotycznych. Po mszy kościelnej śpiewaliśmy, mimo oporu i gniewów duchowieństwa, *Boże coś Polskę*<sup>142</sup> i *Chorał* Ujejskiego<sup>143</sup>. Naturalnie propaganda szła wszędzie i bezustannie.

<sup>134</sup> Bitwa pod Kircholmem – bitwa wojsk polsko-litewskich z armią szwedzką 27 września 1605 r., podczas wojny o Inflanty, zakończona zwycięstwem wojsk Rzeczypospolitej.

<sup>135</sup> „Ateneum” – czasopismo naukowo-literackie, ukazujące się w Warszawie w latach 1876–1901.

<sup>136</sup> Ferdynand Kudelka (1842–1906) – historyk amator, badacz historii wojskowej w dobie staropolskiej.

<sup>137</sup> Wojciech Dąbrowski – ur. w 1869 r. w Śniatyniu, do gimnazjum uczęszczał w latach 1887–1888.

<sup>138</sup> Tomasz Teodor Jeż [właśc. Zygmunt Miłkowski] (1824–1915) – powieściopisarz, polityk demokratyczny i działacz niepodległościowy, publicysta.

<sup>139</sup> Adolf Reiff (1832–1902) – wydawca, drukarz, powstaniec styczniowy, działacz emigracyjny, wydawca czasopism polskich w Paryżu.

<sup>140</sup> „Wolne Polskie Słowo” – dwutygodnik ukazujący się w Paryżu w latach 1887–1899, organ Ligi Polskiej, redagowany przez T. T. Jeża, kontynuacja „Kurierza Paryskiego”. W 1899 r. zmienił nazwę na „Głos Wolny”.

<sup>141</sup> Skarb Narodowy – fundusz emigracyjny gromadzony na cele walki z zaborcami i popieranie sprawy polskiej za granicą.

<sup>142</sup> *Boże coś Polskę* – polska pieśń religijna, wyrosła z hymnu Alojzego Felińskiego, napisanego w 1816 r. na cześć cara Aleksandra I. Z czasem nabrała charakteru patriotycznego poprzez zmianę wersu z „naszego króla zachowaj nam Panie” na „naszą Ojczyznę racz nam zwrócić Panie”. Pieśń została zakazana w Królestwie Polskim w 1862 r. Została też uznana za hymn powstańców styczniowych.

<sup>143</sup> Kornel Ujejski (1823–1897) – poeta, publicysta, nazywany „ostatnim poetą romantyzmu”. *Chorał (Z dymem pożarów)* powstał w okresie Wiosny Ludów. Muzykę napisał polski

Na zebraniach czytaliśmy i omawiali artykuły „Wolnego Słowa”. Stąd rozpoczęły się dyskusje polityczne, a nawet społeczne. Postanowiliśmy koniecznie odbyć służbę wojskową austriacką, aby wykształcić się w żołnierce. Tym goręcej uprawialiśmy fechtę, strzelanie do celu i wszystko to, co w danych warunkach mogło służyć przysposobieniu wojskowemu. Ojciec miał dwa karabiny (z bagnetami), jeden pruski z r. 1866, drugi francuski, jak ojciec wyjaśniał, z powstania styczniowego. Wyciągnąłem te karabiny z szafy i zaczęliśmy uprawiać nimi szermierkę. Aż dziw, że się nikomu nic nie stało.

Nasz związek brał żywy udział w klasie w sporach między arystokratami i demokratami. W programie naszym było poruszenie i pozyskanie ludu, chłopów i robotników dla idei walki zbrojnej o Polskę. Jako gimnazjaliści nie mieliśmy co prawda do tego sposobności. Poza kilkoma synami obszarników, koledzy, pochodzący ze wsi, synowie chłopscy byli prawie wyłącznie narodowości rusińskiej. Aczkolwiek chętnie widzieliśmy w naszym związku Rusinów, oni jednak nie bardzo zapalali się do naszych dążeń. I choć nie było wówczas wyraźnej walki polsko-ruskiej, dzieliło oba narody szeroko wśród Rusinów rozgałęzione moskalofilstwo. W klasie go nie było, koledzy Rusini potem stali się Ukraińcami, dalecy od kacapstwa<sup>144</sup>. Więc choć nie znaleźliśmy drogi do serca chłopskiego ani klucza do umysłu robotników, choć nie trafiliśmy do „demosu”<sup>145</sup>, już sam program, dążność, narady i chęci pasowały nas i najbliższych sympatyków na demokratów.

Tajemnicę i przysięgę związkową dochowałem sumiennie aż do chwili, kiedy ujawnienie organizacji nikomu niczym grozić nie mogło. Zachowałem ostrożność, a mimo tego raz w ręce ojca wpadł jeden numer „Wolnego Słowa”. Nie czytając, z góry orzekł, że to jest wydawnictwo prawdopodobnie finansowane przez Rosję, bo są w nim artykuły przeciw Austrii. Wiedziałem dokładnie, że front pisma był zwrócony przeciw wszystkim trzem zaborcom, najślabiej przeciw Austrii. Więc ta uwaga ojca, którego wiedzę, rozum i patriotyzm wysoko ceniłem, nie zrobiła na mnie żadnego wrażenia. W siódmej klasie poruszył nas proces tajnego stowarzyszenia „Centralny Związek Orła Białego”<sup>146</sup>, w którym połowę oskarżonych tworzyli uczniowie szkół

---

kompozytor Józef Nikorowicz (1827/1824?–1890), a Ujejski dopisał tekst. W XIX w. pieśń stała się polskim hymnem narodowym, szczególnie w momentach zrywów niepodległościowych.

<sup>144</sup> Kacapstwo – tu w znaczeniu rusofilizm; obraźliwie o Rosjanach.

<sup>145</sup> Demos – tu w znaczeniu lud.

<sup>146</sup> Proces tajnego stowarzyszenia pod nazwą „Centralnego Związku Orła Białego” miał miejsce we Lwowie od początku sierpnia do połowy września 1886 r. Oskarżonym czterem młodym ludziom w wieku od 17 do 20 lat zarzucano czynny udział w pracach tego związku założonego w połowie 1885 r., mającego na celu kształtowanie poczucia narodowego wśród młodzieży szkolnej i robotniczej.

średnich (8 na 14) a z sześciu pozostałych, pięciu było robotników fizycznie pracujących, szósty zaś był pracownikiem umysłowym. Rozprawa przed trybunałem sądu karnego w drugiej połowie września 1886 r. skończyła się, ku naszej wielkiej radości, uwolnieniem wszystkich oskarżonych. Robota kółkowa, żywa w szóstej i siódmej klasie, osłabła bardzo w ósmej z powodu pracy nad maturą.

Pęd do kółek samokształceniowych był wówczas w szkołach ogólny. Zresztą i tajnych młodzieżowych organizacji było znacznie więcej, o czym później będę pisał. To samo można było zauważyć także wśród młodzieży żeńskiej.

Zofia Gostkowska, moja późniejsza żona, należała do takiego kółka w pensjonacie pani Wiktorii Niedziałkowskiej<sup>147</sup> od r. 1888, należała także moja cioteczna siostra Helena Hochbergerówna<sup>148</sup> (zameżna Turnauowa) od 1889/90 r.



Fot. 2. Zofia Gostkowska  
Źródło: polona.pl

## 6.

**Starsze pokolenie. Zebrania u Hochbergerów. Prof. Liske, Kaczkowski i E. Barwiński, M. Mohr.**

W każdym razie z gimnazjum wyniosłem wyrobiony powstańczy światopogląd. Lata 1887 i 1888 były na ogół przełomowymi. Rozdział między poglądami młodych i starych bardzo się pogłębił. Drugi raz w życiu obserwowałem równie podobnie wielki między młodym, dojrzewającym w wolnej Polsce pokoleniem, zarażonym hitlerowskim światopoglądem a starymi niepodległościowcami, przesiąkniętymi liberalnymi ideałami wolności i szanowania odrębności mniejszości narodowych.

<sup>147</sup> Wiktorii Niedziałkowskiej (1851–1914) – nauczycielka, założycielka 8-klasowej żeńskiej szkoły z pensjonatem (1876).

<sup>148</sup> Helena Franciszka Turnau (1873–1943) – córka Juliusza Hochbergera i Heleny Magdaleny z Moraczewskich (1845–1889), siostry ojca Jędrzeja Moraczewskiego, Macieja, żona Jerzego Turnaua (1869–1925) – ziemianina, malarza i rzeźbiarza, inicjatora Wyższych Kursów Ziemiańskich we Lwowie, dziadka muzyka Grzegorza Turnaua.



Młodzi zaśmiecili sobie umysły mieszaniną pojęć sprzed rewolucji francuskiej z pojęciami wyrosłymi na tle rewolucji bolszewickiej. Starym jeszcze dźwięczały w głowach i sercach idee Wiosny Ludów.

W owych latach przysłuchiwałem się z wielką uwagą politycznym rozmowom starych. Stale, co drugą niedzielę po południu, zbierało się grono przyjaciół mojego wuja Juliusza Hochbergera<sup>149</sup> w jego willi przy ul. Kurnickiej (dziś Długosza)<sup>150</sup>.

Bywali tam jego sąsiad, dopóki mógł chodzić, prof. uniwersytetu Ksawery Liske<sup>151</sup>, poznańczyk, Jadwiga, jego żona, Antoni Małecki<sup>152</sup>, uczony polonista, też poznańczyk, mój ojciec, prof. uniw. Tadeusz Wojciechowski<sup>153</sup>, Galicjanin, inż. Leon Syroczyński<sup>154</sup>, królewski, powstaniec z 1863 r. urzędnik Wydziału Krajowego, potem prof. Politechniki, bliski sąsiad Hochbergera, Włodzimierz Milowicz<sup>155</sup>, wołyński, członek Rządu Narodowego (czerwiec-wrzesień [18]63, rząd Majewskiego<sup>156</sup>) i inni. W rozmowach jeszcze czasem brzmiały echa ostatniego powstania. Zwłaszcza tajemniczym, bo bardzo mało mównym był Milowicz, który co pewien czas gdzieś wyjeżdżał, budząc swoim znikaniem niepokój i troskę w tym towarzystwie, „czy aby wróci?”. Mnie aż podnosiło, gdy Małecki albo Hochberger gromy ciskali na grupę powstańczą, skupiającą się we Lwowie wokoło Zimy<sup>157</sup>, Romanowicza, sąsia-

<sup>149</sup> Juliusz Hochberger (1840–1905) – architekt wywodzący się z Poznania, dyrektor Miejskiego Urzędu Budowlanego we Lwowie i twórca wielu tamtejszych budynków użyteczności publicznej, m.in. gmachu Sejmu Krajowego i III Gimnazjum im. Franciszka Józefa, do którego uczęszczał Autor *Wspomnień*.

<sup>150</sup> Ob. Cyryla i Metodego 11.

<sup>151</sup> Ksawery Liske (1838–1891) – historyk, profesor Uniwersytetu Lwowskiego, twórca lwowskiej szkoły historycznej i Towarzystwa Historycznego, założyciel „Kwartalnika Historycznego” (1887), członek Akademii Umiejętności.

<sup>152</sup> Antoni Józef Małecki (1838–1891) – historyk literatury, historyk, językoznawca, filolog klasyczny, dramaturg, profesorów uniwersytetów w Krakowie, Lwowie i Innsbrucku, rektor Uniwersytetu Lwowskiego, poseł do galicyjskiego Sejmu Krajowego.

<sup>153</sup> Tadeusz Wojciechowski (1838–1919) – historyk mediewista, profesor i rektor Uniwersytetu Lwowskiego, współzałożyciel Towarzystwa Historycznego i członek krakowskiej Akademii Umiejętności.

<sup>154</sup> Leon Syroczyński (1844–1925) – inżynier górnictwa, od 1887 r. inżynier w Wydziale Krajowym, od 1890 r. wykładał na Politechnice Lwowskiej. W latach 1904–1905 był rektorem Szkoły Politechnicznej we Lwowie. Członek Towarzystwa Politechnicznego. Podczas powstania styczniowego był członkiem Wydziału Wojny Rządu Narodowego.

<sup>155</sup> Włodzimierz Milowicz (1838–1884) – publicysta, działacz konspiracyjny doby powstania styczniowego.

<sup>156</sup> Karol Majewski (1833–1897) – działacz niepodległościowy i polityk, przywódca Rządu Narodowego w powstaniu styczniowym (od 14 czerwca do 17 września 1863 r.). Za udział w powstaniu zesłany na Syberię, skąd powrócił dopiero w 1880 r.

<sup>157</sup> Franciszek Zima (1827–1899) – powstaniec styczniowy, bankier, dyrektor Galicyjskiej Kasy Oszczędności we Lwowie.

dów Hochbergera, Jana Stelli Sawickiego<sup>158</sup> (płk Struś), Bernarda Kalickiego<sup>159</sup>, historyka szkoły lelewelowskiej i innych. „Bałamucenie” przez nich młodzieży, wrogość do Austrii, a zwłaszcza do partii krakowskiej, uważali za przejawy korzystne raczej dla Rosji niż dla Polski. Żaden z nich nie przyznawał się do stronnictwa stańczykowskiego, ale ideologia ugodowa przenikła już wtedy większość inteligencji z pokolenia powstańczego. Jeszcze czasem zachnął się mój ojciec, jeszcze oponował Syroczyński, ale naprawdę tylko Milowicz nie wtórował w tych biadoleniach. Małomówny, milczący ożywiał się, gdy rozmowa schodziła na temat prac historycznych, przeczytanych artykułów, względnie na literaturę. Tego i ja chętnie słuchałem. Dziwiło mnie, że ci sami ludzie, którzy tak rozumnie mówią o naszej przeszłości i mają o niej tak jasny sąd, myślą tak opacznie o wypadkach, które sami przeżyli i o bieżącej polityce. Po godzinie, często dłużej niż godzinie polityki, historii, literatury siadali do gerylasa (gra się zupełnie jak we wiście bez atu) przerobionego później na wista licytowanego. Czasem, gdy nie było czwartego, dopuszczano mnie do gry.

Najczęściej młodzież – w zimie – tańczyła w wielkim salonie, zaś wiosną i późną jesienią improwizowała obrazki dramatyczne. Widzowie mieli oglądać tytuły tych komedijek i tworzyć z nich zmyślony wyraz lub przysłowie. Ta zabawa w szarady ułatwiła mi niepomierne późniejsze publiczne występy. Zaprzyjaźniliśmy się z Antonim Liske, synem profesora. Matka Jądwiga była z domu Starorypińska. To nazwisko, nie wiem dlaczego, wydawało mi się egzotycznym i dlatego bardzo mi imponowało. Często z bratem bywałem u Liskich. Na pierwszym piętrze (zresztą na parterze też, ale tam nie mieliśmy dostępu) całe ściany dużego pokoju zastawione były szafami bibliotecznymi aż po sufit. Godzinami przesiadywałem na drabince i zatapiałem się w historii, chociaż była na piętrze i beletrystyka. Profesor sam mieszkał na dole, gdy Tabes<sup>160</sup> rzucił go na łożo. Leżąc na otomanie, wykladał



**Fot. 3.** Juliusz Hochberger  
Źródło: polona.pl

<sup>158</sup> Jan Stella Sawicki (1827–1911) – oficer, powstaniec styczniowy, działacz niepodległościowy.

<sup>159</sup> Bernard Kalicki (1838–1884) – uczestnik powstania styczniowego, historyk i publicysta.

<sup>160</sup> Tabes – kiła układu nerwowego.

i seminaria odbywał w swoim pokoju (dom jego naprzeciwko uniwersytetu). Koło niego gromadził się kwiat późniejszych historyków polskich. Za młody byłem, żeby ocenić jego wartość dla nauki polskiej. Ale szalone wrażenie wywarł na mnie jego artykuł przeciw trybunałom rewolucyjnym, a w szczególności przeciw wyrokowi, wydanemu w 1863 r. we Lwowie przez sąd powstańczy na Zygmunta Kaczkowskiego<sup>161</sup>, oskarżonego o szpiegostwo na rzecz Austrii. Swoją pracę pisał Liske krótko przed śmiercią w r. 1891. Powoływał się w nim na swoją prawdopodobnie bliską śmierć, na to, że już nie ponoszą go żadne uczucia, sympatie, antypatie, że pisze tylko w imię prawdy, by rehabilitować znakomitego polskiego pisarza, by naprawić najstraszniejszą krzywdę, jaką w ogóle można mu było wyrządzić. Nim „Kwartalnik Historyczny”<sup>162</sup> z tym artykułem opuścił prasę drukarską, Ksawery Liske nie żył. To świadectwo z za grobu wielkiego uczonego zrobiło niesamowite wrażenie. Cały inteligentny Lwów był do głębi poruszony. Zadało ono pierwszy cios mej ideologii powstańczej.

Kaczkowski wykorzystał natychmiast ten artykuł i z pozą uciśnionej nienawiści, mimo banicji, na którą go powstańcy zasądzi, przyjechał do Lwowa. Poszastał się głośno, pokręcił, porozmawiał z historykami, literatami, dziennikarzami – wciąż o swej „krzywdzie” i wrócił do swej giełdy w Paryżu. A jak dalece został „skrzywdzony”, wykazał dowodnie pan E. Barwiński<sup>163</sup>, który, po wojnie, wyciągnął w wiedeńskim archiwum z tajnych aktów b. austriackiego ministerstwa policji niezbite dowody, bo oryginały donosicielskich i szpiegowskich raportów Kaczkowskiego z czasów powstania i późniejszych, pisanych w okresie gdy osiadł jako wygnaniec w Paryżu (Eugeniusz Barwiński, *Zygmunt Kaczkowski w świetle prawdy 1863–1871*, Lwów 1920). Wydrukował jego kwity za pobrane na nie sumy. Ogłoszenie drukiem pracy Barwińskiego zrehabilitowało w całej pełni ten lwowski wyrok trybunału powstańczego i okazało się, że jednak wielki uczoney, szlachetny człowiek i dobry Polak, prof. Liske właśnie dał się, w przeddzień zgonu, porwać uczuciu.

Profesor Liske zaprzyjaźniony z wrocławskimi profesorami historii, wymieniał z nimi słuchaczy. Tym sposobem znalazł się we Lwowie wrocławski student Paschke, studiujący na uniwersytecie, właściwie w seminarium Liskego, a równocześnie będący na utrzymaniu profesora w zamian za

<sup>161</sup> Zygmunt Kaczkowski (1825–1896) – powieściopisarz, poeta, działacz społeczny.

<sup>162</sup> „Kwartalnik Historyczny” – najstarsze czasopismo historyczne na ziemiach polskich, założone w 1887 r. we Lwowie przez Ksawerego Liske.

<sup>163</sup> Eugeniusz Barwiński (1874–1947) – historyk i archiwista, wydawca źródeł, dyrektor Archiwum Państwowego we Lwowie w latach 1913–1939.

lekarstwo i mentorowanie jego synowi. Nauczył nas grać skata<sup>164</sup> i trochę po niemiecku, a my go po polsku i pić wódkę względnie miód janowski lub kulikowski. Po roku w jego miejsce zjawił się Marcin Mohr, na tych samych warunkach. A że był żywszy i ruchliwszy, zresztą młodszy od Paschkego, więc raz w styczniu 1887 r. na imieniny Antka waliśmy w niego dwa litry miodu i spili jak bełę. Co prawda i nam też niewiele brakowało po wypiciu we czwórkę 8 litrów miodu. Romana od tego czasu raz na zawsze odrzuciło od miodu. Mohra nauczyliśmy grać wista licytowanego, właśnie wtedy w modę wprowadzonego. Po polsku nauczyliśmy go nieco opacznie. Chciał się dowiedzieć jak po polsku „*ich liebe dich!*”. Nauczyliśmy go „cełęcinam cię!”; wystąpił z tym oświadczeniem przed jedną z moich kuzynek i rozbaWił całe towarzystwo. Ta złośliwość była po trochę wynikiem zazdrości, bo Mohr robił oko do tej samej panny, do której i ja czułem wielką sympatię. Zresztą musiał grać z nami w palanta, ślizgać się, szermować, a nawet grać w teatrach amatorskich. W *Kaloszach* Fredry syna<sup>165</sup>, odniósł wielki sukces, choć grał tylko jedną scenkę chłopca sklepowego, przynoszącego kalosze i mówiącego raptem trzy słowa: „proszę na piwo!”. Ale zrobił to doskonale. Co się z Paschkiem stało, nie wiem. Mohr zjawił się w Warszawie w 1916 r. jako główny cenzor prasy u Besselera<sup>166</sup>. Rzecz zrozumiała, że do urzędnika okupacyjnego nie miałem chęci zbliżyć się ani mu przypominać młodzieńcze zabawy sprzed 30 lat.

## 7.

### **Smolka, Franciszek Rekowicz, Józef Jaegerman, Durny Jasio. Lwowanie.**

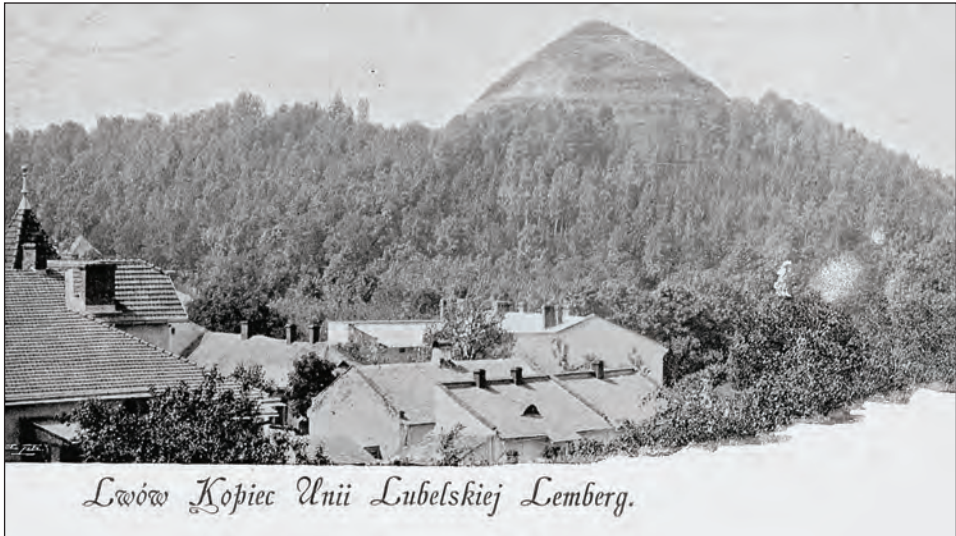
**Z**e znanych lwowskich postaci widywałem Franciszka Smolkę<sup>167</sup>, prezydenta parlamentu wiedeńskiego. W wyprawach na Wysoki Zamek spotykałem staruszkę z siwą brodą i ogromnymi wąsami, wożącego ziemię na kopiec Unii Lubelskiej (jedyne, jak dotąd, załatwienie przez Polaków kwestii ukraińskiej!).

<sup>164</sup> Skat – odmiana brydża, popularna w Niemczech, na Śląsku i Kaszubach.

<sup>165</sup> Jan Aleksander Fredro (1826/1829–1891) – komediopisarz, pamiętnikarz, uczestnik Wiosny Ludów, syn komediopisarza Aleksandra (1793–1876).

<sup>166</sup> Hans Hartwig von Beseler (1850–1921) – pruski generał, od 1915 r. generał-gubernator warszawski, naczelny dowódca Polskiej Siły Zbrojnej.

<sup>167</sup> Franciszek Smolka (1810–1899) – adwokat, spiskowiec, polityk galicyjski i austriacki, poseł do Sejmu Krajowego i austriackiej Rady Państwa, przewodniczący parlamentu austriackiego w latach 1881–1893.



**Fot. 4.** Kopiec Unii Lubelskiej we Lwowie  
Źródło: polona.pl

Za jego przykładem my młodzi, zwłaszcza zorganizowani, uważaliśmy za obowiązek, a zarazem rodzaj sportu, wywiezienie jak największej liczby tacek na szczyt kopca. Zresztą widok z Kopca i rozkoszne powietrze sownie nagradzało wszelki trud. I obecnie wycieczka na kopiec należy do najwspanialszych lwowskich spacerów. Tylko że wtedy przebywało się całą drogę powozem zaprzężonym w parę stępaków: „*per pedes apostolorum*”<sup>168</sup>, a teraz mija się Czerwony Klasztor i dojeżdża aż do alei zamkowej w wagonie tramwaju elektrycznego. Wnuk Smolki, Hubert<sup>169</sup>, chodził do naszego gimnazjum o jedną klasę niżej ode mnie i od czasu do czasu chwalił się cukierkami, które dziadek przywoził z przyjęcia u cesarza, darowanymi mu dla wnuków.

Znaną postacią był redaktor i właściciel „Kuriera Lwowskiego”<sup>170</sup> Henryk Rewakowicz<sup>171</sup>. W tym dzienniku, który potem stał się organem stronnictwa ludowego, pisywali Wystouchowie Maria i Bolesław<sup>172</sup>, Kasprowicz

<sup>168</sup> *Per pedes apostolorum* (łac.) – żart. pieszo (na wzór apostołów).

<sup>169</sup> Hubert, syn Władysława, syna Franciszka.

<sup>170</sup> „Kurier Lwowski” – dziennik wydawany we Lwowie w latach 1883–1935, związany z ruchem ludowym.

<sup>171</sup> Henryk Rewakowicz (1837–1907) – polityk związany z ruchem ludowym, publicysta i redaktor, powstaniec styczniowy, wiceprezes i od 1897 r. prezes Stronnictwa Ludowego (od 1903 r. Polskiego Stronnictwa Ludowego).

<sup>172</sup> Bolesław Wystouch (1855–1937) – polityk i działacz ruchu ludowego w Galicji, redaktor czasopism przeznaczonych dla ludu, redaktor naczelny „Kuriera Lwowskiego” w latach

Jan<sup>173</sup>, Bojko Jakub<sup>174</sup>, Lewakowski Karol<sup>175</sup>, Stapiński Jan<sup>176</sup>, słowem cała ówczesna lewica ludowcowo-demokratyczna i wielki ukraiński poeta Franko Iwan<sup>177</sup>. Nas pociągała do Rewakowicza jego uczciwość polityczna, jego radykalizm społeczny, złączony z gorącym patriotyzmem i jego niezależność od wszelkich klik. Ale inteligenckich snobów obchodziła przede wszystkim jego sękata pałka (rewakowiczówka), jego nieogolona twarz z rzadkim zarostem, długie buty i wpuszczone w nie bufiaste spodnie, niedbała poplamiona czamara i bajecznie krótki wzrok. Zewnętrzny wygląd tego na wskroś dobrego, powiem więcej, dobrodusznego, łagodnego filantropa pasował go na jakiegoś krwawego Marata<sup>178</sup>, w oczach ludzi ze społecznie nieczystym sumieniem.

Innym typem, też uchodzącym za jakąś postać krwiożerczą, był profesor Politechniki Józef Jaegerman<sup>179</sup>. Choleryk, weredyk<sup>180</sup>, dobry mówca wiecowy, jeden z dodatnich typów lwowskich tromtadratów<sup>181</sup>. W radzie miejskiej psuł harmonię towarzystwu wzajemnej adoracji, która tam rej wodziła. Mimo woli przyczyniłem się do zmierzchu jego popularności. Bo w późnej jesieni 1884, a może 1885 r. wypadł na ulicę, wciągnął mnie przy pomocy stróża do bramy swego domu i tam kułakami bił po głowie i twarzy. Za ten, niczym niesprowokowany przeze mnie napad, został zasądzony na areszt i grzywnę. Wszyscy jego nieprzyjaciele, a miał ich sporo i wpływowych, spiknęli się przeciw niemu, wyrzucili go z katedry na Politechnice i nie dopuścili więcej do rady miejskiej. Ja świętym nie byłem, ale akurat

---

1887–1919. W II Rzeczypospolitej senator. Maria Wysłouch (1858–1905) – działaczka oświatowa i społeczna, współorganizatorka (wraz mężem) ruchu ludowego w Galicji.

<sup>173</sup> Jan Kasprowicz (1860–1926) – poeta i dramaturg, przedstawiciel Młodej Polski.

<sup>174</sup> Jakub Bojko (1857–1943) – polityk, współtwórca galicyjskiego Stronnictwa Ludowego, w okresie zaborów poseł do Sejmu Krajowego i austriackiej Rady Państwa. W II Rzeczypospolitej związany z PSL „Piast”, powstałym po rozłamie PSL w 1913 r., wicemarszałek Sejmu Ustawodawczego, wicemarszałek Senatu (1922–1927), poseł na Sejm.

<sup>175</sup> Karol Lewakowski (1836–1912) – polityk, współtwórca i działacz galicyjskiego ruchu ludowego, prezes Stronnictwa Ludowego w latach 1895–1897, poseł i adwokat.

<sup>176</sup> Jan Stapiński (1867–1946) – polityk i działacz ruchu ludowego w Galicji i II Rzeczypospolitej. Od 1913 r. prezes PSL „Lewica”, poseł do austriackiej Rady Państwa i Sejmu II Rzeczypospolitej, senator.

<sup>177</sup> Iwan Franko (1856–1916) – ukraiński poeta i pisarz, publicysta, znawca literatury słowiańskiej, działacz społeczny i polityczny, związany z ruchem socjalistycznym. Współpracował z polskimi działaczami ludowymi i socjalistycznymi.

<sup>178</sup> Jean-Paul Marat (1743–1793) – radykalny polityk w dobie Wielkiej Rewolucji Francuskiej, dziennikarz.

<sup>179</sup> Józef Jaegerman (1843–1927) – profesor Politechniki Lwowskiej, radny miejski, działacz społeczny, współtwórca Towarzystwa Politechnicznego we Lwowie.

<sup>180</sup> Weredyk (od łac. *veritas* – prawda) – szczery, mówiący prawdę.

<sup>181</sup> Tromtadrata (przest.) – krzykacz.

wówczas zbliżyłem się z propozycją pokoju do jego synów. Odchodziłem spokojnie, gdy mnie napadł. Zawiniła jego popędliwość, nie chciał słuchać tego, co mówiłem ani nawet tego, co mu jego synowie w mojej obronie mówili. Później, już jako inżynier i socjalista stykałem się z nim. Zawiązała się między nami nić sympatii. Przestałem mieć do niego żal za to brutalne znęcanie się nad 16-letnim wyrostkiem, a zdaje mi się, że on nie zdawał sobie sprawy, iż przeze mnie skończył raptownie swoją karierę profesorską i polityczną. Pamiętam jego krytykę planu rozbudowy krajowej sieci kolejowej, wygłoszoną w Towarzystwie Politechnicznym<sup>182</sup>. Skrytykował zarówno trasę, jak plan finansowania, jak w ogóle pomysł budowania kosztem kraju kolei, a oddawanie na nich ruchu państw[u?]. Krytyka była zjadliwa, dowcipna i miała dużo sensu. Skrupiła się na obecnym na posiedzeniu Mauryśiu Machalskim. Pokazało się potem, jak niekorzystnym było prowadzenie linii kolejowej z Kołomyi do Zaleszczyk przez Stefanówkę, wieś leżącą za granicą Galicji na Bukowinie, obecnie w Rumunii. Właśnie to było wtedy tematem krytyki. Jako przykład jego złośliwości podam jego powiedzenie, też na posiedzeniu tegoż Towarzystwa, o niezwykle zasłużonym dyrektorze Biura Melioracyjnego Wydziału Krajowego, inż. Andrzeju Kędziorze<sup>183</sup>: „ten inżynier bez... (dłuższa pauza) wąsów...”. Wiadomo, że Kędzior miał do późnej starości kobiecy głosik, co nasuwało podejrzenie, jakoby był hermafrodytą. „Jaegermanówkami” zwano kilkanaście drewnianych, niekoniecznie estetycznie na zewnątrz wyglądających publicznych ustępów. A przecież jego zasługą jest, że jako radny przeforsował ich budowę. Bądź co bądź był to postęp w dziedzinie sanitarnej, przeto złośliwość lwowian była nie całkiem na miejscu. Na ostatnim występie publicznym, na zgromadzeniu stronnictwa demokratycznego już tylko głądził. Był bardzo stary. Kiedy umarł? Nie wiem.

Za młodzi byliśmy, by nas specjalnie mógł folklor lwowski zainteresować. Tylko jedna popularna piosenka, krążąca po Lwowie od 1881 r. (od zamachu na cara Aleksandra II<sup>184</sup>) utkwiła mi w pamięci – „Pękła bomba, buchła para i porwali diabli cara. Car się patrzy co takiego? A tu nogi koło niego”.

---

<sup>182</sup> Towarzystwo Politechniczne – powstało w 1876 r. jako Stowarzyszenie Ukończonych Techników, od 1878 r. nazwę zmieniono na Towarzystwo Politechniczne. Członkowie wywodzili się przede wszystkim z pracowników i absolwentów Politechniki Lwowskiej. Celem działalności stowarzyszenia było pogłębianie wiedzy i konsolidacja środowiska.

<sup>183</sup> Andrzej Kędzior (1851–1938) – polityk związany z ruchem ludowym, w II Rzeczypospolitej minister robót publicznych, poseł na Sejm, senator.

<sup>184</sup> Zamach na cara Aleksandra II (1818–1881) – zamach bombowy dokonany przez grupę rewolucjonistów Narodnej Woli 13 marca 1881 r.

Jedną popularną osobistość ludową dobrze pamiętam. Bohaterem tym był „Durny Jasio”. Czy był naprawdę durnym, czy robił wariata? Do dziś nie wiem. Mówił poprawnie po francusku, dobrym akcentem. Umiał być bardzo złośliwym i to dowcipnie złośliwym. Wiedział, jaką łatkę przypiąć, któremu z działaczy politycznych lub urzędników. Czy to robił sam ze siebie (jakby *Barani Kożuszek*<sup>185</sup> z powieści Kraszewskiego), czy był przez kogoś inspirowany, jak mówiono, nie wiem. Zimą czy latem w jednakowym ubraniu, trzymając ręce założone do rękawów surduta, szedł, raczej biegł truchcikiem z rana na ulicę Karola Ludwika (dziś Legionów<sup>186</sup>) i stawał na rogu Trzeciego Maja. Domagał się od przechodniów papierosów i ognia. Nie wolno mu było odmówić, jeżeli nie chciało się usłyszeć głośnego besztania. Nieraz dawano mu pieniądze. Najczęściej odmawiał, żądając, by dający przyniósł mu papierosów. Mieszkał na Garcarskiej, to też często spotykałem go na ulicy. Stojąc na swym posterunku, dokuczał nieraz i to w dotkliwy sposób Żydom, których wyraźnie nie cierpiał. Nigdy od Żyda nie wziął papierosa. Pędził tych, co mu je chcieli dawać: „pójdź precz cybuchu!” albo „i idziesz kasztanie!”. Dokuczał też czarno-żółtym patriotom, tzw. szwarcgelberom i lwowskim kapitalistom. Różne osobistości narażone przez niego na publiczne ośmieszanie domagały się kilkakrotnie od władz zamknięcia go w domu wariatów, jednak lekarze zawsze stwierdzali, że jego stan zdrowia nie grozi nikomu żadnym niebezpieczeństwem. Nawet młodzież uliczna, zbierająca się koło niego, nie napastowała go ani przedrzeźniała, tworzyła tylko jego chór grecki, jego echo, śmiejąc się głośno z jego dowcipów. Miał jedną pasję, zachodził po cichu idących przed nim, zwłaszcza Żydów i huknął im naraz do ucha. Czasem wtrącał się z wielkim sensem do rozmów przechodniów. Z tych wtrąceń można było poznać, że bywał za granicą. Inni jednak twierdzili, że to albo przypadek, albo wynik lektury i przebłysk pamięci. Przez 30 lat krążyła ta typowa lwowska postać po ulicach miasta. Durny Jasio miewał konkurentów. Od czasu do czasu pojawiał się jakiś drugi wariat, też pełen politycznych złośliwości. Ale zawsze mniej udanych. Po jakimś czasie gubił się, gdy się okazało, że to albo prawdziwy wariat, albo zwykły wydrwigoosz, strugający wariata. Durny Jasio umarł w połowie grudnia 1903 r.

W lecie włączyliśmy się po lasach podlwowskich. Stach Nowacki jeździł na wakacje do swego wujostwa do Perepelnik (wieś w zborowskim powiecie). Mohr wyjeżdżał do Wrocławia, tedy my z Antkiem Liske, a czasem także

---

<sup>185</sup> *Barani Kożuszek. Opowiadanie historyczne z końca XVIII w.* – powieść J. I. Kraszewskiego z 1881 r., której bohaterem jest żebrak zwany Baranim Kożuszkim. Jego losy są pretekstem do ukazania obrazu społeczno-politycznego Warszawy w latach 1790–1792.

<sup>186</sup> Obecnie ulica nosi nazwę Prospekt Wolności.



z kolegą Romana, Janem Jordanem<sup>187</sup> w trójkę lub czwórkę, wzięwszy kije do rąk, katapulki i śrut do kieszeni, ruszaliśmy w lasy, by w promieniu trzech mil obejść Lwów naokoło. Że siedząc we Lwowie lub kręcąc się po jego okolicach, nie dostrzegliśmy odrębnych cech lwowskiego folkloru rzecz jasna, bo sami tkwiliśmy w nim po uszy. Dopiero po opuszczeniu Lwowa na stałe tęsknota za miastem, w którym spędziło się górną i chmurną młodość, obudziła miłość i do wyśmiewanego przez nas przeciągania lwowskiego, i do batiarów lwowskich, ich humoru, zdolności, tężyzny, i do ulicznych pieśni lwowskich, i do miasta, ulic, domów, słowem do całego Lwowa z jego jasnymi i ciemnymi stronami, takiego jakim był i został w pamięci z młodych lat. Z biegiem lat przecież zwracało się uwagę na sceny uliczne, np. tego rodzaju – na ławce, na Wałach Hetmańskich siedzi mężczyzna w średnim wieku, mina i strój typowego batiara. Naraz otacza go dwóch polikierów (policjantów), a urzędnik policyjny, który z nimi przyszedł, coś do niego mówi. W pewnej chwili policjanci rzucają się na siedzącego i chwytają za ręce, ale choć każdą jego rękę trzyma jeden policjant, nasz batiar w jednej chwili odtrąca żołnierzy policyjnych, uwalnia obie ręce, odskakuje dwa kroki w bok. Zaczyna się uporczywa walka jednego z trzema ludźmi. Zbiera się grupka widzów. Walka trwa dziesięć minut bez wyniku. W każdym razie jasnym jest, że zanosi się na długi bój. Ich trzech na takiego jednego za mało. Publiczność zdecydowanie po stronie batiara. Więc urzędnik wstrzymuje walkę i przemawia dobroduszenie do naszego bohatera: „Ta Józek! Ta co z tobą? Ta tobie nie pierwszy raz iść do mamra!”. A ów Józek, jeden z wybitniejszych bandytów lwowskich, powiada: „Ta ja chcę konnego” (przed miesiącem pojawili się na ulicach Lwowa konni posterunkowi). „Ta czemuś tego od razu nie mówił?” I posłał jednego z policjantów po konnego. Skoro ten się pojawił, nasz Józek poszedł najspokojniej do aresztu.

Fiakrzy złym okiem patrzyli na wybudowany w 1894 r. tramwaj elektryczny, zresztą pierwszy na ziemiach polskich. Linia prowadziła z dworca, ulicą Leona Sapiehy, placem Mariackim na plac Wystawy Krajowej. Na przystanku, na rogu ulic Kolejowej i Gródeckiej, fiakier stanął i czekał na jadący z dworca wóz tramwajowy. Dorożkarz, batem wskazując kierunek, w którym tramwaj musiał jechać, woła na motorowego – „te tramwaj! wišta! wišta! Motorowy zgrzytał zębami, kłął fiakra, ale skręcił na „wišta”, bo co miał robić, kiedy szyny skręcały właśnie w tym kierunku.

---

<sup>187</sup> Jan Jordan – ur. w 1871 r. w Turynce, uczeń II Gimnazjum im. Franciszka Józefa w latach 1882–1890.

## 8.

### Uczymy się do matury z Kikingerem i Malinowskim. Matura pisemna i ustna.

**M**aturę zdałem dobrze. W ósmej klasie, od razu od początku roku szkolnego, wziąłem się, w całym tego słowa znaczeniu, porządnie do nauki. Po raz pierwszy w życiu. Skoro świt już ślęczałem nad książką, nierzadko do 10 i 11 wieczorem. Niedziele i święta w całości były oddane nauce. Żadne zabawy, żadne tańce, żadne teatry amatorskie. Łyżwy na ślizgawce domowej były jedyną rozrywką, na którą sobie od czasu do czasu pozwalałem. Uczyłem się od początku września do drugiej połowy czerwca, to jest do chwili mego wejścia w drzwi kancelarii gimnazjalnej, w której odbywał się ustny egzamin. Wykułem historię, podaną nam w trzystu pytaniach, przygotowanych i podyktowanych przez prof. Kwiatkowskiego. Wykułem matematykę, fizykę, literaturę polską, realia rzymskie i greckie. Najslabiej byłem przygotowany z literatury niemieckiej.

Z kolegów naszego oddziału najbliżej byłem z Edziem Kikingerem, zdolnym uczniem, doskonałym kolegą, wesołym, dowcipnym w owe lata lekokoduchem. Jego ojciec dzierżawił duży majątek na Podolu rosyjskim. Edzio spędzał wakacje w domu tuż za Zbruczem. Miał się nieźle. W ósmej przełknął się matury, głównie systemu Kwiatkowskiego i pipczenia nas przez Filipowskiego. Oświadczył mi, że wie, iż nic nie umie. Przemykał się, dzięki swym zdolnościom z klasy do klasy przez całe gimnazjum, teraz nie myśli się kompromitować i od matury odstępuje. Udało mi się dodać mu odwagi i wyleczyć go z defetyzmu przedstawieniem, że jestem akurat w tym samym położeniu i postanowiłem douczyć się w ósmej tego, co zaniedbałem przez całe wyższe gimnazjum. W końcu września uczyliśmy się już we dwójkę. Dopilnowałem go, że przesiedział fałdów<sup>188</sup>, a że był bardzo zdolny, przeto do matury siadł z całą fantazją i pewnością siebie. Ba! Lepiej przygotowany ode mnie. Na trzeciego dobraliśmy, w jakie trzy miesiące przed maturą, Stefana Malinowskiego<sup>189</sup>, mieszkającego u rodziców w dole ul. Garncarskiej. Lamentował, że nic nie umie, że nauka mu do głowy nie idzie. Ten znów był wzorem pilności, za to istotnie mniej zdolny. Z nami się pouczył, bośmy mu popularnie wytłumaczyli różne niejasne mu matematyczne i fizyczne kwestie. Siadał do matury nie najgorzej przygotowany. Był jednak tak nerwowy, że pytanie profesora zawsze go mieszało. Tego się najwięcej obawiał przy

<sup>188</sup> Przysiąść fałdów – przyłożyć się bardzo intensywnie do pracy.

<sup>189</sup> Stefan Malinowski – ur. w 1869 r. w Osoczowie, w latach 1881–1888 uczeń III gimnazjum.

maturze. Obiecałem mu, że o ile będziemy razem zdawać, po otrzymaniu zapytania od egzaminatora, szturchnę go lub kopnę, aby oprzytomniał. Zdawaliśmy razem, ale nie trzeba było chwycić się takich sposobów, bo zacny Próchnicki czuwał nad tym, by pytany miał czas ochłonąć z tremy.

Zaczęło się od pisemnej. Siadło nas 40, w oddziale B 39. Pisemną zdawaliśmy w lokalach klasowych, ale rozdzieleni daleko od siebie tak, że w ławkach przeznaczonych dla 40 siedziało nas 20-tu. Papier do zadań był ostemplowany przez komisję. Profesor dyktował temat albo pisał go na tablicy. Stale jeden z profesorów chodził po sali w ciągu czterech godzin przeznaczonych na pisanie, bacząc byśmy ani od siebie nie odpisywali, ani z książek. Pomocy z zewnątrz nie mieliśmy żadnej, przynajmniej o niej nie wiedziałem, a powinien bym o niej wiedzieć, gdyby była. Tłumaczenie z polskiego na łacinę posyłali nam na karteczkach nasi filologowie. Ja dostałem od Fabiańskiego. Z łaciny na polski dałem sobie radę sam, bo wolno było używać słownika. Zadanie polskie poszło łatwo. Temat był ogólny, po łacinie podyktowany *O cnocie obywatelskiej* czy bzdurzenie o czymś podobnym takim. Źle zrozumieliśmy temat i cała sala, bez wyjątku, odwróciła kota do góry ogonem. Okazało się, że można było i tak zadanie łacińskie przetłumaczyć. Z niemieckiego były do wyboru trzy tematy, wybrałem historyczny. Matematyka poszła mi dobrze i prędko. Gdzieś pomyliłem się w dodawaniu. Zadanie zrobiłem dobrze, odpisy posłałem w tył, a także Fabiańskiemu. Coś dwóch kolegów odpisało bezmyślnie z mej karteczki, więc w zadaniu popełnili ten sam błąd w dodawaniu co i ja. Fipcio mi to wypomniał, wnioskując z czasów oddawania zadania, że ja jestem autorem tego błędu.

Ustną zdawaliśmy trójkami. Najpierw koledzy, zwolnieni od egzaminu z historii i polskiego lub jednego z tych przedmiotów. Wolnym był ten, kto w tych przedmiotach miał w świadectwach, z ostatnich ośmiu półroczy nauki, przeciętny stopień zadawalający. Dalsze trójki układano wedle alfabetu. W sali zasiadali: inspektor z Rady Szkolnej, prowadzący maturę, dyrektor gimnazjum, gospodarz klasy i egzaminujący profesorowie. Ta komisja orzekała o wyniku. Tekst łaciński, który mieliśmy tłumaczyć na polski, dostawaliśmy na parę minut przed odpowiedzią, słownik leżał na stole. Tak samo ten niemiecki ustęp, który miał być opowiedziany własnymi słowami. Właściwie nie odpowiedziałem tylko na jedno uboczne pytanie z fizyki. Pytany z optyki odpowiadałem dobrze, ale zbaraniałem, gdy inspektor zapytał mnie, jak się po niemiecku nazywa soczewka wypukła, a jak wklęsła. Nigdy tego nie słyszałem. Stefanowi o tyle dopomogłem, że skoro dostał zawczasu pytanie, a ja byłem w danej chwili wolny, na karteczce pisałem mu parę słów, mogących go naprowadzić na odpowiedź.

Zaczęliśmy zdawać o 8 rano, a skończyli o 6 wieczór z dwugodzinną przerwą na obiad. Nasza trójka zdała dobrze. W ogóle z naszego oddziału bodaj jeden czy dwóch zostało „reprobowanych”<sup>190</sup>. Komisja, po krótkiej naradzie, uznała mnie za dojrzałego. Drzwi na świat miałem wtedy już otwarte. Takiej pewności siebie, takiej dumy, jak po maturze, nigdy później w życiu nie odczułem. Zdawało mnie się, że wszystkie rozumy pojadłem, że nikt ze starszych nie zdałby matury tak jak ja, że co zechcę, to potrafię zrobić, że wywołam powstanie, stanę na czele jego i będę pierwszym w Polsce człowiekiem sławnym, wielkim. Zapewne nie byłem jedynym spośród maturzystów, którym się wielkie plany roiły. Czy dzisiejszych maturzystów tak samo duma rozpiera, jak nas? Śmiem wątpić, skoro matura przestała być tym mostem, który trzeba przebyć, aby wjechać w świat. Mnie przymus wielkiego wysiłku umysłowego, cały trud maturalny, opłacił się rozkoszą nieznaną już potem w życiu. Dopiero stopniowo ludzie, czasy i zdarzenia obrywały w życiu skrzydła fantazji młodości.

---

<sup>190</sup> Reprobowany (z łac.) – odrzucony na egzaminie.



## Rozdział II

# POLITECHNIKA LWOWSKA<sup>191</sup>

### 1.

#### **Stosunki koleżeńskie. Znaczenie Towarzystwa Bratniej Pomocy. Wychowanie obywatelskie.**

Przy przejściu z gimnazjum na Politechnikę wymagano egzaminów z geometrii wykreślnej i z rysunków. Rysunków uczył nas w gimnazjum Karol Młodnicki<sup>192</sup>, znany malarz, a o geometrii wykreślnej (ortogonalnej) nabrałem, w czasie wakacji, pojęcia od pana Jana Boguckiego<sup>193</sup>, ówczesnie słuchacza 1. roku, późniejszego profesora politechniki. Prof. Łazarski<sup>194</sup> przy egzaminie w mig poznał, że mam bardzo słabe pojęcie o przedmiocie. Poświadczył jednak, że egzamin zdałem, a usprawiedliwiając niejako sprzeczność między moimi odpowiedziami a świadectwem, rzekł: „geometrii nauczy się Pan na politechnice z moich wykładów”. Otrzymawszy świadectwo od prof. Marconiego<sup>195</sup>, któremu liść akantu jako tako z wzoru

---

<sup>191</sup> W latach 1877–1918 uczelnia lwowska nosiła nazwę Szkoły Politechnicznej. W tekście zachowano oryginalny zapis Autora *Wspomnień*.

<sup>192</sup> Karol Młodnicki (1835–1900) – malarz i nauczyciel rysunku w gimnazjach lwowskich, jednej z założycieli Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych, jeden z organizatorów Powszechnej Wystawy Krajowej w 1894 r. we Lwowie.

<sup>193</sup> Jan Bogucki (zm. 1948) – profesor Szkoły Politechnicznej (później Politechniki Lwowskiej), wielokrotny dziekan Wydziału Architektury i Wydziału Inżynierii Dróg, Kolei i Mostów, emerytowany w 1937 r. Po II wojnie światowej tworzył i wykładał na Politechnice Wrocławskiej.

<sup>194</sup> Mieczysław Łazarski (1852–1930) – matematyk, profesor Szkoły Politechnicznej, rektor tejże uczelni w latach 1896–1897.

<sup>195</sup> Leonard Marconi (1835–1899) – rzeźbiarz, profesor Szkoły Politechnicznej.

narysowałem, immatrykułowałem się w dniu 14 października 1888 r. jako słuchacz Wydziału Mechaniki. Miałem zamiar studiować inżynierię, ale że chwilowo dziekana nie było, a wykłady na obu tych wydziałach, przez pierwsze dwa lata, były wspólne, więc nie czekałem na przybycie dziekana inżynierii lądowej. Po tych dwóch pierwszych latach, bez przeszkód i bez kosztów, przenieśliśmy się na inżynierię. Ukończyłem ją po 6 latach studiów technicznych. Program przewidywał 10 półroczy na Wydziałach Inżynierii i Architektury i po 8 półroczy na chemii i mechanice. Korasadowicz i Bartmański zapisali się na inżynierię a Stach Nowacki na chemię. W ogóle mniej więcej połowa słuchaczy studiowała inżynierię, a reszta przypadała, prawie w równych częściach, na trzy pozostałe Wydziały.

W roku, w którym zaczynałem studia, Politechnika liczyła 168 słuchaczy, a gdy ją kończyłem w 1893/4 miałem 254 kolegów. Prof. Zachariewicz<sup>196</sup> projektował ongiś gmach szkoły na 350 słuchaczy. Więc miejsca było w nim aż za dużo, zwłaszcza, że przesilenie gospodarcze odstręczało młodzież od studiów technicznych.

Od r. 1880 do r. 1890 ilość słuchaczy stale zmniejszała się, a i tak kończący szkołę inżynierowie w poszukiwaniu pracy i chleba przeważnie emigrowali z Galicji. Przeciętnie liczba kolegów dochodziła do 200. Z tego 170 rzym. kat., 14 gr. kat. i 16 mojżeszowej religii. Narodowość polską podawało 185 kolegów. Można tedy twierdzić, że ta jedyna na polskich ziemiach wyższa Szkoła Politechniczna była na wskroś polską.

Nic dziwnego, że wobec stosunkowo małej liczby techników wszyscy koledzy znali się dobrze, że koleżeństwo wytworzyło z nas jakby jedną rodzinę, że życie akademickie oddziaływało na każdego z nas bez porównania silniej niż na uniwersytecie z jego 1250 akademikami. Najmniej liczny Wydział Filozoficzny na uniwerku, liczył prawie taką samą liczbę słuchaczy co wszystkie cztery wydziały techniki. W dodatku olbrzymia większość prawników (przeszło połowa uniwersytetu) pojawiała się we Lwowie tylko na początku i na końcu każdego półrocza, aby wziąć poświadczenie słuchania (frekwencja) wykładów, ewentualnie zdawać kolokwia i zapisać się na następne półrocze. Stąd też po bliższym poznaniu takich prawników na prowincji mogłem ocenić trafność ironicznej mowy pogrzebowej, wypowiedzianej w bardzo wesołym gronie: „urodził się w Samborze, do szkół chodził w Samborze, prawo ukończył w Samborze, został urzędnikiem skarbowym w Samborze, ożenił się w Samborze, dzieci płodził w Samborze, światopogląd zdobył w Samborze, umarł w Samborze i pogrzebion jest w Samborze”.

---

<sup>196</sup> Julian Zachariewicz (1837–1898) – architekt, profesor i rektor Szkoły Politechnicznej we Lwowie w latach 1877–1878 i 1881–1882.



**Fot. 5.** Politechnika Lwowska  
Źródło: polona.pl

Praca na Politechnice wykluczała absolutnie tego rodzaju studiowanie, bo zmuszała do przebywania w gmachu na wykładach, a w salach rysunkowych i laboratoriach co najmniej przez 8 godzin dziennie. Tylko najzdolniejsi mogli równocześnie zarobkować i nie opóźniać się w studiach. Do takich należeli ówczasie Jan Bogucki, Joachim Traczyk<sup>197</sup>, Józef Klimonda<sup>198</sup> i zaledwo [s] kilku innych, nie więcej niż 6 słuchaczy. Wskutek tego technika była droga, studia na niej wymagały albo pomocy z domu, albo stypendium, albo własnych środków. Ci, którzy tego nie mieli, cierpieli biedę i głód, w całym tego słowa znaczeniu. Częściowym lekarstwem na biedę było Towarzystwo Bratniej Pomocy Słuchaczy Politechniki we Lwowie. A przy tym, bez przesady mówiąc, było ogniskiem koleżeństwa i prawdziwą szkołą życia obywatelskiego. W ciągu 7 lat mego związku z Bratnią Pomocą, tj. od 1888/9 do 1894/5, odbywało się mniej więcej raz w miesiącu Walne Zgromadzenie lub Wiec, dwa do trzech posiedzeń Wydziału Towarzystwa, 4 do 5 posiedzeń zarządów kółek i dwa do trzech odczytów miesięcznie. Członków liczyło Towarzystwo, w tym okresie czasu, więcej aniżeli zapisanych słuchaczy, bo należeli koledzy po uzyskaniu absolutorium, a więc po wypisaniu się ze szkoły,

<sup>197</sup> Joachim Traczyk (1864–1933) – inżynier związany z galicyjskim przemysłem naftowo-gazowym, fotograf, pionier polskiej kinematografii.

<sup>198</sup> Józef Klimonda – ur. w 1869 r., studiował na Wydziale Mechanicznym w latach 1888–1892, pracował jako profesor Szkoły Przemysłowej w Krakowie.



ale przed zdaniem końcowego egzaminu. Jednym, złączonym węzłami przyjaźni i koleżeństwa, żal było rozstawać się z młodszymi kolegami, innych wiązały wspomnienia i pociągała praca w samym Towarzystwie, a najwięcej było chcących korzystać z jego materialnych instytucji i urządzeń w czasie przygotowania się do egzaminu. To też poza nim znaleźli się albo wyrzuceni z niego, albo wykreśleni (np. za niepłacenie wkładek, niedotrzymanie zobowiązań finansowych). Nieliczne i rzadkie były wypadki, zresztą krótkotrwałe, najczęściej wywołane powodami politycznymi, w których członkowie sami występowali z Towarzystwa. W tych okolicznościach, uchwała Wiecu ogółu słuchaczy Politechniki na wiosnę 1889 r., że jedynie Towarzystwo Bratniej Pomocy ma prawo reprezentowania na zewnątrz młodzież naszej uczelni, najzupełniej odpowiadała rzeczywistości.

Zatem wszyscy słuchacze Politechniki mieli możliwość i sposobność przysposobić się w Towarzystwie do życia publicznego. Mogli poznać demokratyczne formy parlamentarne, nauczyć się prowadzenia obrad, formowania wniosków, wyrażania swych myśli, przemawiania, rozszerzyć swój horyzont w najróżnorodniejszych zagadnieniach życia politycznego i społecznego, słowem mogli krystalizować swoje przekonania, zarówno w czasie ciągłych starć światopoglądów na obradach zgromadzeń Towarzystwa czy wieców ogólnoakademickich, jak na odczytach kółkowych. Zresztą obfita czytelnia, wykładająca na stół przeszło 17 czasopism z wszystkich trzech zaborów, biblioteka beletrystyczna, historyczna i ekonomiczno-społeczna, poprowadzona do 1600 tomów, wolny wstęp na wystawy obrazów i zniżki teatralne uzupełniały ogólne wykształcenie i wychowanie obywatelskie. Niby to zabawa, ale ucząca metodą freblowską<sup>199</sup>. Bawiąc się, pracowaliśmy sami nad sobą, pozostawiając na uboczu, dziś z trudem wyszukiwane, formy pedagogiczne.

Ja przynajmniej, z czynnego udziału w pracach i działaniu Bratniej Pomocy, wyniosłem na całe życie nie tylko naukę wszelkich form życia publicznego, w najszerszym tego słowa znaczeniu, ale skończywszy pracę w Bratniej Pomocy, ustaliłem swoje przekonania, których zasady nie uległy zmianie do dzisiaj, po blisko 50 latach. Wiem, że nie ja jeden. Mógłbym wymienić sporo nazwisk kolegów, którzy to samo wynieśli z Politechniki, co ja. Profesorowie robili z nas inżynierów, Bratnia Pomoc – obywateli. Sądząc po zewnętrznych przejawach, dzisiejsza Bratnia Pomoc Politechników przestała być szkołą życia obywatelskiego, a stała się placówką partyjną, hodującą najgorszego typu partyjniaków, a nie obywateli. Ale o tym potem.

---

<sup>199</sup> Metoda freblowska – nauka przez zabawę. Friedrich Fröbel (1782–1852) – niemiecki pedagog, twórca pierwszego systemu wychowania przedszkolnego.

## 2.

### Rozmiary pomocy materialnej.

**N**a pierwszy plan pracy Zarządu Towarzystwa wysuwała się z natury rzeczy strona materialna. Towarzystwo posiadało kapitałów własnych w funduszu żelaznym coś ponad 11 000 złr.<sup>200</sup> W czasie gdy do niego wstępował, blisko 15 000 złr. Muszę zaznaczyć, że z wyjątkiem dawniejszych nieporządków kasowych b.[yłego] prezesa T. Chryścińskiego<sup>201</sup> (1885/6), którego zadłużenie w 10 lat po ukończeniu przez niego studiów przekraczało 300 złr. (bez procentów) i jeszcze dawniejsze, wprost defraudacji pana Czesława Birsztejna<sup>202</sup>, zastępcy przewodniczącego (1884/5 i 6), którego weksle na 171 złr. figurowały długie lata w sprawozdaniach kasowych, nie zdarzyło się nic równie przykrego w towarzystwie przez czas mego w nim członkostwa.

Fundusz obrotowy wynosił od 19 000 do 21 000 złr. Składał się przeważnie z rewersów, wystawianych przez otrzymujących pożyczki członków. Pożyczki były bezprocentowe, rewersy płatne po ukończeniu Politechniki, ryczałtówki w określonym terminie od miesiąca do trzech. Polityka gospodarcza Zarządów zmierzała do tego, aby w roku tylko tyle na nowo pożyczać, ile wpłynię ze zwrotów długów. Stąd od energii Zarządu, względnie wiceprzewodniczącego, który stał na czele komisji pożyczkowo-dłużniczej, tj. udzielającej pożyczek i ściągającej długi, zależała wysokość pomocy koleżeńskiej. Co prawda tylko za mojej prezesury udało się ten idealny program finansowy urzeczywistnić, skutkiem tego, że objąłem, po poprzednim Wydziale, zupełnie pustą kasę, więc na pożyczki było bardzo mało pieniędzy, a energiczne ściąganie długów dało wyniki dopiero w czasie wakacji, kiedy się pożyczek nie udzielało. Ogłaszanie w rocznych sprawozdaniach nazwisk tych dłużników, którzy w roku administracyjnym nic nie wpłacili, pomogło o tyle, że na stałe podniosła się suma wpływów od dłużników i można było z bieżących dochodów ustanowić 3 stypendia dla najbiedniejszych kolegów po 120 złr. rocznie, wypłacanych w ciągu 10 miesięcy, co wystarczało na skromne utrzymanie.

<sup>200</sup> Złoty reński, gulden – waluta obowiązująca w Austro-Węgrzech od 1857 do 1892 r., kiedy to została zastąpiona koroną.

<sup>201</sup> Tadeusz Chryściński (1861-?) – student Wydziału Budownictwa Lądowego w latach 1880–1886 prezes Bratniej Pomocy w latach 1885–1886.

<sup>202</sup> Czesław Birsztejn – ur. w 1863 r., studiował w Szkole Politechnicznej w latach 1882–1886. W kadencji Wydziału 1885/1886 został wykluczony prawdopodobnie za nieprzemyślane decyzje finansowe.

Trudno przypuścić, aby przeważnie niezamożni studenci swoimi wkładkami potrafili zbudować instytucję, niosącą skuteczną pomoc najbardziej potrzebującym. Wpisowe wynosiło 1 złr., a wkładka miesięczna 33 centy. Wydział miał prawo 10% zwyczajnych członków uwolnić od płacenia wkładek, tym zrozumiałszą staje się niewystarczalność samopomocy. W sumie dochodów, wahających się między 4½ a 7½ tysiąca złr. rocznie, dochody z wpisowego i wkładek członków zwyczajnych nie przynosiły 10%. Dużą pomocą byli członkowie wspierający, rekrutujący się przede wszystkim z dawnych kolegów, z rad powiatowych i miejskich, z zarządów kas zaliczkowych i oszczędności, zresztą z osób zamożniejszych, filantropijnie nastrojonych. Ponadto słynne we Lwowie i najmodniejsze wówczas bale techników, wieczorki tańcujące, festyny i zabawy ogrodowe na Wysokim Zamku<sup>203</sup> dawały, wraz z wpływami od członków wspierających i subwencjami od instytucji samorządowych, co najmniej 25% dochodów rocznie. Drugie tyle czerpaliśmy ze zwrotu długów, a na resztę składały się procenty od własnych kapitałów, dochody z wydawnictw, nadzwyczajne i pożyczki z kapitału żelaznego.

Zasięg pomocy materialnej nie był zbyt szeroki. Jednak musiał wystarczyć. Znam wypadek, że grupa czterech kolegów mieszkała w jednym pokoju, za który płaciła czynsz 8 złr. miesięcznie. Razem posiadali jedną parę trzewików i jedną parę wysokich kaloszy. Więc mogło ich tylko dwóch wychodzić z domu na wykłady czy do kuchni na obiady. Jedli co drugi dzień, słuchali wykładów i pracowali w laboratoriach chemicznych co drugi dzień. Takie rażące fakty niedostatku Bratnia Pomoc skutecznie zwalczała i zwalczyła.

Główną pomoc stanowiły pożyczki. Więcej niż połowa członków czerpała z tego źródła. Przeciętna wysokość pożyczki wynosiła od 15 do 20 złr. rocznie (9 miesięcy). Zwyż 50 złr. pożyczczało 10 kolegów, a w roku 1893/4 nawet 6 otrzymało po 100 złr. rocznie. Ponadto od jesieni 1892 r. udzielała Bratnia Pomoc 4 stypendia po 120 rocznie. Około 200 złr. wydawała w roku subwencji na wycieczki naukowe. Gdy dodam do tego darmowe, a potem kredytowane obiady w kuchni, z których stale korzystało co najmniej 4 kolegów, będę mógł stwierdzić, że z chwilą uporządkowania finansów i poprawienia się stanu dochodów w roku 1891/2 przeszło 10% członków mogło studiować tylko dzięki pomocy otrzymanej z Towarzystwa.

---

<sup>203</sup> Wysoki Zamek – wzniesienie we Lwowie, na którym w połowie XIV w., za panowania Kazimierza Wielkiego, wybudowano zamek, zniszczony w 1704 r. i rozebrany w 1772 r. W latach 1869–1890 na wzgórzu usypano Kopiec Unii Lubelskiej. Wysoki Zamek stanowi obecnie najwyższy punkt widokowy we Lwowie.

Tu należy wspomnieć, o powstałej późną wiosną 1892 r., komisji ubiorowej, która dostarczała, po możliwie najniższych cenach ubrania, palta, kapelusze, krawatki, obuwie i przybory rysunkowe. Przeciętne zamówienie opiewało na 30 złr. w roku i przedstawiało wartość ubrania wełnianego, kapelusza i pary obuwia. Wielu członków korzystało z kredytu. Komisja usunęła radykalnie takie jaskrawe przejawy biedoty odzieżowej, o których wspominałem. Kuchnia i komisja ubiorowa były kółkami w łonie Towarzystwa, mającymi swój samorząd, nawet finansowy. Bratnia Pomoc udzielała im pożyczki na zorganizowanie się i puszczenie w ruch przedsiębiorstwa, ale nie odpowiadała i nie gwarantowała zobowiązań zaciągniętych przez nie u dostawców.

### 3.

#### **Królewiacy na Technice. Walka poglądów Drakonów z Patryjotnikami. Witam B. Limanowskiego.**

**W** naszej szkole spotykała się młodzież z dwóch zaborów – austriackiego i rosyjskiego. Mniej więcej czwarta część słuchaczy pochodziła z ziem zagarniętych przez Moskała. Przynosiła ze sobą nie tylko silne oddźwięki pozytywizmu, ale i nowe radykalne prądy społeczne, na pozytywizmie dobrze prosperujące, a z którymi w galicyjskiej szkole średniej nie zetknęliśmy się. Patrząc dzisiejszym okiem na naszych zakordonowych kolegów, podzieliłbym ich na Królewaków i tych z ziem zabranych. Podział niecisły i niedający się do wszystkich zastosować. Bo był jeszcze typ młodzieży zza kordonu nieodpowiadający ani bohaterom z *Syzyfowych prac*, ani z *Urody życia*<sup>204</sup>, poza nawiasem wszelkiego bohaterstwa. Królewiacy, ze swych tajnych kółek samokształceniowych wynieśli pewną znajomość socjologii, ekonomii i socjalizmu, za to całkiem nie znali bezstronnej historii polskiej ani literatury. W głębi duszy zachowali uczucia patriotyczne, ale życie w tamtejszych warunkach nauczyło ich nieprzejawiania tych uczuć. Natomiast u zakordonowców, prawie nie wyczuwało się nuty narodowej polskiej. Dziś dojrzałbym w nich i rozróżnił zarodki ideologii pepesowskiej i esdeckiej. Liczbowo byli mniej więcej równi. I jedni, i drudzy skupiali się wokoło kółka Zachęty Naukowej<sup>205</sup>. Najważniejszym – niejako programowym dziełem tego kółka było przetłumaczenie,

<sup>204</sup> Powieść Stefana Żeromskiego z 1912 r.

<sup>205</sup> Zachęta Naukowa – koło młodzieży studenckiej o demokratycznych, socjalistycznych poglądach, istniejące przy Politechnice przy Bratniej Pomocy, działające w latach 1885–1897.

a potem wydanie drukiem pracy K. Kautsky'ego<sup>206</sup> *Nauki ekonomiczne K. Marksa*. W odezwie, wydanej dla propagandy tej książki, przebija pozytywizm w zdaniu: „niebawem i u nas przekonano się, że siła społeczeństwa, jakkolwiek nie wyłącznie, to przecież przeważnie spoczywa w jego zasobach ekonomicznych i w sposobie ich podziału”. Oczywiście współcześnie tej różnicy nie dostrzegałem, nie rozróżniałem ideologii Bukowskiego<sup>207</sup>, Filemonowicza<sup>208</sup>, Kassjusza<sup>209</sup>, Szpunta<sup>210</sup>, Trusewicza<sup>211</sup>, od ideologii Bartoszewicza<sup>212</sup>, Klimaszewskiego<sup>213</sup>, Niekrasza<sup>214</sup> i innych. Jedni i drudzy witali serdecznie wiedeńskiego medyka Schaffnera z jego wieczorem hipnotyzer-skim, protegowali założenie klubu *Volapükistów*<sup>215</sup> przez S. Kornmana<sup>216</sup>, jedni i drudzy w odczytach w „Zachęcie” omawiali dzieła Comta<sup>217</sup>, Spencera<sup>218</sup>,

<sup>206</sup> Karl Kautsky (1854–1938) – myśliciel i teoretyk socjalizmu demokratycznego, działacz robotniczy, publicysta, redaktor „Die Neue Zeit”. Przeciwnik komunizmu, propagował obalenie systemu kapitalistycznego w drodze legalnych form walki.

<sup>207</sup> Józef Bukowski – ur. na Litwie w 1864 r. studiował w Szkole Politechnicznej na Wydziale Chemii w latach 1882–1887. Pracował jako chemik w przemyśle cukrowym i gorzelnianym w Królestwie Polskim i w Rosji.

<sup>208</sup> Jakub Filemonowicz – urodził się w 1862 r. w Rosji. Był słuchaczem Instytutu Agrarno-Leśnego w Puławach, następnie w latach 1883–1888 studiował na Wydziale Chemii w lwowskiej Szkole Politechnicznej.

<sup>209</sup> Stanisław Kassjusz (1868–1904) – działacz socjalistyczny, od 1890 r. działał we Lwowie, założył pismo „Robotnik”, od 1900 r. przebywał w Niemczech.

<sup>210</sup> Michał Szpunta – ur. w 1868 r. w Rosji, studiował na Politechnice w Wiedniu, uniwersytecie w Lipsku i na Wydziale Chemii Szkoły Politechnicznej we Lwowie w latach 1887–1890.

<sup>211</sup> Stanisław Trusewicz – ur. w 1870 r. w Rosji, w latach 1892–1893 był studentem na Wydziale Chemii.

<sup>212</sup> Stefan Bartoszewicz – ur. w Belnie (Królestwo Polskie) w 1870 r. Studiował na uniwersytecie w Odessie, w latach 1890–1892 na Wydziale Chemii i na Politechnice w Monachium w latach 1893–1894.

<sup>213</sup> Aleksander Klimaszewski – ur. w 1864 r. w Siekierce w Królestwie Polskim, był studentem uniwersytetu w Warszawie, Politechniki w Grazu, a następnie w latach 1888–1890 Wydziału Chemii Szkoły Politechnicznej we Lwowie. Pracował m.in. jako kierownik Krajowej Szkoły Garncarstwa w Kołomyi.

<sup>214</sup> Adam Niekrasz – ur. w 1868 r. w Ciechocinku, studiował na Wydziale Chemii w latach 1890–1895.

<sup>215</sup> Volapük – sztuczny język ogólnoswiatowy, stworzony przez niemieckiego księdza Johanna Martina Schleyera. Kółko volapükistów, o którym mowa, powstało w 1886 r. i działało do 1888/1889 r.

<sup>216</sup> Samuel Kornmann – ur. w Jarosławiu w 1861 r., w latach 1882–1887 studiował na Wydziale Inżynierii lwowskiej Szkoły Politechnicznej. Pracował przy budowie kolei galicyjskich i jako geometra (mierniczy) we Lwowie, autor map Galicji.

<sup>217</sup> August Comte (1798–1857) – francuski filozof i pisarz, inicjator filozofii pozytywnej, główny przedstawiciel pozytywizmu we Francji, twórca terminu socjologia.

<sup>218</sup> Herbert Spencer (1820–1903) – angielski filozof i socjolog, sformułował filozoficzną teorię ewolucji.

Letourneau<sup>219</sup>, Darwina<sup>220</sup>, Haeckla<sup>221</sup>, Espinasa<sup>222</sup>, Drapera<sup>223</sup>, Renana<sup>224</sup>, Marksa<sup>225</sup>, Engelsa<sup>226</sup>, Kautsky'ego, Lafargue'a<sup>227</sup>, Wundta<sup>228</sup>, Büchnera<sup>229</sup>, Tołstoja<sup>230</sup>. Dla nas, którzyśmy wyszli z galicyjskich szkół średnich były to bajki z tysiąca i jednej nocy. Ale nie tylko dla nas młodych. Wszak profesor i dziekan Wydziału Filozoficznego lwowskiego uniwersytetu, widząc w moim ręku *Wstęp do socjologii* H. Spencera zapytał mnie ze zgorzaniem: „To ty takie socjalistyczne książki czytasz?”. Trudno wymagać od młodzieży więcej orientacji w systemach filozoficznych niż od profesora filozofii. Wobec tego mniej zadziwia list jednego z członków wspierających, wyjaśniający, że nie będzie nadal wspierać Towarzystwa, które wydało *Nauki ekonomiczne*. Zamożniejszym kolegom, wstępującym na technikę, dawano w domu przestrożę, aby się do Bratniej Pomocy nie wpisywali, a przede wszystkim unikali kółek naukowych. Nie tylko policja, ale i część profesorów źle widziała kółko Zachęty i jej członków.

Drakoni, tak nazywaliśmy naszych radykałów, mieli przewagę na Walnych Zgromadzeniach ilekroć chodziło o sprawy programowe, zasadnicze. Natomiast w sprawach organizacyjnych, praktycznych, materialnej pomocy górą byli Galicjanie, choć przypuszczenie, jakoby każdy królewski był Drakonem, a każdy Galileusz patriotnikiem, jest niesłuszne. Wodzem radykałów był zdeklarowany socjalista St. Kozłowski<sup>231</sup>, a on jak i wybitni Drakoni

<sup>219</sup> Charles Letourneau (1831–1902) – etnograf i socjolog francuski, autor książki o moralności pierwotnej, członek francuskiego Towarzystwa Antropologicznego.

<sup>220</sup> Charles Darwin (1809–1882) – angielski przyrodnik i geolog, twórca teorii ewolucji biologicznej.

<sup>221</sup> Ernst Haeckel (1834–1919) – niemiecki biolog i filozof, zwolennik darwinizmu.

<sup>222</sup> Alfred Espinas (1844–1922) – francuski intelektualista i myśliciel, socjolog.

<sup>223</sup> Henry Draper (1817–1882) – amerykański astronom, lekarz i przyrodnik, profesor uniwersytetu w Nowym Jorku.

<sup>224</sup> Ernest Renan (1823–1892) – pisarz i historyk francuski, filozof, orientalista, semitolog, badacz historii religii.

<sup>225</sup> Karol Marks (1818–1883) – niemiecki filozof, socjolog, publicysta i działacz rewolucyjny, twórca socjalizmu naukowego, jeden ze współorganizatorów I Międzynarodówki.

<sup>226</sup> Friedrich Engels (1820–1895) – niemiecki filozof i socjolog, jeden z głównych ideologów socjalizmu, jeden ze współzałożycieli I i II Międzynarodówki.

<sup>227</sup> Paul Lafargue (1842–1911) – francuski filozof, zwolennik marksizmu, działacz międzynarodowego ruchu robotniczego.

<sup>228</sup> Wilhelm Maximilian Wundt (1832–1920) – niemiecki filozof i psycholog, uważany za ojca psychologii naukowej.

<sup>229</sup> Ludwig Büchner (1824–1899) – niemiecki filozof i lekarz, jeden ze zwolenników naukowego materializmu w XIX w.

<sup>230</sup> Lew Tołstoj (1828–1910) – rosyjski dramatopisarz i nowelista, myśliciel i krytyk literacki, jeden z najważniejszych pisarzy rosyjskich.

<sup>231</sup> Stanisław Kozłowski (?–1893) – działacz socjalistyczny, współpracownik „Pracy”.

– A. Kornella<sup>232</sup>, K. Mokłowski<sup>233</sup>, J. Kućmyda<sup>234</sup>, J. Tuleja<sup>235</sup> i inni byli rodowitymi Galicjanami, podczas gdy Królewiaczy – W. Lisowski<sup>236</sup>, J. Solman<sup>237</sup>, W. Smakowski<sup>238</sup> – przewodzili grupie, która przyznawała się do ideologii stańczykowskiej i energicznie występowała przeciw rzekomym „kosmopolitom” z Zachęty. Na terenie Bratniej Pomocy toczyła ta grupa walkę z „ateistami i materialistami” o książki zakupywane do biblioteki, o wybór członków Zarządu Towarzystwa na Walnych Zgromadzeniach. Ale czysta reakcja była bezsilną, a pobita na łeb i szyję na Walnym Zgromadzeniu w 1888 r. zniknęła z powierzchni. Na jej miejsce wystąpiły młode siły, pomógłszy wpięć całąk ją pogodzić jako stańczykowską. Bo sytuacja zmieniła się radykalnie, gdy młodzież zorganizowana w szkołach średnich w tajnych związkach, napływając na technikę, zaczęła przynosić ze sobą powstańczy pogląd. W półtora roku po moim zapisaniu się na technikę, w otwartej walce na Walnym Zgromadzeniu, opanowaliśmy Wydział Bratniej Pomocy i rozpoczęli walkę z socjalistami. Mogę z dumą powiedzieć, że przewodząc w tej walce toczyłem ją na wskroś demokratycznie. Oni pracowali przez kółko naukowe i my propagowaliśmy naszą ideologię przez założone w tym celu kółko naukowe „Ognisko”. Ich wykładom i odczytom przeciwstawialiśmy nasze. Dyskusje i polemiki prawie nigdy nie schodziły na pola osobiste. Przewagi liczebnej na Walnych Zgromadzeniach nie nadużywaliśmy. Obejmując władzę i obsadzając swoimi ludźmi Wydział Bratniej Pomocy i zarząd kuchni, dopuszczaliśmy do współpracy w wydziale i komisji lustracyjnej także przeciwników.

Nasza ideologia powstańcza musiała zwalczać konserwatywnych stańczyków, a podłoże miała demokratyczne i postępowe. Konserwatyżmem nigdy byśmy nie pozyskali dla naszego programu, dla zbrojnej walki o Polskę robotnika ani chłopca, którego głównym pragnieniem było zaspokojenie głodu ziemi. A ziemia była tylko w rękach obszarników, tej ostoji wszelakiego

<sup>232</sup> Andrzej Kornella (1867–1934) – prezes Bratniej Pomocy, inżynier, pracownik Wydziału Krajowego i Politechniki we Lwowie. W II Rzeczypospolitej kontynuował pracę naukową (torfoznawstwo), był też pracownikiem Ministerstwa Robót Publicznych.

<sup>233</sup> Kazimierz Mokłowski (1869–1905) – architekt, publicysta, socjalista, działacz PPSD.

<sup>234</sup> Józef Kućmyda – ur. w 1874 r. w Krakowie, student Wydziału Chemii Szkoły Politechnicznej we Lwowie, członek Bratniej Pomocy.

<sup>235</sup> Józef Tuleja (1868–1938) – aktywny działacz Bratniej Pomocy, ukończył studia chemiczne w Szkole Politechnicznej we Lwowie, bibliofil i księgarz.

<sup>236</sup> Wacław Lisowski – ur. w 1859 r. w Malinopolu w Rosji (gubernia witebska), w latach 1881–1889 studiował na Wydziale Budowy Maszyn Szkoły Politechnicznej we Lwowie.

<sup>237</sup> Jan Solman – ur. w Kuźni w Królestwie Polskim w 1867 r., studiował na Wydziale Budowy Maszyn lwowskiej Szkoły Politechnicznej, pracował jako inżynier w kopalni nafty w Schodnicy.

<sup>238</sup> Wacław Smakowski – ur. w 1865 r. w Michałowie w Królestwie Polskim, był słuchaczem Politechniki wiedeńskiej, w latach 1888–1890 studiował na Wydziale Budowy Maszyn we Lwowie. Pracował jako inżynier przy kopalniach nafty w Węglówce.

konserwatyizmu. Stąd dużo było punktów wspólnych między nami a Drakonami. Rozbieżny był pogląd na dzieje Polski. Wychowani na Hłowajskim<sup>239</sup>, nie przejmowali się naszą walką ze stańczykami, twórcami szkoły historycznej krakowskiej, zbytnio nieodbiegającej od historiozofii Hłowajskiego. Również nie chcieli przejść się naszą ideą powstania w permanencji i to powstania ogólnopolskiego, równoczesnego we wszystkich trzech zaborach. Natomiast my chętnie uzupełnialiśmy luki naszego wychowania w dziedzinie filozofii i ekonomii. Najzażartsze [s] dyskusje kółkowe kończyły się stereotypowo: „Co z wami dyskutować, kiedy wy nawet Buckle’a<sup>240</sup> ani Spencera nie znacie”. Więc my braliśmy się po kolei do tych dwóch a potem do darwinistów, do Mirtowa<sup>241</sup>, Laveleya<sup>242</sup>, Renana, Schopenhauera<sup>243</sup>, Jelskiego<sup>244</sup>, Limanowskiego<sup>245</sup>, Smoleńskiego<sup>246</sup>. A kiedy nareszcie wzięliśmy się, po trzech latach walk i dysput, do ekonomii, począwszy od Iwaniukowa<sup>247</sup>, a skończywszy na Marksie, zniknęły między nami różnice ideowe w dziedzinie postępu społecznego. Wzięliśmy górę nad naszymi dotychczasowymi przeciwnikami tym, że mieliśmy mądry czy głupi, wykonalny czy nie, wszystko jedno, ale jasno określony program narodowy, którego im było brak. Luki nie uzupełnili, do studiowania historii polskiej, nie Hłowajskiego i nie Szujskiego<sup>248</sup> (jego bratniej duszy), nie zabrali się. Czołowi, od 1891 r., Drakoni Wacław Brygie-

---

<sup>239</sup> Dmitrij Hłowajski (1832–1920) – historyk rosyjski, autor podręczników szkolnych obowiązujących w Królestwie Polskim, służących jako narzędzie rusyfikacji, fałszujące, zgodnie z polityką państwową, historię państwa polskiego.

<sup>240</sup> Henry Thomas Buckle (1821–1862) – angielski filozof i historyk kultury, autor *Historii cywilizacji w Anglii*.

<sup>241</sup> Mowa o Piotrze Ławrowiczu Ławrowie (1823–1900) myślicielu, publicyście i rosyjskim działaczu rewolucyjnym, który w 1870 r. pod pseudonimem Mirtow opublikował *Listy historyczne*.

<sup>242</sup> Émile Louis Victor de Laveleye (1822–1892) – belgijski ekonomista, autor pracy pt. *Le socialisme contemporain*, Bruksela 1881 (wydanie polskie *Socjalizm współczesny*, Warszawa 1884).

<sup>243</sup> Artur Schopenhauer (1788–1860) – niemiecki filozofii, przedstawiciel pesymizmu w historii.

<sup>244</sup> Aleksander Jelski (1834–1916) – pisarz historyczny, publicysta i etnograf, autor pracy pt. *Rys dziejów gospodarstwa krajowego w zestawieniu z obyczajami narodu od czasów pierwotnych aż do ostatnich* (t. 1–2, Kraków 1893–1897).

<sup>245</sup> Bolesław Limanowski (1835–1935) – historyk i socjolog, działacz niepodległościowy, nestor polskiego socjalizmu.

<sup>246</sup> Prawdopodobnie mowa o Władysławie Smoleńskim (1851–1926) – historyku i późniejszym profesorsze Uniwersytetu Warszawskiego, przedstawicieli historycznej szkoły warszawskiej.

<sup>247</sup> Iwan Iwaniukow (1844–1912) – rosyjski prawnik, autor pracy pt. *Ekonomija polityczna jako nauka o procesie rozwoju nauk społecznych*, Warszawa 1890.

<sup>248</sup> Józef Szujski (1835–1883) – historyk, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, publicysta i polityk, jeden z przywódców krakowskich konserwatystów. Był współtwórcą tzw. „historycz-



wicz<sup>249</sup> i Stefan Bartoszewicz, swoją metodą zrobili ze mnie polskiego socjalistę. Tylko że stałem się nim, wychodząc w życie z techniki, zaczynając pracę zarobkową, a oni przyszli z prawie skryształizowanymi poglądami do naszej szkoły, a stając do walki o chleb strzasnęli ze siebie doszczętnie socjalizm.

Wyznaniu mej ówczesnej wiary politycznej dałem pełny wyraz, witając (w dniu moich imienin) 30 listopada 1893 r. Bolesława Limanowskiego w sali Bratniej Pomocy. Wiedzieliśmy już wtedy, że władze austriacko-galicyskie nie pozwoliły mu osiąść w Galicji. Przytaczam to przemówienie dla umożliwienia skontrolowania, o ile zmieniły się moje poglądy po 46 latach. Wystarczy w tym celu przeglądnąć me artykuły z lat 1938 lub 1939 r. Mowa moja ówczesna odzwierciedlała dość wiernie zapatrywania większości politycznie myślącej młodzieży politechnicznej.

„Witamy Cię, czcigodny obywatelu szczerym sercem. Małe to poczęstne, ale prosimy nie gardź nim i przyjmij je tak szczerze, jak szczerze Ci je ofiarujemy. Stokroć radośniej witalibyśmy Cię i obyśmy Cię jak najprędzej witali, gdybyś do nas na stały zawitał pobyt. Dziś trudno nam o radość, gdy serce się z bólu kraje, a nienawiść przepełnia umysł na wspomnienie, że człowiek tej miary co Bolesław Limanowski wygnańcem, tułaczem, dzięki ludziom zwącymi się Polakami!

Choć nie znaliśmy Cię osobiście, nauczyliśmy się Ciebie cenić. Dzieła Twoje znalazły oddźwięk w sercach i uznanie w umysłach naszych. Czczymy Cię i kochamy dla Twoich przekonań, wyrażonych w *Historii ruchu społecznego*, w *Historii powstania z r. 1863/4* i w wielu innych Twoich pismach. Wielbimy Cię, żeś się nie dał zgiąć, że wierny swoim przekonaniom cierpisz dla nich, głównie z winy współrodaków, a mimo tego przepełnia Cię miłość dla Polski. Bo kto tak jak Ty cierpi za miłość do społeczeństwa polskiego, ten zawsze znajdzie serca nasze otworem. Tyś nas nauczył prawdziwie kochać Ojczyznę, Tyś nas nauczył kochać Twoje ideały, dążyć do celów przez Ciebie wskazanych, w ślad za Twoimi przekonaniem. Idąc tą drogą, objęliśmy umysłem i sercem całą ludzkość, pojęli jej dołę, niedołę i nędzę i dopiero wtedy poznali, jakie zadanie czeka nas w Ojczyźnie, jak mamy pracować dla niej, dla społeczeństwa polskiego. Pojęliśmy, że dawne hasło rewolucyjne jeszcze nie przebrzmiało, że w nim jest jedyna dla nas tradycja, że w nim spuścizna geniuszów. Hasłem tym: Wolność, Równość, Braterstwo!

---

nej szkoły krakowskiej”, która upatrywała upadku państwa polskiego w wewnętrznych problemach I Rzeczypospolitej.

<sup>249</sup> Waław Brygiewicz – ur. w 1866 r. w Warszawie. Studiował w Instytucie Leśnym w Petersburgu, w latach 1888–1892 był studentem Wydziału Chemicznego Szkoły Politechnicznej we Lwowie. Po studiach pracował jako chemik w cukrowni Elżbietów w Sokołowie Podlaskim.

Wolność polityczna ludów to zadanie ludzkości. My mamy ją zyskać dla naszej Polski, dla niej pracować w pocie, znoju i we krwi. Wolność jednostek to wyzwolenie milionów „szarego prochu”, robotników z niewoli kapitału, do niej dążymy w imię sprawiedliwości społecznej. Dążymy do równości wszystkich ludów, które dziś uciśnione. Wyrzekamy się przewagi nad innymi ludami, a zarazem chcemy prawdziwej równości społecznej, czci i szacunku tylko dla pracy, prawdziwej równości ekonomicznej, słowem Ojczyzny, w której by nie było ni chłopa, ni pana, ni robotnika, tylko sami ludzie pracujący dla społeczeństwa i jako tacy równo szanowani i czczeni, równi sobie umysłem i duchem i równo zabezpieczeni ekonomicznie.

W takiej Ojczyźnie zakwitnie braterstwo. Takie społeczeństwa będą sobie bratnimi, braterstwo ludów wyjdzie z dziedziny frazesów. Te przekonania widzimy Tobie, Tyś był jednym z tych, co je w nas wszczepiali. To też dziś, widząc Cię w naszych progach, choć radość zasępiea myśl, żeś Wygnańcem i tułaczem, cieszymy się niezmiernie, że możemy Ci hołd złożyć skromny, ale gorący i prawdziwy. Ze szczerego serca wznosimy okrzyk – Bolesław Limanowski niech żyje!”.

Pominąwszy bardzo słabą formę i nieistotne naiwności motywów, pierwiastek ideologiczny mego światopoglądu, który wyniosłem z Politechniki, pozostał do dziś dnia bez znacznych zmian. Aby już więcej do tej wizyty nie wracać, wspomnę jeszcze, napisany i wygłoszony przez Maćka Szukiewicza<sup>250</sup> wiersz, który mi się i wtedy i dziś wydaje bardzo dobrym.

Gdy opuszczałem Bratnią Pomoc, panowała w łonie jej członków prawie że polityczna jednomyślność. W każdym razie ustały walki wewnętrzne.

---

<sup>250</sup> Maciej Szukiewicz (1870–1934) – poeta, dramaturg, krytyk literacki, tłumacz. W Szkole Politechnicznej studiował zaledwie rok w latach 1893–1894. Wiersz, o którym mowa w tekście, brzmiał:

Jak nas tu widzisz, przyszło całe grono  
W hołdzie przed Tobą czołem swem uderzyć,  
Nową wiarą natknął polskie łono,  
Tyś nam w wskrzeszenie Polski dał uwierzyć  
I pierwszy zbudził na polskiej ziemiicy  
Cześć uznojonej, roboczej prawicy.

Między duchami odrodzonej doby  
Równości ludów czujną byłeś strażą,  
Szczepiąc ojców, wielkie sławne groby,  
Cześć niosąc walki dziejowej cmentarzom  
Nowe na przyszłość pokazałeś drogi,  
Nowe jutrenki, nowe jutra drogi.

Więc purpury i berła i trony  
Kłatwą pościgu obłożyły zgodnie,  
Lecz Ty nie zlekły, jak prorok natchniony,

## 4.

**Zgoda i harmonia narodowościowa.**

**W**alk narodowościowych ani wyznaniowych nie było w naszym Towarzystwie. Rasizm nie był jeszcze wynaleziony. Zgodę prze-rwały, na krótki czas, dwa epizody małoznaczące. Nie robiliśmy różnic między Polakami, Rusinami i Żydami ani gdy chodziło o pomoc materialną, ani przy wyborach Wydziału Towarzystwa. Pierwsze, nadawane przez nasz wydział, stypendium otrzymał na rok 1888/9 Abraham Wegman<sup>251</sup> zakordonowiec, wyznania mojżeszowego. Jeden z najbiedniejszych, przy tym bardzo ofiarnie pracujący, zarówno w Bratniej Pomocy i jej kółkach, jak i na Wydziale Mechanicznym Politechniki. Na rok 1889/90 otrzymał je Jan Myron<sup>252</sup>, Rusin, a potem Ukrainiec (podobno minister w ukraińskim rządzie galicyjskim 1918/19). Nigdy nie słyszałem, ni to skargi, ale nawet utyskiwania, aby przydział pożyczek, darmowych czy kredytowanych obiadów pomijano najbardziej potrzebujących lub rozdzielano je niesprawiedliwie z powodu narodowości lub wyznania zabiegających o nie.

Tak samo przy wyborach 14 członków Wydziału i 5 do komisji lustracyjnej święcie była przestrzegana zasada zdolności. Zupełnie bezstronnie, nie oglądając się ani na narodowość, ani na religię, wybrano do tych władz:

---

Dumnie prawd szczytnych niosłeś pochodnię  
I o pospólstwa ciężkie niosąc brzemie,  
Smutnym tułaczem zszedłeś wszystkie ziemie.

Ale precz ze smutkiem! Bo choć w całym świecie  
Znużonych skrzydeł nie wolno ci złożyć  
Ochronę znalazł w młodych sercach przecie  
Nieśmiertelności padło Ci w nich dożyć  
Więc odrzuć smutek, przybytek otwarty,  
Gdzie cześć i miłość pełnią swoje warty.

Więc odrzuć smutek, Ty młodzieńcze siwy!  
Niestrudzon w boju, nieś prawdę i wiarę,  
Budź dalej śpiących wśród ojczyźnej niwy  
A dzieje pomną wielką Twą ofiarę,  
I ponad stronnictw wálki zapaśnicze  
Uznają ducha Twego święte Znicze...

<sup>251</sup> Abraham Wegman – ur. w 1861 r. w Lipkanach (Besarabia), w latach 1884–1889 studio-wał na Wydziale Mechanicznym. Pracował w fabryce Augusta Rephana w Warszawie.

<sup>252</sup> Jan Myron – ur. w Załukiewie w 1867 r., zmarł w 1940 r. we wsi Dora koła Jaremca. W latach 1886–1890 był studentem Wydziału Mechanicznego, następnie był asystentem w Ka-tedrze Budownictwa Maszyn. Pracował jako inżynier adiunkt przy kolei państwowej w Żywcu.

w 1888 r. 3 Żydów, 1888/9 r. 1 Żyda i 2 Rusinów, w 1889 r. po jednym Żydzie i Rusinie, w 1889/90 r. 3 Żydów, 2 Rusinów. Na wiosnę 1890 r. nastąpił rozłam w Towarzystwie. Wystąpiło 58 członków (z ogólnej liczby 160) i to na 136 Polaków wystąpiło 47, na 20 Żydów wystąpiło 10 i 1 Rusin, tak, że pozostało ich 3.

W r. 1891/2 liczyliśmy między członkami tylko 11 Żydów i 2 Rusinów, w następnym roku: początkowo 3 Rusinów i 4 Żydów, a w końcu po 5-ciu Rusinów i Żydów. W roku 1893 Wydział wykluczył 23 członków Żydów, został jeden. Nic dziwnego, że w tych małych ilościach nie było odpowiednich kandydatów do pracy we władzach Towarzystwa, zwłaszcza, że bardzo znacznie wzrosła liczba członków, ze 194 w 1891/2 na 260 w 1893/4 r. Razem z narastającą procentową ilością Polaków, rosła wśród nich liczba dobrych organizatorów.

Faktem jest, że 10 listopada 1890 r. wybraliśmy prezesem Rusina Andrzeja Kornellę, że nasza grupa polskich narodowców, uzyskawszy, w miesiąc potem, zdecydowaną większość na Walnym Zgromadzeniu obaliła Wydział, wybrała nowy, ale zwycięzcy pozostawili prezesem Kornellę, bo się na to nadawał najlepiej z nas wszystkich. Wydział ten, bez tarć z prezesem, dotrwał do końca swej kadencji. Świadczy to o koleżeństwie niemającym różnicami pochodzenia i wyznania. Nawet te dwa wyjątkowe wypadki, do których jeszcze dojdę, stwierdzają regułę. Zgoda była obustronna. Kornella wszedł jako nasz reprezentant do miejskiego Komitetu Obywatelskiego, organizującego udział Lwowa w uroczystości sprowadzenia zwłok A. Mickiewicza na Wawel<sup>253</sup>. W komitecie sumiennie pracował i godnie nas reprezentował.

## 5.

### **Władze polityczne i kolegium profesorów. Tępiąc ruch młodzieżowy szykanują Towarzystwo Bratniej Pomocy.**

**M**aterialna pomoc koleżeńska, a więc filantropijna działalność Towarzystwa była przez władze mile widzianą, a nawet popieraną. Różne instytucje samorządowe i finansowe nie wspierałyby nas pieniądze, gdyby władze polityczne choć palcem kiwnęły przeciw temu. Za to moralną pomoc, za to działalność polityczna i ogólnokształcąca mózgi i charaktery była bardzo nie na rękę zarówno władzom policyjno-administracyjnym, jak większości kolegium profesorskiego, oglądającego się stale

<sup>253</sup> Sprowadzenie zwłok A. Mickiewicza na Wawel miało miejsce 4 lipca 1890 r.

na wskazówki wszechwładnego, po dyktatorsku rządzącego namiestnika we Lwowie pana Kazimierza Badeniego<sup>254</sup>. Stąd powstawały ciągle zatargi młodzieży z policją i z lojalnie myślącą lub serwilistycznie nastroszoną większością naszych profesorów.

Wstręty policyjne zelżały dopiero w roku Wystawy Krajowej 1894 r. i przyjazdu cesarza austriackiego do Lwowa, a więc już w czasie mego występowania z Bratniej Pomocy. Potem już nie przybrały poprzednich rozmiarów. Dużo represji kolegium dyktowano spod „Kawek” (tak nazywano Namiestnictwo – w herbie Galicji, nad jego gmachem wiszącym, były 3 kawki). Wspominając o szykanach i prześladowaniach trudno odróżnić zarządzenia c. k. kolegium profesorów, tak były ze sobą powiązane nacisk namiestnika z reakcyjnymi poglądami większości kolegium. Oto suchy rejestr szykan (z drobnych szykan, wyliczam tylko te, które stały w rażącej sprzeczności z obowiązującymi ustawami, a których nie opisuję szczegółowo w dalszym tekście) obu tych władz. Policja zabroniła kol. Kornelemu Stroce<sup>255</sup> wygłoszenia na wieczorku, urządzonym dla członków 15 grudnia 1887 r. we własnym lokalu, odczytu pt. *Ogólna charakterystyka powstania w r. 1863*, również chórowi nie pozwolono odśpiewać na tym samym wieczorku pieśni *Straż nad Wisłą*. W końcu 1887 r. wystąpił minister oświaty Gautsch<sup>256</sup> z projektem ustawy ograniczającej swobody akademickie. Wywołało to wielkie poruszenie wśród nas, uzewnętrznione na protestującym nadzwyczajnym walnym zebraniu ogółu techników. W roku 1888 policja nie pozwoliła kol. A. Kornelli na odczyt *Rys dziejów nauki Kopernika*, mający być wygłoszonym na wieczorku kopernikowskim 17 marca w auli Politechniki. 16 listopada 1888 wystąpiła Dyrekcja Policji przeciw kółku Zachęty Naukowej, z powodu „omawiania na jego posiedzeniach spraw rażąco przekraczających zakres działania Towarzystwa”. Policja, uogólniając zarzut, zażądała, aby Zarząd Towarzystwa powiadamiał c. k. Dyrekcję Policji na 24 godzin przed każdym zebraniem członków, przed wieczorkiem lub odczytem przeznaczonymi wyłącznie dla członków. W końcu marca lub w początku kwietnia 1889 r. po wielkim wiecu ogólnoakademickim z 9 i 10 marca 1889 r., zostali z Politechniki relegowani St. Kozłowski na 3 semestry i Adolf Schleyen na jedno półrocze. Inicjatorem zwołującym i przewodniczącym wiecu był Kozłowski, zaś Schleyen w swoim referacie żądał utworzenia na

<sup>254</sup> Kazimierz Badeni (1846–1909) – hrabia, prawnik i polityk, namiestnik Galicji w latach 1886–1895, premier Austrii w latach 1895–1897.

<sup>255</sup> Kornel Stroka (1866–1945) – ur. w 1866 r. w Budapeszcie, studiował na Wydziale Budownictwa Lądowego, praktykował m.in. w urzędzie budowlanym w Krakowie. Pracował jako inspektor budowlany w magistracie m. Krakowa.

<sup>256</sup> Paul Gautsch (1851–1918) – austriacki polityk, trzykrotny premier Austrii (1897–1898, 1905–1906, 1911).

technice Wydziału Handlowego i... zrównania praw rektora Politechniki z rektorem uniwersytetu! Wielkie zbrodnie!

Bolesława Wyśłoucha i 7 akademików aresztowano. Po dłuższym więzieniu wytoczyły im władze proces o tajne stowarzyszenia. Od 26 września do 3 października [1889 r.] trwała rozprawa, w której na ławie oskarżonych siedzieli technicy St. Kozłowski i Aleksander Klimaszewski. Kozłowski został zasądzony na 14-dniowy areszt. Inni obwinieni zostali uwolnieni, ale wszystkich Królewiaaków, wraz z Klimaszewskim, policja odfotografowała i kazała im opuścić Austrię.

Podanie Wydziału o zmianę statutu zostało przez Namiestnictwo 10 grudnia odrzucone. Od tego czasu 5 razy, w ciągu 5 lat, władze odrzucały, konieczną dla Towarzystwa, zmianę statutu. Była to specjalna złośliwość policji. Statut doczekał się zatwierdzenia dopiero 7 listopada 1893 r. Wskutek niezatwierdzenia statutu byliśmy zmuszeni rozwiązać, po 24 grudnia 1892 r., kółka (nawet kuchnię), zawiadamić policję o walnych zebraniach. Nie potrzebuję dodawać, że znaleźliśmy sposoby obejścia rozwiązania kółek. Inna sprawa, że jednak ruch kółkowy przez te szykany mocno podupadł.

W roku 1889 sąd Krajowy zabrał Bratniej Pomocy rękopis tłumaczenia dzieła Kautsky'ego *Nauki ekonomiczne K. Marksa*. Oddał go dopiero po pół roku, przez co opóźnił wydanie tej książki, przysparzając naszemu Towarzystwu znaczne straty materialne. W lutym 1892 r. kolegium profesorów relegowało na jedno półrocze kolegę Kazimierza Mokłowskiego, a pięciu innym kolegom udzieliło nagany (powody natury politycznej). Policja zabronila J. Moraczewskiemu, prezesowi Towarzystwa, wygłoszenia słowa powitalnego na wieczorku kopernikowskim w auli Politechniki, 12 marca 1892 r. W tym samym roku, późną wiosną, policja nakazała koledze Wacławowi Brygiewiczowi opuścić do trzech dni Austrię. Nakaz został jednak cofnięty. Z nowym rokiem szkolnym w październiku 1892 r. został ponownie kol. K. Mokłowski relegowany, a z nim razem kolega Kiszakiewicz<sup>257</sup>. Wszyscy słuchacze, członkowie Bratniej Pomocy otrzymali nagane, pięciu nagane dziekańską, a ja uroczystą naganę rektorską, udzieloną w auli Politechniki. Nagany te pociągały za sobą utratę stypendiów i utratę uwolnienia od opłat szkolnych.

Policja aresztowała kolegę Kassjusza, zapisanego na technikę pod nazwiskiem Hausmana, wzgl. Słonimskiego i wydała go Rosji. Było to oburzające łajdactwo, acz praktykowane podówczas, mimo że Austria nie odnowiła umowy z Rosją o wzajemnym wydawaniu przestępców politycznych.

---

<sup>257</sup> Tadeusz Kiszakiewicz – ur. w Przemyślu w 1870 r. W latach 1889–1894 studiował na Wydziale Chemii w Szkole Politechnicznej we Lwowie. Był słuchaczem Politechniki w Wiedniu. Pracował w urzędzie menniczym w Wiedniu.

W zimie 1892 r. aresztowano kolegę Kazimierza Szczepańskiego<sup>258</sup> i wytoczono jemu i koledze Adamowi Cehakowi<sup>259</sup> proces o wysłanie listu z pogróżkami do arcyksięcia, mieszkającego w willi Zachariewicza<sup>260</sup>, we Lwowie. Sąd ich uwolnił, bo nie udowodniono im winy.

## 6.

### Wielki wiec młodzieży w marcu 1889.

**A**taki policji na kółko Zachęty Naukowej, było dla niego wielką reklamą w oczach tej młodzieży, która przybyła na technikę przepojona ideologią powstańczą i jeszcze nie zdążyła zapoznać się z zasadami z tego kółka promieniującymi. Dla nas sympatyczny był każdy, prowadzący walkę z władzą zaborczą, więc z Namiestnictwem czy z Dyrekcją Policji. Gremialna nasza wycieczka do Dublin na obchód listopadowy w dniu 1 grudnia 1888 r. rozszerzyła koło naszych znajomych i przyjaciół. Zetknęliśmy się tam i z indolencją naszego tajnego związku, i z Królewiakami, przepojonymi nowymi prądami społecznymi, zupełnie podobnie jak i nasi na technice. Wobec tych nastrojów nie dziwota, że ogólny wiec akademicki, zwołany na 9 i 10 marca 1889 r. do sali ratuszowej porwał ze sobą też cały ogół techników.

Myśl wiecu wyszła od przewodniczącego Zachęty Naukowej Stanisława Kozłowskiego. Wiec miał znaczenie nie tylko w życiu młodzieży akademickiej, stał się niejako kamieniem milowym na drodze rozwoju życia i stosunków politycznych w Galicji. Ujawnił, że młode pokolenie przełamało przygnębienie i bierność, charakteryzujące epokę po powstaniu styczniowym. Wiec był znakiem odcięcia się młodzieży od tej epoki, a wypadł w czasie kończącego się sporu stańczyków z powstańcami. Stańczycy, głoszący namiętnie trójlojalizm jako program zewnętrznej polityki narodowej, a wewnątrz społeczni konserwatyści, zadawałający się hasłem pielęgnowania kultury języka i nauk, w końcu przyskrzyniający do ruchu ekonomicznego pozytywistów warszawskich, coraz wyraźniej opanowywali

<sup>258</sup> Kazimierz Szczepański (1871–przed 1930) – urodzony w Rumunii, studiował na Wydziale Budownictwa Lądowego, następnie na Wydziale Inżynierii lwowskiej Szkoły Politechnicznej, działacz socjalistyczny.

<sup>259</sup> Adam Cehak (Adam Teofil Stodor 1871–1944) – pisarz, tłumacz, krytyk literacki i pedagog.

<sup>260</sup> Proces, o którym mowa, rozpoczął się 21 sierpnia 1893 r. Wyżej wymienieni zostali oskarżeni o zbrodnię gwałtu publicznego, czyli stosowanie gróźb wobec osób nieprzestrzegających „żałoby narodowej” oraz rozsyłanie odezwy, która miała nawoływać do przyłączenia się do celebrowania „żałoby narodowej”.

umysły inteligencji, wśród której przeważali urzędnicy władz państwowych austriackich i samorządowych krajowych. Ze stańczykami walczył obóz dawnych powstańców i ich przyjaciół demokratów, którzy we Lwowie złączyli się w jedną całość z „tromtadrami”. Społecznie nie było wielkiej różnicy między pokostowanymi konserwatyzmem stańczykami, a demokratami z ich powierzchownym liberalizmem i słowną, ale tylko słowną, demokracją. Jedni i drudzy wyszli z inteligencji miejskiej. Stańczycy werbowali zwolenników wśród obszarników i magnaterii, a demokraci wśród rękodzielników i kupców. Jednak kasta obszarnicza tworzyła swoje, politycznie, zgodnie z legendą, antyzaborcze, a społecznie ultrareakcyjne stronnictwo, które pod nazwą „podolaków” wykrystalizowało się dopiero po nowym unormowaniu życia politycznego Galicji. A znów źródła mogące ludźmi zasilać demokratów, Strzelnica lwowska, i krakowska, wszystkie „Gwiazdy”, „Skały”<sup>261</sup> itp. rządzone przez naprawdę kołtunów, były do kupienia przez więcej dającego lub więcej mogącego, *ergo*<sup>262</sup> przede wszystkim przez rząd. Tedy ani wówczas, ani do dzisiaj ten, tak zwany „stan trzeci” nie utworzył jednego stronnictwa demokratycznego z jako tako silnym stosem pacierzowym<sup>263</sup>.

Spór między stańczykami a demokratami (powstańcami) robi się coraz bardziej jałowym. Jasną było rzeczą, że hasła „przy Tobie Najjaśniejszy Panie stoimy i stać chcemy” nie zwalczy grupa, z której czołowych ludzi kpił Lwów w kapitalnym wierszyku, napisanym przez pierwszego naonczas<sup>264</sup> w Polsce pisarza niedzielnych kronik dziennikarskich, świetnego powieściopisarza i niezrównanego kpiarza Jana Lama<sup>265</sup>:

Pojechali Gross i Wild  
Wiedeńskimi szlaki,  
A wrócili Klein i Mild.  
Zgadnij kto to taki?

(Gross i Wild po polsku wielki i dziki, Klein i Mild po polsku mały i łagodny. Ferdynand Gross<sup>266</sup>, właściciel pierwszorzędnej cukierni na Wałach

<sup>261</sup> Mowa o stowarzyszeniach rzemieślniczych, działających w Krakowie i we Lwowie.

<sup>262</sup> *Ergo* (łac.) – więc.

<sup>263</sup> Stos pacierzowy (przest.) – kręgosłup.

<sup>264</sup> Naonczas – wówczas.

<sup>265</sup> Jan Lam (1838–1886) – powieściopisarz, publicysta, nauczyciel, satyryk i krytyk systemu rządów w Galicji.

<sup>266</sup> W oryginale Juliusz, mowa jednak o Ferdynandzie Grossie, urodzonym we Lwowie w 1842 r., uczestniku powstania styczniowego, współwłaścicielu cukierni przy ul. Akademickiej 14 we Lwowie i radnym miejskim.



Hetmańskich we Lwowie. Karol Wild<sup>267</sup>, najzaciejszy księgarz i nakładca we Lwowie.)

I po roku 1889 trwał dalej ten spór. Ale coraz słabiej. Obie walczące strony zaskoczył radykalizm społeczny wiecu, w którym wziął udział kwiat młodzieży, olbrzymia większość akademików przebywająca we Lwowie. Pierwszego dnia zebrało się do pół tysiąca akademików, a w drugim dniu, po sporach z rektorem uniwersytetu, po zakazie wiecu przez tegoż dr. Leonarda Piętaka<sup>268</sup>, już sala ratuszowa i galeria nie były w stanie pomieścić wiecowników, których naliczono przeszło 800. Wiec był zorganizowany jako poufne zebranie, na które, w stowarzyszeniach akademickich rozdano członkom pisemne zaproszenia. Przy wejściu na salę, organizatorzy kontrolowali zaproszenia, a nawet tożsamość osób. Nie było tedy cienia wątpliwości, że na sali są wyłącznie słuchacze wyższych zakładów naukowych. Oba istniejące wówczas, wyraźne stronnictwa polityczne zrozumiały, że młodzież społecznie zradykalizowana wniesie ze sobą w życie publiczne całkiem inne zagadnienia, nie troszcząc się o 20-letni spór między „trójjoalizmem” a „powstaniem w permanencji”.

I tak się rzeczywiście stało. W kilka lat później młodzież wiecująca wypłynęła na arenę polityczną. Poza zwykłymi chlebojadkami wyłoniły się z niej trzy polskie stronnictwa, socjaliści<sup>269</sup>, ludowcy<sup>270</sup>, endecy<sup>271</sup>, 2 ruskie, undecy<sup>272</sup> i radykali<sup>273</sup>, i 2 żydowskie, syjoniści<sup>274</sup> i asymilatorzy<sup>275</sup>. Można było na wiecu dojrzeć zarodek tych stronnictw w czasie obrad i po jego

<sup>267</sup> Karol Wild (1824–1885) – lwowski księgarz i wydawca.

<sup>268</sup> Leonard Piętak (1841–1909) – prawnik, profesor i rektor Uniwersytetu Lwowskiego, polityk galicyjski, minister austriacki.

<sup>269</sup> Partia Socjalno-Demokratyczna Galicji i Śląska Cieszyńskiego – założona we Lwowie w 1892 r. Po odzyskaniu niepodległości weszła w skład ogólnopolskiej Polskiej Partii Socjalistycznej.

<sup>270</sup> Polskie Stronnictwo Ludowe – partia chłopska powstała w Rzeszowie w 1895 r.; od 1903 r. działała pod nazwą Polskiego Stronnictwa Ludowego. W 1913 r. partia podzieliła się na PSL „Piast” i PSL „Wyzwolenie”.

<sup>271</sup> Stronnictwo Narodowo-Demokratyczne – utworzone w 1897 r. we Lwowie przez działaczy Ligi Narodowej.

<sup>272</sup> Ukraińska Partia Narodowo-Demokratyczna – partia prawicowa powołana do życia w 1899 r., po rozłamie w Rusko-Ukraińskiej Partii Radykalnej i przyłączeniu się ukraińskich działaczy prawicowych.

<sup>273</sup> Rusko-Ukraińska Partia Radykalna – partia o socjalistyczno-narodowym obliczu, założona w 1890 r. Po rozłamie w 1899 r. działała pod nazwą Ukraińskiej Partii Socjal-Demokratycznej Galicji i Bukowiny.

<sup>274</sup> Syjoniści – ruch polityczny i społeczny, dążący do odbudowy państwa izraelskiego. Pierwsze organizacje syjonistyczne w zaborze austriackim pojawiły się w latach 80. XIX w.

<sup>275</sup> Asymilatorzy – grupa ludzi głosząca kulturalną asymilację z ludnością polską lub niemiecką.

bezpośrednich następstwach. Wówczas nikt z nas tak daleko wzrokiem w przyszłość nie sięgał.

Sprawy społeczne w referatach i uchwałach nie sięgały głęboko i nie zajęły dużo czasu. Podwyższenie płac zarobkującym z konieczności akademikom, zarabiającym przeciętnie 8 złr. miesięcznie u adwokatów i rejentów, przy równoczesnym skróceniu czasu pracy z 7-miu godzin na 5 dziennie, dopuszczenie wpływu młodzieży na rozdawnictwo stypendiów, oto wszystko! Mniej niż skromnie. Ale w dyskusji, ale w motywach brzmiała rozgłośnię i prawie wyłącznie nuta społeczna, przewidująca strajk zarobkującej młodzieży akademickiej. Łącznie z tonami społecznymi huczała na wiecu opozycja przeciw rządowi, krytyka nie tylko praktyk wyborczych, krzywdzących głównie proletariat miejski i chłopów, ale także sąd nad polityką ministra oświaty Gautscha<sup>276</sup>. Referent tej sprawy, Stefan Podkowicz<sup>277</sup>, (brat mego kolegi) socjalista, przedłożył, po świetnym i dowcipnym przemówieniu, rezolucję, wyrażającą między innymi życzenie, by „pan minister Gautsch poszedł na pensję i ustąpił miejsca jakiemu prawdziwemu patronowi oświaty”. Wiec uchwalił ją wśród ciągłych oklasków i przejawów zadowolenia, szalonej wesołości i okrzyków „*Pereat*”<sup>278</sup> Gautczczczcz!”. Kolega Kasperek<sup>279</sup>, referent nowej ustawy wojskowej, wprowadzającej przymus obsługiwania drugiego roku tych jednorocznych ochotników, którzy nie zdali egzaminu oficerskiego, podkreślił, w uzasadnieniu protestującej rezolucji, że nie powoduje nim chęć obrony uprzywilejowanych klas zamożniejszych, ale antymilitaryzm. Jeżeli dodam do tego wizerunku wiecu brak na nim echa sporów między stańczykami i demokratami, łatwo zrozumiemy, że wiec w wysokim stopniu zaniepokoił i wpłynął na jednych i drugich.

Nie brakło na wiecu mimowolnego komizmu. Akademik Gorzycki<sup>280</sup>, referent sprawy otwarcia Wydziału Medycznego na Uniwersytecie Lwowskim, żądał także założenia we Lwowie szkoły rabinackiej. Wniosek ten jednomyślnie uchwalono, jako też w godzinę później, tak samo jednomyślnie uchwalono rezolucję protestującą „przeciw szkołom wyznaniowym, w jakiej by formie i przez kogokolwiek były projektowane”. Nie wzmiankowałbym tego drobnego, nieistotnego potknięcia, gdyby w nim nie uwidaczniała się zarówno antyklerykalna tendencja, jak i nuta międzynarodowa.

<sup>276</sup> Paul Gautsch był ministrem oświaty w rządzie Edwarda Taaffego w latach 1885–1893, następnie w rządzie Kazimierza Badeniego w latach 1895–1897.

<sup>277</sup> Stefan Podkowicz – student i działacz socjalistyczny, zmarł na gruźlicę.

<sup>278</sup> *Pereat* (łac.) – giń, od *pereo* – ginąć, niszczyć.

<sup>279</sup> Teodor Kasperek (1866–1940) – prawnik, działacz socjalistyczny związany z PPSD.

<sup>280</sup> Kazimierz Gorzycki (1865–1912) – historyk, uczeń Ksawerego Liskego, nauczyciel gimnazjalny i działacz socjalistyczny.

Ton zgody narodowej czy międzynarodowej uwidaczniali główni działacze wiecu. Polacy Kozłowski, Laskownicki, Kasperek, Gorzycki, Biedroń, Markiewicz, Rusini Podkowicz, Tryłowski<sup>281</sup>, Budzynowski Wacław<sup>282</sup>, Żydzi Fraenkel<sup>283</sup>, Schleyen Adolf. Z tych socjaliści, Kozłowski, Gorzycki, i Podkowicz, ludzie bardzo zdolni, wykształceni i wartościowi, dużo przedwcześnie pomarli. Ale Laskownicki do dziś dnia sterczy jak sztandar nad demokracją, Biedroń przyskrzypił do ludowców, Tryłowski stał się jednym z wodzów ruskich radykałów, a Budzynowski filarem ukraińskich endeków. Joachim Fraenkel, bardzo sympatyczny i solidny człowiek, do końca życia pracował we władzach naczelnych polskiej partii socjalnodemokratycznej (PPSD).

## 7.

**Ruch wśród młodzieży. Represje po wiecu. Relegacje na uniwersytecie, Politechnice i w Dublanach. Procesy polityczne. Masakra studentów przez policję. Reakcją zaczęła Czytelnia Akademicka. Zrywamy z Czytelnią. Wykluczenie 6 kolegów z Bratniej Pomocy za niesolidarność. Zatarg z kolegium.**

Po wiecu oba polityczne stronnictwa i prawie cała prasa gromy na nas ciskali, że z patriotów staliśmy się kosmopolitami, a rząd i trochę pod jego naciskiem, a trochę z własnej ochoty – władze akademickie wywarły na młodzieży zemstę za przejaw samodzielności. Władze wytoczyły proces o należenie do tajnych stowarzyszeń Bolesławowi Wystouchowi, współredaktorowi jedyne, w tym czasie, postępowego i po stronie wiecu stojącego dziennika „Kuriera Lwowskiego” i 7-mniu akademikom, wśród nich inicjatorowi wiecu i jednemu z referentów, a poza nimi uczestnikom i mówcom. Między akademikami byli 1 z uniwersytetu krakowskiego, 2 z lwowskiego, 2 techników i 2 dublańczyków.

<sup>281</sup> Kyrył Tryłowski (Tryłowśkyj) (1864–1941) – ukraiński działacz społeczny i polityczny, publicysta, adwokat. Jeden z czołowych działaczy Rusko-Ukraińskiej Partii Radykalnej, założyciel Towarzystwa Gimnastycznego i Straży Ogniowej „Sicz”; poseł do austriackiej Rady Państwa i do Sejmu Krajowego w Galicji.

<sup>282</sup> Wacław [Wiaczesław] Budzynowski (1868–1935) – ukraiński polityk, dziennikarz i publicysta. Założyciel Ukraińskiej Partii Radykalnej, od 1899 r. jeden z przywódców Ukraińskiej Partii Narodowo-Demokratycznej, poseł do austriackiej Rady Państwa.

<sup>283</sup> Joachim Fraenkel (?–1904) – działacz socjalistyczny, redaktor, dziennikarz. Związany z lwowską PPSD, był przewodniczącym tamtejszego komitetu partyjnego i współpracownikiem pism socjalistycznych, tj. „Robotnik”, „Siła” czy „Przedświt”.

W parę dni po wiecu senat uniwersytecki relegował Kasperka i Budzynowskiego za zwołanie wiecu. Na technice trwało dłużej. Widocznie nie szło tak gładko. Dopiero w pięć tygodni później relegowany został na trzy półrocza Kozłowski, a Schleyen na jedno półrocze. Prócz tego wszyscy słuchacze Politechniki, którzy przyznali się do udziału we wiecu (między innymi i ja) otrzymali pisemną naganą. Stało się to, pomimo iż pierwszego dnia uczestniczył czynnie w obradach wiecu rektor Piętak, a drugiego siedział wśród wiecowników prof. Zbrożek<sup>284</sup>, rektor Politechniki, głosu nie zabierając. Nawiasem powiedziawszy, wymuszona przez władze relegacja Schleyena za zgłoszenie i przeprowadzenie w rezolucji żądań, będących przeciw wyrazem długotletnich domagań się i kołatań kolegium naszych profesorów i masowa nagana udzielona, nie wiedzieć za co, słuchaczom, tak zgryzły rektora Zbrożka, że za dwa miesiące, po tej bardzo ostrej represji grona profesorskiego, zmarł w Samborze. Na pogrzeb w dniu 3 lipca 1889 r. pojechało nas do Sambora więcej niż połowa słuchaczy. Demonstracja była wyrazem naszego ówczesnego przekonania, że Zbrożek sprzeciwiał się do ostatka wszelkim represjom powiecowym.

Gromy i represje nie ostudziły naszego zapału. Komersy<sup>285</sup> i gęsiory<sup>286</sup> po ulicach miasta odbywały się co wieczora. Bójki z policjantami należały do koniecznego repertuaru gęsiorów. Pochody w dzień do Sejmu, na uniwersytet, pod Namiestnictwo, nigdy nie obeszły się bez walk z policją. Młodzież w przeważającej sile zbrojna w grube pałki albo ciupagi góralskie najczęściej górowała nad policją, nieliczną wówczas we Lwowie. Faktem jest, że policji nie udało się ani razu nas rozpuścić. Do pasji doprowadzała „policierów” piosnka na ich cześć z lwowska po rusku ułożona:

Zaśwystały poli-policaj, szczo budem robyty?  
Studenty sia zbuntowały, ne dajut nam żyty!  
Ne płacz, ne płacz poli-policaj, ne płacz na żurysia,  
A za swoju czornu duszu, Bohu pomołysia!

Zwłaszcza ta „czarna dusza” gniewała żołnierzy policyjnych, rekrutujących się w przeważnej części spośród Rusinów. Z tego też powodu ruska pieśń lepiej nam odpowiadała, wywierała lepszy skutek.

---

<sup>284</sup> Dominik Zbrożek (1832–1889) – inżynier, geodeta, rektor Politechniki Lwowskiej, poseł na Sejm Krajowy.

<sup>285</sup> Komers – uroczyste spotkanie korporacji studenckich.

<sup>286</sup> Gęsiory – tu w znaczeniu pochód.

My na nich, a oni na nas się zawzięli. O wzajemnej zaciętości świadczy fakt następujący. Po jakimś komersie gąsior ruszył na rynek, tam spełniał to, co zawsze. Bił policjantów, gasił latarnie, przemieniał szyldy, hamował ruch uliczny itd. Jedna z grup, rozchodzącego się już gęsiego, wpadła na ulicy Akademickiej w zasadzkę. Przeważające siły policyjne otoczyły około 50 akademików. O oporze nie było co myśleć. Policja odebrała im trofea zdobyte na stójkowych po drodze i poprowadziła do gmachu komendy policji na placu Smolki. Tu wtłoczono ich do sieni wjazdowej, zamknięto bramę od ulicy, brama od podwórza była zamknięta. Wejścia z sieni do gmachu i biur były gęsto obsadzone policjantami. Tak samo od obu bram kordony policji odcinały naszych. Gdy wszyscy już byli w sieni dokładnie otoczeni przez żołnierzy, jeden z nich zgasił lampę naftową, palącą się w sieni. Na ten sygnał policjanci dobyli szabel i zaczęli po ciemku rąbać, ciasno w sieni stłoczonych akademików. Po dziesięciu minutach tej masakry ktoś otworzył bramę od ulicy. Wszyscy policjanci jakby się w ziemię zapadli. Pokrwawieni, porąbani wyszli z gmachu nieszczęśli, lecz mężni rycerze tej nocy, niosąc na barkach kilku nieprzytomnych z upływu krwi kolegów. Tak się policja mściła za przegrane na ulicach bitwy z akademikami. Ale to tylko wzmagало zaciętość, choć nakazywało większą rozważę, ostrożność i stosowanie umiejętnej taktyki w podchodach.

Pamiętam też drugą pieśń, związaną z wiecem, też ruską, dzisiaj po-grzebioną<sup>287</sup> w pyłe zapomnienia. Wyrosła na bruku lwowskim, ale nam brzmiały w niej jakieś jakby tony z Charkowa czy Kijowa, jakby echa walk studentów ukraińskich z rosyjską szkołą. Pieśń poważna, śpiewana była na naszych komersach na równi z pieśniami filaretów<sup>288</sup> i filomatów<sup>289</sup>, z marszem Mierosławskiego<sup>290</sup>, z pieśniami powstańców z 1831 i 1863 r., z ogólnoakademicką pieśnią *Gaudeamus*. Oto strofka, którą pamiętam:

Szalijsze! Szalijsze skażeni kati! Chodujcie szpiony, bydujcie turmy!  
 My wolnoho ducha, chot skutu, związani – Biada! Biada! Biada! Wam tyrani!  
 Za wolnu nauku, za nasze prawa, za naszu swobodu sołodka tiurma,  
 Bo wolnoho ducha ne skutu w kajdany! Biada! Biada! Biada! Wam tyrany!

<sup>287</sup> Tak w oryginale.

<sup>288</sup> Filareci – tajne stowarzyszenie studentów Uniwersytetu Wileńskiego, działające w latach 1820–1823, zależne hierarchicznie od Towarzystwa Filomatycznego.

<sup>289</sup> Filomaci – Towarzystwo Filomatyczne – tajne stowarzyszenie studentów i absolwentów Uniwersytetu Wileńskiego działające w latach 1817–1821.

<sup>290</sup> Ludwik Mierosławski (1814–1878) – generał, pisarz i poeta, działacz polityczny i niepodległościowy, członek Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, przywódca dwóch powstań w Wielkopolsce (1846, 1848) i pierwszy dyktator powstania styczniowego.

(Słowa dorobione do *Pieśni Normanów Wachnianina*<sup>291</sup>, zaczynającej się od słów *Po moriu, po moriu, po płynnych wodach!* Wachnianin ruski muzyk mieszkał i tworzył we Lwowie). Po każdej strofice następowało nieodzownie, słynne i powszechne już „Pereat Gautzczycz” co wiązało tę pieśń z nastrojem, z terenem akademickim i nie pozostawiało cienia wątpliwości pod czym ona adresem.

Jakie formy przybierał rewolucyjny nastrój, może świadczyć drobnutki fakcik, że gdy w którejś walce z policjantami, koledze Budzynowskiemu Wacławowi (jego brat Alfred chodził na technikę) poszarpano płaszcz zimowy, my dowiedziawszy się o tym, w czasie jakiegoś nieoficjalnego zebrania w Bratniej Pomocy, w jednej chwili, choć nigdy nie śmierdzieliśmy groszem, zebraliśmy 30 złr., tyle ile było potrzeba na kupno nowego. Co dzień odbywały się w sali klubowej na drugim piętrze nieoficjalne zebrania, a w południe – w kuchni na dole. Sale rysunkowe, a nawet wykładowe przerzedziły się niezmiernie.

Grono profesorskie, zapewne i władze, próbowały łać zimną wodę na nasze rozpalone głowy. I oto stało się, że prezes Czytelni Akademickiej<sup>292</sup> Łaszowski Zygmunt i jej skarbnik Baranowski Bolesław ogłosili w dziennikach list otwarty, potępiający, oczywiście w imię „patriotyzmu”, wiec, jego uchwały i wiecowników. „Kończyli swoje studia, przełękli się o swoją przyszłość lub może zostali przez kogoś nastraszeni” – tak osądził ogół autorów listu i motywy ich czynu. Wprawdzie Wydział Czytelni udzielił im votum nieufności za samowolne ogłoszenie tego wyklęcia, ale oni odwołali się do Walnego Zgromadzenia. Odbyło się w lokalu Czytelni w Rynku.

W tych burzliwych czasach bardzo często zachodziliśmy do Czytelni, zwłaszcza że w kamienicy obok, na 1 piętrze, była doskonała biała kawa z grubym kożuszkim w cenie przystępnej dla akademickiej kieszeni. Jako zadomowieni w Czytelni przyszliliśmy hurmem<sup>293</sup> na to zgromadzenie, licząc, że przy poparciu przez zrewoltowaną część czytelników, uda nam się, naszymi głosami, przechylić szalę. Zawiedliśmy się. Wprawdzie siłą zdobyliśmy wejście do sali, ale ani do głosu, ani do głosowania nas nie dopuszczono, bo głosowano imiennie. Łaszowski i Baranowski wygrali. Walne

---

<sup>291</sup> Anatol Wachnianin (1841–1908) – ukraiński działacz społeczny i polityczny, poseł do Sejmu Krajowego w Galicji i parlamentu austriackiego, założyciel Wyższego Instytutu Muzycznego im. M. Łysenki we Lwowie.

<sup>292</sup> Czytelnia Akademicka – organizacja samorządu studenckiego założona na uniwersytetach w Krakowie (1862) i we Lwowie (1867). Pod koniec XIX w. opanowana przez Związek Młodzieży Polskiej „Zet”.

<sup>293</sup> Hurm (hurma) (przest.) – w dużej grupie, tłumnie.

Zgromadzenie unieważniło wotum nieufności. Na uniwersytecie reakcja zatryumfowała! Wściekli wyszliśmy stamtąd. Naszemu oburzeniu daliśmy wyraz na zwołanym w parę dni potem, walnym zebraniu ogółu techników. Uchwalono zerwać wszystkie stosunki z Czytelnią Akademicką. Zarazem odwołaliśmy upoważnienie, udzielone jej przed 10 laty (24 października 1879 r.) reprezentowania ogółu młodzieży wszystkich lwowskich wyższych uczelni (a więc i naszej). Walne zebranie (22 marca 1889 r.) uchwaliło, że jedynie Towarzystwo Bratniej Pomocy ma prawo reprezentować ogół młodzieży Politechniki. Ta uchwała, mimo częstych sprzeciwów, złośliwości, mimo nawet późniejszych przyjacielskich stosunków z Czytelnią, zachowała swoją wagę i moc do dziś dnia. Uchwała nie przeszła jednomyślnie. Grupka kolegów była jej przeciwną. Sześciu z pomiędzy oponentów, mianowicie Wacław Lisowski<sup>294</sup>, Karol Rogawski<sup>295</sup>, Jan Solman<sup>296</sup>, Leon Mikucki<sup>297</sup>, Wacław Smakowski<sup>298</sup> i Ignacy Wentzl<sup>299</sup> demonstracyjnie wpisali się do Czytelni. Wszyscy technicy, będący dotąd jej członkami, wykreślili się z niej, a ci się zapisują! W odpowiedzi na te demonstracyjne kpiny z uchwały walne zebranie Wydziału Bratniej Pomocy wykluczyło wszystkich sześciu. Wykluczeni odwołali się do Walnego Zgromadzenia. Wszystko odbywało się z gorączkową szybkością. W dwa tygodnie po zerwaniu z Czytelnią odbyło się nowe nadzwyczajne Walne Zgromadzenie. W międzyczasie trzej ostatni spośród wymienionych wykluczonych namyślili się i wystąpili z Czytelni. Więc uchwaliliśmy zatwierdzić wykluczenie tylko trzech zatwardziałych, a cofnąć wypędzenie trzech zmiękczonej. Głosowaliśmy przez rozstąpienie.

---

<sup>294</sup> Wacław Lisowski – ur. w 1859 r. w Malinopolu w Rosji, student Wydziału Budowy Maszyn Szkoły Politechnicznej we Lwowie w latach 1881–1889.

<sup>295</sup> Karol Rogawski – ur. w 1865 r. w Ostrowie, w latach 1886–1890 studiował na Wydziale Budowy Maszyn, pracował jako inżynier w kopalni ropy naftowej Uherce (Bieszczady).

<sup>296</sup> Jan Solman – ur. w 1867 r. w Kuźni, w Królestwie Polskim, studiował na Wydziale Budowy Maszyn w latach 1887–1890, pracował w kopalni ropy naftowej w Schodnicy.

<sup>297</sup> Leon Mikucki (1867–1920) – inżynier i przemysłowiec naftowy. Urodził się w Stanisławowie, był studentem Politechniki w Wiedniu, następnie w latach 1888–1890 studiował na Wydziale Budowy Maszyn we Lwowie. Pracował jako inżynier w kopalniach ropy naftowej na Podkarpaciu. W 1900 r. założył własne przedsiębiorstwo naftowe. W 1910 r. został dyrektorem Galicyjsko-Karpackiego Towarzystwa Naftowego, największego koncernu naftowego w Galicji.

<sup>298</sup> Wacław Smakowski – ur. w 1865 r. w Michałowie, w Królestwie Polskim, był studentem Politechniki Wiedeńskiej, w latach 1888–1890 studiował na Wydziale Budowy Maszyn lwowskiej Szkoły Politechnicznej, pracował w kopalni ropy naftowej w Węglówce.

<sup>299</sup> Ignacy Wentzl – ur. w 1866 r. w Krakowie, studiował na Wydziale Budownictwa Lądowego lwowskiej Szkoły Politechnicznej w latach 1886–1896, następnie był adiunktem budowlanym w Namiestnictwie.

Bronili wykluczonych dwaj najlepsi nasi mówcy: Władysław Kulski<sup>300</sup> i Stanisław Anczyc<sup>301</sup>, koledzy bardzo szanowani dla swej prawości i rozumu. Ale ich wymowa nie pomogła. Gdy po wygłoszeniu wszystkich możliwych argumentów w obronie wypędków przyszło do głosowania i oni stanęli po stronie głosów za wykluczeniem.

Na tym się to nie skończyło. W tę czysto wewnętrzną studencką sprawę wmixowało się, całkiem niepotrzebnie, kolegium. Polecilo naszym kuratorom wydanie orzeczenia zawieszającego uchwałę Walnego Zgromadzenia. Całkiem nie pasowała ta dziecinada ani do chorującego na powagę kolegium profesorskiego, ani do osób kuratorów, cenionych przez nas profesorów Dziwińskiego<sup>302</sup> i Łazarskiego. Mądrzejszymi od kuratorów okazali się przez nas wypędzeni, swego chowu stańcacy, którzy po zarządzeniu kuratorów, ostentacyjnie weszli do sali klubowej, do lokalu Towarzystwa i wypisali się z niego.

W miesiąc po wykluczeniu odbyło się znowu nadzwyczajne Walne Zgromadzenie, które nieznaną większością zgodziło się na kompromis i przyjęło „z radością” do wiadomości wystąpienie wykluczonych. Mniejszość upierała się przy wyrzuceniu. Najmądrszego wypędka Solmana charakteryzowały jego bilety wizytowe. Widniało na nich „Jan baron de Malmoe, Sholman”. Biła z nich próżność. Po wyjściu z techniki pracowali, z wyjątkiem Wentzla, a może i dziś pracują w galicyjskim przemyśle naftowym. Odznaczyli się w nim, z wyjątkiem Smakowskiego, o którego losach nie mam wiadomości, antyspołecznym nastawieniem w stosunkach z robotnikami.

Na tle rozstrzygnięcia kuratorów wybuchł nowy zatarg między nami a kolegium, o prawa i zakres działania kuratorów. Zatarg przybrał takie rozmiary, że uwierzyliśmy szeroko rozpowszechnianej pogłosce, jakoby władze nosiły się z zamiarem rozwiązania Bratniej Pomocy. Na nieoficjalnych zebraniach postanowiliśmy, w tym wypadku gremialnie, opuścić Lwów i przenieść się na technikę do Grazu. Sądziłem, że do tego dojdzie. Tak samo myślała większość kolegów.

---

<sup>300</sup> Władysław Kulski – ur. w 1864 r. w Nowo-Radomsku (taką nazwę nosił Radom od 1867 r.), studiował w lwowskiej Szkole Politechnicznej w latach 1885–1889.

<sup>301</sup> Stanisław Anczyc (1868–1927) – metaloznawca, profesor Szkoły Politechnicznej we Lwowie, rektor tejże uczelni w latach 1915–1916.

<sup>302</sup> Placyd Dziwiński (1851–1936) – matematyk, profesor Politechniki we Lwowie w latach 1886–1925, rektor tejże uczelni w kadencji 1893/1894, radny miasta Lwowa i członek honorowy tamtejszego Towarzystwa Politechnicznego.



## 8.

**Krakowski miesięcznik „Ognisko”. Mowa Fr. Nowickiego, za którą został relegowany z Uniwersytetu Jagiellońskiego.**

**M**łódzież krakowska nie pozostała w tyle. Zaczęto tam wydawać miesięczne pismo pt. „Ognisko”<sup>303</sup>, redagowane początkowo przez K. Tetmajera<sup>304</sup>, a potem przez F. Nowickiego<sup>305</sup> i G. Górskiego<sup>306</sup> z współudziałem kolegów z naszej Zachęty i komitetu wiecowego. Pierwszy numer przyjęliśmy z zapałem. Ale już następny wywołał krytykę, a późniejsze zdecydowany sprzeciw. O ile współpraca polsko-ruska na wiecu była przez nas pożądana ze względów ideowych, o tyle pomieszczenie w polskim piśmie krakowskim artykułu drukowanego cyrylicą zupełnie nam się nie podobało z powodów materialnej natury. Wszak w Krakowie prawie nikt z akademików Polaków, a we Lwowie bardzo mało kto umiał czytać po rusku, a przecież prenumerowali „Ognisko” prawie wyłącznie Polacy. Co prawda treść tego ruskiego artykułu odpowiadała nam w zupełności. Akademicy ruscy, biorący udział w wiecu, odpierali tam ataki moskalofilów, oskarżających ich o kosmopolityzm i o to, że dali się nabrać Polakom. Więc nie o treść nam chodziło, tylko o to, że artykuł był dla nas niedostępny. Ale o ten drobiazg natury materialnej, nie ideowej, nie rozeszłyby się nasze drogi. Zasadniczą sprawą było, że w artykułach programowych redakcja zerwała stanowczo z patriotyzmem powstaniowym, ba! Obrzydliwie przeholowała, ryzykując twierdzenie, że zerwała wszystkie nici z przeszłością narodu. Nic to, że pismo było po za tym doskonale redagowane, że miało świetnych współpracowników, jak Artur<sup>307</sup> i Gabriel Górcy, jak poeci Fr. Nowicki, K. Tetmajer, Andrzej Niemojewski<sup>308</sup>, jak W. Feldman<sup>309</sup>, K. Górzycki, A. Mahrburg<sup>310</sup>,

<sup>303</sup> „Ognisko” – czasopismo wydawane przez młodzież związaną z Czytelnią Akademicką w Krakowie w latach 1889–1890.

<sup>304</sup> Kazimierz Przerwa-Tetmajer (1865–1940) – poeta, nowelista, powieściopisarz i dramaturg, przedstawiciel Młodej Polski.

<sup>305</sup> Franciszek Henryk Nowicki (1864–1935) – poeta i nowelista, tworzący w nurcie Młodej Polski, nauczyciel, znawca Tatr, działacz socjalistyczny.

<sup>306</sup> Gabriel Górski (1867–po 1935) – śpiewak operowy, reżyser. W okresie redagowania „Ogniska” studiował prawo w Uniwersytecie Jagiellońskim.

<sup>307</sup> Artur Górski (1870–1959) – pisarz okresu Młodej Polski, krytyk literacki, współredaktor krakowskiego „Życia”.

<sup>308</sup> Andrzej Niemojewski (1864–1921) – poeta i pisarz Młodej Polski, publicysta.

<sup>309</sup> Wilhelm Feldman (1868–1919) – pisarz i publicysta, krytyk i historyk literatury, redaktor krakowskiego czasopisma „Krytyka”.

<sup>310</sup> Adam Mahrburg (1855–1913) – filozof, teoretyk nauki, publicysta.

F. Koneczny<sup>311</sup>, T. Wiśniowski<sup>312</sup> i inni, że miało korespondencje oryginalne z Warszawy, Krakowa, Lwowa, Dublan, z Paryża, Berlina, Wiednia, Genewy, Pragi, Dorpatu, Odessy, Mittweidy<sup>313</sup>, Grazu, Czerniowiec, że umieszczało kronikę i sprawozdania z życia stowarzyszeń akademickich naprawdę bezstronnie. Ale program, ale przeciwstawienie się naszej ideologii i zwalczanie jej namiętne kazało nam odwrócić się od „Ogniska”. Jeżeli co wywołało reakcję po wiecu, to właśnie pojawienie się programu „Ogniska”. To załamało ruch rewolucyjny lwowskiej młodzieży. Nastąpił rozłam w jednolitym dotychczas obozie wiecowników. „Ognisko”, głosząc hasło oparcia nowej epoki dziejów Polski na ludzie roboczym miast i wsi, uległo niewątpliwie ideologii socjalistycznej, zaś w widniejącym w jego programie odrzuceniu – jakbyśmy dziś powiedzieli – myśli o zbrojnej walce o niepodległość odbijał się wpływ „Teki Stańczyka”<sup>314</sup>. Hasło podniesienia ogólnego dobrobytu, hasło ograniczenia naszych narodowych dążeń do pielęgnowania kultury na terenie Polski etnograficznej, odbijało echa pozytywizmu. Wyrzekanie się przewagi narodu polskiego nad narodami mieszczącymi się w granicach z 1772 r. lub w Polsce „od morza do morza” było na ogół wspólne wszystkim trzem powyższym kierunkom myśli i działania politycznego w ówczesnej Polsce.

Prześladowanie „Ogniska” przez c. k. władze hamowało nas w zajęciu wyraźnego stanowiska przeciw pismu i jego przyjaciółom, grupującym się w komitecie wiecowym i w Zachęcie. Każdy numer był konfiskowany. „Ognisko” poruszało młodzież krakowską, ale poruszyło też reakcję. Prezesem Czytelni Akademickiej w Krakowie został wybrany niezwykle utalentowany młody poeta Franciszek Nowicki, redaktor „Ogniska”. Policja zabroniła mu wygłoszenia słowa wstępnego na wieczorku mickiewiczowskim. W zakazie tym maczał palce rektor uniwersytetu. Gdy czytam to zakazane przemówienie, nie mogę ochłonąć ze zdumienia nad zasadniczą zmianą poglądów w świecie. Prawda, że pół wieku od tego czasu upłynęło, ale przecież od takich wybitnych uczonych, jak ówczesny rektor Korczyński<sup>315</sup>,

---

<sup>311</sup> Feliks Koneczny (1862–1949) – historyk, historyzof, krytyk teatralny, publicysta, redaktor.

<sup>312</sup> Teofil Wiśniowski (1869–1936) – architekt.

<sup>313</sup> Mittweida – miasto w Saksonii, we wschodnich Niemczech.

<sup>314</sup> Teki Stańczyka – cykl artykułów-pamfletów napisana przez czołowych działaczy konserwatywnych: Stanisława Tarnowskiego, Ludwika Wodzickiego i Józefa Szujskiego wydrukowanych w „Przeglądzie Polskim”. Były to listy fikcyjnych osób do fikcyjnych adresatów, w których krytykowano polskie idee powstańcze i dążenia niepodległościowe. Listy stanowiły wykładnię programową konserwatystów krakowskich – ukazywały ich lojalizm, klerykalizm i niechęć do reform.

<sup>315</sup> Edward Korczyński (1844–1905) – lekarz, profesor zwyczajny, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego w latach 1889–1890.

Ulanowski<sup>316</sup>, Witkowski<sup>317</sup>, fizjolog Cybulski<sup>318</sup> lub botanik Rostafiński<sup>319</sup>, mieliśmy prawo wymagać więcej rozumu politycznego niż go okazali, pionując z powodu tej mowy Nowickiego na duch Zarządu Czytelni. Mowa była prześliczna i tak charakteryzująca ówczesną młodzież i jej profesorów, że przytaczam ją, po opuszczeniu nic niemówiącego wstępu, w całości:

„Stoimy wobec faktu, który w dziejach naszych zapewne nie zaważy, ale na sercach społeczeństwa głęboki ślad wyżłobi. Bo oto z wiosną mamy nadzieję powitać w ojczystych progach prochy poety, którego imię dziś święcimy. Trzydzieści przeszło lat twórca *Ody do młodości* spoczywa w obcej mogile, z dała od milionów narodu, za który cierpiał w duchu, z dała od młodości, której skrzydła do ramion przypinał. A młodzież ta, która kult swego barda tak wysoko podniosła, czując, że nadsekwańskie cyprysy macoszymi są piastunami snu jego, że galicyjska ziemia nie jest mu lekką, pierwsza wypowiedziała życzenie, aby Polska była mu grobem, trumną Wawel, a nadwiślańskie brzozy mogiłnymi śpiewkami. A Czytelnia Akademicka w Krakowie pierwsza życzeniu temu realny kształt nadała i na sprowadzenie z wiosną zwłok śpiewaka *Ody do młodości* do kraju cztery tysiące kilkaset złr. ofiarowała. Poeta wygnaniec, wybiegłszy w świat pełnym siły i płomienia bardem, wróci do kraju cichym, niemym prochem. Ale nad prochem tym piętrzy się olbrzymi duch geniusza i staje przed nami tak wielki i jasny, jak w wygnania chwili i pyta nas, czym jesteśmy? Jakimi nas zastaje po długiej tułaczce za życia i po śmierci? Rachunek sumienia odpowiedzią jest naszą. A jest ciężkim rachunek ten dla pokolenia, po ostatnim ruchu rewolucyjnym, zrodzonego. Szerzej i bujniej żyły poprzednie młodzieży pokolenia; patrzyły i rwały się ku wysokim i szerokim horyzontom, a dążenia ich wypadki oblekły w czyny, które niecichnącym echem odbiły się w przeszłości ludowej. Romantyczne sny filareckiej drużyny krążyły nad młodymi ich czołami, płomienne dumy plejady wieszczów rozpałały ich wyobraźnię i z planetarną siłą rwały ich w orbitę czynu – a przed nimi, jak ów słupek ognisty przed narodem wybranym na pustyni, kroczyła olbrzymia wiara mgłami mesjanizmu owiana, wiara w męczeńską misję narodu. A tym większą była ta wiara,

<sup>316</sup> Bolesław Ulanowski (1860–1919) – historyk prawa, profesor i dziekan Wydziału Prawa Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek Towarzystwa Historycznego we Lwowie i krakowskiej Akademii Umiejętności.

<sup>317</sup> August Witkowski (1854–1913) – fizyk, profesor Uniwersytetu Lwowskiego, od 1888 r. kierownik Katedry Fizyki i rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego w latach 1910–1911, członek Akademii Umiejętności.

<sup>318</sup> Napoleon Cybulski (1854–1919) – fizjolog, współtwórca polskiej endokrynologii, kierownik Wydziału Lekarskiego, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego w latach 1904–1905.

<sup>319</sup> Józef Rostafiński (1850–1928) – botanik, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, członek Akademii Umiejętności.

im mniejsza była znajomość rzeczywistych warunków życia społecznego, tym wyższy był ich zapal i poświęcenie, im niższym był egoizm i zimny rachunek klasy uprzywilejowanej. Kipiąca krewkość ich młodości miała upust w dniach pełnych gorączkowego działania, w nocach, w których sen z oczu im spłaszały triumfy Grochowa<sup>320</sup> i Stoczka<sup>321</sup> albo ze snów budziła ich, o krwawym brzasku, pukaniem do okna tajemnicza ręka, owa ręka budząca ze snu wojownika Grottgerowskiej Lithuanii<sup>322</sup>. A ich zapal porywał ze sobą społeczeństwo całe i szło ono razem z nimi, i byli oni pośrednimi dobroczyńcami doli ludowej, i dążenia ich Europa grzmiącym witała oklaskiem, a sławą wieńczyły ich wszystkie wolne duchy starego świata. Czegoż nadto pragnąć mogła młodzież? O czym marzyć? Wypadki, przemoc, prywata rozbiły olbrzymie ich nadzieje, tytaniczne ich wysiłki, krwawą łuną zaszło wolności słońce. Czy działania ich dobrymi były, czy niedobrymi – sąd nie do nas należy. Zbyt bliscy jesteśmy tych wysień [s], zbyt ciężą nad nami do dziś jeszcze ich skutki, aby sąd mógł być bezstronny a rachunek prawdziwy. To jedno dziś już powiedzieć możemy i za tym jednym tęsknić, że ta młodzież była tak młodą, tak bujnie młodą, tak prawdziwie młodą. Nad taką młodzieżą unosiła się myśl poety. Panował, królował nad nią, bo panowanie uczucia wszechwładnym było wśród młodzieży, a z niej zlewało się na całe społeczeństwo. I może dziś, gdyby wstał z martwych i spojrzął na nas, może by nie poznał w nas epigonów tego pokolenia, na jakie patrzył jeszcze, zstępując do grobu...

Jesteśmy pokoleniem zrodzonym na ruinach i zgliszczach starych, narodowych ideałów. U kolebek naszych śpiewali piosenki ciemniźcyiele, kołysał nas strach przed słowem swobodnym, kołysała nas ponura zgroza i obawa przed cieniem myśli, którą żyło i oddychało pokolenie poprzednie. Wstępując w życie, napotkaliśmy świat inny już zupełnie, w którym rozumowana krytyka rozbujała po ostatniej katastrofie, podważyła i rozsadziła gotycki gmach wierzeń, iluzji i porywów politycznych i zapanowała wszechwładnie, jako druga ostateczność, po epoce wybujałego uczucia. Ową rękę Grottgerowską, budzącą za snu wolności rycerzy, skierowano do pług, do młota fabrycznego, do szarej bezimiennej walki o byt, pracy u podstaw, która miała wzmocnić osłabiony krwotokiem organizm społeczny. Po wielkich romantycznych snach polityki narodowej powiał po społeczeństwie duch

---

<sup>320</sup> Bitwa pod Grochowem (bitwa o Olszynkę Grochowską) – bitwa polsko-rosyjska, odbyła się 25 lutego 1831 r. jako jedno z najkrwawszych starć zbrojnych w powstaniu listopadowym.

<sup>321</sup> Bitwa pod Stoczkiem – jedna z bitew powstania listopadowego, miała miejsce 14 lipca 1831 r. pomiędzy wojskami polskimi i rosyjskimi, zakończona wygraną Polaków.

<sup>322</sup> Lithuania – cykl sześciu szkiców malarza Artura Grottgera (1837–1867) upamiętniających powstanie styczniowe na Litwie.

pozytywizmu i zabarwił sobą wszystkie formy życia społecznego. Hasło „pracy” stało się syntezą nowych ideałów narodowych, a w nowej, upornej walce o najwyższą rentę i procenta, w nowej formie wyzysku klas pracujących, ulokowano cały zapał i bojowe bohaterstwo przeszłości. I tu sądu młodzież wydawać nie chce. Ma jednak prawo wypowiedzieć, jakie piętno wyżyłobił na niej nowy jednostronny kierunek. W paragrafach nowych narodowych programów wyznaczono młodzieży naukę i tylko naukę. Kraj od was, powiedziano nam, niczego więcej nie żąda jak tylko nauki. Jest wiele poważnej prawdy w tym postulatcie, jednostronność jego jednakże wydała skutki nieprzewidziane zapewne od twórców. Bo hasło to wśród młodzieży, wykluczonej poza nauką fachową ze wszystkich innych przejawów życia politycznego i obywatelskiego, od jednych fałszywie pojętym, od drugich odrzuconym być musiało. Ogólne obniżenie ideałów, liberalizm wstrętne pojęty, indyferentyzm we wszystkim, co nie dotyczy pogoni za karierą, za gwiazdą złotą, a zupełny brak wyższych uczuć i dążeń, panujący wśród jednej części młodzieży – to pierwszy skutek nowego jednostronnego kierunku. Część inna młodzieży, energiczniejsza, o niespokojnych szerokich porywach, śmiałych a dzielnych duchach, nie znajdując w zaskorupieniu się, fachowym wykształceniu dość miejsca dla kipiącej krewkości, poszukała sobie sama dróg nowych i rzuciła się w pole walki klasowej, gdzie znajduje szerszy oddech i działalność w imię wielkich ideałów ludzkości. Część trzecia najliczniejsza, o tyle sympatyczna, o ile nieszczęśliwa, szamocze się sama z sobą. Otwarcie zmuszona do uznawania ciasnych granic naznaczonego jej zadania, do milczenia o wszystkim, co granice te przekracza – w głębi duszy granic tych nie uznając, ucieka z tych ciasnych, duszących ścian w minioną przeszłość, w czasy tego pokolenia, które dzisiaj trzeźwa potępia krytyka, i żyje, i oddycha marzeniami i ideami rewolucyjnymi, zgaszonymi dawno od przemocy i twórców nowych narodowych programów. A spotykając w życiu codziennym hasła i objawy tak odmienne od ideałów ukrytych w duszy, wykołysanych męczeńskimi tradycjami narodu i nie mogąc z drugiej strony żadną miarą pogodzić się z istniejącymi, uznanymi dziś, kierunkami przechodzi męczarnie moralne, boryka się daremnie, aby znaleźć wyjście z tego błędnego koła, wreszcie zniechęcona nurza się albo w bezdenny pesymizm, albo sercem i myślą zawraca bezkrytycznie w bezpowrotną przeszłość, ze szkodą rzeczywistego życia i postępu. A ta ciągła walka między ideałami a rzeczywistością, ten wieczny rozbrat między marzeniami młodości a życiem przeciwnym – jest tragicznym piętnem tej najliczniejszej młodzieży. Bo nie zważano na to, że nauka, nauka i jeszcze raz nauka, nie jest jeszcze wszystkim, że poza nią jest jeszcze cała suma

czynników, składających się na życie tej młodzieży, że wre tam energia wyzwolenia potrzebująca, że pierś rozsadza pierwiastek idealny urzeczywistnienia łaknący, że wrą i kipią tam porywy tęskne czynu i działalności. Bo nie ukazując młodzieży poza nauką fachową nic więcej do wypełnienia, zapomniano o tym, że szumieć, wrzeć i szaleć odwiecznym jest młodzieży prawem, którego żaden wiek, żaden program cofnąć lub zmienić nie zdoła. *W Odzie do młodości* wyrył poeta to prawo wszystkim czasom, wszystkim pokoleniom. Pracować, uczyć się musimy i chcemy, bo tego duch nowożytnego postępu wymaga, ale obok tego pragniemy także żyć po młodemu, czuć po młodemu i po młodemu działać. Wśród szanownego areopagu<sup>323</sup>, przed którym przemawiam, widać szronem wieku oprószone czoła. Może należą one do tych rycerzy nieszczęśliwych, szczęśliwych jednak tym, że młodość ich poza nauką miała to wszystko, do czego rwie się szal i uczucie, energia i marzenia. Może należą do tych, co w młodości swej żyli za siebie i za nas, a dziś po bankructwie politycznym narodu nie mogą nam przekazać w spadku nic, prócz potrzeby pracy, pracy wieku dojrzałego, nieliczącego się z młodością prawami. Oni może czują duszność, jaką dziś pierś nam przytłacza, może zrozumieją gorycz słów naszych, może odczują ból, który sprawia nam podstrzyganie [s] piór, co opalone u nich w pożodze narodowej, dziś odwiecznym natury prawem, odrastają nam u ramion, ku nowym, wielkim, unosząc światom. My nie stawiamy tu programów, nie podnosimy sztandarów, żądamy tylko uznania przyrodzonych warunków młodego życia, żądamy prawa głosu poza nauką fachową. A pragnienie to potwierdza ogólny, żywiołowy prawie ruch całej młodzieży polskiej z czasów ostatnich. Obawa o nas przeszkód stawiać nie powinna, bo wyższe dążenia młodzieży ku celom obywatelskim skierowane, nie były nigdy i nie mogą być nieszlachetnymi. Ku lepszej przyszłości dążymy wszyscy w wolnym pochodzie postępu; ale śmiała myśl młodzieży odwiecznym trybem wyprzedza ten pochód i na skrzydłach młodości wybija się nad ciemny, ponury horyzont rzeczywistości, gdzie wielkimi słowami poeta wita jutrzeńkę zbawienia słońce zapowiadającą. Wiekowi wolno bojować o szare, ale wygodne dzisiaj triumfy – duch młody bojować musi o przyszłość olbrzymią. I nikt nie ma prawa wstrzymać tego biegu farysowego<sup>324</sup>. Tamy i wędzidła daremne! Fali nikt nie zatrzyma!”

---

<sup>323</sup> Areopag – w starożytnych Atenach najwyższa rada złożona w okresie monarchii z przedstawicieli najważniejszych rodów, a po jego upadku z byłych archontów, po okresie ich urzędowania. Ostoja arystokracji. Nazwa rady pochodzi od wzgórze Aresa (gr. *Areios pagos*), czyli miejsca, gdzie odbywały się spotkania rady.

<sup>324</sup> Farys – muzułmański wojownik i jeździec słynący z waleczności i szybkości.

I pomyśleć, że za to przemówienie, wygłoszone na komersie po wieczorku, został z uniwersytetu relegowany Franciszek Nowicki!!! Za artykuły pisane w „Ognisku” zostali prócz niego relegowani Gabriel<sup>325</sup> Górski (autor *Monsalwata*<sup>326</sup>) i Janikowski<sup>327</sup>. Za przewodem Krakowa, za sympatię z „Ogniskiem” i jego ludźmi, szkoła dublańska relegowała aż pięciu kolegów dublańczyków. W tym czasie Moskale uwięzili za kolportaż Tadeusza Drewnickiego<sup>328</sup> (naszego związkowca) i trzymali go w więzieniu 5 miesięcy. Zamknęli Ignacego Daszyńskiego i przetrzymali 7 miesięcy w więzieniu. W Ojcowie uwięzili wycieczkę 44 akademików krakowskich, zamknęli w Pieskowej Skale i skazali na trzy dni aresztu za śpiewanie na skałach Ojcowa patriotycznych pieśni. Te represje austriackie i rosyjskie łączyły nas razem, mimo różnic zasadniczych, z radykałami krakowskiego Ogniska. Ale przecież, nie zrywając oficjalnie zgody, wkroczyliśmy i poszli zdecydowanie swoją drogą, inną niż krakowski miesięcznik „Ognisko” i techniczne kółko Zachęty.

---

<sup>325</sup> W oryginale Artur.

<sup>326</sup> *Monsalwat. Rzecz o Mickiewiczu* wydana w Krakowie w 1908 r.

<sup>327</sup> Ludwik Janikowski (1868–1911) – doktor prawa, publicysta, współzałożyciel „Naprzodu”, organu prasowego PPSD.

<sup>328</sup> Tadeusz Dwernicki (1868–1946) – doktor praw, adwokat, działacz niepodległościowy i społeczny, jeden z założycieli Towarzystwa Szkoły Ludowej, oficer Legionów Polskich. W okresie II Rzeczypospolitej oficer w Wojsku Polskim.

## Rozdział III

# TAJNY ZWIĄZEK

### 1.

#### **Organizowanie Techniki. Walka z Drakonami o wydziały Bratniej Pomocy.**

**Z**ycie uczniowskie tajnego związku popłynęło szerszym korytem, gdy pierwsze nasze kółka zdały maturę. Rozglądnęliśmy się wokoło siebie przez otwarte na świat okno akademickie. Przez nie spostrzegłem, że nasze kółko nie miało wielu poprzedników. Z tego wywnioskowałem, że nasza organizacja powstała albo w 1885 r., albo najwcześniej w 1884 r. Fabiański podał mi nazwisko kol. Kornelego Stroki, który miał organizować techników. Skomunikowałem się z nim i znalazłem się w jednym jedynym kółku, złożonym z 7 ludzi, zbierających się u kol. Kazimierza Piekarskiego na ulicy Kleinowskiej nr 5. Zostałem tam kolegów starszych ode mnie o 1 lub 2 lata w studiach. Ponieważ Stroka nie był żadnym organizatorem, a inni kółkowcy zajęci studiami, nie mieli do tego odpowiedniej energii, więc *iure caduco*<sup>329</sup> wzięłem organizowanie techniki w swoje ręce. Do pomocy dobrałem sobie Stacha Aleksandrowicza<sup>330</sup> z lwowskiej reałki. W krótkim czasie z młodego narybku sformowaliśmy jeszcze trzy kółka. Po roku technika była najlepiej zorganizowaną wyższą uczelnią z 7 czy 8 kółkami. Kółko powinno

---

<sup>329</sup> *Iure caduco* – prawem kaduka; bez rzeczywistej podstawy prawnej.

<sup>330</sup> Stanisław Aleksandrowicz (1870–1934) – student Politechniki Lwowskiej, urzędnik Miejskiego Urzędu Budowlanego, Wydziału Krajowego, budowniczy. Po I wojnie światowej mieszkał we Lwowie i pracował w tamtejszych Zakładach Wodociągowych.



było liczyć nie mniej niż 6 członków, a nie więcej niż 10-ciu. W czasie największego rozkwitu było nas co najmniej 65 techników zorganizowanych w tajnym związku (36% ogółu słuchaczy). Liczę tylko tych, których nazwiska zapamiętałem. Bardzo surowo przestrzegałem konspiracyjności. Nie dopuszczałem do żadnej styczności między kółkami. Kółko tworzyła grupka przyjaciół, żyjących, a najlepiej mieszkających razem lub blisko. A że i tak zespoły kolegów dobierały się pod kątem widzenia pokrewnych przekonań i upodobań, a łączyło je nierzadko pochodzenie z tej samej szkoły średniej, przeto konspiracja dała się utrzymać. Nie nadwyrężali jej dodani w kółku do Galicjan Królewicy, zawodowi, że tak powiem, konspiratorzy. Domysłów o należeniu do organizacji nie mogłem zahamować, ale członek jednego kółka nie miał pewności, czy ktoś spoza jego kółka należy istotnie czy nie.

Zebrań odbywały się w mieszkaniach kolegów mieszkających przeważnie blisko szkoły. Z nastaniem cieplejszej pory zbierały się kółka w parkach i lasach podlwowskich. Ja prowadziłem koło przewodniczących kół. Ci znali się między sobą i znali mnie. Celem naszym w owych czasach, tj. w latach 1889–92, było przygotowanie zbrojnej walki o niepodległość. Na razie była mowa o normalnym przygotowaniu całego narodu, a więc przez inteligencję trafienie do chłopca i robotnika. Tematem obrad kółkowych były artykuły „Wolnego Słowa Polskiego”, będącego, jeżeli tak wolno się wyrazić, oficjalnym organem naszego związku. W nim tkwiły, z niego wyczytywaliśmy wskazania płk. Z. Miłkowskiego (T. T. Jeża), którego uważaliśmy, na podstawie jego pracy *Rzecz o obronie czynnej i o Skarbie Narodowym*, za moralnego naszego wodza. Poza tym omawialiśmy położenie i nastroje wśród robotników i chłopów, ważniejsze artykuły prasowe na te tematy i temat polityki narodowej, nierzadko odbywał się odczyt z dziejów Polski, z walk o niepodległość. Równocześnie zajmowały nas działania bieżącej polityki w świecie młodzieży. Sprawa wiecu i jego następstw, akcje w Bratniej Pomocy, program krakowskiego Ogniska, procesy polityczne, represje, przeciwdziałania szpiclowaniu i szpiclom, propaganda na Politechnice i poza nią, obchody narodowe, nabożeństwa w rocznice narodowe, pogrzeby Lenartowicza<sup>331</sup>, Mickiewicza, Gillera<sup>332</sup> i in., jako też omawianie polemik z socjalistami, anarchistami, stańczykami, klerykałami, demokratami wypełniały treść zebrań kółkowych.

---

<sup>331</sup> Teofil Lenartowicz (1822–1893) – poeta romantyczny, etnograf i rzeźbiarz, uczestnik konspiracji niepodległościowej w 1848 r. Lenartowicz zmarł we Florencji 3 lutego 1893 r., a jego pogrzeb odbył się 12 czerwca tego roku na Skałce w Krakowie.

<sup>332</sup> Agaton Giller (1831–1887) – publicysta i pisarz, konspirator i działacz niepodległościowy, uczestnik powstania styczniowego i członek Rządu Narodowego, jeden z założycieli Muzeum Narodowego Polskiego w Raperswilu w Szwajcarii. Zmarł 17 lipca 1831 r., a uroczysty pogrzeb odbył się w Stanisławowie dwa dni później.

Pierwsza akcja na technice udała się nam nadspodziewanie. W listopadzie 1889 r. wzmocnieni napływem świeżych związkowców ze szkół średnich, zmobilizowani sprężystością, zaskoczyliśmy Drakonów, mających dotąd zawsze większość Walnego Zgromadzenia za sobą, a niespodziewających się naszej akcji i przeprowadziliśmy, prawie bez zmian, ułożony przez nas skład Wydziału Bratniej Pomocy. Za to w pół roku potem odbili się Drakoni. Ustąpił z prezesury kolega T. Rozwadowski<sup>333</sup>, wskutek odrzucenia jego wniosku o pogodzenie się z Czytelnią Akademicką. Z nim ustąpił cały Wydział. Pewien naszej liczbowej przewagi, zaufany w poprzednie zwycięstwo i w słabość Drakonów, nie zmobilizowałem z należytą energią naszych. Zrobili to Drakoni między swoimi i choć ich organizacja była od naszej liczbie daleko słabszą, dali nam na Walnym Zgromadzeniu w skórę. Wybrali swój wydział. Ta pierwsza klęska wyborcza, dała mi naukę na całe późniejsze życie polityczne, by nigdy nie przeceniać swoich sił ani nie lekceważyć nawet najslabszego przeciwnika.

## 2.

### **Połączenie się z Borzemszczakami. Rząd Narodowy i moje do niego wejście. Organizowanie weterynarzy, leśników i dublańczyków.**

Organizacja nasza nie miała żadnej nazwy. Istniały Żuaw<sup>334</sup>, „Orzeł Biały”<sup>335</sup>, „Liga Narodowa”<sup>336</sup>, ale te organizacje, o pokrewnych z nami celach, nie były z nami w związku. O ich istnieniu dowiadaliśmy się z częstszego zetknięcia się naszych propagand, a szczegółowiej pouczyły nas procesy polityczne, śledztwa, areszty, notatki dziennikarskie. Z procesu przeciw Żelaszkiewiczowi<sup>337</sup> i Sulimierskiemu<sup>338</sup> dowiedzieliśmy

---

<sup>333</sup> Tadeusz Rozwadowski (ur. 1865-?) – prezes Towarzystwa Bratniej Pomocy Słuchaczy Politechniki Lwowskiej w latach 1888–1890, asystent w Katedrze Budowy Dróg i Kolei Żelaznych Politechniki Lwowskiej, urzędnik w galicyjskim Wydziale Krajowym.

<sup>334</sup> Żuaw – Związek Polski „Żuawi”, tajna organizacja młodzieżowa, dążąca do odzyskania przez Polskę niepodległości.

<sup>335</sup> Orzeł Biały – mowa o tajnej organizacji młodzieży, którą rzekomo wykryto w 1886 r. Autor *Wspomnień* pisał o organizacji i procesie przy okazji opisu działalności tajnego kółka, do którego należał w okresie gimnazjalnym.

<sup>336</sup> Liga Narodowa – tajna niepodległościowa organizacja młodzieży polskiej w Galicji.

<sup>337</sup> Kornel Żelaszkiewicz – ur. w 1865 r., kamieniarz, działacz i jeden ze współzałożycieli PPSD, dyrektor lwowskiej Kasy Chorych robotników budowlanych. Podczas I wojny światowej walczył w Legionach Polskich.

<sup>338</sup> Zygmunt Sulimierski – ur. w 1869 r. W chwili procesu, czyli w 1886 r., był uczniem buchalterii we Lwowie.

się o istnieniu związku „Orła Białego”, zaś z dochodzeń przeciw Sośniakowi<sup>339</sup> i Janowi Stapińskiemu<sup>340</sup> – o szczegółach „Ligi Narodowej”. Wacław Borzemski<sup>341</sup> ze swoimi „Żuawami” sam się przed nami, przy kieliszku rozkonspirował. Ze sprawami tymi zapoznałem się od czasu, gdy jako organizator młodzieży technicznej dostałem się do wyższego koła naczelników lwowskiej organizacji. Przewodniczył w tym kole Fabiański. Uczestniczył w posiedzeniach Ernest Adam<sup>342</sup>. Najważniejszym naszym zagadnieniem programowym było nadawanie kierunku dla wzbudzenia siły moralnej, a potem przemyślenie technicznej strony naszego ostatecznego celu. Problemem organizacyjnym było złączenie wszystkich na terenie Lwowa działających, tajnych związków o tej samej dążności. Fabiański poinformował mnie, że już nastąpiło zlanie z jednym, niewielkim wprawdzie, ale solidnym i dobrze zakonspirowanym. Co prawda nie lwowskim. Z tego poznałem, że jest jeszcze jedna władza związkowa nad naszym kołem, w której zasiada Fabiański. Trudność połączenia tkwiła w tym, że procesy i śledztwa ujawniły nieostrożność tych, z którymi należałoby się związać. Np. wiedzieliśmy doskonale, że Wacek Borzemski prowadzi we Lwowie tajny związek patriotyczny. Ale w naszym pojęciu zanadto się afiszował. Początkowo zamierzał zostać oficerem zawodowym, tedy po odsłużeniu jednorocznej służby nie rzucił munduru podporucznika artylerii, żył wesoło, a przy tym publicznie ujawniał swoje antyaustriackie uczucia. To nas do niego zrażało. Albo narwaniec, albo prowokator! Dopiero gdy zrzucił mundur, na uniwersytet wrócił, zaczął żyć skromnie, jak na niezamożnego studenta przystało, zaczęliśmy z nim pertraktować o połączenie. Jednak skutek początkowych

<sup>339</sup> Tadeusz Antoni Sośniak (1872–1953) – jako uczeń gimnazjum w Nowym Sączu kierował wspomnianą wyżej organizacją młodzieżową o nazwie Liga Narodowa. W okresie studiów w Uniwersytecie Lwowskim działał w tajnej organizacji „Żuawi”, będącej kontynuacją Ligi Narodowej. W 1891 r. został oskarżony o zbrodnię zaburzenia publicznego. Na polecenie kancelarii cesarskiej oskarżenia zostały wycofane. Pracował jako urzędnik ubezpieczeniowy. W II Rzeczypospolitej był dyrektorem Zakładu Ubezpieczeń Robotników od Wypadków we Lwowie.

<sup>340</sup> Proces przeciwko Janowi Stapińskiemu i towarzyszącej mu grupie został rozpoczęty w czerwcu 1891 r. i był powiązany ze sprawą T. Sośniaka. Stapińskiego oskarżono o działalność w tajnej „Lidze Narodowej”, doprowadzenie do powstania oddziału Ligi w Tarnowie i nawoływanie młodzieży do utworzenia tajnego kółka w Bochni. O działalność w tajnej organizacji oskarżono także uczniów gimnazjów z wyżej wymienionych miast. Z polecenia kancelarii cesarskiej zaniechano śledztwa w tej sprawie.

<sup>341</sup> Wacław Mściśław Borzemski (1868–1935) – profesor gimnazjalny, przywódca tajnych młodzieżowych organizacji niepodległościowych w Galicji w latach 1890–1897, publicysta.

<sup>342</sup> Ernest Adam (1868–1926) – prawnik, działacz społeczny i polityczny, działacz Czytelnicy Akademickiej, prezes Związku Młodzieży Polskiej „Zet w Galicji Wschodniej”, działacz Sokoła, jeden z założycieli Towarzystwa Szkoły Ludowej, prezes w latach 1921–1926. Związany z polskim ruchem narodowym. W II Rzeczypospolitej poseł (1919–1922) i senator (1922–1926).

uprzedzeń ciągnęło się to dość długo. W międzyczasie znalazłem się w naczelnym kole, pieczętującym się orłem zygmuntofskim z napisem w otoku: „Rząd Narodowy”. Było to w końcu 1889 r. Premierem był Fabiański. Nastawał na [s]kończenie z Borzemskim. Ostatecznie wiosną 1890 r. zwały się te dwa największe tajne związki. Organizacja nie przybrała żadnej nazwy specjalnej. Na jej czele stał „rząd narodowy” składający się z 8 do 10 osób. Członkowie rządu mieli przydzielone działy pracy, za które odpowiadali. Były nimi sprawy zewnętrzne, policja, wojsko, skarż, oświata i propaganda, prasa, organizacja. Wielką pieczęć rządu narodowego przechowywał Fabiański w swym mieszkaniu przy ul. Kurnickiej 1 a może 3 (pokój frontowy w parterze na prawo). We dwójkę z Fabiańskim zrobiliśmy na nią schowek, według mego pomysłu. Przez wyjęcie cegły ze środka muru pod parapetową okienną deską powstało gniazdo na pudełko z pieczętką. Haczykami spod spodu przymocowaliśmy uruchomioną część deski okiennej na powrót do nieruchomej. Schowek otwierało się, odsuwając nożem haczyki i wysuwając deskę, zamykało, wsuwając deskę i zasuwając nożem haczyki w kółka. Stałem się dumny z mego pomysłu, gdy kilkakrotne rewizje policyjne, w tym pokoju, pieczętki nie znalazły. Po połączeniu z Borzemskim organizacja rozrastała się coraz bardziej. Program i konspiracyjność pociągały do nas młodzież.

W pracach organizacyjnych, przydzielonych mi w rządzie, zbliżyłem się do kolegów w szkołach weterynaryjnej, lasowej, rolniczej (Dublany). Pomagał mi przypadek. Raz spotkałem na ulicy faceta coś mi znanego. Przyglądam mu się uważnie, poznałem. Przystępuję do niego z zapytaniem: „Czy nie Skołyiszewski Wiktor?”. „Tak jest”, odpowiada, „ale ja pana nie znam?” Nic dziwnego. Rozeszliśmy się, mając dziewięć lat, a teraz po 11 latach wyleciało mu z pamięci nawet moje nazwisko. Dopiero wczoraj do Lwowa przyjechał i zapisał się do szkoły lasowej. Przez niego i u niego poznałem Skąbskiego, wciągnąłem go do związku i powstało tam solidne, dobrze rozwijające się koło. Z początku ja przewodniczyłem i kierowałem jego pracami, po czym przewodnictwo zdałem Skąbskiemu, który doskonale pracował. Do weterynarzy trafiłem przez Jana Skutę (późniejszy Skuciński), który w czasie wakacji 1885 r. był korepetytorem mego ciotecznego brata Kazimierza Brudzewskiego w Korabnikach (pod Skawiną) wsi jego ojca, a mego wuja Edwarda<sup>343</sup>. (Wuj służył w kawalerii narodowej w 1863 r., znany jako rotmistrz Nałęcz). Razem z moim bratem Romanem spędziliśmy te wakacje w Korabnikach. Zaprzyjaźniłem się ze Skutą w czasie wspólnych zabaw,

---

<sup>343</sup> Edward Brudzewski (1838–1908) – ziemianin, uczestnik powstania styczniowego, właściciel majątku Korabniki, wuj Jędrzeja Moraczewskiego, ożeniony z jego ciotką Zofią z Moraczewskich.

polowań na jastrzębie i trznadle, bitew morskich na stawie i przy preferansie w słotne dni. Gdy zjawił się we Lwowie, jak w dym wałę do niego, a że w Korabnikach poznałem jego gorący patriotyzm, wciągam go do organizacji. Po jakimś czasie na czele koła stanął Franciszek Ponicki – bardzo solidny człowiek, doskonale prowadzący koło. W Dublanach miałem krewnego (wujka, o trzy lata ode mnie starszego) Andrzeja Zarembę i wielu znajomych. Tam koło prowadził Stefan Surzycki<sup>344</sup>, prezes Bratniej Pomocy (późniejszy wybitny partyjnik endecki).

### 3.

#### **Sprawa Schleyenów. Opanowanie Wydziału Bratniej Pomocy. Sprowadzenie zwłok Mickiewicza na Wawel. Zetknięcie się z młodzieżą z innych zaborów.**

**W** roku 1890 sprawy Bratniej Pomocy zajęły techniczne koła naszego związku. Na Walnym Zgromadzeniu 10 marca poniosła nasza organizacja klęskę. Trzeba się było odegrać. Nadarzyła się sposobność. Prasa napadła na członka naszego wydziału Artura Schleyena za to, że na zebraniu żydowskich robotników propagował narodowo-żydowski patriotyzm, mówiąc: „Wir sind eine judische Nation und wir wollen eine solche bleiben” (jesteśmy narodem żydowskim i chcemy nim pozostać). Oburzył nas zarówno fakt przemawiania po niemiecku, a nie w niemieckim żargonie, który Żydzi przyswoili sobie jako rzekomo język żydowski (jidysz), jak i schleyenowska propaganda walki z asymilacją, która była dotąd w naszej organizacji jedynym programem rozwiązania kwestii żydowskiej. Napotkaliśmy się, jeżeli nie z pierwszym, to z najsilniejszym przejawem syjonizmu. Zaskoczyło to nas zupełnie duchowo nieprzygotowanych. Odruchowo też odpowiedzieliśmy na to credo Schleyena. Na nasze żądanie zwołane zostało nadzwyczajne Walne Zgromadzenie z porządkiem dziennym: „uznanie A. Schleyena niegodnym reprezentowania Towarzystwa”. I oto mamy jeden z tych wyjątkowych wypadków, który można by podciągnąć pod rubrykę antysemityzmu. Jednak tytuł rubryki nie był w tym wypadku odpowiedni. Nam przyzwyczajonym mierzyć Żydów miarą Berków Joselewiczów<sup>345</sup>, Mic-

<sup>344</sup> Stefan Surzycki (1864–1936) – profesor rolnictwa, działacz społeczno-polityczny, publicysta związany z czasopismami prawicowymi, od 1893 r. należał do Ligi Narodowej i władz naczelnych TSL (do 1931 r.), a także wielu innych organizacji chroniących interesy narodu polskiego.

<sup>345</sup> Berek Joselewicz (1764–1809) – kupiec żydowski, pułkownik, uczestnik powstania kościuszkowskiego, oficer w Legionach Polskich we Włoszech, zginął podczas wojny polsko-austriackiej w bitwie pod Kockiem, 5 maja 1809 r.

kiewiczowskich Jankielów<sup>346</sup>, Meiselsów rabinów<sup>347</sup> i im podobnych nie mogło się wówczas w głowie pomieścić, że masy żydowskie nie ukształtują się na miarę tych ludzi. Wszak wówczas nie było już nigdzie na zachodzie Europy oficjalnego getta, a akurat na terenie ziem polskich Żydzi stworzyli sobie dobrowolne getto, żyli i żyją w nim, tworząc w naszym społeczeństwie naród w narodzie. Schleyen przekreślił na naszych mniemań i rachub [?], jedną mrzonkę co prawda, ale dawno, od młodości w nas zaszczepioną. Stąd ten wybuch. Późniejsze wystąpienia syjonistów, bardziej zasadnicze, o wiele mocniejsze i wyraźniejsze już nas tak nie zaskakiwały, przeto nie wywoływały nawet w przybliżeniu podobnej reakcji. Zresztą i tak nie można naszego, wyraźnie antysyjonistycznego, ówczesnego stanowiska kłaść na karb antysemityzmu. To mogą robić tylko syjoniści, którzy w swej nieuzasadnionej (ani wtedy, ani dzisiaj) zarozumiałości, utożsamiają syjonizm z narodem żydowskim. Zresztą, po skończonej walce pozostał w wydziale Towarzystwa kolega Zangen Bronisław<sup>348</sup>, Żyd, ani przez nas nienapastowany, ani niedostrzegający w naszej akcji antysemityzmu. Gdyby go dostrzegł, na pewno nie pozostałby w Wydziale.

Już teraz przygotowaliśmy się pierwszorzędnie. Kto mógł, popłacił za ległe wkładki, za biedniejszych zapłacili zamożniejsi, tak że wszyscy nasi mieli głos na zgromadzeniu. Zmobilizowaliśmy wszystkich członków i sympatyków. Jednym z nich był kolega Karol Ruebenbauer<sup>349</sup> (syn śp. prof. uniwersytetu), który mieszkał na drugim końcu miasta, koło stawu Kisielki. Z techniki miał pół mili do domu. Ponieważ Zgromadzenia kończyły się zazwyczaj w porze, w której tramwaje już nie chodziły, a jemu nie chciało się po ciemku samemu drałować na drugi koniec miasta, właściwie za miasto, w niekoniecznie bezpieczne strony, przeto nigdy na Walne Zgromadzenia nie przychodził. Musiałem mu solennie przyrzec, że go w nocy do domu odprowadzimy.

Wygraliśmy na całego. Wyrzuciliśmy z Wydziału nie jednego, ale obu Schleyenów, gdyż Adolf solidaryzował się całkowicie z Arturem. Z nimi razem ustąpiło z Wydziału jeszcze trzech Drakonów – rzym. kat. Obsadziliśmy tych pięć miejsc swoimi, a że i tak siedziało w wydziale trzech związkowców, przeto zdobyliśmy w nim absolutną większość. Po klęsce przed dwoma

---

<sup>346</sup> Jankiel – postać z utworu *Pan Tadeusz* Adama Mickiewicza, przedstawiony jako polski patriota.

<sup>347</sup> Meisels Dow Ber (1798–1878) – rabin, zwolennik asymilacji i współpracy polsko-żydowskiej w walce z caratem.

<sup>348</sup> Bronisław Zangen (1867–?) – członek Wydziału Towarzystwa Bratniej Pomocy w latach 1889/1890, w kadencji 1891/1892 sekretarz Komisji Lustracyjnej Towarzystwa.

<sup>349</sup> Karol Reubenbauer (1871–?) – syn prawnika i działacza, prezes Bratniej Pomocy w latach 1892–1896, inżynier mieszkający we Lwowie.

tygodniami poniesionej pobiliśmy Drakonów na łeb. Organizacja zajęła tak silne stanowisko w Bratniej Pomocy, jak nigdy dotąd. Oczywiście Ru-ebenbauera odprowadziliśmy w kilkunastu do Kisielki. Nawiasem mówiąc, wybraliśmy go do komisji lustracyjnej, a tym samym wciągnęli do pracy w towarzystwie. Z czasem został prezesem, a że był doskonałym organizatorem i okazał się jednym z najlepszych prezesów, przeto był cztery razy z rzędu wybierany na tę godność, co nigdy ani przedtem, ani potem nie miało miejsca.

Wspomnę jeszcze, że organizacja wzięła czynny udział w odsłonięciu na cmentarzu stanisławowskim pomnika Agatona Gillera, członka rządu narodowego w 1863, gorącego patrioty, doskonałego publicysty i wyraziciela nieprzejednanej irredenty wobec Rosji, Prus i Austrii. Przemawiałem na tym obchodzie jako delegat Bratniej Pomocy. W Stanisławowie zajechałem do domu pani Kramerowej, matki mego kolegi, przyjaciela i związkowca Wilhelma. W Samborze w 13 lat później poznał mnie po głosie prof. muzyki Krotochwila<sup>350</sup>, który uczestniczył w tym obchodzie w Stanisławowie.

Wielkim wydarzeniem w życiu naszej organizacji było sprowadzenie zwłok A. Mickiewicza na Wawel w dniu 4 lipca 1890 r. Stańczycy, pamiętni wpływu, jaki na nastroje Warszawy wywarły manifestacje 1861 i 2 roku, byli zasadniczymi przeciwnikami masowych uroczystości i demonstracji, bojąc się, by z nich nie wynikło „powstanie w permanencji”, o czym mówiły i pisały skrajne elementy drugiej strony. Zamiarem panów krakowskich było przewiezienie zwłok wieszczka jak najciszej, woleliby, aby udział ludności w pogrzebie był jak najmniejszy, aby było jak najmniej mów i jak najmniej w nich polityki a jak najwięcej literatury, jak najmniej sztandarów, wieńców, odezw, broszur, patriotyzmu i Mickiewicza, a jak najwięcej serwilizmu czy lojalizmu austriackiego. My odwrotnie. Nade wszystko dla uczczenia geniuszu, dla rozszerzenia jego kultu pod strzechy, ale także z tego samego powodu, dla którego oni chcieli skurczyć, my chcieliśmy rozszerzyć ramy obchodu. Puściliśmy w ruch cały aparat organizacyjny w całym kraju, aby poruszyć lud wiejski i miejski. A że to samo robił i Stapiński, i Stojałowski<sup>351</sup>, i socjaliści, przeto takiego obchodu, takiego napływu mas ludowych z trzech zaborów Polska dotąd nie widziała. Przybyszów liczone na 100 000, tj. więcej niż Kraków miał ludności. Niestety, pochód widziałem tylko w chwili, w której się ustawiał. Delegowany do niesienia trumny niosłem ją z dworca do krypty.

---

<sup>350</sup> Karol Krotochwila – nauczyciel muzyki, dyrektor seminarium nauczycielskiego w Samborze.

<sup>351</sup> Stanisław Stojałowski (1845–1911) – ksiądz, działacz społeczny, wydawca czasopism dla ludu – „Wieńca” i „Pszczółki” – walczył o rozbudzenie świadomości społecznej i narodowej chłopów w Galicji, nazywany „prekursorem ruchu ludowego”.

Dopiero po wyjściu z podziemi ujrzałem nieprzejrzany tłum głów, zapętniających całą górę wawelską i prowadzące do niej drogi, cały rozmiar obchodu.

Wykorzystaliśmy te dni dla porozumienia się z królewiami, poznańcami i naszymi członkami. Nie trudno było stwierdzić, że w tamtych dwóch zaborach istnieją, pokrewne nam duchem, organizacje, względnie ich załączki, ale słabe, bez porównania mniej liczne i mniej czynne od naszej. Za to lepiej zakonspirowane. Najślabiej zorganizowani i najdalej od nas przekonaniowo stali Wielkopolanie, moi ściślejsi krajanie. Jakiś postęp społeczny, jakieś nowe prądy były im całkiem obce. Socjalizm trącił w ich wyobraźni diabelskim wynalazkiem. Dzisiaj wydaje mi się to całkiem naturalnym. Galicyjska wieś polska miała tradycje 1846 r.<sup>352</sup>, poznańska 1848 r.<sup>353</sup> W Galicji trzeba było odrabiać echa rzezi, wspomnienia Szeli<sup>354</sup> i pamiętne zniesienie pańszczyzny w 1849 r. przez cesarza. Zaś w zaborze pruskim, w którym o ćwierć wieku wcześniej rząd zniósł pańszczyznę, chyba nie żył już żaden z chłopów, który by mógł pamiętać pańszczyzniano-ekonomiczne batogi. Poznańskie związki nawiązywały dzisiejsze czasy i dążenie do powstania z r. 1848, w którym cała polska moc i siła opierała się o waleczność chłopów, robotnika i młodzieży inteligentnej. Jednak w 1890 r. nie patrzyłem na zabór pruski okiem społecznika, otrząskanego z tłumaczeniem przejawów dzisiejszego życia wypadkami przeszłości. Szukaliśmy powodu ich zacofania społecznego, z jednej strony w tkwiącej w nich szlachetczyźnie, a z drugiej – w przesadnym lęku przed wyolbrzymianą przewagą kulturalną Niemców.

Po dniu uroczystym załatwiliśmy w Krakowie nasze sprawy organizacyjne. Od tego pamiętnego obchodu datuje się znaczny wzrost zasięgu związku. Posiedzenia i obrady zajęły mi całe trzy dni po pogrzebie. W ogóle uroczystości mickiewiczowskie w Krakowie, masowy udział w nich ludności, a zwłaszcza chłopów galicyjskich, tych okrzyczanych rezunów<sup>355</sup>, podnosiły ducha we wszystkich trzech zaborach. Zaczęła znikać legenda o braku patriotyzmu u chłopów. Wprawdzie nie nastąpiło to, czego się stańczy obawiali, nie narosła dążność do nowego porywu zbrojnego. Wprost przeciwnie. Nawet w naszych szeregach, zetknięcie się młodzieży z całej Polski między sobą i ze starszym pokoleniem, odsunęło pęd do urzeczywistnienia ideologii powstańczej w jakąś nieokreśloną dal. Organizacja liczebnie wzrosła, ale przy tym zaczęła się powolna zmiana jej ostatecznego celu. Ewolucja trwała przez trzy lata. W roku 1894 skryształizował się całkiem nowy jej kierunek.

---

<sup>352</sup> Mowa o powstaniu chłopskim z 1846 r.

<sup>353</sup> Wiosna Ludów – wspólna nazwa dla ruchów rewolucyjnych mających miejsce w Europie w latach 1848–1849.

<sup>354</sup> Jakub Szela (1787–1860) – przywódca rabacji galicyjskiej w 1846 r.

<sup>355</sup> Rezun (przest.) – morderca, zabójca.



## 4.

**Ruch chłopski – Stojałowski, Wystouch, Stapiński. Ruch robotniczy. Dyskusja z socjalistami. Skajewski. Breiterowie ojciec i syn. 1 maja 1890 r.**

Z rewoltowane przez wiec umysły młodzieży i nasz związek w wielkiej mierze przycupili się do powstania w Galicji trzech polskich stronnictw. Bolesław Wystouch, w porozumieniu z Kasprowiczem, Biedroniem, Stapińskim i innymi, założył pismo dla chłopów „Przyjaciel Ludu”<sup>356</sup>. Stało się ono załączkiem jednego z trzech stronnictw polskich, wyrosłych z ruchu młodzieżowego. Galicyjski ruch chłopski miał swoją dawną okrzyczaną tradycję z r. 1846. Zyskał lepszą, znacznie młodszą, już w epoce powstaniowej, kiedy to chłopskiemu ruchowi nadał wielki rozpęd A. Stanisław Stojałowski, rz. kat. proboszcz kulikowski (Kulików, miasteczko dwie mile na północ od Lwowa, po drodze do Żółkwi, słynne w nim miodosytnie i chleb). Wydawane przez niego pisemka „Wieniec”<sup>357</sup> i „Pszczółka”<sup>358</sup> jakoś umiały trafić do serc i umysłów chłopskich, choć pozornie nie głosiły klasowego programu chłopskiego, tedy na pierwszy rzut oka niewiele różniły się od chłopskich pisemek, ckliwo-nudnych, takiego X. Chołoniewskiego<sup>359</sup> czy innych. Ówczesny Stojałowski w swych pismach i przemówieniach stał twardo na gruncie polskim, nie panslawistycznym<sup>360</sup>, a zajmował przecież klasowe stanowisko i tym mocno wiązał lud wiejski ze swoją osobą. Doskonały mówca, po trosze demagog, cięte pióro, entuzjasta, a przy tym chytrzec, wyrósł na wyjątkowego działacza i agitatora politycznego, który miał tyłu, tak długo i tak bardzo, powiedziałbym, na śmierć i życie przywiązanych do swej osoby przyjaciół wśród chłopów. Jego niezapomnianą zasługą jest wyrwanie z duszy chłopskiej pamięci o cesarskim dobrodziejstwie,

<sup>356</sup> „Przyjaciel Ludu” – tygodnik przeznaczony dla chłopów, wydawany przez Bolesława Wystoucha. Początkowo ukazywał się we Lwowie, od 1903 r. w Krakowie (do 1933 r.), a w latach 1946–1947 w Warszawie.

<sup>357</sup> „Wieniec” – czasopismo o tematyce społeczno-politycznej ukazujące się w Krakowie od 1862 r. W 1875 r. zostało przejęte przez ks. S. Stojałowskiego i przeniesione do Lwowa. Od tej pory ukazywało się jako dwutygodnik. Przeznaczone dla ludności wiejskiej.

<sup>358</sup> „Pszczółka” – krakowski tygodnik od 1860 r. W 1875 r. pismo objął ks. S. Stojałowski i zostało przekształcone w dwutygodnik. Ukazywało na przemian z „Wieńcem”. Na jego łamach ukazywały się artykuły przeznaczone dla ludności wiejskiej, o tematyce ekonomicznej, oświatowej i narodowej.

<sup>359</sup> Prawdopodobnie mowa o Stanisławie Chołoniewskim (1791–1846) – księdzu i pisarzu, autorze powieści romantycznych.

<sup>360</sup> Panslawizm – ruch głoszący kulturalno-językową jedność wszystkich Słowian.

wyzwolenia z niewoli pańszczyźnianej. Oczywiście jego robota, budząca chłopów z uśpienia do życia politycznego psuła wszelkie szyki rządowi i była bardzo nienawistną obszarnictwu, przewidującemu z tego utratę władzy w kraju i... wzrost kosztów uprawy swej ziemi. Chcąc go unieszkodliwić, uderzono w jego słabą stronę. Potrzebował zawsze dużo pieniędzy zarówno na robotę chłopską, na wydawanie gazetek, jak i na siebie. Lubił dobrze zjeść, dobrze i nie byle co wypić, lubił ładne kobiety, jak zresztą my wszyscy. Nie liczył się, nie umiał się liczyć z pieniędzmi. Probostwo kulikowskie należało do bogatszych w Galicji. Miało bardzo duże dochody jednak nie bezdenne. Dno się pokazało. Długi, weksle, procenty lichwiarskie, jeżeli nie dosłownie przeważały nad dochodami, jak twierdził prokurator, to w każdym razie... wpływ ze składki na lampę na grób Chrystusa w Jerozolimie nie został zużyty na cel, na który był złożony, ale ugrzązł w całości w dziurawej kieszeni sutanny ks. proboszcza. Ława oskarżonych, prokurator, sąd, wyrok! Zasądzony za lekkomyślną krydę<sup>361</sup> i zdefraudowanie zebranych publicznie pieniędzy został pozbawiony probostwa. To podcięło mu materialną możliwość roboty chłopskiej. Celowa kradzież jego pism przez urzędy pocztowe dobijała go politycznie i materialnie. Jego ataki na arcybiskupa za odebranie mu probostwa, ekskomuniki rzucane na niego przez biskupów, wyjazd do Rzymu po sprawiedliwość przeciw zaciętrzewionym w usługach rządowi i obszarnikom biskupom, usunęły go w parę lat potem na jakiś czas z galicyjskiej widowni politycznej. Po powrocie z Rzymu zmieniło się zgoła polityczne oblicze księdza. Wyrzekł się zupełnie i pędu wzwyż i samego buntu przeciw władzom świeckim i duchownym. Pomału, stopniowo zapadł się w bagno reakcji. Ale o tem potem.

Załamanie się materialne, pozbawionego probostwa księdza i następny upadek moralny, wykorzystał „Przyjaciół Ludu”, który z początku niejasno i niewyraźnie stąpał na gruncie klasowym chłopskim, ale z czasem wszedł na ten tor. Jego redaktorzy wolni byli od osobistych imponderabiliów będących kulą u nogi X. Stojalowskiego. Ideałem agitatora był Jan Stapiński. Pieszko, bez grosza przy duszy, bez potrzeb, niosąc buty na kiju, wędrował od wsi do wsi, niezmordowanie agitował, przemawiał, wiece zwoływał, pismo wtykał, ludzi poznawał, adresy zbierał, słowem organizował stronnictwo. „W Polsce najliczniejszą warstwą są chłopci. Do nich powinna władza należeć. Oni powinni rządzić. A tymczasem są dzisiaj najbardziej upośledzoną klasą. A czemu? Bo są ciemni. Nie wiedzą, co się wkoło nich dzieje, nie znają ani swoich praw, ani swoich możliwości. Chłopcy zbudźcie się! W gromadzie siła! Więc zbierzcie się do kupy. Razem ciągnijcie w jedną stronę. Zbawienie

---

<sup>361</sup> Kryda (przest.) – bankructwo, upadłość.

narodu leży pod siermięgą”. Oto skrót ewangelii głoszonej przez Stapińskiego chłopom, a potem podłoża programu stronnictwa ludowców. Oczywiście w programie znalazły się i inne argumenty, uzasadniające szerzej, bardziej przekonywująco potrzebę istnienia stronnictwa.

Nasz związek popierał „Przyjaciela Ludu”. Stojałowski był nam politycznie całkiem obcy. Jako ksiądz zawsze musiał się czuć związanym z Rzymem, miłość swoją musiał dzielić między Rzym i Polskę, więc w naszym przekonaniu mógł Polskę kochać tylko połową swego serca, oddawać jej tylko część swoich działań. Zaś o Wysłouchu i Stapińskim wiedzieliśmy z procesów i ze śledztw, że należeli do tajnej organizacji o programie powstańczym, pokrewnej naszej. To raz. A po wtóre, mając w programie oparcie obrony czynnej też na ludzie wiejskim, szukaliśmy drogi trafienia do niego właśnie przy pomocy tych dwóch, bliskich nam ludzi, stojących na czele zawiązującego się stronnictwa chłopskiego. Prawda, że pewną część, bardzo ofiarnych i dobrze pracujących naszych ludzi zabrała nam robota chłopska. Jednak z uwagi na to, że w składzie naszego związku przeważała nieskończenie inteligencja i robotnicy miejscy, przeto ludowcy wielkich – liczebnie – szczerb nam nie zrobili. Ruch ludowy poszedł ostatecznie dwoma torami: ks. Stojałowskiego (stojałowszczyzy) i „Przyjaciela Ludu” (ludowcy).

Inna rzecz była z socjalistami. Wiec lwowski organizowali – łącznie z innymi – socjaliści, których znalazła się spora garść na wyższych uczelniach lwowskich. Socjalizm w Galicji miał dawniejszą historię wzniesień i upadków. Partia socjalistyczna we Lwowie zaczęła się na nowo tworzyć w r. 1889. Wskrzesili ją działacze wiecowi, skupieni około założonego czasopisma „Robotnik”<sup>362</sup>. Zebrała się w tym stronnictwie grupa inteligencji i robotników, ludzi zdolnych, bardzo uświadomionych, o szerokim horyzoncie. Oprócz naszych techników wybili się akademicy: Nacher<sup>363</sup>, Gorzycki, Joachim Frankeł, malarz Kozakiewicz<sup>364</sup> i zecerzy – Hudec<sup>365</sup> i Obirek<sup>366</sup>. Poznałem ich w czasie długich dysput i sporów, jakie z nimi toczyliśmy, a w których brałem udział z urzędu jako organizator naszego związku. Z naszych przychodzili

<sup>362</sup> „Robotnik” – czasopismo socjalistyczne wydawane we Lwowie od 1890 r.

<sup>363</sup> Karol Nacher (1860–1924) – działacz socjalistyczny, jeden z założycieli galicyjskiej PPSD, współpracownik lwowskich pism partyjnych, urzędnik zajmujący się sprawami ubezpieczeń i emerytur, późniejszy dyrektor Związku Okręgowych Kas Chorych we Lwowie.

<sup>364</sup> Jan Kozakiewicz (1857–1927) – działacz socjalistyczny, publicysta związany z galicyjską PPSD. W 1897 r. uzyskał we Lwowie mandat do austriackiej Rady Państwa. W 1901 r. wyjechał do Argentyny, następnie do Stanów Zjednoczonych. Do Polski powrócił w 1923 r.

<sup>365</sup> Józef Hudec (1863–1915) – działacz socjalistyczny, jeden z założycieli PPSD, poseł do Rady Państwa w latach 1907 i 1911, członek TKSSN i NKN z ramienia PPSD.

<sup>366</sup> Julian Obirek (1862–1939) – drukarz, działacz socjalistyczny, radny Lwowa, w okresie II Rzeczypospolitej wiceprezydent Lwowa z ramienia PPS.

Szendorowicz, Aleksandrowicz, Kosacz, czasem Błażek<sup>367</sup>. Głównie wojowaliśmy z Nacherem, Kozakiewiczem i Obirkim. Najczęściej odbywało się to w „Piekiełku” w kawiarni Dobrowolskiej (ul. Krakowska), u Naftuły (Toepfer) lub w szynku Romanowej (też ul. Krakowska), dokąd przychodziliśmy na wódkę, gorącą kiełbasę na widelcu i kłótnie z socjalistami. Polemiki z praktycznymi działaczami socjalistycznymi miały całkiem inny charakter od pryncypialnych dyskusji z Drakonami z Zachęty. W „Piekiełku” czy u Romanowej, w czasie sporów, zapoznawaliśmy się mimowolnie z kwestiami interesującymi robotników, z metodą zyskiwania wpływu na nich, ze sposobami organizowania, z wiadomościami o rozszerzaniu się socjalizmu w świecie. Zależało nam na tych informacjach, wszak w program naszej walki czynnej wchodził robotnik polski. Z tego tytułu, owo, zresztą przyjemne, pracowite próżniactwo, jakim zawsze jest zawzięte dysputowanie, uświęcał programową wymówkę. Zresztą te dysputy osiągnęły swój cel, bo nie pozostały bez wpływu na obie strony.

W „Piekiełku” dostrzegliśmy, że wewnątrz obozu, nazywanego socjalistycznym, toczy się ciężka walka wewnętrzna między tymi, których już poznaliśmy, a między tzw. „niezawisłymi”, których prowadził Daniluk<sup>368</sup>. Zanosilo się, że i ruch socjalistyczny pójdzie dwoma torami. Opozycja Daniluka przybrała nową postać, kiedy na gruncie lwowskim pojawił się Skajewski, który jako mówca górował nad socjalistami i przewyższał ich wykształceniem filozoficznym i historycznym. Skupił kilku wybitniejszych działaczy, pozyskał ich dla propagowanej przez siebie idei anarchistycznej i z grupy „niezawisłych” zrobiła się grupa anarchistów, próbująca rozwinąć się na grzbiecie i kosztem socjalistów. Obok Skajewskiego walczył Eljasiewicz<sup>369</sup>, stojący jednak nieporównanie niżej od Skajewskiego. Socjaliści podejrzewali, że Eljasiewicz był w służbie policyjnej. Temu łatwo uwierzyłem, choć do dziś nie wiem, czy nie krzywdziłem go tym posądzeniem. Z anarchistami razem siedł Ernest Breiter<sup>370</sup>, mający już wówczas opinię warchoła. Ukończył Wydział Historyczny<sup>371</sup> na Uniwersytecie Lwowskim. Należał ongiś do związku Borzemszczaków. Niedługo tam wytrzymał. Rozpierała go ambicja niewspółmierna z jego zdolnościami. Bo to ani głowa, ani gęba, ani pióro, ani

---

<sup>367</sup> Tadeusz Błażek (1871-?) – urodzony we Lwowie, student Wydziału Chemii Szkoły Politechnicznej w latach 1890–1894.

<sup>368</sup> Józef Daniluk (1842–1904) – lwowski działacz socjalistyczny, twórca kółek socjalistycznych i założyciel pisma „Praca”.

<sup>369</sup> Piotr Eljasiewicz (Eliasiewicz) – działacz socjalistyczny, współpracownik pisma „Praca”.

<sup>370</sup> Ernest Breiter (1865–1935) – działacz socjalistyczny, publicysta, założyciel i redaktor „Monitora”, poseł do Rady Państwa. Po I wojnie światowej poparł rząd Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, a następnie zamieszkał w Wiedniu.

<sup>371</sup> Powinno być Wydział Filozoficzny.

wiedza, ani uczciwość, tylko pieniądze starego. Przeszedł do socjalistów. I tu długo nie wytrwał, pokumał się z Danilukiem, Eljasiewiczem, Skajewskim i został anarchista. W końcu, za pieniądze ojca, najął sobie bandę „brajterowców” i jakiś czas unosił się na powierzchni przy pomocy tygodnika „Monitor”<sup>372</sup>, czyszczącego początkowo bagno korupcji.

Jak zwykle „Monitor” zszedł po jakimś czasie w dół ogromnie cuchnący szantażem. Jego ojciec, przedsiębiorca budowlany, przywędrował z Czech, jak się we Lwowie mówiło, „z małpką, z katarynką przez ramię i kulczykiem w uchu” (zapewne nieprawda). Stary był doskonałym organizatorem robót i spryciarzem, więc w krótkim czasie zdobył krociowy majątek – inni twierdzili, że milionowy – na budowach fortyfikujących Przemyśl. O jego zdolnościach dawania łapówek krążyła opowieść, jeżeli nie prawdziwa, [to] bardzo prawdopodobna. Nadzór nad budową miał w pewnym czasie wyższy oficer, absolutnie niedostępny dla łapówek. Breiter udał się do jego biura, omawiał z nim bieżące sprawy budowy i zręcznie wsunął między wojskowe papiery oficera kopertę ze znacznie większą sumą banknotów. Poszedł od niego prosto na policję z doniesieniem, że zginęła mu taka a taka koperta, z taką to sumą banknotów, których numerów nie miał jednak zapisanych. Skusił się oficer? To wszystko w porządku, jeżeli nie, kryło Breitera doniesienie. Mimo tego jego budowy fortyfikacyjne zakończył proces o nadużycia i łapownictwo. Tego ostatniego mu nie udowodniono, ale przecież coś do niego przyłgnęło, bo jego firma została wyłączona na pięć lat od jakichkolwiek robót państwowych. Pracował jednak dalej przy budowach kolejowych, podstawiawszy jakichś firmantów. W roku 1906 zetknąłem się z nim jako przedsiębiorcą już pod własną firmą, przy budowie kolei Lwów–Podhajce.

Wracam do ówczesnych zapasów między socjalistami a anarchistami. Były chwile, w których anarchiści mieli przewagę w organizacjach robotniczych i wybierali swój zarząd, bijąc socjalistów. Ostatecznie, po dwuletnich walkach, zwyciężyli socjaliści, ale dopiero po usunięciu się z widowni Skajewskiego. Jeżeli mnie pamięć nie myli, Skajewski w młodym wieku albo w 1893 r., albo wkrótce potem zmarł.

Przed rozwinięciem się tych wewnętrznych tarć, socjaliści wprowadzili w świat powstające stronnictwo wielkim publicznym występowaniem w dniu 1 maja 1890 r. Ten pierwszy w Galicji obchód święta robotniczego, uchwalonego w Paryżu w poprzednim roku, napędził wszystkim strachu co niemiara. I to nie tylko we Lwowie, ale w całym kraju, nie tylko w Galicji, ale w całej Austrii. Rząd, kapitał, obszarnicy, duchowieństwo, inteligencja, świat urzędniczy, wszyscy trzęśli się formalnie ze strachu. Cała burżuazja była

---

<sup>372</sup> „Monitor” – tygodnik społeczno-polityczny i literacki wydawany we Lwowie w latach 1895–1914.

przekonaną, że gdyby nie garnizony wojskowe – na „szczęście” dość silne – gdyby nie policja i żandarmeria, doszłoby na pewno w tym dniu do rzezi wszystkich, którzy coś posiadają. Cały wielki świat Galicji brzmiał jednym chórem: „Czemu rząd dopuszcza do tego? Aresztować! Pozamykać! Powywie-szać!”. To uciekanie jednej strony pod skrzydła opiekuńcze władz zaborczych nastrojało nas, a przynajmniej mnie, który tej jednej strony nienawidziłem, przychylnie do drugiej strony. Za to propaganda, usiłująca pierwszego maja zwalczyć trzecim majem, odpowiadała naszym poglądom. Te sprzeczne uczucia, wywołane pierwszomajowym świętem neutralizowały się. Garstka nas znalazła się 1 maja na podwórzu ratuszowym, na uroczystym Zgromadzeniu, bez entuzjazmu do tego święta, ale i bez uprzedzeń przeciw świętowaniu. Wysłuchaliśmy referatów za powszechnym głosowaniem i za 8-godzinnym dniem pracy. Nie doznawałem wielkiego wrażenia. Podwórze było pełne. Może i było 4000 obecnych, jak się chwalili socjaliści, a może i nie było tylu. Jeżeli liczba była przesadzoną, zemściła się ta blaga już w następnym roku, w którym to święcie majowym wzięło udział naprawdę około 2000 uczestników. Miało się wrażenie upadku, osłabnięcia ruchu, we własnych szeregach nastąpiło zniechęcenie. Z tego wyciągnąłem dla siebie naukę na przyszłość, by nie koloryzować i nie podawać większej liczby zwolenników czy uczestników zebrań lub pochodów, od tej, którą człowiek dla siebie obliczył.

## 5.

### **Walka w łonie socjalistów. Zawiązanie Ogniska na Technice. Nasze wycieczki do Snopkowa.**

**P**orządkowanie władz organizacyjnych i kółek po połączeniu się z Bo-rzemskim i po wchłonięciu świeżego narybku po uroczystości kra-kowskiej, zajęło nam czas do końca tego roku, obok bieżącej roboty i zwykłych użerań z przeciwnikami czarno-żółtymi, stańczykami i socjali-stami. Zwłaszcza walka z tymi ostatnimi przybrała w 1891 r. szersze roz-miary – oczywiście po kawiarniach i szynkach. Wydawało się nam, że czem raz wyraźniejszy rozłam w ich obozie ułatwi nam ich całkowite rozbitcie i przeciągnięcie części do nas. Wszak my się skupiamy, a oni rozdzielają. Rozrywa ich walka z anarchistami czy może z anarcho-socjalistami. Naj-ostrzejsze walki między nimi przypadają na rok 1892, ale już w 1891 były widoczne. Zresztą to samo działo się we Wiedniu, Grazu i innych większych przemysłowych miastach Austrii. Wewnętrzne walki w obozie socjalistycz-nym odbiły się we Lwowie zmniejszonym rozmiarem obchodu pierwszoma-jowego w r. 1891.

Na technice zawiązaliśmy w połowie 1890 r. kółko naukowe „Ognisko”. Nie było jego celem zwrócenie ostrza polemicznego przeciw Zachęcie, tylko miało ono być – w myśl mej intencji – jawnym i legalnym ośrodkiem propagandy naszej w Bratniej Pomocy. Jednak prace w wydziale Towarzystwa i na wykładach, i w salach rysunkowych zajmowały czas i siły. Po zdaniu pierwszego egzaminu państwowego z przedmiotów teoretycznych, przenieśliśmy się na Wydział Inżynierii i od trzeciego roku studiów zacząłem słuchać ściśle fachowych wykładów, których nie można było opuszczać. Chcąc tedy rozwinąć pracę w Ognisku, wycofałem się z Wydziału Bratniej Pomocy. Na Walnym Zgromadzeniu w końcu 1890 r. oddała nasza organizacja Wydział w ręce – mówiąc dzisiejszym językiem – bezpartyjnych, okazawszy jednak całą swoją niezaprzeczoną przewagę. Jednak i w roku 1891 nie udało mi się ruszyć roboty w kółku Ognisko.

W ogóle w tym roku staliśmy się ostrożniejsi i mniej występowaliśmy na zewnątrz, gdyż władze wpadły na ślad tajnych związków patriotycznych, aresztując Sośniaka, Stapińskiego i towarzyszy. Prokurator szykował przeciw nim proces. Duże rozmiary przybrało szpiclowanie w rozbudzonym po wiecu nowym ruchu politycznym. Obawialiśmy się, czy ten szybki liczebny wzrost naszego związku nie nadwyrężył jego konspiracyjności.

Czasem w niedzielę po południu bywałem na pogadance u ks. dr. Jana Siemieńskiego<sup>373</sup> (brata Lucjana<sup>374</sup>). To *rendez-vous*<sup>375</sup> u księdza było modnym w naszej organizacji. Było to niejako kasyno organizacji. Gospodarz, bardzo gorący patriota, wykształcony człowiek, rad widział młodzież patriotyczną u siebie, chętnie pożyczał nam książki ze swego dość dużego księgozbioru. Piliśmy u niego herbatę i przegryzaliśmy ciasteczkami.

Inne wizyty, też zbiorowe, składaliśmy za Zieloną rogatką na folwarku snopkowskim Domaszewicza<sup>376</sup>. W portierce cegielni mieszkał stary Żmudzian Sawaszkiewicz Rudolf. Na zimę przysposabiał sobie dużą beczkę bigosu i niezgorszy zapas żytniówki. Zbieraliśmy się w kilku u niego. Ciasno było bo ciasno, ale bigos, chleb, wódka, pogawędka i śpiew wypełniały nieraz całą

<sup>373</sup> Jan Siemieński (1836–1920) – ksiądz, pisarz i działacz społeczny, od 1886 r. zamieszkały we Lwowie.

<sup>374</sup> Pomyłka Autora *Wspomnień* – Jan Siemieński był bratem Władysława (1833–1871), ziemianina, działacza politycznego i uczestnika powstania styczniowego. Lucjan Siemieński (1807–1877) – poeta i pisarz, publicysta, krytyk literacki, uczestnik powstania listopadowego, w późniejszym okresie życia zmienił poglądy i stał się jednym z czołowych publicystów konserwatystów krakowskich.

<sup>375</sup> *Rendez vous* – umówione spotkanie.

<sup>376</sup> Aleksander Domaszewicz (1841–1906) – powstaniec styczniowy, inżynier, przemysłowiec i budowniczy linii kolejowych w Galicji i Serbii.

noc. Chodzili do niego Fabiański, Adam, Linde, Kosacz, ja, Danielak i inni. Domaszewicz był jednym z dowódców w 1863 r. w oddziale ks. Mackiewicza<sup>377</sup>, a nasz gospodarz był wachmistrem żandarmów wieszających w jego oddziale. Naciągaliśmy go o opowiadanie swoich przeżyć powstańczych. Opowiadał, czuło się prawdę, barwnie i bardzo ciekawe epizody. Mówił z niekłamany entuzjazmem o swym dowódcy Domaszewiczu. Po prostu bohaterem wszystkich opowiadań był jego komendant. Niestety, nieznane mi nazwy rzek, zakazane nazwy żmudzkich wsi i miasteczek, nie pozwoliły na utrwalenie się w pamięci prawie żadnego z jego opowiadań.

## 6.

### **Nasze plany powstańcze. Przesiąkanie do związku idei socjalistycznych. Wpływ Daszyńskiego. Przewodniczę w rządzie narodowym i w Bratniej Pomocy. Wyrok śmierci na Markowa.**

**N**ie mogę bez pewnego rozczulenia wspominać tych naszych młodzięcych lat chmurnych a dumnych, gdy to nasz rząd narodowy zajmowała sprawa wywołania zbrojnego czynu. Jeden z projektów pamiętam dokładnie. Muszę dodać, że wymagaliśmy od każdego z członków związku nie tylko odbycia służby wojskowej, ale przyswajania sobie jak najwięcej wiedzy wojskowej. Stąd organizacja liczyła wielu oficerów i podoficerów rezerwy. Projekt był następujący: rozmieścić oficerów i podoficerów spiskowych w powiatach wybranych do rozpoczęcia akcji. Ponieważ starostwa rozporządzały aparatem i wykazami mobilizacyjnymi, należy dostać je w swoje ręce. Zrobić to jak się uda: wykraść, zrabować, czy dostać przy pomocy wciągniętych do spisku urzędników starostwa – wszystko jedno. Podrobiwszy pieczęcie, zmobilizować rezerwistów, poddając ich pod komendę naszych oficerów i podoficerów, oczywiście umundurowanych. Do wojskowych należało obmyślenie planu opanowania najbliższych magazynów zasobów wojennych, broni, amunicji i mundurów.

Organizacja zamierzonego początkowo celu nie dopięła. Do walki zbrojnej o wolność narodu nie doprowadziła. Nie potrafiła przełamać nastroju ugodowego, jednak wyrwała młodzież z atmosfery zgody z losem i beznadziejności, szerzonej przez część pobitego w 1863 r. pokolenia. Rozbudzona młodzież, nie mogąc wyładować swej energii w akcji czynnej, wyładowała ją w robocie politycznej.

---

<sup>377</sup> Antoni Mackiewicz (1826 lub 1828–1865) – duchowny katolicki, jeden z przywódców powstania styczniowego na Litwie, dowódca oddziału partyzanckiego.



W jakich rozmiarach i jaką drogą związek nasz pomógł rozwinąć chłopski ruch ludowy (stapińszczyków) mówiłem poprzednio. Również dopomogliśmy do rozwoju partii socjalistycznej. Wspominałem już, że dyskusje z socjalistami w mieście i na technice nie pozostały bez wpływu na nich i na nas. Oni coraz wyraźniej stawali na gruncie patriotycznym. Niepodobna nie widzieć tak samo wpływu naszego związku na socjalistów, jak i rozrostu myśli i idei społecznych u członków tajnej organizacji pod naporem rozszerzającego się socjalizmu. Następstwem szczerzej ideologii powstańczej musiał być udział w ruchu robotniczym. Trafić do duszy robotnika i chłopa można było tylko przez złączenie idei narodowej i społecznej. A porwać ich do walki zbrojnej o Polskę mógł tylko ten, kto posiadał stuprocentowe zaufanie tych najliczniejszych warstw naszego narodu. Wśród klasy pracującej zaufanie to posiadała partia socjalistyczna. Droga do PPSD była utorowaną.

W ciągu 1892 [r.] zacierają się różnice między „Zachętą” a „Ogniskiem”. Już wybory do wydziału Bratniej Pomocy w jesieni 1891 odbyły się bez walki. Ja zostałem wybrany jednomyślnie prezesem, a wraz ze mną pięciu związkowców i pięciu Drakonów pod wodzą Brygiewicza i Bartoszewicza. Na publiczne zgromadzenia socjalistyczne w mieście chadzała nas dość duża paczka związkowców, nienastrojona nieprzychylnie. Zwłaszcza gdy przemawiał Ignacy Daszyński, świetny mówca. Właściwie należało napisać „niezrównany”, bo nie można go było porównać z żadnym dotychczas przez nas słyszany mówcą ani w Krakowie, ani we Lwowie, tak ich nieskończenie przewyższał. Zgromadzenia odbywały się przeważnie w sali rzemieślniczego towarzystwa „Gwiazda” przy ul. Franciszkańskiej.

Stapiński był całkiem przeciętnym mówcą. W 14 lat później słyszałem słynną jego mowę, w której z emfazą wołał, że „w Polsce dopóty nie będzie dobrze, dopóki drogi nie będą wybrukowane czaszkami szlacheckimi”. Co prawda, gdy to mówił, przez myśl mu nie przeszła postać Szeli. Wprost przeciwnie. Szkićował nieszczęsną rolę szlachty w czasach upadku Rzeczypospolitej, słabość szlachty jako posłów sejmowych, ich słabość wobec wojsk rosyjskich i werbowników pruskich. Piętnował zdradę państwa przez targowiczanie<sup>378</sup>, branie pieniędzy od zaborców, złowróżbną politykę szlachty w czasie powstań, a wreszcie obecny trójjokalizm. Z tego wyciągał na swój sposób wnioski. Jednak ta mowa też nie porywała. To samo i my mówiliśmy, bez konsekwencji używania czaszek szlacheckich jako materiału brukarskiego.

---

<sup>378</sup> Targowiczanie – członkowie spisku magnackiego zawiązanego w Targowicy 18/19 maja 1792 r. pod patronatem Katarzyny II w obronie wolności szlacheckiej, skierowanego przeciw reformom Sejmu Czteroletniego i Konstytucji 3 Maja. Targowica – synonim zdrady narodowej.

Ostatecznie zdecydował o kierunku mego życia Daszyński, na jednym z przemówień w Gwieździe. Właściwie byłem już przekonany po przeczytaniu, wydanej ostatecznie przez Bratnią Pomoc, pracy Kautsky'ego *Nauki ekonomiczne K. Marksa*. Kroplą przepełniającą naczynie była mowa Ignacego na wiosnę 1893 r. Wyciągnięcie konsekwencji, tj. wstąpienie do partii, odłożyłem na czas po odbyciu obowiązkowej służby wojskowej. Nie sam jeden zostałem przekonany. Było nas spore grono. Ale nie trzeba uprzedzać wypadków.

Bo tymczasem praca w związku szła swoim trybem. W roku 1892 liczyliśmy 4000 zorganizowanej młodzieży szkolnej i robotniczej. Na jej czele stał rząd narodowy. Przez cały rok 1892 i część 1893 przewodniczyłem rządowi. (W ćwierć wieku później, [w] 1918 r. zostałem po raz drugi polskim premierem, ale już w niepodległej Polsce i w jawnym rządzie). Z uczuciem radosnej dumy wybijaliśmy na uchwałach i rozkazach, wielką okrągłą czerwoną pieczęć z białym orłem „rządu narodowego we Lwowie”. Utkwił mi w pamięci uroczysty choć ponury moment wręczenia wyroku śmierci, wydanego przez nasz rząd na pana Markowa<sup>379</sup> (senior) ministrowi policji Bałandzie<sup>380</sup> (obecnie adwokat w Oświęcimiu) wraz z rozkazem wykonania wyroku. Markow, w redagowanym przez siebie moskalofilskim dzienniku „Hałyczanin”<sup>381</sup>, wydrukował jakiś specjalnie nienawistny, perfidny a fałszywy atak na Polskę i Polaków.

Bałanda ze swymi policjantami (przeważnie uczniami gimnazjalnymi), po dostarczeniu skazanemu wyroku, inwigilował mieszkanie Markowa i redakcję „Hałyczanina” (przy ul. Ruskiej) i przez 3 dni i 3 noce czatował na niego. Policja była uzbrojona w trzy bębenkowe rewolwery, nawet nabite, o co było najtrudniej. Markow wziął wyrok na serio, musiał zauważyć coś podejrzanego, bo przez kilka dni z domu nie wychodził, dopóki c. k. policja nie obstawiła jego mieszkania, domu i ulicy. A ponieważ i tak rok szkolny już się skończył, a perspektywa przeciągania się akcji, a tym samym rozpoczęcia wakacji dopiero po osłabnięciu czujności austriackiej policji, nie uśmiechała się naszym policjantom, przeto Bałanda zameldował rządowi, że musi odłożyć wykonanie wyroku na czas po wakacjach. I stało się, że Markow nie umarł w butach, tylko w łóżku. Wakacje uratowały i jego, i Bałandę, i może nas.

---

<sup>379</sup> Osip Andriejewicz Markow (1849–1909) – dziennikarz i działacz moskalofilski, redaktor czasopism lwowskich „Prołom”, „Nowyj Prołom”, „Hałyczanin”, „Czerwonaja Ruś”.

<sup>380</sup> Wiktor Bałanda (1872–1931) – doktor praw, socjalista, lwowianin, od 1909 r. związany z Oświęcimiem, działacz społeczny i polityczny, radny miejski.

<sup>381</sup> „Hałyczanin” – codzienne pismo ukraińskie wydawane we Lwowie przez moskalofilów, kontynuacja „Hałyckiej Rusi”.

## 7.

**My i powstańcy z 1863 r. Wojskowość austriacka usiłuje wyzyskać związek powstańców dla wywiadu wojskowego w Rosji. Stańcyczy przeciw żałobie narodowej. List z pogrózkami do arcyksięcia (Szczepański i Cehak). Sprawa Uniwersytetu Ludowego. Popieranie przemysłu krajowego. Założenie pisma „Życie”.**

Jednym ze środków naszej propagandy, nie najmniej ważnym, było urządzenie obchodów i uroczystości narodowych. W tej dziedzinie współpracowaliśmy z „Komitetem Obywatelskim” starszego pokolenia, mającym na zewnątrz ten właśnie cel. Przypuszczam, że tkwiła w nim, pod tym pozorem, tajna organizacja o szerszych celach. Wokoło weteranów powstań zgrupowały się w tym Komitecie elementy demokratyczne. Z działaczy, z którymi się stykałem, pamiętam czołowych ludzi, Romanowicza Tadeusza i Zimę Franciszka. Oprócz nich mogę wymienić z pamięci: Barański Franciszek<sup>382</sup>, Bieńkowski Feliks<sup>383</sup>, Czaplicki Henryk<sup>384</sup>, Czarnik Kazimierz<sup>385</sup>, Dulęba Bronisław<sup>386</sup>, Fiszer Ksawery<sup>387</sup>, Goldman Bernard<sup>388</sup>, Jankowski Kazimierz<sup>389</sup>, Janowski Józef Kajetan<sup>390</sup>, Karlsbad

<sup>382</sup> Franciszek Barański (1838–?) – porucznik wojsk austriackich, major w powstaniu styczniowym.

<sup>383</sup> Feliks Bieńkowski (1838–1896) – lwowianin, uczestnik powstania styczniowego, inżynier Wydziału Krajowego we Lwowie.

<sup>384</sup> Henryk Czaplicki (ur. 1842) – uczestnik powstania styczniowego. Jako szeregowiec był członkiem oddziału sformowanego na galicyjskim Podolu.

<sup>385</sup> Kazimierz Czarnik (1859–1931) – lwowianin, adwokat, działacz Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół”.

<sup>386</sup> Bronisław Dulęba (1843–1920) – doktor prawa, długoletni sekretarz Wydziału Krajowego, jeden z założycieli lwowskiego Towarzystwa Kółek Rolniczych, powstaniec styczniowy.

<sup>387</sup> Ksawery Fiszer (1847–1918) – prawnik, urzędnik Magistratu m. Lwowa, długoletni prezes Związku Polskich Towarzystw Sokolich w Austrii, redaktor „Przeglądu Gimnastycznego” i „Skauta”.

<sup>388</sup> Bernard Goldman (1841–1901) – ur. w Warszawie, aresztowany przed wybuchem powstania styczniowego i zesłany na Sybir. W 1870 r. uzyskał obywatelstwo austriackie i zgodę na osiedlenie się w Galicji. Zamieszkał we Lwowie. Był politykiem i publicystą, posłem do Sejmu Krajowego, zwolennikiem asymilacji z kulturą polską.

<sup>389</sup> Kazimierz Jankowski (ur. 1843) – powstaniec styczniowy, inżynier dróg krajowych w Galicji.

<sup>390</sup> Józef Kajetan Janowski (1832–1914) – architekt, wychowanek warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych, uczestnik powstania styczniowego, członek i sekretarz Rządu Narodowego 1863/1864. Po powstaniu mieszkał we Francji, a w 1871 r. osiadł we Lwowie, gdzie pracował jako architekt. Był założycielem i prezesem Towarzystwa Weteranów z r. 1863/1864, przyczynił się do wydania materiałów źródłowych do powstania styczniowego.

Izydor<sup>391</sup>, Kostecki Platon<sup>392</sup>, Koszczyc Wacław<sup>393</sup>, Kulczycki Roman, Lewicki Witold, Małachowski Godzimir<sup>394</sup>, Stroka Kornel, Syroczyński Leon, Szeremeta, Webersfeld Ludwik<sup>395</sup>. Przedstawicielami młodzieży byli Ernest Adam, Fabiański Jan i ja. Później Ruebenbauer i inni. Najwალniejszym zadaniem Komitetu było propagowanie i urządzenie obchodów narodowych, zwalczanych zresztą przez stańczyków, a tym samym niemile widzianych przez rząd. Obchody we Lwowie odbywały się wedle pewnego, utartego szablonu. A więc afisze, msza żałobna w katedrze lub u dominikanów, z kazaniem lub bez, śpiew chóralny *Boże coś Polskę*, młodzież dodawała stale acz nadprogramowo *Z dymem pożarów*, chorał Ujejskiego, co zawsze wywoływało gniewy i wyrzuty duchowieństwa. Po czym wieczorek muzyczno-deklamacyjno-wokalny z przemówieniami i przedstawienie w teatrze. Do obrzędu należało (nieoficjalnie, ale stale) mordobicie. Jakiś czas w grę wchodziła gęba pana Masłowskiego Ludwika<sup>396</sup>, bojowego ugodowca, redaktora ultrareakcyjnego dziennika „Przegląd”<sup>397</sup>. Ten wstecznik, w swych młodszych latach był doskonałym tłumaczem dzieł Darwina na język polski. Ale gdy objął redakcję „Przeglądu”, wszystkie nowoczesne prądy wywiejrzały mu z głowy. Opinia o nim była jednolita. Jeden z wielkich arystokratów, oczywiście reakcyjny stańczyk, takie wyraził o nim zdanie (1901 r.): „Użytek z niego mamy, ale cóż z tego, kiedy szelma lokajstwem śmierdzi”. Masłowski w każdą rocznicę powstań drukował, obowiązkowo niejako, artykuł przeciw powstaniu, wyklinał poległych, rannych, weteranów. Więc brał w mordę. Potem zastąpił go ks. Stojałowski, gdy kończył swoją karierę

<sup>391</sup> Izydor Karlsbad (1844–1917) – działacz społeczny, powstaniec styczniowy, walczył m.in. pod dowództwem Mariana Langiewicza. Po powstaniu na krótki czas zamieszkał we Francji, następnie osiadł we Lwowie. Pracował w Banku Hipotecznym i aktywnie działał w Towarzystwie Weteranów z r. 1863/1864.

<sup>392</sup> Platon Kostecki (1832–1908) – poeta, pisarz pochodzenia ukraińskiego, publicysta i redaktor lwowskiej „Gazety Narodowej”.

<sup>393</sup> Wacław Koszczyc, właśc. Wacław Walery Wołodźko (1831–1904) – powstaniec styczniowy, literat. Po powstaniu styczniowym przebywał w Turcji, gdzie pracował jako inżynier. W 1870 r. osiadł we Lwowie. Współpracował z czasopismami galicyjskimi. W 1876 r. założył tam Konfederację Narodu Polskiego, tajną organizację, która miała zająć się przygotowaniem powstania zbrojnego w zaborze rosyjskim na wypadek konfliktu zbrojnego pomiędzy Rosją i Turcją. W 1888 r. był jednym z założycieli Związku Narodowego Polskiego, skierowanego przeciw Rosji.

<sup>394</sup> Godzimir Małachowski (1852–1908) – prawnik, adwokat, prezydent Lwowa (1896–1905), poseł do galicyjskiego Sejmu Krajowego i austriackiej Rady Państwa.

<sup>395</sup> Ludwik Weber de Webersfeld (1840–1907) – uczestnik powstania styczniowego, urzędnik Magistratu we Lwowie.

<sup>396</sup> Ludwik Masłowski (1847–1928) – pisarz, publicysta, socjolog, jeden z pierwszych redaktorów „Kuriera Lwowskiego”.

<sup>397</sup> „Przegląd Polityczny, Społeczny i Literacki” – dziennik wychodzący we Lwowie w latach 1885–1907, pierwotnie pod redakcją Ludwika Masłowskiego.

polityczną jako zdecydowany moskalofil. Obrzęd i obrzęk przeniósł się z pyska Masłowskiego na Stojałowskiego.

Posiedzenia były dość burzliwe. My młodzi wnosiliśmy w nie ferment. Najczęściej chodziło nam o pomijanie momentów społecznych w części programowej przygotowywanej uroczystości. Tego znów starzy nie chcieli, wietrząc w tym – nie bez uzasadnienia – wpływ socjalistów. Najlepiej rozumiał nas Romanowicz, który był istotnym, przekonaniowym demokratą. Wojował słowem i piórem przeciw ideologii stańczykowskiej. Ale i on uległ, najpewniej podświadomie, „moralnemu” naciskowi, naszpikowanemu siłą fizyczną, grożącą spod kawek całemu krajowi.

Najżywiej utkwіło mi w pamięci posiedzenie pod przewodnictwem Koszczyca, w którym jeżeli mnie pamięć nie myli, brali udział Bieńkowski, Czarnik, Janowski, Karlsbad, Kulczycki, Lewicki, Małachowski, Webersfeld. Był to okres jakiegoś poważnego napięcia między Austrią a Rosją. Austriackie sfery wojskowe zwróciły się do polskiego „Komitetu Obywatelskiego” z propozycją zorganizowania wojskowego szpiegostwa po drugiej stronie kordonu. Wojsko ofiarowało na ten cel pieniądze we wszelkiej żądanej wysokości. Narada trwała kilka godzin. Ważyły się szale za przyjęciem i odrzuceniem oferty. Nas Młodych aż podnosiło przypuszczenie, że oficerowie austriaccy mogliby z weteranów powstań narodowych zrobić płatnych szpiegów wojskowych. Pytaliśmy, jaką polityczną korzyść miałaby Polska z takiej akcji odnieść? W odpowiedzi usłyszeliśmy tylko o pieniądzach, które przydałyby się bardzo na cele narodowe. Po ciężkiej walce, z cokolwiek już czarno-żółto nastrojonymi powstańcami, zapadła uchwała, by zorganizować po tamtej stronie granicy wywiad wojskowy na rzecz Austrii, ale ideowo, bezpłatnie. Odrzucono pieniądze. Trochę odetchnęliśmy, tym bardziej, bo zdawaliśmy sobie sprawę, że wojna między zaborcami zawsze byłaby dla Polski korzystną. Sprawa ucichła, bo zatarg austro-rosyjski rozszedł się po kościach. Czy snuto dalej nici zaczepione między „Komitetem” a sztabem załogi austriackiej? Nie wiem. Że ja zostałem na to zebranie zaproszony, stało się skutkiem pewnej złośliwości ze strony jednego członka Komitetu (Czaplickiego), przeciwnego tym machinacjom. Rzecz dalsza toczyła się chyba w zakamarkach ich tajnej organizacji, jeżeli w ogóle miała swój dalszy ciąg. W każdym razie do Koszczyca przyłgnęła opinia austriackiego partyzanta. Za mało go znałem, by orzec czy słusznie, czy nie?

W roku 1892 organizacja nasza, po siedmioletniej pracy, osiągnęła szczytowy punkt swego rozwoju. Zdołaliśmy opanować wszystkie instytucje młodzieży akademickiej w wyższych uczelniach Lwowa (wliczam w nie Dubliny). Nieco słabsze były nasze siły w Krakowie, w którym wpływy stańczyków na młodzież były agresywne i o wiele silniejsze niż we Lwowie.

Ale i tam mieliśmy w obu wyższych zakładach naukowych swoje gniazda, dostatecznie ruchliwe. Siecią organizacyjną objęliśmy wszystkie wyższe klasy szkół średnich, nie wyłączając niedostępnego dla nas, aż do tego roku, gimnazjum w Tarnopolu. Rząd narodowy był pewien, że władztwo dusz młodzieży polskiej, a przynajmniej jej ideowej części, jest w jego rękach. Zdecydował tedy narzucić na rok 1893 całej młodzieży żałobę narodową w stuletnią rocznicę drugiego rozbioru Polski. Próbę nieudaną zrobił w roku poprzednim w mniemaniu, że doskonałym środkiem propagandy będzie demonstracja, przypominająca stuletnią rocznicę zorganizowania Targowicy. Ogólną żałobą narodową w roku 1892 chcieliśmy przypomnieć narodowi przegranie wojny z Rosją, zdradę króla, ujęcie władzy w Polsce przez Targowicę. Jednak poza stowarzyszeniami akademickimi, które żałobę przyjęły i u siebie przeprowadziły nikt jej w tym roku nie obchodził. Porósłszy w siły, postanowiliśmy ponowić próbę w tym roku. Zorganizowaliśmy w końcu 1892 r. wiec młodzieży w sali ratuszowej. Wiec nie był zbyt liczny, za to jednomyślnie uchwalił projekt naszej organizacji obchodzenia żałoby narodowej przez: 1) wstrzymanie się od zabaw tanecznych, 2) popieranie Towarzystwa Szkoły Ludowej<sup>398</sup>, 3) założenie Uniwersytetu Robotniczego (mój wniosek) 4) popieranie wyrobów przemysłu krajowego, 5) założenie periodycznego organu politycznego młodzieży (czytaj naszej organizacji).

Oczywiście stańczykieria całą parą wystąpiła przeciw żałobie. Jedną z pobudek namiętnej akcji partii krakowskiej w tej sprawie był fakt, że ich wódz Stanisław Tarnowski<sup>399</sup> był żonaty z Branicką, potomkiem, w prostej linii, największego łajdaka z całej Targowicy, jej herszta hetmana Branickiego<sup>400</sup>. Z tego samego powodu ciskał się pan Tarnowski na *WESELE* Wyspiańskiego, w którym jednym z wielu jest właśnie hetman Branicki, szarpany przez sołdatów rosyjskich. Prokurator Doliński<sup>401</sup>, wierny sługa starego hrabiego ze Szlaku, pokieroszował tę scenę, gdy *Wesele* grano po raz pierwszy w krakowskim teatrze. Może i pod tym kątem patrzenia uwierzył cały Lwów plotce,

---

<sup>398</sup> Towarzystwo Szkoły Ludowej (TSL) – organizacja założona w Galicji w 1892 r. mająca na celu szerzenie oświaty szkolnej i pozaszkolnej, szczególnie wśród ludności polskiej. Towarzystwo zakładało szkoły, biblioteki i czytelnie, organizowało kursy doszkalające i kursy dla analfabetów, zajmowało się wydawaniem dzieł przeznaczonych dla ludu polskiego. Działo do 1939 r., początkowo w zaborze galicyjskim, następnie w II Rzeczypospolitej. Pierwszym prezesem TSL był Adam Asnyk (1838–1897) – poeta i dramaturg, działacz społeczny i powstaniec styczniowy.

<sup>399</sup> Stanisław Tarnowski (1837–1917) – historyk literatury polskiej, profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, jeden z przywódców konserwatystów krakowskich, prezes Akademii Umiejętności, poseł do galicyjskiego Sejmu Krajowego, publicysta.

<sup>400</sup> Franciszek Ksawery Branicki (1730–1819) – hetman wielki koronny, przeciwnik Sejmu Czteroletniego i jego reform, jeden z przywódców konfederacji targowickiej.

<sup>401</sup> Roman Doliński – prawnik, radca Sądu Krajowego Wyższego w Krakowie.

jakoby hr. Potocka<sup>402</sup>, urządzająca u siebie w karnawale roku 1892 bal, miała życzliwym, przestrzegającym ją przed tą zabawą, odpowiedzieć: „Niech wie ulica, jak się bawi Targowica”. Ja do dziś wierzę, że tak mówiła.

Przeciwnicy wzięli ni stąd ni z owąd, w obronę krawców, krawczynie, modystki, szwaczki, kwaciarnie, kupców, muzyków. Rozczulali się nad pozabawieniem tych kategorii robotniczych środków do życia, jeżeli w karnawale nie będzie zabaw tanecznych. Próbowali nas przekonać, że żałobę nosi się po zmarłych, a przecież Polska nie jest nieboszczykiem, żyje i żyć będzie. Ale my znaleźliśmy się na farbowanych lisach i odpowiadaliśmy w takim samym sensie, w jakim dziś się mówi: „Bujać to my! Ale nie nas!”.

Żałoba rozpoczęła się 1 stycznia. Rząd narodowy wystąpił z całą energią przeciw niechcącym się do niej stosować. Skoro tylko policja nasza doniosła o zamierzonej gdzieś zabawie, wysyłano tam odezwę, zatytułowaną „Rodacy!” i tłumaczącą powody obchodzenia żałoby. O ile ta nie skutkowała, wybijaliśmy szyby w mieszkaniu bawiących się osób. Wystarczyło, gdy to się, z całą precyzją, stało w kilkunastu mieszkaniach we Lwowie. Więcej zabaw nie urządzano. Nie obeszło się jednak bez ofiar. Dwaj koledzy, Kazik Szczepański i Adam Cehak, dowiedziawszy się o projektowanym balu u arcyksięcia Leopolda Salwatora<sup>403</sup>, wysłali mu list z pogróżkami, zapowiadający wysadzenie w powietrze sali balowej. Ostrzeżenia listowne w sprawie tego balu otrzymali prezydent sądu Simonowicz<sup>404</sup> i dyrektor policji Krzaczkowski<sup>405</sup>. Jak się to stało, że o pisanie tych listów zostali akurat oni oskarżeni, nie wiem. Faktem jest, że Szczepański został zamknięty. Proces odbył się 25 sierpnia 1893 roku. Oskarżenie, oparte wyłącznie na zeznaniach zaprzysiężonych rzeczoznawców pisma, nie utrzymało się i obwinieni autorzy tych listów zostali przez zwykły trybunał uwolnieni. Ale co Szczepański przesiedział, to przesiedział. Nawiasem powiedziawszy, arcyksiężęta mieszkający w Galicji nie bardzo imponowali ogółowi. Chyba stańczykom. Opowiadał mi kolega Leon Wachholz<sup>406</sup>, że do połogu arcyksiężnej w Krakowie zaproszony został prof. uniwersytetu dr Madurowicz<sup>407</sup>, sławny w swoim czasie

<sup>402</sup> Prawdopodobnie mowa o Marii Klementynie z Sanguszków Potockiej (1830–1903), żonie Alfreda Kazimierza Potockiego (1817–1889) namiestnika Galicji i premiera Austrii, organizatorce słynnych we Lwowie bali i rautów w pałacu Potockich, wybudowanym w latach 1888–1890. Obecnie pałac ten jest lwowską siedzibą prezydenta Ukrainy.

<sup>403</sup> Arcyksiężę Leopold Ferdinand Salwator von Habsburg (1868–1935) – najstarszy syn Ferdynanda IV księcia Toskanii, zrezygnował z tytułu i praw dynastycznych w 1902 r., aby poślubić byłą prostytutkę.

<sup>404</sup> Jakub Simonowicz – prezydent wyższego sądu krajowego we Lwowie.

<sup>405</sup> Władysław Krzaczkowski – c. k. radca rządowy, dyrektor policji we Lwowie.

<sup>406</sup> Leon Wachholz (1867–1942) – krakowski lekarz, pionier medycyny sądowej.

<sup>407</sup> Maurycy Madurowicz (1831–1894) – lekarz ginekolog, położnik, związany z Uniwersytetem Jagiellońskim. Rektor tejże uczelni, członek wielu towarzystw lekarskich.

ginekolog. Gdy się zjawił w pałacu, zwrócił mu ochmistrz uwagę, że wedle obowiązującej etykiety dworskiej należało mu przybyć we fraku. Madurowicz, bez słowa, wrócił do domu i posłał do pałacu swój frak z listem, że „pan ochmistrz zorientował go, iż nie on jest potrzebny tylko jego frak”. Arcyksiążę musiał sam jeździć do starego profesora, by go przebłagać i uzyskać jego pomoc.

Narzucenie żałoby zobrazuję jeszcze przez jeden epizod, w którym wziąłem czynny udział. Tymczasem wracam do innych uchwał wiecu.

Sprawa uniwersytetu robotniczego była wśród uchwał wiecowych odłaskiem dyskusji i polemik toczonych między nami a lwowskim obozem socjalistycznym. Próbowaliśmy, tj. ja uporczywie próbowałem urzeczywistnić ten punkt programu. Opracowałem plan wykładów popularnych z dziedziny socjologii, ekonomii i nauk przyrodniczych. W Bratniej Pomocy streszczono i powielono dzieło E. Haeckla *Dzieje utworzenia przyrody* jako pierwsze z zapowiadanych streszczeń. Na tym się to wydawnictwo skończyło, bo instytucja wówczas nie powstała. Zwróciłem się do pana Tadeusza Romanowicza, wodza demokratów, z propozycją firmowania, względnie poparcia uniwersytetu robotniczego, który młodzież zorganizuje. Odmówił, powołując się na to, że skoro byt, niedawno, bo przed półtora rokiem, założonego Towarzystwa Szkoły Ludowej nie jest jeszcze zapewniony, nie można zaczynać drugiej imprezy o wiele trudniejszej do urzeczywistnienia. W zasadzie myśl stworzenia takiej instytucji bardzo mu się podoba, chociaż nasze poczynania uważa za niepoważne, jako że czyni je młodzież jeszcze ucząca się. Wyprawa moja, w tej samej sprawie, do pana Jana Gwalberta Pawlikowskiego<sup>408</sup> również skończyła się niepowodzeniem. Wręcz mi oświadczył, że nie wyobraża sobie, w jaki sposób można popularnie wykładać ekonomię społeczną szerokim masom robotniczym.

Druga próba, czyniona w dwa lata później, bo w końcu 1895 r. (dawna tajna organizacja już wtedy nie istniała) przeze mnie wspólnie z inżynierami departamentu drogowego Wydziału Krajowego, Libańskim Edmundem<sup>409</sup> i Czajkowskim Mikołajem<sup>410</sup>, również się nie powiodła. Towarzystwo Politechniczne, do którego zwróciliśmy się z prośbą o firmę i o pomoc odmówiło nam i jednej, i drugiej. Dopiero w pięć lat po uchwale wiecu, w roku

---

<sup>408</sup> Jan Gwalbert Pawlikowski (1891–1904) – ekonomista, w latach 1891–1904 profesor ekonomii Akademii Rolniczej w Dublinach, publicysta, polityk związany z Narodową Demokracją, taternik, teść poetki i pisarki Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej (1891–1945).

<sup>409</sup> Edmund Libański (1862–1928) – lwowski inżynier, członek Towarzystwa Uniwersytetu Ludowego im. Adama Mickiewicza, działacz społeczny i naukowiec, pionier lotnictwa, pisarz i publicysta, członek PSDD.

<sup>410</sup> Mikołaj Czajkowski (1863–?) – członek Bratniej Pomocy, inżynier, pracujący w Wydziale Krajowym.



1897 powstał we Lwowie Uniwersytet Ludowy im. A. Mickiewicza. Ja byłem jednym z nielicznych, a może jedynym, który na ten cel przesłał pieniądze zebrane w stulecie urodzin wieszczka w Skale nad Zbruczem.

Natomiast młodzież poparła energicznie i skutecznie Towarzystwo Szkoły Ludowej. Pozakładane koła młodzieży tego Towarzystwa popularyzowały jego ideę w najdalszych zakątkach kraju.

Nie bez rezultatu pozostała wszczęta przez nas w tym roku akcja popierania przemysłu krajowego. Wśród młodzieży uniwersyteckiej i lechickiej powstały koła handlowe dostarczające kolegom potrzebnych, a wyrabianych w kraju, towarów. W swoim czasie, w latach siedemdziesiątych, rozwinął się w Galicji ruch spółdzielczy wprowadzie dość szybko, ale tylko po to, by po kilkunastoletnim rozwoju, opanowany ostatecznie przez złodziei, doszczętnie zbankrutować. W tym czasie prawie całkiem go nie było. Te koła handlowe, powstałe w roku żałoby, stały się surogatami spółdzielni. Z biegiem czasu poprzemieniały się istotnie w spółdzielnie. Zresztą Wystawa Krajowa w 1894 r. niepomniernie rozszerzyła i pogłębiła podjęte przez nas hasło popierania swojskiego przemysłu.

Uchwała wiecu stworzenia pisma młodzieżowego została natychmiast wykonaną. Dawno już organizacja postanowiła wydawnictwo swego własnego, jawnego organu. Materiałną podstawę, przez odpowiednią reklamę, miał dać wiec. Istotnie powstał dwutygodnik „Życie”. Bardzo nieśmiało brałem się przed 47 laty do publicystyki, do współpracy w tym piśmie. Początkowo wszystkie moje notatki i artykuły były konfiskowane. Po 46 latach też. Redaktorem odpowiedzialnym, administratorem, duszą pisma był zecer Antoni Cybański, strasznie sympatyczny obywatel. Akademik, zapalony historyk, Jarmulski Adam (przedwcześnie zmarły) był jednym z bardzo czynnych i dla mnie bardzo sympatycznych współpracowników. Redakcja i administracja pisma mieściły się w parterowym domku przy ul. Żulińskiego (Łyczaków), który miał drugie wyjście na ul. Rzeźbiarską. Każdy numer „Życia” był z reguły konfiskowany, więc to drugie wyjście służyło do wynoszenia skonfiskowanego nakładu na miasto. Prawie nigdy się nie zdarzyło, by policja zabrała nam więcej niż kilkanaście egzemplarzy. Artykuły pisali, poza wymienionymi, Błażek, Szendorowicz, Reiter i Cehak. Pamiętam, że popełniłem wielką kobyłę ciągnącą się przez dwa numery „Życia”, w której polemizowałem bardzo niewinnie i nieudolnie z pamfletem politycznym St. Tarnowskiego *Z doświadczeń i rozmyślań*. Dziś widzę całą naiwność, ale wtedy...?

Wracam do eposu z czasów żałoby narodowej. Dochodziły nas słuchy, że przygotowuje się wszystko do zwichnięcia żałoby. Nasza manifestacja nie była na rękę sferom rządowym. Na razie zaczęła się gorąca krzątania celem zorganizowania na Sylwestra, a właściwie na Nowy Rok, dwóch balów publicznych w Gwieździe i w Kasynie miejskim.

## 8.

### Napad na bale: w Gwieździe i w Kasynie Urzędniczym.

Kasyno miejskie, zwane „urzędniczym”, uważaliśmy zawsze za gniazdo czarno-żółtych, więc nie zdziwił nas zamiar łamania akurat w tym kasynie, żałoby narodowej. Co innego było z Gwiazdą, tym stowarzyszeniem rzemieślniczym założonym przez demokratów, dla przeciwwagi klerykalnym „Skałom”.

Tego rodzaju serwilizm wobec Austrii, a za taki uważaliśmy każdą zabawę urządzaną w tym roku, nie należało, naszym zdaniem, puścić Gwieździe płazem. Również dobrze byłoby pokazać rogi szwarcgelberom z kasyna. Na razie przyjęto mój plan kampanii w dniu krytycznym. Mnie poruczono wykonanie. Część planu była skomplikowaną, ale właśnie tę część udało się w zupełności przeprowadzić. Chodziło o to, by bez zwrócenia uwagi policji skoncentrować jak największe siły pod Gwiazdą. Zgodnie z planem, odbyły się w tym dniu Walne Zgromadzenia wszystkich instytucji młodzieżowych we wszystkich pięciu szkołach akademickich. Plan bitwy ustalał termin zakończenia tych zgromadzeń na 7½ wieczorem. Dublańczycy o tej godzinie mieli już być w mieście. Zaraz po zgromadzeniach były przewidziane komersy pod pozorem Sylwestra, w różnych, ale z góry umówionych lokalach. Wszystko odbyło się ściśle wedle „*ordre de bataille*”<sup>411</sup>.

Mimo wysiłku organizatorów, zabawy na komersach nie szły. Nie było humoru. Coś było nie w porządku, nielogiczne: Raz „żałoba”, a tu zabawa na komersie! To wszyscy czuli. Pić – pili, śpiewać – śpiewali, ale całość nie tryskała tą huczącą i pieniącą się wesołością młodości, cechującą zazwyczaj nasze komersy.

Brałem oczywiście udział w komersie Bratniej Pomocy Politechniki u Ludwiga. Śpiewaliśmy dużo pieśni patriotycznych, ale nawet, zazwyczaj wesołe, błazeństwa „Klubu Stańczyka” (słowo „kabaret” nie było jeszcze wtedy u nas znane) budziły jakąś jakby przymuszoną wesołość. Nikogo nie zdziwiło, gdy po 10 wieczorem, jako kontrpunkt komersu, oświadczyłem, że „wobec braku humoru porzucamy ten ponury lokal i idziemy w odwiedziny do Czytelni Akademickiej do Stadtmüllera”<sup>412</sup>. Ruszyliśmy ławą, a było nas około 150. Ale u Stadtmüllera siedziało już 400 akademików. Szpilki nie było gdzie pomieścić. Zabraliśmy tedy ze sobą akademików i poszli po „leśników”. Z tymi razem spotkaliśmy złączone tymczasem komersy dublań-

<sup>411</sup> *Ordre de bataille* (franc.) – kolejność bitwy.

<sup>412</sup> Restauracja prowadzona przez Ludwika Stadtmüllera w Hotelu Francuskim przy placu Mariackim we Lwowie.

czyków i weterynarzy. Dołączyło się jeszcze przeszło 200 głów młodzieży rzemieślniczej, zebranej w tym celu w sąsiednich knajpach. Zgodnie z planem znalazł się, na krótko przed jedenastą, na rynku skoncentrowany oddział około 900 ludzi. Obeszliśmy w koło wszystkich stojących na posterunkach, policjantów, zgasililiśmy w rynku wszystkie latarnie, a na ulicy Ruskiej poprzemienialiśmy sumiennie wszystkie szyldy nad handlami. Taki bowiem obrządek obowiązywał każdego szanującego się „gęsiora”. Ale na Wałach Gubernatorskich uciszyłem hałasy i śpiewy, ustawiłem kolumnę w czwórki i w absolutnej ciszy przeszliśmy obok namiestnictwa w ulicę Karmelicką. Z jednej bramy wysunęła się na czoło pochodu czwórka, niosąca na barkach czarną trumnę. Skręciliśmy w ulicę Franciszkańską i za chwilę byliśmy przed domem Gwiazdy. Dotąd plan powiódł się wyśmienicie. Jeszcze przed domem Gwiazdy trzymałem cały pochód w garści, przebiegając go od czoła aż do końca. Wśród nocnej ciszy dochodziły nas dźwięki orkiestry, grającej melodie taneczne. Czwórka z trumną wchodzi do środka, a za nią dobrani, co najwialniejsze chłopcy, atleci z Sokoła. Plan był: wnieść trumnę na środek sali, odśpiewać chorał Ujejskiego. Liczyliśmy, że to zabawę popsuje. Zdołaliśmy tylko drzwi do sali otworzyć. Trudno było, dość długą trumnę w wąskim korytarzu obrócić pod kątem prostym, by wejść z nią na salę. Młodzież tańcząca wewnątrz zorientowała się w jednej chwili, co się święci i hurmą rzuciła się na nas. W drzwiach rozpoczęła się bójka, w której naszym przeszkadzała trumna. Gwiazdory nabili haniebnie naszych dwóch z pierwszego szeregu, niosących trumnę. Trzeba było rzucić ją na ziemię, żeby ocalić kości. Wtedy szanse się poprawiły, ale nie wyrównały. Balującym udało się wyprzeć nas za drzwi i zabarykadować je. Wypadliśmy z korytarza i grudy lodu, i kamienie zaczęły tłuc szyby w tej parterowej sali. Nie została ani jedna cała szyba. To oczywiście też popsulo zabawę, ale w sposób mało kulturalny i niepropagandowy. W tej chwili uderzył na nas pluton c. k. policji, ukryty na podwórzu Gwiazdy. Zawstydzeni klęską u wejścia do sali, wściekli z powodu nieudania się zaskoczenia, chcąc się pomścić, uderzyliśmy z ogniem, zbrojni w ciupagi, obuszki i tęgie kije na policję. W jednej chwili przyparliśmy ją do drewnianych sztachet. Sztachety obalone, policja cofa się na podwórze. Z sali wypada kilkudziesięciu danserów na pomoc policji. Marnym był ich los. Tym razem my byliśmy górą. Pobiliśmy jak się patrzy i policję, i gwiazdorów. Zdobyliśmy pięć szabel, kilka półksiężyców (blachy z numerami, noszone przez stójkowych na piersiach) i coś cztery czaka policyjne. Powstrzymałem dalszą bitwę, ustawiłem kolumnę i ruszyliśmy na ul. Łyczakowską. Idąc żwawym krokiem, doszliśmy w 10 minut na ulicę Akademicką, w mniejszej liczbie, ale przecież jeszcze w sile przeszło 300 głów. Kasyno urzędnicze osłaniał jeden policaj. Wywróciliśmy go na ziemię twarzą do śniegu, żeby nie widział, co

się dzieje. Mocno kutych i okratowanych drzwi do kasyna nie sposób było otworzyć ani nie było czasu na ich wywalanie. Tańczono w sali na pierwszym piętrze, mającej okna na podwórze. Ograniczyliśmy się do wybicia szyb w oknach frontowych, od sal bufetowych. Cała akcja przed kasynem nie trwała pięciu minut. Dłużej nie było, co robić, a zachodziła obawa nadejścia znacznie silniejszych sił policyjnych. Dałem tedy hasło rozejścia się. Z ulicy Akademickiej można było wyjść w 10 kierunkach. Toteż w krótkim czasie plac przed kasynem opustoszał. Widząc sprawne rozplątanie się pochodu, ruszyłem i ja z jedną grupą ul. Zimorowicza, w górę ku domowi.

Jednak noc się na tym nie skończyła. Jedna z grup, w liczbie około 60 głów, prowadzona przez Aleksandrowicza, ruszyła przez plac Mariacki, nie myśląc wcale o rozejściu się. Szli jakby nigdy nic, wśród śpiewu, niosąc zdobyte czaka i półksiężycy pozatykane na zdobycznych szablach. Gdy doszli do ulicy Szerokiej (Kopernika), ujrzeli biegnący na nich silny oddział policyjny. Odruchowy obrót głowy w tył odsłonił ich oczom drugi oddział, zamykający im drogę. W jednej chwili byli otoczeni przez przeważające siły. O oporze nie było co myśleć. Policja odebrała im trofea i poprowadziła do gmachu dyrekcji czy komendy policji przy placu Smolki. Ściąganie protokołu i nakładanie pieniężnych kar administracyjnych trwało do białego dnia. Przedłużyły całą procedurę kpiny zatrzymanych. Dyżurny urzędnik podejrzewał dowcip nawet tam, gdzie go nie było. Tak np. długo trwało nim udało się przekonać dyżurnego, że kolega Tadeusz Reger<sup>413</sup>, słuchacz farmacji, zeznaje prawdziwie, iż urodził się na wyspach „księżycowych” (przedmieście Konstantynopola<sup>414</sup>).

Na tym mógłbym skończyć opowieść nocy zimowej we Lwowie, która zdecydowała o powodzeniu żałoby narodowej. Odbywały się wprawdzie i potem zabawy publiczne, ale tylko w kasynie oficerskim (narodowość oficerów, wiadomo „militaer”), u Namiestnika, w domu arcyksięcia, w rusofilskim „Domu Narodowym”. Polskich zabaw publicznych nie było. O prywatnych mało się słyszało, tak że nietrudno było uniemożliwić te nieliczne, o których dowiedziała się nasza policja.

Mnie udało się wyrobić sobie „alibi”, wbrew blisko tysiąca par oczu, które widziały wyraźnie osobę komendanta tej wyprawy. Po powrocie do domu zastałem jeszcze ojca przy pracy, mimo tego udało mi się niepostrzeżenie cofnąć wskazówki na wszystkich domowych zegarach o półtorej godziny.

---

<sup>413</sup> Tadeusz Reger (1872–1938) – działacz socjalistyczny i niepodległościowy, członek PPSD, poseł do austriackiej Rady Państwa, w II Rzeczypospolitej poseł do Sejmu, dziennikarz i publicysta. Wspomnianych wyżej studiów farmaceutycznych nie ukończył.

<sup>414</sup> Błąd w tekście – według PSB Tadeusz Reger urodził się w Nowym Jorku. Tymczasem Moon Island znajduje się w stanie Massachusetts, w pobliżu Bostonu.

Po zaśnieściu całego domu nastawiłem je z powrotem na właściwą porę. Namieśnik Badeni, otrzymawszy dokładne sprawozdanie policji o przebiegu zajęć i moim w nim udziale, wezwał do siebie mego ojca, urzędnika namiestnictwa, odczytał mu raport policyjny i zapowiedział konieczność mego uwięzienia. Ojciec w najlepszej wierze zaczął prawdziwość pisma policji, ponieważ dokładne pamiętał, że na pół godziny przed opisanymi tam zajęciami pod Gwiazdą, byłem już w domu. Skutek przesunięcia wskazówek!!! Namieśnik znał ojca jako absolutnie prawdomównego człowieka i gentelmana, w całym tego słowa znaczeniu, uwierzył mu od razu. Mnie uszło na sucho, skończyło się na zbesztaniu dyrektora policji.

## 9.

### Proces tarnopolski w 1895 r. Moje wystąpienie z tajnego związku.

**B**ył moment, w którym nasza organizacja objęła swymi kołami nie tylko wszystkie średnie i wyższe zakłady naukowe Galicji, ale także dużą ilość większych zakładów przemysłowych. Najoporniejszym okazał się Tarnopol, ale wreszcie i ten udało się nam zorganizować w r. 1892. Za to zapaleni a nieostrożni tarnopolanie sięgnęli za szeroko i wciągnęli bardzo młodych, bo 13- i 14-letnich, względnie pięcioklasistów. Jeden z młodzików, Wojciech Rzepa, spowiadał się przed katechetą seminarium nauczycielskiego ks. Librewskim<sup>415</sup> z grzechu „należenia do tajnego związku”. Spowiednik (?) kazał chłopcu powtórzyć nazajutrz spowiedź poza konfesjonalem. Rzepa prosił księdza o słowo honoru, że nie zrobi z tego użytku dalszego, a usłyszawszy to słowo, powtórzył nazajutrz tę część spowiedzi w kancelarii dyrekcji seminarium. Ks. Librewski nacisnął dyrektora zakładu, sparaliżował groźbą denuncjacji usiłowania zlekceważenia lub zatuszowania faktu i sprawa zaczęła się toczyć. Z początku powoli, wkrótce jednak potoczyła się lawiną, zasypując całą organizację, wszystkich jej członków!! Nawias: Ks. Librewski został potem proboszczem w Kopyczyńcach. Wydrukował obrazki jakiegoś świętego, oczywiście w aureoli nad głową. Pod obrazkiem było wydrukowane: „Ks. Władysław Librewski obrazki te rozdawał”. Sam widziałem taki obrazek w r. 1903.

<sup>415</sup> Władysław Librewski (1859–1938) – duchowny rzymskokatolicki, w latach 1889–1899 katecheta w Seminarium Pedagogicznym w Tarnopolu, następnie proboszcz w parafiach w Kopyczyńcach i we Lwowie. W latach 1916–1938 kanonik gremialny Kapituły Metropolitarnej w Kopyczyńcach.

Prokurator tarnopolski Wieczerzyk, gorący patriota, z przerażeniem ujrzał perspektywę olbrzymiego procesu, w którym na ławie oskarżonych zasiadałoby co najmniej 1000 bardzo mu sympatycznych młodych ludzi. Raportując nadprokuratorii tę sprawę, starał się osłabić ją i zbagatelizować jako chłopięce poczynanie, niegroźne dla państwa, aby zyskać zgodę na umorzenie śledztwa. Ale nadprokurator Hayderer był nieubłagany. Kazał sprawę dochodzić do sedna. Aresztować! Przeprowadzić rewizję! Sędziowie jednak tu i ówdzie sabotowali pana Hayderera, który okazał się w tej sprawie bardziej czarno-żółtym niż sam... Wiedeń.

Śledztwo objęło cały kraj. Wkrótce Hayderer wiedział wszystko, co potrzebował. Przekonałem się o tym, gdy byłem jako posądzony o zdradę główną, przesłuchany, późną jesienią 1894 r. przez sędziego śledczego we Lwowie. Ja i kolega Staszek Aleksandrowicz, również podsądny, służyliśmy wtedy we wojsku. Sędzia odczytał mi, z innych zeznań, całokształt mego udziału w organizacji, przebieg zjazdu delegatów we Lwowie w roku 1893 (na którym przewodniczyłem), dyskusje uchwały, spis uczestników. Przedłożył mi spis miejscowości z istniejącymi kołami (co prawda przedawniony). Co gorsza, podał mi skład zarządu narodowego w r. 1892. Dziwiło mnie tylko, że sędzia wciąż podawał mi jedną i tą samą odpowiedź: „Ale pan temu oczywiście zaprzecza?”. Oczywiście zaprzeczałem. Gdyby się mnie zapytał, czy się urodziłem, byłbym odpowiedział, że nic mi o tym nie wiadomo! Jeszcze bardziej byłem zdziwiony ciszą po tym badaniu. Mija miesiąc, nic, mijają dwa, nic! Trzy – ani nie następuje dalsze przesłuchanie, ani aresztowanie. A ja już nie mogłem sobie w żaden sposób wytłumaczyć, jak się to stało, że w marcu 1895 r. zaczął się proces w Tarnopolu tylko przeciw 26, wraz z Wacławem Borzemskim, oskarżonymi o zbrodnię zdrady stanu, obrazy majestatu i zaburzenia spokoju publicznego. Wśród oskarżonych towarzyszy Borzemskiego było: 4 uczniów gimnazjalnych, 8 ze seminarium nauczycielskiego, 6 nauczycieli ludowych, 2 akademików, 2 robotników, 2 urzędników, 1 strażnik skarbowy.

A więc wygrał Wieczerzyk? Proces zlokalizowano? W rok później przypadkiem słyszałem z ust pana Jana Dylewskiego<sup>416</sup>, wiceprezydenta wyższego Sądu Krajowego o powodach zlokalizowania procesu, a właściwie zatuszowania całej sprawy. Nieco przed wyspą tarnopolską, odsłaniającą rządowi austriackiemu rozgałęzione sprzysiężenie młodzieży polskiej, wyspała się olbrzymia organizacja tajna młodzieży czeskiej, słynna z monstrial-

---

<sup>416</sup> Jan Dylewski (1845–1924) – sędzia, działacz społeczny, radca c. k. sądów okręgowych w Galicji Wschodniej, wiceprezydent c. k. sądu krajowego we Lwowie, wuj Zofii Gostkowskiej, przyszłej żony Jędrzeja.

nego procesu „Omladiny”<sup>417</sup>, w którym 160 omladinistów siedziało na ławie oskarżonych. Wiedniowi, a zwłaszcza ministrowi spraw zagranicznych, wydawało się, że dwa takie monstrualne, słynne na cały świat procesy, to za mocna przyprawa do austriackiego barszczu. Niemcy z Wiednia woleli procesować Czechów, z którymi byli na wojennej stopie, niż Polaków, z którymi żyli w sojuszu. Wiedeń nie życzył sobie głośnego procesu w Galicji. Gorliwość Hayderera była mu nie na rękę. Wieczerzyk tryumfował. Oskarżeni bronili się dzielnie, adwokatów mieli pierwszorzędnych, prokurator z godnością, bez zajadłości, oskarżał, przysięgli uwolnili wszystkich, najbardziej z tego procesu rad był prokurator.

Wspomniany przez sędziego śledczego zjazd delegatów w lecie roku 1893 istotnie odbył się we Lwowie, w prywatnym mieszkaniu, pilnowanym przez naszą policję. Został zwołany na mój wiosek, celem rewizji i ustalenia programu przyszłej pracy związku. Chodziło mi z jednej strony o przejście do jawnej działalności politycznej, a z drugiej o skrytalizowanie społecznej polityki w odniesieniu do chłopów i robotników. Zjechało się przeszło pięćdziesięciu naczelników poszczególnych miejscowości i prowadzących poszczególne większe grupy związkowe. Na skład zjazdu nie wywierałem najmniejszego wpływu. Liczyłem na swoją wymowę i głębię przekonania. Przewodniczyłem i referowałem zmianę taktyki, a po części programu. Zarówno mój projekt programu, jak i wniosek na przejście do jawnej roboty upadły. Został stary program, po wyłuskaniu z niego sprawy przygotowania zbrojnej walki o niepodległość. Nastąpił rozłam. Złożyłem przewodnictwo. Wraz ze mną kilkunastu delegatów opuściło związek. Na tym skończyła się moja 8- wzgl. 9-letnia praca w związku.

Zjazd uwidoczniał, że znaczna mniejszość członków przeżyła tę ewolucję, którą ja przeszedłem. Dziś oceniam, że po prostu, dla inteligencji pracującej było za wcześnie na wytworzenie wspólnej linii interesu klasowego z robotnikami fizycznie pracującymi. Jeszcze za dużo uprzedzeń i przesądów dzieliło te dwa odłamy tej samej klasy społecznej. Po wielu przejściach, po lekcjach danych przez partię endecką, bebewuerową<sup>418</sup> i ozonową<sup>419</sup>, po nauce wyciągniętej z dwóch wojen światowych chyba znikły już i uprzedzenia,

---

<sup>417</sup> Proces Omladiny – zamieszki i proces miały miejsce w Pradze w latach 1893–1894. Według ustaleń historiografii czeskiej nie istniał żaden tajny spisek, został wymyślony przez policję monarchii. Proces i represje były wymierzone przeciw młodzieży i członkom radykalnych organizacji społecznych.

<sup>418</sup> Mowa o BBWR – Bezpartyjnym Bloku Współpracy z Rządem, organizacji politycznej utworzonej w 1927 r., wspierającej pomajowe rządy Józefa Piłsudskiego.

<sup>419</sup> OZN – Obóz Zjednoczenia Narodowego – organizacja polityczna utworzona w 1937 r., wspierająca rządy sanacyjne.

i przesady, i fumy<sup>420</sup>. Nauka trwała 47 lat. Dziś dzieli je chyba tylko siła przyzwyczajenia. Ale przed pół wiekiem nawet bardzo inteligentne jednostki, które dostrzegły wspólny interes, które przeszły pełną ewolucję w latach nauki, wszedłszy w życie, cofnęły się z osiągniętej pozycji wstecz. Przykładem Bartoszewicz, Brygiewicz, Rybczyński<sup>421</sup>, Tuleja, nawet Kühnel<sup>422</sup>.

Zjazd uchwalił (pozornie) rozwiązanie organizacji. Ale to nie nastąpiło. Od tego zjazdu związek poszedł drogą, która prowadziła wprost do Narodowej Demokracji. Ściągnięty przez St. Kłobukowskiego<sup>423</sup>, redaktora „Przeglądu Emigracyjnego”<sup>424</sup> zjechał do Lwowa sztab (endecki). Z Popławskim<sup>425</sup> i Dmowskim<sup>426</sup> zetknąłem się na jakimś poufnym zebranku. Obaj bardzo mi się nie podobali. Ale masa członków naszej organizacji wypełniła szeregi endeckie. Mogę powiedzieć, że galicyjską endecją, owo trzecie stronnictwo, o których mówiłem, utworzył nasz związek.

W moim życiu politycznym nastąpiła dłuższa przerwa. Do konspiracji wróciłem dopiero w ćwierć wieku później, bo w 1917 roku.

---

<sup>420</sup> Fumy (przest.) – dąsy, fochy.

<sup>421</sup> Mieczysław Rybczyński (1873–1937) – hydrotechnik, ukończył Wydział Inżynierii Lądowej w Szkole Politechnicznej we Lwowie, prezes Bratniej Pomocy w latach 1895–1896. Był asystentem w Katedrze Budowy Dróg i Kolei Żelaznych, następnie kierownikiem budowy linii kolejowych w Galicji Wschodniej, radcą w Namiestnictwie we Lwowie. W II Rzeczypospolitej kilkakrotnie sprawował funkcję kierownika Ministerstwa Robót Publicznych.

<sup>422</sup> Artur Kühnel (1874–1925) – działacz Bratniej Pomocy, inżynier kolejowy, profesor Politechniki we Lwowie, znawca problematyki budowy dróg i robót ziemskich.

<sup>423</sup> Stanisław Kłobukowski (1854–1917) – działacz społeczny, ekonomista i podróżnik; jeden z inicjatorów utworzenia Polskiego Towarzystwa Handlowo-Geograficznego we Lwowie, współzałożyciel i wydawca „Przeglądu Emigracyjnego”, członek Ligi Narodowej, od 1908 r. zamieszkały w Brazylii.

<sup>424</sup> „Przegląd Emigracyjny” – czasopismo ukazujące się we Lwowie w latach 1892–1894 poświęcone sprawom emigracji ludności polskiej.

<sup>425</sup> Jan Ludwik Popławski (1854–1908) – publicysta i polityk, jeden z twórców Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego, redaktor „Przeglądu Wszechpolskiego”, „Wiek XX” i „Słowa Polskiego”. W 1907 r. powrócił do Warszawy.

<sup>426</sup> Roman Dmowski (1864–1939) – publicysta, redaktor. W II Rzeczypospolitej poseł na Sejm, minister spraw zagranicznych. Był założycielem i przywódcą Stronnictwa Demokratyczno-Narodowego, głównym ideologiem polskiego ruchu narodowego. Przeciwnik polityczny Józefa Piłsudskiego.





## Rozdział IV

# POLITECHNIKA LWOWSKA II

### 1.

**Prezesura w Bratniej Pomocy. Mokłowski relegowany za socjalizm. Jan Matejko kradnie arkusze z podpisami. Sprawa Matejki. Ogólny strajk techników. Represje.**

**W**ydział Bratniej Pomocy, wybrany spośród bezpartyjnych, zawiódł wszelkie oczekiwania. Był to, pod każdym względem, najgorszy Wydział ze wszystkich dziewięciu, które wybieraliśmy w ciągu mych 6-letnich studiów na technice. Finansowo kłapa! Gorzej! Protekcja zapanowała [przy] przydzielaniu pożyczek! Dało się to tym bardziej odczuć wobec bardzo małej kwoty na ten cel zużytej. Była najniższą z całego poprzedniego dziesięciolecia (zaledwie 64% przeciętnej). Mimo tego zamknięto rok niedoborem przeszło 400 złr. Wydział pozostawił w kasie gotówki 30 kilka reńskich, na resztę zostawili członkowie Wydziału... rewersy! (Nadużycie!).

Moralnie także kłapa! Koledzy na ucho szeptali o nieporządkach w gospodarce finansowej. Poznałem je lepiej od innych, będąc przewodniczącym Komisji Lustracyjnej. Wydział nie miał, nie mówię już, powagi, ale nawet tego znaczenia co dawniejsze i następne wydziały. Zmniejszył się również bardzo ruch w kółkach naukowych. Trzeba było Towarzystwo dźwigać z upadku. Mimo wzmożonej na czwartym roku inżynierii pracy naukowej, zgodziłem się objąć prezesurę. Zestawiłem kompromisową listę Wydziału, 5 naszych, 5 Drakonów, 3 bezpartyjnych. Komisję lustracyjną prowadził

Ruebenbauer z czterema najpoważniejszymi bezpartyjnymi. Nie muszę dodawać, że sam przeprowadziłem porozumienie między oboma, dotąd zażarcie zwalczającymi się, grupami.

Wydział wybrany został bez walki. Od razu stanęliśmy do pracy. Warunki były ciężkie. Nasz związek postanowił, że w r. 1892 obchodzić się winno żałobę narodową w stuletnią rocznicę zawiązania haniebnej pamięci konfederacji targowickiej. Młodzież się zgodziła. Wskutek tego i Bratnia Pomoc zastosowała się do tego nakazu, zatem odpadł jej dochód, co najmniej pół tysiąca reńskich z balu techników, wpływający niemal co roku w karnawale do kasy. Poratowały nas zwiększone wpływy od członków wspierających i dochód z odczytu prof. Gostkowskiego<sup>427</sup> na temat *Teoria muzyki*. Sala ratuszowa była pełna, bo wykładał wielki uczyony i znakomity popularny prelegent najnowsze zdobycze w dziedzinie teorii akustyki, prowadzące w prostej linii, poprzez fonograf do radia.

Przełamaliśmy pierwsze trudności, a potem finanse ułożyły się już jak najlepiej. Udawała się każda akcja, do której Wydział rękę przyłożył. Ściąganie długów od byłych kolegów dało nam najwyższy dochód z całego ubiegłego dziesięciolecia, a dochody nadzwyczajne przekroczyły najśmielsze nasze oczekiwania. Spłaciliśmy część długów poprzedniego Wydziału. Rok zamknęliśmy nadwyżką 550 reńskich. Podniosło się bardzo moralne znaczenie i powaga Wydziału. Dość powiedzieć, że w ciągu pięciu miesięcy mej prezesury zwołałem aż dziewięć Walnych Zgromadzeń. Trzy z nich odbyły się z okazji bardzo smutnego wypadku.

W lutym, pojawiło się w westybulu<sup>428</sup> gmachu, na „czarnej” tablicy rektorskiej, następujące ogłoszenie:

„Pan Kazimierz Mokłowski, słuchacz III roku Wydziału Budownictwa<sup>429</sup>, został relegowany na I semestr za «socjalizm»”. I sam fakt, i forma ogłoszenia oburzyły nas niepomierne. Chodziło o to – w Belgii odbyła się międzynarodowa konferencja socjalistów. Czy Mokłowski na niej był, nie pamiętam. Bo nie o to szło, ale o to, że zwołał poufne zebranie młodzieży we Lwowie, na którym składał sprawozdanie z narad brukselskich. Władze polityczne nie przeszkadzały temu zebraniu i nie ścigały ani zwołujących, ani uczestników, tym samym uznały je za legalne. Za to kolegium naszych profesorów dobrało się do Mokłowskiego i pięciu kolegów, którzy przyznali się do bytności na tym zebraniu. Nie wiem, czy działał tu rozkaz namiestnika Badeniego, czy może reakcyjne przekonania większości grona. Dość,

<sup>427</sup> Roman Gostkowski (1837–1912) – inżynier kolejnictwa, profesor i rektor Politechniki Lwowskiej, członek Towarzystwa Politechnicznego. Przyszły też Autor *Wspomnień*.

<sup>428</sup> Westybul – hol.

<sup>429</sup> Wydział Budownictwa Lądowego.

że Mokłowski został relegowany, a uczestnicy zebrania otrzymali nagany. Sam fakt karania za udział w życiu publicznym uważaliśmy za pogwałcenie wolności akademickiej. Zaś motywowanie relegacji „socjalizmem”, tj. przekonaniem socjalistycznymi, wydało mi się zupełnie niegodnym grona ludzi uczonych, jakimi powinno być kolegium wyższego zakładu naukowego. Szczególnie dotknęło nas to postąpienie profesorów, nas, którzy zwalczyliśmy socjalistów w dyskusjach, polemikach, kłótniach, wykładach, argumentami czerpanymi z historii, socjologii, nauk przyrodniczych, przejawów życia społecznego, a więc argumentami rozumowymi, może czasem także uczuciowymi. Wkroczenie w tę walkę przemocy siły fizycznej przekreśliło i uniemożliwiło na przyszłość całą naszą akcję, pozostawiając brutalnej sile policyjnej (z placu Smolki albo z kolegium profesorskiego) walkę z tą ideą. Tak mniej więcej referowałem sprawę na Walnym Zgromadzeniu słuchaczy politechniki. I postawiłem wniosek o zwrócenie się do kolegium profesorów z prośbą o ponowne rozpatrzenie sprawy, a tymczasem cofnięcie relegacji. Uchwała zapadła jednomyślnie.

Wystosowałem pismo do kolegium i zbierałem podpisy. [Z] wyjątkiem pięciu kolegów wszyscy inni podpisali się pod pismem. Tych pięciu nie przychodziło na wykłady, więc albo ich nie było we Lwowie, albo może nie chcieli się podpisać. W oczy nikt mi nie odmówił. Pismo trzeba było wnieść, bo nazajutrz miało być ostatnie, w zimowym półroczu posiedzenie kolegium. Arkusz z podpisami położyłem na stole w pokoju Wydziału. Jakiś był powód, że nie schowałem go do szuflady i nie zamknąłem na klucz. Wychodząc z Wydziału ostatni, rzuciłem okiem na leżące na stole podpisy, zamknąłem drzwi od pokoju na klucz, który wzięłem ze sobą. Pokój Wydziału był oddzielony drewnianym przepierzeniem od sali klubowej. Ścianka nie dochodziła do sufitu, ale miała co najmniej 2½ metra wysokości. Rano otwieram kluczem drzwi, wchodzę pierwszy do pokoju Wydziału i... arkusza z podpisami nie widzę. Szukam wszędzie. Nie ma! Rozstąp się ziemio! Nie ma! Szczegółowe badanie wykazało odciski dłoni na odwiecznym kurzu, zaścieńającym wierzch przepierzenia. Ktoś przełaził wierzchem. Po szafie stojącej w sali klubowej wszedł na górę, dostał się do pokoju Wydziału, zabrał arkusz z podpisami i po stole, krzesłach, szafach bibliotecznych przeszedł z powrotem do sali i na korytarz. Po złodziejsku! Nie można było zwlekać, by zebrać na nowo podpisy, bo Mokłowski straciłby jeden semestr. Trzeba było pismo wnieść bez podpisów. Dołączyłem do pisma wyjaśnienie stwierdzające, „moim słowem honoru, że zebrałem 190 podpisów. Nie podpisało pięciu, których wymieniłem, arkusz z podpisami został przez nieznanego złodzieja z pokoju Bratniej Pomocy tej nocy skradziony”.

Przy wręczaniu pisma rektorowi Skibińskiemu<sup>430</sup> opowiedziałem o wyniku naszych dochodzeń w sprawie kradzieży. Pismo weszło na posiedzenie. Nazajutrz otrzymaliśmy odpowiedź, że wobec braku podpisów kolegium przeszło nad „anonimem” do porządku dziennego. Stało się to na wniosek prof. Maksymiliana Thulliego<sup>431</sup>.

Zahuczało na technice, zrobiło się jakby kto kij wsadził w mrowisko. Zaczęły się poszukiwania, domysły. W dwa czy trzy dni potem, donosi mi jeden z kolegów (nazwiska nie pamiętam), że podpisy ukradł jeden kolega z pierwszego roku Jan Matejko (bratanek mistrza), że schował je w swoim kufrze na wierzchu. Ryzykuję. Zapraszam W. Brygiewicza i we dwójkę idziemy do mieszkania Matejki. Zamiast powitania, mówię do niego ostrym tonem: „Kolega ukradłeś arkusz z podpisami?”. Zbladł, zmieszał się: „Nieprawda, nie wziąłem!”. „Otwórzcie kufer!” – krzyczę do niego. Otwiera. Na wierzchu leży arkusz białego papieru... z podpisami. „A to co jest? Czemuście kradli? Kto Was do tego namówił?”. Przerażony Matejko wybałuszył oczy i wybąkał: „Prof. Thullie!”.

Wyszliśmy z Brygiewiczem z tej pierwszej i ostatniej w życiu przez nas przeprowadzonej rewizji, na pewno bardziej zdenerwowani od biednego Matejki. Sprawa przybrała całkiem inną postać. Może by podpisy uratowały Mokłowskiego, a może nie. Tu relegowany, ofiara przekonań, tu pogwałcenie wolności akademickiej, a tam, nastraszony, głupekowaty kolega o wspomniałym nazwisku, ale za nim prof. Thullie, największy reakcjonista z całego grona profesorskiego.

Ten romans kryminalny załatwiało aż pięć Ogólnych Zgromadzeń Techników. Chcąc uderzyć moralnie Thulliego, musieliśmy bić w Matejkę. Moje sprawozdanie na Zgromadzeniu brzmiało jak karta z kryminalnej powieści. Ja i Brygiewicz byliśmy oskarżycielami. Obrony Matejki podjął się kolega Karol Rolle<sup>432</sup>, byczy chłop, doskonały chemik i organizator, dzielny obywatel, który jako prezydent miasta Krakowa pięknie zapisał się na kartach historii tego grodu. Ale ówczasie patrzyliśmy na niego krzywo z dwóch powodów. Podejrzewaliśmy go, że w krakowskiej szkole realnej przyłgnał do niego osad stańczykowski i dlatego broni Matejki ze względu na jego wielkiego stryja imiennika, przecież stańczyka. Zaś Królewiaczy, podejrzliwi z natury swoich

---

<sup>430</sup> Karol Skibiński (1849–1922) – inżynier kolejowy, budowniczy linii kolejowych w monarchii austro-węgierskiej, profesor, wielokrotny dziekan Wydziału Inżynierii i rektor (1891/1892) Szkoły Politechnicznej we Lwowie.

<sup>431</sup> Maksymilian Thullie (1853–1939) – profesor Politechniki we Lwowie, dziekan Wydziału Inżynierii i Wydziału Inżynierii Wodnej, dwukrotny rektor tejże uczelni; znawca teorii budowy mostów, radny miasta Lwowa. W II Rzeczypospolitej senator w latach 1922–1935.

<sup>432</sup> Karol Rolle (1871–1954) – inżynier ceramik, działacz polityczny, wieloletni radny miejski Krakowa, w latach 1926–1931 prezydent Krakowa, senator w II Rzeczypospolitej.

politycznych stosunków za kordonem, przebąkiwali z przekąsem o jego ojcu, znanym historyku drze Antonim J.<sup>433</sup>, że za blisko żyje w swoim Kamieńcu Podolskim z Moskalami. My nie wiedzieliśmy, co o tym sądzić, tym bardziej, że rehabilitacja Kaczkowskiego, już wtedy rozgłoszona przez prof. Liskego, nakazywała ostrożność przed pochopnymi, tego rodzaju oskarżeniami. Gdy te pogłoski doszły do Karola, załamały go na jakiś czas. W końcu 1892 r. wycofał się z prac w Wydziale i Komicji Lustracyjnej, mimo iż jeszcze dwa lata pozostał na technice i był członkiem Bratniej Pomocy. Była to bardzo przykra sprawa. Jego ojca, lekarza, znałem tylko z bardzo sympatycznych opowieści i gawęd z XVIII wieku o ludziach na Kresach Wschodnich Rzeczypospolitej. Jaki był jego stosunek do władz rosyjskich, nie mam pojęcia, a zarzuty szeptane nie utkwily mi w pamięci. Musiały być nieistotne. A choćby nawet, w co trudno uwierzyć, ojciec zawinił, nie należało ani obciążać tym syna, ani wobec syna oskarżenia powtarzać. Dużo wody w Wiśle upłynęło nim zapomnieliśmy o wynikających z tych pogłosek antagonizmach, niewątpliwie krzywdzących Karola.

Ale w kwietniu bronił Matejkę na dwóch kolejnych Zgromadzeniach. Mimo obrony, uchwała, domagająca się od kolegium wydalenia za kradzież kolegi Matejki z techniki, zapadła prawie jednomyślnie. Udawaliśmy, że wierzymy, że nasi profesorowie, relegujący słuchacza za niemiły im światopogląd socjalistyczny, okazały się bez porównania surowszymi w karaniu za zbrodnię kradzieży, która przecież przyniosła szkodę koledze Mokłowskiemu, skoro profesorowie zlekceważyli niesłusznie – jak odebrany arkusz z podpisami udowodnił – słowo honoru prezesa Bratniej Pomocy.

Odmowa kolegium profesorskiego, uznania złodziejstwa za powód do wydalenia słuchacza techniki, wyjaśniła całkowicie sprawę. Rektor Karol Skibiński, doskonały profesor i bardzo zacny człowiek, nieco zawstydzony tą uchwałą, przyrzekł, że nie przyjmie na rok szkolny 1892/3 Jana Matejki na technikę. Ponieważ nie zależało nam na zgnębieniu Matejki, tylko na uderzeniu w sumienie prof. Thulliego, a to się w całej pełni stało, przeto uchwaliliśmy, na razie wykluczyć Matejkę z grona kolegów i czekać na dotrzymanie słowa przez pana rektora.

Tymczasem nowy rektor prof. J. Rychter<sup>434</sup> był innego zdania aniżeli jego poprzednik. A w jego osobie kolegium nie tylko zlekceważyło moje słowo honoru, ale również przeszło do porządku nad słowem prorektora Skibińskiego. Rychter z całą świadomością następstw, wpisał Matejkę na technikę. Nie popuściłem sprawy. Zaraz w październiku zwołałem ogólne Zgromadzenie.

<sup>433</sup> Antoni Józef Rolle (1830–1894) – lekarz psychiatra, historyk amator, publicysta.

<sup>434</sup> Józef Rychter (1843–1917) – inżynier, specjalista w zakresie budownictwa wodnego, profesor Szkoły Politechnicznej i rektor w latach 1900/1901.

Uchwaliliśmy jeszcze raz petycjonować [s] o wydalenie Matejki z zakładu. Na argument, że jest biedny i nie ma za co wyjechać do Wiednia, zebraliśmy 100 złr. na wyjazd, kosztą [s] zapisu i urzędzenia się J. Matejki we Wiedniu. Kolegium, jak łatwo przewidzieć, znów odmówiło. Koledzy zaczęli ostentacyjnie opuszczać sale wykładowe, skoro tylko zjawił się Matejko. To o tyle nie pomogło, bo Matejko na razie przestał chodzić na wykłady. Na Walnym Zgromadzeniu ogółu techników wyłonił się (nie pamiętam czyj) wniosek zaprzestania chodzenia na wykłady, do sal rysunkowych i do laboratoriów, dopóki Matejko będzie słuchaczem. Po prostu strajk!

Przewodniczyłem na tym zgromadzeniu. Obecni byli prawie wszyscy technicy, blisko 200. Zarządziłem głosowanie nad wnioskiem strajkowym przez „rozstąpienie”. Wynik był taki: garść oświadczyła się za strajkiem, garść przeciw, a przeszło setka stała z tyłu sali, nie decydując się ani w tę, ani w tę stronę, ani za, ani przeciw strajkowi. Kapelusze na głowy, suną do drzwi, chcą dać drapaką. Szybko przebiegłem salę, dopadłem do drzwi, zanim ktokolwiek wyszedł z sali, zamknąłem je na klucz i wołam: „Nie namawiam Was do strajku i nie agituję przeciw, ale na coś musicie się zdecydować: tak albo nie!”. Po krótkim wahaniu, niezdecydowani oświadczyli się za strajkiem. Widząc to, przeciwnicy przerzucili się na stronę zwolenników strajku z hasłem: „Jak wszyscy, to i my!”. Uchwała strajkowa zapadła jednomyślnie, nikt się nie sprzeciwił, nikt się nie wstrzymał.

Nazajutrz dopilnowałem, aby naprawdę nikt się nie zjawił na wykładach ani w sali rysunkowej. Generalny strajk, pierwszy na naszej technice, udał się w stu procentach. Wygraliśmy! Po trzech godzinach profesorowie, niemal siłą, zmusili Matejkę do wypisania się z Politechniki i opuszczenia Lwowa. Rektor uwiadomił mnie o tym oficjalnie, wobec tego natychmiast ogłosiłem zakończenie strajku. Kolegium nam tego nie darowało. Znowu został relegowany Mokłowski i na przyprzążkę<sup>435</sup> z nim razem Kiszakiewicz. Prawdopodobnie przy śledztwie mocno się stawiał i wypalił prosto z mostu, co sądzi o postępowaniu grona profesorskiego. Przesłuchiowano wszystkich. Niektórzy wskazywali na mnie jako na tego, który ich do strajku zmusił. Ci wyszli cało. Ale blisko 130 otrzymało naganę „dziekańską”, czterech naganę „rektorską”, a ja naganę „rektorską” (udzieloną uroczyście w Auli przez Rektora w obecności czterech dziekanów) z zagrożeniem wydalenia z zakładu w razie powtórnego najmniejszego wykroczenia przeciw przepisom dyscyplinarnym.

Wcale nie byłem przesłuchiwany. Na kolegium został zgłoszony wniosek relegowania mnie z techniki. Za i przeciw była równa ilość głosów, tu i tam dziewięć! Nadszedł na posiedzenie kolegium prof. Gostkowski i swoim

<sup>435</sup> Przyprzążka – przyprężenie dodatkowego konia do wozu.

głosem rozstrzygnął przeciw mojej relegacji. Sam mi o tym opowiadał, oburzając się na srogie kary, nakładane przez grono. Dzięki jemu wyszedłem cało z tej sprawy. Na pamiątkę wpisał mi dziekan Wydziału Inżynierii prof. Thullie do książki legitymacyjnej (indeksu) następującą notę: „Na mocy uchwały kolegium profesorów z dnia 17 lutego 1893 r. otrzymał pan Jędrzej Moraczewski za I półrocze r. szkolnego 1892/3 notę z obyczajów odpowiednią. We Lwowie dnia 20 lutego 1893”. Pieczęć i podpis. W tym tkwił cały Thullie! Sztubacka nota z obyczajów wpisana akademikowi, który ukończył 23 rok życia i studiował dziewiąty semestr inżynierii! Nie dziwota, że Ignacy Daszyński zbeształ, równo z błotem, kolegium profesorów za całość tej sprawy w lwowskim tygodniku „Robotnik”. Zaskarżony przed sąd, przeprowadził dowód prawdy i został uwolniony!

## 2.

**Ustępuję z prezesury, Ruebenbauer prezesem. Ruebenbauer i Kobylański. Mieszkam razem z Ruebenbauerem u pani Kunaszowskiej. Nie mówimy do siebie. Klimonda jedzie do Paryża. Joachim Traczyk.**

W końcu marca 1892 r. ustąpiłem z prezesury. Na pożegnanie policja skonfiskowała moje przemówienie na wieczorku kopernikowskim, z powodu wyraźnej w nim treści patriotycznej i społecznej. Najistotniejsza część tej niedopuszczalnej do wygłoszenia mowy brzmiała: „Pomawianie nas młodych o kosmopolityzm stało się niejako zwyczajem. A przecież ten, kto nas choć trochę zna, musi przyznać, że zupełnie fałszywe takie mniemanie. My polska młodzież ukochaliśmy Ojczyznę naszą nie mniej od pokoleń, które boje o wolność toczyły i krew przelewały. Wiemy, jakie na nas spadają obowiązki i naszym najusilniejszym staraniem jest ich należyte wypełnianie.

„Naród wielki, szlachetny, który wydał Koperników, Mickiewiczów, Śniadeckich<sup>436</sup>, Czackich<sup>437</sup> nie może marnie zginąć, musi powstać z upadku, a powstanie nie jakimś nadprzyrodzonym cudem, ale sam musi się z niewoli wydzwignąć, własną siłą i własną zasługą. Praca nad zdobyciem tej siły, to praca mrówcza, czekająca nas w przyszłości, to praca nad ludem i dla ludu. Bo naród, w którym wiedza jest nie tylko nagromadzoną, ale szeroko rozpostarta, sam sobą zechce rządzić, nie dopuści, by ktoś obcy nim kierował, na

<sup>436</sup> Być może mowa o Janie Śniadeckim (1756–1830) astronomie, matematyku, filozofie i pedagogu oraz jego bracie Jędrzeju (1768–1838) lekarzu, biologu, chemiku i filozofie.

<sup>437</sup> Tadeusz Czacki (1765–1813) – pedagog i działacz społeczny, współzałożyciel Towarzystwa Przyjaciół Nauk i jeden z współtwórców Konstytucji 3 Maja.



losy jego wpływał. Naród nasz posiada wielu mężów wysokiej wiedzy i nauki, posiada wiedzę nagromadzoną, ale najliczniejsza masa narodu, szary proch, lud nasz, biedny, ciemny, obałamucyony i wyzyskiwany jest i przez wrogie nam rządy, i przez nasze warstwy uprzywilejowane. Zatem lud oświecić, uobywatelić [s], wydzwignąć z materialnej nędzy, pouczyć, jakie na niego spadają obowiązki i jakie ma prawa, to jest ta mrówcza praca, do której musimy się przygotować. Bo w tych szerokich warstwach ludowych tkwi niczym niespożyta siła miłości do Ojców swoich, ziemi, siła przywiązania do języka i zwyczajów, lecz przygniata je ciemnota i nędza materialna. Wnieść pochodnię oświaty w ten lud, zbudzić drzemiącą potęgę – a powstanie siła, której nic oprzeć się nie zdoła.

Ujrzyć lud polski w dobrobycie, świadomy swych praw, obowiązków i swej potęgi, straszny poczuciem wiekowych krzywd mu wyrządzonych, żądający od najeźdźców i krzywdzicieli zdania rachunku z ich postępów, to nasze dążenie, nasz ideał, nasze najgorętsze pragnienie. Dążąc ku temu ideałowi, stawiamy sobie za wzór naszego Kopernika, który nie wahał się nauką swoją obalić gmach przesądów i ciemnoty, wyzwolić naukę z krępujących ją więzów. Jak on życie całe poświęcił badaniu tajników wiedzy, tak my całe życie nasze poświęcamy pracy nad osiągnięciem naszego ideału. A jedyną zachętą, jedynym bodźcem do tej pracy, będzie niezachwiana niczym wiara, że kiedyś, z tego miejsca: wolnych snów, wolnej Ojczyzny, witać będzie wolna młodzież polska!"

Towarzystwo zostało w ciągu pięciu miesięcy całkiem uporządkowane, finanse uregulowane, kasa zasobna, kółka wszystkie w rozkwicie. Praca Bratniej Pomocy pochłaniała cały mój czas, kosztem studiów, które na czwartym i piątym roku obejmowały ściśle inżynierskie przedmioty, nie można ich było lekceważyć. Więc gdy praca moja w Towarzystwie przestała być niezbędną, a w Karolu Ruebenbauerze poznałem człowieka niezmiordowanej pracy, doskonałego i obowiązkowego organizatora, a przy tym na wskroś uczciwego człowieka, mogłem Wydział oddać w ręce świetnego następcy. Na Walnym Zgromadzeniu, które zresztą uchwaliło mi „uznanie”, przekonałem kolegów do powierzenia prezesury stosunkowo mało im znanemu i na zewnątrz nieimponującemu, Ruebenbauerowi (Ojciec mój stale nazywał go Rzepochłopem).

Uproszony przez Karola, by mu pomagać w sprawach reprezentacyjnych, zgodziłem się wejść do Wydziału jako zastępca wydziałowego. Objąłem i uporządkowałem archiwum. Widocznie mój syn odziedziczył po mnie żyłkę archiwariacką<sup>438</sup>. Prowadziłem redakcję rocznych drukowanych sprawozdań

---

<sup>438</sup> Tak w oryginale. Najmłodszy syn Jędrzeja Moraczewskiego, Adam (1907–1941) był pracownikiem Archiwum Oświecenia Publicznego i historykiem specjalizującym się w badaniu dziejów Warszawy.

Wydziału w latach 1889/90, 1891/2 i 92/3. Sam pisałem słowa wstępne, kroniki i poszczególne sprawozdania, których nie napisali koledzy. W sprawozdaniu za rok 1891/2 napisałem, z materiałów archiwalnych, zarys dziejów Towarzystwa i wykaz dat statystycznych, świadczących o jego rozwoju. Pomagając prezesowi, pisałem mu przemówienia i ważniejsze listy. Jednak pełnej odpowiedzialności za przemówienia Ruebenbauera, w ciągu dwóch lat jego prezesury, nie biorę na siebie, bo on uzupełniał moje koncepty swoimi wtrąceniami i opuszczeniami moich zdań, co często gęsto wypaczało myśl zasadniczą. Raz nawet w r. 1894 doprowadziło do odebrania mu głosu w czasie wspólnej kolacji weteranów 1863 r., odbywającej się w rocznicę powstania styczniowego.

Jeszcze raz w końcu 1892 r. dałem się wybrać na zastępcę wydziałowego dla uporządkowania biblioteki, ale 18 kwietnia 1893 r. ustąpiłem ostatecznie z Wydziału. Zakończyłem okres moich prac w Zarządzie Bratniej Pomocy, trwający przez 4 lata i 4 miesiące, bo od 8 grudnia 1888 do 18 kwietnia 1893 r. Prawie w tym samym czasie kończy się również moja praca w tajnym związku. Jeżeli dzielenie życia ludzkiego na okresy ma sens, to w połowie 1893 r. skończyłem jeden okres mego życia.

Teraz byłoby miejsce na rzut oka na ludzi, tj. na kolegów i profesorów. Zacznę od tego, na którym dopiero skończyłem, od Karola Ruebenbauera, zwanego przez nas „Rybą”. Syn profesora uniwersytetu lwowskiego, spolszczonego Niemca. Karol opowiadał o nim jako o przyjacielu Smolki. Mało mnie co prawda obchodził jego śp. ojciec. Za to interesował mnie Karol i jego prezesura. Główną jego zasługą jest wybudowanie własnymi siłami, we własnym zarządzie pierwszego domu mieszkalnego dla członków Bratniej Pomocy (I dom techników), a właściwie mówiąc, pierwszego domu akademickiego na terenie ziem polskich. Włożył w tę budowę wszystkie swoje wartości, całego siebie, zaniedbał studia, ale uparł się, skończył najpierw dom, a potem dopiero technikę. Najlepszy kolega, człowiek czułego na niedolę ludzką serca, które pokrywał rubaszną formą. Stąd wychodziły nieraz w stosunkach z nim i śmieszne sceny. Doskonale charakteryzuje go rozmowa z kolegą Tadeuszem Kobylańskim<sup>439</sup>. Ten ostatni namawia go raz na przechadzkę do kawiarni na Wysoki Zamek. „Niechęętnie to czynięę” – powtarza Ryba. „A cóż tu u diabła ciężkiego chęętnie czynisz?” – pyta już zniecierpliwiony gość. „Chęęętnie sram” – odpowiada z flegmą gospodarz. „Na pewno Twoja narzeczona zdziwi się, gdy jej Twoje gusta odkryję” – atakuje go Kobylański. „Ordynarny jesteś, mój kochany” – odpala niezmiészana Ryba.

---

<sup>439</sup> Tadeusz Kobylański (1870-?) – student Wydziału Inżynierii Szkoły Politechnicznej we Lwowie w latach 1888–1893, następnie inżynier przy budowie linii kolei państwowych w Galicji.

Przez dwa lata mieszkaliśmy razem w jednym pokoju. Początkowo w odnajmowanym nam przez panią Kunaszowską w domu przy ul. Kopernika 17. Pani Kunaszowska, zwana przez nas „Babcią”, była żoną oficera z r. 1831 i właścicielką dóbr Łuka pod Kałuszem. Miała wnuka Henia Preka, zresztą chłopca rozhuśtanego świadomością, że jest jedynym spadkobiercą, znacznego, po Kunaszowskich majątku. Karol mu trochę mentorował i nieco go uczył. Nieraz zachodziliśmy do staruszki na herbatę. Lubiła z nami dysputować. Była czytana w beletrystyce, a także w literaturze filozoficzno-klerykalnej. Głowę miała otwartą i coś niecoś głoszonych przez nas idei społecznych utkwilo w jej mózgu. Stąd rozmowa z nią nie była bynajmniej zdawkową grzecznością za zjedzoną kolację. Trzeba przyznać, że za jej wyraźną sympatię ku nam, odpłacaliśmy tym samym tej siedemdziesięciokilkuletniej staruszce.

Po tym nawiasie wracam do Ryby. Nieraz przychodziło między nami do kłótni, bo obaj byliśmy uparci i obaj mieliśmy swoje zdanie. Nie pomnę, o co poszło, dość, że zirytowany przeze mnie Karol – a byłem wtedy w bardzo zgryźliwym usposobieniu – krzyknął do mnie: „Proszę Cię, nie mów do mnie więcej!”. „Dobrze” – odpowiedziałem – „nie powiem do Ciebie ani słówka, dopóki mnie o to nie poprosisz”. Od tego czasu przestaliśmy do siebie mówić i tak trwało przeszło rok. W początku tej kłótni służyłem we wojsku (w artylerii). Sprawy gospodarcze załatwialiśmy między sobą pisemnie. Gdy po śmierci męża pani Kunaszowska zwijała mieszkanie lwowskie, zapytał mnie Ryba pisemnie, czy chcę dalej z nim mieszkać? Odpisałem, że nic nie mam przeciw wspólnemu pokojowi. Znalazł pokój, wynajął, przeprowadziliśmy się, urządzili i na nowym mieszkaniu dłużej niż przez cztery miesiące nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa. Gdy we wrześniu 1895 r., po odsłużeniu wojska, zrzuciłem mundur, pożyczył ode mnie cały mój sprzęt wojskowy, teraz z mundurem Karol, od 1 października tego roku zaczął odsługiwać swoją jednoroczną służbę wojskową, w tym samym pułku artylerii, który dopiero co opuściłem. Dopiero później, po zdarzeniu, o którym jeszcze będzie mowa, odtajał, przemówił pierwszy, prosił, abym nie pamiętał tego, co mu się tylko wypsnęło i znowu odzyskaliśmy mowę. Jednak niedługo potem wyjechałem na robotę inżynierską, więc zwinęliśmy wspólne mieszkanie. W kilka lat później družbowałem na jego weselu z Anną Hoszowską, której ojciec walczył w 1831, a matka była Greczynką, z domu Maurocordato, co Karol z dumą podkreślał. Wesele odbyło się na wsi, w majątku Frenkla<sup>440</sup>, właściciela jednego z największych młynów galicyjskich w Przemyślu.

---

<sup>440</sup> Mowa o Alfredzie Frenkle – przedsiębiorcy i właścicielu zbudowanego w 1865 r. młyna w Przemyślu.

Dla ilustracji twierdzenia, z którym wystąpię po tym obrazku, wspomnę dwóch kolegów jednego typu. Józef Klimonda, syn kierownika szkoły ludowej w krakowskim, był i bardzo zdolny, i bardzo pracowity. Maturę zdał z odznaczeniem, wszystkie egzaminy na technice zdawał z odznaczeniem. Tkwił w nim tak silny pęd skończenia techniki i dorwania się własnego chleba, że wszystko, co go od tego, choć na krótko odrywało, było mu obce, jeżeli nie wstrętne. Wyglądało to zupełnie na pierwiastek egoistyczny, który sprawiał, że nie nadawał się do życia publicznego. Z domu otrzymywał zasiłek, choć mały, ale stały, regularny. Oprócz tego miał stypendium. Dorabiał lekcjami, względnie rysunkami. Razem miał się całkiem dobrze.

Dla uzupełnienia studiów, postanowił zwiedzić wielką wystawę światową w Paryżu w 1889 r. i wieżę Eiffla, która wtedy w świecie „technicznym” wywołała wiele hałasu. Wyliczenia skrupulatne wykazały, że na podróż i dziesięciodniowy pobyt w Paryżu potrzeba 500 złr. Na rok przed wystawą zabrał się Klimonda do gromadzenia pieniędzy na tę wyprawę. Przestał palić, pić itd., odmawiał sobie wszelkich przyjemności. Mieszkanie miał możliwie tanie, bo mieszkało ich czterech w jednym pokoju. Wikt jego składał się w tym roku z herbaty (bez cukru) i suchego chleba. W krótkim czasie cała technika patrzyła na tego „anachoretę” jak na bohatera. Koledzy zaczęli go zapraszać do siebie na wieczery, gotowali mu herbatę, znosili w podarunku herbatę, cukier, tłuszcze, chleb, wędliny, aby mu pomóc. Dość, że cały rok przetrwał, przebiedował, zgłodniał, ale pieniądze na drogę uzbierał. Z nim razem pojechał Fedorowicz<sup>441</sup>, syn księdza ruskiego, któremu zamożny ojciec dał potrzebne na drogę pieniądze. Gdy po zakończeniu semestru wyruszali do Paryża, odprowadziło ich nas kilkudziesięciu na dworzec. Byłem wzruszony siłą woli i sukcesem Klimondy. Jadąc w trzy tygodnie później pociągiem do Zborowa (do Perepelnik na wakacje), nadziałem się na Fedorowicza. „Jakie wystawa wywarła na Was wrażenie? Coście widzieli ciekawego? Jak wieża Eiffla?” – zasypuję go gradem pytań, niesłuchanie rad ze spotkania. Fedorowicz śmieje się: „Wcale nie byliśmy w Paryżu! Wysiedliśmy we Wiedniu!”. Opowiada, że znalazłszy się na wiedeńskim dworcu północnym i nie mając dalszego, bezpośredniego pociągu, musieliśmy nocować we Wiedniu. W jakimś hotelu, naprzeciw dworca, znaleźli miły pokój, miłe dziewczynki, smaczne wino, dobre jedzenie i zaczęli zabawę na szeroki kamień. Przeciągnęła się na drugi, trzeci, czwarty i dalsze dni dopóki w pularesach nie zostało tylko tyle pieniędzy, ile trzeba było na powrót. Poza Praterem<sup>442</sup> nawet Wiednia nie widzieli.

<sup>441</sup> Być może mowa o Eugeniuszu Fedorowiczu, urodzonym w 1871 r. studencie Wydziału Inżynierii lwowskiej Szkoły Politechnicznej, później geodecie we Lwowie.

<sup>442</sup> Prater – park publiczny w Wiedniu.

Bohaterstwa starczyło Klimondzie na rok, ale zabrakło na ostatnie dwa dni. Życie dalsze nauczyło mnie, że mój kolega nie był wyjątkiem, tylko drastycznym przykładem. Z reguły ten, który za młodu musiał harować w biedzie, głodzie i chłodzie, który musiał wydobyć ze siebie niezwykły hart i siłę woli, żeby ukończyć wyższe studia, ten wszedłszy w życie jako inteligent, nie okazuje ani siły woli, ani mocnego charakteru. Wszystko wyszała z niego młodość.

Mogę więcej przykładów tego twierdzenia namnożyć. Np. góral spod Babiej Góry, Joachim Traczyk. Do piętnastego roku życia pasał w górach bydło i wygrywał se [s] na fujarce. Gra tego pastucha zainteresowała organistę z Osielca, rodzinnej wsi młodego Joachima. Wziął go na chór do kalikowania<sup>443</sup>. Wkrótce zdolny chłopak grał już na organach i zastępował swego mistrza na chórze kościelnym. Jego muzyka i śpiew zainteresowały znowu nauczycieli ludowych. Wyjaśnili pastuchowi kalikantowi wyższość pracy nauczyciela nad „dławidudą”, poduczycieli trochę i wyprawili do seminarium nauczycielskiego do Krakowa. W Krakowie zaczęli się o zamożniejszych chłopców ze szkoły realnej. Już po zdaniu egzaminu i rozpoczęciu nauki w seminarium został u nich na posługach. Realiści zaczęli przed nim wychwalać zawód inżyniera, a szydzić z pracy nauczyciela ludowego: „Co z tego, że zostaniesz w swych górach «kinderbałamutem»!” Do końca życia żaden „srakołtuka” nie ujrzy owoców swej pracy. Co innego inżynier. Zostanie po nim most, droga. Kolej, dom, uregulowana rzeka, widzi swoje dzieło i wie, że go przeżyje długie lata”. Uległ namowom. Nie rzucił seminarium, ale równocześnie przygotowywał się do matury i w seminarium, i w realce. Zdał obie. Szczęściem, że nie dostał się w koło medyków, którzy na pewno byliby obśmiewali inżynierów jako „skoczybrzdów” i „omentrów”, a potem w grono prawników, wydziwiających nad „łapiduchami” i „konowalami”, bo byłby moralnie zmuszony kończyć trzy fakultety w szkołach wyższych. Przyjechał do Lwowa biedny jak mysz kościelna. Nie miał dosłownie nic. Przepraszam. Miał przecie coś! Swoje zmagania się i siłą swej woli otwartą bramę techniki.

Właśnie zostałem prezesem Bratniej Pomocy, gdy doszła mnie opowieść o młodości tego górala. Zebrałem 120 złr. na stypendium koleżeńskie dla niego. Obiady w kuchni, pożyczki z kasy i korepetytorka umożliwiły mu istnienie. Później znalazł sobie spryciarz źródło dochodów, pomagając za możliwym, a mniej pojętym kolegom w przygotowywaniu się do egzaminów. Sam egzaminy świetnie pozdawał. Ceniony był wszędzie jako doskonały

<sup>443</sup> Kalikować – pompować powietrze do miechów organów dawnego typu za pomocą dźwigni.

inżynier, pracowity i uczciwy człowiek. Zmysłu społecznego nie miał w sobie za grosz. Stronnictwo Ludowe? Wybory? Demonstracja? Czytelnia ludowa? Pisma ludowe? Chłopskie? Poza pracą zawodową i własną rodziną zajmowała go początkowo fotografia, a potem samochody. I tyle. Na obu znał się pierwszorzędnie. Fotografował po mistrzowsku! Zostawił po sobie mosty, może drogi, domy, części uregulowanych rzek. Widział wynik swej pracy. Tak! Prawda! Może to i dość? Może nie mam prawa wymagać więcej od człowieka, który przez wiek młodości łamał się z losem, mordował w pocie i trudzie, a za to chce mieć dalsze życie bez męki, bez trudu, bez walki. Może trudy życia, po opuszczeniu Politechniki, powinny przygniatać ciężarem tego, kto miał jedwabną młodość, nie potrzebował troszczyć się ani o chleb, ani o buty, ani mieszkanie, ani przybory do nauki, bo to wszystko otrzymywał z domu. Może! Ale wtedy życie polityczne u nas pozostałoby zawsze monopolem klas posiadających, Polska nie doczekałaby się postępu w życiu społecznym, nie strząsnęłaby ze siebie przesądów związanych z urodzeniem i posiadaniem.

### 3.

#### **Michał Szpunt. Klan stanisławowski. Adam Lewicki. Kuchnia. Klub Stańczyka. Krakowiak Traczyka o Kanie Galilejskiej.**

**Z**a daleko bym zaszedł, gdybym się silił na odkopywanie z pamięci charakterystyk wybitniejszych kolegów. Tytu wśród nich było zdolnych, pracowitych, pełnych zapału, tytu było społeczników, tytu gorących patriotów, tytu dobrych kolegów i tytu doskonale pracowało w swoim fachu, że chyba trzeba by o każdym coś wspomnieć. Na dobitkę wyrosła we mnie, z biegiem czasu, żyłka złośliwości, kusiłaby do rysowania karykatur, bodaj kilku, bodaj choćby takiego kolegi Michała Szpunta, czerwonego, płonącego, „pryncypialnego” radykała społecznego. Nie mówił właściwie żadnym językiem, choć niby to po żydowsku, rosyjsku, polsku, niemiecku, francusku miał umieć. Co prawda nie potrzebował znać żadnego języka, bo w czasie dysput, nie dysput, a kłótni z nami w „Zachęcie” lub „Ognisku” tylko pluł na lewo i prawo. Wyszedłszy z lwowskiej uczelni, ożenił się w Niemczech z córką właściciela cukrowni czy jakiejś innej fabryki, został typowym fabrykantem tj. wyzyskującym robotników i zwalczającym ich organizacje.

Ale nie. Do lat młodości, najpiękniejszych w życiu człowieka, zawsze wraca się pamięcią z rozkoszą, miłością, a nie z szyderstwem i złością.

Więc tylko ogólnie nadmienię, że węzły koleżeńskie, zadzierzgnięte w szkołach średnich, trzymały i na technice kolegów w grupach miejscowych. Najsilniej powiązany był „klan stanisławowski”. Przetrwał technikę i trwał potem przez długie lata. Pamiętam kilka nazwisk jak Łużecki M.<sup>444</sup>, Łowczyński Fr.<sup>445</sup>, Kramer W.<sup>446</sup> i F.<sup>447</sup>, Sawicki Al.<sup>448</sup>, Schauer L.<sup>449</sup>, Schloss H.<sup>450</sup>, Teodorowicz K.<sup>451</sup>, Wojciechowski Z.<sup>452</sup>, Goldschlag A.<sup>453</sup> Przewodził im najzdolniejszy z nich – Adam Lewicki<sup>454</sup>. On był z naszego roku inżynierii najzdolniejszy i bardzo obowiązkowy. Ale do drugiego egzaminu państwowego nie siadał, bo spieszył się do swego ukochanego Stanisławowa, gdzie został od razu dyrektorem miejskiego urzędu budowlanego. Gdym go w 1899 r. odwiedził, opowiadał mi ze śmiechem, jak udało mu się uzyskać kredyty na niwelację ulic. Nikt w Radzie Miejskiej nie chciał wierzyć, że w ulicach jest coś do skopania, tak dalece wydawało im się miasto, zresztą leżące na równinie, poziomym. Dopiero jak zobaczyli wywożenie kilkuset fur ziemi, zmiarkowali, że jednak trzeba było ulice niwelować. Z dumą oprowadzał mnie po mieście i pokazywał, że wszystkie ulice nie tylko zniwelowane, ale i uregulowane, bo choć nie na wszystkich leżały już chodniki, wszędzie były już ułożone krawężniki. W założonym przez siebie parku miejskim zafundował mi obiad, aby mieć okazję rozczulania się nad swoim dziełem. Akurat trafił do Stanisławowa doskonały dyrektor gazowni Teodorowicz i wspólnym wysiłkiem oświetlili Stanisławów najjaśniej, w owym czasie, ze wszystkich miast galicyjskich. Główną troską Adama była kanalizacja i wodociąg, potem odbudowa ratusza miejskiego.

<sup>444</sup> Michał Łużecki (1868–?) – architekt, absolwent lwowskiej Szkoły Politechnicznej, pracował m.in. w urzędzie budowlanym we Lwowie.

<sup>445</sup> Franciszek Łowczyński (1869–?) – inżynier budowlany, pracownik Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w Wiedniu i Urzędu Hydrologicznego we Lwowie.

<sup>446</sup> Wilhelm Kramer (1867–?) – inżynier budowy kolei.

<sup>447</sup> Być może mowa o Feliksie Kramerze, ur. w 1866 r., członku Bratniej Pomocy i studencie Szkoły Politechnicznej we Lwowie.

<sup>448</sup> Aleksander Sawicki (1868–?) – członek Bratniej Pomocy, chemik, pracownik gorzelnii w Żywcu.

<sup>449</sup> Ludwik Schauer (1869–?) – członek Bratniej Pomocy, student Wydziału Inżynierii.

<sup>450</sup> Hersch Schloss (1868–?) – członek Bratniej Pomocy, student Wydziału Inżynierii, zatrudniony przy budowie kolei w Tarnopolu.

<sup>451</sup> Kazimierz Teodorowicz (1871–?) – członek Bratniej Pomocy, student Wydziału Budownictwa Lądowego, architekt.

<sup>452</sup> Zachariasz Wojciechowski (1863–?) – członek Bratniej Pomocy, student Wydziału Inżynierii, adiunkt budowlany starostwa w Jaśle.

<sup>453</sup> Akiwa Goldschlag (1872–?) – członek Bratniej Pomocy, student Wydziału Chemii.

<sup>454</sup> Adam Lewicki (1871–1941) – członek Bratniej Pomocy, student Wydziału Inżynierii, asystent w Katedrze Geodezji, dyrektor Urzędu Budownictwa Miejskiego w Stanisławowie, w II Rzeczypospolitej inżynier w Zarządzie Miejskim Stanisławowa.

Klanu jarosławskiego pamiętam kolegów Alszer<sup>455</sup>, Brodowicza<sup>456</sup>, Hassmana<sup>457</sup>, Postera<sup>458</sup>, Zangena<sup>459</sup>, Zgorlakiewicza<sup>460</sup>. Najliczniejszym był klan krakowski, ale najmniej zwarty i najbardziej roztrzępujący się.

Rozstrzeliwujące się po klanach życie towarzyskie skupiało się codziennie w czasie obiadów w kółku „kuchnia techników”. Kuchnia była źródłem naszej dumy z tej jedynej w Galicji koleżeńskiej jadłodajni. Przed wielu laty powstało w dawnej Akademii Technicznej (mieszczącej się przy ul. Ormiańskiej 3) coś podobnego do naszej kuchni. Dowcipnie nazywali tych wspólnie jadających Towarzystwem „Kostohryzów”<sup>461</sup>. Ale wyprawa dużej grupy techników do szeregów powstańczych w 1863 r. położyła kres także „Kostohryzstwu”. Dopiero dwadzieścia lat później odżyła myśl zorganizowania wspólnie gospodarowanej jadłodajni. W końcu 1882 r. powstała w Łonie Bratniej Pomocy „Kuchnia” jako samoistne kółko. Koledzy gospodarowali spiżarnią, wydawali obiady, podawali potrawy. Zmywali naczynia. Jedyne do gotowania najęto pracownice, najczęściej żony woźnych. Szklanka herbaty i chleb – *à la discrétion*<sup>462</sup> – kosztowały 3 centy. Kuchnia wydawała przez dziewięć miesięcy, po 1400 obiadów miesięcznie (w przecięciu)<sup>463</sup>, z tego 45 bezpłatnych. Zatem stałych stołowników było około 60. Wydawano obiadów: po 12 ct. 13%, po 21 ct. 24%, po 26 ct. 52%, wyżej 30 ct. 11%. Na herbatę schodziło się drugie tyle kolegów co istotnych stołowników tak, że pokój w suterynach był dla całej tej bandy za ciasny. W „kuchni” omawiało się sprawy Bratniej Pomocy i Związku, i spory z kolegium, i dyskusje kółkowe. A gdy nie było poważnych tematów, występował „Klub Stańczyka”. Tak ochrzciłem to coś, co dziś nazywamy „kabaretem”. Duszą humoru w tym klanie byli Rojewski Alfred<sup>464</sup> i Traczyk. Dobrali sobie zespół wesołków.

---

<sup>455</sup> Wiktor Alszer (1872–?) – członek Bratniej Pomocy, student Wydziału Inżynierii Szkoły Politechnicznej we Lwowie.

<sup>456</sup> Władysław Brodowicz (1869–?) – inżynier, pracował m.in. w Wydziale Krajowym we Lwowie.

<sup>457</sup> Władysław Hassman (1865–?) – zanim rozpoczął studia na Wydziale Inżynierii Szkoły Politechnicznej we Lwowie, był nauczycielem ludowym i odbył służbę wojskową.

<sup>458</sup> Herch Meillech Poster (1872–?) – student Politechniki w Wiedniu i we Lwowie, inżynier w urzędzie pocztowym we Lwowie.

<sup>459</sup> Baruch Markus Bronisław Zangen (1867–?) – student Wydziału Inżynierii Szkoły Politechnicznej we Lwowie w latach 1888–1893.

<sup>460</sup> Władysław Zgorlakiewicz (1869–?) – student Wydziału Inżynierii Szkoły Politechnicznej we Lwowie, pracował w Biurze Melioracyjnym Wydziału Krajowego.

<sup>461</sup> Kostohry (czes.) – szkielety.

<sup>462</sup> *À la discrétion* (franc.) – według uznania.

<sup>463</sup> W przecięciu – przeciętnie.

<sup>464</sup> Alfred Rojewski (1872–?) – inżynier budowy kolei, absolwent Szkoły Politechnicznej we Lwowie.



Rojewski był mistrzem sceny a Traczyk, ex organista, chórów i orkiestry. Instrumenty orkiestry nie były wyszukane. Grzebień z bibułą, harmonijka ustna, drumla<sup>465</sup> na zębach i zwykły bilet wizytowy (koncertowo świstał na nim kol. Józek Sroka, później Jarosławiecki) oto wszystko. Trzeba było widzieć i słyszeć Rojewskiego, jak siadał na konia (krzesło) z szablą (laską) w rękę, jak ustawiał wojsko do defilady, jak ciskał słowa komendy, jak odbierał raport. Sam robił marsz piechoty, tupot koni kawalerii, turkot jadącej artylerii. Sam niby orkiestra grał generał marsza, ryczał słowa komendy, a na ostatku orkiestralnie odgrywał *Boże wspieraj*. Widownia szalała z uciechy z jeźdźca, konia, wojska, generała, orkiestry i miny patetyczno-komicznie wykrzywionej, gdy robił hymn cesarski.

Traczyk dyrygował chórem i orkiestrą klubu. Często śpiewał własne kompozycje. Z jednej, śpiewanej na nutę melodii krakowskiej, zapamiętałem urywki. Podaję je dla pamięci, bo mi się zdaje, że nigdzie dotąd nie były drukowane, a charakteryzują człowieka i czasy.

Na to Pan Bóg dał niedzielę,  
By po tygodniowym trudzie  
Odbywшы rano w kościele  
Wypoczęli sobie ludzie  
Dawszy co boskiego Bogu,  
To jest zmówiwszy pacierze  
Ledwoś zszedł z kościoła progu  
Już Cię chęć do karczmy bierze.  
Bo są tam skrzypek z basistą  
Gdy se posmarują smyczka  
I zagrają posuwisto  
To aż serce w człeku hyćka!  
Dyć potańcować nie szkodzi  
I nie ma boskiej obrazu,  
Jeżeliśwa, kiejśmy młodzi,  
Pohulamy parę razy.  
Nauczyciel też gadywał,  
Że tańczyli polscy królowie,  
Że król Sobek tańczył, śpiewał  
Z kowalichą w Jaworowie.  
Gdy szedł pod Wiedeń na Turka,  
A Turek darł z Niemca trzaski,  
To se wycinał mazurka  
I popijał wino z flaszki.

I ksiądz proboszcz też w niedzielę  
Mówił do ludzi kazanie,  
Że Pan Jezus na weselu  
Tańczył w galilejskiej Kanie.  
A że ludzie biedni byli  
I pieniędzy mało mieli,  
Mało wina zakupili,  
A na bóg im dać nie chcieli.  
Pan Jezus rzekł do czeladzi:  
„Dalej chłopcy! Żywo ino!  
Nalejcie wody do kadzi,  
Ja tu zaraz zrobię wino”.  
A Judasz, pijacka dusza,  
Kiedy sobie zalał pałkę,  
Namawiał Pana Jezusa,  
By z wody zrobił gorzałkę!  
Zaś najświętsza Magdalena  
Z przenajświętszą panną Martą,  
Kiedy się do wina wziena  
Pedzioła co gemby warte!  
Gdy do Marii Magdaleny  
Zabierał się Jan cichaczem,  
Pan Jezus kazał Pietrowi  
Odegnać go pogrzebaczem!

<sup>465</sup> Drumla – ludowy instrument muzyczny wykonywany zazwyczaj ze stali.

Oczywiście były też żarty i przedstawienia Rojewskiego, jako też śpiewki Traczyka i jego chóru tłusto sprośne, ale zawsze były dowcipne, stale budziły zachwyt. Przedstawienie kończyło kichnięcie robione przez pięciu artystów albo przez pięć ich par. Wszyscy wykrzykiwali równocześnie, a każdy inne słowo: „Trefl! Oik! Karo! Kier! Joasia!”. „Klub Stańczyka” nigdy nie nadawał swoim przedstawieniom kolorytu politycznego. Sam humor wystarczał, bo polityki nie brakło nam i tak.

#### 4.

**Rojewski aranżuje pojedynek Goldschläga z Posterem. Pojedynek Gutkowskiego z Zuckrem, Sianożęckiego z Żeleńskim. Prof. Bisanz obrażony.**

Jeden z kawałów Rojewskiego stał się głośnym i przez jakiś czas był sensacją dnia na Politechnice. Za cel swego kawału wybrał Akiwę Goldschläga. Drugą ofiarą był, jeżeli mnie pamięć nie myli, kolega Henryk Poster. „Klub Stańczyka” miał w swoim repertuarze pieśń o Akiwie: „Stoi jawor wedle wody, a... kiwa się, chyla...”. Zresztą Akiwa należał do zespołu Stańczykowego.

Otóż Rojewski był raz przypadkiem świadkiem kłótni między obu przyjaciółmi. Jeden z nich robił wyrzuty drugiemu z powodu niekoniecznie odpowiedniego zachowania się wobec jego siostry. Nasz Alfred ubiera się na czarno i wali do Akiwy, od którego z poważną miną żąda, w imieniu kolegi Postera, zadośćuczynienia z bronią w rękę. Akiwa bierze wezwanie na serio, ile że Rojewski cytuje część rozmowy, która istotnie miała miejsce. Chce się tłumaczyć, ale Rojewski nastaje, że tłumaczenia, wyjaśnienia należą do sekundantów. Radzi na sekundanta kolegę Kazimierza Talkę<sup>466</sup>. Sam się ofiaruje załatwić sprawę z Talką. Akiwa przecież stwierdza, że on jest obrażony a nie Poster, a on nie nastaje na pojedynek. Najpierw Poster jemu to a to powiedział, a dopiero potem on Posterowi tak a tak. Teraz Rojewski już był w domu. Od Postera żąda za to a za to zadośćuczynienia dla Goldschläga. Czy z bronią, czy bez, rozstrzygną sekundanci. Poster próbuje wyjaśnić, że raczej on jest obrażony, nie Akiwa, ale przecież nie aż tak bardzo, by o to zaraz się bić. Ale Rojewski jest nieubłagany. Znów podsuwa mu na sekundanta Talkę i ofiarowuje swoje usługi. Robi z tego niemożliwą parodię. Sekundanci, a właściwie jeden generalny sekundant Talka decyduje, że mają się strzelać. Jednorazowa wymiana kul, meta piętnaście kroków, pistolety

<sup>466</sup> Kazimierz Talko (1869–1938) – urodzony w Tbilisi na Kaukazie, student Wydziału Budowy Maszyn.

oczywiście z gładkimi lufami. Rojewski i Talko rozpowiadają każdemu, kto chce i nie chce słuchać, o pojedynku, oczywiście w tajemnicy, pod słowem honoru. Cała technika aż piszczy z uciechy, oczywiście z wyjątkiem obu pacjentów. Koledzy zakładają się masowo, czy Rojewski wygra bibkę po pogodzeniu stron na placu przed pojedynkiem, czy nie. Bieda była, bo nikt na technice nie miał pistoletów pojedynkowych. Do mnie, jako prezesa Bratniej Pomocy, przypuszcza Rojewski szturm o ryczałtową pożyczkę dla obu pojedynkowiczów. Miałem zmysł do wesołych kawałów, ale nie kosztem publicznej kasy. Oparłem się nie tylko Rojewskiemu, także moim najbliższym przyjaciółom, którzy o to samo mnie atakowali. Co prawda zazwyczaj kasa nasza dawała ryczałtówki na pojedynki. Lecz nie na zabawę. Pojedynek miał się odbyć pod kopcem Unii. Talko prowadzi jedną ofiarę, a Rojewski, wraz ze znajomym prawnikiem, niosącym czarne drewniane pudło pod pachą, niby skrzynkę z narzędziami chirurgicznymi, i robiącym lekarza, prowadzi drugiego bohatera. Nasz Akiwa przypomina sobie naraz jakiś pilny interes w kamienicy po drodze. A że była przechodnią, więc ginie w niej Rojewskiemu. I Poster zwał Talce przed Wysokim Zamkiem.

Rojewski zmienia taktykę. Pogodzi przeciwników i obleją zgodę. Zbiera ich razem z Talką i z tym „doktorem paragrafów” w pokoju jednego z tych niby sekundantów. Wygłasza czułą przemowę i wzywa „srogich” przeciwników, aby pamiętni niedawnej przyjaźni, przestali dybać „krwiozerczo” jeden na życie drugiego. Odwagę i tak okazali swoją gotowością do strzelania się na bliską metę. Dobrze się stało. Że brak czasu przeszkodził im w okazaniu całej pełni swego bohaterstwa, bo przecież pojedynki są barbarzyńskim, głupim przesądem, bo przecież donkiszoteria jest śmiesznym przeżytkiem, bo w ogóle i tak dalej...

Wzruszył i pogodził obu. Gdy skończył, Akiwa wykrzyknął: „Ja chętnie, jako strona wyzwana...” Nie dał mu skończyć Poster: „Kolega się myli, ja jestem stroną wyzwaną!”. „Nieprawda” – woła Akiwa – „w Twoim imieniu wzywał mnie kolega Rojewski!” „Kłamiesz!” – ryczy zezłoszczony naprawdę Poster – „Do mnie przyszedł kolega Rojewski z wyzwaniem od Ciebie!”. Rozpoczęła się coraz gorętsza kłótnia. Skoczyli do siebie z pięściami. Na szczęście, któryś z nich oprzytomniał. „Niech kolega Rojewski zaświadczy!” A Rojewskiego ani sekundanta, ani chirurga praw z pudłem już nie było. Pojedynkowicze pobiegli szukać Rojewskiego. Musiałem ich godzić, uspakajać i bronić przed nimi Rojewskiego. Ostatecznie śmieli się z tego kawału, wszystko darowali. Może radzi, że się nie strzelali.

Parodia pojedynku urządzona przez Rojewskiego miała swoją dobrą, poważniejszą stronę. Zahamowała trochę, zakorzenioną między nami, manię pojedynków. Ja, z biegiem czasu, stałem się generalnym sekundantem we

wszystkich sporach. Sekundowałem kilkadziesiąt razy, zazwyczaj doprowadzałem do pokojowego załagodzenia sprawy. Do pojedynku doszło coś sześć czy siedem razy. Sam zażądałem zadośćuczynienia raz od Wojciecha Dąbrowskiego, raz od Kazimierza Mokłowskiego. Obaj dali mi pełną honorową satysfakcję, odwołując pisemnie, obrażając mnie powiedzenia.

Dwa pojedynki utkwiły mi w pamięci. Powodem jednego z nich było spoliczkowanie w sali rysunkowej Stanisława Gutkowskiego<sup>467</sup> z mechaniki przez kolegę Izraela Zuckra, też z tego samego roku mechaniki. Ten ostatni reagował na ostry język Gutkowskiego i jego złośliwości z racji swoich syjonistycznych przekonań. My sekundanci orzekliśmy, że: „ta zniewaga krwi wymaga”. Sekundując Gutkowskiemu, przerabiałem z nim szermierkę w naszym lokalu szermierzy. Bojąc się, że go naprędce niczego nie nauczę, a raczej zbałamucę i ducha odbiorę, ćwiczyłem z nim tylko jedno cięcie: „Na komendę: zaczynać! Bij w głowę i na nic się nie oglądaj, tylko ostrzem, nie płazem!”. Uczyłem mego klienta przez kilka godzin. Po nas przychodził do klubu kol. Kauschee z Zuckrem. Uczył podobnie swego pacjenta. Nawet przez jakiś kwadrans ćwiczyliśmy równocześnie. Każda para za innym filarem. Kółko szermierzy mieściło się w dużej sali pod schodami. Sklepienie spoczywało na dwóch sporych filarach prostokątnych, długich 2½, a szerokich 1 metr.

Przy starciu obaj skoczyli na siebie jak dwa koguty i poranili się po głowach i rękach. Każdy z nich miał po dwa ciosy krwawiące, acz nieszkodliwe. Nawet ja, jako sekundant, oberwałem lekko szablą po udzie, gdym się między zakrwawionych wsunął z szablą w rękę, aby kres położyć dalszej walce. Oczywiście lekarz uznał skaleczenia za uniemożliwiające dalszy bój. Plastry angielskie i bandaże z watą nie przeszkodziły pogodzeniu się walczących i wspólnej wyzerce. Drugi pojedynek miał o wiele dramatyczniejszy przebieg i koniec. Chemik Marian Sianożęcki<sup>468</sup>, z petersburskiej szkoły kadetów, był z nas wszystkich najlepszym szermierzem. Atletą, znający japońskie „dziu-dziu”, strzelający świetnie z pistoletu, bił się równie dobrze pałaszem jak floretem. Siła jego uderzenia łamała każdą paradę. Nie lubiłem tego malującego się, noszącego gorset gogusia – atlety. Przypominał postać Bogusława Radziwiłła<sup>469</sup> z *Potopu*, tym bardziej, że chwalił się swoimi biletami wizytowymi „*Marius, Chevalier*<sup>470</sup> *de Sianogentski*”. W walce na szable nie

---

<sup>467</sup> Stanisław Gutkowski (1866–?) – student Wydziału Budowy Maszyn, inżynier kolei państwowych w Galicji.

<sup>468</sup> Marian Sianożęcki (1868–?) – uczeń szkoły kadetów w Petersburgu, student Wydziału Chemii.

<sup>469</sup> Bogusław Radziwiłł (1620–1669) – książę, potomek rodu magnackiego z Litwy, generałny namiestnik Prus Książęcych w latach 1657–1669. Bogusław Radziwiłł został przedstawiony przez Henryka Sienkiewicza w *Potopie* jako zdrajca.

<sup>470</sup> *Chevalier* (franc.) – kawaler, szlachetnie urodzony.

wytrzymałem mu dłużej nad dwie minuty. Ręka drętwiała od samego chwytania ciosów, a cóż dopiero mówić o leżących ciosach! Jego przeciwnik, dopiero co przybyły z krakowskiej realki, był młody, szczeniakowaty, chudy, wysoki, słaby w rękach. Jego ojciec, sławny muzyk krakowski, mawiał o swym synu Stanisławie Żeleńskim<sup>471</sup>: „Może by z niego był i człowiek, gdyby nie dwie pierwsze zgłoski nazwiska (Że – leń)”. Jego bratem jest „Boy-Żeleński”<sup>472</sup>, akurat późniejsza chluba rodu, ale mający w owym czasie opinię „nieudanego”. Za to Stanisław doskonale tańczył, świetnie bawił damy, umiał błagować. Mnie w sali szermierki nie wytrzymał dwóch minut. Biłem się szkołą włoską, przywiezioną do naszego klubu przez naszego przyjaciela Wacia Wolskiego<sup>473</sup>, który uczył nas szermierki bardzo obojętnie, bardzo dobrze, bardzo skutecznie i z grzeczności.

Sianożęcki, dufny w swoją opinię zabijaki, w swoje pochodzenie, bodaj w prostej linii od samego Pana Boga, nie odznaczał się ani opanowaniem, ani rozumem, ani dowcipem, ani grzecznością. My wszyscy woleliśmy nie mieć z nim styczności, by uniknąć zatargu. Wywołało sensację, gdy ci dwaj pokłócili się w sali Bratniej Pomocy. Żeleński był w gębie o wiele mocniejszy, o wiele dowcipniejszy, złośliwszy od gburowatego Sianożęckiego. Naraz Sianożęcki krzyczy na cały głos: „Z błaznami nie myślę obcować ani chcę ich znać!”. Żeleński odsyknął zjadliwie: „Kolega palnij sobie w łeb, abyś ze sobą nie musiał obcować ani widzieć się co dnia w lustrze!”. Rzuciło się nas kilku, a i tak z trudem udało się powstrzymać Sianożęckiego, że nie rozbił głowy Żeleńskiemu.

Awantura skończyła się pojedynkiem. Sekundowałem Żeleńskiemu, a Dionizy Howarth<sup>474</sup> Sianożęckiemu. Widzę Stach nie umie się bić, ale ma mocne nogi! Tancmistrz! Nie zgodziłem się na ciężkie kawaleryjskie szable ani na pistolety. Zostało przy lekkich szablach. Ćwiczyłem z Żeleńskim szkołę

<sup>471</sup> Stanisław Gabriel Żeleński (1873–1914) – po ukończeniu Politechniki pracował jako architekt w starostwie krakowskim, od 1904 r. prowadził Zakład Witraży. Zginął podczas I wojny światowej, ciężko ranny w bitwie pod Grądami. Był synem Władysława (1837–1921) – krakowskiego muzyka i kompozytora.

<sup>472</sup> Tadeusz Boy-Żeleński (1874–1941) – poeta i pisarz, krytyk literacki i teatralny, eseista, jeden z współtwórców legendy Młodej Polski, z wykształcenia lekarz.

<sup>473</sup> Wacław Wolski (1865–1922) – inżynier i wynalazca, jeden z pionierów przemysłu naftowego w Galicji, związany z Ligą Narodową i Stronnictwem Demokratyczno-Narodowym. Ożenił się z Marylą z Młodnickich (1873–1930) – poetką, córką Wandy Monné i malarza Karola Młodnickiego. Ich ślub odbył się 24 kwietnia 1894 r. we Lwowie, a Jędrzej Moraczewski był na ślubie drużbą ze strony pana młodego. Wolscy mieli pięcioro dzieci: Ludwika (1895–1919), Kazimierza (1896–1967), ostatniego właściciela Perepelnik (zob. rozdział V), Beatę Obertyńską (1898–1980) – poetkę, Juliusza (1899–1926) i Anielę Pawlikowską (1901–1980) – malarzkę.

<sup>474</sup> Dionizy Howarth (1866–?) – inżynier, zatrudniony w Wydziale Krajowym, później dyrektor Biura Melioracyjnego we Lwowie.

„taneczną”, jak ją nazywałem: „Nie paruj cię, tylko uskakuj! Cofaj się naokoło pokoju. Nie daj się przyprzeć do muru! Będę ci pomagał. Ale gdy dojrzysz, że się odłonił, bij!”. Wybrałem największy pokój, jaki można było dostać. Wynieśliśmy wszystkie meble. Miałem mało nadziei. Gdy zrzucili koszule i stanęli naprzeciw siebie, olbrzymi atleta, z muskułami na wystawę i młody szczuplutki chłopaczek z niewyrobionymi mięśniami, dreszcz mnie przeszedł. „Dawid i Goliat”!<sup>475</sup> Płakać mi się chciało, gdy lekarz, wzięwszy mnie na bok, szepcze: „To nie będzie pojedynek, tylko zwykły mord”. „Może uda się chłopca uratować. Od tego mu sekunduję”. Rzucam okiem na naszego przeciwnika. O dziwo! Pod warstwą różu, nasz chevalier błąd jak kreda. Tchórzem zalatuje! Dodaję Żeleńskiemu ducha: „Patrz jaki błąd! Boi się. Głowa do góry! Śmiało! Nie daj się!”. Jak zwykle ja prowadziłem walkę i swojej szabli trzymałem rapiery przeciwników. Sianożęcki stanął w pozycji szkolnej. Lewa ręka z tyłu na pasku od spodni – w sali szermierki zawsze balansował nią nad głową. Zaczął się taniec. Mój tancerz cofa się wciąż, tańcząc i unikając ciosów, a pan Mariusz następuje, chce bodaj szable skrzyżować. Najświeższe, przepisowo szkolne uderzenia Sianożęckiego przecinają powietrze, bo Stach nie próbuje chwytać ich, tylko odskakuje. Walka trwa kilka minut, trzeci raz okrążają salę, a wyniku nie ma. Mój jeszcze cały. Oczy wyłupiam to na jednego, to na drugiego. Naraz z przerażeniem dostrzegam, że pan Mariusz przychodzi do siebie. Twarz mu różowieje, lewa ręka podnosi się w górę, podrzuca ją dla fantazji, przytupnął parę razy i naraz runął na Żeleńskiego. Z niesłychaną siłą, dolną kwartą, uderzył z lewej strony w brzuch przeciwnika. Gdym usłyszał świst powietrza, byłem pewny, że trup padnie. Ale nie. Żeleński nie zdążył wprawdzie odskoczyć, tylko instynktownie wciągnął brzuch w siebie, wygiął całe ciało i ciął Sianożęckiego przez głowę i pierś. Jedyne koniec szabli Sianożewskiego przeciął powierzchownie skórę i zatrzymał się na metalowym guziku spodni Żeleńskiego. Natomiast z głowy i piersi chevaliera buchnęła krew, zalała mu oczy i podłogę, a on grzmotnął na ziemię zemdłały. Rana głowy była stosunkowo lekka. Gorzej było z piersią. Sianożęcki umarł w pół roku na suchoty. Czy był to skutek pojedynku? Czy sznurówki? Czy innej przyczyny? Nie wiem, wówczas łączyliśmy jego śmierć z pojedynkiem.

Ale na razie śmierć była jeszcze daleko. Wieczorem zesłiliśmy się czterej sekundanci z Żeleńskim i lekarzem w pokoju Sianożęckiego. Leżał obandażowany w łóżku, gorączkował, ale humor odzyskał. Lekarz pilnował go, by nie jadł i nie pił. Zebrała się nas hurma. Do wódki i wyżerki – zamożny Sianożęcki fundował – zleciało się całe bractwo z tego i sąsiednich domów, każdy ze swą lampą, krzeselkiem i dzióbąsam (blaszany samowar z lejkiem

<sup>475</sup> Dawid i Goliat – postacie biblijne.

sterczącym jak dziób przy polewaczce; ukrop łało się do szklanki tym właśnie dziobem, przechyliwszy samowar za ucho; węgiel drzewny w palenisku rozżarzało się butem, trzewikiem, najczęściej kaloszem). Zebrało się nas co najmniej dwudziestu pięciu. Hałasu narobiliśmy tyle, że po pierwszym kwadransie zabawy właściciel domu wymówił Sianożęckiemu mieszkanie. Ale że wciąż świeży koledzy nadchodzili, więc przenieśliśmy się do sąsiedniej kamienicy, w której sześciu kolegów zajmowało trzy pokoje z kuchnią. Było nas teraz więcej, było więcej miejsca, więcej jedzenia, więcej picia, więcej hałasu. Znowu wymówienie mieszkania. Dobrze po północy wynieśliśmy się całą procesją do kamienicy po drugiej stronie ulicy. Otwierali korowód koledzy z lampami zapalonymi w jednej i dziubakami w drugiej ręce, a krzesłkami na głowach. Potem czterech niosło łóżko z Sianożęckim, otoczone przez resztę lamp i dziubaków. Zamykał pochód lekarz z lampą w jednej, a butelką wódki w drugiej ręce. Ryk, krzyk, hałas, śpiewy nie dadzą się opisać. Na całej ulicy nikt nie spał (jak brzmiało sprawozdanie policji). Stróże nie chcieli otwierać bram. Ale przecież jedna się nie oparła. Było to obok kamienicy, w której mieszkał profesor Bisanz<sup>476</sup>. Ktoś głośno wymienił jego nazwisko, zresztą bez złej myśli i bez złośliwego komentarza. Ktoś inny, podpity, sparafrazował jego nazwisko w formie ordynarno-głupio-nieszuszonej, acz nieraz powtarzanej na technice „Bydlenc”. Bisanz Gustaw był bardzo dobrym profesorem, doskonale uczył budownictwa i był na ogół dobrym człowiekiem. Trochę nas raziły i do złośliwości pobudzały jego ruchy i gestykulacje. Nie troszcząc się jednak o Bisanza, wtarabaniiliśmy się do kamienicy i tu dotrwaliśmy już do rana. Po czym odniósłszy Sianożęckiego do jego mieszkania, poszliśmy na wykłady.

Ale Bisanz się na nas obraził. Na wykłady nie przyszedł i zapowiedział, że wobec demonstracji, urządzonej mu przez słuchaczy, nie będzie wykładać do końca semestru. Musiałem iść do niego, byłem po wszystkich u niego egzaminach, opowiedzieć mu o całym pojedynku, o pijatyce, o szerokiej zabawie i zapewnić słowem honoru, że nikomu nie śniło się demonstrować przeciw niemu. Przecież wszyscy go bardzo szanujemy jako profesora i jako człowieka. Uwierzył, dał się przeprosić, na wykłady wrócił. Bisanz był tak drażliwy, bo wiedział, że z naszych profesorów o nim jednym krążyła na technice piosenka:

Z kolonii szwabskiej, z Winnik on pochodzi  
I szwabskim każdy jego ruch i gest;  
Z stolicy Turków imię swe wywodzi  
I profesorem z Bożej łaski jest

<sup>476</sup> Gustaw Bisanz (1848–1925) – architekt, profesor Politechniki Lwowskiej, wielokrotnie sprawował funkcję dziekana Wydziału Architektonicznego (pod różnymi nazwami), dwukrotny rektor Politechniki Lwowskiej (1889/1890, 1898/1899).

Budować uczy, głowę ćmi,  
 A sam buduje, że pożał się Bogu.  
 To dzielny mąż, bo mocno grzmi,  
 A głupi! Jak tabaka w rogu!

## 5.

### Charakterystyki profesorów. Łazarski, Franke, Rychter, Zachariewicz, Niedźwiedzki, Thullie.

Wszedłszy na podwórko profesorskie, muszę już po nim brnąć dalej. Nie myślę pisać wszystkich. Tylu było między nimi naprawdę dzielnych, naprawdę uczonych, naprawdę pedagogów, naprawdę ze wszystkich miar sympatycznych, że należałoby chyba kreślić ich życiorysy, jakoby do słownika biograficznego. Najlepszym dowodem ich wysokiej wartości niech będzie fakt, że wyszedłem z techniki dobrym inżynierem, że wyniosłem z niej zapas wiadomości łatwy do uzupełnienia, a który wystarczył mi na cały czas mej pracy inżynierskiej. Wszyscy absolwenci naszej techniki, ze wszystkich wydziałów byli bardzo poszukiwani i cenieni, a to chyba najlepszym świadectwem dla naszego grona profesorskiego. Politycznie, kolegium było nam bardzo niesympatyczne, natomiast naukowo, skład jego był pierwszorzędny, budzący w nas szacunek. Mogliśmy, naśladując Rzymian, mówić: „*Profesores boni viri, Collegium autem, mala bestia!*”<sup>477</sup>.

Jeżeli nie napiszę o profesorach Dziwińskim, Fiedlerze<sup>478</sup>, Gostkowskim, Maryniaku<sup>479</sup>, Niementowskim<sup>480</sup>, Olearskim<sup>481</sup>, Pawlewskim<sup>482</sup>, Skibińskim,

<sup>477</sup> *Profesores boni viri, Collegium autem, mala bestia!* (łac.) – Profesorowie dobrzy ludzie, lecz kolegium złą bestią!

<sup>478</sup> Tadeusz Fiedler (1858–1933) – inżynier mechanik, kierownik Katedry Mechaniki i Teorii Maszyn, dziekan Wydziału Mechanicznego, dwukrotny rektor Szkoły Politechnicznej we Lwowie (1902/1903, 1911/1912).

<sup>479</sup> Bogdan Maryniak (1844–1912) – polski inżynier mechanik, profesor Politechniki Lwowskiej, od 1876 r. na czele Katedry Budowy Maszyn, dziekan Wydziału Budowy Maszyn, rektor uczelni w 1886/1887 r., członek Towarzystwa Politechnicznego.

<sup>480</sup> Stefan Dominik Niementowski (1866–1925) – chemik, profesor Szkoły Politechnicznej we Lwowie, rektor w latach 1899/1900, 1900/1901, 1908/1909, poseł do galicyjskiego Sejmu Krajowego.

<sup>481</sup> Kazimierz Olearski (1855–1936) – fizyk, wykładowca w Wyższej Szkole Rolniczej w Dublanach, lwowskiej Szkoły Politechnicznej, dziekan Wydziału Chemicznego, rektor Szkoły Politechnicznej w latach 1913–1915.

<sup>482</sup> Bronisław Pawlewski (1852–1917) – chemik, profesor i rektor Szkoły Politechnicznej we Lwowie.



Wołoszczaku<sup>483</sup>, Zajączkowskim<sup>484</sup> i innych, to dlatego że byli wśród nich uczeni, świetni wykładowcy, którzy robili z nas i zrobili to, co dało się zrobić, a nie dostrzegłem w nich ani momentu rozweselającego, ani irytującego, ani pasującego do beletrystycznego charakteru mego pisania. Ale na cenzurę trzeba posadzić nie tylko czasom, ale i ludziom. Jakaśmy się już w tytule umówili.

Zacznę od świetnego – acz dla mnie za mądrego – profesora geometrii wykreślnej, Mieczysława Łazarskiego. Świetnie mówił, jeszcze piękniej rysował na tablicy. Jego koła od ręki proste bez użycia linii, prostopadłe od oka, wychodziły z rysunku tak, że choć nieraz narysował na tablicy trzy koła i kilkanaście linii pełnych, kreskowanych, kropkowanych, nie wypadłoby lepiej, gdyby użył cyrkla i linii. Nie rozumiałem i nie umiałem jego perspektywicznej geometrii. Jakim cudem zdałem egzamin, do dziś dnia nie umiem powiedzieć. Ale koledzy, lepiej w szkołach realnych do tego przedmiotu przygotowani, rozumieli go świetnie i cmokali z zachwytu nad jego wykładem. Tylko, że przed wykładem musiał wydudzić parę kieliszków żyt-niówki, może wiśniówki. Gdy nie pił – jąkał się, stękał, brał w rękę cyrkiel, linię, gąbkę, a i tak rysunki nie wychodziły należycie, jak zwyczajnie.

Równie świetnym wykładowcą, ogólnie głęboko i nowocześnie wykształconym mężem, demokratą z przekonania i działania, a przy tym dowcipnie złośliwym był profesor teoretycznej mechaniki Jan Nepomucen Franke<sup>485</sup>. Słyszałem, jak przy egzaminie monitował któregoś z architektów: „Ja od panów słuchaczy architektury rozumu nie wymagam. Ale dodawać, odejmować, mnożyć i dzielić musicie panowie się nauczyć”. Innemu egzaminowanemu powiedział: „Panie! Rozum to niegłupia rzecz, tylko trzeba go mieć!”. Trochę nas niemile dotknęło, że po dwudziestu kilku latach porzucił profesurę i został w Radzie Szkolnej Krajowej inspektorem szkół realnych. Zamienił przecież wolne swobodne wykłady „ex katedra” na cesarsko-królewską posadę urzędniczą, skrępowaną przez administrację polityczną.

Jednym z głównych profesorów inżynierii był Józef Rychter, uczony wodziarz i dobry wychowawca wodnych inżynierów. Wykładał jasno, może za drobiazgowo. Nadzwyczajnie pracował nad nami w sali rysunkowej. Wymagał dużo przy egzaminach. Jedno jego powiedzenie dotknęło mnie przykro i zdecydowało, że zostałem inżynierem lądowym – nie wodnym.

---

<sup>483</sup> Eustachy Wołoszczak (1835–1918) – botanik i hydrobiolog, od 1884 r. profesor Szkoły Politechnicznej we Lwowie.

<sup>484</sup> Władysław Zajączkowski (1837–1898) – profesor Szkoły Politechnicznej we Lwowie, członek Akademii Umiejętności, dyrektor Galicyjskiej Kasy Oszczędności.

<sup>485</sup> Jan Nepomucen Franke (1846–1918) – inżynier, profesor Szkoły Politechnicznej we Lwowie, kierownik Katedry Mechaniki i Teorii Maszyn, od 1892 r. objął wydział szkół zawodowych, realnych i przemysłowych w Radzie Szkolnej Krajowej.

Rozmawiałem z nim w związku ze sprawą Matejki. Na moje twierdzenie, że przecież jako przyszli inżynierowie, a przy tym obywatele, musimy mieć szeroko otwarte oczy na świat i nie być tumanami... przerwał mi rektor Rychter: „Przeciwnie! Inżynier powinien być tylko wykonawcą. Naszym zadaniem zrobić z was rzemieślników”. Uważając, że mówił to poważnie i że naprawdę tak myślał, straciłem wtedy cały dla niego szacunek.

Genialny architekt Julian Zachariewicz był w każdym calu profesorem, ale tylko w sali rysunkowej. Jego trzykwadransowy wykład to jedno od początku do końca, a właściwie bez początku i bez końca, zdanie, bez przecinka, bez średnika, bez kropki, bez podmiotu i bez orzeczenia. Za to w sali rysunkowej rodziły się pod jego ręką talenty, choć poród bywał dla słuchacza bolesny jak każdy poród. Trzeba było rzeczywiście zdolnego, zamiłowanego i wytrwałego człowieka, by wytrzymać na architekturze, mimo zapewnień profesora, że ixowi czy ipsylonowi bardziej byłoby do twarzy z kopytem na kolanach i szydłem czy pocięglem w rękę niż z rajszyną<sup>486</sup> i ołówkiem: „Nigdy z Pana nie będzie architekt, jeszcze czas! Jeszcze przenieś się Pan na inny wydział”. Kto się ostrzelał z tymi powiedzeniami, na pewno zauważył, że częstował nimi tylko istotnie zdolnych, że to jest, z jego strony, próba wytrwałości i w swoim rodzaju zachęta do pracy. Bo gdy raz ktoś, urażony jego docinkami, naprawdę chciał porzucić architekturę, Zachariasz temu bardzo energicznie przeszkodził i jeszcze nabesztzał.

Typowym oryginałem był stary kawaler prof. Julian Niedźwiecki<sup>487</sup>, z rzadka „Niedźwiedziem”, najczęściej „Mikołupkiem” przezwany. Znakomitość w dziedzinie geologii, zresztą niewidzący świata poza nauką, świetny wykładowca, doskonały profesor, surowy egzaminator. Miał znakomitą pamięć do wszystkiego, także do nazwisk i do twarzy. Wystarczyło mu przeczytanie w początku półrocza, trzy razy z rzędu, katalogu słuchaczy zapisanych na jego wykłady (40 do 50), by poznał z nazwiska i twarzy każdego. Kto opuścił jeden z tych trzech pierwszych wykładów, tego nie chciał znać i zasadniczo odmawiał frekwencji. Zresztą, spod okularów, lustrował salę w czasie każdego dalszego wykładu i wiedział, kogo z nas brakuje. Po wykładzie spisywał z pamięci nieobecnych. Wykład jego przypominał celebrowanie uroczystości, gdy głębokim basem padł głos jego wołania: „Jaremczuk!”. Woźny, taki sam oryginał jak jego profesor, wiedział na pamięć, kiedy będzie zawołany i stał pod drzwiami sali od początku wykładu. Na to zawołanie wnosił do sali – niby sakrament – olbrzymią tacę, wypełnioną

---

<sup>486</sup> Rajszyna – drewniany przyrząd kreślarski przykładany przy rysowaniu do krawędzi rysownicy.

<sup>487</sup> Julian Niedźwiedzki (1845–1918) – profesor mineralogii i geologii, dziekan Wydziału Chemii, trzykrotnie rektor Szkoły Politechnicznej we Lwowie w latach 1879–1888.

pudełkami z okazami minerałów, skał, skamielin. Mikołupek puszczał okazy z tacy między nas, ale wraz z Jaremczukiem, bacznie śledzili, czy ktoś nożem nie dłubie kamienia. Wtedy profesor bardzo stanowczo, z drzeniem w głosie, acz całkiem grzecznie prosił: „Panie A. trzeba te zbiory szanować. Muszą starczyć i dla innych. Więc proszę oglądać bez noża, bez gwoździa, bez uszkodzenia”. Nie przestając wyklądać, widział wszystko i wszystkich. Znał doskonale geologiczną budowę Polski w granicach [z] 1772 roku. Wyklądał ją w zakresie praktycznej wiedzy, koniecznej dla inżynierów, architektów i chemików. Pod wpływem jego wykładów rozkochałem się w geologii jak w żadnym innym przedmiocie. Wówczas rozkopywał Magistrat ulicę Mickiewicza, by złagodzić spadek ulicy przy wjeździe na plac św. Jura, a przy tej sposobności i dla założenia kanalizacji. Wkopano się w typową lwowską opokę. Wybieraliśmy z niej z zapałem masy amonitów, bakulitów, belemnitów, ceratytów, jeżowców, inoceramusów, a kto trafi na terebratulę, nie posiadał się z radości.

Do egzaminu miał profesor takie okazy skał, których nam na wykładach nie pokazywał. Przynosił je Jaremczuk na dwóch tacach przykrytych płótnami. Niedźwiedź wkładał rękę pod płótno i sam, rzekomo nie wiedząc co, wyjmował kartonowe pudełko z okazem, niósł je w rękę z tyłu za sobą i stawił je naraz przed egzaminowanym. Pierwszym pytaniem przy egzaminie było rozpoznanie okazu, określenie co przedstawia i dlaczego, na jakiej podstawie wypowiada egzaminowany swoje przekonanie. Przy tej sposobności wolno było użyć gwoździa i kwasu siarkowego. Ale nikomu nie radziłbym używać tych środków pomocniczych tak, aby profesor to widział. Nic nie mówił, ale na przebieg egzaminu mogło to mieć rozstrzygający wpływ.

Sumienny Niedźwiecki nie lubił opuszczać wykładów ani godzin ćwiczeń. Gdy wyczytaliśmy w gazetach, że został wylosowanym do ławy przysięgłych, odetchnęliśmy nieco lżej na myśl, że będzie można czas jego wykładów przepracować w salach rysunkowych i odrobić tam zaległości. Istotnie! Mikołupek z pogrzebową miną oświadcza: „Panowie! Spotkało nieszczęście nasze wykłady. Muszę siedzieć na sądach przysięgłych blisko trzy tygodnie. Nie będę mógł wyklądać w dniach i godzinach na geologię przeznaczonych. Ale Panowie nie należy rozpaczać! Powetujemy sobie ten czas w niedzielę przed południem. Co niedzielę będę o 8-ej rano wyklądał przez trzy godziny z nieco dłuższymi pauzami akademickimi. Zaś przez dwa dni będę po siódmej godzinie. Raz [będę] miał wykład, a raz w tygodniu zrobimy ćwiczenia. W ten sposób nie uronimy niczego z przedmiotu”. Pieniliśmy się z wściekłości na zabranie nam niedzieli i wieczorów i to w końcu letniego półroczu, w czasie kursowych egzaminów, ale trzeba było chodzić.

I tak dużo godzin opuściłem z powodu prezesury i pracy w Bratniej Pomocy. Nadrobiłem to, czytając dużo w bibliotece zakładowej i wertując notatki z wykładów Niedźwieckiego, pisane przez pilniejszych kolegów. Egzamin zdałem dobrze. Co prawda nigdy nikt na pewno nie wiedział, czy zdał u niego czy nie, bo profesor, po egzaminie, zastrzegając sobie trzy dni do namysłu. Do mnie po tych trzech dniach wygłosił ciekawą przemowę: „Zrobił mi Pan największą przykrość w życiu. Pan udowodnił, że stary Niedźwiedź jest niepotrzebny. Opuścił Pan dwadzieścia kilka godzin wykładów, a to w dniach”... i wymienił je, bestia, co do jednej... „ale geologii nauczył się Pan najlepiej ze wszystkich. Nie powinienem Panu potwierdzić frekwencji, ale z egzaminu muszę napisać «celująco»”. Ku memu istotnemu zdumieniu tak mi wpisał w indeksie. Słynne było bowiem jego powiedzenie: „Pan Bóg umie geologię celująco. Niedźwiedź bardzo dobrze, a słuchacz, w najlepszym razie dobrze!”.

Na wycieczkach geologicznych był po prostu nieoceniony. Drogi, ścieżki, góry, wzgórza, cały teren wycieczki znał zawsze lepiej od miejscowych chłopów. Chodził najlepiej i najniezmordowaniej [s] z nas wszystkich. Raz włókł nas między Synowódzkim a Skolem po wzgórzach, tłumacząc budowę geodynamiczną terenu i szukając w mikrołupkach za skamielinami, celem przykładowego określenia formacji geologicznych. Po pięciu godzinach włączenia i złączenia z gór byliśmy dobrze przemęczeni, więc jak muzyka anielska zadźwięczały nam słowa profesora: „A teraz Panowie zapraszam Was na ryby!”. „Pstrągi, na pewno pstrągi zamówił stary w szynku, gdy tak długo konferował z Żydówką po naszym wyjściu z pociągu”, szeptaliśmy między sobą. Od razu uwierzyliśmy, bo to było do niego podobne. Z ochotą ruszyliśmy za profesorem. Doprowadził nas do wyraźnej i grubej warstwy łupków bitumicznych: „Panowie! – woła z entuzjazmem – tu musimy znaleźć ryby «Meletta»<sup>488</sup> kostnoszkieletowe! Szukajmy!” Trzeba dodać, że miał oko czy szczęście, czy wprawę, że gdy podniósł z brzegu gościńca kamyk szabrowy i mówiąc: „Oto w takim kawałku nieraz znajdowałem kawałek *orto ceratyta*”<sup>489</sup>, rozbijał młotkiem kamień, mógł pokazać zachwyconym wycieczkowiczom tę skamielinę. Ale wtedy tłukł młotkiem po ścianie, my ciupagami, jednak dopiero po godzinnym wystukiwaniu znalazł coś, co mogło uchodzić za ogon rybi. Ledwieśmy nogami powłóczyli, gdy po półtoragodzinnym marszu stamtąd wylądowaliśmy w szynku w Skolem, gdzie po 7 i ½ godzinach łążenia po górach bez odpoczynku czekały nas pstrągi zamówione i zafundowane przez profesora. Jadł z nami wieczerzę, ale był niezadowolony, że nie znalazł ryby skamieniałej, natomiast my byliśmy

<sup>488</sup> Rodzaj pozostałości ryb śledziowatych.

<sup>489</sup> *Orto ceratyt* – gromada głowonogów.

zadowoleni, że znaleźliśmy na talerzach nieskamieniałe ryby na maśle. Tak to na świecie dziwnie się plecie.

W dziesięć lat potem spotkałem prof. Niedźwieckiego, gdy budowałem spaski odcinek linii Sambor–Użok. Tam trudno było o dobry kamień budowlany. Mosty na górskich rzekach, mury oporowe w Dniestrze, a zwłaszcza tunel spaski, niedługi wprawdzie, ale w najtrudniejszym terenie, bo w żygawicy, wymagały dobrego kamienia. Więcej niż miesiąc włóczyłem się po górach, wzgórzach i lasach, oglądając wszystkie rodzaje napotkanych kamieni i skał, nim zdecydowałem się na rodzaj wapienia krzemowego na wewnętrzną obudowę tunelu i na oligoceński piaskowiec na zewnętrzne okładziny portalów tunelowych. Dumny byłem z tych moich odkryć. Może komu innemu nie byłyby na myśl wpadły akurat te skały. Piaskowiec był słabo spójny, miękki do obróbki, ale na powietrzu twardniał i było go dużo. Wapienia było niewiele i bardzo trudny do obróbki, bo bardzo twardy. Za to robił wrażenie niewietrzącego.

Wycieczka słuchaczy inżynierii zwiedzała naszą budowę. Między profesorami był też Niedźwiecki. Przy tunelu miał wykład geologiczny. Opisał tektonikę i powstanie języka górskiego, który przebijaliśmy naszym tunelem i stwierdził, że północny stok jest niepewny, powinno w nim grozić inżynierowi usuwisko. Po nim ja opowiadałem historię budowy tunelu, pojawienie się żygawicy, walkę z nią i jej ujarznienie. Pokazałem już odbudowane pierścienie tunelu. Podałem przy tym przegląd kamiennego materiału budowlanego, znajdującego się w okolicy i uzasadniłem mój wybór.

Profesor na piaskowiec pokiwał potakująco głową. Ale wapien tak scharakteryzował: „Występuje nieczęsto i w niewielkich ilościach, obróbka bardzo trudna, prawie niemożliwa. Kamień twardy i bardzo wytrzymały na ciśnienie. Najlepszy w okolicy. Ma jedną wadę, wietrzeje!”. Przerwał na chwilę i spogląda na mnie spod okularów. Zdębiałem! Szukałem, mordowałem się, by znaleźć właśnie niewietrzący! A tu masz! Nasz wszechwiedzący Mikołupek wali mi w pysk „wietrzeje!”. A tak byłem zarozumiały na punkcie geologii, petrografii<sup>490</sup>! „Wietrzeje!” Profesor zauważył moje zmieszanie i ciągnął dalej: „Gdy przyjedziemy tu za tysiąc lat, stwierdzimy już na pewno pierwsze ślady zwietrzenia!”. Ot! Cały geolog! Tysiąc lat! Tysiąc lat! To dla niego chwilka geologiczna! Wpadłem w rozkoszny humor, omalże nie uściślałem Niedźwiedzia z radości! Wietrzeje! Za tysiąc lat pierwsze ślady! Daj ci Boże zdrowie!

---

<sup>490</sup> Petrografia – nauka o skałach, zajmująca się składem oraz właściwościami fizycznymi i chemicznymi skał.

Odmiernym typem był trzeci z naszych profesorów inżynierii, prof. dr Maksymilian Thullie. Sumienny profesor spisywał, a potem drukował swoje wykłady, w których skrzętnie notował, zbierał materiały znalezione w książkach niemieckich, a czasem francuskich inżynierów. To mu ułatwiało wykład, a właściwie odczyt strony za stroną, paragrafu za paragrafem ze swej książki albo z przygotowanego do druku rękopisu. Nawet nie pomijał odczytania liczby paragrafu, na które dzielił każde swoje dzieło. Uwalniało to nas od chodzenia na jego wykłady, które można było w księgarni albo lepiej jeszcze w gabinecie pana profesora kupić. Więc choć *Statykę budowlaną* można nazwać filozofią inżynierii, przecież unikałem najnudniejszej na technice godziny jego wykładu tego przedmiotu, kupiwszy jego książkę. Teoria i praktyka budowy mostów były jego głównym przedmiotem. Pedagogiem nie był. Najłatwiej było to osądzić na wycieczkach naukowych. Stoimy przed mostem. Wykłada Thullie: „To jest most żelazny kratowy. Belka dolna paraboliczna. Tu są przecznice. Tu widzicie panowie podłużnice”. Bez niego widzieliśmy to sami!

Ułatwiwszy sobie trud wykładania, wiele czasu poświęcał polityce. Typowy ultramontanin<sup>491</sup>, zakamieniały, jak tylko Francuz potrafi, klerykał. Dziś byśmy powiedzieli mąż akcji katolickiej! Jego ruchliwość zdradzała francuskie pochodzenie, nawet gdyby nazwisko tego nie mówiło. Należał do założycieli (r. 1893) Czytelni Katolickiej i był, wraz ze swym asystentem Edmundem Libańskim (z domu Bernard Mondschein) niezwykle w niej czynny. Byli tacy, którzy dla przypodobania się profesorowi, celem gładkiego zdania u niego wcale niełatwych egzaminów, zapisywali się do Czytelni Katolickiej. To pomagało, robiło protekcję u Thulliego. Serdecznie go za to nie lubiłem. On miał do mnie uraz za moją zaciętość i upór w sprawie Matejki. Nie krył[em] się z tym, że to on jest celem mych pocisków, a nie Matejko, więc profesor, nastawiający bacznie uszy na to, co się między nami działo, wiedział o tym na pewno.

Zasiadał w Radzie Miejskiej. Jego reakcyjny wniosek, z ostrzem wymierzonym przeciwko młodzieży, zgromadził dość dużą naszą grupę na galerii w ratuszu. W czasie mowy Thulliego zaczęliśmy mu hańbować i wołać: „Precz! Pereat!”. W chwili jakiejś ciszy krzyknąłem na cały głos: „Precz ze świętą Thullią!”. Salwą śmiechu [przyjęto] tę nazwę na sali i na galerii. Woźni wyrzucili nas z galerii, ale nasz profesor został już na zawsze „świętą Thullią”, nie tylko wśród słuchaczy, ale i w mieście. Albo poznał mój głos z galerii w ratuszu, albo mu ktoś doniósł, dość, że przybył jeszcze jeden

---

<sup>491</sup> Ultramontanin – zwolennik ultramontanizmu, poglądu o wyższości władzy papieża nad władzą świecką.

powód do zaostrzenia naszych stosunków, co znalazło wyraz przy moim drugim egzaminie państwowym.

W demonstracji kaloszowej nie brałem udziału. Zdarzyła się po moim wyjściu z techniki. Słuchacze, sprowokowani innym jakimś jego reakcyjnym wystąpieniem, zebrali się w niebywałej liczbie na jego wykładzie. Gdy wszedł na katedrę, jeden z kolegów zawiadomił go, że za to a za to „młodzieź wypowiada mu swoje uczucia w niezwykłej co prawda formie” i zdjąwszy z nogi kalosz, rypnął nim w profesora. Za nim jakaś setka kaloszy padła na niego. Ukaloszowana święta Thullia uciekła do gabinetu.

Na jego korzyść muszę powiedzieć, że miał prawdziwą cywilną odwagę. Prawie nie znaleźmy przekonań innych naszych profesorów (z wyjątkiem radnych, jak Franke, Gostkowski), ale poglądy Thulliego znaleźmy nie tylko z gazet, Rady Miejskiej i Czytelni Katolickiej, ale z czasów jego dziekaństwa i rektorstwa. W wolnej Polsce zeszedłem się jako minister robót publicznych z senatorem prof. dr Maksymilianem Thullie. Poza podeszłym wiekiem nie odznaczał się niczym.

## 6.

### **Pomiary w Nowym Targu. Przygoda na Zawracie. Wycieczka do budującej się kolei Stanisławów–Woronienka. Przygody na Howerli. Wycieczka do Schodnicy i przez Paraszkę do Sokolego.**

**W** roku 1890 wypadły nam ćwiczenia miernicze. Wraz z profesorem Sewerynem Widtem<sup>492</sup> wysiadło nas osiemnastu w Nowym Targu z wozów góralskich. Wydział Krajowy dał nam zasiłek na zdjęcia zlewiska Białego Dunajca w Nowym Targu i Czarnego od Ludzimirza, aż do złączenia się obu Dunajców za Nowym Targiem. Trzy tygodnie biwakowaliśmy w największej sali szkoły ludowej, na słomie. Profesor nie bardzo się o nas i o nasze pomiary troszczył, a my wałkoniliśmy i bawili się doskonale. Komendę nad pomiarami objął Adam Lewicki, Marek Pechner<sup>493</sup> nad chórem, a ja nad kręgielnią. Pomiary, o ile je robił Adam, wypadły dobrze, ale nasza praca – wcale nie. Nie rozumieliśmy, co się robi. Wykonywałem polecenia Adama jak robotnik, ale nie jak inżynier wiedzący, co i po co robi. Lato było ciepłe, cały dzień można było po rzece brodzić, więc było nam dobrze, nawet w te nieliczne dni, w których trzeba było naprawdę coś

<sup>492</sup> Seweryn Widt (1862–1912) – inżynier geodeta, profesor i rektor Szkoły Politechnicznej we Lwowie w kadencji 1905/1906.

<sup>493</sup> Marek Pechner urodzony w Krakowie w 1868 r., student Wydziału Inżynierii Politechniki Lwowskiej w latach 1888–1893.

robić, bo pogoda była po prostu bezwstydna. Za to z dni pochmurnych robiliśmy niby słotne i wykorzystując fakt, że profesor znalazł sobie jakieś damskie towarzystwo, całymi dniami przesiadywaliśmy na kręgielni. Graliśmy partią wojenną. Podzieleni na stałe dwie partie, rozgrywaliśmy wojnę na kręgielni w miejskim ogrodzie. Kłóciliśmy się o „wandle”, o bosych, ale kto zwał „wszystkie dziewięć”, musiał fundować. Wieczorem chór nasz śpiewał w publicznym ogrodzie, robiąc przy tym oko do Nowotarżanek. Ostatecznie okazało się, że z naszych pomiarów nie było żadnego pożytku. Jednak szydło wylało z worka dopiero we Lwowie po naniesieniu tachimetrycznych zdjęć na papier. Na razie zakończyli koledzy te pomiary dwudniową wycieczką do Morskiego Oka i z powrotem przez Zawrat. Ja zwiedzałem Tatry po maturze w 1888 r. Wtedy to wakacje spędziłem w Zakopanym z wujostwem Hochbergerami i państwem Słonińskimi<sup>494</sup>, mieszkając w domu Ustupskich przy ul. Kościeliskiej. Podkochiwałem się wtedy w pannie Maryli Słonińskiej<sup>495</sup> (jej ojciec był wicedyrektorem kolei państwowych w Krakowie. Pani Maria wyszła w Krakowie za męża za pana Zolla<sup>496</sup>). Zacząłem turystykę od Nosala, wyszedłem na Krzesanicę, zwiedziłem wszystkie bliższe i dalsze doliny zakopiańskie, byłem w Morskim Oku i przy Czarnym Stawie, na Zawracie, na Krzyżnem, na Świnicy, oczywiście nie sam tylko z pannami. Zdawało mi się, że jestem doświadczonym taternikiem, że nie potrzebuję pomocy ani Wojtka Roji<sup>497</sup>, ani Andrzeja Stopki<sup>498</sup>, ani żadnego innego z modnych wówczas przewodników. Wobec tego nie wybrałem się z kolegami do Morskiego. Brodowicz Władysław<sup>499</sup>, który też chadzał po Tatrach, i ja zapowiedzieliśmy kolegom, że będziemy ich oczekiwać na Zawracie. Przy Pięciu Polskich Stawach zaczęła się draka. Łacha zlodowaciałego śniegu pokrywała jeszcze środek pochyłości Zawratu. Szliśmy z Brodowiczem pod skałami Siedmiu Granatów, po piargach<sup>500</sup>, nie po śniegu. Woda ze skał lała się nam

<sup>494</sup> Władysław i Stanisława z Witaszewskich Słonińscy. Władysław Słoniński (1838–1894) – uczestnik powstania styczniowego, dyrektor Kolei Państwowych w Krakowie.

<sup>495</sup> Maria ze Słonińskich Zoll (1873–1921) – absolwentka Zakładu Naukowo-Wychowawczego Wiktorii Niedziałkowskiej we Lwowie, żona Józefa Zolla, matka dwojga dzieci – Zofii i Tadeusza.

<sup>496</sup> Mowa o Józefie Zollu (1867–1908), lekarzu i działaczu społecznym, współzałożycielu Towarzystwa Lekarzy Kolejowych. Był synem Fryderyka (1834–1917) – profesora prawa rzymskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim i bratem Fryderyka (młodszego, 1865–1948) – również prawnika, profesora i rektora tejże uczelni.

<sup>497</sup> Wojciech Roj (1839–1924) – góral, przewodnik tatrzański, kowal, jeden z twórców stylu zakopiańskiego w budownictwie.

<sup>498</sup> Prawdopodobnie mowa o Andrzeju Nazimku-Stopce (1868–1934) – pisarzu ludowym, nauczycielu i badaczu folkloru podhalańskiego.

<sup>499</sup> Władysław Brodowicz (1870–1934) – inżynier, działacz społeczny i samorządowy.

<sup>500</sup> Piarga – rodzaj rumowiska skalnego.



na głowy i za kołnierze. Przecież pod jakąś wystającą skałą schroniliśmy się trochę przed deszczem, rozpalili marny ogienek, coś zjedli, przytulili się do siebie, zawinęli w peleryny i zaczęli drzemać. Nie widząc naszych, mimo że już było dobrze po południu, a wiedząc, że do Zakopanego ledwo zdążymy przed ciemnością, zawyrokowaliśmy, że wobec słoty, nasi chyba nie pójdą przez Zawrat, tylko wrócą jezdnią drogą. Zdecydowaliśmy odwrót. Deszcz padał coraz rzęsiściej, ze skał padały formalne wodospady, ze wstrętu przed dalszym przemoczeniem, ruszyliśmy środkiem łąchy śniegowej. Szedłem pierwszy, bo mając prawdziwą góralską ciupagę, rąbałem stupaje<sup>501</sup>. Zeszedłem [s] już jakie trzydzieści metrów, gdy naraz słyszę za sobą krzyk. Oglądam się i widzę Brodowicza sunącego po śniegu z zawrotną szybkością na dół. Musiał upaść. Gdy mnie mijał, dostrzegłem tylko śmiertelny strach w jego oczach. Wołam na niego, by rozkrzyżował ręce i nie dał się obrócić głową na dół. O jakie pięćdziesiąt metrów niżej, trzasnął nogami o jakiś głaz i zatrzymał się. Nie wiem, żyje czy nie? Ostrożnie schodzę do niego. Wydaje mi się, że się ruszył. Zeszedłem [s] już kilkanaście kroków, gdy nagle moja, marnie okuta, ciupaga ślizga się po kamieniu czy lodzie i dla odmiany ja lecę w dół. Przejeżdżam koło Brodowicza, który tymczasem siadł. Plecaków, w dzisiejszej formie, jeszcze wtedy nie znaleźliśmy. Miałem na plecach duży, mocny, sztywny, skórzano-ceratowy, czarny tornister na mocnych rzemieniach. Mój tornister zawadził o wystające głazy tak, że wykręcił mną na bok. Leciałem poziomo i robiłem wszystkie wysiłki ręką i ciupagą, aby wrócić do pionowej pozycji, nogami w dół. Znowu dobroczynny głaz naprostował mnie. Teraz z całą świadomością sterowałem pazurami i ciupagą. Aż naraz trzasnąłem nogami o jakąś skałę i straciłem przytomność. Zbudziła mnie wódka, wlewana mi do ust przez Włodka. Schodził do mnie blisko godzinę, po piargach, nie po śniegu. A miał tylko czterysta metrów drogi, którą ja przeleciałem w niecałe ćwierć minuty. Tak diabelsko prędkiej jazdy użyłem tylko w samolocie. Nic nie miałem w sobie złamanego. Tylko ręce i nogi całe zakrwawione. Trzewików ani spodni nie było, zostały w strzępach na śniegu. Skóra zdarta. Przemarznięty, obolały, krwawiący, zwlokłem się jednak i podtrzymywany przez też ledwo żywego Brodowicza, dobiliśmy do schroniska przy Czarnym Stawie pod Kościelcem. Łóżka, koce, ogień, wódka, herbata, chleb, masło dodały mi sił. Płaszcz, bielizna, o ile taka została, wyschły przy ogniu. Na szczęście miałem w zapasie krypcie góralskie. Późno w noc ruszyliśmy przez różne Suche Wody, Psie Trawki do Zakopanego. Trzeba być młodym i zdrowym, żeby po takich tarapatach, przejść, prawdziwie krzyżową drogę i dojść o 1<sup>ej</sup> w nocy do Zakopanego, obudzić służbę hotelową, dostać pokój i położyć się do łóżka. Ledwo zasnąłem, budzą mnie koledzy,

<sup>501</sup> Stupaj – stopień wyrąbany w śniegu lub lodzie ułatwiający wspinaczkę.

którzy o drugiej nad ranem dowlekli się – też przez Zawrat – do Zakopanego. Już na Zawracie zmiarkowali po krwi na szmatach, że rozegrała się tam katastrofa, a w schronisku dowiedzieli się, komu i co się przytrafiło. Tedy chcieli nas gorączkujących, obdartych i pokaleczonych oglądnać. Za trzy dni byłem we Lwowie. Ostatecznie nic mi się nie stało, zgodnie z wróżbą kolegów, że co ma wisieć, nie zginie na Zawracie.

W lecie 1892 r. zawiodła nas wielka wycieczka naukowa słuchaczy czwartego i piątego roku inżynierii do budującej się linii kolejowej Stanisławów–Woronienka. Było nas dwudziestu kilku. Prowadził prof. Skibiński z asystentem Janem Czerwińskim<sup>502</sup>, dalej Niedźwiecki, Rychter, Thullie i Zachariewicz. Asystent Thulliego Libański był z nami, a także asystent chemii Różański<sup>503</sup>. Przez trzy dni chodziliśmy po budowie, po wiaduktach, po największym w Polsce sklepionym moście w Jaremczu, po kamieniołomach, przez tunele, obok usuwisk, przekopów, nasypów, murów oporowych i budujących się stacji. A że równocześnie byliśmy nader gościnnie przyjmowani przez inżynierów, obtańcowywaliśmy ich panie, panny i kuzynki, i pili na umór, więc dobrze nam się działo, śpiewaliśmy, gadali sobie komplementa [s], słowem byliśmy tylko na pół przytomni. Zwiedzanie budowy kolei zakończyło się w Woronince wielkim balem, po oglądnięciu budującego się tam tunelu, oprowadzani po nim przez inż. Feliksa Szlachtowskiego<sup>504</sup> (syn prezydenta miasta Krakowa, wiedeński technik). Nazajutrz zaopatrzeni w żywność, niesioną przez dwóch huculów, ruszyliśmy w stronę Żabiego, bo mieliśmy zwiedzić urządzenia wodne i klauzy<sup>505</sup> w Szybennem. Idąc dobrym marszem na dział wód między Prutem a Czeremoszem, weszliśmy na wielką, równą połoninę, na której nie było się gdzie schronić, gdy po jakiejś jakby trąbie powietrznej, spadł na nas straszliwy grad, walił jakby cepami i przeziębził do szpiku kości. Potem w życiu nigdy już nie przechodziłem takiego opadu brył lodu jak wtedy. Dowlekliśmy się – całkiem bez humorów – do jakiejś szopy na Zaroślaku, pod najwyższym szczytem Czarnohory: Howerlą. Olbrzymi ogień, dobre jedzenie, herbata i sznaps poprawiły nas na duchu. Wróciła fantazja. Komendę objął Niedźwiecki i zapowiedział swoim stentorowym<sup>506</sup> głosem wymarsz na ósmą rano. Patrząc

<sup>502</sup> Jan Waclaw Czerwiński – asystent w Katedrze Inżynierii I, prowadził zajęcia z dróg, mostów, kolei żelaznych i tuneli.

<sup>503</sup> Bronisław Różański (1863–?) – student chemii w latach 1880–1885, asystent w Katedrze Chemii Szkoły Politechnicznej we Lwowie, dyrektor w wielu fabrykach w Galicji, autor licznych rozpraw o tematyce chemicznej.

<sup>504</sup> Feliks Szlachtowski – syn prezydenta Krakowa, profesora prawa i adwokata Feliksa (1820–1896) oraz Heleny z Jankowskich.

<sup>505</sup> Klauza – budowa hydrotechniczna przeznaczona do piętrzenia wód rzeki.

<sup>506</sup> Stentorowy – o głosie bardzo silnym, donośnym, od Stentora – bohatera *Iliady* Homera.

na Howerłę, obliczyłem, że za trzy godziny można wejść na szczyt i za trzy godziny wrócić z powrotem, wliczając w to krótki odpoczynek na górze. Kilku z nas zmówiło się, że o drugiej rano wyruszymy, a o ósmej wrócimy. Zbudziłem się na czas i zbudziłem sprzysiężonych. Tylko trzech nas poszło: Czerwiński, Różański Bronisław i ja. Ponieważ mieliśmy wrócić na to samo miejsce, więc postanowiliśmy bagaży nie brać. Zresztą chodziło o pośpiech i o lekkość. Na wszelki wypadek umówiłem się z Kobyłańskim, że dopilnuje, by w razie naszego spóźnienia zaopatrzone nasze bagaże w chleb, ser i wędliny, co się da. Ku naszemu zdumieniu Różański wziął ze sobą swój tłumok. Zbesztaliśmy go za to. Zapowiedzieliśmy, że będzie go sam nosił. Akurat – jak się okaże – nie mieliśmy słuszności. Różański robił za wielkiego alpinistę. Błagował o swej wspinaczce po górach i skałach szkockich, skąd niedawno powrócił. „U nas w Szkocji porządny turysta nigdy nie rozstaje się ze swoim tłumokiem”. Chcąc go wypróbować, Czerwiński i ja parliśmy po wariacku w górę. Nasz turysta został daleko za nami. Po części litując się nad nim, po części dla oszczędzenia czasu, i tak wzięliśmy od niego tłumok i zgodnie z naszym obliczeniem, weszliśmy na szczyt tuż przed wschodem słońca. Niezrównany, rozległy widok w czystym powietrzu, zabarwionym wschodzącym słońcem, wynagrodził nam wielokrotnie nasz trud. Nie zamieniając słów, obchodziliśmy szczyt dookoła, patrząc na ozłoczone szczyty Alp siedmiogrodzkich<sup>507</sup> i na rozległą krainę u naszych stóp, hen za Stanisławowem, bodaj, że nawet Lwów! W kwadrans po nas dowlóknął się Różański. Padł twarzą do ziemi i w tej pozycji wypoczywał, nie patrząc na widok. Na uwagę, że za chwilę chmury zakryją słońce, odparł: „Widok mnie nie obchodzi. Ja nie po to wychodzę z dołu do góry, żeby stamtąd podziwiać, jak tam na dole wygląda, tylko chodzę po górach dla zapisania, że zdobyłem ten a ten szczyt”. Takiego jeszcze nie spotkałem! Ale przez niego zabawiliśmy na szczycie pół godziny, a więc przekroczyliśmy preliminowany czas. Bałem się, że się spóźnimy. Niedźwiedź na pewno nieubłagany: ósma to ósma, ani przed, ani po niej. Wyrocznia jest jego „tempometr”. Ostatecznie Różański przyszedł do siebie, nabrał sił i zaczął po swojemu wydziwiać: „Co mi to za góra! Nawet skał na niej nie ma. U nas w Szkocji...”. Porozumiałem się z Czerwińskim. Z powrotem ruszyliśmy, trochę w bok z naszego kierunku, na bliski szczyt, na którym widać było początek Prutu, spływający jakby wodospadem ze źródła po skalistej ścianie. „Będzie miał skały” – szepczę do Czerwińskiego, wskazując kierunek drogi. Ruszyliśmy tam, wykorzystując spostrzeżenie, że nasz chemik nie orientował się ani na mapie, ani w terenie. Doszliśmy do skał i zaczęli nimi schodzić w dół. Miłe złego początki. Szło się

<sup>507</sup> Inaczej Alpy Transylwańskie lub Góry Rodniańskie – pasmo górskie w Karpatach Wschodnich w północnej Rumunii, na granicy Marmaroszu i Siedmiogrodu.

dobrze jakby po schodach. Choć stopnie były coraz wyższe, choć było mokro i ślisko, szparko sunęliśmy w dół. Aż w pewnym momencie, zesunąwszy się po dwumetrowym stopniu, znaleźliśmy się na płycie, skąd jakie pięć czy sześć metrów w dół gładka, prawie pionowa ściana skalista, a na boki nie ma zejścia. Wracać? Też nie sposób. Zresztą nasza droga w dół nie do góry. Nasz lord szkocki dostaje zawrotu głowy, pada nam przez ręce i wymiotuje. Na szczęście jego tłumok miał morowe, długie rzemienie. Łączymy do nich paski od spodni, szelki i robimy „linę” na trzy do czterech metrów długości. Jako najdłuższy z nich spuszcza się pierwszy i szczęśliwie staje, nawet bez trudu na płycie, z której jedną, boczną stroną, można by uciec ze skał. Za mną spuszcza Czerwiński turystę bladego i oblizującego się. Najtrudniej było z Czerwińskim. Udało mi się przytrzymać go, gdy twarzą do skały zsuwał się, po ryzykancku, w dół.

Wyszliśmy szczęśliwie ze skał. Nam też odeszła chęć do brawurowania. Trzeba było wypocząć, by nerwy uspokoić. Ale że, o wiele skromniejszy już Różański oprzytomniał, więc ruszyliśmy przyspieszonym krokiem, dla nadrobienia straconego czasu. Nadchodzimy nad śliczną, okrągłą, jasnozieloną łączkę, o średnicy kilkunastu kroków. Różański pierwszy leci jak wariat. Wołamy na niego: „Mijaj! Bo to bagno!”. Ale on jednym susem wskoczył w trawkę i od razu... wyżej kolan w trzęsawisku i zapada głębiej. Na szczęście jego tłumok z rozpuszczonymi rzemieniami był pod ręką. Czerwiński rzuca mu rzemień. Z trudem wyciągamy go na brzeg. Trzeba było ogień rozpałić, by go trochę wysuszyć. Znowu straciliśmy 20 minut. Teraz wzięliśmy mordercze tempo. Już nie puściliśmy Szkota na czoło. Bez przygód dotarliśmy do szopy. Dwadzieścia pięć minut po ósmej! Niedźwiedź słowny! Po naszych ledwo ślad zostawił Kobylański. Z przyszpilonej do ściany, pisanej przez niego kartki dowiedzieliśmy się, że punktualnie o ósmej wymaszerowali w kierunku „określonym na mapie”, chleb, masło, ser, wędzonkę włożył do mego tornistra! Tornister – jest i owszem, tłumok Czerwińskiego – jest i owszem, ale w nich nic do jedzenia! Teraz rewidujemy tłumok Różańskiego. Miał w nim 5 dkg herbaty i pół funta cukru. Ponadto nic więcej do jedzenia! Żadnego garnka do gotowania, żadnej manierki nikt z nas nie miał.

Co się stało z jedzeniem? W parę tygodni dowiedzieliśmy się od inżynierów z Woronienki, że odprawieni pod Zaroślaka dwaj huculi, po wymarszu naszych powrócili do szopy, zrewidowali nasze rzeczy i wszystko, co się dało zjeść lub wypić, zabrali ze sobą. Oczywiście pochwalili się tym przed innymi.

Co robić? W normalnych warunkach nas trzech młodych i silnych dognałoby wkrótce pochód dwudziestu kilku ludzi, w tym pięciu starszych wiekiem profesorów. Tych 25 minut nie przerażałoby nas. Ale po naszych

przygodach, po sześciopółgodzinnym morderczym marszu z góry, głodni, nie dopędzilibyśmy wypoczętych, najedzonych, mających w dodatku pół godziny for przed nami. Trzeba było zrezygnować z marszu nad jezioro Szybenne. Zdecydowaliśmy marsz na Ardżeludżę (dwie mile) i stąd do Worochty, też dwie mile. Na mapie Ardżeludża wyglądała jak mała osada, cztery domy. Chyba mleka i podpłomyka huculskiego tam dostaniemy, może sera owczego lub bryndzy! Żli, głodni, przespaliśmy z godzinę w szopie. Wypoczęci ruszyliśmy do Ardżeludży jak Arabowie do Mekki. Niebo rozpląkało się na dobre. Drobne potoki, przez które musieliśmy przechodzić, idąc wzdłuż biegu Prutu, robiły się coraz szersze i coraz głębsze. Nim dotarliśmy do Ardżeludży, przeprawialiśmy się przez nie sprawnie i sucho. Jeszcze mieliśmy humory. Dobiła nas Ardżeludża. Mapa mówiła prawdę. Cztery gospodarstwa, tj. cztery domy mieszkalne, kilka budynków gospodarczych dla żywego inwentarza i ogrodzeń dla owiec. Ale wszystkie drzwi dosłownie kołkami zabite, w całej osadzie nie było żywego ducha. Wszystko, wraz z żywym i martwym inwentarzem, wyruszyło na połoniny! Szukaj ich tam! Nazad na Howerlę!

Koło domów znalazłem kilka krzaków paraboli<sup>508</sup> z grulami<sup>509</sup> o średnicy nie większej niż centymetr. Piec? Nie ma co! Gotować? Nie ma w czym! W znalezionym korytku dla kur zrobiło się zupę: zimna woda, surowe kartofla, 5 dkg herbaty i pół funta cukru, wymieszane jakąś nadłamaną, drewnianą łyżką znaną w jednej z chat, oto zupa, którą jednak zjedliśmy do czysta.

A z nieba leje jak wół do karety. Mus ruszyć w drogę. Czasem spotkaliśmy hucuła biegnącego truchtem za koniem, prowadzonym w cuglach, a obładowanym mlekiem lub serem owczym. Migał nam tylko jak senne widziadło. Nasze wołania i odzywania się, a może wygląd trzech drabów z pałkami, tylko ich popędzały do szybszego biegu. A my nie czuliśmy się na siłach, by przemocą wydrzeć hucułowi trochę żywności. Przez potoki szło się już w bród. Wprawdzie szliśmy niby to drogą, ale mostów na niej nie było. Nieraz wchodziliśmy w wodę po pas, ale wtedy trzeba było się razem trzymać, by nas pęd wody nie przewrócił. Zapadał zmrok. Najgorzej było przy przechodzeniu przez ścieki po ciemku. Na szczęście droga robiła się wyraźniejsza, zaczęły się na niej pokazywać kładki, a potem i mostki. Trzeba przyznać, że najlepiej z nas wytrzymawał głód, deszcz, przemoczenie, przemęczenie i ten nieustanny marsz w łagodnym spadku, jednak Różański. Ja najgorzej. Przed samą Worochtą osłabłem tak, że zostałem z tyłu. Siadłem na kamieniu pod drzewem. Na szczęście, poczciwy Czerwiński wrócił po mnie i wzięwszy pod rękę, doprowadził do karczmy w Worochcie o 11<sup>h</sup> wieczorem. Z rozkoszą

<sup>508</sup> Krzak paraboli – w gwarze lwowskiej ziemniak.

<sup>509</sup> Grola – w gwarze podhalańskiej ziemniak, kartofel.

ległem pod pierzyną na łóżku. Karczma pełna huculów i robotników. Była to sobota, wieczór wypłaty. Wyszynek, mimo późnej godziny, szedł w karczmie w całej pełni. Po dwudziestosześciodzinnym poście, w czasie dwudziestojednogodzinnego marszu po górach przywróciły nam siły: jajecznicą, chleb, bryndza, herbata i wódka. Różański zaimponował nam na końcu. W poniedziałek rano miał się stawić, by objąć posadę w rafinerii nafty w Słobodzie Rungurskiej. Nie kładąc się spać, po północy dopadł jakieś fury i pojechał swoją drogą. My zrobiliśmy to samo, ale dopiero nazajutrz o dziewiątej rano.

„Ile Pan chce do Kołomyi?” – pytam Żydka stojącego przy wózku zaprzężonym w jednego konia. „Po reńskiemu od osoby”. Wydawało się nam bajecznie tanio. Prędko siadamy na wygodne tylne siedzenie z oparciem. Ale złuda. Po godzinie siedzenia jeszcze nie ruszył. Nigdy bym nie uwierzył, że na wózku, mogącym wedle mnie pomieścić cztery osoby, jechało siedemnastu pasażerów, a woźnica osiemnasty na dyszlu. W ciągu całej drogi z Worochty, przez Delatyn, do Kołomyi nie można było zejść z naszego siedzenia, bo zaraz byłoby zajęte. Co prawda my jedni wygodnie siedzieliśmy przez całą dziesięciogodzinną drogę, mogąc się o poręcz oprzeć, czego nam zazdrościli wszyscy inni pasażerowie.

W czasie innych ówczesnych wycieczek nie przeżywałem tak ciężkich chwil. Przygotowując koleżeńską wycieczkę, wybrałem się w r. 1892 sam dla zbadania trasy do Schodnicy. W Borysławiu czekał na mnie z końmi Wacio Wolski. Po strasznym przejeździe przez „Dział”, gościńca krajowego z Mrażnicy do Schodnicy jeszcze wtedy nie było, po niewiarygodnych spadkach i karkołomnych serpentynach, dojechaliśmy do kwatery Wolskiego w Schodnicy. Abłamowicz, krakowianin, pomocnik Wolskiego, leżał w niej na łóżku, powróciwszy z nocnej szychty. Wacio przedstawia nas sobie i woła do Abłamowicza: „Daj gościowi benedyktyнки, bo Dział go okrutnie zmordował!”. Abłamowicz wyciąga spod łóżka pękatą butelkę Chartreuse, nalewa kieliszek zielonego płynu – zupełnie jak ten likier – i podaje mi go. Niedowierzający, jak zwykle, powiadam: „Pij Pan do mnie!”. Bez wahania wychylił, pocmokał. Tym mnie wziął. Palnąłem kieliszek... ropy naftowej. Coś niemożliwego! A oni w śmiech, że udało im się, z trudem, bo z trudem i ofiarnością, ale przecież nabrać nowicjusza. Skoro świt ruszyliśmy z Waciem przez Urycz, Podhorodce, Kruszelnicę na Paraskę. Na górze wybraliśmy miejsce blisko szczytu, na pięknej połoninie, ze źródłem<sup>510</sup> i z brogiem do siana, w którym jeszcze trochę siana pokrywało półczyny, tworząc rodzaj podłogi. Schodząc z Paraszki ku Sokolemu, spotkaliśmy niedźwiedzia. Ja się

---

<sup>510</sup> Bróg – rodzaj zabudowania przeznaczony do przechowywania plonów rolnych i siana. Składał się z czterech wkopanych w ziemię słupków, podtrzymujących lekki daszek.

trochę przeraziłem, ale niedźwiedź jeszcze bardziej. Prędko uszedł. W nocy przyjechaliśmy koleją do Stryja.

Na drugi rok w sobotę przed Zielonymi Świątami zjechało się nas siedmiu do Schodnicy. Zipser<sup>511</sup>, Wiktor<sup>512</sup>, Rybczyński, Brudzewski, Kobylański, może Aleksandrowicz i ja. Zaczęliśmy od szermierki przed domem i strzelaniem do celu z pistoletu. Przy tym piliśmy dużo wódki tak, że siadałem do stołu, mając dobrze czeremere<sup>513</sup> w głowie. Ale tempa picia jeden Kazio Brudzewski nie wytrzymał. Jak ruszył po obiedzie w podróż do Rygi<sup>514</sup>, tak jechał prawie dwadzieścia cztery godziny, bo aż do Kruszelnicy. W pół drogi między Paraszką a Kruszelnicą przyszedł do siebie. Za Kruszelnicą zaczęło padać i na Paraszkę doszliśmy pod wieczór przemoczeni do nitki. Znalezionej przez nas zeszloroczny bróg stał na miejscu. Źródło było pokryte śniegiem na metr grubym, chociaż był to 21 maj. Nie szkodziło. Śnieg zastąpił wodę. Rozpalono wielki ogień, nastawiono na nim duży czajnik pełen śniegu. Wleźliśmy pod dach brogu, pozostawiając przy herbacie Brudzewskiego, który chcąc się trochę zrehabilitować w naszej opinii, sam się ofiarował. Od czasu do czasu zaglądał pod bróg, zabierał wiechetek siana, żeby sobie poświecić dla zajrzenia, czy herbata gotowa? Trwało to długo, za długo. Wielu już dobrze spało, gdy Brudzewski wsunął się do brogu mruknąwszy, że herbata do niczego, nie chce naciągnąć. Wolski i ja pobiegliśmy do ognia. Patrzą – herbata ciemna! Co ten gadał? Kosztuję: „Coś ty wziął za herbatę?” – pytam Wacicia – „toż to siano!”. „Najlepszą cejlońską” – odpowiada. Ale skosztowawszy, potwierdza: „Siano! Czyżby Riedl<sup>515</sup> (właściciel znanego we Lwowie handlu herbatą) oszukał?”. Idziemy spać bez herbaty. Wcześniej, skoro świt, zbudziłem Wacicia. Takiego ciągu słońek na wiosnę nigdy w życiu ani przedtem, ani potem nie słyszałem. Co najmniej pięćdziesiąt słońek<sup>516</sup> wabiło się nad naszym obozowiskiem. Przypominało nam to czasy perepelnicie, więc z rozczuleniem i nabożeństwem wysłuchaliśmy hurkotania<sup>517</sup> samców i gwizdu samic. Po ustaniu godów wiosennych wyszliśmy z ciekawością do herbaty.

<sup>511</sup> Kazimierz Zipser (1875–1961) – członek Bratniej Pomocy, inżynier kolejnictwa, dziekan Wydziału Inżynieryjnego w latach 1925/1926 i 1936/1937 oraz rektor Politechniki Lwowskiej w latach 1928/1929 i 1932/1933.

<sup>512</sup> Stefan Wiktor – inżynier kolejowy, zatrudniony w c. k. dyrekcji kolei państwowych w Stanisławowie, w II Rzeczypospolitej prezes Dyrekcji Kolei Państwowych tamże, następnie Dyrekcji Kolei we Lwowie.

<sup>513</sup> Czeremere (przest.) – żartobliwie o zamroczeniu umysłu, zazwyczaj pod wpływem alkoholu.

<sup>514</sup> Jechać do Rygi (eufem.) – wymiotować.

<sup>515</sup> Edmund Riedl (1854–1916) – kupiec, założyciel firmy zajmującej się sprzedażą towarów kolonialnych, radny miasta Lwowa i poseł do galicyjskiego Sejmu Krajowego.

<sup>516</sup> Słonka zwyczajna – gatunek ptaka średniej wielkości z rodziny bekasowatych.

<sup>517</sup> Hurkot – łomot, stukot, turkot.

Niestety czajnik był próżny. Ktoś w nocy wylał z niego herbatę. W jakiś czas później przyznał się Kazik, że gdy świecił nad czajnikiem, wypadł mu przypadkiem wiecheć siana z ręki i wpadł do czajnika z herbatą. Tedy w nocy, gdy zasnęliśmy, wstał i wylał daleko w lesie herbatę.

Rano ubraliśmy mokre obuwie na nogi. Ciągłe mżyło, choć nie tak jak wieczorem. Schodząc ze szczytu Paraszki do Sokolego, trzeba było przejść przez szczyty siedmiu jej córek. Po drodze spotkaliśmy niedźwiedzia, na tej samej Paraszkowej co zeszłego roku.

## 7.

### **Tramwaj elektryczny. Wojna ze Sokołem. Wyspiański. Drugi egzamin państwowy.**

**W**r. 1892 w ogrodzie naszej szkoły i wewnątrz gmachu urządzono wystawę przemysłu budowlanego. Nam technikom zaimponował łukowy most dla pieszych, rozpiętości 11 metrów, żelazno-betonowy, liczący w kluczu 15 cm grubości. Poza tą sensacyjną nowością, sama wystawa była tylko reklamą dla firm przemysłowych, dla przedsiębiorców budowlanych i dla architektów. Dobrą jej i trwałą stroną był znaczny postęp w przemyśle budowlanym.

Bez porównania większe znaczenie miała dla uprzemysłowienia Galicji wielka Wystawa Krajowa<sup>518</sup> w r. 1894 nazwana „kościuszkowska”, ile że wypadła w stuletnią rocznicę insurekcji. Ale że cesarz nie mógł przyjechać na wystawę, urządzoną na cześć „buntownika”, przeto oficjalnie nazywała się „krajową”, a od tyłu, gdy nikt nie słyszał, mówiło się o Kościuszcze<sup>519</sup>. Jednak *Panorama Racławicka* była jej szyldem. Malowali ją: Wojciech Kossak<sup>520</sup>, Jan Styka<sup>521</sup>, Rozwadowski<sup>522</sup> i inni nasi malarze. Chodziliśmy patrzeć na tworzenie tego dzieła, a potem podziwiać wspaniałe sosny i atak kosynierów, i efekty świetlne na płótnie.

---

<sup>518</sup> Powszechna Wystawa Krajowa – wystawa osiągnięć gospodarczych i kulturalnych narodu polskiego trwająca od 5 czerwca do 10 października 1894 r.

<sup>519</sup> Tadeusz Kościuszko (1746–1817) – bohater narodowy, generał Wojska Polskiego, uczestnik wojny polsko-rosyjskiej w 1792 r., naczelnik insurekcji kościuszkowskiej w 1794 r. Brał udział w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych.

<sup>520</sup> Wojciech Kossak (1856–1942) – malarz, czołowy przedstawiciel nurtu historycznego i batalistycznego w malarstwie polskim.

<sup>521</sup> Jan Styka (1858–1925) – malarz i rysownik, twórca obrazów o tematyce historycznej, religijnej i batalistycznej.

<sup>522</sup> Zygmunt Rozwadowski (1870–1950) – malarz, przedstawiciel nurtu batalistycznego w malarstwie polskim, żołnierz Legionów Polskich.



Na tę wystawę Lwów stroił się jak panna młoda do ołtarza. Skopywano ulice, naprawiano bruki i chodniki, sklepiano dopływy Pełtwi, naprawiono fasady domów, rozbudowano parki o ogrody miejskie, a przede wszystkim budowano pierwszy w Austrii, a nawet na ziemiach polskich, tramwaj elektryczny. Trasa prowadziła koło techniki. Niestety, z powodu nauki do drugiego egzaminu państwowego, prawie nie korzystałem z prawa jazdy na wózkach roboczych, umożliwiającego nam technikom oglądanie budowy wystawy i tramwaju. Jednak przebyłem niezwykle wesołą chwilę w czasie hecy, jaką przy sposobności jazdy na wystawę urządził nam prof. Roman br. Gostkowski.

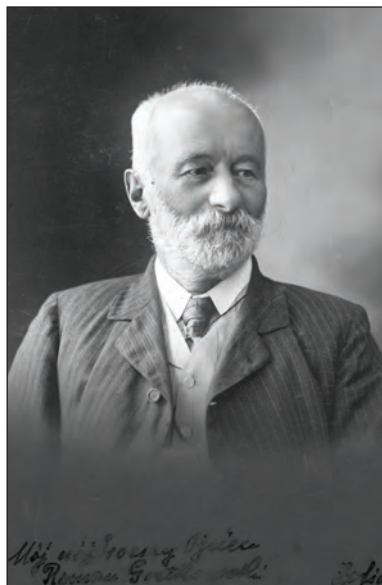
Był to prawdziwy uczoney, wesoły i pogodny. Miał przy tym pełen zmysł do humoru i dowcipów. Pierwszorzędny fizyk i matematyk, doskonały ekonomista, wykładał na technice *Teorię ruchu kolejowego*, jak zatytułował swoje dwutomowe dzieło, drukowane w 1883 roku. Była to pierwsza praca tego rodzaju w świecie. W 1891 r. wyszła po niemiecku jego *Mechanika ruchu kolejowego*. Korespondował z uczonymi fizykami z całego świata. Mówi się „korespondował”, choć ich wymiana myśli bynajmniej nie przypominała zwykłych listów. Były to raczej przesyłane sobie wzajemnie prace lub fragmenty prac, zapisane na kilku lub kilkunastu stronach formułami matematycznymi, a zakończone np. takim zapytaniem: „Co Pan o tym sądzi?” lub „Czy wobec tego podtrzymuje Pan swoje takie a takie twierdzenie?”. Albo: „Jak z tego wynika, zrobił Pan w swoim artykule pomyłkę w obliczeniu, która jednak zmieniła cały właściwy wynik pańskiej, zresztą znakomitej, pracy”. Nieraz czytał mi swoje listy lub listy do niego pisane z takim właśnie zakończeniem. On pierwszy w Austrii montował we Lwowie próbne linie telefoniczne. Pierwszy połączył się telefonem z Wiedniem i na wykładzie z dziedziny akustyki, na ratuszu we Lwowie, odbył pierwszą telefoniczną rozmowę w Austrii na tak wielkiej odległości Wiedeń–Lwów.

Jechaliśmy z nim tramwajem elektrycznym na wystawę. Tramwaj jak zwykle przepełniony. Między jadącymi jechała jakaś grubo uczona powaga. Gruby pan zaczął swej żonie wykładać, jaka to mocna jest ta elektryczność, która ciągnie taki wóz pełen ludzi. Zaintrygowało to profesora. Robi minę z głupia frant i mówi: „No patrzajcie Państwo! Nie ma koni a wóz jedzie? Jak się to może dziać?”. „Widzi Pan” – mówi ta powaga – „wóz ciągnie koń elektryczny”. „Chyba że tak, bo przecież widzę dyszel na dachu. A po cóż by był dyszel, gdyby konia nie było?”. „No nie! Ta elektryka nie jest podobna do konia, to jest siła, która ciągnie za ten, jak Pan mówi, dyszel na dachu”. „Dobrze Panie, ale koń też ma siłę”. „Ma, ale inną”. „Lokomotywa też ma siłę, ale też inną” – tłumaczy grubas. „A mnie się zdawało – wtrąca nieśmiało profesor – że siłę lokomotywy mierzą ilością koni parowych?”. „No tak”

– mówi zmieszany jegomość – „ale to inne konie te parowe”. „Nic z tego nie rozumiem” – woła profesor. „Wóz jest, ma dyszel, coś go ciągnie, zwyczajnych koni nie ma, ale konie jakieś są, choć ich nie widać. Jest jakaś moc ukryta. Skąd się wzięła? Nic nie rozumiem?”. Im mu bardziej ten mądrała wyjaśniał, tym głębiej wdeptywał w nieznaną sobie dziedzinę. A to niby durnowate panisko kpi w żywe oczy ze swego mentora. Rozpoczęły się śmieszki i chichy wśród pasażerów, a po 25 minutach jazdy cały wóz ryczał ze śmiechu tak, że nikt, przyjechawszy na miejsce, nie chciał wysiadać, dopóki profesor nie skończył docinać pouczającego mu go o istocie elektryczności panu.

Na wystawę miał przyjechać cesarz. Sokół<sup>523</sup> decydował się zestawić konną banderę sokolą jako świętę cesarską. Oczywiście uderzyliśmy w Zarząd Sokoła. Chcieliśmy go na Walnym Zgromadzeniu obalić, by wybrać zarząd, przeciwny takiemu przejawowi serwilizmu. Zapisywaliśmy na gwałt członków. Jednak na Walnym Zgromadzeniu pojawiły się mamuty w takiej liczbie, że nas przegłosowały i wybrały Wydział po swej myśli, banderiowo-cesarskiej. Cisar [s] miał na wystawie banderę ze „swoich kochanych Sokolów”.

Na wystawie interesowała mnie kolej linowa, przewożąca nad doliną stryjskiego parku po dwie osoby naraz w koszu. Ale nade wszystko z ciekawości oglądałem przyjezdnych. Wtedy to poznałem krakowskiego ucznia Szkoły Sztuk Pięknych Stanisława Wyspiańskiego<sup>524</sup>, kolegę i przyjaciela mego ciotecznego brata Kazimierza Brudzewskiego. Wyspiański, bynajmniej wówczas niesławny, do niego zajechał, u niego mieszkał, u niego malował córeczkę jednego z woźnych (obraz znany jako *Dziewczyna z [wazonem] z kwiatami*), u niego dysputował ze mną na tematy polityczno-narodowo-społeczne, gdy zaproszony przyszedłem do Kazika na herbatę.



**Fot. 6.** Roman Gostkowski  
Źródło: polona.pl

<sup>523</sup> Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół” – stowarzyszenie mające na celu wychowanie młodzieży polskiej poprzez rozwój fizyczny i kształtowanie postaw patriotycznych. W Galicji pierwszy oddział powstał we Lwowie w 1867 r., w następnych latach tworzyły się oddziały Towarzystwa w innych miastach. Od lat 90. XIX w. organizacja znajdowała się pod wpływem Narodowej Demokracji.

<sup>524</sup> Stanisław Wyspiański (1869–1907) – malarz i dramaturg, poeta tworzący w okresie Młodej Polski, czołowy przedstawiciel symbolizmu w literaturze i malarstwie polskim.

Przegadaliśmy kilka godzin. Przypominał mi i z twarzy, i z głosu, i z poglądów Wacława Wolskiego w jego ówczesnej postaci.

W czasie wystawy odbył się zjazd byłych słuchaczy, z okazji pięćdziesięcioletniego istnienia naszej szkoły i związany z tym zjazd byłych członków Bratniej Pomocy. Ten drugi zjazd interesował mnie wiele więcej od pierwszego, choć i jemu mogłem zaledwie parę godzin poświęcić i tak ukradzionych przygotowaniu do drugiego egzaminu państwowego.

Tu nareszcie trzeba poświęcić parę słów temu barbarzyństwu, do jakiego zesłała pisemna część tego egzaminu na naszym Wydziale. Zdający miał pracować w klauzuli przez osiem dni po osiem godzin dziennie. W praktyce pracował przez dziesięć dni (ja nawet jedenaście) po dziesięć do jedenastu godzin w klauzuli, a resztę doby w domu. Na klucz nie byliśmy zamykani, tylko dyżurujący profesor od czasu do czasu wchodził do sali, kontrolował i podpisywał się na brulionach, i czuwał, by nikt obcy do sali nie wchodził ani się z egzaminowanym nie widział. W razie żądania przynosił z biblioteki podręczniki, dzieła, atlasy. Dotąd wszystko w porządku. Tylko sam temat i forma opracowania! Choć w zasadzie tego nie wymagano, w praktyce rysunki powinny były być wyciągnięte tuszem, pomalowane, porządnie opisane, zaś obliczenia na czysto przepisane. To samo zabierało sporo czasu. A do tego temat! Ja dostałem np. plan warstwicy podgórskiej okolicy. Zadanie było wytrasować i zaprojektować linię kolei jednotorowej głównej II rzędu, mniej więcej 1½ km długości z przekrojami podłużnymi i poprzecznymi. W tym mała stacyjka kolejowa 300 m długości. Budynek stacyjny zaprojektować w normalnej podziałce 1 : 100. Przez rzekę most żelazny, kratowy. Prześła po 40 m światła. Most obliczyć i zaprojektować. Chwycić wodę w rzece i doprowadzić do młyna gdzieś w oddali mającego stanąć. Jednym słowem – projekt linii kolejowej, mostu żelaznego kratowego, budynku piętrowego, jazu<sup>525</sup> i młynówki. To wszystko w ciągu sześćdziesięciu czterech godzin, bo przecież przepis dopuszczał tylko osiem dni po osiem godzin! Będąc w najlepszej formie inżynierskiej, mając pełne doświadczenie budowlane, nie wiem, czy bym takie zadanie zdołał szkicowo wykonać w cztery razy dłuższym czasie. Więc trzeba było, przynajmniej dwustu czterdziestu godzin pracować nad zadaniem, na sen zostało mi po dwie godziny w nocy. Kilka dni z rzędu wcale się nie rozbierałem. Nocami w domu liczyłem i szkicowałem rysunki. W dzień w klauzuli odpisywało się ukradkiem z nocnych obliczeń i rysowało ze szkiców. Gdybym był nie dostał od kolegi Władysława Ziemińskiego<sup>526</sup>

<sup>525</sup> Jaz – budowla w poprzek rzeki, mająca na celu spiętrzenie rzeki i utrzymanie wody na jednym poziomie.

<sup>526</sup> Władysław Ziemiński (1865–1939) – inżynier, urzędnik, minister robót publicznych w rządzie Artura Śliwińskiego (28.06–7.07.1928).

obliczenia mostu kratowego, na pewno nie skończyłbym elaboratu. A jeszcze musiałem pomagać Kobylańskiemu, z którym w jednej sali pracowaliśmy. Jego zadanie było bez porównania łatwiejsze. Trasa i projekt 1,5 km gościńca, za to na rzece zwykły drewniany most leżakowy na murowanych przyczółkach i projekt domu dla dróżnika. Oba tematy układał prof. Thullie. Czy Kobylański był z nim z daleka spowinowacony, czy też miał u niego protekcję przez swojego kuzyna ks. Teodorowicza<sup>527</sup>, późniejszego arcybiskupa ormiańskiego, z którym Thullie razem zakładał Czytelnię Katolicką? Czy też może uwzględnił mniejsze zdolności Kobylańskiego, a może z tych wszystkich powodów razem tak się stało, nie wiem. Dość, że ja dostałem możliwie największy i najtrudniejszy temat, a Tadzio najłatwiejszy i najmniejszy. W tych granicach mieściły się wszystkie egzaminy pisemne na Wydziale Inżynierii. Wytężona praca, nieprzespane noce wyczerpywały tak, że po oddaniu wypracowania zupełnie spadłem z sił, schudłem i wyglądałem, jakbym wstał z ciężkiej choroby. Wystarczy, gdy powiem, że po tej katordze spałem bez przerwy przez 48 godzin. Jedno było mi jasne, że drugi raz do takiego elaboratu nie zasiądę. Jeżeli zadanie nie zostanie przyjęte, nie zdaję egzaminu. Na szczęście oba nasze elaboraty zostały uznane za możliwe. W dwa tygodnie później, 21 lipca 1894 r., siedliśmy do egzaminu ustnego. Wszystko poszło mi dobrze, tylko mosty, tylko święta Thullia wyszła mi bokiem. A uczyłem się mostów i byłem niezgorzej do nich przygotowany. Odpowiadałem Thulliemu całkiem dobrze. Ale mnie przypadkiem złapał. Akurat nie odświeżyłem sobie w pamięci c. k. przepisów o uwzględnieniu parcia wiatru na żelazne kratowe belki mostowe, tym bardziej, że były drukowane w każdym kalendarzu inżynierskim. Na zapytanie profesora odpowiedziałem uczciwie, że przepisów świeżo nie czytałem, bo przecież zawsze ma się je pod ręką. Jego świątobliwość to wyzyskała. Dostałem jeszcze dwa pytania z tego samego rozporządzenia rządowego. Formalnie nie odpowiedziałem na trzy pytania. Egzamin skończył się poprawką z budowy mostów. Poprawkę zdawałem półtora roku później i zdałem śpiewająco, nauczywszy się na pamięć tych półtora stronicy książkowego formatu, na której mieściły się owe nieszczęsne przepisy. Zresztą Thullia wcale mnie o nie nie pytała. Dla przyzwoitości Kobylański też dostał poprawkę z budowy dróg i kolei. Na tej poprawce zakończyłem, 11 kwietnia 1896 r., studia inżynierskie. Mogłem ruszyć w świat. Rosja szukała inżynierów do budowy kolei syberyjskiej. Namyślałem się, czy tam się nie udać. Trzeba bowiem dodać, że po giełdowym krachu w r. 1873 nastąpił długotrwały zastój w życiu gospodarczym. Gdym wstępował na technikę, kończący ją inżynierowie nie mogli znaleźć

---

<sup>527</sup> Józef Teodorowicz (1864–1938) – duchowny obrządku ormiańskiego, od 1901 r. arcybiskup, polityk, poseł na Sejm Ustawodawczy, senator w II Rzeczypospolitej.

pracy w kraju. Przeważnie szukali jej poza granicami Austrii. Ale gdym ją skończył, kryzys mijał, już łatwiej było o pracę w kraju. W trzy lata potem dał się odczuć brak techników. Dno kryzysu, najmniej słuchaczy, wypadło na 1890/91 rok. Następnie liczba słuchaczy szybko wzrosła.

Dzisiaj, powiązawszy w myśli moje studia gimnazjalne z późniejszymi technicznymi i zastanowiwszy się nad czasem poświęconym w szkole średniej językom, historii, [sprawom] polityki, kulturze, sztuce, życiu i urzędziom starożytnych Greków i Rzymian przychodzę do przekonania, że jednak nie był to czas stracony. Pozornie łacina i greka nie przydały mi się na nic w późniejszym moim zawodzie inżynierskim i politycznym. Pozornie. Bo choć filologiczne gimnazjum nie dało mi przygotowania do studiów technicznych, pozostawiło w mym mózgu bardzo jasny, stosunkowo głęboki wgląd w nieograniczoną zdolność ewolucyjną rodzaju ludzkiego. Przesuwa się przed oczyma obraz rozwoju od Dedala i Ikar<sup>528</sup>, od murów cyklopowych<sup>529</sup>, od czasów wojny trojańskiej<sup>530</sup>, poprzez urządzenia społeczne i demokratyczne, filozofów, malarzy, rzeźbiarzy, poprzez dzieła architektury, centralne ogrzewania, wodociągi, kanalizację, meliorację, aż do dzisiejszego chwywania fal głosowych z powietrza, przenoszenia obrazów na drutach i bez, aż do samolotów i budownictwa żelazo-betonowego.

*Panta rei!*<sup>531</sup>

<sup>528</sup> Dedal i Ikar – ojciec i syn, postacie z mitologii greckiej.

<sup>529</sup> Mur cyklopowy – konstrukcja wykonana z wielkich, dopasowanych do siebie płaszczyznami kamieni, bez użycia zaprawy, charakterystyczna przede wszystkim dla kultury mykeńskiej. Nazwa pochodzi od mitologicznych Cyklopów, olbrzymów o jednym oku, którzy mieli budować owe mury.

<sup>530</sup> Wojna trojańska – opisana przez Homera w *Iliadzie* wojna Achajów i mieszkańców Troi, trwająca dziesięć lat. Jej powodem było uprowadzenie Heleny, żony króla Sparty Menelaosa, przez Parysa, syna króla Sparty, Priama.

<sup>531</sup> *Panta rei!* (gr.) – wszystko płynie – sentencja Heraklita, filozofa ze starożytnej Grecji, wyrażająca przekonanie o zmienności świata.

## Rozdział V

# PEREPELNIKI

### 1.

**Trochę poezji, geografii, hydrografii. Teofil Wiśniewski. Obszar dworski.**

Niech będzie co będzie,  
A pióra nie wstrzymam w serdecznym zapędzie!  
Pochwalić ja muszę dwie białe dziewczeczki,  
Jak duch mój samotne,  
Jak moja myśl lotne:  
W Perepelnikach to dwie przepióreczki.

I z całych okolic  
Pytają: skąd głosy? – To głosy jasnolic,  
To głosy pieszczone moich kuzyneczek.  
O moja ty Polsko!  
Tyś harfą eolską<sup>532</sup>,  
Dopokąd<sup>533</sup> masz gniazda takich przepióreczek!

Urywek z wiersza Kornela Ujejskiego, pisanego w r. 1856.

---

<sup>532</sup> Harfa eolska – harfa boga wiatrów Eola; instrument muzyczny składający się z prostego pudła rezonansowego z pionowo rozpiętymi strunami, ustawianego na wolnym powietrzu, wydający dźwięk podczas wiatru.

<sup>533</sup> Dopokąd (daw.) – dopóki.

O tóż mam pisać o tych samych Perepelnikach i o jednej z tych kuzyneczek Kornela, którą poznałem jednak dopiero trzydzieści jeden lat po napisaniu przez niego tego wierszyka pt. *Przepióreczki*. Pisał o dwóch pannach Pokutyńskich. Jedna z nich, Melania<sup>534</sup>, wyszła za mąż za Szymona Padlewskiego<sup>535</sup> z Libertowa, pod Skawiną, a jej siostra – za Ludwika Wolskiego<sup>536</sup>, adwokata lwowskiego, znanego polityka, przyjaciela politycznego Floriana Ziemiałkowskiego<sup>537</sup>. Padlewscy gospodarowali w Perepelnikach. Tu poznałem panią Melanię. Jej siostra Wolska wtedy już nie żyła. Ich stryjeczna siostra Aniela z Pokutyńskich Nowacka była matką mego przyjaciela młodości i kolegi szkolnego Stacha Nowackiego, studiującego chemię. Stach wakacje spędzał w Perepelnikach, dokąd mnie stale zapraszał. Pojechałem tam na tydzień w r. 1887, po skończeniu siódmej klasy. Lato 1888 r. spędziłem w Zakopanym, a po powrocie z gór, przygotowywałem się do egzaminu wstępnego na technikę, więc nie starczyło mi czasu na jazdę do Perepelnik, ale od 1889 r. spędziłem tam cztery wakacje z rzędu.

Koleją jechało się do Zborowa. Wprawdzie najbliższej leżała stacja Płuchów, ale z niej nie było drogi przez mokre łąki ze stacji kolejowej. Poczta w Nuszczu. Ze Zborowa, gminną drogą było do Perepelnik co najmniej dwie i pół mili. Po suchej drodze, lekkim wózkiem, dobrymi końmi jechało się przez Jarosławice i Hukałowce pełne dwie godziny. Wieś leży prawie w środku zimnego Podola. Tylko suche lata w tym czarnoziemiu o nieprzepuszczalnym podglebiu, na pierwszorzędnym europejskim dziale wód, były latami urodzaju. W mokrym roku przepadały jare zboża i gniły kartofle. Akurat odwrotnie niż na piaszczystym Mazowszu. Wieś leży na rozległych wzgórzach, oddzielonych od siebie potokami, tworzącymi szerokie, bagniste łąki. Dziś zapewne grunty już zdrenowane, łąki osuszone, ale przed pięćdziesięcioma laty wszystko było w naturalnym, prymitywnym stanie. Choć postęp i tu do tego zapadłego kąta dotarł. Duży handlowy sad jabłkowy zajmował trzy ryzy (ryza liczyła 5 morgów tj. 2,75 ha) na południowym zboczu wzgórz koło dworu. Z trzech stron osłonięty wysoką ścianą kilku rzędów świerków, podszytych z dołu krzakami, odsłonięty od południa, jedynie przed

<sup>534</sup> Melania z Pokutyńskich Padlewska (1838–1907) – córka Jana Pokutyńskiego, właścicielka Perepelnik. W 1900 r. zapisała Perepelniki dzieciom przedwcześnie zmarłej siostry Anieli Wolskiej (ok. 1839–1866), Marii z Wolskich Zawiszy i Wacławowi Wolskiemu.

<sup>535</sup> Szymon Padlewski był dalekim krewnym matki Melanii, zmarł ok. 1897 r.

<sup>536</sup> Ludwik Wolski (1835–1887) – adwokat we Lwowie, polityk, publicysta, poseł do Sejmu Krajowego Galicji w latach 1870–1873.

<sup>537</sup> Florian Ziemiałkowski (1817–1900) – prawnik i polityk, poseł do Sejmu Krajowego i austriackiej Rady Państwa, działacz niepodległościowy w okresie Wiosny Ludów, przywódca lwowskich demokratów, pierwszy prezydent Lwowa w dobie autonomicznej w latach 1871–1873, minister do spraw Galicji w rządzie austro-węgierskim (1873–1888).

złodziejami chroniony wysokim plecionym płótem, przykrytym ostrzeszkiem<sup>538</sup>. Oprócz handlowego, było sadu na domowy użytek, przy dworze 3 morgi, zaś koło pasiek w lesie i na folwarku jeszcze 5 morgów. Ogółem sady i ogrody zajmowały blisko 25 morgów dworskich gruntów.

Poza Hukałowcami, należącymi do olejowskiego klucza hr. Wodzickich<sup>539</sup>, najbliższym sąsiedztwem na północny zachód Perepelnik była wieś Weissmanów, Nuszcze. Na północny wschód leżał Manajów z czterema folwarkami, z których jeden należał do Bemów, krewnych wielkiego jenerała<sup>540</sup>. Pani Bemowa była sławną miejscową pięknoscią, wówczas już nieco podstarzałą. Ale, bądź co bądź, tradycja! W manajowskiej pasiece ukrywał się w r. 1846/7, po nieudanym napadzie powstańczym na Narajów, Teofil Wiśniowski<sup>541</sup>. Pasiecznik Iwan Budnik, wraz z bratem Anastazym (Rusini), skuszeni ogłoszoną nagrodą pieniężną, wydali go władzom austriackim, a te powiesiły Teofila we Lwowie na Hyclowskiej Górze<sup>542</sup> 31 lipca 1847 r. Miejscowa ruska ludność ze zgrozą opowiadała o zdrajcy. Potworzyła legendy o śmierci tego pasiecznika, o wyszarpaniu jego zwłok z ziemi przez psy i o tułaczce zwłok po zgonie. Gdym do Perepelnik zajechał, jeszcze napotykało się ślady pamięci Teofila Wiśniowskiego i słuszną legendę o dwóch zdrajcach Iwanie i Anastazym Budnikach.

Okolice lasista. Pola i łąki perepelnickie przytykały do lasu hukołowickiego i do lasu w Tworymirce. Perepelnicki las dworski obejmował przeszło 600 morgów, gminny przeszło 35, ekwiwalentowy (za serwituty) 40 morgów. Oprócz tego dwór miał na folwarku 18 morgów smerczyny<sup>543</sup>. Partie lasu miały swoje nazwy lokalne – Słone, Maślanka, Głębokie, Terebieże, Grabina, Polanki, Pasieki itp. We dworze i w lasach było 5 pasiek, przeszło sześćset uli.

Przez któryś z potoków tworzących Seret, a oddzielający wieś od dworu, spadała droga z pieca na łeb ku potokowi, na most, a stamtąd wjeżdżało się do dworu łagodniej na lekkie wzgórze aleją lipową. Do dworu należał folwark, leżący naprzeciw stacji Płuchów, ale przedzielony od niej bagnistą

<sup>538</sup> Ostrzeszek – okap dachu, bramy itp.

<sup>539</sup> Majątek Olejów nabył w 1855 r. hrabia Kazimierz Wodzicki (1816–1889), a jego spadkobiercą i ostatnim właścicielem Olejowa był Aleksander Ludwik Wodzicki (1860–1941).

<sup>540</sup> Józef Bem (1794–1850) – generał, pisarz, dowódca artylerii polskiej w czasie powstania listopadowego, działacz Wielkiej Emigracji, uczestnik Wiosny Ludów, naczelny wódz powstania węgierskiego w latach 1848–1849, generał armii tureckiej.

<sup>541</sup> Teofil Wiśniowski (1805–1847) – działacz niepodległościowy i konspirator, członek Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, organizator i dowódca oddziału, który napadł na szwadron huzarski w Narajowie (21 lutego 1846 r.). Następnie ukrywał się w Manajowie do 3 marca. Rozpoznany i aresztowany został oskarżony o zdradę stanu i skazany na śmierć.

<sup>542</sup> Inaczej Góra Straceń (Kleparów).

<sup>543</sup> Smerczyzna – świerk, las świerkowy.



łąką. Na folwarku było wzgórze, „Góra” Jana III, bo legenda i tu go usadowiła<sup>544</sup>. Najbliższym miasteczkiem był Olejów, siedziba magnata, znanego przyrodnika, ornitologa i myśliwego Wodzickiego. Pan Szymon bardzo ceniał strzelbę, kabzlową, lepażówkę (belgijska fabryka broni Le Page), którą otrzymał od Wodzickiego, gdy ten powrócił z Egiptu z polowań na krokodyle. Co prawda biła doskonale.

## 2.

**Padlewscy Szymon, Melania, Władysław, Romuald. Pazowski. Jego polowanie z powłóczką na lisy. Wykurzanie kun. Łapanie borsuka do worka. Dzikie gęsi. Pan B. Nauczyciel z Nuszca pod Königrätz. Jego zasiadka.**

Szymon Padlewski urodzony w 1830 którymś, prosty, wysoki na przeszło 1,85 m, z długą brodą, z długimi siwymi wąsami, zawsze w czamarsze, w długich, polskich butach, wyglądał na patriarchę. Mina groźna, brwi nastroszone, niski głos nadawały, temu niezwykle dobremu człowiekowi, pozór groźny. Mazur, o czarnym podniebieniu – jak mawiano – kochał lud ruski dla jego poczciwości. Po rusku nie nauczył się mówić, choć z chłopami zawsze rozmawiał z ruska po mazursku. Doprowadzało to nieraz do nieporozumień, gdy np. pan dziedzic chciał się od wiejskiej gospodyni dowiedzieć o zdrowie jej dziecka, leczonego przez panią Melanię, a zapytał o to tak: „Jak się mają wasze ditko?” (ditko – diabeł, zamiast detyna – dziecko). Zgorziona kobieta obraziła się śmiertelnie na niego. Ale chłopcy go kochali. Harmonia między dworem a wsią była tam w owym czasie najzupełniejsza. Nawet rozmowa na temat sprzeczności interesów między chłopami a dziedzicem miała formy przyjacielskie, prowadzona była bez złości. „Lisy i pasowyska” nie grały tu, ku mojemu zdumieniu, wielkiej roli, bo chłopcy mieli las, więcej łąk niż dwór i pastwisko. Pan Szymon przeżył Wiosnę Ludów w 1848 r. i zachłystnąwszy w młodości ówczesnych hasel wolności, równości i braterstwa żył nimi przez całe życie. Aż do śmierci zostało w nim coś z Wiosny Ludów. Z religii pozostał w nim deizm<sup>545</sup>. Księży nie znosił. Praktyk religijnych nawet dla oka nie chciał odprawiać. Austriaków, cesarsko-królewskich urzędników, wojskowych, a także stańczyków nie cierpiał.

<sup>544</sup> Na wzgórzu, według podania ludowego, miał stacjonować wraz z obozem Jan III Sobieski, król Polski w latach 1674–1696.

<sup>545</sup> Deizm – wiara, że Bóg jest stwórcą, jednak po stworzeniu świata nie ingeruje w jego sprawy.

Zżymał się na jednego ze swych dalszych sąsiadów – bodaj z Trościańca – eks. Apolinarego Jaworskiego<sup>546</sup>, prezesa Koła Polskiego, który, jego zdaniem, całkiem zastryjacział [s]. Na swych sąsiadów Weissmanów, Kriegsha-berów patrzył spod oka, nie tyle z powodu ich żydowskiego szlachectwa, ile dla ich austriackiego patriotyzmu. Nas młodych bardzo lubił, tym bardziej, że nic nie ukrywając, opowiadaliśmy w szare, słotne dni o naszych walkach z policją, z namiestnikiem, działającym przeciw patriotycznej młodzieży za pośrednictwem kolegium profesorów.

Sumienny i pracowity gospodarz, doskonały myśliwy, niezawodny strzelec miał jedną organiczną wadę, tj. astmę i jedną słabość – do gry w tarota i preferansa. Zresztą obie grał pierwszorzędnie. Gdy przyjaciele, krewniacy i sąsiedzi zjechali się na jakie święto lub jego imieniny i zasiedli do kart, grali jednym tchem przez 36 godzin. Następowła 12-godzinna przerwa, po czym jeszcze 12-godzinne poprawiny. Młodzieży jako partnerów nie uznawał. Nieraz gdy wieczorami grałem w szachy ze Stachem Nowackim, kibicowałem Stachowi, od którego lepiej grałem. Gdy noc była gwiazdzista, siadał na kamiennej ławce przed domem i wykladał nam astronomię, a raczej mapę nieba. Wcale starannie dobrana biblioteczka liczyła około 500 tomów w dwóch szafach. Z tych jedna stale zamknięta na klucz, bo obok książek był w niej proch, śrut i tytoń, najłakomsze [s] rzeczy, które trzeba było przed „paniczami” chować. Więc do tej szafy nie mieliśmy dostępu. Pan Szymon wyjeżdżał co roku przed żniwami na cztery tygodnie do Szczawnicy, w której pił wodę i łowił pstrągi. Umierając, po 1896 roku, na zapalenie płuc (w związku z astmą), zapisał w testamencie swoją połowę Perepelnik na fundację, której celem miało być popularyzowanie wśród ludu wiejskiego obrazów z historii polskiej. Fundacja nie doszła do skutku.

Pani Melania była wysoce wykształconą osobą, bardzo taktowną, zrównoważoną, doskonałą gospodynią, równie gorącą, jak pan Szymon, patriotką. W oczach chłopów raczej ona była dziedziczką, jako że rodzona w Perepelnikach z rodziny z dziada pradziada tam osiadłej. Lud ruski uważała za swych rodaków, ile że w ogóle innego ludu nie znała. Stąd stosunek do chłopów dziedziczki, równie dobrze po rusku jak po polsku mówiącej, był jakby rodzinny. A że z natury była osobą dobrą i łagodną, choć energiczną, miała pełny mir<sup>547</sup> u ludu. Brak własnych dzieci odbił się na niej odcieniem melancholii. To też całą, prawdziwie macierzyńską miłość przelała na dzieci

---

<sup>546</sup> Apolinary Jaworski (1825–1904) – poseł do galicyjskiego Sejmu Krajowego i austriackiej Rady Państwa, minister ds. Galicji w rządzie austriackim w latach 1893–1895, właściciel dóbr Ordów, Skawarza i Trościaniec Mały.

<sup>547</sup> Mir – szacunek, poważanie.

swej śp. siostry, na Mimę (Maria) i Wacia Wolskich. Ich ojciec rozwiódł żonę Zawiszy<sup>548</sup>, obywatelowi ziemskiemu z Goszyc w pow. miechowskim i zamieszkał z nią we Wiedniu. Dzieci wołały ciocię Melanię niż macochę i gdy tylko mogły, uciekały z Wiednia do Perepelnik.

Pani Melania miała słabość także do Stacha Nowackiego, widząc w nim otwartą głowę i dużo obiecujących zdolności. Inaczej odnosiła się do jego siostry Anieli, a swej pomocnicy w gospodarstwie domowym. Po śmierci męża więcej przesiadywała we Lwowie niż na wsi, bo zajęła się wychowaniem wnuczki Zosi Zawiszanki<sup>549</sup>, córki Mimy i Artura Zawiszy<sup>550</sup> (...) z Goszyc. Odwiedzałem staruszkę, gdy tylko czas mi pozwolił. Zawsze była zrównoważona, pogodna i serdeczna.

W Perepelnikach spędzał czasem urlop brat rodzony pana Szymona, najmłodszy z trzech braci, Władysław. Zdaje mi się urzędnik bocheńskiego wydziału powiatowego. Sportowy myśliwy w całym tego słowa znaczeniu. U niego uczyłem się łowiectwa. Zjechał raz z żoną i trzema córkami. W najstarszej siedemnastoletniej Wikci kochałem się przez jedne wakacje na zabój. Po cichu kochał się w niej też Stach, zresztą stały adorator Mimy. A że miał zwyczaj opisywać nasze wakacje homeryckim wierszem, więc dużo miejsca poświęcił Wice i moim do niej wzdychaniom. Brat stryjeczny pana Szymona – Romuald był całkiem innego pokroju człowiekiem. Żołnierz z 1863 roku, wzięty do niewoli powędrował na Sybir. Nas irytował tym, że nie umiał nic opowiedzieć ani o swym udziale w walkach powstańczych, ani o drodze na Sybir, ani o Syberii, ani o swym życiu, ani nawet o swoim bliskim krewnym Stanisławie Padlewskim<sup>551</sup>, który w Paryżu zastrzelił generała rosyjskiego i szpicla Sieliwierstowa. To jedno tylko potrafilimy z niego wydusić, że na Syberii jest zimno, bardzo zimno, strasznie zimno, okropny mróz! I że jadł tam „frukta” jak ta karafka. Tych „fruktów” nie mogliśmy mu

<sup>548</sup> Ludwik Wolski związał się z Józefą Marią z Boduszyńskich Zawiszyną z Goszyc (1843–1887). Formalnie nie byli małżeństwem, ponieważ pierwszy mąż Józefy nie zgadzał się na rozwód. Ich związek spotkał się z nieprzychylną reakcją i towarzyskim bojkotem. Syn Józefa z małżeństwa z Antonim Zawiszą (1822–1897) kieleckim adwokatem, Artur ożenił się z córką Ludwika Wolskiego, Marią w 1888 r.

<sup>549</sup> Zofia Zawiszanka (1889–1971) – *primo voto* Gąsiorowska, *secundo* Kern, poetka, publicystka, działaczka niepodległościowa, podczas I wojny światowej działała w wywiadzie Legionów Polskich i POW.

<sup>550</sup> Artur Zawisza (1861–1901) – syn Antoniego i Józefy z Boduszyńskich, właściciel Goszyc i Szpital, wsi w powiecie proszowskim.

<sup>551</sup> Stanisław Padlewski (1857–1891) – działacz socjalistyczny, związany m.in. z II Proletariatem i międzynarodowym ruchem robotniczym. 18 listopada 1890 r. w Paryżu, z własnej inicjatywy zastrzelił N. D. Sieliwierstowa, szefa agentury policji carskiej w Paryżu. Odtąd ścigany przez służby policyjne przenosił się z miejsca na miejsce. Popęlnił samobójstwo 18 października 1891 r. w San Antonio w Teksasie.

zapomnieć. Wobec tego podejrzewaliśmy go, że się w ogóle wcale nie bił, a na Sybir wzięli go Moskale chyba tylko przez omyłkę. „Gdzieżby taki wuj Romuald?”... W dodatku zdarzyło się, że na polowaniu zastrzelił sarnę, a pan Szymon wpoił w nas przeświadczenie, że największą hańbą myśliwego jest zabić sarnę zamiast kozła. Raz w zimie przyszedł raniutko do naszego pokoju umyć się, bo miał zamiar jechać z panem Szymonem do Nuszca na proszone polowanie. Załatwiając u nas swój mały interes, wypuszczał gazy i dogadywał sobie głośno – „kto szcz... a nie pierd... to jak cygańskie wesele bez marcepanów”. Diabli mnie wzięli na tę, delikatnie mówiąc, bezceremonialność. „Powinno się jednak obejść cygańskie wesele bez tych głośnych marcepanów” – wołam do niego. „Może – odparł niez mieszany – ale jednak bez kawy trudno jechać”. I powtarzając sobie to ostatnie zdanie kilkanaście razy, ubrał się i poszedł do jadalni. Nawiasowo dodam, że Szymon wtedy nie wziął go ze sobą do Nuszca, bo po pierwsze, Romuald nie był proszony, a po drugie, gospodarz bał się wstydu, gdyby Romuald znowu sarnę zastrzelił. Chodziło także o karę 100 złr., związaną z zastrzeleniem sarny.

Poznałem brata Romualda – Szczepana, ziemianina spod Brodów, gdy raz, jadąc gdzieś do wód, zatrzymał się w Perepelnikach. W drodze był z żoną i swoim rządcą [Józefem] Podoskim, który po śmierci Szymona, Szczepana, Pazowskiego i po objęciu gospodarki w Suchodołach przez pana Rottera, drugiego męża pani Szczepanowej, zajął miejsce Pazowskiego w Perepelnikach.

Nareszcie dobiłem się do ekonoma perepelnickiego pana Leona Pazowskiego. Był to właściwie przyjaciel domu. Dużo przeżył, dużo widział, dużo pamiętał. Lubił nam opowiadać o dawnych czasach, w chwilach kiedy „paniczki” – tak nas zawsze nazywał – wracając z łowów, wstąpili do niego na kieliszek wiśniówki (we dworze wódka nie była mile widziana). Zapalał lulkę, gawędził, opowiadał i byłby nie skończył mówić, a my słuchać, gdyby nie strach przed gderaniem pani gospodyni za spóźnienie na wieczerzę. Pamiętał powstanie węgierskie<sup>552</sup>, a raczej przemarsz przez Galicję wojsk rosyjskich w 1849 r. na Węgry. Opowiadał przede wszystkim o panującym wtedy straszliwym głodzie, o drożyznie, o braku zarobków i pieniędzy. Głodowała cała ich rodzina. Jemu udało się ukraść żołnierzowi rosyjskiemu cztery naboje, tedy ukradkiem zabrał ojcu strzelbę i poszedł w pole, by upolować coś do zjedzenia. Zabił wtedy ogromnego orła, którego w domu ugotowali i zjedli. Żołnierze, widząc go niosącego orła, dali mu bochenek chleba za jedno skrzydło orle. Z ukradzionych naboji wydobył ojciec proch, przetopił kole

---

<sup>552</sup> Powstanie węgierskie – mowa o rewolucji węgierskiej mającej miejsce w latach 1848–1849, będącej częścią rewolucyjnych ruchów w Europie zwanych Wiosną Ludów. Władze austriackie otrzymały wsparcie wojskowe od Rosji, a jej oddziały, aby dotrzeć na Węgry, maszerowały przez Galicję.

i myślistwem zdołał wyżywić rodzinę aż do żniw. Wszystko to działo się na tym samym zimnym Podolu, może w Pieniakach, a może w Ponikwie, bo o tych dwóch wsiach najwięcej nam opowiadał. Gospodarz był z niego zapobiegliwy, zawsze pełen optymizmu, zawsze wesoły i pogodny. Lubieli go wszyscy – fornale, dziewczki dworskie, pobereźnicy<sup>553</sup>, chłopci, Padlewscy, no i my. Jednego lata, w czasie pobytu pana Szymona w Szczawnicy, padł wół. Wracającemu dziedzicowi zdaje sprawozdanie Pazowski – „wszystko dobrze, proszę pana, deszcze padały cały czerwiec”. „No to kartofle zgniją, a owsy już widziałem. Diabli je wzięli” – mówi Padlewski. „Tak! Ale za to będzie kapusta jak nigdy”. „Eh! Co my tam mamy kapusty? Tyle co dla domu. To chłopci mają! A jak z inwentarzem?” „Jako tako, proszę pana – mówi Pazowski – jeden wół padł!” „I pan to nazywa jako tako? – gorączkuje się pan Szymon – toż to wielka strata! Kilkaset reńskich! Więcej niżeli mnie Szczawnica kosztowała!” „Eh! – powiada lekceważąco pan Pazowski – jakim był w Pieniakach, jednego roku dziesięć skór wolicz wisiało na bantach<sup>554</sup>”.

Pierwszorządny myśliwy i strzelec doskonały. Wprawdzie odtylcówek<sup>555</sup> nie uznawał, za to swoją kabzlówkę niewiarygodnie szybko nabijał. Doskonale opowiadał. Nie złapaliśmy go nigdy na bladze myśliwskiej, bo chociaż nieraz kilka razy to samo zdarzenie nam opowiadał, zawsze tak samo wychodziło. W jego opowiadaniu do każdej zwierzyny inaczej brzmiał strzał, zależało to od jej wielkości. Do grubego zwierza strzelał: „rym! rym!” albo: „bah! bah!” lub „bęć! bęc!” do mniejszego: „paf! paf!” dalej z kolei szło: „tarach!” lub: „trzask! trzask!” wreszcie: „łusk! łusk!” a na samym końcu: „pif! pif!”.

Rozkoszą było naciągnąć go na opowiadania łowieckie w obecności pana Szymona, małowównego, nielubiącego się chwalić swoimi wyczynami, a przy tym nieznoszącego blagi myśliwskiej. Wróciliśmy z jakiegoś zimowego polowania, na którym spudłowałem lisa. Pazowski poucza młodego myśliwego: „Musiał lis panicza widzieć. Wtedy nigdy nie należy do niego strzelać, bo nim śrut doleci, on się rozpląszczy na ziemi i potem tyle się go widzi. Jednej zimy, jakoś zaraz po Nowym Roku, wybraliśmy się z panem Padlewskim na lisy z powłóczką. Upiekłem kota, pokrajałem go na drobne skrawki i w dzień rozwłóczyłem je saniami od lisich jam, aż do stert ze słomą na polu za gumnem<sup>556</sup>. Noc jasna, księżycowa, siarczysty mróz styczniowy. Ja siedzę pod jedną stertą, a pan dziedzic pod drugą. Idzie lisiura jak po sznurku i zbiera powłóczkę. Może na siedemdziesiąt kroków, czy nas wyczuł, czy zobaczył?

<sup>553</sup> Pobereźnik – strażnik pilnujący lasu.

<sup>554</sup> Bant (z niem.) – opaska, obręcz, element w konstrukcji dachu.

<sup>555</sup> Odtylcówka – strzelba ładowana od tyłu.

<sup>556</sup> Gumno – podwórze wraz budynkami gospodarskimi.

Dość, że przysiadł na tylnych łapach i patrzy się na mnie, tylko mu ten biały fartuch błyszczący. Nie strzelam, bo siedzi i na mnie patrzy. Posunął się parę kroków, ale wciąż na mnie patrzy. Czekam. Znowu parę kroków i znów siedzi. Ja ani mru mru. Widocznie nie dostrzegł nic podejrzanego, bo nareszcie ruszył spokojnie dalej za powłóczką, a ja wtedy „trach! trach!” z dubeltówki. „Tak! Tak!” – uzupełnia pan Szymon opowiadanie – i oba ładunki wpakował mi pan w brzuch. Ledwom się z tego wychrapał, dzięki temu, że kozuch miałem gruby”. „Ale lis został” – kończy triumfująco Pazowski.

„Przyjedźcie panicze w lutym – zaprasza nas Pazowski – zapolujemy na kuny. Za futro leśnej, z czerwonym fartuchem, płacą 6 reńskich, a z białym (domowa) nawet 10 złr., kiedy za lisa ledwo trzy dają. Trzy lata temu w sadzie w stebniku<sup>557</sup> wytropiłem kunę, ale uciekła mi do stodoły. Trzeba ją było podkurzyć, aby wyszła na strzał z ukrycia”. „I małoś Pan wtedy, tym podkurzaniem, stodoły nie spalił, bo już się dach zajął. Ledwośmy go z Wasylem ugasili” – dodaje pan Szymon. „Ale wtedy wzięliśmy trzy kuny, bo w stodole było ich całe gniazdo, dwie starki i jedna młódka” – ciągnie niestrapiiony bynajmniej Pazowski.

We wrześniu wyprawiliśmy się na noc do lasu na borsuki. Pazowski ciągle szukał jakiegoś worka. „Na co panu worek?” – pytamy. Wyjaśnia: „Borsuk w noc księżycową wychodzi na żer. Wtedy zakłada się do jamy worek. Borsuk ruszony przez psy, ucieka do jamy, wpada we worek, a ukryty myśliwy pociąga za sznurek i więzi żywego zwierza we worku”. „Aleście jeszcze nigdy w ten sposób borsuka do worka nie wpędzili” – wtrąca wuj Szymon. „Ostatni raz Jan z folwarku wyrwał go psom, ucapił za kark i wsadził rękę do worka, a tak mu borsuk łapami cały brzuch poharatał, że do dziś kwęka”. „Prawda! Ale po co się rzucał całym ciałem na borsuka?”. „Bo inaczej nie mógł go żywcem wziąć!” „Lepiej nie zawracać sobie głowy workami, bo to na nic! Zastrzelić na torbę i sadło, i już”. „Kiedy Józek (Pazowski junior) prosił mnie o żywego”. „Chyba że tak”.

Zresztą opowiadał o upolowaniu na wiosennych przelotach w Perepelnikach dwóch pelikanów, o danielach, które w lesie do niedawna były, o jarząbkach, które dopiero przed kilku laty zniknęły z lasów i mnóstwo swoich przygód myśliwskich, i dobrych strzałów. Prześlizgnął się, ogromny, wypchany orzeł, zastrzelony w Perepelnikach świadczył dobrze i o możliwościach łowieckich, i o myśliwych. Stach Nowacki upierał się, że widział na skraju lasu, na Słonem, kilka razy ślepowrona nad łąką. Bardzo mi to imponowało, bo wiedziałem, że to ptak herbowy, a nie wiedziałem, jaki to gatunek. W każdym razie coś egzotycznego.

---

<sup>557</sup> Stebnik – budynek do przechowywania uli.

Pazowski przyjaźnił się z nauczycielem szkoły ludowej w Nuszczu (nazwiska nie pamiętam, będę o nim mówił pan B.)<sup>558</sup>. Był to zapalony myśliwy, ale fatalny strzelec. Polowałem z nim kilka razy, dużo strzelał, ale nigdy niczego nie ustrzelił. Poznałem go, powracając ze Staszkiem z wyprawy na dzikie gęsi, których klucze przeciągały nad wzgórzami za wsią. Wzięliśmy na to strzelanie karabin Werndla<sup>559</sup>. Łatwo i tanio można go było nabyć (za 5 złr.), bo w armii austriackiej wymieniano wtedy Werndle na Manlichery<sup>560</sup>. Na wzgórzach strzelaliśmy na przemian, to Stach to ja, do gęsi z karabinu. Naboji nie żałowaliśmy. Wracaliśmy z pustymi rękoma. Gęsi kłaniały nam się za strzały honorowe. Raczej upokorzeni niż źli, wracając do dworu, wedle zwyczaju, wstępujemy do Pazowskich. Przy karafeczce z wiśniówką siedzi ktoś obcy. „Ale dziś panicznie strzelali jak na rezurekcję! A gdzie gęsi?” – podśmiewa się Pazowski. Aby pokryć konfuzję, robię naiwniaka i pytam, czy kulą gęś zabije? Na to odzywa się gość, jak się potem okazało, ów nauczyciel nuszczański: „Czemu nie” – poucza mnie. „Jakem był w sześćdziesiątym szóstym pod Königgrätz, trzydziestego ode mnie w glidzie<sup>561</sup>, kula armatnia przecięła na pół. Górna część ciała poleciała sążęń<sup>562</sup> w górę, a nogi jeszcze ze trzydzieści kroków z nami pomaszerowały!”... Taki gość od razu nam się spodobał. Już w poprawionych humorach siadamy do wiśniówki i dalejże naciągać naszego pan B. na słówka, na opowiadania. Lubił widocznie gawędzić, zwłaszcza gdy sam w swej osobie był bohaterem opowiadania, więc wyciągamy z niego jak to we wsi X, w której służył jako praktykant u leśniczego, wybrał się po kryjomu na zasiadkę pod las. Siadł pod bukiem i czeka. Gdy usłyszał w lesie chrząkanie, hurkot i łomot, ze strachu wylazł na drzewo. Pod drzewem zbiera się całe stado, kilkanaście sztuk dzików. Ocierają się o drzewo, ryją po nim, chcą je widocznie zwalić, aby jego dostać. Strzelił raz czy dwa, ale dał spokój strzelaniu, bo się bał, by z drzewa nie zleciał, by dziki buka nie obaliły, by nie wpadły w jeszcze większą złość z powodu jego strzelania. „Zabił pan choć jakiego?” – pyta zniecierpliwiony jego strachem Stach. „Nie wiem tego. Gdy nad ranem nadjechał chłop orać, «dziki już nie

<sup>558</sup> Nauczycielem w szkole ludowej w Nuszczach był Jakub Preyzner.

<sup>559</sup> Werndl – karabin jednostrzałowy skonstruowany przez austriackiego wynalazcę i producenta broni Josefa Werndla (1831–1889), będący na wyposażeniu armii austro-węgierskiej od 1866 r.

<sup>560</sup> Mannlicher – karabin powtarzalny skonstruowany przez Ferdinanda Mannlichera (1848–1904), którego kolejne modele znalazły się na wyposażeniu armii austro-węgierskiej od 1885 r. (w miejsce wycofywanych karabinów Werndla).

<sup>561</sup> Glid – szereg, rząd.

<sup>562</sup> Sążęń – używana w okresie staropolskim niemetryczna jednostka długości, która miała długość rozpostartych ramion dorosłego mężczyzny, jej wartość zmieniała się, ale oscylowała wokół 2 m.

byli» i wtedy zląłem z drzewa. Ręce i nogi «całkiem mi skaczanieli»<sup>563</sup>. Zabitych dzików pod drzewem nie było. Pan hrabia, gdy się o tym dowiedział, bardzo się ucieszył”. „Nie miał do pana pretensji o tę zasiadkę?” – pytam. „A nie, nic podobnego! Kazał mi dać dwadzieścia pięć odlewanych batogów”. Z tym gościem jeszcze się w lesie spotkamy.

Bardzośmy się przyjaźnili z gajowymi, pobereźnikami lub pasiecznikami – jak ich we dworze nazywano. Byli to Jan Skurski na folwarku, jego brat Antoni Skurski w Maślańce (Rusini) i Leon Kwiatkowski (Polak).

### 3.

#### **Stach Nowacki. Waclaw Wolski. Wodotrysk. Ognie sztuczne. „Gazeta Lwowska” sprzed 100 lat. Dynamit i skutki. Polowanie na jastrzębia.**

Czas napisać parę słów o moim najpierwszym przyjacielu Stanisławie Nowackim. Poznałem go w późnej jesieni 1881 r. Był wtedy w trzeciej klasie i w gimnazjum posadzono mnie obok niego na bocznej ławce dla krótkowidzów. On rzeczywiście miał krótki wzrok, a ja się na niej znalazłem, bo gdzie indziej nie było miejsca w dwa i pół miesiąca po zaczęciu roku szkolnego. Ale ponieważ nikt z siedzących na tej ławce nie uczył się „pierwszorzędnie”, ergo ławkę nazywano popularnie „oślą” i... nikt się o to nie obraził. Staszek przesiąkł w tym czasie *Klubem Pickwicka*<sup>564</sup>, przyswoił sobie jego styl, umiał wszystkie kawały i dowcipy pickwickowskie na pamięć, przy tym stosował je tak właściwie, że sam robił wrażenie – zwłaszcza dla nieznających tej niezrównanej dickensowskiej powieści – niezwykle dowcipnego i wesołego chłopca. Tymczasem był nad wiek poważny, sumienny i pracowity. Kochał się w przyrodzie. *Życie zwierząt*, gruby, blisko tysiącstronicowy tom, botanika, mineralogia, fizyka, chemia tworzyły krąg jego najbliższych zainteresowań. Zbiory, przyrządy, laboratoria były jedynymi zabawkami tego dwunastoletniego chłopca. Często bywałem u niego – w domu były zawsze doskonałe perepelnicie jabłka – więc i ja bawiłem się z nim butelką lejdejską<sup>565</sup>, magnelem, papierem lakmusowym czy podobnymi odczynnikami chemicznymi i przyrządami fizycznymi jego wyrobu lub czytaniem o życiu papug, małp, lwów, orłów czy turkuciów podjadków.

<sup>563</sup> Skaczanieć (gwara) – zziębnać, zdrętwieć.

<sup>564</sup> *Klub Pickwicka* – pierwsza powieść angielskiego powieściopisarza Karola Dickensa (1812–1870).

<sup>565</sup> Butelka lejdejska – urządzenie służące do gromadzenia energii elektrycznej.



Po maturze skryształizowało się i skupiło jego ukochanie przyrody na chemii, ale przedtem nakłonił pana Szymona do kupna sześciotomowego dzieła Brehma *Das Thierleben*<sup>566</sup> (spartolone przez księgarnię Everta, bo obrzydliwie skrócone o dwie trzecie części przy tłumaczeniu na język polski) i wiecznie w nim szperał, zawsze dowiadując się czegoś nowego z życia i zwyczajów i tych zwierząt, na które właśnie polowaliśmy i tych, do których się nie strzela. Krótki wzrok nie pomagał Staszкови w strzelaniu, odpowiednie okulary usunęły tę wadę. Do własnej strzelby doszedł przy pomocy Józka Pazowskiego, syna Leona, który był czeladnikiem u rusznikarza. Józek nabył okazjnie jedną lufę damasceńską i zrobił z niej pojedynkę lankastrówkę<sup>567</sup> dla Staszka. Strzelba bardzo mało kosztowała, biła doskonale, choć trzeba było umieć z niej strzelać. Z różnych powodów – między innymi dla zdrowia, bo miał słabe płuca po ojcu – każde wakacje i ferie świąteczne spędzał na wsi w Perepelnikach. Zwłaszcza po śmierci swego ojca jeździł tam z matką, a siostra jego Aniela<sup>568</sup> stale mieszkała u Padlewskich, pracując we dworze w dziale gospodarstwa domowego.

Stach na wsi nie przerywał swoich prac fizycznych i chemicznych, to też wakacje spędzaliśmy bardzo pracowicie. Zawsze brakowało czasu na próżnowanie, za jakie uważane było bicie się w palcaty (szable z jesionu, szpady z trzciny, wszystko własnego wyrobu), strzelanie z pistoletu do celu o pulę lub bitwy szyszkami świerkowymi czy padałkami<sup>569</sup> jabłczanymi. Jeszcze odstrzeliwanie dojrzałych jabłek lub gruszek w pozycji leżącej (na wznak) z pistoletu uważaliśmy za pracę produktywną, oszczędzającą trud wychodzenia na gruszę czy jabłoń. Tym bardziej, że i tak codziennie, niemal obowiązkowo, zjadaliśmy spory koszt owoców. Sad był wydzierżawiany, przy czym owoc dla dworu do stołu był wymówiony, jednak naprawdę to my wykorzystywaliśmy, ku zgryzocie każdorazowego sadownika, tę część kontraktu dzierżawnego. Po południu, o ile deszcz nie padał, wyruszaliśmy w pole ze strzelbami.

Ale od rana była robota. Ja byłem tylko terminatorem. Majstrem od chemii był Staszek, od mechaniki Waław Wolski. Poznałem go, gdy skończył Wydział Mechaniczny na wiedeńskiej Politechnice.

Wakacje do końca września spędził w Perepelnikach, bo od 1 października wybrał się do odsługiwania jednorocznej służby wojskowej w marynarce w Poli. Przywiózł do Perepelnik ręczną tokarnię, którą zaraz przerobili

<sup>566</sup> *Das Thierleben* – *Życie zwierząt* niemieckiego zoologa Alfreda Brehma (1829–1884).

<sup>567</sup> Lankastrówka – rodzaj broni, nazwa pochodzi od nazwiska jej wytwórcy Charlesa W. Lancastera.

<sup>568</sup> Aniela Nowacka mieszkała w Perepelnikach aż do śmierci w 1939 r.

<sup>569</sup> Padałka – owoc, który spadł na ziemię, spad.

na pedałową. Z suchej buczyny porobi-  
liśmy na niej wszystkie potrzebne nam  
trzcienie, stemple pełne, rurowe, ręczki  
do narzędzi stolarskich, ślusarskich, ko-  
walskich i prócz tego wszystko inne. Na-  
wet krótką lufę stalową 6 mm kalibru.  
Wielki śrubstak na pniu drzewnym  
i stół do stolarskiej roboty uzupełniały  
nasz warsztat pracy.

Pierwszym wyczynem był wodo-  
trysk przed domem. Beczka z czopem  
i kurkiem, rury z dzikiego bzu (hyčki),  
łączone między sobą też dzikim bzem,  
kolana z rurki gumowej, zakończenia dla  
różnych rodzajów wytrysków, zrobione  
na naszej tokarni, złożyły się na dzieło,  
z którego my byliśmy dumni, a gospodarze  
bardzo zadowoleni. Woda tryskała  
na dwa i pół metra wysoko. W czasie  
przyjazdu gości, w niedzielę, w święta  
biła fontanna ku radości całego domu  
i chłopaków wiejskich. Konieczność noszenia wody na strych do beczki,  
hamowała naszą chęć popisywania się dziełem trzech tygodni pracy. Wa-  
cio nie wytrzymał, żeby nie wykombinować, zrobionego na tokarni, wielo-  
krążka ułatwiającego wyciąganie wody na strych.

Drugą robotą, wykonywaną przez nas stale, niejako zawodowo, były  
ognie sztuczne. Oczywiście przepisów i chemikaliów dostarczał majster  
chemiczny. Co roku układało się na rok następny preliminarz fajerwer-  
kowy. Wtedy decydowało się, ile kupić strontu, antymonu, barytu, cynku,  
miedzi, kalichloricum, saletry, kalomelu, siarki, szelaku itp. składników ko-  
niecznych do wyrobu ogni bengalskich, rzymskich świec, rakiet, młynków,  
słońc, gwiazd chińskich, żabek i jak się te wszystkie cuda świetlne nazywają.  
Naturalnie wyrób był masowy, więc trzeba było zacząć od pomocniczych,  
a koniecznych fabrykacji. Rury papierowe, drewniane ogony do rac, mocny  
szpagat, lonty, kule do świec, tłuczony węgiel i proch należało przygotować.  
Papieru dla wyrobu rur różnego kalibru szukaliśmy na strychu. Stała na  
nim skrzynia olbrzymiej wielkości, robiona przez stelmacha<sup>570</sup> na miejscu  
na strychu. Kto by ją chciał dostać na dół, musiałby ją rozebrać. Można w niej



**Fot. 7.** Waław Wolski

Źródło: dodatek bezpłatny do  
„Głosu Narodu” z 21 września 1901 r.

<sup>570</sup> Stelmach – kołodziej, rzemieślnik zajmujący się wyrobem drewnianych wozów i części do wozów, także kół.

było wygodnie leżeć we dwie osoby. Czego w tej skrzyni nie było? Z zasady powinno się było w niej znaleźć to wszystko, czego w mieszkaniu nie można było znaleźć. Poza tym kilkadziesiąt roczników urzędowej „Gazety Lwowskiej”, bodaj od r. 1790<sup>571</sup>. Reszta roczników leżała na strychowej ceglanej podłodze. Oczywiście każda nasza wyprawa na strych zaczynała się od pochłaniania coraz innego rocznika urzędówki. Czyż można było wytrzymać, żeby się nie przekonać, jak to w urzędowym sprawozdaniu działo się pod Ulmem<sup>572</sup>? Pod Austerlitz?<sup>573</sup> Pod Marengo<sup>574</sup>? Czy Wagramem<sup>575</sup>? A Raszyn<sup>576</sup> lub Góra Kalwaria<sup>577</sup>? Jaki ton przybierała „lembegierka” na wyczyny jen. Rożnickiego<sup>578</sup> lub ppłk. Strzyżewskiego<sup>579</sup> we wschodniej Galicji w 1809 r.? Albo w 1830/1, 1846/9, 1863/4 latach? Radowały się nasze dusze, gdyśmy wyczytali, jak to rząd austriacki musiał zakrywać swoje klęski kłamstwami. Dopiero w dwa miesiące po Austerlitz, bo w lutym 1806 r. czytamy pierwszą wiadomość o tym, że około miasteczka Austerlitz na Morawach zaszła potyczka ułańska, w której wojska „naszego cesarza i jego sprzymierzeńca cesarza rosyjskiego Aleksandra I pobiły uzurpatora Bonapartego”. Ale że nasz „najdobrotliwszy monarcha nie chciał dalszego rozlewu krwi, więc przyjął łaskawie pokorną prośbę uzurpatora, zawarł z nim pokój, odstąpił mu Wenecję, Istrię, Dalmację, a Bawarii oddał góry tyrolskie i voralberskie”.

<sup>571</sup> „Gazeta Lwowska” – dziennik rządowy, ukazujący się we Lwowie od 1811 r., czyli dwa lata po opisywanych przez Autora *Wspomnień* wydarzeniach z 1809 r. Z pewnością Autor pisał o innym czasopiśmie, przynajmniej jeśli mowa o wydarzeniach sprzed 1811 r.

<sup>572</sup> Bitwa pod Ulm – bitwa pomiędzy wojskami francuskimi Napoleona I a armią austriacką, miała miejsce w dniach 8–15 października 1805 r., zakończona przegraną Austrii.

<sup>573</sup> Bitwa pod Austerlitz – bitwa znana jako „bitwa trzech cesarzy”, mająca miejsce 2 grudnia 1805 r. pomiędzy armią napoleońską a wojskami tzw. III koalicji antyfrancuskiej, czyli austriackimi i rosyjskimi, zakończona zwycięstwem wojsk francuskich.

<sup>574</sup> Bitwa pod Marengo – bitwa pomiędzy wojskami napoleońskimi i austriackimi, która odbyła się 14 czerwca 1800 r., zakończona zwycięstwem Napoleona i wycofaniem się sił austriackich z Włoch.

<sup>575</sup> Bitwa pod Wagram – bitwa wokół wyspy Lobau na Dunaju i wsi Wagram, mająca miejsce w dniach 5–6 lipca 1809 r., podczas której wojska francuskie pod dowództwem Napoleona Bonaparte pokonały wojska austriackie.

<sup>576</sup> Bitwa pod Raszynem – bitwa wojsk polsko-saskich pod dowództwem księcia Józefa Poniatowskiego z oddziałami wojsk austriackich 19 kwietnia 1809 r.

<sup>577</sup> Bitwa pod Górą Kalwarią (bitwa pod Ostrówkiem) – zbrojne starcie pomiędzy oddziałami polskimi dowodzonymi przez gen. Michała Sokolnickiego a oddziałami austriackimi.

<sup>578</sup> Aleksander Rożnicki (1771 lub 1774–1849) – generał wojsk polskich, uczestnik powstania kościuszkowskiego, oficer w Legionach Polskich, dowódca w wojnie polsko-austriackiej 1809. Po 1815 r. w wojsku carskim i administracji Królestwa Polskiego, organizator tajnej policji carskiej.

<sup>579</sup> Piotr Strzyżewski (1777–1854) – pułkownik, jeden z dowódców wojsk polskich w Galicji Wschodniej podczas wojny polsko-austriackiej w 1809 r., będącej częścią wojny napoleońskiej z V koalicją antyfrancuską.

Po nierozstrzygniętej trzydniowej bitwie pod Aspern i Essling, zakończonej 21 maja 1809 r.<sup>580</sup>, czytamy – bodaj 23 maja w „Gazecie Lwowskiej”, że „wojsko austriackie otrzymało przez 3 dni zwycięstwo, jakiego jeszcze nie doznało. Napoleon zupełnie za Dunaj odparty cofa się ku... Wiedniowi!” Dziś już bym się z tych wiadomości urzędowych nie śmiał. Kto czytał biuletyny austriackie w czasie wojny światowej, bolszewickie w 1920 i niemieckie w czasie wojny w 1939/40, ten przerzucając „lwowiankę” sprzed stu trzydziestu lat, pokiwa smutnie głową i powtórzy za Ben Akibą<sup>581</sup>, „wszystko to już było!”. Widocznie tak już być musi.

Ta gazeta, o czasach dla Austrii krytycznych, karmiła czytelników opowieściami sensacyjno-naiwno-niewinnymi, w dodatku ilustrowanymi wspianiałymi bohomazami. Taka była np. opowieść o straszliwej walce tygrysa z krokodylem, gdzieś nad Gangesem czy Brahmaputrą. Zachwycała nas obojętna mina, zimna krew, z jaką tygrys włożył swą łapę w paszczę krokodyla i ten zachwyt, z jakim jaszczur trzymał ją w swych zębach. Po prostu rozkosz nie gazeta!

Oczywiście na rury do rakiet nie zużyliśmy ani jednej stronicy z tych skarbów. Poszły na nie rejestry gospodarskie, też sprzed stu lat. Rur narobiliśmy tyle, że gdyby ten stary dwór jeszcze w Perepelnikach stał, na pewno w skrzyni znalazłoby się kilkaset rur papierowych, twardych jak żelazo, chyba że myszy dobrały się do żytniego kłajstru, który zmieszany z karukiem<sup>582</sup> służył nam za lepiszcze. I na pewno znalazłyby się tam połupane z desek jodłowych, mniej więcej metrowej długości, trzaski na ogony do rac. Ze trzy tygodnie zeszły nam na fabrykację przygotowawczą. Tłuczenie węgla i prochu należało do terminatora, jako też podpalanie gotowych ogni wchodziło w zakres prac, które można było, bez obawy kompromitacji, mnie powierzyć. Po skończeniu robót przedwstępnych co wieczora, czy deszcz, czy pogoda, dwór był oświetlony ogniami bengalskimi, a zabudowania gospodarcze narażone na spalenie przez spadające ze stumetrowej – co najmniej – wysokości rury i ogony rakiet. Tylko dzięki temu, że rakiety były doskonałe, nie zaproszyliśmy ognia, bo wznosiły się bardzo wysoko i zanim spadły, spaliły się doszczętnie. Pan Szymon przepadał za tym wieczornym przedstawieniem. Nie darował nam ani jednego wieczoru. Stanął zwycięsko po naszej stronie przeciw pani Melanii, gdy ta raz wybuchła gniewem na

---

<sup>580</sup> Bitwa pod Apenn (znana też jako bitwa pod Essling) – walki w dniach 21–22 maja 1809 r. pomiędzy wojskami napoleońskimi i austriackimi, w wyniku których wojska francuskie zostały zmuszone do wycofania się z Aspern, natomiast utrzymały swe pozycje w Essling.

<sup>581</sup> Akiba Ben Josef (50–137) – żydowski rabin, jeden z uczonych żydowskich zajmujących się komentowaniem Biblii.

<sup>582</sup> Karuk – klej rybi.

nasze ognie z powodu, że suszące się w piecyku kuchennym kule do świec rzymskich same od gorąca wybuchły, nadwyrężyły „bratrurę”<sup>583</sup> – jak się wtedy mówiło – mało pieca nie rozsadziły, przy tym nastraszyły kucharkę Marysię i całą czeladź kuchenną.

Ale już odtąd nic, co miało coś wspólnego z naszą fabryką ogniową, nie mogło jawnie odbywać się w kuchni. Więc chyłkiem, a że najważniejszym składnikiem było kalichloricum, łatwo się domyśleć, że bezpieczna ta fabryka nie była. Ta ważność chlorku potasu skłoniła nas do trawestacji ruskiej piosenki, głoszącej, że: „Bez horyłki ne ma żyty”. Zamiast „horyłki” śpiewaliśmy „a kaliflorikum szczastia raj! Daj kaliflorikum daj! ta daj!” i hymn na jego cześć był gotów.

Podczas manewrowania chemikaliami dla fabrykacji ogni sztucznych oświadczył nam raz nasz chemik, że zrobił nitroglicerynę, a na jutro dostarczy nam próbkę dynamitu. Pokazał nam proszek biało-szary, mówiąc, że to solidny dynamit. Zrobiliśmy próbę. Zużytą kabzlę<sup>584</sup> z naboju od pistoletu Floberta<sup>585</sup>, napełnioną tym proszkiem, usztywnionym kroplą syropu cukrzanego, nabiliśmy miniaturową lufę stalową, której drugi otwór zatkałiśmy zawoskowanym ziarnem śrutu. Tę lufę „armatnią” umocowaliśmy w śrubsztaku<sup>586</sup>. Ja, jako przyszyły artylerzysta, przyłożyłem gwóźdź do kabzli i palnąłem młotem po gwóźdź. W jednej chwili młot poleciał w jedną stronę, gwóźdź w drugą, a śrucina w trzecią. Ja przerażony i ogłupiały stałem w środku. To był naprawdę dynamit! Zatem gdybyśmy potrzebowali bomb, min lub czegoś takiego, nasz chemik zrobi nam na wsi, prymitywnymi środkami, potrzebny materiał wybuchowy! Śrut przeleciał przez jedne drzwi, przez korytarz, przez drzwi do salonu, przez salon i przebił podwójne szyby w oknie, robiąc w nich tylko dziurki, wielkości ziarnka śrutu. Szczęściem nie trafił na żadne żywe stworzenie. Te dziurki w szybach stały się przedmiotem niekończących się dysput i domysłów, poszukiwań sprawcy w krainie niesamowitości. Zaś dziurka w drzwiach do naszego pokoju stała się bardzo zdradliwą, gdyż przez nią ciocia Melancia dojrzała, co się u nas w pokoju działo w jeden oblewany poniedziałek. Były z tego gniewy, oburzenia i na resztę świąt zepsute humory.

We dworze było bardzo dużo drobiu. Rozumie się kur. Ale chowano też dużo kaczek, pantarek (perliczek), indyków, gołębi. Zwłaszcza te ostatnie były oczkiem w głowie gospodyni domu. A że we wsi, w lesie żyło mnóstwo

<sup>583</sup> Bratrura – piekarnik.

<sup>584</sup> Kabzla (kabzel) (przest.) – kapsel, nabój.

<sup>585</sup> Pistolet Floberta – broń małokalibrowa, wykorzystująca amunicję bocznego zapłonu, opatentowana przez francuskiego rusznikarza Louisa Floberta (1819–1894).

<sup>586</sup> Śrubsztak (przest.) – imadło.

jastrzębi gołębiarzy, przeto pani Melania wyznaczyła specjalną nagrodę za zabicie jastrzębia gołębiarza lub kurzaja. Bezczelne jastrzębie zrobiły sobie gdzieś blisko domu gniazdo, a jeden z nich, odważny aż do zuchwalstwa, co drugi dzień, regularnie w samo południe porywał nam gołębia. Podniecona tym ciocia, wyznaczyła na jego głowę jako nagrodę słoik konfitur. To nas zachęciło. Tedy pan Szymon i nas trzech codziennie pilnowaliśmy czterech stron domu ze strzelbami w rękach. Jednego dnia jastrzęb porwał gołębia nam sprzed nosa, zanim którykolwiek z nas zdołał strzelić. Skonfundowani zapowiedzieliśmy mu, że: „zemsta choć leniwa, nagna cię wnet w nasze sieci!”. Trafiło się to raz, gdy jastrzęb narwał się na modrego gołębia, który uciekał przed nim naokoło domu, na wysokości okapu, naprowadzając go na nasze lufy. Każdy z nas strzelał tym, co miał w lufach. Daliśmy do niego siedem strzałów. Gołąb wpadł do sieni koło kuchni, pod schody strychowe, tuż za nim jastrzęb. Kucharka Marysia właśnie zamiatała sień i orientując, co się dzieje, styliskiem miotły jastrzębia przez łeb. Ogłuszyła go, a potem zbiła. Dostała słoik konfitur. My myśliwi nie wiedzieliśmy, gdzie się schować, bo cały dwór śmiał się z nas przez dwa dni.

#### 4.

**Gramy Cudzoziemszczyznę Fredry. Oswojone zwierzęta. Praca nad kąpielą na potoku. Poidło dla saren w lesie. Jemy czaple i knedle.**

**M**iędzy naszymi robotami nie brakło prac inżynierskich. Pierwszą był jaz na potoku spiętrzający wodę dla kąpeli. W basenie na łące dworskiej doprowadziliśmy do półtora metra głębokości wody. Drugą kąpiel urządziła pani Melania, kazawszy wykopać staw w dworskim ogrodzie warzywnym na potoku tam płynącym. Staw i poidło dla saren chcieliśmy zrobić w najniższym miejscu lasu między Głęboką i Terebieżą. Do tego potrzebowaliśmy instrumentu niwelacyjnego. Trzeba go było zrobić z rur bżowych poziomych i pionowych rurek szklanych zaopatrzonych w podziałki, na których można było odczytać różnicę poziomu odpowiednio zabarwionej wody wypełniającej cały instrument. Pomiar tym prymitywem wskazał nam, że największy wiosenny staw, powstały z topniejących śniegów, jest zarazem najniżej położonym. Triumf nasz był zupełny, gdy przekopanymi rowami, spłynęły wody, zgodnie z wynikiem pomiarów, z trzech najbliższych stawków do „jeziora Wiktorii”, jak na cześć Wiki Padlewskiej nazwaliśmy ten największy staw. Zaczęliśmy w tym jeziorze pogłębianie na pół metra kwatery o 25 metrach kwadratowych powierzchni, ale nie

dokończyli, bo upłynęły ferie wielkanocne i trzeba było wracać do Lwowa. Potem już stan zdrowia Stacha nie pozwolił na kończenie tego planu, a po nas, zdaje się, nikt już tej roboty nie podjął.

Apetyty w czasie tych prac i polowań mieliśmy nienajgorsze. Przede wszystkim jednak obowiązywała w Perepelnikach zasada, że każdy rodzaj, ubitej jako zdobycz myśliwska, zwierzyny musi być na stół podany i obowiązkowo jedzony przez tych, którzy ją uśmiercili. Wyjątek tworzyły drapieżce i sroki, niszczące owoce, a strzelane z obowiązku, na życzenie, prawie mógłbym powiedzieć na obstalunek gospodarzy. Prawodawcy chodziło o to, by zaczynający praktykę myśliwi nie pozbawiali bezpotrzebnie życia ssaaków i ptaków. Raz z wyprawy na staw w Batkowie przywieźliśmy jedną krzyżówkę i jedną czaplę. Strzeliłem do tej kaczki, stojąc na czajce z pnia wyrobionej. Krzyżówka wprawdzie spadła, ale i ja razem z nią, straciwszy równowagę, wpadłem do wody głową do mułu ze strzelbą w rękę. Ledwo<sup>587</sup> się wygramoliłem. Czapłę ubiliśmy na żądanie młynarza, który pozwolił nam na stawie polować pod warunkiem, że ubijemy jego konkurenta do ryb. Staszek się uparł, że zgodnie z tradycją czapla musi być upieczona i zjedzona. Marysia się też uparła, że „takoho ditka” nie będzie ani sprawiać, ani piec. Więc Stach oskubał, oczyścił, upiekł i z dumą wniósł na półmisku czaplę. Mięso jasnofioletowe, oblepione jasnożółtym, gumigutowego<sup>588</sup> koloru tłuszczem nie zachęcało do jedzenia. Było, nie było. Ale zakon kazał, więc my dwaj mordery czapli zabraliśmy się do niej, zaś cały stół do młodych kaczek, których nam oczywiście nie dano. Tylko jeden kęs czapli zjadłem, ale Stach po bohaterku, spałaszował cały na talerz wzięty kawałek piersi. Obrzydliwość! Pieczony tran! Nigdy więcej nie dałem się nakłonić do strzelania do czapli, aby nie być moralnie zmuszanym do jej jedzenia.

Śpiew umiał nasze zajęcia. Wacio Wolski miał bardzo miły tenor, dobry słuch i miłą szkołę. Stach Nowacki śpiewał barytonem i był bardzo muzykalnym. Ja bardzo lubię muzykę, śpiewałem niskim basem, ale nie miałem dość słuchu do wtórowania. Dlatego śpiewaliśmy *unisono*<sup>589</sup>. Deszczowe wieczory spędzaliśmy w salonie przy fortepianie. Mima grała, Wacio śpiewał lub chór. Miłe były te artystyczne wieczory. Na jednym z nich – a zanościło się na dłużej niż na trzydniówkę – zapadła decyzja urządzenia teatru amatorskiego. Porwaliśmy się na Fredrę<sup>590</sup>. Dlaczego Nowacki wybrał *Cudzoziemszczyznę*? Nie wiem. Dość, że tak jak postanowił, tak wykonaliśmy,

<sup>587</sup> Tak w oryginale.

<sup>588</sup> Gumigutowy – zgaszony ciemnożółty kolor.

<sup>589</sup> *Unisono* (wł.) – jednogłośnie.

<sup>590</sup> Aleksander Fredro (1793–1876) – komediopisarz, bajkopisarz, pamiętnikarz, poeta.

mimo tego, że po trzech dniach zrobiła się cudowna pogoda. Role były przepisane, rozdane, trzeba się ich było wyuczyć na pamięć. Na przedstawienie zjechało sąsiedztwo z Nuszca, z Manajowa, z Iwaczowiec (Kriegshaberowie – podobno w czasie wojen napoleońskich dostawca owsa dla wojsk austriackich dorobił się majątku, wychrzczył i dostał nazwisko „Kriegshafer”, z czego zrobiono „Kriegshaber”). Grałem Radosta. Nie byłem zbyt przejęty rolą, nie wżyłem się w nią, więc i nie mogłem dobrze grać. Całość wypadła dość marnie. Pani Kriegshaberowa, dawna wiedeńska gwiazda sceniczna, chwaliła moją grę. Ale to mnie nie złudziło. Wprawdzie w domu rodziców i u Hochbergerów grywałem często w teatrach amatorskich, ale z doświadczenia wiedziałem, że aktor może tylko wtedy dobrze grać, gdy go sztuka bierze, gdy się rolą przejmuje. Zresztą improwizowana scena, widownia, reżyseria, charakteryzacja, kostiumy, stwarzają widowisku amatorskiemu o wiele gorsze warunki niż w teatrze. Na wsi ta improwizacja, z natury rzeczy, musiała jeszcze gorzej wypaść niż w mieście.

Ratował sytuację śpiew i fortepian, potem doskonała kolacja, wreszcie labet, jedyna gra w karty dozwolona czasami młodzieży. A trzeba wiedzieć, że tej młodzieży było sporo. Do stołu siadało normalnie w lecie szesnaście osób. Oprócz gospodarzy, Wolskich, Nowackich, mnie, jeszcze pan Artur Zawisza (syn drugiej żony pana L. Wolskiego) ukończony prawnik, późniejszy mąż Mimy Wolskiej, dalej siostra pani Nowackiej, Kuncewiczowa z dwoma córkami i pani Władysława Padlewska z trzema córkami. Poza tym było mnóstwo stołowników zupełnie innego gatunku. Pod lipą w ogrodzie zawsze zjawiały się trzy psy legawe<sup>591</sup> i jeden owczarz tatrzański, dwa koty pani Nowackiej, sarna, oswojony zając, jeź. Stale asystował przy obiedzie lis upięty na łańcuszku przymocowanym do mocnego pala. Pamiętam jak chytrzec biegał raz w około swego palika tak długo, aż wydeptał wyraźną ścieżkę. Potem z bardzo nabożną miną położył się w środku swej „ujeżdżalni” i niby zasnął. Nadeszły do stołu i pantarki. Gdy jedna z nich przekroczyła udeptany przez lisa krąg, w jednej chwili miał ją w pysku. Z trudem wydarłem mu jeszcze żywego ptaka. Na lipie czekały dwie domaszne<sup>592</sup> sroki i kruk, upominając się nachalnie o jedzenie. Z łąk przylatywały codziennie po południu trzy krzyżówki do pana Szymona, wysiedziała je swojska kaczka. Po opierzeniu poleciały w świat, na bagna, jednak tęsknota za domem rodzinnym i za swoim opiekunem kierowała ich lot do dworu. Dostawszy od pana Szymona swoją porcję jedzenia, odlatywały do „siebie”. Na drugi rok zjawiała się czasami, ale tylko jedna z tych dzikich kaczek.

<sup>591</sup> Psy legawe – inaczej psy myśliwskie.

<sup>592</sup> Domaszne – domowe.



Ruch, powietrze i praca fizyczna wymagają na wsi znacznie większych porcji niż w mieście. Łakomstwo, obżarstwo zaczyna się w mieście w innym miejscu, a na wsi w innym. Do ulubionych naszych potraw należały knedle ze śliwkami. W ich sezonie dokuczaliśmy pani domu, że na stole zawsze mało knedli. Podrażniona, zapytała jednego razu, ile trzeba zrobić, aby „panowie” nareszcie mieli dość. Po naradzie triumwirat, tj. pan Szymon i my dwaj, orzekł, że po sześćdziesiąt na „ryło” powinno wystarczyć. Pani Melania zemściła się za to na nas. Po bardzo obfitym, doskonale przyrządzonym i specjalnie do naszych gustów dostosowanym obiedzie, wноси kucharka olbrzymi półmich, napełniony knedlami – „sto wisimdziesiąt dla troch panów” – objaśnia, złośliwie się uśmiechając. Przerażony patrzę na moich towarzyszy niedoli. Ale oni fantazji nie tracą. Jak gdyby byli na czczo biorą się do knedli. Małom nie płakał, ale trzeba było jeść. Mimo całego wysiłku doprowadziłem do pięćdziesięciu dwóch pestek na talerzu. Ustałem. Stach zjadł bez gadania swoją porcję. Pan Szymon uratował nasz honor, bo zjadł swoje i osiem przeze mnie pozostawionych. Odtąd jednak wystrzegaliśmy się narzekania na brak czegokolwiek na stole.

## 5.

**Lakierki pana Stroki. Polowanie na derkacze, przepiórki, kszyki, dubelty. Schlacht bei der Pfaffenwiese. Polowanie na słonki. Słonka i orzeł. Słonka z Zadrożny. Zasiadka na lisa. Wilki. Wielka obława. Jeszcze raz pan B. nauczyciel z Nuszcza.**

Lwią część naszych wakacyjnych zajęć stanowiło polowanie. W ogóle łowiectwo uchodziło tam za objaw tężyzny, za obowiązek dla każdego mężczyzny, bez względu na wiek. Nie uszedł tego i dr Leon Nowacki, który w życiu polował tylko na Moskali w r. 1863, uważając polowanie na inne stworzenia za barbarzyństwo. A przecież musiał w Perepelnikach pójść ze strzelbą na błota. Wziął ze sobą dwa ładunki i tylko dwa razy strzelił. Zabił dwa kszyki<sup>593</sup>, czym tak wszystkim zaimponował, że dano mu spokój, na polowania nie wyciągano, a przez to nic nie stracił na szacunku u otoczenia. Każdy konkurent do każdej panny musiał zdawać egzamin ze swej umiejętności łowieckiej. Legenda krążyła o panu Stroce, konkurencie, bawiącej w Perepelnikach przyjaciółki Mimy Wolskiej, który przyjechał ze Lwowa w lakierkach i w nich poszedł na błota. Strzelał bez skutku i w dodatku

<sup>593</sup> Kszyk, krzyk – inaczej bekas, ptak zamieszkujący tereny podmokłe. W oryginale ptak występuje zarówno pod nazwą krzyk, jak i kszyk. Pisownię ujednolicono.

lakiery na błotach pogubił. Znalaziono je dopiero po jego wyjeździe i schowano na strychu w wielkiej skrzyni jako „lakierki pana Stroki”. Więc i musiałem fachowo, że tak powiem, zabrać się do łowiectwa. Zaczynałem od derkaczy<sup>594</sup>, bo do nich najłatwiejszy strzał, „jak w czapkę”. Polowaliśmy z „Neronami”, ojcem i synem, które namiętnie ganiały za uciekającym na piechotę chruścieniem<sup>595</sup>, nie tracąc przeto swej tresury legawca, której zresztą nigdy nie miały. Bardzośmy tych Neronów kochali, a i oni nas tak dalece, że nigdy, nawet gdyśmy szli do lasu na grzywacze<sup>596</sup> lub na zasiadkę, nie mogliśmy przed nimi ująć. Pasjami jadały renklody i węgierki, gdy dojrzałe spadły na ziemię. Pod tym względem konkurowały z nami i ze służbą folwarczną.

Jednych wakacji upolowaliśmy dużo kszyków (bekasów), dubeltów, przepiórek i chruścieli, tak że gdyśmy wychodzili na trzy godzinki w pole, wystarczało na nas dwóch sześć do ośmiu ładunków, bo już nie było do czego strzelać. Niespodziewanie nadjechał sławny myśliwy Władysław Padlewski. Zdajemy mu raport o stanie zwierzyny. „Na jutro przygotować co najmniej po trzydzieści ładunków na każdą strzelbę. Ja prowadzę!” Z niedowierzaniem robimy tyle patronów<sup>597</sup>, ile można. Łuski popękane oklejamy bibułkami cygaretowymi, prochu trochę wyciągamy z patronów Werndla, a trochę bierzemy armatniego, dostarczonego nam na race przez Józka Pazowskiego, odługującego we wojsku. Nazajutrz, 18 września, prowadzi nas pan Władysław z trzema psami na kapuśniaki. „Tu niczego nie będzie” – mówię. Jakby na złość psy stanęły jak mur. Popychanie, szturmowanie, kopanie nie pomogło. Dopiero gdy poszliśmy przed nie i gdy wzleciał pierwszy chruściel, psy rzuciły się jak zwariowane. Zrywał jeden chruściel za drugim. Był to ich ciąg jesienny. W półtorej godziny wystrzelaliśmy wszystkie ładunki, a prócz tego złapaliśmy żywcem coś cztery sztuki. Ciąg trwał trzy dni. Potem zaczął się ciąg ficluzów (dubelty)<sup>598</sup>. Jeszcze do połowy października, w czasie polowań na słonki, strzelaliśmy w lesie wędrujące na piechotę chruściele.

Nazwa sama wskazuje, że w Perepelnikach powinno być dużo perepełyć (przepiórek). Co roku padało ich pięćset do sześciuset sztuk. Doszliśmy do takiej wprawy, że strzelaliśmy o zakład. Warunki były następujące: myśliwy

---

<sup>594</sup> Derkacz zwyczajny – gatunek ptaka z rodziny chruścieli, podobny do przepiórki, przemieszczający się głównie piechotą w bujnej trawie.

<sup>595</sup> Chruściel – ptak z rodziny żurawinowych, zamieszkujących zazwyczaj tereny podmokłe, blisko wody.

<sup>596</sup> Grzywacz – ptak średniej wielkości z rodziny gołębiowatych.

<sup>597</sup> Patron – tu w znaczeniu nabój.

<sup>598</sup> Bekas dubelt – średni ptak z rodziny bekasowatych, żyjący na podmokłych, bagiennych terenach, łąkach i pastwiskach.

winien do każdej ruszonej przez siebie strzelać. Pudłujący otrzymywał za każde pudło raz kijem. Rozmiar kija i siła uderzenia zależała od bijącego. Jeżeli wszyscy trzej kontra chęci mieli być bitymi i mieli bić, los rozstrzygał o kolejności. Pazowski polował na przepiórki z siecią, a my strzelaliśmy do wzlatających poza siecią. Także na kszyki chadzaliśmy, ciągnąc sznur po łące. Pudła do kszyków były na porządku dziennym. Pierwszego kszyka, który po moim strzale padł, krogulec porwał jeszcze w powietrzu i zanim nabiłem swoją lefoszówkę (przezwaną tam lefuserówką), był już poza obębem strzału. Gnałem za nim po polach i strzelałem. Kszyka mu odebrałem, ale sam uszedł przed moją zemstą.

Milsze były łąki z dubeltami, bo strzał do nich prawie tak łatwy jak do chruściela. Panu Władysławowi raz udało się jednym strzałem ubić dwa dubelty. To popsuło na parę dni polowanie, bo on nie chciał strzelać do jednego ptaka, tylko czekał, aż drugi się porwie i podleci mu pod lufę tak, aby mógł powtórzyć świadomie to, co mu się raz przypadkiem udało. Ale dubelty widocznie czytały *Ogniem i mieczem* i nie chciały mu się ustawić tak jak Turcy panu Podbięciem w Zbarażu. Ponieważ dubelta niełatwo ruszyć, więc taka strategia myśliwska psuła polowanie.

Na polach kuropatw nie było. Dopiero w końcu mych wakacji tamtejszych rozmnożył je pan Podoski, gospodarujący po śmierci pana Szymona i pana Pazowskiego, sprowadziwszy ich kilka par. Polowanie na błotach, wymagające więcej wysiłku fizycznego, uchodziło za szlachetniejsze. „Lakierki pana Stroki” załatwiły dla mnie trudność znalezienia obuwia chroniącego dostatecznie nogi przed ostrymi trawami a przepuszczającego wodę. Po należytym rozmoknięciu dostosowały się do moich nóg. Dzikie kaczki były w Perepelnikach rzadkością. Któraś z wysiedzianych we dworze krzyżówek, osiadła na łąkach perepelnickich. Z miłości do swych trzech kaczuś pan Szymon nie pozwalał do kaczek strzelać na łąkach w lecie i w jesieni. Więc tylko na wiosennych przelotach w lesie można było na nie polować. Zastałem we dworze legendę o wielkim, letnim przylocie kaczek na hreczki<sup>599</sup> obok księżnej łąki. Miał to być mokry rok, że całą łąkę pokryło zwierciadło wody na blisko stu morgach. Wielka łąka wody przyciągała kaczki na żer w położonej przez słońce hreczce. Ośmiu myśliwych dało jednego wieczoru prawie dwieście strzałów. Stach, który tam był jako widz i jako historioGRAF (nie miał jeszcze swej strzelby), nazwał tę strzelaninę *Schlacht bei der Pfaffenwiese*<sup>600</sup> (*Bitwa przy księżej łące*), po niemiecku tylko dla szumnego brzmienia tej „*Pfaffenwiese*”. Wzięli wtedy cztery kaczki. Wieczór nie był

<sup>599</sup> Hreczka – gryka.

<sup>600</sup> *Der Pfaffe* (niem.) – ksiądz, proboszcz. *Die Wiese* (niem.) – łąka.

zbyt jasny. Nazajutrz znaleziono resztki po lisiej biesiadzie, ślady po ośmiu nieboszczkach kaczkach. Ile poszło zbarczonych<sup>601</sup>, bard nie wyśpiewał.

Ale najrozkoszniejsze były ciągi słonek. W lesie gnieździły się co roku dwie albo trzy pary. Tych „domasznych” nigdy się nie prześladowało. Wiosenny ciąg umiłał koncert wszystkich leśnych śpiewaków, prócz słowika, bo ten zaczynał swoje trele wtedy, gdy ustawało hurkotanie i gwizd słonek. Mnie nie pociągało to przerywanie miłosnych rozkoszy świata zwierzęcego. Na wieczorny koncert szedłem, że tak powiem, z nabożeństwa w duszy, ale nie lubiłem zamącać go strzałem. Za to jesienne ciągi słonek uchodziły tam, nie bez słuszności, za sposobność do królewskiego polowania. Z psem można było buszować właściwie tylko po zrębach i zaroślach, a tych było niewiele. Głównie polowaliśmy z nagonką. Perepelniki leżą w tym miejscu działu wód, który jest szlakiem przelotów ptactwa. W bliskich lasach olejowskich w ciągu trzech dni polowań z nagonką ośmiu myśliwych ubiło dwieście osiemdziesiąt słonek. Tej samej jesieni w Perepelnikach pięciu myśliwych miało na największym rozkładzie jednego dnia 32 słonki, jednego orła i dwa lisy. W całym oworocznym sezonie padło u nas 150 słonek. Pan Szymon pedantycznie prowadził statystykę ubitych słonek i czworonogów. Czas ciągów zaczynał się między 5 a 7 października i trwał miesiąc. W tej wczesnej, zazwyczaj pięknej polskiej jesieni, las przybierał cudowną purpurową barwę, pachniał jesienią, a ciągnące klucze żurawi, łabędzi, gęsi, kaczek, kulonów<sup>602</sup>, kuligów<sup>603</sup>, różnych kulików i małych śpiewaków napełniały całe niebo muzyką klangorów<sup>604</sup>, gęgania, kwakania, krzyków, gwizdów, a nawet śpiewów i ćwierkań. Za nimi ciągnęły drapieżce [s] od podolskich orłów i sokołów poczawszy, a na dzierzbach, srokoszach<sup>605</sup> skończywszy, czyhające na łup i żer. Toteż polując na słonki, trzeba było mieć i kule w pogotowiu, na przypadek niskiego przelotu kluczy lub wielkich drapieżców. Pan Szymon namiętnie lubił te łowy. W każdy pogodny dzień, bez ceremonii odrywał kilkunasu chłopców od kopania dworskich kartofli, brał gajowych i wraz z nami szedł w pięć strzelb na słonki. W polu na gospodarstwie zostawał Pazowski. Krzyk chłopców, „pilnij słonki!”, działał tak na nerwy, że pierwsza słonka, którą po takim wołaniu ubiłem, „okazała się być lelkiem kozodojem”, słonka bez dzioba, jak myśliwi mówili, naigrywając się ze mnie. Zaś z tym orłem tak było – pan Szymon stał na stanowisku na publicznej drodze,

<sup>601</sup> Zbarczyć – w gwarze myśliwskiej postrzelić ptaka w skrzydło.

<sup>602</sup> Kulon zwyczajny – gatunek średniego ptaka wędrownego.

<sup>603</sup> Kulig (kulik) wielki – gatunek dużego ptaka z rodziny bekasowatych.

<sup>604</sup> Klangor – jednostajny dźwięk rozlegający się wysoko w powietrzu, zwłaszcza głos odlatujących na zimę żurawi.

<sup>605</sup> Dzierzba srokosz – gatunek średniej wielkości ptaka z rodziny dzierzb.

o kilkadziesiąt kroków od wielkiego dębu jeszcze gęsto liściem okrytego. Ja byłem jego najbliższym sąsiadem. „Pilnuj słonki! Pilnuj! Pilnuuj!” Denerwuje nas nagonka. Strzeliłem do błyskawicznie migającej słonki, która skręciła na pana Szymona. Ten strzela na jakie czterdzieści kroków. Słonka wywraca się w powietrzu, a wtem coś wielkiego odrywa się od dębu i z ogromnym szumem, jak pocisk z działa, spada na słonkę, porywa ją, roztacza skrzydła i leci w górę. Drugi strzał pana Szymona kładzie olbrzymiego orła ze słonką w szponach. Orzeł pojechał do muzeum Dzieduszyckich we Lwowie<sup>606</sup>.

Przecież czasem interesy gospodarskie zatrzymywały pana Szymona w domu. Wtedy do lasu na słonki szedł Pazowski. Brał zazwyczaj ze sobą swego przyjaciela pana B. z Nuszczu. Tak się zdarzyło w jeden przepiękny ranek, polowanie zapowiadało się rozkosznie. W pierwszych dwóch miotach ubiłem kilka słonek. Tymczasem niebo się zachmurzyło i w trzecim miocie przemoczyła nas rześista ulewa. Oczywiście słonki nie głupie moknąc, więc nie zrywały, a że polowaliśmy wyłącznie na słonki, nikt z nas nie strzelał. Naraz zagrzmiał: „pif! pif!” z dwóch luf od razu profesor Nuszczkański. „Czyżby słonka?” Ale po chwili znowu podwójny strzał. „Co to jest? Do czego on strzela? Przecież wolno tylko do słonek, nagonka dawno go minęła”. Gdy trzeci raz padł znowu podwójny strzał, nie wytrzymał, zbiegliśmy ze stanowisk i pognali do naszego nauczyciela. A on triumfująco pokazuje ręką na wielką kupę czegoś leżącego: „Strzelam raz... pomyka! Ładuję, strzelam drugi raz... pomyka! Ładuję, strzelam trzeci raz... i... leży!” – woła do nas w podnieceniu, trzęsąc się cały. W tym słowie „leży” było tyle dumy, tyle radości, tyle satysfakcji, że dźwięczało jak słowa eposu. Nareszcie po stu daremnych strzałach leży olbrzymi kudłaty, leży niedźwiedź albo dzik, leży coś, co warte strzału, leży coś, co jest zdobyczą istotnie godną prawdziwego myśliwego, a nie jakaś tam głupia słonka! A w tym ów zwierz podnosi się, staje na dwie nogi, zdejmuje skalp, nie... to czapka... i pozdrawia po ludzku: „Sława Jezu Christa!”. „Sława na wieki!” – odpowiadamy zdumieni, że to chłop w kozuchu, baranem na wierzch obróconym, a nie niedźwiedź ani dzik. Chłop zbliża się i opowiada czy usprawiedliwia, że idąc drogą, zobaczył myśliwego na stanowisku. Nie chcąc przeszkadzać w polowaniu, wszedł w las, by obejść stanowisko na kilkadziesiąt kroków. Ale ów strzelec skierował strzelbę w jego stronę i wypalił, myśląc, że załania jakąś zwierzynę przed myśliwym, pobiegł naprzód. Wtem nowa salwa. Wciąż przypuszczając,

---

<sup>606</sup> Muzeum Dzieduszyckich we Lwowie – założone w 1880 r. przez Włodzimierza Dzieduszyckiego (1825–1899), przyrodnika i mecenasa sztuki, gromadzące zbiory przyrodnicze, etnograficzne i prehistoryczne. Założkiem kolekcji były zbiory założyciela muzeum, który podarował je narodowi polskiemu i zapewnił muzeum byt finansowy.

że to tylko pomyłka albo zawada z jego strony, goni dalej. Po drodze wpadło mu na myśl, że obrócony z powodu zlewy<sup>607</sup> kożuch powoduje strzały do niego, bo myśliwy bierze go za jakiegoś zwierza. Tedy po trzeciej salwie padł na ziemię i udawał nieżywego. Bał się ruszyć. Dopiero, gdy usłyszał głos „pana Pazouskoho”, wstał i bardzo prosi „paniw”, żeby nie pozwolił „uczycielowi” do niego „strylaty”. Rozkosz nie nauczyciel! Było co opowiadać, jak było w tym lesie: „Pomyka – on: trach! trach! Ten furt pomyka, on: łusk! łusk! A nieśmiertelny dalej gna, on: bęc! bęc! i nareszcie leży... ot tam leży... naprawdę leży... Hryńko Zadorożny! Sława Jezu Chrysta!”

W październiku chadzaliśmy na zasiadki, jako że od św. Michała<sup>608</sup> zaczynał się sezon polowań na zające. Pan Padlewski godził się na ten rodzaj polowania tylko na krańcach Perepelnik, a więc pod lasem hukałowieckim lub na granicy nuszczkańskiej. Chodziło mu o ochronę własnej zwierzyny. Pewnego razu wybrałem się we dwójkę z panem Pazowskim na zasiadkę. Działo się coś niesamowitego. Strzelałem do dwóch lisów i dwóch zajęcy, które, po moich strzałach padły w lesie hukałowieckim, pod którym siedzieliśmy. Strzelałem cztery razy, potem Pazowski raz. Nie było czego dłużej siedzieć. Idę po swoją zwierzynę. Jej ani śladu, nawet nigdzie nie widać farby. Natomiast Pazowski niesie lisa. Śmieje się z moich dwóch lisów i dwóch zajęcy. Widział lepiej ode mnie, jak wszystko się odbyło. Otóż z lasu wybiegł lis, a po nim zając. Ja obu spudłowałem. Obiegły krzak, za którym siedziałem, po czym lis zorientowawszy się, pogonił za zającem, a ten uciekając, znowu nadleciał mi na strzał. Zająca musiałem chybić, ale lis coś śrutów dostał w futro, bo porzucił zająca i szedł dość niepewnie na Pazowskiego. Ten miał łatwy strzał. Dawno nie zdarzyło mi się tyle i tak skandalicznych pudeł, więc mocno skonfundowany idę za Pazowskim, który lisa schował do swej bezdennej borsuczej torby. Idziemy przez wieś, mijamy cerkiew, karczmę, dochodzimy do gminy. Przed nią stoi kilku gospodarzy. „Hej! Hej! Pane Pazowski! Nińka pucałyście jak na egzycyrku! Ałe nyczoho na majete?” – nagrywa się zastępca wójta. Pazowski nie odpowiada, tylko otwiera torbę, wyjmuje lisa za kitę i brzdęk nim o ziemię: „A ot mykita!”. A lis w nogi... Pazowskiego kabzlówka była naładowana, ale nim ją chwycił, nim kurki odwiódł, nim się złożył, lis smyknął za ścianę najbliższej chałupy. I tyleśmy go widzieli. Trzeba było iść z chłopami na wódkę do karczmy, próbowaliśmy ich poczęstunkiem przekupić, żeby się z nas za bardzo nie śmieli. Nie wiele pomogło, bo nazajutrz wieś trzęsła się od opowiadań jak to: „Pany łysa z lisa hukołowieckoho do seła prynisły taj pustyły”.

<sup>607</sup> Zlewa – deszcz, ulewa.

<sup>608</sup> Czyli od 29 września.

Polowałem z Pazowskim i na borsuki, i na kuny. Istotnie żaden borsuk nigdy do worka nie chciał wleźć. Ubiłem raz trzy wydry, które w czasie podolskiej zadymki przenocowały w zadętym wykrocie<sup>609</sup> na polu przy łące i potoku. W zimie polowaliśmy na polach i w lesie z nagonką na kozły, lisy, zające. Zdarzyło się i na grubszego zwierza.

Wieczorem w końcu września siedzimy na kamiennej ławce pod wygwieżdzonym niebem, obserwujemy spadające gwiazdy i słuchamy wykładu pana Szymona o konstelacjach. Przecudny wieczór babskiego lata. Gdzieś, z oddali, z pół dochodził głos dumki granej przy pastuszym ognisku na okarynie<sup>610</sup>. Koniuch wracający z pastwiska wyświstuje kołomyjkę<sup>611</sup>, a wjeżdżając na drewniany mostek, zeskakuje z konia i wytupuje prysudy<sup>612</sup>, żuki buczą w powietrzu, gdzieś pies szczeka, a pójdzka<sup>613</sup> i puszczyki wołają po swoim. Naraz – jakby na komendę – wszystkie psy, wiejskie i dworskie, zaczynają niesamowicie wyć. Wyją i wyją, aż mróz po kościach przechodzi. Wszyscyśmy zamilkli z respektem przed czymś niesamowitym. Padlewski wsłuchał się uważnie i rzucił nam jedno słowo – „wilki!”. Przerwał oczywiście astronomię, wstał: „No panicze! Kule szykować!”. Patrzyliśmy na niego trochę jak na wariata. Nie chciało nam się wierzyć, żeby z wycia psów można było poznać, że w Perepelnikach pojawiły się wilki, których tu już pewnie ze czterdzieści lat nie było! A przecież!

Ponieważ jednak po takiej zapowiedzi na pewno jutro wypadnie polowanie z nagonką, tedy wilki nie wilki, ale kozły, lisy i zające będą. Kule kulami, ale śrut przyda się. Zrobiliśmy kilka ładunków z kulami, lotkami i śrutem. Naraz z krzykiem wpada na dziedziniec fornal na koniu i woła, że stado „wowków” porwało z pastwiska dwa barany i jedno cielę chłopom i uciekły ze zdobyczą przed krzykiem pastuchów w las. Za nim przybiegł Pazowski z potwierdzeniem wieści o wilkach, a zaraz po nim wtarabanił się wójt i kilku radnych. Wilki nadciągnęły z Podola rosyjskiego, a do naszej wsi przyszły z lasów tworymirskich. To nas zelektryzowało i rozgorączkowało. Złożono naprędce radę wojenną. Jutro rano może być z Perepelnik, Nuszca, Hukałowiec do sześciuset ludzi nagonki. Cóż! Kiedy z okolicy można zgromadzić najwyżej sześćdziesięciu myśliwych, nie ma więcej strzelb. Tymi siłami nie da się zająć całej kniei na raz. Można tylko pół lasu. Zgaduj zgadula, którą połowę? Po długiej naradzie uchwalono, by zacząć od tej strony, w którą wilki uszły z łupem. Tym bardziej, że właśnie w tej części

<sup>609</sup> Wykrot – dziura w ziemi po wyrwanym przez wiatr drzewie.

<sup>610</sup> Okaryna – instrument muzyczny, rodzaj fletu o jajowatym kształcie.

<sup>611</sup> Kołomyjka – taniec ludowy lub ukraińska pieśń liryczna.

<sup>612</sup> Prysud – w tańcu ludowym przysiad.

<sup>613</sup> Pójdzka – ptak z rodziny puszczykowatych.

lasu nierówny teren i gąszcze dają wilkom najlepsze schronienie, a poza tym mądrzej jest pędzić wilki ode wsi, a nie na wieś. Myśliwi wejdą z dwóch stron na linię przecinającą, mniej więcej w środku, knieje, nagonka pogoni od pola Głębokie i Grabinę. O ósmej rano myśliwi staną w cichości na stanowiskach i o ósmej ruszy nagonka.

Po zakończonej naradzie wojennej, wszyscy fornale konno, jako wici, ruszyli z listami do wójtów i do myśliwych. Pobereźnicy, skoro świt, mieli obejść las dla stwierdzenia po tropach, czy wilki jeszcze są, czy też ruszyły dalej. Nazajutrz, dokładnie wedle programu, pasiecznicy zameldowali, że wilki są w kniei, ale oni nie wiedzą, w której połowie, bo nie weszli do środka lasu, bojąc się ich spłoszyć. Nagonka ruszyła z punktu zbornego we wsi pod las. Myśliwi w największej ciszy przepołowili las. Gdy trąbki zagrały, obława z wielkim hałasem ruszyła. Mieliśmy pecha. Wilki były akurat za plecami myśliwych. Wilczym chodem wyniosło się ich piętnaście z powrotem do Tworymirki. My, nie wiedząc o tym, z napięciem czekamy na pierwszy strzał (wolno było strzelać tylko do wilków). Dwa stare wilki leżały jednak w Głębokim. Rejwach w lesie poderwał je na nogi. Wypadły na linię myśliwych. Zaczęła się kanonada. Prawie wszyscy myśliwi strzelali. Ja też wypaliłem do wilka z obu luf na jakich osiemdziesiąt kroków. Ktoś gdzieś trafił jednego, inny drugiego, ale przecież oba [s] mimo tego dobrze wyrzywały. Mój sąsiad strzelał też. Śledzę wynik strzałów i widzę jak, stojący za moim sąsiadem, pan B., nauczyciel z Nuszcza, złożony do strzału, nie strzela, tylko cofa się z linii w las, cofa się przed wilkiem, który ledwo idzie, potyka o krzaki, omal nie pada, ale przecież cofa się, cofa i cofa. Patrząc ze zgrozą na ten przejaw tchórzostwa. Widocznie innych myśliwych również to oburzyło, bo następny strzelec podbiega do tchórze Nuszczkańskiego i przykłada mu lufę do głowy. Huknął strzał, a nasz pan B. leży na ziemi. Co prawda wilk też.

Po trąbce i po nabijaniu kabzlówki poznaję, że to Pazowski. Nogi mi zdrętwiały w pierwszej chwili na widok tego morderstwa. Moi dwaj sąsiedzi też zbaranieli. Ocknąłem się, podbiegam do Pazowskiego. Nim dobiegłem, widzę jego śmiech, podczas wlewania wódki do ust leżącego. Byłem pewien, że stary zwariował, a tymczasem okazało się, że chciał tylko zakpić z tchórze. Wylotu dubeltówki nie przyłożył mu do głowy, jak mi się zdawało, ale położył na jego ramieniu, koło ucha i strzałem z tej pozycji dobił wilka. Pan B. już i tak samym widokiem wilka niezmiernie nastraszone, gdy mu coś najniespodziewaniej w ucho grzmotnęło, zemdłał. Na szczęście przyszedł do siebie, napił się wódki, wstał, uspokoił się, dowiedziawszy się, że wilk padł. Zdaje mi się, że nigdy się nie dowiedział, „co tak w boru huknęło”. Oczywiście, ten żart starego myśliwego nie skończył się tragicznie. Powiedział



to panu Leonowi w pierwszej chwili podniecenia. Swoją drogą ten kawał poprawił humory po nieudanej obławie. Na siedemnaście wilków jeden został na placu, piętnaście uszło przez bagna do Tworymirki, a co się z siedemnastym stało, po przedarciu się przez nagonkę, wtedy nie było wiadomym. Ja ze Stachem Nowackim i Leonem Kwiatkowskim poszliśmy zaraz, na gorąco, za tropem postrzelonego wilka. Goniliśmy go dwie mile, ale ostatecznie dobiliśmy go. Główna banda wróciła za kordon i chyba aż do wybuchu wojny światowej nikt więcej w Perepelnikach o wilkach nie słyszał.

## 6.

**Ks. Aleksiewicz. Dziurawy dach czy lodownia? Świącenie Paschy. Odmowa ślubów. Spowiedź wielkanocna. Awantura w Hukałowcach. Wizyta parocha we dworze. Augsburg. Zmiana księdza.**

**B** były łowy na jeszcze grubszego zwierza. Kolatorem parochii<sup>614</sup> był dziedzic Szymon Padlewski, tym samym przewodniczył komitetowi parochialnemu, wybieranemu z dwóch gmin, Perepelnik i Hukałowiec, które tworzą jedną parafię, mały wspólny komitet i wspólnego proboszcza. Był nim ks. Aleksiewicz (jeżeli nie mylę nazwiska). Nie był ani moskalofilem, ani polonofilem, ani niczym „filem”. Po prostu polityką się nie zajmował, politycznej agitacji wśród parafian nie prowadził. Być może, że to był powód, dla którego metropolita Sembratowicz<sup>615</sup> swego czasu zaprotegował go na dobrą parafię perepelnicką. Za to nasz paroch miał inne wady. Widocznie przeczuwał dyktatury, bo nie uznawał demokracji, zatem nic sobie nie robił z uchwał rady gminnej ani komitetu parochialnego, ani z woli swoich parafian. Był nader uparty, a przy tym, jako choleryk z usposobienia, podrażniony działał popędliwie, bez zastanowienia, za pierwszym impulsem.

Stało się, co się czasami w domach gontem krytych dzieje, dach nad plebanią zaczął zaciekać [s]. Ksiądz przedłożył komitetowi dziury w dachu. Chłopi, razem z dziedzicem, chodzili po strychu probostwa, podstawiali garnki, przychodzili po każdym deszczu stwierdzać, czy i ile naciekło do nich, radzili nad kosztem naprawy, kłócili się o rozłożenie kosztów. Ostatecznie, wobec tego, że dwór szedł im całkiem na rękę w sprawie pokrycia wydatku, uchwalili progresywną daninę z morgi ziemi ornej, łąk, bagien

<sup>614</sup> Kolator – dawniej fundator lub opiekun parafii. Parochia – parafia greckokatolicka.

<sup>615</sup> Sylwester Sembratowicz [Sembratowycz] (1836–1898) – duchowny greckokatolicki, arcybiskup metropolita lwowski od 1895 r., członek Izby Panów austriackiej Rady Państwa i galicyjskiego Sejmu Krajowego.

i ogrodów. Najwyższa stawka z morgi padła oczywiście na dwór, a więc na przewodniczącego komitetu i na kolatora. Kosztorys zrobiono tak sownie, że na dobrą sprawę powinno było zostać pieniędzy. Ksiądz pieniądze wziął, ale użył ich na cel inny niż ten, na który były przeznaczone. Jest to znana formułka, użyta później w sprawie pośła Woźnickiego<sup>616</sup>, dla grzecznego określenia brzydkiego czynu. Wymurował sobie lodownię. To oburzyło na niego i chłopów, i dziedzica. Że duszpasterz nie musi być anachoretą<sup>617</sup> i znosić z pokorą, by mu w izbie na głowę deszcz padał, to wszyscy uznali. Ale żeby służyć Bożemu do wykonywania obrzędów religijnych nieodzowną była lodownia, o tym nikt we wsi ani też gdzieindziej nie słyszał i tym samym nie uznawał. Komitet oświadczył proboszczowi, że tego „virement”<sup>618</sup> pozycji budżetu cerkiewnego nie przyjmuje do wiadomości, dach uważa za naprawiony, więc następna naprawa dachu wypadnie po dziesięciu latach, tj. po upływie czasu, który przyzwoity, szanujący się gont, smołą smarowany, powinien wytrzymać. Aleksiewicz roześmiał się im na to wymądrzanie w nos, ale gdy w lecie, jesieni, zimie i na wiosnę musiał, on i jego rodzina, sypiać pod parasolami i cebrami wynosić wodę deszczową z pokoi, wystąpił z kategorycznym żądaniem dokonania naprawy dachu nad jego domem mieszkalnym. Chłopi oczywiście odmówili. Dwór stał po ich stronie. Ksiądz zastosował bierny opór, względnie strajk.

O tym wszystkim dowiedziałem się, gdy wraz ze Stachem Nowackim przyjechaliśmy na Wielkanoc do Perepelnik. Któregoś poranka ujrzeliśmy zebraną na dworskim dziedzińcu całą wieś. Na pewno pop... lodownia... dach... komitet... więcej niż dwieście ludzi stanęło w półkolu przed frontem dworu. Na przedzie chłopci z długimi włosami, ze zwisającymi w dół wąsiskami, w kozuchach, długich butach, z kosturami i czapami baraniami w rękach, z poważnymi, senatorskimi minami budzili w nas wspomnienia, gdzieś kiedyś przeczytanych, może w Kraszewskim, może w Bernatowiczu<sup>619</sup>, opisów prasłowiańskich wieców ludowych. Za nimi kobiety, odświętnie przybrane, w krasnych chustach na głowach, w barwnych spódnicach i mołodycie<sup>620</sup>, i wyrostki. Na płótnach na ziemi porozkładane kołaczki, kiełbasy, mięsiwa, jaja, sery, wódka, słowem Pascha Wielkanocna. Chodzi o to, że paroch odmówił święcenia Paschy tak długo, jak długo komitet nie zdecyduje naprawy dachu nad plebanią. Gmina po naradzie przyszła do pana dziedzica, jako

<sup>616</sup> Prawdopodobnie mowa o Janie Woźnickim (1881–1945) – pośle ludowym, wicemarszałku Sejmu i Senatu w II RP.

<sup>617</sup> Anachoreta – człowiek świętobliwy, żyjący w ascezie.

<sup>618</sup> Virement – przesuwanie wydatków między różnymi pozycjami budżetu.

<sup>619</sup> Feliks Bernatowicz (1786–1839) – powieściopisarz romantyczny i komediopisarz, jeden z współtwórców nurtu polskiej powieści historycznej.

<sup>620</sup> Mołodycie – młode dziewczęta.

jednego z najstarszych wiekiem i jako najpoważniejszego we wsi z prośbą o poświęcenie Paschy. Bo jak jeść niepoświęconą? Grzech z tego na cały rok!

Pan Szymon radzi się nas, co robić? Chciałby zadość uczynić życzeniu wsi, ale nie chciałby się narazić na podejrzenie o „polską intrygę”, gdyż to popsułoby mu harmonię, istniejącą między dworem a gromadą. Nie chciałby mieć procesu o rodzaj świętokradztwa, względnie obrazy uczuć religijnych. Wymyśliłem wyjście. W myśl tego rozegrała się cała sprawa. Pan Szymon wyszedł z gołą głową na werandę. Odmówił z zebranymi głośno *Ojczy nasz i Zdrowaś*, on po polsku, oni po rusku, pokropił święconą wodą ludzi obecnych i Paschę, i wygłosił przemowę, w której wezwał zebranych, by do jedzenia Paschy siedli w nabożnym skupieniu ducha, z myślą podniesioną do Boga, rozpamiętując ostatnią wieczerzę Pańską i mękę Zbawiciela. My młodzi spisywaliśmy każde jego słowo, zrobiliśmy z całego wydarzenia zaraz na gorąco protokół, aby w razie potrzeby móc zeznać, co i jak było. Nauka wypowiedziana przy tej okazji przez pana Szymona mogła być udzieloną przez ludzi świeckich bez obrazy kodeksu karnego w katolickiej Austrii, a nawet w ultrakatolickiej Galicji. Ani kościół, ani kodeks nie zabrania świeckim osobom kropienia święconą wodą ludzi, a tym bardziej rzeczy. Chłopi byli bardzo radzi, że Pascha została poświęconą, atak księdza odparty, przy czym nie potrzebowali zostawić dziesięciny, jak to było przyjęte, gdy paroch święcił. Serdecznie dziękowali Padlewskiemu. Po dwóch godzinach cała sprawa była zakończona. Książd tą drogą pieniędzy na parafianach nie wymusił.

Ale swego nie darował. Na wsi zaczyna się pora ślubów i weselisk we wrześniu po żniwach. Proboszcz odmówił w obu wsiach młodym parom udzielania ślubów, dopóki nad plebanią dach... itd. Znowu wielka delegacja przybyła do dworu na naradę. Ponieważ udało mi się rozwiązanie sprawy Paschy ku zadowoleniu wszystkich, więc i teraz zostałem wezwany jako doradca prawny (może raczej „pokątny”) w sprawach kultu religijnego. Na moje wezwanie obecni kategorycznie zarzekli się, że drugi raz księdzu na ten cel pieniędzy nie dadzą. Niech sprzeda lodownię, a za uzyskane pieniądze niech sobie dach naprawia. Gmina nie jest obowiązana budować parochowi lodowni, zaś on do nabożeństwa ani do żadnych obrzędów religijnych lodu nie potrzebuje. Po tym wypowiedzeniu się wójta pan Szymon obiecał wypisać pismo do metropolity ze skargą na niewypełnianie obowiązków duszpasterskich przez ks. Aleksiewicza. Delegacja gminy pojedzie z tą skargą do Lwowa, a tymczasem młode pary niech żyją na wiarę. „Pyśmo” po rusku wypisane zawieźli wójt i dwóch członków komitetu parochialnego. Metropolita wyjechał gdzieś na „wizytację” czy na cerkiewną uroczystość, mimo że był listownie proszony przez Perepelniki o audiencję na ten dzień. Delegatów przyjął jeden z kanoników. Skrzyczyał ich za protegowanie życia



**Fot. 8.** Perepelniki  
Źródło: [www.olejow.pl](http://www.olejow.pl)

na wiare, domagał się, by pieniądze na naprawę dachu drugi raz proboszczowi dano, napomknął o „laickiej intrydze” i obiecał całą sprawę zbadać szczegółowo i ks. metropolicie przedłożyć. Wiadomo „kruk krukowi...”<sup>621</sup>, tym się na ten raz we Lwowie skończyło.

Ale nie w Perepelnikach. Nadeszła druga wiosna, a za nią wielkanocna spowiedź. Ks. Aleksiewicz odmówił parafianom obu wsi słuchania spowiedzi, dopóki dach nad plebanią... itd. „Kto Wam Paschę święcił, niech Was spowiada i udziela Wam rozgrzeszenia” – mówił do swych owieczek. I znowu byliśmy świadkami jak cała gmina, począwszy od dwunastoletniej młodzieży, a na najstarszych gospodarzach i gospodyniach skończywszy, zjawiła się przed dworem z uzalaniem na swego proboszcza i z prośbą o radę. I znowu wyszedł do ludu siwowłósy, siwobrody, wysoki, w polskim szaraczkowym ubraniu, prosto jak świeca trzymający się „patriarcha” – dziedzic perepelnicki. I znowu, za moją radą, próbował ich nakłonić do zgody, do ustępliwości, do puszczenia w niepamięć lodowni, do przystąpienia do naprawy dachu nad plebanią. Spotkał się z tak twardym uporem zgromadzonych, że jasnym nam się stało – proboszcz tego sporu nie wygra. Wyleci z parochii! Pan Szymon zaryzykował. Odbył coś w rodzaju luterańskiej spowiedzi. Na jego wezwanie wszyscy klękli na ziemi jak w świątyni, modlili się po cichu do Boga o darowanie win, wzbudzając w sobie żal za grzechy. Pan Szymon przeżegnał ich, po czym razem z nimi klęknął, zatopił

<sup>621</sup> Kruk krukowi oka nie wykole – przysłowie polskie.

się w rozmyślaniu. Przynajmniej tak należało sądzić po jego twarzy. Może w pół godziny wstał i zaczął głośno prosić Boga (w którego naprawdę wierzył), by wejrzał na klęczących i tym, którzy szczerze żalowali, darował przewinienia i przywrócił do swej łaski. Zachowanie się pana Szymona, uroczysty, namaszczone ton jego przemówienia, cała postawa, ręce wzniesione do góry i krótka modlitwa z książeczki do nabożeństwa pani Melanii robiły wrażenie. Słysząc było głośny szloch, klęczący bili się w piersi, żegnali i modlili – na oko – żarliwie. Wieś odeszła uspokojona, mniemając, że odbyła spowiedź wielkanocną. Paschę zjedli w spokoju i nikomu to na złe nie wyszło.

Proboszcz był innego zdania. Wniósł doniesienie na Padlewskiego i na wójta jako na rzekomego sprawcę całej tej „spowiedzi”. Nie pamiętam nazwiska wójta, ale wiem, że był greckokatolickiego obrządku i ruskiej narodowości, jak zresztą wówczas wszędzie było w ruskich wsiach. Śledztwo wlekło się dość długo. Obwinieni jeździli na śledztwo do sądu w Złoczowie. Nic dziwnego, że pan Szymon pieklił się na „popa”, odgrażał się za ten donos, a że był sangwinikiem<sup>622</sup>, więc pani Melania starała się tak sprawami kierować, by się nie zetknął z parochem.

W prześliczny jesienny poranek wybieraliśmy się na słonki. A że to było ruskie pół święto (Mychajła, patrona Galicji i Rusi), w polu się nie robiło, miał iść i Szymon, i Pazowski. My gotowi do wymarszu kończyliśmy śniadanie, pan Szymon poszedł wydać jakieś dyspozycje na gumno<sup>623</sup>, Pazowski już był we dworze, gdy naraz otwierają się drzwi do jadalni i jak bomba wpada ks. Aleksiewicz. Natychmiast zawiadamiam, przez pannę Anielcię Nowacką, ciocię Melanię o tej niespodziewanej i niepożądaney wizycie. Ksiądz wita się z nami, jakby ze starymi znajomymi (mnie widział pierwszy raz w życiu) i wzburzony wykrzykuje: „Łajdak wójt nie chce mnie wpuścić do cerkwi! A ja go krzyżem przez pysk! Ale zęby nie „wylecieli”! Nie będzie miał „*corpus delicti*”<sup>624</sup>, na nic mu się „*visum repertum*”<sup>625</sup> nie przyda. Nie będzie mógł skarżyć”. Nic nie rozumiem, o co chodzi. Wyciągając z niego słówko po słówku, zdanie po zdaniu doszliśmy, że dziś rano w Hukałowcach zbuntowani chłopci nie chcieli popa wpuścić do cerkwi. Zebrali się przed drzwiami. Ksiądz, domyślając się czegoś, szedł do cerkwi w komży z krzyżem procesyjnym w rękę, z kluczem do drzwi cerkiewnych w kieszeni, śpiewając. Tymczasem diak<sup>626</sup> w dzwonnicy dzwonił na nabożeństwo. Tłum rozstąpił się przed księdzem, ale wójt oparł się plecami o drzwi cerkwi i nie puszcza.

<sup>622</sup> Sangwinik – człowiek o gwałtownym i zmiennym usposobieniu.

<sup>623</sup> Gumno – podwórze wraz z budynkami gospodarskimi.

<sup>624</sup> *Corpus delicti* (łac.) – dowód rzeczowy.

<sup>625</sup> *Visum repertum* (łac.) – tu w znaczeniu obdukcja lekarska.

<sup>626</sup> Diak – kleryk w kościele greckokatolickim lub prawosławnym.

Po daremnych próbach odepchnięcia, zastawiającego mu drogę wójta, wyrznął go żelaznym krzyżem po twarzy. Do cerkwi się dostał, ale mszy nie odprawił, bo w cerkwi prócz niego i diaka nikogo nie było. Wrócił do Perepelnik ze skargą do przewodniczącego komitetu parafialnego. Pani Melania tymczasem przede wszystkim schowała pas z ładunkami swego męża, zanim poszła po niego na gumno. Powiadomiony o wizycie parocha we dworze wpadł do dworu, porwał dubeltówkę, szuka ładunków. „Zastrzelę popa!” – woła. „Gdzieś się pas podział do licha!” W biurku miał rezerwowe ładunki. „Gdzież znowu klucz do biurka? Zawsze tkwił w zamku, a teraz, gdy potrzebny nie ma go!” Cała polityka z tym sangwinikiem polegała na powstrzymaniu go przez jedną najwyżej minutę. Po czym ochłonął, zgodził się, że sam idzie do lasu, a tylko pani Melania będzie z księdzem mówić. Zjawiła się w jadalni i przyrzekła w imieniu „chorego męża”, że komitet będzie zwołany. Przy tej sposobności wygarnęła Aleksiewiczowi takie „*Paternoster*”<sup>627</sup>, że gdyby był mniej gruboskórny, byłby się natychmiast wyniósł ze dworu. On tymczasem, jakby nigdy nic, najspokojniej zasiadł do kawy gościnnie mu przez Anielcię ofiarowanej. Pognaliśmy za Szymonem na słonki. Po naszym wyjściu paroch siedział we dworze ze dwie godziny, póki się całkiem nie uspokoił.

Ostatecznie chłopci wygrali. Zakończenie sprawy znam już tylko z opowiadań. Odbyla się we dworze wielka narada obu wójtów i całego komitetu parochialnego wraz z zaproszonym Arturem Zawiszą, który jako naprawdę prawnik, był w tym wypadku istotnie prawnym doradcą. Chłopi zarzekli się, że dłużej na parochii księdza Aleksiewicza nie ścierpią, zażądają od metropolity, by go sobie zabrał. „A co będzie, jeśli się metropolita nie zgodzi?” – pyta Zawisza. „Zerwiemy z kościołem” – odpowiada z determinacją wójt z Hukałowiec. „Na polskie nie przejdziemy, bo by powiedziano, że to robota pana dziedzica, a to nieprawda. Na ruskie<sup>628</sup> nie chcemy, żeby z tego nie zrobiono sprawy politycznej, a przecież tu nie ma polityki, jest tylko jeden nieuczciwy pop. Ale są przecież inne kościoły. Panowie chyba wiecie, jakie i gdzie ich szukać”. Zawisza ofiarował się pójść z nimi do metropolity. W razie potrzeby zagrozi przejściem tych dwóch wsi na wyznanie augsburskie. Chłopi pytali, co to takiego, ale im wytłumaczono, że przecież naprawdę na protestantyzm nie przejdą, bo sama groźba powinna wystarczyć na to, by była ogólna zgoda.

Deputację przyjął sam Sembratowicz. Wysłuchał opowiadań, uzaleń i skarg chłopów, po czym przypomniał, że odwoływanie parochów wyłącznie od niego zależy. Wtedy Zawisza, może niepotrzebnie, wygarnął tym Augsburgiem. Skutek był piorunujący. Metropolita Zawiszę za drzwi wyrzucił,

<sup>627</sup> *Paternoster* – tu w znaczeniu reprimenda.

<sup>628</sup> Mowa o prawosławiu.

delegację zatrzymał, wykrzyczał ich solidnie, próbował wymusić od nich zeznanie, kto im ten augsburski kościół podsunął. Chłopi trzymali się twardo. Oni sami, choć są pobożnymi „chrystianami”, ale popa nie myślą dłużej znosić. To on świętości nie szanuje, sakramentów nie udziela i krzyżem, znakiem Chrystusowej męki, bił wójta po twarzy. Już raz delegacja była u metropolity, ale bez skutku. Więc cóż im pozostaje, jak odejść od kościoła? Ostatecznie, po długim rozhowerze<sup>629</sup>, metropolita przyrzekł, w ciągu dwóch miesięcy zabrać księdza i wybrać dla nich bardzo dobrego duszpasterza. Uradowani chłopi serdecznie mu za to podziękowali, oświadczając, że zgodzą się na każdego innego. Stosunki z dworem są takie, że każdego kogo oni przyjmą, kolator zamianuje. Arcybiskup Sembratowicz słowa dotrzymał. Nowemu księdzu dach nad plebanią naprawiono, ale już w swoim zarządzie. Księdzu pieniędzy drugi raz nie zawierzyli. Jednym słowem „happy end”. Jakim był ten nowy ksiądz, nie wiem. Słuchy mnie nie doszły ani złe, ani dobre.

## 7.

### **Choroba St. Nowackiego. Zadymka. Stach Nowacki umiera.**

**S**tach Nowacki miał słabe płuca. Każdą możliwość wykorzystywał na wyjazd do Perepelnik w przypuszczeniu, że czyste, wiejskie powietrze zdrowsze dla niego od miejskich kurzów, dymów, zapachów, wyziewów, od choćby najbardziej kochanego lwowskiego smrodku. Być może jednak, że klimat zimnego Podola, że przeciągi powietrzne na głównym dziale wód były dla jego organizmu nienajodpowiedniejszym miejscem pobytu. Ale że o środkach na wyjazd do Zakopanego albo, jak mnie się roiło po głowie, do Veldes (Bled) w Alpach Kraińskich, do zakładu Arnolda Riklego<sup>630</sup>, leczącego powietrzem i słońcem ani marzyć nie było można, przeto przesiadywał w Perepelnikach. Stan jego zdrowia pogarszał się z roku na rok. Ciągnęło go do lasu, na leśne polany, na smreczyny w Terebieży. Tam leżeliśmy w świerkach godzinami na mchu, filozofując, rozpamiętując nasze dzieje, rozwijając przypuszczenia o przyszłości naszego narodu, o pracy w związku, coraz częściej o stosunkach społecznych.

Ale tego rodzaju kąpiele w leśnym, świerkowym powietrzu przynosiły mu tylko chwilową ulgę. Boże Narodzenie w r. 1891/2 spędziliśmy razem w Perepelnikach. Jeszcze chodził do kniei, ale schudł i kaszlał coraz gorzej.

<sup>629</sup> Rozhovor (ukr.) – rozmowa.

<sup>630</sup> Arnold Rikli (1823–906) – szwajcarski uzdrowiciel, leczący naturalnymi metodami, podkreślający uzdrowicielskie działanie słońca i powietrza, założyciel ośrodka leczenia helio- i hydrologicznego w Bled w Słowenii.

Na technikę ze mną nie wrócił. Wtedy wracałem na Płuchów nie na Zborów. Bagna zamarzły, jadąc na folwark, jeszcze polowałem po drodze. Z folwarku widać było jak na dłoni stację w Płuchowie (najwyżej piętnaście minut jazdy saniami); furman, wracając, miał coś z folwarku zabrać do dworu. Po drodze musiałem przerwać polowanie, bo nastąpiła odwilż, zaczął padać mokry śnieg, zrywał się coraz silniejszy wiatr. Do zabudowań folwarcznych dojechaliśmy dobrze. W folwarku zatrzymałem się najwyżej kwadrans. Na sanie przysiadł się Jan Skurski i jeszcze jakiś gospodarz, który też zdążył do pociągu. Tymczasem wiatr zmienił się w formalne trąby powietrzne, rozpętała się zawierucha jak się patrzy, a zadymka śnieżna, prawdziwa podolska zadymka biła w twarz ludzi i konie. A właśnie droga do stacji szła pod wiatr. To nas nie peszyło, wszak drogę do stacji znaliśmy na pamięć. Tedy spod wrót folwarku ruszyliśmy z gęstymi minami dobrze okryci baranicą. Po dwudziestu minutach wyłaniają się przed nami budynki, migają słabe światełka, ale to jakoś nie wygląda na Płuchów! Gdzie zajechaliśmy? Ha! Toż to wrota folwarku perepelnickiego! Klniemy furmana, że nie uważał, że źle kierował końmi. Furman czapkę nacisnął, konie batem zaciął, ruszył i po kwadransie byliśmy znów z powrotem u wrót folwarku. Prawda, że poza końmi widział tylko biel śnieżną. Zgniewał jednak Skurskiego, starego poważnego Jana. Sam wziął lejce i bat i sam znalazł się zaraz, potem drugi raz u wrót folwarku. Po kolei wszyscy furmaniliśmy i wszyscy łądownaliśmy stale na folwarku. Zorientowałem się, że furmaniący, nie widząc, z powodu tumanów śniegu, światła przed sobą, łatwo tracili kierunek i pozwolili koniom obracać się, jak same chciały. A że one wołały mieć wiatr z tyłu, więc... Objąłem komendę nad furmanem i kierując się, niby kompasem, kierunkiem wiatru na mej twarzy, doprowadziłem naszą arkę do Płuchowa. Odyseja trwała dwie godziny. Pociąg oczywiście już pojechał, a my we dwójkę, dziesięć godzin czekaliśmy w poczekalni kolejowej na następny.

Gdy przyjechał na Wielkanoc 1892 r. do Perepelnik, Stach jeszcze wstawał z łóżka, ale ledwo chodził. Chudy był nadmiernie. Przeczuwał bliską śmierć, mówił o niej z całym stoicyzmem. Tylko czasem wybuchał z niego bunt młodości przeciw chorobie, przeciw krzywdzącemu go losowi, przeciw możliwości śmierci. Ostatniego maja, po otrzymaniu telegraficznego wezwania, przyjechałem na wieś. Staszek leżał w agonii. Schudł niemożliwie. Sam szkielet. Gdy mnie nazajutrz rano zobaczył, ożywił się. Opowiadałem mu o tym, co w kraju, co we Lwowie, na technice, przywoziłem mu wiadomości o profesorach, o kolegach, o sprawie Mokłowskiego. Bałakałem<sup>631</sup> cały dzień, mówiłem dużo, aby nie płakać, aby nie wybuchnąć serdecznym żalem za tym umierającym moim najserdeczniejszym druhem, za tym

<sup>631</sup> Bałakać – gadać, opowiadać.



gasnącym nadzwyczaj zdolnym przyrodnikiem-chemikiem, za tym mózgiem, w którym roilo się od pomysłów, za tym na wskroś prawym i szlachetnym człowiekiem. W pewnej chwili ożywił się nadzwyczajnie, bez pomocy siadł na łóżku i mocnym głosem przemówił, że choroba się już w nim przesiliła, że na pewno przyjdzie do siebie, będzie zdrow, rany w płucach się zasklepią. Na pewno po wakacjach wróci do pracy. Teraz jest już spokojny, bo nie łudzi go nadzieją kochające otoczenie, ale mówi mu to jego własne samopoczucie. Jest szczęśliwy, jak dawno nie był.

A nad ranem 2 czerwca zmarł. Byłem przy nim w chwili, gdy skonał. Otwarłem [s] okno. Słowiki taki mu huczny koncert dały, jakiego już nigdy potem w życiu nie słyszałem. Pochowaliśmy go na wiejskim cmentarzu. Polski nie doczekał.

## 8.

### **Ostatnia bytność w Perepelnikach. Winograd pod Gwoźdzcem. Przygoda Kazimierza Mokłowskiego. Kobyłańscy.**

Jeszcze część wakacji spędziłem w Perepelnikach. Jednak tak mi tam wszystko przypominało zmarłego przyjaciela, że trudno było wytrzymać, mimo prawie rodzinnych, serdecznych stosunków z gospodarstwem i paniami Nowackimi, nie usiedziałem. Po trzech tygodniach pojechałem do Winogradu. Po ślubie przyjechałem z żoną do państwa Padlewskich. Bawiliśmy trzy dni. Na tym mógłbym zamknąć moją kartę perepelnicką. Wieś odziedziczył Wacio Wolski. U niego spędziłem dwutygodniowy urlop w jesieni 1901 r. Już i Pazowski nie żył. Stary dwór jeszcze stał. Wolscy nie mieszkali tam. Dziś gospodarzy tam drugi jego syn. Najstarszego umęczyła pajdokracja<sup>632</sup> ukraińska w 1919 r. w Złoczowie.

Resztę wakacji 1892 i wakacje 1893 r. spędziłem u matki mego kolegi pani Kobyłańskiej w Winogradzie, wsi pod Gwoźdzcem (pow. kołomyjski). Tam w ciepłym klimacie, na południowym cyplu Polski, na równinie pokuckiej pyszny czarnoziem, o przepuszczalnym podglebiu tworzy najurodzajniejsze w całej Polsce role. Głównie uprawiano pszenicę, kukurydzę i tytoń. Na Pomiarkach rodziły, obok harbuzów, kawony i melony. Gdyśmy we trójkę deptali w kukurydzy przepiórki lub kuropatwy, absolutnie nie było nas widać i my sami siebie wzajemnie nie widzieli. Przy tym nie mam na myśli „końskiego zębu”<sup>633</sup>, bo ten wyrastał na 3½ m wysoko.

<sup>632</sup> Pajdokracja – tu określenie rządów ludzi niedoświadczonych.

<sup>633</sup> Koński ząb – jedna z odmian kukurydzy.

Ojciec Tadzia nie żył już dawno. Synom zostawił ukochane konie. Dwór chował stadninę, mimo nierentowności tej hodowli. Nie dziwota, że za wykwit polowania uchodziło polowanie nie ze strzelbą, tylko na koniach. Więc szczywanie zajęcy jesienią i zimowe polowanie z hartami w saniach na lisy. W Winogradzie zastałem bardzo żywą opowieść o przygodzie Kazimierza Mokłowskiego, naszego wspólnego kolegi, późniejszego przywódcy lwowskich socjalistów, a przy tym zdolnego architekta, pioniera na polu nawiązania form architektonicznych nowych budowli do form budownictwa ludowego, polskiego. W Gwoźdzu pracował nad odnowieniem kościoła czy klasztoru. Zetknął się z Tadzkiem Kobylańskim i przyjechał do niego na wieś. Mokłowski za młodu złamał nogę, którą mu krzywo zestawiono. W Winogradzie, mimo odradzań [s] ze względu na nogę, uparł się, siadł na konia i pojechał wraz z całą młodzieżą dworską szcuć zające. W czasie wyścigu z hartami za zającem, przy przesadzaniu rowu, spadł z konia i ponownie złamał swą kaleką nogę. Zestawiono ją, zrosła się, ale nigdy już potem zdrową nie była. Lekarze twierdzili, że w tym nieszczęśliwym upadku szukać należy źródła gruźlicy kości, na którą, ten wielkiej wartości człowiek, przedwcześnie zmarł.

Pani Kobylańska, z domu Jakubowiczówna, Ormianka, bardzo rozumna, bardzo wykształcona, zrównoważona, taktowna kobieta, miała czterech synów. Najstarszy Kazimierz skończył prawo i gospodarował w Winogradzie. Następny Stanisław, agronom, chadzał dzierżawami. W czasie mych pobytów tam, wyszedł z jednej dzierżawy i rozglądał się za drugą. Tadzio, mój rówieśnik, latami studiował inżynierię, a najmłodszy Józio chodził do szkół średnich. W czasie wakacji uczyłem się z Tadzkiem bądź do kursowych, bądź do państwowego egzaminu. Nie za bardzo. W dni deszczowe to tak. Było ich mało. Zaś w pogodne tylko rano, między śniadaniem (7.00 rano) a obiadem (13.00), potem uganiał się we trójkę ze Stanisławem po polach, za ptakami. Niejeden wieczór spędziliśmy na ciągu kaczek nad jeziorkami. Zdarzała się lustracja kaczek na jeziorkach i stawach w jasne, księżycowe noce. Raz w końcu września, gdy nielitościwy los na mnie wypadł, musiałem o drugiej rano wpław na stawie aportować ubitą krzyżówkę, bo pies nie chciał iść po nią do lodowato zimnej wody. Co prawda taki to był pies, choć na usprawiedliwienie trzeba przyznać, że było blisko przymrozku.

W Winogradzie był drugi dwór. Dwory nie żyły ze sobą ani żadnych stosunków nie utrzymywały tak dalece, że nawet nie wiedziałem, jak się ten drugi winogradzki obszarnek nazywał. Stosunki z chłopami były poprawne. Kazimierz, jako prawnik, a po trosze i polityk, czuwał nad tym. Nie było tam jednak tej serdeczności, harmonii, wzajemnego zaufania co w Perepelnikach. Kilka razy organizowano nocną wyprawę na chłopów chyłkiem pasących

swój inwentarz na dworskich gruntach. Prawda, że kończyły się bez wyniku, jednak w Perepelnikach taka wyprawa była w ogóle nie do pomyślenia.

Wieczorami grywaliśmy w taroka<sup>634</sup> lub wista licytowanego (zwanego dzisiaj brydżem). Na ogół wakacje w Winogradzie mile wspominam. Jeszcze później odwiedziłem raz ziemię Stanisława Kobylańskiego w dzierżawionej przez niego Ostryni pod Tłumaczem, a drugi raz, już żonatego we wsi Żyrawie pod Chodorowem, gdzie mieszkał i gospodarzył. Kazimierz umarł z nich najwcześniej. Z Tadzkiem jeszcze nieraz spotkamy się w mych wspomnieniach.

---

<sup>634</sup> Tarok – dawna gra w karty; jedna z form wróżenia (tarot).

## Rozdział VI

# SŁUŻBA W WOJSKU AUSTRIACKIM

### 1.

**Nieco o ustawie wojskowej. Nie wykręciłem się z wojska. Szkoła jednorocznych. Oficerowie. Por. Seńkowski.**

Służba wojskowa trwała z reguły trzy lata w linii, siedem lat w rezerwie armii i dwa lata w rezerwie „obrony krajowej” (Landwehry – „landwery”). Po tych dwunastu latach wojak przechodził do „pospolitego ruszenia” (Landsturmu). Pewne kategorie poborowych odbywały tylko trzymiesięczne wyćwiczenie rekruckie. Maturzyści szkół średnich i ci, którzy przed specjalną komisją udowodnili swoją inteligencję, mieli przywilej służenia tylko przez jeden rok w linii jako „jednoroczni ochotnicy” do wojska. Jednorocznik miał prawo wybrania formacji na lądzie i morzu w której, i czasu, w którym chciałby odbyć swoją powinność wojskową, miał prawo zostać oficerem rezerwy po zdaniu odpowiedniego egzaminu. To drugie prawo miało jednak swoją „szatenzajt” (wyrażenie żargonu lwowskiego, wzięte z niemieckiego *Schattenseite* znaczy „odwrotna strona”). Oficer rezerwista miał obowiązek odbyć w czasie swej przynależności do rezerwy, we własnym mundurze i z własną bronią, co najmniej cztery ćwiczenia wojskowe miesięczne, zaś rezerwista szeregowy względnie podoficer odbywał trzy ćwiczenia czternastodniowe, oczywiście na koszt państwa. Z tego powodu mało jednorocznych kwapiło się do zdawania egzaminu oficerskiego. Aby tedy zmusić jednorocznych do ubiegania się o stopień oficerski, a tym samym wypełnić luki w korpusie oficerskim, jakie przewidywał minister

wojny na wypadek mobilizacji, zmieniono ustawę wojskową w tym duchu, że wojsko mogło jeszcze przez rok przetrzymać w linii każdego jednorocznego ochotnika, który nie zdał czy nie zdawał egzaminu oficerskiego (była o tym mowa na wielkim wiecu lwowskiej młodzieży akademickiej w 1889 r.). Władze wojskowe robiły z tego prawa regułę i dopóki nie wypełniły korpusu oficerskiego, przetrzymywały w służbie czynnej przez rok prawie bez wyjątku wszystkich, którzy egzaminu nie zdali. Groźba utraty jeszcze jednego roku złamała opór młodzieży inteligenckiej przeciw osiągnięciu stopnia oficerskiego.

Prawo pozwalało jednorocznym odwlec czas odbywania służby czynnej do 24 roku życia. Skorzystałem z tego, by nie przerwać studiów i dopiero 1 października 1894 r., tj. po skończeniu techniki, zgłosiłem się do służby w 11 Korpuśnym pułku artylerii polowej w koszarach Ferdynanda na ul. Gródeckiej. Zasadniczo jednorocznicy służyli na własny koszt. Ubodzy, wykazujący się świadectwem ubóstwa, mogli jednak służyć na koszt państwa. Ja służyłem na „własny koszt”, rzetelniej jednak mówiąc, na koszt mego ojca. Ojciec, będąc wyższym urzędnikiem, ani chciał, ani nam pozwalał wyrabiać sobie świadectwo ubóstwa, chociaż właśnie robili to ludzie, bez porównania lepiej od niego finansowo sytuowani. Służący na własny koszt sami się mundurowali i żywili. Mieszkali u siebie, nie w koszarach.

Korpus oficerski w pułku, jak w ogóle w całej armii, był narodowo bardzo mieszany. Pułkownik, dwóch majorów, kilku kapitanów i poruczników było Niemców. Najwięcej było oficerów Polaków: mjr Durski<sup>635</sup> (późniejszy pułkownik dowódca Legionów), kap. Truszkowski<sup>636</sup>, por. Seńkowski<sup>637</sup> (w czasie wojny światowej byli pułkownikami, co się później z nimi stało, nie wiem), komendant naszej szkoły, Sobolewski<sup>638</sup>, oficer naszej szkoły,

<sup>635</sup> Karol Durski-Trzaska (1849–1935) – oficer zawodowy c. k. armii od 1868 r., w 1907 r. otrzymał awans na generała majora, w 1908 r. przeszedł na emeryturę. Podczas I wojny światowej powrócił do służby czynnej. Był komendantem Legionów Polskich z ramienia władz austriackich. W 1916 r. ponownie przeniesiony w stan spoczynku. Od 1919 r. służył w Wojsku Polskim, w 1923 r. otrzymał awans na generała brygady.

<sup>636</sup> Aleksander Truszkowski (1860–1933) – kapitan artylerii, zginął podczas I wojny światowej, pochowany na Cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie.

<sup>637</sup> Julian Seńkowski (1862–1918) – oficer c. k. armii. Ukończył Wojskową Akademię Techniczną w Wiedniu. Służbę polową rozpoczął w 1883 r. w 9. pułku artylerii polowej. W 1885 r. został przeniesiony do 11. pułku artylerii korpuśnej we Lwowie, gdzie często powierzano mu szkolenie jednorocznych ochotników. W 1894 r. został komendantem szkoły ochotników jednorocznych. Służąc w 11. pułku artylerii korpuśnej, awansował do stopnia majora w 1908 r. Jako pułkownik, w 1914 r., był komendantem 28. Pułku Artylerii Polowej w Przemyślu. W 1918 r. mianowany generałem majorem ze starszeństwem z dniem 1 listopada 1917 r. Poległ 25 czerwca 1918 r. podczas walk we Włoszech.

<sup>638</sup> Paweł Cyrus Sobolewski (1863–1930) – oficer artylerii, generał major c. k. w 11. korpuśnym pułku artylerii służył w latach 1888–1891 oraz 1897–1901. W II Rzeczypospolitej tytularny generał dywizji w Wojsku Polskim.

Romer<sup>639</sup>, St. Haller<sup>640</sup> (generałowie wojsk polskich), ppor. Jankowski (musiał wyjść z wojska jeszcze w ciągu mej służby, z powodu spraw natury finansowej) i inni. Węgier Furlan był komendantem ujeżdżalni, Czech Krakówka jego pomocnikiem.

Na razie obchodził mnie por. Seńkowski. Oficer bardzo wykształcony, wykładał jasno, uczył dobrze, miał wysoce wyrobiony zmysł pedagogiczny. Oficerowie niemieckiej i innych nacji nie lubili go, bo patrzył na nich z góry jako na głupszych od siebie. Mówili o nim z przekąsem jako o pozeraczu książek. Jego pomocnik w szkole Sobolewski był bardzo dobrym człowiekiem, miękkiego serca. Łagodził wszystkie te sprawy, które przybierały ostre kanty, gdyż Seńkowski trzymał mocno, choć bez przesady, dyscyplinę i rygor. A nieraz przyłapano kogoś ze szkoły na naruszeniu tego rygoru.

Początek szkoły odbywał się na dziedzińcu, względnie koszarowym placu ćwiczeń. Szwedzka gimnastyka, chwytty bronią, maszerowanie i manewrowanie w ramach kompanii były treścią szkoły pod gołym niebem. W dni słotne, a po dwóch miesiącach stale, siedzieliśmy w klasie w ławkach i przerabiali teoretycznie balistykę, taktykę, naukę o broni i materiałach wybuchowych, regulaminy: musztry, służbowy, ustrój wojska, jego rachunkowość itp. Przypomnienie szkoły średniej w tym wieku i w tych warunkach było mi nieprzyjemne. Ale trzeba się było uczyć, bo wisiał nade mną miecz Damoklesa<sup>641</sup> w postaci jeszcze jednego roku służby wojskowej.

## 2.

**Buty. Śledztwo o zdradę stanu minęło bez następstw. Ujeżdżalnia. Cyrk Furlana. Co to je Aufsatz? Kpt. Truszkowski, „Król Polski”. Papoj. Meyer.**

**N**a samym wstępie do szkoły miałem małą przygodę buciarską [s]. Wraz ze Staszkiem Aleksandrowiczem zamówiłem buty u jego ojca – znanego i poważanego w mieście majstra szewskiego, przełożonego cechu, radnego miejskiego i jednego z wybitnych polityków

<sup>639</sup> Jan Romer (1869–1934) – generał-podporucznik w armii austriackiej, w Wojsku Polskim generał dywizji. Do 11. pułku artylerii polowej został przydzielony w 1890 r. jako oficer baterii.

<sup>640</sup> Stanisław Haller (1872–1940) – generał dywizji i szef sztabu generalnego w niepodległej Polsce. Był synem Władysława (1834–1879) i bratem stryjecznym Józefa Hallera. W 1892 r. wstąpił do wojska austriackiego jako ochotnik, od 1894 r. pełnił służbę zawodową. W niepodległej Polsce piastował wysokie stanowiska wojskowe. Był m.in. szefem sztabu generalnego. W 1926 r. opowiedział się po stronie rządowej. Po przewrocie majowym złożył dymisję i osiadł w rodzinnym majątku Polance.

<sup>641</sup> Miecz Damoklesa – zagrożenie stale wiszące nad człowiekiem.

demokratycznych spod znaku Smolki. To nie przeszkadzało, że nie zrobił nam butów kroju wojskowego, tylko tak zwane „polskie”, tj. z harmonią i obszerną twardą cholewą. Aleksandrowicz senior sam chadzał w czamarrze i bufiastych spodniach. Zrobiono nam w jego pracowni takie same buty, jakie nosił pryncypał do polskiego ubrania. Z koszar wypędzono nas obu po prostu na zbity łeb z tymi butami. Trzeba było nowe robić.

Tymczasem szykowała się całkiem inna poważna burza nad naszymi głowami. Niespodziewanie dostajemy, ja i Aleksandrowicz, w związku z wyspą tarnopolską<sup>642</sup>, wezwanie do sędziego śledczego, jako posądzeni o zbrodnię z takiego a takiego paragrafu kodeksu karnego. Trzeba było przedłożyć komendzie szkoły nasze wezwania, stanąć do raportu, aby uzyskać zwolnienie od zajęć i móc stawić się w przybytku sprawiedliwości. Że pod tym paragrafem tała się dyskretnie zdrada stanu, mógł się łatwo Seńkowski, co gorsza, Kozicki, przekonać, zerknąwszy do kodeksu. Wprawdzie w sądzie wyłgaliśmy się, wprawdzie jasnym było, że sędzia stał po naszej stronie, ale przecież zwierzchność, nad nim stojąca, mogła rzecz inaczej osądzić i a nóż, a widelec, a scyzoryk wyniknie z tego rozprawa sądowa? Wprawdzie przed pół rokiem wystąpiłem z tajnego związku, ale o tym na rozprawie nie będę mógł mówić, by innych nie wkopywać. Wszystko jedno jakby brzmiał wyrok przysięgłych. W razie procesu komenda pułku na pewno uznałaby nas za „niegodnych” stopnia oficerskiego, nie dopuściła do egzaminu i jeszcze jeden rok stracony. Ba! Możemy nawet nie być do procesu wmieszani, a skostniałe, czarno-żółte pojęcia, przypuszczalnie wyniesione przez dowódcę pułku ze szkoły kadeckiej i akademii wojskowej, mogą sam fakt przesłuchania nas w charakterze podsądnych uznać za wystarczający powód niedopuszczenia nas obu do wrót wolności po jednym roku niewoli.

Nie pozostało nic innego jak przygotować się na najgorsze, oswoić z myślą, że będę dwurocznym jednorocznym i swoje dalej robić. Po kilku dniach byłem już odpowiednio duchowo spreparowany. Że wtedy byłem jednak we wściekłym humorze, nikogo chyba nie zdziwi. Najgorzej wyszli na tym moi przyjaciele koledzy, którzy mi pod rękę – vulgo język – podpadli. Kłutem każdego, kogo napotkałem. Wtedy to pokłóciłem się z Ruebenbauerem.

Ostatecznie z wielkiej chmury spadł mały deszcz. Wszystko leżało w rękach Seńkowskiego, a ten jako porządny i mądry człowiek stanął na stanowisku prawa. Podsądny nie jest zasądzonym. Po przesłuchaniu nas nie podjął sąd żadnych dalszych kroków przeciwko nam. W marcu, na procesie tarnopolskim, nie wymieniono naszych nazwisk. Seńkowski nie przesłał nigdzie dalej meldunku. Głucha wieść o posądzonych o zbrodnię stanu doszła do ujeżdżalni, do Furlana i Krakówki. Wzięli nas na oko. Kilka razy

<sup>642</sup> Zob. rozdział III.

nazwali nas rebeliantami i w czasie jazdy konnej z całą namiętnością zrzucali nas, początkujących jeźdźców, z koni.

W jednym końcu ujeżdżalni był pokój dla oficerów „kobel”, z którego okno wychodziło na ujeżdżalnię. Furlan pożyczył od któregoś z oficerów parę foksterierów, trzymał je w koblu na oknie pod kocem, a gdy ja nadjeżdżałem, szczył psy na mojego konia. Te skakały na mojego konia, głośno szczekając, koń rzucał się jak wściekły w bok, a ja, bardzo jeszcze słaby jeździec, waliłem się w piasek. Oficerowie zanosili się od śmiechu. Hecowanie z psami, strzelanie z pistoletu, trzaskanie długimi, na czwórkę koni, batogami, ryki, krzyki oficerów należały do stałych metod pedagogicznych Furlana. Służył ze mną ukończony prawnik Paneth<sup>643</sup>, z finansjery żydowskiej, która znalazła drogę do pułkownika ze skargą na szkolenie, tymi metodami, w jeździe konnej. Jednego dnia przy końcu lekcji jazdy wszedł na ujeżdżalnię bez hałasu, parady, niezauważony jeden z majorów Niemców i stanął skromnie w kąciuku. Przypatrzył się cyrkowym metodom Furlana i po 10 minutach zatrzymał przedstawienie. Odtąd Furlan znikł z ujeżdżalni. Komendę objął Krakówka. Dla mnie zmiana systemu przyszła za późno. W ujeżdżalni nie nauczyłem się jeździć. Egzamin ustny, po półrocznej nauce zdałem doskonale, ale z konnej jazdy nie dostałem stopnia. Koledzy pozostawali kaprałami, a ja przeszedłem do trzeciej baterii kapitana Truszkowskiego jako starszy żołnierz („vormajser”). Tu zajął się moją konną jazdą zacny por. Paweł Cyrus Sobolewski. Po miesiącu porządnej, systematycznej nauki jeździłem na koniu tak jak koledzy i również zostałem kapralem. Tą drobną przykrością zakończyły się nasze czarne przewidywania.

Echa procesu tarnopolskiego odbiły się jednak i w koszarach. Po procesie zgłosiło się do naszej baterii trzech młodych ludzi, studentów gimnazjalnych seminaryjnych (bez prawa jednorocznictwa) z Tarnopola – między nimi Krzyworączka<sup>644</sup>, jeden z oskarżonych – którzy, ponieważ zgłosili się ochotniczo, zaczęli odsługiwać wojsko na warunkach ulgowych (zamiast trzech lat tylko dwa i pół). Kpt. Truszkowski poruczył ich szkolenie jednemu z formajstrów, typowemu lwowskiemu batiarowi, dowcipnemu, z gruntu dobremu chłopcu, ale o skrajnie rubasznych formach obchodzenia się. Kapitan niepewny, czy ten podmistrz łyczakowski nie zrobi krzywdy inteligentnym młodzieńcom, polecił mi nadzór nad tą czwórką. Po wstępnej nauce chodzenia i salutowania nasz lwowiak zaczął teoretyczny wykład o armacie. Pokazuje im nasadkę do celownika i mówi: „Znajete, co to je? Nie znajete, boście głupi cywile. To je aufsac! Powtórzyć!”. Powtórzyli raz i drugi. „Przeżegnać

<sup>643</sup> Prawdopodobnie mowa o Marcelim Panethu (1871-?) – późniejszym doktorze praw, adwokacie i działaczu społecznym ze Lwowa.

<sup>644</sup> Tomasz Krzyworączka – ur. w 1875 r., więzień w procesie tarnopolskim, inżynier.



się”. Patrzą po sobie zdziwieni, ale żegnają się. „Całuj!” I podaje kolejno każdemu z nich do całowania. „A teraz pamiętajcie, abyście toj aufsac tak szanowali, jak krzyż święty. Zrozumiano!? Jeszcze raz przeżegnać się i całować!” Dałem spokój nadzorowi, bo cały czas musiałem się śmiać z tego rodzaju pomysłów pedagogicznych. Albo należało zastąpić go kim innym, albo zostawić w spokoju, bo jego natury nic by nie zdołało zmienić.

Dowódca trzeciej baterii kpt. Truszkowski miał w pułku przydomek „Król Polski”. Żaden z oficerów, nawet Furlan, nie potrafił tak soczyście, tak hucznie i tak głośno kłać na błoniu janowskim, na polu ćwiczeń naszego pułku, jak on. Gdy galopował przed lub wokoło baterii, darł się i krzyczał, a że był wszędzie, ze wszystkich stron widoczny, a że ten jego krzyk wszystkim w uszach dźwięczał, stąd został „Królem”. Kłał po polsku, raporty w baterii odbywał po polsku, w baterii oficerowie wszyscy i przeważająca część podoficerów była polskiej narodowości, tedy do tytułu królewskiego doczepiono przydomek „Polski”. Poza tym Truszkowski był na wskroś dobrym i sprawiedliwym człowiekiem i dowódcą. Ludzie zżymali się na te jego kłatwy, na tych „skurwysynów”, mimo uznawanych przez wszystkich jego zalet. Z obowiązku, jako podoficer, stałem w szeregu przy codziennym raporcie i mogę zaświadczyć, że po należytych skłęciu zgłoszonego do raportu, wyrokował zawsze trafnie i sprawiedliwie. Gdy raport odbierał drugi oficer Sobolewski, wszystko odbywało się zupełnie spokojnie, bez krzyków, a kończyło się najczęściej nauką moralną. Sobolewski nie umiał kłać. Był to najlepszy jeździec w pułku, mimo tego, że raz ujeżdżany przez niego wariacki koń – rekrut – któremu nikt nie mógł dać rady, złamał mu obie nogi. Złośliwym i niesprawiedliwym przy raporcie był trzeci oficer Jankowski. Zresztą mnie nie cierpiał i starał się dać mi to odczuć. Odpłacałem mu szczerą antypatią, powziętą do niego od pierwszego wejrzenia.

Ogniomistrza Jana Popaja spotkałem później w Stryju, jako urzędnika kancelarii sądowej. W pułku miał przydzieloną sobie w koszarach pieczę nad stajnią, stajennymi, końmi, uprzężą, spyżą<sup>645</sup>. W czasie mej pierwszej służby nocnej w stajni przyszedł nad ranem na inspekcję, chcąc mnie złapać i wrzepić<sup>646</sup> na moje konto dwadzieścia kilka popękanych lub zbitych, od niepamiętnych zresztą czasów, szybek w stajniach. Chciał po prostu okupu. A że się nie dałem nabrać, dokuczał mi najwięcej ze wszystkich podoficerów. Raz odezwałem się do niego po polsku. Zbeształ mnie i krzyczał na mnie jako na polskiego powstańca. Oczywiście to mi tylko pochlebiało, ale zarazem wskazywało, że wieść o dochodzeniu sądowym przeciw mnie

<sup>645</sup> Spyża – prowiant.

<sup>646</sup> Wrzepić (pot.) – tu w znaczeniu zmusić do wzięcia winy na siebie.

rozeszła się w pułku szeroko i że jestem obserwowany. Kilka razy fundowane piwo i cygara łagodziły te, zresztą nie bardzo dotkliwe, dokuczania tego późniejszego stryjskiego zagorzałego endecka.

Razem ze mną służył w trzeciej baterii jednoroczny kapral Meyer, mało sympatyczny i ciasny szwab. Do baterii przydzielił go pułkownik, więc Truszkowski musiał go tolerować, choć nie ukrywał, że go nie lubił.

Po zdaniu egzaminu oficerskiego wstąpił, już jako oficer, do żandarmerii. Zetknąłem się z nim w Galicji, w czasie wojny światowej. Był rotmistrzem żandarmerii. Jego poglądy były typowo austriacko-żandarmskie. Wszędzie wietrzył zdradę, wieszałyby i rozstrzeliwał z jakąś sadystyczną pasją.

### 3.

**Bateria. Ostre strzelanie w Słobodzie. Areszt obozowy 8-dniowy. List do mej przyszłej szwagrowej pani Heleny Kozickiej. Zaprowiantowanie baterii w powrotnej drodze. Mądrość prof. Furlana na manewrach. Chwilowo dowodzę dwoma bateriami. Zdaję egzamin oficerski i zostaję kadetem ogniomistrzem.**

Codziennie rano wyjeżdżała bateria na rozległe błonia janowskie. Niełatwą było rzeczą zebrać na te ćwiczenia najkonieczniejszą obsługę baterii, raczej półbaterii, tj. czterech armat. Wprawdzie bateria liczyła przeszło 150 żołnierzy, ale wśród nich, poza synami chłopskimi, służącymi prawie wyłącznie w pociągach, dwie trzecie szeregowych tworzyli rzemieślnicy. Krawcy, szewcy, szklarze, malarze, lakiernicy obsługiwali oficerów i podoficerów zawodowych nie tylko naszego pułku, ale także ich kolegów, znajomych i przyjaciół. Trzeba było nie lada sztuki i mocnego użerania się, aby o 6 rano zebrać obsługę, zdolną do szybkiego przetaczania, po wydmach piaszczystych, ciężkich uchaciuszowskich armat na stosunkowo znaczne odległości, dochodzące do 50 kroków. Najczęściej można było skupić 35 do 40 żołnierzy, a więc ćwiczyliśmy czterema armatami. Ćwiczenia na tych błoniach i wyjazdy z końmi na spacerzy należały do najmilszych chwil mej służby wojskowej we Lwowie.

Cała dyscyplina trzaśła, gdyśmy ruszyli ze Lwowa na dwa tygodnie na ostre strzelanie. Rozkwaterowani po chałupach, po całodziennej jeździe, nie pełniliśmy właściwie żadnej służby poza wytarciem, nakarmieniem i napojeniem koni. Po trzech dniach drogi dojechaliśmy do Słobody, blisko miasteczka Kozowa (powiat brzeżański, znane ze świetnej powieści Jana Lama *Wielki świat Capowic*. Capowice to właśnie Kozowa) – wsi należącej do

Thonów, lwowskich młynarzy. W niej odbyło się strzelanie do celu. My jednorocznicy kilka dni włóczyliśmy się, pomieszani z obserwatorami wyników strzelania. Co dzień strzelała jedna bateria i co dzień inna, najpierw piesze, potem konne. Sierpień, przepiękna pogoda, straszliwy upał. Przy każdej napotkanej studni obserwatorzy poili konie i sami pili. Raz w taki upał, przy poidle, rozkiełznałem konia, zdjąłem mu munsztuk<sup>647</sup>, aby mógł lepiej pić. A że bąki cięży niemiłosiernie, moja kobyła wierzgąła, chrapała, mocno zdennerwowana. Kosztowało mnie niemało trudu nim ją w porządku okiełznałem. Meyer dotrzymywał mi towarzystwa, ale pilił, bo inni obserwatorzy odjechali już na jakie 100 kroków, a tarcze zajęchały na swoje miejsca, przez co my znaleźliśmy się między lufami armat i tarczami. Właśnie wsiadłem w siodło, gdy usłyszałem ryk pędzącego ku nam galopem jeźdźca – oficera. Nie namyślając się, dałem drapaka, co koń wyskoczy. Meyer za mną. Moja klacz była najściągłym koniem w całej baterii, o czym wielokrotnie przekonałem się na spacerach, które zawsze kończyły się wyścigami z przeszkodami, przeto ów krzyczący oficer zrezygnował wkrótce z pościgu. My z Meyerem, zrobiwszy olbrzymie koło, przeciąwszy las, chyłkiem, niezauważeni wsunęliśmy się z powrotem w grupę obserwatorów. Dowiedzieliśmy się, że właśnie któraś bateria miała zacząć pukaninę, gdy komenderujący strzelnicą pułkownik dojrzał nas na linii strzału. Wstrzymał ogień i wściekły na maruderów (słusznie) wysłał adiutanta, aby nas sprzął. Ten nie kwapił się z dosłownym wykonaniem tego rozkazu, przeto rykiem swoim skłonił nas do ucieczki. Pułkownik nie dowiedział się ani którzy to tak długo zabawili przy studni, ani z której byli baterii. „Król Polski” oczywiście nie przyznał się, że to przez jego podkomendnych trzeba było zatrzymać strzelanie. Ale nas zbeształ, skrzyczał. Dostaliśmy po 8 dni aresztu obozowego. Właściwie nic. Z obozu i tak nie wolno było nikomu się wydalać, a we Lwowie mieliśmy być akurat za 8 dni. Zresztą mimo tego zviałem z obozu w Łapszynie, już w powrotnej drodze, do Brzeżan, gdym się dowiedział, że państwo Matczyńscy, dzierżawcy Łapszyna, zaprosili do dworu Truskowskiego i Sobolewskiego (stary Matczyński był oficerem w 1831 r.). W Brzeżanach osiedli po ślubie Włodzimierzowie Kozicki<sup>648</sup>. Ona z domu Gostkowska, rodzona siostra mej narzeczonej Zofii. Kozicki, radca sądowy, nie skończył jeszcze ferii sądowych. Więc ich w Brzeżanach nie zastałem. Na dzień św. Heleny wysłałem do niej list, opisujący nasz pobyt na strzelnicy. A że rozczytywałem się jakiś czas w Biblii, więc napisałem go stylem biblijnym.

<sup>647</sup> Munsztuk – rodzaj kielzna do kierowania łbem konia.

<sup>648</sup> Włodzimierz Kozicki (1860–1933) – prawnik, zatrudniony w c. k. służbie sądowej. Z racji wykonywanego zawodu zamieszkiwał w różnych miejscowościach Galicji Wschodniej, m.in. w Brzeżanach, Kołomyi, Przemyślanach, Lwowie, Samborze i Tarnopolu.

Przytaczam go w całości:

*Ewangelia zapisana u św. Jędrzeja w Rozdziale I i II na dzień dzisiejszy (18 sierpnia 1895 r.)*

## Rozdział I

Był niektóry mąż z Trzemeszna, któremu było imię Jędrzej, syn Macieja, syna Romana, Poznańczyka.

1. I stało się słowo Pańskie, do niego mówiąc: Synu człowieczy, obróć twarz twoją przeciw Helenie we Veldes, ziemi słowieńskiej, która jest żoną Włodzimierza, sędziego głównego w Brzeżanach, ziemi galicyjskiej, i prorokuj przeciw niej!
2. I rzecz: Tak mówi panujący Pan: Otom ja był z tobą, Heleno, żono Włodzimierza, sędziego głównego w Brzeżanach ziemi galicyjskiej. I byłaś ozdobioną złotem i srebrem, a odzienie twoje było bisior<sup>649</sup> i szata jedwabna, i haftowana i jadałaś bułkę i miód, i oliwę, a byłaś nader piękną i szczęśliwiec się powodziło w królestwie.
3. Tak, że się rozeszła powieść o tobie między narodami dla piękności twojej i mądrości twojej, boś doskonałą była dla sławy Twojej, którąm włożył na Cię.
4. A oto nadszedł dzień Imienin Twych i zebrali się mężowie i niewiasty z Brzeżan i ze Lwowa, i z Zakopanego, i ze wszystkich ziem galicyjskich, i z Wiednia, i ze ziem ruskich, a idąc do Ciebie, życzyli Ci, mówiąc:
5. Abyć się dobrze powodziło i abyś była zdrowa tak, jako się dobrze powodzi duszy Twojej.
6. Otwórzcie uszy Wasze, bo tak mówi Pan: „I będziec się dobrze działo tak jak dotąd i Tobie, i mężowi Twemu, i Matce Twojej, i siostrom Twym, i dzieciom Twoim, i sługom Twym, i całemu domowi Twemu!” Toć mówi Pan i takie jest jego posłanie.
7. A mąż ów imieniem Jędrzej, syn Macieja, syna Romana, Poznańczyka, wzięwszy posłannictwo one, położył je na papier i posłał Helenie, żonie Włodzimierza, sędziego głównego w Brzeżanach w ziemi galicyjskiej, radując się i weseląc w Panu.

---

<sup>649</sup> Bisior – inaczej jedwab morski, wiązka jedwabistych nici wytwarzanych z wydzieliny niektórych małż morskich.

## Rozdział II

1. I stało się, że mąż ów służył wojskowo. A dnia drugiego miesiąca ósmego poszedł zbrojno przed obliczem pańskim z hufcami zbrojnemi mężów ognistych w pole.
2. I ciągnęli mężowie ogniści, synowie cesarscy, którzy wyszli ze ziemi lwowskiej według hufców swych.  
Najprzód wyciągnawszy ze Lwowa miesiąca ósmego dnia drugiego tegoż ósmego miesiąca, wyszli synowie cesarscy ręką wyniosłą przed oczyma wszystkich lwowian.
3. Ruszywszy się tedy synowie cesarscy ze Lwowa, położyli się obozem w Kurowicach.
4. Ruszywszy się z Kurowic, położyli się obozem w Narajowie, który jest nędzną dziurą Judajczyków.
5. Ruszywszy z Narajowa, nawrócili się do Brzeżan, a stali tam pół godziny w rynku i położyli się obozem w Słobodzie, która jest za Kozową.
6. I stali tam dni cztery, strzelając do celu i czyniąc huk wielki. I był Pan z nimi, bo mieli wozy żelazne.
7. I stało się dnia pierwszego onego strzelania, że mąż ów, imieniem Jędrzej, zapragnął. I stanąwszy przy studni, naczepał wody i napiwszy się, zaspokoił pragnienie swoje i napił konia swego.
8. I stało się, że hufy ogniste nie mogły strzelać, bo mąż ów stał im na widoku. Co widząc, rozgniewali się bardzo, wołając głosem wielkim: „Tenci jest mąż lekkomyślny i niebacznym, ukarżmy go, aby znać drugi raz nie wszedł przed wozy ogniste”.
9. I pojmawszy go, skazali go na dni ośm na *Lagierarest*<sup>650</sup>. I rozgniewał się na nich Pan, a otworzywszy upusty niebieskie, spuścił na nich piątego dnia onego strzelania ulewę wielką.
10. A ruszywszy się onego dnia synowie cesarscy ze Słobody w miesiącu ósmym dnia szesnastego onegoż miesiąca, nawrócili się przez Brzeżany i położyli obozem w Łapszynie.
11. A mąż ów, imieniem Jędrzej, chciał pójść do Brzeżan w ziemi galicyjskiej, by odwiedzić Włodzimierza, sędziego głównego, a nie mógł, gdyż miał zasię *Lagierarest*.

---

<sup>650</sup> *Lager arrest* (niem.) – areszt obozowy.

12. A ruszywszy się z Łapszyna, położyli się obozem w Janczynie, zaś ruszywszy się z Janczyna, położyli się obozem w Kurowicach, a ruszywszy się z Kurowic, położyli się obozem we Lwowie dnia dziewiętnastego miesiąca ósmego. Zaś dnia dwudziestego szóstego miesiąca ósmego wyruszą na manewra i wrócą dnia dziewiątego miesiąca dziewiątego.

Tyle słów Ewangelii, zapisanej u św. Jędrzeja na dzień dzisiejszy. Pozdrowcie Rodziców, którzy są w Zakopanym i siostry, które są w domu ich, a najbardziej Zofię oną, mnie wielce miłą. Pozdrowienie ręką moją Jędrzejową. Pamiętajcie na przyjaźń moją. Łaska Pańska niech będzie z Wami. AMEN.

Bateria wróciła do Lwowa obładowana wszelkimi prowiantami. Mimo iż zarządzono ścisłą rewizję wskutek skarg ludności na kradzieże na skutek podejrzeń Thona, że żołnierze rozkradli i wywieźli z jego dworu w Słobdzie zawartość piwnic, niczego nie znaleziono. Batiary lwowskie to nie były co ani kto bądź. Każdą rzecz umieją robić porządnie, solidnie. Gdy np. bateria przejeżdżała kłusem przez pastwiska pełne stad gęsi, jedno celne uderzenie, przez pierwszego jeźdźcę batem po łbie gęsi, unieruchamiało ptaka, a żołnierz obsługi działowej zeskakiwał z koziołka przy lufie armatniej, porywał gęś, która za chwilę niknęła w lufie. W koszarach, po odpięciu skórzanego kaptura zamykającego wylot i po otwarciu wlotu lufy, po wyładowaniu worów, a zwłaszcza skrzyń amunicyjnych, pustych po wystrzelonych granatach, wszystko się znalazło. Masło, jaja, słonina, chleb, kasza, drób, a także doskonałe wina, miody i wódki z piwnic Thona. Przez tydzień nasza bateria paliła tylko zgrاندzony oficerom tytoń, papierosy, cygara, popijała Thonem i zagryzała chłopskim dobytkiem. Humory były pierwszorzędne. Panowała rzadka harmonia między szeregowcami a podoficerami.

W nadziei na nową zdobycz tego rodzaju niecierpliwie oczekiwaliśmy wymarszu ze Lwowa na manewry jesienne. Na nich zdarzyła mi się sposobność dania dobrej nauki Furlanowi i nieodstępnemu jego przyjacielowi Krakówce. W pierwszym dniu manewrowaliśmy w ramach pułku. Dwie baterie przeciw dwom bateriom. Dowództwo nad trzecią i czwartą baterią dostało się Furlanowi, jako że wszyscy inteligentniejsi oficerowie zostali, na czas manewrów, przydzieleni do sztabu, aby mogli lepiej śledzić przebieg obrotów wojska i uzupełnić swoje taktyczne wykształcenie.

Furlan otrzymał rozkaz dotarcia na godzinę pierwszą do Kurowic. Ale to był tylko cyrkowiec z ujeżdżalni, a nie oficer. Jeszcze nie opuściliśmy granic, w obrębie których wszyscy oficerowie pułku, przynajmniej raz na tydzień, jak rok długi, jeździli gremialnie na rozpoznawcze wyjazdy spacerowe, bo

zaledwośmy minęli Winniki, nasz chwilowy dowódca zabłądził. On, którego nigdy na tych krajoznawczych wycieczkach nie zabrakło, zbacza z gościńca, wiodącego, prosto jak strzelił, ze Lwowa przez Winniki do Kurowic (najwyżej 33 km) i wpakuje obie baterie, 16 armat i tyleż wozów amunicyjnych, w bagniste łąki na lewo od szosy. Armaty grzęzną po osie, konie prawie po brzuchy, ludzie po kolana. Furlan męczy niemiłosiernie ludzi i konie, szła-pie<sup>651</sup> po bagnie i ryczy jak potępieniec: „*Vorwärts! Vorwärts! Verfluchte Bande! Vorwärts!* (Naprzód! Naprzód! Przeklęta bando! Naprzód!) i czym raz głębiej pcha wojsko z błota. Po godzinnych wysiłkach dojrzał mój złośliwy uśmiezek i wpadł w furję. Sądząc, że teraz mnie wkopie, ostatkiem zachrypniętego głosu woła mnie do siebie i daje rozkaz: „Jednoroczny kapral obejmuje dowództwo! Rozkaz: poprowadzić oddział do Kurowic”. Na pół drwiąco, na pół serio dodaje od siebie, że czyni to w celach pedagogicznych, abym się lepiej wykształcił na oficera. Gdym kazał odprząc konie i ludziom obracać armaty, wpadł na mnie z dobytą szablą, rycząc: „Ty polski osle! Co ty robisz?”. Wpadłem i ja w pasję i ryczę do niego – „objąłem dowództwo oddziału, kto mi przeszkadza w wykonaniu otrzymanego rozkazu, tego za-aresztuję!”. To go zamurowało. Zamilkł, szablę schował i usunął się na bok. Zapasowe deski z wozów amunicyjnych podkładałem pod koła armatnie i powoli wydobyłem się na nieco suchszą łąkę, z niej z powrotem na gości-niec, z którego Furlan idiotycznie zjechał przed półtorą godziną w bagno. Ruszyłem tęgim kłusem. Wtedy on, Krakówka i jeszcze jeden oficer podje-chali do mnie i grzecznie zapytali o drogę do Kurowic. Pokazałem im ręką kierunek, potem na mapie. Zgodnie z nią zapowiedziałem po dwóch kilo-metrach, za górką, figurę po lewej stronie szosy. Gdy ta figura się pokazała, ich zdumienie nie miało granic. Zdradzili się, że po prostu nie umieli czytać map. Furlan coś mruzczał pod nosem o przeklętym, przemądrzałym inżynierze. Objął z powrotem dowództwo. Straciliśmy nie tylko sporo czasu na bagnach, ale jeszcze trzeba było dać wytchnąć ludziom i koniom. Ogółem baterie spóźniły się do Kurowic o dwie i pół godziny. Nasza strona z kre-tesem przegrała. Po manewrach Furlan zniknął na amen z naszego pułku. „Król Polski” triumfował, bo mu któryś z oficerów całe zajście sumiennie opowiedział. Egzamin oficerski miałem jakby w kieszeni.

Manewry zostały nieco skrócone. Główna bitwa stoczoną była gdzieś pod Narajowem. Dwa pułki artylerii zostały na wzgórzu, skąd był rozległy widok na armię nas atakującą, która również doskonale musiała nas widzieć, bo nie byliśmy niczym zakryci ani wkopani. Nawet nam, wcale niebiegłym w taktyce, jednorocznym ochotnikom – a cała nasza szkoła znalazła się na tym wzgórzu – było jasnym, że nieprzyjacielska piechota mogła

<sup>651</sup> Szłapać (przest.) – powłóczyć nogami, człapać.

łatwo podejść lasami i zdobyć oba pułki artylerii. Z manewrów wróciliśmy bez nabożeństwa dla sztabu austriackiego. Działo się to na 20 lat przed wojną światową. Na dobitkę, w drodze powrotnej, zawiodła nasza intendencja, gęsi po drodze nie było, bo wyjadła je jadąca przodem kawaleria, tak że przez 24 godziny nie mieliśmy nic w ustach. Gdyśmy nareszcie dotarli do miasteczka Świerż, zamówiłem dla siebie u gospodyni bochenek chleba, kwartę mleka i jajecznicę z 20 jaj. Zamiast niej zrobiła mi „smarzenicę”, rodzaj zbitego omlotu. Ledwo zdołałem go zjeść.

Egzamin oficerski poszedł mi bardzo dobrze. Pierwsze miejsce zdobył Chyżewski<sup>652</sup>, ja drugie. Po egzaminie pięciu z nas, którzy najlepiej zdali, otrzymało nazajutrz awans na ogniomistrzów, inni na plutonowych, dalsi zostali nadal kapralami. Pułkownik, przy raporcie odczytywał awanse, po czym zapytywał po kolei każdego z pięciu jednorocznych, świeżo upieczonych ogniomistrzów, czy który nie zamyśla pozostać we wojsku na stałe. Jeden Chyżewski zgłosił ochotę i zamiar. Ja z nieukrywanym oburzeniem odrzuciłem podobne przypuszczenie.

Ponieważ armia miała już dostateczny stan podporuczników w rezerwie, przeto, począwszy od naszego rocznika, ze względów oszczędnościowych, jednoroczni, po zdaniu egzaminu oficerskiego, otrzymywali tytuł „kadeta”, a lejtnantami mieli zostać dopiero po zdaniu egzaminu w czasie późniejszych ćwiczeń. Chyżewski, po wniesieniu podania o przyjęcie na stałe, został „kadetem zastępcą oficera”, a ja i trzech kolegów „kadetami ogniomistrzami”, inni kadetami plutonowymi, względnie kadetami kapralami.

#### 4.

**Ruebenbauer bezskutecznie próbuje wykupić się z wojska. Z zemsty znęca się nad nim Chyżewski. Ostrzegam go. Nie skutkuje. Znieważam czynnie Chyżewskiego. Staję do pojedynku. On nie. Ułatwia mi to złożenie oznak kadeckich. Ruebenbauer służy drugi rok.**

Otrzymawszy urlop, zrzuciłem mundur przed pierwszym październikiem. Odziedziczył go po mnie Ruebenbauer wraz z adresem owego wszechpotężnego „lewiatańca”, zwalnającego od służby wojskowej najzdrowszych. Karol, rozporządzający rodzinnym mająteczkiem (nieruchomość we Lwowie), postanowił użyć tej nielegalnej drogi i zwolnić się z wojska. A że chciał jak najprędzej składać drugi egzamin państwowy – praca w Bratniej Pomocy zabrała mu całe dwa, a może i trzy lata studiów

<sup>652</sup> Maksymilian Chyżewski (1871–?) – przed wstąpieniem do służby wojskowej studiował na Wydziale Inżynierii Szkoły Politechnicznej we Lwowie.



– więc palił się do uwolnienia od służby. Wykorzystał to sprytny „lewiataniec” i cena jego usługi znacznie wzrosła. Karol był na tyle nieostrożny, że w zaufaniu, a nawet i nie w zaufaniu, paplał na lewo i prawo, że się z wojska uwolni, bo ma pieniądze. Zamiast ćwiczyć na podwórzu, przez półtora miesiąca wylegiwał się w szpitalach, udając chorego i robiąc sobie sztuczną gorączkę. Nic dziwnego, że wieść o tym, że jest symulantem, że się z wojska wykupuje, przesiąkła do podoficerów, stąd do oficerów i uwolnienie się nie udało. Prowadzący superrewizję oficer na własną odpowiedzialność, wbrew zapłaconym lekarzom, zdecydował, że Karol jest zdolny do liniowej służby. „Lewiataniec” zwrócił mu 60% wpłaconych pieniędzy, własny spodziewany zysk, reszta poszła na kupno sumień lekarskich. Ryba musiał służyć. Wynikiem tej nieudanej próby był fakt, że nie umiał chodzić, maszerować, salutować, obchodzić się z bronią, co już jego koledzy ze szkoły doskonale umieli. Zaniedbał także początki wykładów w szkole. Co ważniejsze zrobił sobie wrogów w przyzwoitych oficerach, patrzących krzywo na chadzających względnie krzywymy drogami. Nie dowiadywali się o pobudki Karola. Więc go nie bronili, gdy kanalia zaczęła się nad nim znęcać. Ruebenbauer był na wskroś uczciwym człowiekiem. Jeżeli nie miał skrupułów nad wyborem drogi uwolnienia się z wojska to dlatego, że ja tych skrupułów nie miałem, a na technice uchodziłem w jego oczach też za purytanina, chodziło o służbę w wojsku zaborczym, jego poświęcenie się sprawie społecznej przyniosło jemu bardzo dużą stratę czasu, a jego matce materialną, którą tylko szybkim zdaniem egzaminu końcowego i rozpoczęciem zarobkowej pracy mógł wyrównać. Służba w wojsku stała mu na przeszkodzie.

Ów prymus z naszej szkoły, były słuchacz Politechniki, Chyżewski był w swoim czasie członkiem Bratniej Pomocy Techników. Nie pomnę w jakich okolicznościach – działo się to już po moim wystąpieniu z Bratniej – sąd koleżeński, jeden z tworców Ruebenbauera, wykluczył Chyżewskiego ze stowarzyszenia. Ruebenbauer, nieznoszący kradzieży grosza publicznego, był w tej sprawie oskarżycielem. Sprawa musiała być bardzo brzydka, a wina kradzieży czy malwersacji całkiem jasna, skoro wyrok wypadł aż tak surowy.

*Reservekadetoffizierstellvertreter* (miły wyrazik, co?) Chyżewski został przydzielony do szkoły jednorocznych. Marna kreatura, zaczął wywierać zemstę na człowieku, który go zdemaskował i napiętnował jako szalbierza<sup>653</sup>. Miał możliwość, bo stał się jego władzą. Piramida społeczna przedstawiała się, w wulgarnym pojęciu oficerskim, które Chyżewski już zdołał sobie przyswoić, w sposób następujący: „Na górze cesarz, potem oficerowie, od feldmarszałków począwszy, na kadecie, zastępcy oficera skończywszy. Po nich następuje pies oficerski, dalej ordynans, za którym podoficerowie,

<sup>653</sup> Szalbierz – oszust.

ugrupowani szarżami, jeszcze niżej szeregowi, a więc i jednorocznicy ochotnicy, na końcu onuca. Potem długo, bardzo długo nic, pustka, na samym dole «cywile».

Znęcanie się Chyżewskiego nad moim przyjacielem wypadło w czasie, w którym z nim nie rozmawiałem. Dopiero nasz kolega, przyjaciel Karola, Ferdzio Gissman (przezwiśko Żysma) uświadomił mnie o tym, co się dzieje z Rybą, gdy złapał mnie samego w mieszkaniu i obsypał wyrzutami, że dotąd nie pospieszyłem Karolowi z pomocą. Wedle jego opowiadania Chyżewski doprowadził do tego, że Ruebenbauerowi właściwie tylko „ajncl” (ajncl oznaczał Einzelarest, areszt celowy) przerywa niekończącego się „kasarniaka” (kasarnia znaczy areszt koszarowy).

Na drugi dzień złapałem o 6 rano, wchodzącego w bramę koszar, naszego rezerwowego kadeta, zastępcę oficera. Przywitał mnie bardzo czule, ja jego oziębłe. Od razu zacząłem: „Doszły mnie wieści, że sekujesz<sup>654</sup> Ruebenbauera. Pamiętaj, że jestem jego przyjacielem. Jeżeli nie dasz mu spokoju, potrafię Ci bardzo dokuczyć”. Właśnie mijał nas Karol, idący z kantyny do głównego budynku koszar. Szedł, co prawda, swoim zwykłym nieco kaczym chodem. Jeszcze się nie nauczył wojskowego kroku. „Patrz na tę ofertę!” – odpowiada Chyżewski. Przerwałem mu gwałtownie: „A ty albo ja nie byliśmy z początku służby wojskowej takimi samymi niezgrabiaszami?”. „Ja nie” – prostuje Chyżewski. A właśnie on, na początku szkoły robił wrażenie człowieka, który nigdy nie uprawiał sportów ani w ogóle ćwiczeń fizycznych. Ta jego blaga zirytowała mnie od razu. Nie daję mu dojść do słowa, krzyczę na niego: „Nie będę się z Tobą tutaj kłócił. To jedno Ci zapowiadam – gdy jeszcze raz dojdzie mnie skarga, że kunirujesz<sup>655</sup> Ruebenbauera, daję Ci słowo honoru, że dam Ci w mordę tak, że z wojska wylecisz! Rozumno Panu?”. Obróciłem się na pięcie i odszedłem, nie troszcząc się o jego dalszą gadaninę.

Minęło od tego czasu około trzy miesiące. Nic. Cisza. Z Karolem wciąż nie gadam. Gdy w lutym 1896 r. zjawił się u mnie Gissman, byłem właśnie w okresie, dość często się u mnie powtarzającego, szalonego bólu zębów. Znowu Chyżewski za jakiś drobiazg, zazwyczaj niekaralny, wsadził Karola do ajncla. Drugiego dnia w południe znalazłem się w pokoju mieszkalnym Chyżewskiego. Musiał dopiero co przyjść albo może na krótko, bo szabli nie odpasał. Jadł obiad. Nie podając mi ręki, siadam przy stole po jego prawej stronie i cedzę przez zęby: „Ty mnie znasz z tego, że zawsze słowa dotrzymuję. Przed kilku miesiącami dałem Ci słowo, że w razie skargi na Ciebie, że sekujesz Ruebenbauera, dam Ci w mordę. Wsadziłeś go bez istotnego powodu do ajncla! Więc masz!”. Z całą pasją i siłą spotęgowaną

<sup>654</sup> Sekować – nękać, prześladować.

<sup>655</sup> Kunirować (gwara lwowska) – prześladować, dokuczać.

nieustannym bólem zęba wyrznąłem go w pysk, tak że zleciał z krzesła jak długi na podłogę. Kopnąłem leżącego i wyszedłem.

Ruszyłem prosto na miasto dla zapewnienia sobie sekundantów. Kazik Brudzewski, mój brat cioteczny i Tadzio Kobylański zgodzili się sekundować mi w spodziewanym pojedynku. Rzeczywiście, w parę godzin później zjawiają się u mnie dwaj nieznani mi oficerowie artylerii, w pełnej gali, z zapytaniem, czy uderzyłem w twarz oficera Chyżewskiego? Potwierdzam. Pytają, czy gotów jestem dać mu żadaną satysfakcję z bronią w rękę? W odpowiedzi podaję im nazwiska i adresy moich zastępców. Sekundanci ułożyli ostre warunki pojedynku na pistolety. Meta początkowa 15 kroków, meta końcowa 8 kroków. Mamy ruszyć z początkowej mety i dojść do końcowej. Pierwszy strzał ma Chyżewski z dowolnego miejsca w tych granicach. Trzykrotna wymiana kul aż do niezdolności do walki.

Trochę mi mina zrzędła, gdym się dowiedział, że będzie do mnie strzelał na 6 metrów. Trzeba osobiłej sztuki, żeby z tak bliska chybić człowieka, mierzącego 1,84 m wysokości. Miły wieczór spędziłem u państwa Gostkowskich na rozmowie z moją narzeczoną. Oczywiście nikt, a przede wszystkim ona nie powinna była zauważyć u mnie śladu zdenerwowania. Panowałem nad sobą. Żegnałem się tylko serdeczniej niż zwykle, nie będąc pewnym, co się ze mną jutro stanie.

Nazajutrz, 9 lutego 1896 r. punktualnie z uderzeniem 5 rano, zajechaliśmy fiakrem do ujeżdżalni artyleryjskich koszar w Czerwonym Klasztorze. Oficerowie już na nas czekali. Lekarz wojskowy z opatrunkami jest, pistolety są, a mego przeciwnika jeszcze nie ma. Po pięciu minutach oczekiwania lżej mi się zrobiło. Mówię do moich: „Ostrzelajcie plac i chodźmy na śniadanie!”. Poszli pożegnać się z jego sekundantami. Wrócili do mnie, oświadczając, że na ich prośbę zdecydowali się czekać jeszcze pięć minut. Gentelmeństwo [s] kosztem mojej skóry! Nagadałem im co wlaźło! Nerwy mi chodzą tam i z powrotem. Ledwo się trzymam kupy. Ale ponieważ, prócz kija, wszystko ma swój koniec, więc ostatecznie minęło i tych drugich pięć minut, a mego partnera ani du... du... „Nareszcie jedźmy!” Idziemy się żegnać z panami porucznikami W. Wodičką i Mikołajem Jambriśakiem, a ci najbezpieczniej proszą o trzecie pięć minut – kwadrans akademicki! Patrzą na moich sekundantów srogim wzrokiem. Nie patrzą co prawda w moje oczy, ale odpowiadają oficerom, że jeżeli oni uważają to za dopuszczalne i jeżeli ja się na to zgodzę, oni gotowi przystać. „Jeżeli ja się zgodzę!” Nie zgadzałem się, najzupełniej nie! Ale musiałem powiedzieć: „Tak, ale ani minuty dłużej. Wszak jeszcze nie jadłem śniadania i jestem wściekle głodny!”. Za to gdyśmy usunęli się na bok, usłyszeli oni ode mnie, usłyszeli. „Psiakrew do du... z takimi sekundantami” było najgrzeczniejszym moim powiedzeniem. Obsra...

słowa ich „kwadrans akademicki” itd., przynajmniej czas prędkiej minął. Sytuacja od razu się zasadniczo zmieniła, gdy mój przeciwnik i po tym terminie się nie pojawił. Sekundanci Chyżewskiego przeprosili mnie za fatygę, oświadczając, że gdyby teraz nadjechał to i tak by mu nie sekundowali. Nie wiedzą, z jakich powodów ich klient się nie stawił na placu. Protokół napiszą wieczorem. Robię bohatera, flegmatyka, dla którego jeden pojedynek więcej, jeden mniej nie gra żadnej roli, który nie ma pretensji do sekundantów przeciwnika o to, że tenże mnie ani nie za, ani nie przed, ani nie po strzelił. Nigdy w życiu nie smakowało mi tak śniadanie. Wpadłem w taki sam doskonały humor, jaki zapewne ma wisielec, którego uratowano przed samym powieszeniem i zamiast wieszać honorowano. Oczywiście zapomniałem moim to szafowanie moimi nerwami i granie na mej ambicji zachowania pozorów.

Wieczorem oficerowie pokazali Brudzewskiemu list, który im przysłał Chyżewski, wyjeżdżając o 7 rano do Krakowa. Nie może ryzykować życia ze względu na swoją matkę. Do pojedynku nie stanie i rezygnuje ze służby wojskowej. Sekundanci ujęli tę sprawę w protokole w taki sposób, jakoby moi podawali w wątpliwość honorowość Chyżewskiego, co nie było zgodne z prawdą, skoro miałem się z nim bić. W rezultacie doręczono mi nazajutrz pisemne orzeczenie oficerskiego sądu rozjemczego, uznające Chyżewskiego za niezdolnego do dawania honorowej satysfakcji. Podpisali orzeczenie: ppor. Kaz. Dzierżanowski<sup>656</sup> (późniejszy generał wojsk polskich), por. Lud. Hamada, kpt. E. Egelmeyer, mjr Karol Durski.

Jednak na tym nie skończyła się ani moja sprawa, ani Karola. Któryś z moich przyjaciół powiedział raz o mnie, że gdyby mi ręce i nogi związane, uwieszono u szyi kamień i wrzucono do morza, to ja bym przecież wypłynął ze złotym zegarkiem w zębach. Po zdaniu egzaminu oficerskiego, łamałem sobie głowę, w jaki sposób pozbyć się stopnia oficerskiego, czyli tego tytułu kadeckiego, z którym związane były znaczne koszty materialne, większa ilość i dłuższy czas ćwiczeń. Namówiłem jednego z kolegów, nie pamiętam Południewskiego czy Pieguszewskiego, do próby w tym kierunku. Wniósł podanie do komendy swego pułku. Dostał ostry wygawor<sup>657</sup> i za karę wezwano go na nadliczbowe ćwiczenia. Jeszcze raz okazało się, że prosta droga nie prowadzi do celu.

Za to mnie trafiło się owo ziarno ślepej kurki. Niespodziewanie wzywa mnie mjr Durski, przewodniczący wydziału oficerskiej rady honorowej, do siebie. Koniecznie chciał się dowiedzieć, z jakiej racji policzkowałem

---

<sup>656</sup> Kazimierz Dzierżanowski (1872–1940) – oficer w armii austriackiej w latach 1893–1918, następnie w Wojsku Polskim, od 1923 r. dowodził oddziałami artylerii. W 1933 r. przeszedł w stan spoczynku. Aresztowany przez NKWD w 1939 r., zamordowany rok później.

<sup>657</sup> Wygawor – reprimenda, wymówki.

Chyżewskiego. Powiedziałem mu tylko tyle, że miałem osobiste powody, wynikające z prywatnych stosunków. Zapewne i tak wiedział, o co chodziło, musiał to rozpowiedzieć Chyżewski, ale Durski chciał słyszeć z moich ust. Wobec mej kategorycznej odmowy wyjaśnienia tych osobistych powodów zdecydował major przekazanie oceny mego postępowania radzie honorowej pułku. Zaszedł fakt, że oficer rezerwy dał w twarz oficerowi rezerwy, a gdy spoliczkowany na placu nie stanął, tym samym bijący naraził, wprawdzie mimo woli, ale bądź co bądź naraził, na szwank honor całego pułkowego korpusu oficerskiego.

Na moje pytanie o procedurze wyjaśnił mi major, że rada honorowa postawi pytania, a oficerowie wypowiedzą się w plebiscycie, co sądzą o mym postąpieniu. Mogę uniknąć tego głosowania i niedającego się przewidzieć jego wyniku tylko przez złożenie stopnia kadeckiego. Pozostałbym wtedy rezerwowym ogniomistrzem. Radość moja nie da się opisać. Natychmiast, w jego pokoju, pod jego dyktandem napisałem podanie. Wzywał mnie potem jeszcze do siebie generał, komendant miasta, który zaznajomiwszy się ze sprawą, formalnie prosił mnie o cofnięcie podania. Znając nastroje w korpusie oficerskim, gwarantował korzystny dla mnie wynik plebiscytu. „Wszyscy stoją po Pańskiej stronie” – mówił. „Ne zdurysz aptekara koprewasserom” – pomyślałem sobie, nie dałem się skusić i nie ustąpiłem. Po miesiącu dostałem pismo załatwiające przychylnie moją prośbę! Przestałem być „kade-tem”. Z tej awantury wypłynąłem, taki ze złotym zegarkiem w gębie!

GORZEJ poszło Karolowi. Od Chyżewskiego płynęła na prawo i lewo wieść, że pojedynek miał się odbyć o Ruebenbauera. Sadysta mszczący się nad nim zniknął wprawdzie z pułku, więc nie zamykano go, nie znęcano się już nad nim, ale opinię miał tak i tym swoim symulantstwem i tymi ajnc-lami zaszarganą, że egzaminu nie zdał i musiał drugi rok odsługiwać.

## 5.

**Ćwiczenia w Stanisławowie. Kłopoty z umundurowaniem. Scena w cukierni. Wykłady dla podoficerów. Mój koń prowadzi defiladę. Przedterminowe zakończenie ćwiczeń.**

Jeszcze raz ubrałem cesarko i królewski mundur w r. 1899. Odbyłem wtedy pierwsze i ostatnie z obowiązkowych czternastodniowych ćwiczeń wojskowych, w którymś dywizyjnym pułku artylerii polowej w Stanisławowie. Przysporzyłem dużo kłopotu intendenturze. Znalezienie butów, munduru, broni, konia szło jak z kamienia. Przez pierwszy dzień nie można było znaleźć butów dość wielkich na moją nogę. Dopiero wieczorem

drugiego dnia ktoś sobie przypomniał, że na strychu są wyrzucone jakieś za duże, nieforemne buty. Pasowały na mnie, ale nos był w nich szerszy niż napiętek. Wyglądały na nodze... nie daj Boże! Kłopot mundurowy robiłem ja sam z całą świadomością. Oświadczyłem, że chcę mieć uniform przepisowy, aby mi żaden oficer nie mógł psa wybrać za niezgodny z przepisami mundur. Wyśmiano się ze mnie, ale na moje uparte naleganie znalazła się instrukcja uniformowa. Kołnierz przy bluzie miał mieć 2 cm wysokości, czapka 15 cm, szabla w pochwie 8 cm szerokości, a kolce przy ostrogach 9 cm długości. W warsztacie krawieckim skracano kołnierz, zwężano spodnie, z dwóch czapek zrobiono jedną. Nareszcie w lamusie znalazły się antyczne ostrogi i szabla długa, a ciężka jak cholera. Przepisy były przestarzałe, niezmienione jeszcze od czasów sprzed Königgrätz. A tymczasem moda, spod której wpływu i armia nie mogła się wyzwolić, zupełnie się zmieniła. Przez dwa dni, czekając na umundurowanie, plątałem się po koszarach w cywilnym ubraniu, nie pełniąc oczywiście żadnej służby. To skróciło czas ćwiczeń do 12 dni.

Po dwóch dniach wyglądałem jak strach na wróble. Ostrogi i szabla jak u rajtara z trzydziestoletniej wojny<sup>658</sup>, wysoka, grenadierska czapka, niski kołnierz u kabata i obcisłe spodnie tworzyły tak niewspółczesny obraz, że każdy przechodzień oglądał się na cudacznie ubranego ogniomistrza, gdym trzeciego dnia, po ćwiczeniach i obiedzie ruszył na miasto do Adama Lewickiego i do Kramerów. Nazajutrz po południu ujrzeli mnie w pierwszorzędnej kawiarni przepełniającej ją oficerowie. Na wszelki wypadek nosiłem stale przy sobie przepisy uniformowe i składany meter<sup>659</sup>. Oficerowie lustrowali mnie ze zdumieniem od stóp do głów, kręcili się, coś szeptali ze sobą, ostatecznie jakiś major, artylerzysta podchodzi do mnie, legitymuje dokładnie, a potem pyta, skąd wydobyłem tak dziwaczny mundur? Wydobywam z kieszeni książeczkę z przepisami, meter i zaczynam wykład, że jestem ściśle wedle przepisu umundurowany i uzbrojony. Czapka ma mieć... Major przezywa mi, że tej instrukcji nigdy nie czytał, że ma ją gdzieś i zapytuje, czy mnie, inteligentnemu człowiekowi nie wstyd chodzić po mieście w tak cudacznym mundurze i zwracać na siebie uwagę wszystkich? Odpaliłem mu z całą bezczelnością: „Nie wstydzę się chodzić „im Kaisers-rock!” (w cesarskim mundurze). To przecięło jego wywody: „No tak! ach tak” – wybełkotał i odszedł jak zmyty. Po chwili wszyscy oficerowie wyszli, piorunując mnie wzrokiem. Zostałem na placu. Odtąd codziennie wpadałem do tej kawiarni, choć na chwilę po obiedzie, który jadałem przeważnie z Adamem Lewickim

<sup>658</sup> Wojna trzydziestoletnia – wojna trwająca od 1618 do 1648 r. pomiędzy europejskimi krajami protestanckimi a katolicką monarchią Habsburgów.

<sup>659</sup> Meter – tu w znaczeniu miarka.

w restauracji, umiłowanego przezeń ogrodu miejskiego, w którym zresztą drzewa i krzewy były dopiero „*in statu nascendi*”<sup>660</sup>.

Zaprzyjaźniłem się z mymi kolegami podoficerami. Wieczorami w mej kwaterze, tj. w pokoju ogniomistrza kancelaryjnego, wykładałem im zasady socjalizmu, stosunki polityczne i społeczne w Austrii, zwłaszcza w Galicji i możliwe nadzieje na przyszłość naszego narodu. Dziwno mi było, acz nader przyjemnie, jak łapczywie chłonęli moje słowa. Schodziło ich się na te pogwarki<sup>661</sup> sześciu do ośmiu (z dwóch pułków), a żaden nie zdradził ani nie doniósł.

Konia dostałem wyścigowca, który chadzał bardzo spokojnie, o ile nie miał munsztuka tylko pojedynczą trzęźlę<sup>662</sup>. Konno jeździłem pewnie, ale daleko mi było do kowboja. Więc wolałem odrzucić munsztuk. W czasie ćwiczeń, gdy mój koń posłyszał komendę: „Defilada na lewo! Galop! Marsz!”. Wziął na kieł<sup>663</sup> i puścił się jako rzetelny wyścigowiec z wiatrem w zawody. Mija cztery armaty, mija pułkownika prowadzącego defiladę i oto ja, „rezerwowo ogniomistrz” prowadzę defiladę ku zgorszeniu odbierającego ją brygadiera. Popsułem wszystko, pardon! Mój koń popsuł przedstawienie. Pułk wraca na swoje miejsca! Drugi raz od początku! Pułkownik mnie sklął, ale ja we wojsku byłem głuchy na wyzwiska. Robiłem minę świętego młodzianiszka z gorejącego pieca, a po cichu życzyłem wyzywającemu, żeby go szlag trafił, póki zły. Mój wyścigowiec robi drugi raz jota w jotę to samo. Teraz już brygadier klnie mego pułkownika, pułkownik majora, major mego kapitana. Kapitan już nie klnie, tylko każe mi galopem jechać do koszar. Zrobiłem to z radością i uciekłem do Adama. Nazajutrz po tej defiladzie zostałem zwolniony z reszty ćwiczeń! Za karę! Najpierw z czternastu zrobiło się dwanaście dni praktycznych, a potem z dwunastu dziewięć.

Podoficerowie zegnali mnie z żalem. Mój szlafkamrat<sup>664</sup>, chcąc mi zrobić przyjemność, skreślił moje nazwisko ze swych rejestrów i złożył moje papiery do aktów, poszły do archiwów. Zapewniał mnie, że po tym nigdy więcej nie będę wzywany na ćwiczenia. I tak się stało. Trzy dni przed upływem mego biurowego urlopu wróciłem z ćwiczeń do domu. Wykorzystaliśmy ten czas z żoną na wyjazd do Perepelnik.

**KONIEC TOMU PIERWSZEGO!**

<sup>660</sup> *In statu nascendi* (łac.) – w trakcie powstawania, rodzenia się.

<sup>661</sup> Pogwarka – pogawędka, rozmowa.

<sup>662</sup> Trzęzła – uzda.

<sup>663</sup> Wziąć na kieł – stać się upartym, nieustępliwym.

<sup>664</sup> Szlafkamrat (z niem.) – osoba mieszkająca z kimś w jednym pokoju.